PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK DRUGI. — TOM V.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1885.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1885.

SIŁA I PRAWO.

Panujący dziś kult siły — jego charakterystyka — jak się stawia kwestya o stosunku prawa do siły? — I. Dwie doktryny o tym stosunku. — Teorya wywodząca prawo od siły — stormułowana przez Kanta — przez J. J. Rousseau — przez Hobbesa — jej zaród w prawie rzymskiem — początki tego prawa — apoteoza człowieka w Cezaryzmie. — *Quidquid Caesari placuit*... Chrześcijańska idea prawa walczy z Cezaryzmem — ulega na Wschodzie (bizantynizm) — zwycięża na Zachodzie. — II. Idea chrześcijańska nie jest nowością — zaród jej u pogan — na czem zależy teorya wywodząca prawo z zakonu przyrodzonego? — III. Udowodnienie tej ostatniej teoryi: Dowód wnętrzny — sprzeczności doktryny przeciwnej — niedorzeczności, do jakich ona logicznie prowadzi — w stosunkach obywatelskich — w stosunkach między narodami. — Zestawienie wyników obu doktryn.

Kiedy na tronie Cezarów zasiedli Trakowie i Goci, wynaleziono im genealogie, wywodzące ich rody od Jowisza — tak samo jak niegdyś Romulusom i Augustom. Nic dziwnego, że w epoce wszechwładztwa siły, w jakiej żyjemy, nauka przynosi także swoją dań bożyszczowi dnia dzisiejszego, nobilituje barbarzyński ród tej siły, przyznaje jej legalne pierwszeństwo nad wiecznym jej współzawodnikiem, prawem — lub, co jeszcze gorsza, samo pojęcie prawa w sile rozstwarza. Narody, które się dziś wzmogły w siłę, rzecz naturalna, że skłonne są do tej doktryny; jest to kult, w którym siebie czczą. Narody zaś, które pod przemocą siły upadły, ulegają łatwo uczuciu podobnemu do tej zabobonnej trwogi, co ugina kolana dzikich przed szkodliwemi potęgami przyrody, których ani zwalczyć, ani zbadać nie umieją. Pokonani siłą, łatwo sobie wystawiamy, że nam jedynie siły brakowało; przypuszczamy, że siła za

wszystkoby starczyła — a zatem, gdziekolwiek pojawia się teorya prekonizująca siłę, skłonni jesteśmy do szukania w niej zbawienia.

Możnaby wykazać, że pod tym poglądem kryje się błąd historyczny; że przez długie wieki byliśmy, pod panowaniem prawa, narodem szczęśliwym i potężnym, temu właśnie uznaniu praw człowieka i praw obywatela zawdzięczając i szczęście i nawet potęgę — podczas gdy narody jedynie siłę znające, ani szczęśliwymi, ani nawet narodami nie były; gdyśmy zaś chylić się poczęli i w końcu upadli, to nie było za czasów szacunku prawa, ale w epoce, kiedyśmy prawo zarówno z siłą w poniewierce mieli. Wszelako, jakikolwiek byłby nasz pogląd na tę kwestyę historyczną, mylniebyśmy stąd brali assumpt do rozstrzygania kwestyi zasadniczej, o wewnętrznym stosunku siły do prawa. Co innego pytanie: ile siły potrzebuje państwo do bytu i pomyślności? co innego zagadnienie: czy prawo od siły pochodzi i do niej należy — czy też prawo jest prawem samo przez się, a siła przyrodzoną jego sługą? Wyznawca tej ostatniej zasady może albo więcej albo mniej siły na usługi prawa wymagać — właściwie tyle jej żądać powinien, ile jej w danych warunkach czasu i miejsca obrona prawa potrzebuje. Zawsze jednak w jego oczach siła będzie środkiem pomocniczym tylko; przyzna on sile doniosłość — dla warowania prawa; uzna w niej zacność, uchyli przed nią czoło — gdy ją ujrzy w obronie prawa. Stąd ta szczególna cześć dla żołnierza, iż jest siłą ku obronie ojczyzny, skarbnicy wszystkich praw ludzkich. Wyznawca zaś doktryny przeciwnej, upatrując w sile źródło prawa, ma cześć dla siły jako takiej, uchyla czoło przed powodzeniem, jako siły objawem, we fakcie dokonanym widzi pierwiastek prawa, słowem, materyalizuje on prawo materyalizmem siły a siłę uświęca świętością prawa.

Bądź co bądź, nie chcąc uginać kolan przed niezbadaną potęgą, powinniśmy zajrzeć śmiało w oczy tej doktrynie, co ubóstwia siłę, zdać sobie sprawę z jej naukowej wartości, zrozumieć istotę stosunku siły do prawa, tę kwestyę zasadniczą a wiecznie aktualną, gdyż około tych dwóch biegunów — siły i prawa — krąży całe życie społeczeństw, podobnie jak około przyjemności i obowiązku (tłumaczyłem to w jednej z poprzednich rozpraw) obraca się wnętrzne życie człowieka.

I.

Czem jest siła, wiemy wszyscy; ale co jest prawo? Już w tem elementarnem pojęciu rozchodzą się zdania. Czy w parlamencie niemieckim roztrząsają się ustawy majowe, czy w izbie belgiskiej sprawa szkolna, czy w węgierskiej kwestya małżeństw mieszanych — wciąż słychać po jednej stronie głosy: Naruszacie prawa sumienia, prawa rodziców... nie macie prawa takich ustaw stanowić... Wciąż u nich mowa o prawie, stojącem przed i ponad prawem państwowem, o prawie, którego moc ma tkwić w sumieniu i w zakonie przyrodzonym [1]. Po drugiej zaś stronie tej mowy wcale nie rozumieją: w ich pojęciu prawem jest to, co większość obu izb, pod sankcyą korony postanowiła; prawo zaś przeciwstawione większości nie ma wcale sensu. Cóż znaczy prawo, mówią, którego siła nie popiera?

Na pierwszy rzut oka możnaby przypuścić, że to tylko wyraz samej utarczki stronnictw: mocniejsi tryumfują z siły, słabsi apelują do uczucia słuszności. Głębiej jednak w rzecz wglądnąwszy, łatwo się przekonać, że tu stoją w rzeczy samej naprzeciwko siebie dwie głęboko odmienne doktryny: jedna osadzająca prawo w sumieniu i zakonie przyrodzonym, druga wywodząca je z państwa a ostatecznie z siły. Zdajmy sobie najprzód sprawę z tej ostatniej, zagadnijmy jej szkołę.

Szkoła ta niekoniecznie przeczy sumieniu, lecz odłącza je od prawa. Sumienie, podług niej, należy wyłącznie do sfery wewnętrznej,

---

[1] W dzisiejszym języku polskim słowo **prawo** oznacza dwie różne, choć pokrewne rzeczy: ogólną normę postępowania *la loi, lex* — i moralną władzę postępowania w dany sposób: *jus, le droit*. Pierwotnie słowo prawo tylko to ostatnie oznaczało pojęcie, pierwsze zaś wyrażano słowem zakon. Niektórzy pisarze wnoszą, żeby je zastąpić wyrazem „ustawa“. Na to się jednak w zupełności zgodzić nie możemy, bo wyraz „ustawa“ oznacza tylko pewien rodzaj zakonów, mianowicie prawa państwowe; zaś zakon, *lex*, obejmuje prócz tego w swej pojętości i prawa natury fizyczne i prawo natury moralne — te zaś trudno ustawami nazwać. Będziemy więc w tej rozprawie i nadal wyrażać pojęcie *jus, le droit* słowem prawo; do wyrażenia zaś pojęcia *lex, la loi* będziemy używać według potrzeby obu słów: zakon i ustawa — nie wykluczając słowa prawo w tem samem znaczeniu (gdzie z toku mowy to znaczenie się uwydatni), ponieważ i w innych językach wyrazy *jus, le droit*, używają się w pewnych wypadkach w znaczeniu *lex, la loi:* np. w nazwach *jus canonicum, le droit romain.*

ono samo stanowi podmiotowy zakon moralności i samo karci jego przekroczenia; w sferze zaś zewnętrznego postępowania, człowiek należy do społeczeństwa; tu zakonem jest ustawa, wolą większości zakreślona; nakazy tą ustawą objęte są powinnościami, pozwolenia w niej zawarte są prawami; mocą zaś obowiązującą do wypełnienia ustawy i warunkującą wszelkie prawa i powinności społeczne jest przymus państwowy. Sumienie zatem nic tu nie ma do czynienia, tak samo, jak państwo nic nie ma do widzenia w sferze sumienia; te dwie sfery są zupełnie odrębne i niezależne.

Jak widać, prawo natury w tej teoryi nie jest wcale potrzebnem, niema nawet właściwego miejsca [1]. To też gdzie ta teorya przemogła, jak w Niemczech, wyrzucono je jako sprzęt niepotrzebny i nawet wykład prawa natury na uniwersytetach zniesiono. A przy przeważnym wpływie, jaki posiada nauka niemiecka na Zachodzie od lat kilkunastu, a u nas od kilkudziesięciu, ta doktryna szeroko zapanowała i wykłada się z katedr i po książkach, jako pewnik i stanowcza zdobycz nowożytnej wiedzy. Wielu słuchaczy prawa nie słyszało nigdy o innem prawa pojęciu, a niejeden z profesorów w niemałem byłby kłopocie, gdyby miał powiedzieć, co właściwie pod nazwą prawa natury rozumie.

Skądże ta teorya pochodzi? W takim, jakim ją obecnie przedłożyłem kształcie, sformułował ją Kant. Ten dualizm bez syntezy, ten rozbrat dwóch czynników rozchodzących się, żeby się nigdy nie spotkać, jest cechą jego ducha. Taki sam u niego rozbrat w spekulacyi między empiryą a wiedzą *a priori*, taki w praktycznej sferze, między dobrem a należytem, taki znowu między sferą życia wnętrzną a zewnętrzną, między moralnością a prawem. Ale Kant ubrał tylko tę doktrynę w filozoficzną szatę; istota jej znajduje się już w XVIII wieku w „ugodzie społecznej“ Jana Jakuba Russa; a ta znów jest tylko plagiatem teoryi, którą Tomasz Hobbes w XVII w. wykładał [2].

Hobbes, pojmując naturę człowieka jak gdyby był słuchaczem Darwina, bierze za punkt wyjścia, że pierwotny stan natury ludz-

---

[1] Pojęcie zakonu przyrodzonego, czyli prawa natury, omówiliśmy i dowiedliśmy jego istnienia w rozprawie p. t.: „Prawdziwe pojęcie moralności“, w zeszycie z października z. r. (Przegląd Powsz. t. IV. str. 100.)

[2] Hobbes. Leviathan or the matter, form and authority of governement. Human nature of the fundamental elements of policy. *De corpore politico etc*

kiej jest stanem wojny wszystkich przeciwko wszystkim. Natura, podług niego, dała tylko chucie egoistyczne, obdarzyła więc każdego skłonnością, a oraz prawem nieograniczonem do grabierzy i mordów. Z czasem jednak te same chucie egoistyczne skłonić musiały ludzi do zawierania umów pokojowych i łączenia się w społeczeństwa, mogące ten pokój ochraniać. To znowu godzenie i łączenie się nie mogło się inaczej uiścić, jak tylko w ten sposób, że każdy odstępował swej wolności i swych praw pierwotnych na rzecz całości. Tak mocą ugody powstało państwo: społeczność ludzi mająca swą osobną zbiorową wolę i, co zatem idzie, przedstawiciela tej woli, tj. władcę. Ta wola, mówi Hobbes, jest z istoty rzeczy wszechwładną, co ona chce, jest *ipso facto* dobrem, co zabrania, złem. W obec niej jednostki nie mają i nie mogą mieć żadnego prawa, gdyż ona dopiero jest źródłem praw, ona stanowi, co jest czyjem prawem, a co powinnością. Bez niej, po za państwem, żadnego prawa nie ma i pojąć nie można. Że zaś jednostki ludzkie zawsze są podejrzane o chęć gwałcenia cudzych praw w interesie własnym, państwo trzymać je musi w postanowionych karbach bojaźnią kar większych od spodziewanej z przestępstwa korzyści. Taka jest filozofia Hobbesa. Rousseau ani łuta do tej mądrości nie dodał; Kant zaś odgraniczył tylko sferę wnętrzną, gdzie wprowadził moralność intuicyjną; w sferze atoli zewnętrznej zostawił, co tamci postawili: z ugody społecznej państwo, z woli państwa prawo, w sile państwa moc obowiązująca prawa.

Jakoż, chcąc prawo wytłumaczyć jako utwór ludzki, nie można było innej szukać drogi. Uznanie jakiegoś prawa przed państwem lub poza państwem prowadziłoby logicznie do prawa natury, a prawo natury do Stwórcy natury. Żeby więc urobić sobie pojęcie prawa zgoła od Stwórcy niezawisłe, trzeba ostatecznie prawo z państwa, a państwo z jakiejś umowy ludzkiej wyprowadzić.

Ale czy to pojęcie prawa, jako utworu czysto ludzkiego, powstało dopiero w głowie Hobbesa? Czy przed XVII. wiekiem nie ma ono żadnych precedensów? Owszem precedensem, i źródłem tej doktryny — nie wahamy się powiedzieć — jest prawo rzymskie. To prawo, nad którem się do dziś dnia tylu zachwyca, które nazwano „rozumem spisanym“, *ratio scripta*, które co do formy, porządku, jasności i w całym zakresie prawa cywilnego, zasługuje za-

pewnie na to imię — to prawo rzymskie w swoich zasadach, w dążnościach i w zakresie prawa publicznego jest, mówiąc poprostu, „poganizmem spisanym“, tj. ubóstwieniem człowieka w formę prawa ujętem. Tego oskarżenia nie rzucam na wiatr, chcę je uzasadnić.

Początkowa historya rzymska, zwłaszcza w świetle nowożytnych badań Niebura, Momsena, Langego, Willemsa, przedstawia nam dwa pierwiastki, albo raczej dwa prądy między sobą walczące, z których układa się powoli to państwo i wytwarzają się jego pojęcia prawne. Na Kwirynale patrycyat, lud podobno sabiński, patryarchalny, posiadający silne tradycye rodowe i religijne, rządzony radą starszych, naczelników rodzin *(senatus)* pod wybieralnym królem. Na Palatynie plebs, tłum pochodzący prawdopodobnie z niewolników względną wolnością obdarzonych [1], pomnożony zbiegami i przybłędami [2], bez tradycyi, legalnie nawet bez religii, z początku od patrycyuszów zupełnie zależny i prawdopodobnie do uprawy roli użyty, z czasem jednak przychodzący do praw politycznych, rządzący się plebiscytem, walczący pod przewodem trybunów z patrycyatem i zdobywający w ciągu wieków jedne po drugich wszystkie stanowiska, jakie tradycyjnie do patrycyuszów należały, aż do miejsca w senacie, konsulatu i arcykapłaństwa. W miarę, jak wpływ pleby w rządzie i prawodawstwie rzymskiem przeważa, zaciera się też coraz więcej patryarchalny i tradycyjny charakter tego prawa, a występuje pojęcie bezwzględnej woli ludu. Gdy w końcu po długiej walce plebs zwyciężyła zupełnie patrycyat, a równocześnie ujrzała u stóp swoich ówczesny świat, mądrością i wytrwałością tegoż patrycyatu pokonany — uwierzyła wtedy swym retorom i greckim sofistom, że jest wszechpotężną, najwyższą, absolutem. Plebiscyt stał się wówczas w pojęciu legalnem źródłem prawa. Kiedy znów na szczycie tej pleby stanął imperator, jako jej pełnomocnik, jako wcielenie jej wszechwładztwa, naturalną było rzeczą, że mu się świat jako bogu pokłonił — to był właśnie rodzimy i zupełny rozwój idei pogańskiej, która w swym wiekowym pochodzie, ubóstwiając po kolei siły przyrody, zwierzęta, namiętności ludzkie, zmierzała końcowo do bał-

[1] Momsen; Willems, *Le droit public romain* C. I, ch. II. §. 3 — Cf. §. 2.
[2] *Liv.* l. I.

wochwalstwa samego człowieka. Otóż w Cezarze-bogu ta apoteoza człowieka znalazła swoje najwyższe i oraz najrealniejsze uiszczenie; odtąd w idei bóstwa Cezara, *Numen Imperatorum*, mieści się całe prawo rzymskie. Cezar źródłem prawa własności: ziemia uchodzi za wojenną zdobycz, z woli Pana rozdaną podwładnym. Cezar absolutnym władzcą życia: widać to nie tyle jeszcze w mordach bez miary i bez myśli przez Cezarów nakazywanych, ile w sposobie, jakim świat rzymski na to patrzał — czasem zarzucał im okrucieństwo, nigdy bezprawie. Cezar stojący nad wszelkiem prawem: *princeps solutus legibus est*, mówi *Digestum*. Cezar wreszcie jest twórcą wszelkiego prawa, bez żadnych granic, jest prawem wcielonem [1]; co tylko Cezar chce, to jest prawem — a tę wszechmoc Cezar dzierży od ludu; który na niego prawa swe przelał. *Quod principi placuit legis habet vigorem, utpote cum lege regia, quae de imperio ejus lata est, populus ei et in eum omne suum imperium et potestatem conferat* [2]. Najwyraźniejsze omówienie ugody społecznej! Hobbes, Rousseau i Kant nic nowego nie wymyślili.

Rozumie się, że podstawą tego prawa cesarskiego, w myśl te, goż samego prawa, jest tylko siła. Plebs wszechsiłą, Cezar jej uosobieniem, Roma jej godłem: Roma i siła jedno znaczą; pojęcie prawa, jako wynikającego z ludu przez Cezara, zlewa się z pojęciem wywodzenia prawa z siły. Po za siłą ani prawo rzymskie, ani świat Cezarów nie znają żadnego punktu oparcia, nie sięgają myślą dalej - korzeń prawa w sumieniu jest dla nich światem nieznanym — a raczej zapomnianym, bo w starej historyi rzymskiej nie brak śladów, że niegdyś rozumiano, co jest właściwą prawa podstawą [3]. Im dalej

---

[1] *Nor. Just.* 105. 2. §. 4.

[2] L. 1. *Digest.* de constit. princip. I. 4. Cf. Inst. de jure naturali I. 2. Cf. l. 1 Cod. de veteri jure I. 17.

[3] Charakterystyczny pod tym względem fakt opowiada Liwiusz (pod końcem księgi III-ej i w IV-ej.) Roku *U. c.* 261 *Aricini* i *Ardeates* spierając się o jakieś pole, poddali się sądowi Rzymian. Rzecz wytoczono w komicyach i na wniosek jakiegoś *Scaptius'a*, mimo błagań senatu, plebs osądziła lwim sądem, że pole ma do niej należeć. Senat, nie mogąc się na razie oprzeć tej krzywdzie, czekał, aż mu jakieś zamieszki nastręczyły sposobność do unieważnienia tego plebiscytu i w 52 lat po tym legalnym zaborze, pole to oddane zostało Ardeatom. Wyrazem pojęcia dawnych Rzymian o wyższości prawa natury nad wolą ludu, jest także instytucya *collegii fecialium*, o której będzie mowa poniżej.

zaś w dziejach, tem więcej cezaryzm rośnie, tem więcej absolutna dowolność człowieka legalizuje się, ubóstwia się. Kiedy Cezarowi podoba się chrześcijan bez liku mordować, Ulpianus, arcykapłan legistów, pierwszorzędna powaga prawa rzymskiego, pisze książkę, żeby te mordy ulegalizować. — Cezar wreszcie nawraca się, chrzci się, korzy się przed biskupami... ale cezaryzm nie może się ochrzcić, bo on antytezą idei chrześcijańskiej, Bożego królestwa na ziemi. Cezaryzm żyje w prawach, w rządzie, w chmarze urzędników rzymskich pokrywających świat, najwięcej w legistach, w *jurisprudentes*, którzy snują bez przerwy wątek legalnej apoteozy człowieka, apoteozy tem bezbożniejszej, że teraz zapożycza nazw chrześcijańskich do pogańskich pojęć[1]. Cezar chrześcijanin, pogańskim cezaryzmem odziany, raz słucha sumienia i uznaje w Soborze, „że wyroki biskupów są wyrokami Boga“ [2], drugi raz ulega cezaryzmowi i rozkazuje św. Atanazemu, by Aryusza przyjął natychmiast do kościoła: „Inaczej — tak brzmi rozkaz — przyszlę ludzi z mego oto„czenia, żeby cię złożyli z urzędu i wygnali z miasta“.

Ale na Zachodzie zwycięża zwolna myśl chrześcijańska. Cezaryzm, duch prawa rzymskiego, chroni się na Wschód, osiada w Carogrodzie; a tam znów ulega mu Chrystyanizm, i tak wytwarza się ta ohydna mieszanina pogańskiego cezaryzmu z okruchami pojęć chrześcijańskich, zwana Bizantynizmem — legalizowana, przez legistów, uświęcana przez upadłych biskupów, wynoszona pod niebiosa przez filozofów, retorów, poetów, malarzy, których ani nazwy nie pozostało [3].

II.

Tymczasem chrześcijańska idea prawa opanowywała świat — zwolna i z trudnością, bo co chwila zderzała się z pojęciami i instytucyami,

[1] „La Société civile (au V. siècle) semblait chrétienne comme la so„ciété religieuse; les souverains, les peuples avaient en immense majorité em„brassé le Christianisme; mais au fond la société civile etait païenne; elle te„nait du paganisme ses institutions, ses lois, ses moeurs“. Guizot. *Histoire de la civilisation en France.* IIe Leçon.

[2] Konstantyn na Soborze Nicejskim.

[3] W Carogrodzie Cesarzów malowano z *nimbem* wkoło głowy. I, rzecz charakterystyczna, sam Konstantyn takie prawo postanowił. Eckhel. VIII. 79. 502.

wyrosłemi z prawa rzymskiego. Nietylko w Rzymie, ale i u Gallów i Gotów, nietylko między Kościołem a *praetorium*, ale nawet w sumieniu pojedynczych królów i biskupów toczył się długi spór między tą ideą wyczytaną w Ewangelii, a zasadami, jakiemi ich długoletnia prawa rzymskiego nauka karmiła. Cóż to była za idea chrześcijańska? czy jakaś nowość? Istotnie nie nowość. Jak cezaryzm rzymski nie był absolutną nowością na świecie, ale najwyższym urzeczywistnieniem tej myśli, którą już wypisaną znajdujemy na prastarych pomnikach Niniwy i Babilonu — że człowiek jest najwyższym Panem — tak samo Chrystyanizm wskrzesił tylko ideę, drzemiącą od wieków w sumieniach ludzkich — że Bóg jest Panem, prawodawcą zakonu natury; że wszelka władza i wszelkie prawo z tego zakonu pochodzić muszą i do niego się stosować; że człowiek nie ma prawa ani czynić, ani rozkazywać co mu się podoba, ale, tak w życiu prywatnem, jak i u steru państwa, powinien b a d a ć, co się godzi, co odpowiada sprawiedliwości i wszelkim przyrodzonym prawom i obowiązkom ludzkim; w czem leży istotnie poddanie się Stwórcy. Gdy świat rzymski słyszał głoszoną w imieniu Jezusa naukę: *Nie ma zwierzchności, jedno od Boga... W Chrystusie nie masz niewolnika i wolnego... Posłuszni bądźcie panom wedle ciała, z dobrą wolą jako Panu a nie ludziom... A wy panowie toż im czyńcie, opuszczając groźby, wiedząc, że ich i wasz Pan jest w niebiesiech, a nie masz u niego względu na osoby*[1] — gdy, mówię, ówczesny świat słyszał tę naukę, cucił się, uprzytomniał sobie prastarą prawdę, której głuche oddźwięki słyszeliśmy u jego filozofów, a której ślad nigdy się w duszy ludzkiej do szczętu nie zatarł[2].

Określmy sobie tę prawdę ściśle, naukowo, jakeśmy to uczynili z doktryną przeciwną. Początkiem prawa *(du droit)*, podług tej nauki, nie jest wcale państwo — jak od legistów rzymskich do Kanta i od Kanta do dzisiejszych legistów mylnie się twierdzi — ale początkiem prawa jest zakon przyrodzony, którego istotę omówiliśmy już w jednej z poprzednich rozpraw: ten zakon przyrodzony,

[1] *Rom.* XIII. *Galat.* III. Ephes VI.

[2] Przytoczyłem w rozprawie: „Prawdziwe pojęcie moralności“ z Platona i Cycerona najwyraźniejsze o tem zdania.

wynikający z naturalnego porządku rzeczy, znany przez rozum, odzywający się w sumieniu, nie odnosi się tylko do wewnętrznej sfery życia, jak przypuszcza Kancyanizm, ale określa też wielorakie stosunki między ludźmi: równość między równymi, podległość naturalnym lub sprawiedliwie powstałym zwierzchnościom, opiekę nad podległymi, sprawiedliwość względem wszystkich. Każdy taki stosunek stanowi zawsze po jednej stronie mus moralny, tj. obowiązek, po drugiej moc moralną czynienia lub wymagania czegoś, tj. prawo. Zakon przyrodzony np. wkłada na dzieci obowiązek czczenia rodziców, tem samem daje rodzicom prawo wymagania tej czci; zakon przyrodzony daje prawo temu, co rzecz jaką zrobił, do wyłącznego jej użytku [1], tem samem wkłada na wszystkich innych obowiązek szanowania tej własności i t. d. Ale cóż gwarantuje te prawa? czyż nie potrzeba na to państwa, żeby je warowało? — Co innego prawo, a co innego jego obrona i obwarowanie. Prawo już istnieje mocą zakonu przyrodzonego, jego istotna wnętrzna siła wiąże sumienia, jego naturalną sankcyą jest sama sankcya prawa przyrodzonego, którąśmy indziej opisali, niedoskonała w tem życiu, zupełna w przyszłem [2]; wreszcie gdzie państwo nie istnieje lub gdzie nie dosięga, tam każdy ma prawo, mocą zakonu przyrodzonego, bronić siłą swych praw. Państwo przychodzi po zakonie przyrodzonym i wszystkich prawach i obowiązkach z niego pochodzących, na podstawie tego zakonu, jak innym razem okażemy, powstaje i kształci się; jego zadaniem jest prawa i obowiązki przyrodzone obwarować i bronić ich, zastępując w korzystniejszy sposób osobistą ich obronę; ma ono nawet prawo, na mocy tegoż zakonu przyrodzonego i zawsze w celu bronienia jego praw, stanowić swoje dodatkowe zakony, tj. ustawy państwowe; z tych ustaw znowu wynikają dodatkowe prawa i obowiązki, również w sumieniu obowiązujące. Ale żadną miarą państwo nie ma prawa znosić tego, co zakon przyrodzony stawia, naruszać ustawami swemi praw lub obowiązków z zakonu przyrodzonego pochodzących: byłobyto sprzecznością z jego celem, gdyż na to jest państwo, żeby bronić tych praw, i sprzecznością z źródłem jego władzy, gdyż z zakonu przyrodzonego ta władza płynie. Wszelkie więc tak zwane ustawy

---

[1] Udowodnimy to w osobnej rozprawie o „Własności".

[2] Przegl. Powsz. tom IV. str. 107 (poszyt z paźdz. 1884.)

z prawem przyrodzonem niezgodne są nieprawomocne, niebyłe, nie są właściwie ustawami: bo do istoty ustawy należy, żeby obowiązywała, a obowiązek z prawem moralnem niezgodny jest sprzecznością.

III.

Taka jest doktryna: jakież są jej dowody? Pierwszym i najwłaściwszym jej dowodem jest już powyższe wyłożenie jej treści: Zakon przyrodzony jest faktem i prawdą niezaprzeczalną. Z tego zakonu, jak wynikają obowiązki moralne przyrodzone, tak samo i przez to samo wynikają prawa naturalne: są to *correlativa*, jedno w drugiem się mieści. Jak więc moralność jest bezwzględna, po nad ludzkim kaprysem stojąca, od wszelkich ludzkich ustaw i władz niezależna, tak samo są prawa naturalne bezwzględne, najwyższe, niezależne, których ustawodawstwo ludzkie nie tworzy, tylko uznaje — jeśli wiernem jest swej misyi — i swoim przymusem waruje. Zaprzeczyć istnieniu tych praw naturalnych, albo odmówić im bezwzględności, znaczyłoby tyle, co zaprzeczyć zakonowi przyrodzonemu i zanegować samą moralność. To wszystko albo samo przez się jest oczywistem, albo już dowiedzionem w poprzednich naszych studyach.

Drugi dowód, albo raczej szereg dowodów, zależy na sprzecznościach, w jakie przeciwna doktryna wpada i prawdziwie strasznych wynikach, do jakich logicznie prowadzi.

Czemuż, pytam stronnika tej teoryi, odcinacie prawo od sumienia? Dlatego, odpowie mi, że państwo, od którego prawo pochodzi, nic nie ma do czynienia z sumieniem, ono tylko zewnętrzne stosunki i czyny obywateli uwzględnia, a *de internis praetor non judicat.* — Jeśli tak jest, czemuż w każdem prawie karnem na świecie uważa się w pierwszym rzędzie na sumienie, bada się, czy była u obwinionego świadomość, zamiar, zła wola, *dolus, culpa...* jeśli zaś jednego z tych warunków brakło, czyn zewnętrzny, jakkolwiek szkodliwy, uchyla się z pod kary? Jakimże tu prawem władza państwowa wgląda w sumienie i uwzględnia je w ustawie? — Prawda, odpowiedział mi na to zagadnienie pewien jurysta z tej szkoły, jest w tem sprzeczność, ale inaczej być nie może. Otóż ta sprzeczność dowodzi fałszu tej teoryi, a właściwy jej powód w tem leży, że z jednej strony mylna teorya prowadzi swych zwolenników do mylnych kon-

kluzyj oderwanych; z drugiej strony zdrowy rozsądek, który w prawie karnem i cywilnem łatwiej się przebija niż w publicznem, widzi, że błędem i krzywdąby było, brać na szalę uczynki ludzkie bez tego, co u nich jest najistotniejszem, t. j. wewnętrzej, *moralnej ich* podstawy.

Lecz i w zakresie prawa publicznego, czy można bez sprzeczności bronić tej teoryi odosobnienia prawa od sumienia? Państwu, mówią, idzie tylko o zewnętrzną podległość ustawom; — to prawda, ale czyż ta sama podległość nie wymaga z natury rzeczy udziału sumienia? Czy państwo może się normalnie rozwijać i kwitnąć, kiedy obywatele i sami urzędnicy nie poczuwają się do żadnego o b o w i ą z k u wypełniania ustaw i tylko o tyle im ulegają, o ile bojaźń kar państwowych ich zmusza? Czemuż państwo wymaga przysięgi od urzędnika, od żołnierza, od posła, od nowych obywateli, jeżeli sumienie go nie obchodzi? czemuż stara się rozbudzić patryotyzm, jeżeli mu tylko o zewnętrzną uległość idzie? Ale jest tu jeszcze donioślejsza sprzeczność — i oto, na czem zależy: z jednej strony dobro państwa widocznie wymaga, żeby obywatele sumiennie pełnili swe obowiązki; sami zwolennicy tej teoryi „prawa od państwa“ bez wątpienia przyznają, że dobry obywatel p o w i n i e n sumiennie się stosować do ustaw — tak dalece powinien, że mu na to przysięgać każą; z drugiej strony ustawy te, podług ich teoryj, mogą być przeciwne sumieniu: bo ustawa jest dowolna, państwo u nich ma prawo stwarzać i zmieniać wszelkie ustawy; sumienie zaś ma niezaprzeczenie coś stałego i stanowczego w swoich wymaganiach:

Justum et tenacem propositi virum
Non civium ardor prava jubentium...
Mente quatit solida.

My uznając w zakonie przyrodzonym wspólny grunt dla sumienia i dla praw i ustaw państwa, mówimy konsekwentnie, że państwo nie ma prawa do tego, co jest z sumieniem niezgodne; oni prawo za twór państwa mając, wpadają w tę sprzeczność, że obowiązkiem jest w danym razie słuchać ustawy, której sumienie każe nie słuchać. I ta znów sprzeczność potępia ich system.

Widzieliśmy sprzeczności, patrzmy jeszcze na logiczne tej teoryi wyniki.

Jeżeli prawo jest wyłącznie tworem państwa, wtedy wszelkie prawo jest względne i zmienne i władza państwa w tworzeniu i zmianie praw nie ma żadnych granic. Wiem, że to zwolenników tej teoryi nie straszy. Cóż jest bezwzględnego na świecie, pytają?— Ale idźmy do ostatnich konsekwencyj. Opowiadają, że ks. Bismark, kolegując za młodu z Arnimem, dyskutował z nim kwestyę, o której właśnie mówimy, i już wówczas bronił *die Staatsomnipotenzlehre.* Co byś więc powiedział, odparł mu razu jednego Arnim, gdyby państwo któregoś dnia postanowiło, że wszystkie pieniądze z kieszeni pana A przechodzą na własność pana B? — Powiedziałbym, odrzekł podobno wtedy Bismark, że A byłby złodziejem, gdyby grosz w swej kieszeni zatrzymał. — Logiczna w istocie odpowiedź, ale, jak każdy widzi, radykalnie socyalistyczna i zgoła niemożliwa [1].

Jeśli kogo ta niemożliwość w kwestyi własności nie uderza, choć na własności stoi społeczność cywilna, są inne prawa jeszcze istotniejsze, na których stoi rodzina, osobiste bezpieczeństwo, życie. Coż o nich sądzić? Już się gdzieś odezwały głosy, wzywające do zaprowadzenia w małżeństwach doboru przymusowego, na podstawie darwinistowskich poglądów; państwo, które już tak daleko wkroczyło w nienależący do niego zakres małżeństwa, czemużby nie miało kiedyś i tę wolność wyboru *pro bono reipublicae* odebrać? Zapewnie nie dalibyście głosu za takim projektem, ale czybyście mogli powiedzieć państwu, że absolutnie nie ma do tego prawa? Jeżeli dziś obywatele mają prawo podług własnego wyboru zawierać związki, to prawo to w teoryi waszej państwu zawdzięczają; a co państwo daje, to odebrać może. Cóżbyście na to odpowiedzieć mogli? Szukalibyście oparcia na gruncie utilitaryzmu, ale sam ten grunt chwiejny i grząski. Jeden tylko jest stały punkt oparcia, którego wy nie znacie: zasada, że władza państwa jest ograniczona, że są prawa, które do jego sfery absolutnie nie należą, wkroczyć w nie tylko może siłą, ale sumienie obywateli bronić ich powinno.

Idźmy jeszcze dalej w konsekwencyach. Cobyście powiedzieli, gdyby się państwu zachciało przywrócić prawo Likurga, co nakazywało wystawiać dzieci na Taigecie? Przecież z nowożytnej teoryi

[1] W innej rozprawie pokażemy, że prawo własności jest przyrodzonem, od państwa niezależnem, i że na niem byt państwa się opiera.

Malthusa naturalnie wywnioskować można, że dobro państwa tego żąda. Państwo byłoby i tu, podług was, w swojem prawie, skoro nie ma prawa po nad państwem. Cóż w końcu powiecie na takie rządy, jak terroryzm Robespiera? jak te legalne i prawomocne orgie Heliogabalów i Neronów? — Ależ takie czasy, powiecie, i takie prawa nie wrócą więcej, epoki krwawe minęły, świat poznał ich zgubność, historya się nie powtarza... Najprzód, nie wątpię, że wykwintny świat Ludwika XV. tak samo rozumował, a jednak dożył rządu terrorystów. O przyszłości nic nie wiemy; widzimy tylko że wszechwładztwo państwa rośnie bez miary, a wzuoszą się coraz wyżej prądy tak groźne, że jeśli kiedy odzierżą władzę, to pozazdrościmy czasom Robespiera. Po drugie — na co kładę nacisk — nie idzie tu wcale o to, co będzie lub nie będzie, ale co jest prawem lub bezprawiem. Jeżeli sądzimy, że państwo jest najwyższym twórcą prawa, to konsekwentnie powiedzmy, że Neronowie i Robespierzy, „na których lud (jak się wyraża prawo rzymskie) wszelką władzę swoją przelał", mieli prawo tak rządzić, jak rządzili; jeżeli zaś piętnujemy takie czyny, jako gwałty i bezprawia, to uznajmyż, że istnieje ponad państwem i ponad wolą ludu jakieś prawo absolutne, przyrodzone, nieodmienne; — jedno z dwojga.

Już dosyć, sądzę, niemożebnych i niedorzecznych wyników wytknęliśmy tej doktrynie prawa od siły, ale jeszcze jednę, może najdonioślejszą wytknąć musimy. Jeśli prawo jest tworem państwa, jeśli przymus państwowy jest jedyną jego mocą, toć oczywiście między państwami niema żadnego prawa: gdyż nie ma nad niemi prawodawcy, nie ma wyższej siły, którejby ulegać musiały. I tego następstwa teoretycy tej szkoły nie wzdrygają się uznać; owszem wyznają otwarcie, że w polityce międzynarodowej jedyny wzgląd na interes państwa ma być na oku, jedyna siła ma rozstrzygać, a moralność nie ma tu nic do czynienia. Znowu logiczność wyborna, lecz zdradzająca fałsz zasad, z których wychodzi. Zrozumieć można, że ludzie czynu, sterujący państwem wśród zamętu wypadków, olśnieni wielkością wytkniętego celu, nie przebierają w środkach; zdaje im się, że w tym wysokim zawodzie nic zgoła, ani moralność, krępować ich nie może, a interes kraju powinien być jedyną ich gwiazdą. Zrozumieć to można, mówię, u ludzi czynu, bo czyn na wielkie rozmiary pochłania człowieka — lecz nie usprawiedliwiać, a tem mniej

pochwalać, bo wszystko, co ludzkie, bez wyjątku prawu moralnemu podlega. Ale że teoretycy, którzy z pogodną myślą prawdzie przypatrzyć się mogą, których właśnie zadaniem jest, by przez rozwój prawdziwej teoryi wpływali korzystnie na opinię i na sfery czynu — że teoretycy, mówię, hołdują temu samemu błędowi i gwałt uświęcają znamieniem prawa, zasady i nauki, to już trudno pojąć. Jakżeż oni mogą nie widzieć, że moralność nie zna wyjątków? Albo całe prawo moralne jest czczem złudzeniem, albo jednako obowiązuje rządzących i prywatnych, narody i jednostki. Mordy i rabunki pojedynczego złoczyńcy, rozboje całej zgrai rabusiów, krwawe *razziah* Sudańskich książąt, europejska wojna niesprawiedliwa, stoją w obec prawa moralnego w jednej linii; żadnej różnicy jakościowej między tymi czynami nie ma; albo żadnego z nich nie potępiać, albo wszystkie [1]. Skoro zaś te czyny są moralnie złe, to nic ich nie wymówi i nic nie uprawni, ani wola ogółu, ani interes kraju, ani najwyższe stanowisko, bo, powtarzam, moralność nie zna wyjątków. Skoro te czyny są złe, to też ostatecznie muszą się na niekorzyść ludzkości obracać. Prawo to uznajecie w stosunkach cywilnych, dowodzicie wybornie w waszych etykach utilitarnych, że zbrodnia jest przeciętnie niekorzystną, a zyski, jakie chwilowo przynosi, pokrywają się nierównie większemi szkodami; czemuż tego samego prawa nie stosujecie do polityki i nie mówicie państwom, w imieniu choćby utilitarnej etyki: co jest z moralnością niezgodnem, to jest też ostatecznie zgubnem?

I cóż bez moralności może być podstawą międzynarodowych stosunków? Traktaty?—Dyplomacya pewnego państwa, temu lat kilkadziesiąt, wniosła podobno projekt, żeby nazwę p r a w a n a r o d ó w zastąpić wyrazem „prawa traktatów“. Ale traktat suponuje uczciwość, tak samo jak przysięga suponuje religię. Między osobami niemającemi władzy nad sobą, a nieuznającemi uczciwości i dotrzymania obietnicy za obowiązek — jakiemi są w tej teoryi państwa — traktat, umowa, kontrakt, byłyby słowami bez znaczenia. Zostaje więc li tylko siła. Ale siła, postawiona jako jedyny regulator stosunków, *das Faustrecht*,

[1] Rozwój przedmiotu naprowadza mię w tem miejscu na kwestyę, którą już poruszyłem ubocznie w zeszycie Listopad. z. r., p. t.: „Po skierniewickim zjeździe. Wolę jednak powtórzyć tu poprostu, ile przedmiot wymaga, rzucone tam myśli, aniżeli w obecnej rozprawie luki zostawić.

to stan dziki, stan, w jakim się znajdują najdalsze od cywilizacyi plemiona; istota zaś cywilizacyi zależy na tem, żeby słuszność i prawo panowały nad siłą; wszystko inne w cywilizacyi jest dodatkowem i w obec tego podrzędnem. Czyż do tego ma zmierzać cały rozwój ludzkiej oświaty, żeby w końcu, na samym szczycie rzeczy ludzkich, w sferze politycznej, panowały stosunki dzikie?

Ale czyż było kiedykolwiek inaczej? Niewątpliwie, w pogańskiej nawet starożytności uznawano prawo natury za obowiązujące w stosunkach międzynarodowych; zdarzały się często przekroczenia tego prawa, nadużycia siły — podobnie jak w państwie zdarzają się przekroczenia praw cywilnych; ale prawo stało w sumieniu publicznem, wpływało na dzieje i nie mało w tych dziejach pięknych przykładów przewagi sprawiedliwości nad interesem. W starym Rzymie mianowicie, to religijne szanowanie prawa w stosunkach międzynarodowych znalazło wyraz w pięknej instytucyi Feciałów[1]. Gdy szło o wydawanie wojny, po wszystkich plebiscytach i senatuskonsultach, jeszcze kapłańskie *collegium fecialium* sądziło w najwyższej instancyi o słuszności sprawy i konieczności użycia ostatecznego środka, broni. Dopiero gdy to kolegium orzekło, że wojna słuszna i z prawem natury zgodna, *bellum justum ac pium*, deputacya z jego grona udawała się na granicę nieprzyjacielską, z żądaniem nagrodzenia wyrządzonych krzywd: *ad res repetundas*. Naczelnik jej, *pater patratus*, brał Jowisza za świadka słuszności skarg Rzymian[2], i ofiarował 30 dni do zadośćuczynienia. Wreście po ich upływie, w obec senatu i ludu, *pater patratus* orzekał, że „już prawa boskie i ludzkie nie sprzeciwiają się wojnie“, wracał na granicę wroga, wojnę solennie wypowiadał i sam ją rozpoczynał, rzucając pierwszy grot na nieprzyjacielską ziemię. Rzymianie tak dalece dbali o te formy sankcyonujące sprawiedliwość wojny, że kiedy im wypadła wojna z Pirrusem, od którego królestwa dzieliło ich morze, nie mogąc ina-

---

[1] Voigt, *De fecialibus*. Laws, *De fecialibus romanis*. Willems, *Le droit public romain*. I. ep. l. III. sect. 4.

[2] Taka była tej przysięgi rota: *Audi Juppiter et tu Jane Quirine diique omnes coelestes vosque terrestres vosque inferni audite! ego vos testor populum illum (quicunque est, nominat) injustum esse neque jus persolvere. Sed de iis rebus in patria majores natu consulemus, quo pacto jus nostrum adipiscamur*. Liv. I 32.

czej dopełnić obrzędów Feciałów, pojmali umyślnie jednego z żołnierzy Pirrusa i kazali mu kupić kawałek ziemi w cyrku flamińskim, żeby na tej piędzi niby nieprzyjacielskiej ziemi, powinność uroczystego wydania wojny spełnić [1].

Tak Roma pojmowała sprawiedliwość wojny, w epoce swej żywotności i prawdziwej wielkości; za cesarzów zachowywała się tylko forma; w III wieku, kiedy już na dobre Cezar był bogiem i prawem, a potęga rzymska chyliła się ku upadkowi, nawet ta forma, oddająca hołd prawu natury, rozwiać się musiała [2]. Widać, że uznawanie tego prawa nie szkodziło państwu rzymskiemu, a zapoznanie go bynajmniej mu niepomogło. W średnich wiekach mieszanina stosunków i narodowości, wynikła z napływu barbarzyńców, i gwałtowność tych surowych natur utrudniały w szczególniejszy sposób pokój i rozmnażały podniety do gwałtów. Uznane jednak stanowisko Papieża, jako sędziego słuszności i prawa między narodami, łagodziło starcia, zapobiegało wielu gwałtom, rozstrzygało wiele sporów prawem i wśród tak trudnych warunków zdołało cześć i względne panowanie sprawiedliwości utrzymać.

„W średnich wiekach, mówi Ancillon [3], Papiestwo może samo „wybawiło Europę z zupełnej barbaryi; ono stworzyło stosunki „między najoddaleńszymi narodami; ono było centrem i spójnią „świata... najwyższym trybunałem sprawiedliwości wśród powsze„chnej anarchii; ono stawiało tamę despotyzmowi panujących i ła„godziło wady feudalnego systemu". — „Gdyby Kościół nie był „istniał, mówi jeszcze wymowniej protestant Guizot, świat cały „byłby popadł pod wyłączne materyalnej siły panowanie. Kościół „sam podtrzymywał wówczas i szerzył pojęcia pewnej normy, po„wnego prawa, wyższego od wszelkich praw ludzkich; głosił zasadę, „od której byt ludzkości zależy, że po nad wszystkiemi ludzkiemi „prawami istnieje prawo, zwane, odpowiednio do czasów i oby„czajów, raz r o z u m e m, drugi raz p r a w e m B o ż y m, ale będące „zawsze i wszędzie pod różnemi nazwami jednem i tem samem „prawem" [4].

[1] Liv. I. 32. *ut quasi in hostili loco jus belli dicendi implerent.*

[2] Willems. l. c. str. 386.

[3] Tableau des revolutions du système politique en Europe.

[4] Histoire de la Civilis. II. Leçon. — Cf. Hettinger Apolog. tom V. rozdz. 20.

Później, choć wpływ polityczny Papiestwa zmalał, głębsze jednak pojęcia o prawie natury i jego mocy obowiązującej, jakiemi chrystyanizm atmosferę Europy nasycił, nieprędko się rozwiały. Dopiero w naszych czasach, po rozpowszechnieniu teoryi kontraktu społecznego, odważono się zaprzeczyć w zasadzie prawu moralności w polityce.

I cóż stąd wynikło? sile przyznano prymat; więc też siła zapanowała po swojemu. I przyszło do tego, że narody chcąc nie chcąc muszą być wiecznie pod bronią, armie muszą być coraz liczniejsze, broń coraz bardziej mordercza, budżety wojenne coraz uciążliwsze, coraz więcej ramion, odjętych pracy i zajętych nawet w czasie pokoju ostrzeniem broni, układy między państwami coraz częstsze, ale zarazem coraz niepewniejsze jutra. I z tego fatalnego staczania się ku barbaryi niema żadnego wyjścia — chyba gdy jedno państwo wszystkie inne pochłonie.

Naruszenie każdego prawa naturalnego mści się w organizmie, którego prawo naruszono; nic tedy dziwnego, że zaprzeczenie międzynarodowej moralności, naturalnego prawa narodów, przywodzi ich stosunki do stanu nieznośnego. I z tego stanu narody nie wyjdą, póki do tego prawa nie wrócą, póki nie uznają prymatu prawa nad siłą. To jest atoli dziwną i trudną do pojęcia rzeczą, że ludzie nauki mogą uważać ten stan panowania siły nad prawem za normalny, słuszny, prawowity. Do tego ich jednak przyprowadza żelazna logika, skoro raz wyszli z fałszywego pojęcia prawa!

Takie są, w zasadach i następstwach swoich, te dwie przeciwległe doktryny o prawie:

W jednej prawo jest utworem państwa, w drugiej wynikiem zakonu przyrodzonego.

W jednej moc obowiązująca prawa zależy na przymusie państwowym, na żandarmie; w drugiej mocą prawa jest obowiązek moralny — przymus jest tylko pomocniczym środkiem, nie zaś istotnym prawa elementem.

W jednej prawo jest z istoty swej zawsze względnem i zmiennem, każde państwo stanowi je i zmienia dowoli, sumienie zaś obywateli albo sprzeciwiać się, albo zarówno zmieniać się musi;

w drugiej prawo w swoich istotnych i przyrodzonych granicach jest niezmienne i bezwzględne, jak sama moralność i zakon przyrodzony.

W jednej władza państwa w tworzeniu praw jest nieograniczoną: prawnie i logicznie ani własność, ani rodzina, ani nawet prawo do życia z pod tego wszechwładztwa nie są wyjęte; — w drugiej prawa, będąc w zasadzie bezwzględne, mają bezwzględne granice: co zakon przyrodzony przyznaje osobie, rodzinie, społeczności, tego państwo naruszyć nie może, chyba przez gwałt i bezprawie.

W jednej państwa, będąc same prawa twórcami, nie mają nad sobą żadnego prawa, a jedyna siła w wzajemnych ich stosunkach rozstrzygać powinna; w drugiej państwa i narody podlegają temu samemu prawu moralności, co jednostki i to prawo powinno być podstawą ich stosunków i rozjemcą ich sporów.

W jednej ostatecznie prawo jest dziełem czysto ludzkiem; w drugiej prawo, będąc wynikiem zakonu przyrodzonego, jest ostatecznie dziełem Stwórcy — i ta jest podobno przyczyna dzisiejszego nieuznania tej doktryny, ale też niespożytej i wiecznej jej żywotności.

I cóż za wniosek końcowy? — Świat idzie swoim torem, powie niejeden, nie jest w naszej mocy go wstrzymać; jeżeli świat przejął się kultem siły, cóż na to poradzić? — Świat, jakkolwiek materyalny wygląda, w gruncie jednak rządzi się ideami. Rzut oka na historyę myśli ludzkiej wystarcza, by przekonać, że zwykle doktryny uprzedzają i powodują prądy czynu i przeobrażenia stosunków. Czasem czyn uprzedza i pociąga za sobą doktrynę; ale gdy w niej nie znajduje poparcia, to nie trwa i nie tworzy prądu. Zależy więc na tem ludzkości i zależy narodowi, żeby każdy co może, tembardziej każdy co na naukę wpływa, wyłamywał się z jarzma błędnej doktryny. Prawda wyswobodzi.

X. Maryan Morawski.

KSIĘŻNA AMELIA GALICYNOWA

i zawiązek dzisiejszego ruchu katolickiego w Niemczech.

Wedle publikacyi Towarzystwa Goerresowego: *Fürstin Galitzin von J. Galland).*

Obecny kierunek nauki głównie zwróconym jest ku badaniom przyczynowości, tak w dziejach rodzaju ludzkiego jak i myśli ludzkiej. W historyi zarówno jak w polityce, w filozofii czy filologii, w odgadywaniu tajemnic życia i przyrody, każdy szuka najprzód początków i powodów następujących po sobie zdarzeń i przeobrażeń. Jeśli dla ludzi wiedzy nęcącem nad inne jest to studyum, dla ludzi wiary, nie mniej ponętnem jest śledzenie dróg Bożych, szukanie śladów robót Bożych w pokoleniach i latach, i odgadywanie szlaków, po których płynął z góry ów Duch co wionie, kędy chce... Podniesienie człowieka do godności współpracownika w dziełach Bożych zaiste najpiękniejszym doczesnej naszej pielgrzymki przywilejem. Gdziekolwiek zaś dziś nas zdumiewa siła odporna dobrego przeciw naciskowi złego, moc wytrwałości, nawet bez oparcia się na ludzkich środkach i dźwigniach, hart niezłomnego ducha i zapału dostatek, tam należy cofnąć się wstecz i odnaleść w przeszłości ręce, które uprawiły niwę wydającą dziś bujne żniwo i owoc stokrotny. Niedalekie przykłady mogłyby nas upewnić w błogiem przeświadczeniu, iż nic nigdy nie ginie z Bożego posiewu gorliwą rzucanego dłonią. Nietylko krew męczenników, ale i pot wyznawców użyźnia rolę Chrystusową, a gdzie jedna lub drugi popłynie, wnet wstają całe pokolenia bojowników Pańskich, aby świętą zwieść walkę i mężne toczyć zapasy.

Mało który kraj piękniejsze w tej mierze daje dziś przykłady od Niemiec. Względnie szczupłe, lecz zwarte szeregi katolików, postępują tam z taką jednością, konsekwencyą i męztwem, że budzą powszechny w kościele wojującym podziw. Stronnictwo *centrum* w Parlamencie niemieckim stało się potęgą, o którą roztrącają się od przeszło lat dziesięciu wrogie zakusy kulturkämpferów. Kto przysposobił i wychował na dni ucisku owych dzielnych szermierzy? Wartoby się zastanowić i odszukać czynniki i wpływy, które zgotowały podobnych zapaśników naszej epoce. Nie rosną oni bowiem w jednym dniu, lecz dojrzewają przy ogniskach chrześcijańskich kilku pokoleń.

Książka, z którą pragniemy dziś zapoznać polskich czytelników, uchyla część zasłony, aby nam przedstawić jednę przynajmniej stronę błogiej działalności, która wpływami swymi aż naszych dosięgnęła czasów. Prowincye nadreńskie, jak pozostały warownią katolicyzmu w Prusach, tak też dostarczyły najlepszych żołnierzy prześladowanej dziś sprawie Kościoła. Niniejsza książka, wydana nakładem Goerresowego towarzystwa, co daje miarę przywiązywanego doń znaczenia, zapoznaje nas z jednem z przewodnich ognisk katolicyzmu w Niemczech, pod koniec ubiegłego, a z początkiem bieżącego stulecia. Pod tytułem: Księżna Amelia Galicynowa i jej przyjaciele, Józef Galland nakreślił wizerunki całej plejady wyborowych duchów, które w czasach ciemniejszych jeszcze od naszych, nietylko bronili dobrej sprawy, ale przekazali przyszłości tradycyę przywiązania do Kościoła i rzucili posiew dojrzewający nieustannie z pokolenia na pokolenie. Dziwnem się może wyda, iż imię niewieście błyska na czele książki zapoznającej nas z całym ruchem religijnym pewnej części społeczności niemieckiej z owej chwili. Ale bo danem było księżnie Amelii Galicynowej ześrodkować wokoło swej osoby, domu i serca, owo spotęgowane duchowe i duchowne życie, nie pierwszym zresztą w dziejach przykładem. Niższa siłą, a nawet i zdolnościami umysłu niewiasta, gorącością serca i duszy, nieraz powołaną bywa do tak wyjątkowego posłannictwa: niezdatna na wodza, ani kierownika, nadaje się ona często na oś i jądro środkowe szerokich działań i wpływów. Niedarmo Kościół osobno się modli *pro devoto femineo sexu*. Laski stąd otrzymane pasują niejednokrotnie wyborowe postacie niewieście na podniosłe misye i po

sterunki. Dość wspomnieć grono Rzymianek, które w IV. wieku po Chrystusie na Awentynie utworzyły z najwykwintniejszych żywiołów pogańskiego świata społeczność czysto-chrześcijańską. Imiona Melanii, Pauli, Eustochii, Blezylli, nie gasną nawet przy nazwisku przewodnika ich, św. Hieronima. Tak i świetne otoczenie ks. Galicynowej nie spycha w cień jej własnej osobistości, owszem grawitacya tylu znakomitych umysłów i charakterów w około tak nikłej na pozór niewieściej postaci, daje miarę tej ostatniej i świadczy o wyjątkowych przymiotach i magnesowej sile wątłej istoty, która rzeczywiście stała się osią ruchu katolickiego w owych stronach i epoce.

Wychowanie bynajmniej nie zdawało się gotować jej przyszłego przeznaczenia. Urodzona w r. 1748 z ojca protestanta i matki katoliczki, Amelia hrabianka Schmettau, w 5-tym roku życia została oddaną do klasztoru w Wrocławiu; następnie przeniesiono ją na modną pensyę berlińską, założoną przez ucznia słynnego przyjaciela Fryderyka II., ateusza La Mettrie. Powiewy filozofii encyklopedystów rychło zagasiły w duszy młodej panienki złożone tamże ręką pobożnych zakonnic iskry wiary; na to przyszły dowolne czytania głośnych romansów francuskich i publikacyj przewrotnych. Dzieło materyalisty Helwecyusza o istocie ducha, któremu zaprzeczał, zburzyło resztę pojęć chrześcijańskich w umyśle Amelii von Schmettau. A choć czuła jeszcze niekiedy tajemniczy pociąg ku idei Bóstwa, prawy zaś umysł łaknął prawdy i czuł się niezaspokojony zwątpieniem, zmącenie pojęć dochodziło i u niej do chaosu nicości. Nieodrodna córa myślącego narodu, od najmłodszych lat szczególną miała skłonność do filozofowania, entuzyazm zaś dla encyklopedystów o jej losie pośrednio rozstrzygnął. Spotkawszy bowiem świetnego i uroczego księcia Dymitra Galicyna, głównie się ująć dała pochlebnej korespondencyi Voltaira i Diderota z młodym rosyaninem i niebawem w r. 1768 oddała mu swą rękę. Nowożeńcy po krótkiej poślubnej podróży przenieśli się na stałe mieszkanie do Hagi, gdzie książe Galicyn mianowany został posłem. Tam księżna powiła z kolei dwoje dziatek, i w miłości macierzyńskiej znalazła ukojenie po zawodach serca. Krótkie bowiem pożycie małżeńskie wystarczyło, aby odjąć jej wszelakie złudzenia co do wartości męża, którego w myśli własnej najpiękniejszymi była ozdobiła przymiotami. Człowiek powierzchowny, lekki, średniej miary i rozumu, nie był on

odpowiednim towarzyszem dla pełnej zapału i zdolności młodej kobiety. Wir świata bynajmniej próżni jej serca nie wypełniał, trzeźwe oko rychło przejrzało w blichtrze i fałszu pochlebstw potocznej salonowej rozmowy. Oto obraz młodej księżnej, nakreślony przez Diderota w czasie jego pobytu z r. 1773 w Hadze: „Księżna Galicynowa jest bardzo żwawą, dowcipną i wesołą kobietą. Młoda, ładna, rozumna, pełna talentów, mówi wielu językami, śpiewa jak anioł i bardzo jest muzykalną. Rozmowa jej błyska dowcipnemi słówkami i głębokością poglądów. Przy tem wszystkiem dobrą być musi. Wczoraj np. przy obiedzie mówiła, iż zważywszy na słodkość, jakiej się doznaje, niosąc ulgę nieszczęśliwym, przebaczyć przychodzi Opatrzności, iż ich tu i owdzie rozsiała. Nader jest tkliwą, bodaj czy nie zanadto dla własnego szczęścia, że zaś zdrowy ma sąd, a wiadomości rozległe, wnosi w dyskusyę zapał młodego lwiątka". Dziwnym trafem tenże Diderot miał ułatwić księżnie obranie trybu życia, które ją ostatecznie do osiągnięcia prawdy doprowadziło. Znudzona i zrażona światem, zapragnęła w miłości macierzyńskiej znaleść zaspokojenie serca i zachronę od burz życia. W obec ukochanego synka i córeczki uczuła naraz niedostatek własnego wykształcenia. Jak tu kierować wychowaniem dziatek, czego ich uczyć, gdy sama nic prawie gruntownie nie umiała? Przeczuta powinność zgadzała się z jej własną skłonnością. Wycofała się tedy z światowych zebrań i zabaw, a dla upewnienia się w tem postanowieniu, obcięła krótko swe piękne długie włosy, zerwała z prawidłami mody, i z zapałem oddała się nauce. Diderota wpływ zniewolił księcia Galicyna do zezwolenia na zmianę rdzenną w trybie życia swej małżonki. Inny list koryfeusza encyklopedystów tak nam maluje nowe księżnej zajęcia: „Księżna Galicynowa mało teraz z domu wychodzi. Przybrała sobie nauczycieli historyi, matematyki, języków starożytnych. Chętnie opuszcza obiad dworski, aby spieszyć na lekcyę. Stara się jednocześnie umilać życie mężowi, kieruje wychowaniem dziatek. Wstaje rychło i wcześnie też udaje się na spoczynek, zaczem i moje życie stosować się musi do domowego jej trybu. Rozkoszujemy oboje w prowadzeniu zaciekłych z sobą sporów. Mimo bowiem jednakiej i wspólnej nam czci dla starożytnych, rozchodzimy się nieraz w zdaniu".

Już bowiem teraz, do niedawna ślepej Helwecyusza wielbicielce

nie wystarczała jałowa Diderota teorya o atomach i przypadkowem ich krążeniu. Piękne uczucia i obowiązki dobrze spełnione mają to do siebie, iż służą za szczebl prowadzące coraz wyżej. I księżna Galicynowa miała tego doświadczyć niebawem. Zrazu tylko dla dzieci zerwała z światem, i jęła się kształcić w widoku nauczania kiedyś osobistego i syna i córek. W tem przyrodzona skłonność do badań naukowych rozszerzyła zakres jej przedsięwzięcia. Sama pisze, iż opętała ją poniekąd żądza wiedzy, potrzeba uczenia się wszystkiego, choćby nawet sposobu kucia koni. Całymi dniami pracowała nieustannie, w noc późną długie przeciągając czuwania. Aby sobie przysporzyć czasu i hartu, wyrzekła się nawet ulubionej muzyki, której dotąd wolne poświęcała chwile, a którą snadź zanadto się rozmarzała. Nadmiar ten pracy umysłowej nie wyniszczał jej zgoła, owszem, pisała w epoce największej pilności w studyach, męzkich raczej, aniżeli niewieścich: „Czuję się lżejszą, jakby mi kto skrzydła przypiął. Wszystko się we mnie uharmonizowało, i to nie naciągnięciem i naprężeniem strón duszy, ale raczej dostrojeniem ich do odbrzmiewania szczytnych i niewyczerpanych rozkoszy. Oby wszyscy moi ukochani mogli też być szczęśliwymi! Noszę ich wszystkich w mem sercu. Ale mam zarazem w sobie cały świat nowy, skąd wynika konieczność wprowadzenia nieco ładu w te nabyte bogactwa, ustalenia równowagi między rozumem a uczuciem, rozszerzenia i wzmocnienia sił przewodnich, aby ich niższe nie zmogły potęgi. Czuję wciąż potrzebę zdobycia pewnej wyższości, aby nie mieć nigdy powodu rumienienia się za siebie, choćby mi nawet przyszło na jaki tron wstąpić“.

Ale kobieta nie zdoła samopas puszczać się w krainę wiedzy. Znaleźli się też mistrze niepospolici dla tej bogato uposażonej istoty. Trzech z kolei filozofów wpłynęło na jej rozwój umysłowy. Pierwszego dostarczyła Hollandya, a ojczyzna Erazma i Spinozy w osobie Hemsterhuysa udzieliła ochotnej uczennicy iście Sokratesowego nauczyciela. On ją dźwignął z materyalistycznego zwątpienia, wtajemniczył w podniosłe teorye boskiego Platona, przekonał o nieśmiertelności duszy, rozwinął dążności ku wszystkiemu co piękne i szlachetne. Młoda księżna coraz bieglejsza w starożytnych językach, u źródła czerpała czyste natchnienia. Lubowała się w klasykach rzymskich, wnikała w arkana matematyki i nauk ścisłych, uczyła się astronomii,

prawa, ekonomii. Locke i Leibnitz otwierali jej umysł dla filozofii niemieckiej, w której niebawem pod kierownictwem Jacobi'ego zanurzyć się miała. Dziwne bowiem było posłannictwo owych mistrzów księżnej. Chcąc dokładnie określić ich misyę w obec tej duszy, którą Bóg chciał posiąść całkowicie i pełnością światła Prawdy ogarnąć, najtrafniej będzie przypomnieć ustęp z Boskiej komedyi, w którym poeta rzymski Stacyusz przypisuje Wirgiliuszowi swe nawrócenie na chrześcijańską wiarę. Wieszcz pogański, przeczuciem wiedziony, głosił prawdy, które oświecały idących za nim, podczas gdy sam zostawał w ciemności.

Facesti come quei che va di notte
Che porta il lume dietro, e a sè non giova
Ma dopo se fa le persone dotte.

Tak samo i nauczyciele Amelii Galicynowej wnosili w noc jej ducha coraz wyższy zasób światła, aby sami w względnych pozostać cieniach, gdy ona tymczasem coraz śmielej i dalej kroczyła ku wyżynom. Tak Hemsterhuys jak i Jacobi walczyli do upadłego z racyonalizmem. Ale ten ostatni miał nadto wyższość, która ku niemu zwróciła stanowczo dotyczasową uczennicę holenderskiego filozofa. Hemsterhuys, mimo najczystszego spirytualizmu, nie przypuszczał ateńskiej czci *Dei ignoti*, odrzucał naukę chrześcijańską, i pozwalał sobie czysto wolteryańskich ucinków. — Jacobi przeciwnie, uznawał wielkość chrześcijaństwa, skłaniał się przed jego zasadami przewodniemi: do mistycyzmu skłonny, za niedościgłymi ideałami stęskniony, choć prawdę upatrywał w chrześcijaństwie, wiecznie jeszcze czegoś po za onego granicami szukał. W obec Lavatera przyznawał, że nauka o zbawieniu wydaje mu się najjaśniejszą i najprawdziwszą z wszystkich istniejących religijnych teoryj, a księżnie Galicynowej powiedział nawet, iż pośród wszystkich religii jeden katolicyzm zawsze z sobą jest konsekwentnym. Mimo tego nie doszedł sam do konkluzyi, którą innym ułatwiał i wskazywał. Walką z Kantem, z Spinozyzmem Lessynga, z kierunkami berlińskiej szkoły, Jacobi oddał rzetelne usługi prawdzie, i uważanym był za istnego apologetę wiary wśród racyonalizmu epoki. Tem zaś głównie pociągnął ku swej doktrynie łaknącą nauki księżnę, iż dążył do przeprowadzenia ścisłego przymierza filozofii z praktyką życia,

kiedy przeciwnie Kant owo przymierze rozrywał. I tak Hemsterhuys wywiódł księżnę na szczyty spirytualizmu, Jacobi wskazał jej zastósowanie owych nauk do doskonałości życia, nareszcie królewiecki mędrzec Hamann, mistyk filozoficzny, rozmiłowany w pojęciu Bóstwa, jakby jaki święty extatyk z średnich wieków, dopełnił w sercu księżnej dzieła Bożego, którego narzędziami nieświadomymi byli owi mistrze ludzkiej nauki.

A tymczasem miłość macierzyńska znów o jeden szczebel wyżej wiodąca szlachetną duszę Amelii Galicynowej, wprowadzała ją w atmosferę czysto katolicką. Po kilku latach skupienia pod Hagą w ustronnym domku, na którym wyryła napis *Nithuys*, co znaczyć miało, że przechodzeń nikogo nie zastanie, posłyszała o reformie szkolnej, jaką znakomity mąż stanu, baron Fürstenberg, usiłował zaprowadzić w zależnej od swych rządów części Niemiec. Było to pod koniec zeszłego wieku, a więc przed zmedyatyzowaniem państw kościelnych Rzeszy niemieckiej. Udzielny książe-biskup Monasterski powołał był do rządów Westfalii, z tytułem pierwszego ministra i oficyała, męża, który już się dał był poznać w czasie wojny siedmioletniej jako pośrednik pokoju o wielkich dyplomatycznych i politycznych zdolnościach. Franciszek von Fürstenberg miał się stać niebawem ojcem i dobroczyńcą swego rodzinnego kraju, mianowicie w dziedzinie szkolnictwa. Patrząc na spustoszenie, jakie sofizmata płynące zarówno z Francyi i Niemiec w młodych sprawiały umysłach, Fürstenberg postanowił młodzież przynajmniej od zgubnych ocalić wpływów i postawić tamę przeciw złemu chrześcijańskiem i hartownem wychowaniem przyszłych pokoleń. Po długiej rozwadze, za współudziałem kilku młodych zakonników z co dopiero skasowanego Towarzystwa Jezusowego, minister biskupi wydał w r. 1776 sławny okólnik p. t. *Verordnung die Lehrart in der untern Schulen des Hochstifts Münster betreffend.* Fürstenberg był zarazem i gorącym chrześcijaninem i filozofem znakomitym. Zbadawszy rzeczy do głębi, brzydził się blichtrem naukowym, kryjącym jałowość ducha pod fałszywej wiedzy pozłotą. Dla niego ideałem było nauczanie, oparte na ścisłej dogmatyce chrześcijańskiej, uwieńczone religią, a dające przewagę kierunkowi filozoficznemu, mianowicie psychologii. Pragnął on rozwoju wyższych zdolności duszy, nie zaś niższych tylko, jaką np. jest pamięć. Nie tyle mu chodziło o mnogość wia-

domości, mogących później do praktycznego życia się zastósować, ile o kształcenie moralne i duchowe, obejmujące harmonijną kulturą i udoskonaleniem wszystkie wraz duszy ludzkiej zdolności. Fürstenberg na swem wysokiem stanowisku, ksiądz Bernard Overberg, w dziedzinie szkółek ludowych, podali sobie ręce, aby wspólnie działać przeciw systematowi edukacyjnemu, który podówczas, jak za dni naszych, a więc pod koniec dwóch bezpośrednio po sobie następujących wieków, przemagał w szkolnictwie, na zasadzie pewnego powierzchownego i dumnego pedantyzmu, odrzucającego dawną tradycyę i wiarę w misyę wychowawczą Kościoła, aby przeprowadzać rewolucyjne teorye Lockego i Russa. Streszczenie pojęć reformatorów monasterskich w kilku da się podać słowach. Wedle Fürstenberga, zadaniem szkoły jest ukształcenie człowieka w peryodzie jego rozwoju a zatem nietylko umysłu jego, ale zarazem i woli i serca. Dlatego nie godzi się rozdzielać wychowania od wyuczania. Owszem, wychowaniu przynależy się wyższe miejsce, skoro ma ono większe znaczenie i naukę tylko za środek używać powinno. Wychowanie w Bogu znajduje swój cel ostateczny, w Chrystusie Panu wzór, ideał. Stąd konieczność religii, ściśle określonych dogmatów i jasnych pojęć moralności chrześcijańskiej, aby na nich oprzeć budowę wychowania i wykształcenia młodzieży. Otóż Kościół z Boga wziął misyę strzeżenia i nauczania prawd chrześcijańskich. Kościół zatem i rodziny chrześcijańskie doń należące mają obowiązki i prawa niezaprzeczone względem szkoły. A prawowity ów wpływ nietylko że nigdy się nie sprzeciwia interesom państwa, ale nadto rzetelne mu korzyści przynosi.

Teorye Fürstenberga szeroki w świecie znalazły odgłos. Księżna Amelia, przeważnie ich filozoficzną uderzona stroną, zapragnęła na miejscu poznać i autora sławnego rozporządzenia szkolnego, i praktyczne zastosowania jego pojęć do szkół westfalskich, w myśli przewodniej wychowania dorastającego synka. Udała się tedy do Monasteru w roku 1779, a zatem w chwili, gdy Fürstenberg cieszył się zakładaniem tamże krajowego uniwersytetu; ale zamiast krótkich odwiedzin, stale osiadła w stolicy westfalskiej, gdzie pozostała wraz z dziećmi do śmierci swojej, czyli do roku 1806. Epoka to najważniejsza w jej życiu, dostatecznem dojrzewaniem wszystkich przymiotów bogato uposażonej natury i rozszerzeniem jej wpływów szlachetnych na do-

borowe grono przyjaciół garnących się do jej ogniska, które wkrótce miało nabrać pierwszorzędnego w Niemczech znaczenia.

Przyjaźń dla Fürstenberga i studya pedagogiczone pod jego kierunkiem rozpoczęte, pierwszym były węzłem, który zatrzymał księżnę w Monasterze. Ale niebawem i inne powody się przyłączyły, aby ją do pozostania tamże na czas nieograniczony zniewolić. Z zwykłym zapałem nie przestawała ona szukać prawdy na szlakach coraz czystszej filozofii. A Niemcy podówczas uderzają niedorównanym ruchem myśli i umysłów, gorączką poszukiwań i zagadnień, mnogością nazwisk pierwszorzędnych, ludzi głęboko uczonych i zastanawiających się, którzy mimo szczęku broni, grzmotów rewolucyi i dział huku, oddawali się z zamiłowaniem abstrakcyjnym studyom i dociekaniom. Z kartek poświęconych biografii księżnie Galicynowej wionie ówczesny nastrój duchów, kotłowanie pojęć, ścieranie się idei, a zwłaszcza to cierpienie, o którem wspomina św. Paweł, gdy w liście do Rzymian pisze, „iż wszystko stworzenie wzdycha i jako rodzące boleje“. Ból ten, jakieś oczekiwanie i szukanie, oto cecha epoki, w której udręczeniach i księżna Amelia niemały udział wzięła. Umysł nadmiarem trudu stargany, przesycony ludzką nauką, łaknął Bożej, ale w tym stosunku do Boga-Nauczyciela ludzkich już pośredników znać nie chciał. Zatapiała się więc w czytaniu, w rozmyślaniach, które w tej wyjątkowej organizacyi rozjaśniały się nawet w snach jej nocnych, i nieraz z rankiem gotowe jądro prawdy osięgnąć jej pozwalały. Raz np. jeden z tych snów stanowczo miał wpłynąć na dalszy jej kierunek. Właśnie trwała jeszcze w nieograniczonej czci dla Sokratesa, rozczytując się w Platonie z przekonaniem, iż nie może być czystszej nauki na ziemi. Wtem uśpionej śni się Sokrates: Córko, doprowadziłem cię aż dotąd, ale nie dalej, teraz innego potrzeba ci przewodnika. — Zbudzona chwyciła za Ewangelią św. Jana, i odtąd głównie się w niej zatapiała. Atoli zawsze w zazdrosnej chęci zatajenia wewnętrznego przełomu, nawet się Fürstenbergowi nie zwierzyła, i rok cały po odzyskaniu wiary, ukryła tę laskę przed najbliższym przyjacielem, aby niczem nie mięszać nauk „najwyższego mistrza“. Studyowała Pismo święte, całemi godzinami przesiadywała po kościołach, słuchała kazań, piła duszą powietrze, nasycone chrześcijańską pobożnością. Inne książki wertowała z upodobaniem, mianowicie Naśladowanie Chrystusa, Drogę do

życia pobożnego, a zwłaszcza Ćwiczenia św. Ignacego, które ją stale do łez wzruszały: „Łzy to były słodkie jak balsam, łzy z słodyczy i cierpienia złożone... O Ignacy, jeśli widzisz, co się dzieje w mem sercu, módl się za mnie, i otrzymaj mi łaskę częstego doznawania podobnych wrażeń!“.

Albowiem nielatwy był przełom wewnętrzny, dokonywujący się w duszy, która miała się wyrzec ideału filozoficznej pychy, aby objąć ukrzyżowane nogi Zbawiciela i poddać się religii pokory. Wyrywały się też z duszy księżnej jęki bolesne: „Czemuż mi nie jest danem pochwycić cię Jezu Zbawicielu i zatrzymać w mem sercu? znalazłabym wtedy hojne za wszystko wynagrodzenie! Ale niestety! ideał zbyt wysoki, o którym marzę i który mnie niekiedy porywa ku sobie, co chwila przedemną znika; dopóki mieszkam na ziemi, rozdarta jestem pomiędzy nienasyconem pragnieniem, które mnie wiedzie ku Tobie, a bolesnem przeświadczeniem, iż Cię nie zdołam zatrzymać i zachować. Jeżeli jesteś Miłością, nie opuszczaj mnie w tej bezbrzeżnej otchłani!“. Jęki jej duszy przypominają niekiedy św. Teresę, częściej zaś św. Augustyna, którego miała za osobliwszego swego patrona. W dniu jego święta, 28 sierpnia 1748 r., urodziła się była na ziemskie życie; w tymże dniu, o trzydzieści ośm lat później (28 sierpnia 1786 r.), odradzała się dla nieba. Po długiej męce, dusza jej znalazła pokój, ów pokój tak pięknie określony przez późniejszego myśliciela, ojca Gratry, odpoczynkiem w światłości: *La paix, c'est le repos dans la lumière!* Spólpracownik Fürstenberga, ks. Bernard Overberg, objął duchowne kierownictwo nawróconej aż do dnia jej zgonu, po którym pisał do wspólnych znajomych, sam w nieutulonej pogrążony żałobie: — „Była ona dla mnie przez te lata córką, matką i siostrą zarazem!“.

Po swem nawróceniu księżna tem gorliwiej zajęła się wychowaniem dzieci. Zrazu, pod kierunkiem filozofów przyjaciół swoich, za cel wychowania uważała jedynie harmonijny rozwój zdolności złożonych w ich duszy, zahartowanie woli, aby przez nią osięgnąć rodzaj przyrodzonej cnoty. Teraz dopiero zrozumiała, iż prawdziwa pedagogia nie ogranicza się wyłącznie na rozwijaniu wrodzonych przymiotów i darów, ale przedewszystkiem na wychowaniu swych dzieci dla Pana Boga i zrobieniu z nich dobrych chrześcijan. Zaczęła tedy usilnie pracować w tym kierunku, zwłaszcza modląc się o po-

moc Bożą, aby gdy jej stanąć przyjdzie na sąd wiekuisty, mogła powiedzieć, że żadnego nie zatraciła z tych, co jej powierzonemi zostały.

Wielką w tem zadaniu pomoc znalazła w coraz ściślejszem stosunku barona Klemensa Droste Vischering, noszącego tytuł dziedzicznego „drossarta“ udzielnego księstwa monasterskich biskupów. Dom ten na wskróś chrześcijański miał się zlać długoletnią przyjaźnią z domem księżnej. Czterech synów barona Droste przygarniała ona ustawicznie do własnego ogniska, bolejąc, iż w wychowaniu własnych dziatek zbyt późno zabrała się do budowania na podstawie wiary. „Jeśli wychowanie młodych Droste Vischeringów tak pomyślne wydało owoce, przypisuję to przeważnie gorącej wierze ich rodziców, pisała księżna; bo przecież użyto w tym celu nierównie mniej nadzwyczajnych środków aniżeli ja to z mojemi dziećmi uczyniłam. Łaska Boża do wszystkiego jest konieczną, ale zwłaszcza do tak ważnej sprawy wychowania. A ta łaska na nas spływa w zamian wytrwałej modlitwy, świątobliwego żywota i wiary w obietnice pańskie“.

Macierzyństwo jej odtąd rozdzieliło się między własne dzieci a tych przybranych synów. Nic piękniejszego w całej księdze nad opis tej epoki z życia księżnej, zajęć i zabaw młodzieży, którą ona tak hartowną ręką prowadziła, a takiem miłowała sercem. Autor z archiwów rodziny Droste Vischering zaczerpnął pełno listów budujących tak radami księżnej, jak uległością młodzieży zaprawiającej się pod jej przewodem do chrześcijańskiego bojowania. Księżna sama udzielała wielu lekcyj gromadzie dzieci pod jej skrzydłem zebranych, nie spuszczała się na zastępców, powtarzając stale, iż pierwszym celem wychowania musi być ześrodkowanie wszystkich nauk w ten punkt jedyny, aby z dziecka ukształcić dobrego chrześcijanina, bojącego się Boga, podobającego się Bogu, szukającego tylko Boga. Nauki te nie padły na opokę. Młody Dymitr Galicyn pisał niebawem do przyjaciela: „Wszelka nauka ma się do Boga odnosić, jak nam to powtarzała matka; oby mi Bóg dał ową teoryę tak doskonale jak ona w praktykę wprowadzić“! W innym liście, na którym widnieje rysunek miecza, odzywa się do trzech młodszych Droste Vischeringów: „Drodzy moi, błagam was, nie zapominajcie o walce duchowej, której ten rysunek jest godłem. Dobranoc kochani. Ten,

który w chwili zaśnięcia tak żywo sobie Boga uprzytomni, aby o wszystkiem innem zapomnieć, w tejże samej obudzi się myśli; gdyby zaś umarł w nocy, przebudziłby się w objęciu swego Zbawiciela. Tak więc zasypiajmy i módlmy się wzajemnie na tę intencyę"; Przyjaźń tej pięknej młodzieży zasadzała się na udzielanej sobie zobopólnie pomocy do zbawienia. I tak np. dochował się w papierach rodzinnych gruby rękopis Walki duchownej Scupoli'ego, tłómaczony i spisany przez dzieci księżnej, ich młodych przyjaciół, oraz ich nauczyciela. Rękopis ten został przechowany z miłością i szacunkiem przez Klemensa Droste Vischering, późniejszego arcybiskupa kolońskiego, który w nim upatrywał pamiątkę i pomnik najświętszych młodości swej uczuć i ćwiczeń. Najlepszem zaś świadectwem kierunku owej młodzieży, rosnącej pod okiem i sercem księżnej Amelii Galicynowej, to drogi obrane przez owo grono, jej ręką w części do walki życia uzbrojone. Z czterech synów Droste Vischering, starszy tylko Adolf pozostał w świecie, by utrwalić dziedziczne domu swego cnoty w liczne pokolenia. Trzej młodsi poświęcili się służbie Bożej, a na ich barkach spoczął główny ciężar spraw katolickich w tych stronach. Najstarszy, Kasper, umarł w r. 1846 na stolicy biskupiej Monasteru. Drugi, Franciszek, wsławił się napisaniem znamienitej książki o stosunku Kościoła do państwa, a nawiązaniem stosunków z wszystkimi wybitnymi szermierzami katolickich w Niemczech interesów, stworzył pierwowzór dzisiejszej jedności usiłowań. Trzeci, Klemens, najcięższe i najświetniejsze miał przeznaczenie. Zaprawił się w rządach dyecezalnych przy boku Fürstenberga. Bronić musiał na przemian praw Kościoła i przeciw inwazyi Francuzów i przeciw anneksyi Prus. Wszędzie i zawsze strzegł on żarliwie nietykalności owych praw: „dla uniknięcia, aby życie duchowne, wewnętrzne prace i wyższe poloty i dążności duszy nie wpadły pod nadzór państwa i kontrolę policyi". Pod koniec życia powołanym został na stolicę kolońską, i tam stoczył wespół z naszym prymasem ks. Duninem, stanowczy bój o wolność Kościoła, w więzach wyznając wiarę swą i świadcząc gorliwej pieczy o powierzoną sobie trzodę. Sprawa ta nadto jest świeżą, aby jej przypominać było potrzeba. Ks. Droste Vischering i ks. Marcin Dunin wydeptali wówczas cierniowe drogi, po których za ich przykładem postępują dziś równie cierpliwie i mężnie ks. Melchers i kar-

dynał Lubomirski. Młodzi Vischeringi w najpóźniejsze lata wspominali zawsze z uszanowaniem „matkę swoją księżnę". Ta zaś nietylko z przybranych, ale i z własnych dzieci najwyższej doczekała się pociechy i chluby. Syn jej Dymitr nietylko wyrósł na dobrego chrześcijanina, ale w żarliwej żądzy poświęcenia nie ustał w połowie drogi i ofiary, lecz gardząc światem, położeniem i majątkiem, pod przybranem mianem Ojca Augustyna, opuścił Europę i resztę życia poświęcił apostołowaniu wśród dzikich ludów i lasów północnej Ameryki. Księżna ochotnie złożyła Bogu w ofierze swego jedynego syna. Gdy jej oświadczył zamiar zostania księdzem, z macierzyńskiej jej duszy wyrwał się okrzyk nadziemskiej radości, hozanna szczerego zachwytu i wyraz tak rzewnego szczęścia, jakby tylko łaskę a nie ofiarę odczuwała.

Ale działanie księżnej Galicynowej nie zamykało się w obrębie wpływów na własne, czy przybrane dzieci. Coraz przeważniejsze zajmowała ona stanowisko wśród skupiającego się wokoło jej potężnej osobistości towarzystwa. Jeśli przed swem nawróceniem ulegała wrażeniom odbieranym zewnętrznie i dała się kierować wpływom swego otoczenia, po wewnętrznym przełomie, który ją powalił u stóp krzyża, zmienił się stosunek i odmieniła jej rola, wysuwając ją na przewodnie miejsce. Ona odtąd jest duszą i głową koła wyborowego, które niebawem na całe zasłynie Niemcy. Dom jej, po dniu pracowicie spędzonym, co wieczór wypełnia się gronem bliższych i dalszych znajomych. Rozmowa płynie łatwo, dyskusya się ożywia, sypią gradem dowcipy, głębokie spostrzeżenia, ciekawe wiadomości. Niekiedy jeden z obecnych rzuci temat do piśmiennej czy słownej rozprawy, toczącej się następnego wieczora wśród ogólnego zajęcia. Filozofia, historya, nauki, sprawy bieżące, wszystko tu po kolei się przesuwa i odebrzmiewa. Księżna najczęściej sama dobiera jakie urywki do wspólnego czytania. I tak jednej np. zimy (1793) czyta zebranym u siebe gościom fragmenta Platona, przegradzając je rozmową pełną światła i życia. Pragnęła ona bowiem wpoić, mianowicie w młodzież, zamiłowanie tyle sobie drogiej starożytności. Całą duszą pochwalała ona i popierała reakcyę historyczną, którą po Stolbergu i Klaudiusie przeprowadził Goerres. W Chrystusie Panu upatrywała punkt środkowy, do którego wszystkie wypadki świata, tak poprzedzające przyjście Zbawiciela, jak po niem następujące,

skłaniają się i zwracają. Jeden Chrystus Pan jest kluczem, światłem, prawdą dziejów. Pogaństwo w tem co ma ono najlepszego, uderza rodzajem przeczucia chrześcijaństwa, sposobi drogi jego, przepowiada, do pewnego stopnia przygotowuje. Otóż księżna Amelia chętnie śledziła za temi zarodkami prawdy, rozsianymi wśród nocy przeszłości, szukała owych ziarn Bożych, o których wspominają Ojcowie Kościoła. Pragnęła uharmonizować w olbrzymim hymnie na chwałę Bożą wszystkie pienia, które na inną nutę zawodziła ongi starożytność, sławiąc Pana wszechrzeczy. Z upodobaniem zbierała ona płynące na fali wieków złote okruchy mądrości wiecznej, aby niemi obdzielać swych przyjaciół. Tą czystą nauką pragnęła zwalczyć mętne mrzonki spółczesnych pogan i sofistów.

Księżna spisywała nieraz własne myśli na pożytek swego młodego otoczenia; zostało po niej kilka rozprawek, których tytuły najlepiej treść określą: i tak np. jedna z nich spisana w formie rozmów „z dobrą matką naszą Amelią", przez młodych Droste Vischeringów, traktuje o wychowaniu, o celu wszelkich nauk i studyów. Inne rozprawki zastanawiają się nad cechami prawdziwej przyjaźni, najgłębsza z nich nosi tytuł: Miłości i prawdy. Ta, która tak usilnie prawdy szukała, a tak gorąco znalezioną umiłowała, jak wraz mogła się o tym odzywać przedmiocie. To też gorący powiew wionie z tych kartek. „Miłość uduchowniona jest spotęgowaniem żądzy zjednoczenia się z Umiłowanym. Miłość ta odpowiada głównej serca ludzkiego potrzebie i wymaganiu, które się przez całą wieczność wzmagać będzie... Ten, który kocha, przyciąganym bywa wielkim magnesem, zaczem nabiera w części tych magnetycznych własności, i choć już słabiej, ale znów ku sobie innych przyciąga". Miłość Boża, miłość bliźniego była główną dźwignią tej ognistej duszy. Niekiedy lękała się zbyt przyrodzonych serca swego popędów: „O Panie, daj, aby ta zdolność kochania, którą tak silną w sercu mojem złożyłeś, była dla mnie środkiem, nie zaś celem!" Na innem woła miejscu: „O Boże miłości, uczyń mnie zdolną do najwyższej ofiary, do wyrzeczenia się rozkoszy, jakiej doznaję czując, że jestem kochaną, abym przez to wyzucie z siebie, więcej jeszcze kochała!" Nastrój to zresztą ogólny w tej wyborowej społeczności monasterskiej. Hasłem jej właściwem były słowa Pisma św.: wypełnieniem Zakonu jest miłość. I Fürstenberg nie inaczej się

odzywa. Znamienity statysta niejako parafrazuje ów piąty rozdział z 3-ciej księgi o naśladowaniu Chrystusa, tak jednakiemi a płonącemi przemawia on słowy: „O miłości, miłości, ty jedna dajesz nam zapał ku dobremu!“

Miłość bowiem, jak była pobudką dla tych wszystkich dzielnych dusz, skupionych w około księżnej Galicynowej ku dobremu, tak stanowiła też spójnię ich związku. Nawet protestanci hołdowali tej, jak ją zwano *familia sacra*, która przedstawiała ideał życia pobożnego, duchowego. Monaster wyrósł na nowe Ateny w Niemczech, Ateny chrześcijańskie, odnawiające przykłady wzajemnej pierwszych chrześcijan miłości. To wybrane kółko zdawało sobie wybornie sprawę z wrzącej wokoło walki dobrego i złego, z antagonizmu wiary i niewiary, spotęgowanego w owej chwili. Świadomi niebezpieczeństw chwili i potrzeby obrony, nie gnuśnieli w jałowej przyjaźni i umysłowych tylko zabawach, ale tworzyli z siebie związek dobrego, przymierze święte, walcząc pismem, słowem, zamiarem, a najwięcej dobroczynnością i modlitwą. Naprzeciw waru nienawiści rewolucyjnych i wiru bałamuctw filozoficznych, *familia sacra* w monasterskiem zaciszu trwała w skupieniu, w pracy, w modlitwie, a nadewszystko w miłości.

Głównie ku temu ognisku ciągnęli ludzie jednakich przekonań: atoli powaga owego koła takiego w Niemczech nabrała wkrótce znaczenia, iż wszystkie spółczesne znakomitości, wiedzione uszanowaniem, czy ciekawością, przemykały się przez salon księżnej, ubiegały o przelotne z nią stosunki i znajomość. Olbrzym wieku, pogański Goethe nie mógł pozostać obojętnym na wdzięk podniosły monasterskiej akademii. Księżna poznała go w Weimarze jeszcze w latach swej młodości, a gdy poeta ujęty jej wyższością zapragnął z nią stałą zawiązać korespondencyę, cofnęła się przed tym zaszczytem, może dlatego, iż jak sama wyznała później: „Goethe był jedynym mężczyzną, który ją zentuzyazmował i serce jej wzruszył“. Po wielu latach, podczas burzy rewolucyjnej, w 1792 r., Goethe zawitał raz w gościnne progi księżnej. Poważna chrześcijańska matrona przyjęła serdecznie tego, którego niegdyś w Weimarze była poznała. Goethe kilka dni z rzędu zachwycał się życiem i rozmowami wyborowego kółka monasterskiego. O samejże księżnie tak się wyrażał: „Im bliżej się ją widzi, tem ją się bardziej uwielbia.

Rychło poznała, że świat nas zaspokoić nie może, że dusza musi cofać się w siebie i w społeczności kilku bliższych przyjaciół rozważać doczesne i wiekuiste zagadnienia. Potrafiła też dziwnie połączyć to, co przemija, z tem, co pozostaje. Znalazła pewność wiecznej nieśmiertelności w swej religii, która stwierdza i upewnia to wszystko, czego inne wyznania tylko przypuszczalnie spodziewać się pozwalają". Przez te dni pobytu w Monasterze, Goethe dostroił się do swego nowego otoczenia. Niczem nie uraził uczuć, przekonań i pojęć gorąco katolickiego grona. Zachwycał wszystkich świeżemi, a umiejętnie dobieranemi obrazami z dopiero co odbytej włoskiej podróży. Nosił się wówczas z myślą napisania Roku rzymskiego obejmującego w jednym poetycznym cyklu religijne i narodowe miasta wiecznego uroczystości. Księżna próbowała nieraz rozmowę naprowadzić na kwestye rozstrzygające o głównych zagadkach przeznaczeń człowieka. Goethe odpowiadał wymijająco, ale żadnem bluźnierstwem nie zamącił owych pogodnych dni, które zobopólnie miłe wspomnienie zostawiły tak wracającemu do Weimaru, jak i pozostającym w Monasterze. Kto wie, ażali wrażenia odebrane w tem kółku na wskróś chrześcijańskiem, nie wpłynęły stanowczo, jeśli nie na pogańską duszę Goethego, to przynajmniej na jego geniusz i natchnienie, które nigdy podnioślejszem nie bywa, jak gdy czerpie z chrześcijańskich źródeł. Po latach wielu Goethe odzywał się do znajomego: „Jakaś moc tajemnicza pociąga mnie ku tym naturom, szczerze katolickim, które szczęśliwe w swej niewzruszonej wierze i ustalonej nadziei, czynią dobrze dlatego, że to jest dobrem, i że Bóg tego od nas żąda. Podobne charaktery zdobywają sobie najgłębszy mój szacunek, a takiego uczucia zaznałem po raz pierwszy w obec księżnej Galicynowej i jej przyjaciół. Wszystko co dotyczy owej wyjątkowej istoty, wszystko co ją przypomina, wysoko mnie obchodzi".

Ale gdy Liga dobrego, coraz silniejszy związek katolickich monasterskich przyjaciół, mnożyła dobre czyny i usiłowania, przelotny gość domu ks. Galicynowej wracał w szranki wznowionego w około siebie humanitaryzmu, wedle nowoczesnej nazwy dla nowoczesnego pogaństwa. Autor niniejszej książki przeciwstawia życie w Weimarze życiu w Monasterze, tam igrzyska, uciechy, rozkosze, tu ćwiczenia pokutne, jałmużny, modlitwy. Szerokie owe przyrównanie streścić się da kilku słowami Ewangelii: „Zaprawdę wam powiadam,

iż będziecie płakać i lamentować, a świat się będzie weselił a wy się smęcić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci". Jakby ostatnim wyrazem odmiennych dróg, wązkiej i szerokiej, wartoby obok siebie zestawić ich koniec: rozpaczny zgon Goethego, któremu i w godzinę śmierci nie stało światła, z pogodnem zaśnięciem w Bogu księżnej Galicynowej, gdy w ostatnią noc życia, prosiła tylko o rychłe odprawienie mszy św. w jej pokoju, aby tem prędzej się połączyć ze Zbawicielem swoim; a gdy kapłan złożył w jej sercu i ustach Hostyę świętą, powtarzając słowa z przypadającej na ów dzień Ewangelii: „Maluczko a nie ujrzycie mnie, a zasię maluczko a ujrzycie mię. I wy teraz smutek macie, lecz zasię oglądam was, a będzie się radowało serce wasze: a radości waszej żaden od was nie odejmie", umierająca sześć do siedmiu minut pozostała w błogim po Komunii zachwycie, aby następnie z imieniem Jezus ducha wyzionąć, 23 kwietnia 1806 r.

Ale nie wyprzedzajmy biegu lat i zdarzeń. Przed tem wyzwoleniem z więzów ciała, różne jeszcze pociechy i próby czekały ową wybraną duszę, różne prace nasuwały się jej skorym do czynu dłoniom. Rewolucya francuska nowe znów dziedziny otworzyła jej dobroczynności. Cała fala emigracyi głównie ku Westfalii płynęła. Księżna z końcem r. 1796 wspomina że już przeszło 2000 księży francuskich prześladowaniem wypartych z ojczyzny, szukało i znalazło z kolei przytułek w okolicach Monasteru. Liczba ta wzrosła niebawem do 7000, rozpraszających się coraz dalej ku Wschodowi, ale o których radzić wypadało u wstępu do wygnańczego życia i tułaczki. Cała Westfalia wzruszyła się miłosierdziem na widok tylu niedoli, tak świeckich jak i duchownych. *Familia sacra* otaczająca księżnę głównie się zajęła losem nieszczęśliwych, śpieszono z pomocą, z ofiarą i jałmużną czynu i serca. Sama księżna objęła ster miłosiernych zachodów; w domu jej powstało istne bióro informacyjne, skład zasobów, trybunał rozstrzygający gdzie bardziej naglące potrzeby wołały śpiesznego ratunku. Minął czas pogodnych salonowych dyskusyj. Dzwonek żebrzących pociechy, czy pomocy, przerywał ustawicznie rozmowę. Ale też skuteczne zacnych usiłowań owoce mnożyły środki w ręku księżnej. Ona była duszą całej organizacyi miłosiernej, zszeregowawszy w około siebie całą szlachtę westfalską. Dwóch kardynałów, szesnastu biskupów, przeszło dwa tysiące ka-

planów znalazło schronienie w Westfalii przez czas trwania rewolucyi; nadto księżna stworzyła przytułek dla staruszków duchownych, niosła pomoc rozproszonym emigrantom świeckim, możnym paniom, które z pracy się własnej teraz utrzymywały, sprzedając ostatnie kosztowności, aby zakupić rodzinie chleb i opał konieczny. „Po raz pierwszy w życiu, cieszy mnie widok pieniędzy“, mówiła księżna zasmucona niedostatkiem środków w obec tylu potrzeb. Mnożyła też kwesty, dary i ofiary osobiste, nie skąpiąc ani sił, ani grosza, ani czasu. Wyparci wojną Trappiści belgijscy tu także schronienie znaleźli. Baron Droste Vischering oddał im swoje lasy do karczowania, aby następnie w nich założyć klasztór. Pierwsze drzewo, które powalonem zostało, ociosano na krzyż wysoki. Czterej bracia Droste sami nieśli aż na pagórek wyniosły owo godło zbawienia, a najstarszy Kacper, świeżo na godność biskupią podniesiony, uroczyście poświęcił krzyż w obec tłumów klęczących. I tak wygnany z jednego kraju znak zwycięstwa, w innym tryumfalne wyciągał ramiona, powtarzającem się nieraz Opatrzności dopuszczeniem, i koleją próby, która naprzemian krzepi lub doświadcza wiarę chrześcijańskich ludów.

Między emigrantami, którzy jak do portu zawijali w ciche miasta niemieckie, znalazła się i rodzina Noailles, i ta świętobliwa margrabina Montagu, której przed kilkunastu laty tak przedziwny pamiętnik rodzinny poświęcono we Francyi. Pani ta, anioł cnoty i miłosierdzia, godną była spółzawodniczką księżnej Galicynowej w jej posłannictwie miłosiernem. Choć sama wygnanka, czynnie wygnańcom służyła, a Opatrzność te dwie godne siebie dusze zbliżyła w jednym punkcie apostolskiej działalności. Obie miały się stać narzędziem ludzkim Bożego cudu dla duszy słynnego konwertyty, hrabiego Leopolda Stolberga. Dawna przyjaźń z księżną Galicynową wtajemniczyła rychło tę ostatnią w rozgrywający się w duszy przyjaciela dramat. Zrazu stosunki ich i rozmowy ogólniejsze traktowały przedmioty, aby coraz poufniejszą z czasem nabierać cechę. Dwojaki był powód ich częstego widywania się w Monasterze lub Eutinie. Pierwszy, osobiste ich usposobienie i stan wewnętrzny, tak moralny jak religijny, oraz skłanianie się państwa Stolbergów ku wierze katolickiej, drugi zaś, ogólne kwestye socyalne, polityczne i religijne epoki. W obec bieżących wypadków i stosunków, nie

możemy się oprzeć chęci przytoczenia listu hr. Stolberga do ks. Galicynowej z końca XVIII. w. „Nic ja dobrego nie wróżę, dla ostatnich lat tak zarozumiałego stulecia. Starajmy się przynajmniej użytecznie przejść przez życie; odrzućmy wszelki niepotrzebny balast, aby módz tem swobodniej i łatwiej pracować; ściskajmy mężnie szeregi w około sztandaru krzyża; w takim tylko razie potok szału i niewiary porwać nas z sobą nie zdoła".

Kiedy Stolberg pisał te słowa, nie zaliczał się jeszcze do synów Kościoła prawowitego, nie należał do Ligi dobrego. Przełom wewnętrzny nie odrazu w duszy jego nastąpił. Toczył się on rozważnie i powoli, trawił umysł i serce tak szlachetnie szukające prawdy, wespół z godną podobnego trudu towarzyszką. Księżna nie śmiała naglić, nie nalegała ani przyspieszała decyzyi. Budowała tylko i zachęcała przyjaciół swym przykładem, oświecała radą, krzepiła listami. Przekładano jej wątpliwości, na które odpowiadała z niezbitą logiką prawdy i wiary. Pani Montagu, gdy jej się Stolberg zwierzał z swem wahaniem, w milczeniu tylko przyklękała i modliła się za przyjaciela. Księżna odpowiadała, ale i modlić się nie przestawała. Wiedział o tem dobrze hr. Stolberg, i do najżywszej poczuwał się wdzięczności. Gdy go tak raz księżna zapewniała o ciągłej pamięci znajomych kapłanów we Mszy św., orędownictwie dziatek szkolnych, modlitwie zjednoczonej całego życzliwego mu monasterskiego koła, do żywego poruszony Stolberg odezwał się do jednego z Drostów: „Oby Bóg wysłuchać raczył modły wasze za nas, drodzy przyjaciele nasi. Myśl, iż tyle dusz oddanych Bogu błaga Go ustawicznie za nami, podnosi duszę moją, a zarazem dreszczem i trwogą mnie przejmuje. Jakżebym ciężko zawinił, gdyby osobiste niewierności moje zmarnować miały wierność tylu serc szlachetnych! Choć co wieczór nawykłem czytywać po kilka wierszy z Naśladowania Chrystusa, świeżo uderzyła mnie piękność tego tak krótkiego a głębokiego westchnienia: *Da quod vis et quantum vis et quando vis!* Jakże słodko jest sercem się łączyć z Tym, który jest wiekuistą miłością i powtarzać owe słowa, mogące służyć za modlitwę wśród zgiełku świata i interesów... Wiedziałem dobrze, mój drogi, z jak tkliwem uczuciem pamiętać będziecie o waszych przyjaciołach heretykach, na dniu uroczystości Najśw. Sakramentu. Jeśli dotąd pozostaję w błędzie, winien temu mój umysł, nie zaś serce, przepełnione

wdzięcznością. Co dzień błagam o ducha Bożego, któryby mnie powiódł ku Prawdzie. Niekiedy w myśli przystępuję do Stołu Pańskiego i wtedy modlę się gorąco o uczestnictwo w łasce Najśw. Sakramentu. Wierzę w Pana i wszystkiego się spodziewam od Tego, który wracał wzrok ślepym i nogi chromym prostował."

Hrabina Stolberg bliżej była wiary, aniżeli jej małżonek. Tego zaś, jak to sam pokornie wyznawał, wstrzymywały w ostatecznem zwalczeniu coraz to nowych wątpliwości, nie tyle przesądy rodowe i uprzedzenia w domu ojców zaczerpnięte, ile wpływy uniwersytetów niemieckich, podkopujących racyonalizmem wszelkie pozytywne religijne przekonania. Niekiedy już, już, przyjaciele cieszyli się i dziękowali Bogu za zwycięztwo światła i prawdy w duszy Stolberga, aliści nowe powstawały trudności, wahania, niepokoje. Kilka lat tak minęło w prawdziwem utrapienin i udręczeniu ducha. Aż tu naraz w maju 1800 r. hr. Stolberg przybył z żoną do Monasteru dla przepędzenia kilku dni u ks. Galicynowej. Właśnie przypadały wtedy święta Zesłania Ducha św. i uroczyste przypuszczenie dziatwy szkolnej do pierwszej Komunii. Pobożny ks. Overberg sprosił na tę uroczystość swych przyjaciół i spółpracowników, bez wyłączenia innowierców. Hrabia Stolberg dalekim się czuł jeszcze od powzięcia stanowczego postanowienia, a nawet nowe wątpliwości cofnęły go były z drogi zbliżenia się do prawdy katolickiej. Wtem, zaraz po Komunii tych niewinnych dziatek, kapłan zwrócił się do nich z prośbą o połączenie się w modlitwie na pewną ważną intencyę. Ledwo się zastęp dzieci przychylił ku temu życzeniu, nagły potok łaski oblał zaciemnioną dotąd duszę Stolberga. Wszystkie cienie jakby cudem się rozwiały, i z serca jego podniosło się *Credo*, obejmujące bez wyjątku całą katolicką naukę. Tak więc samąż nagłością owej przemiany Bóg chciał wskazać, iż nie zdziałały jej ludzkie namowy, ale raczej otrzymały modlitwy niewiniątek, stałe prośby przyjaciół, a zwłaszcza wierność łasce samego Stolberga.

O ile jednak ludzkie narzędzia wpłynęły na owo nawrócenie, tyle głośne w Niemczech, i tak w swych skutkach doniosłe, pierwsze miejsce przyznać w tem dziele należy księżnie Galicynowej. W jej też kaplicy domowej, na dniu 19 czerwca 1800 r., oboje hr. Stolberg złożyli wyznanie wiary w ręce ks. Overberga. Już w jesieni tegoż samego roku, zrzekając się wszelkich urzędów i dostojeństw,

nowy konwertyta przeniósł się do Monastern, aby w ciągłej społeczności z pobożnymi przyjaciółmi resztę życia oddać na usługę Kościoła i Prawdy, wchodząc w owo przymierze, słusznie nazwane Ligą dobrego.

Zaledwie owo koło tak silnym wzmocniło się żywiołem, aliści najazd wojsk pruskich, istny w Monasterze rozpoczął *Kulturkampf*, pierwowzór dzisiejszych zapasów. *Familia sacra* zdwoiła wtedy pracy i usiłowań, a hr. Stolberg zabrał się do napisania swego dzieła o historyi religii, przeznaczonego do szerokiego rozgłosu, a opracowanego w otoczeniu swych nowych przyjaciół.

Tymczasem księżna, jakby w przeczuciu bliskiej śmierci, coraz więcej się doskonaliła gorętszą modlitwą i liczniejszemi uczynkami miłosierdzia. Z pomiędzy wielu, wspomnijmy niektóre budujące jej praktyki. I tak co tydzień przynajmniej jednę noc czuwała przy chorych i ubogich. Około świąt Bożego Narodzenia nawiedzała z upodobaniem chaty, gdzie się nowonarodzone znajdowały dziatki, obsypując matki jałmużnami na cześć Najśw. Panny i Bożego Dzieciątka. Lud okoliczny zwał ją stale „dobrą, świętą księżną“. Po latach wielu opowiadano sobie jeszcze rzewne szczegóły jej miłosierdzia i dobroczynności. Wspominano tę postać drobną, pochyloną, zawsze w czarną aksamitną suknię przybraną, owe niebieskie oczy tak pełne litości; opisywano twarz chudą o męskim wyrazie, jasne włosy, czynność ustawiczną; dalej śmierć jej błogosławioną i złożenie do grobu dotąd kwiatami świeżemi zasłanego w części cmentarza przysądzonej ubogim, gdzie księżna ostatniem życzeniem spocząć chciała wśród swoich i ubogiego Chrystusa przyjaciół. Na grobie tym wznosi się krzyż kamienny z następnym napisem:

Poczytam wszystko za szkodę dla wysokiego poznania Jezusa Chrystusa Pana mego: dla którego wszystko postradał, abym Chrystusa zyskał. *Fil. III. 8.*

Takie były uczucia, takiem życie matki ubogich i zasmuconych Amelii hrabianki Schmettau księżnej Galicynowej.

Zwłoki jej spoczywają u stóp tego krzyża w oczekiwaniu chwalebnego zmartwychwstania.

Umarła 23 Kwietnia 1806 r., w 58 roku życia. Módlmy się za nią.

Na tem zamkniemy kartki poświęcone pamięci księżnej i świeżej jej biografii. Wycisnęliśmy z niej miód najlepszych szczegółów. Francya mnoży tego rodzaju biografie i pamiętniki, osobny posiadając talent ku wysnuwaniu, z ram prywatnego życia, wspomnień o szerszym zakroju i znaczeniu. Niemcy nie mają ani tej zdolności, ani tej zręczności w dobieraniu farb, rysów i zwierzeń. Przyrodzona suchość formy odejmuje wiele nadobności przedmiotowi, co i w niniejszej uderza księdze. Francuski autor byłby ją uczynił stokroć poczytniejszą i powabniejszą, uwydatniając poufniejszą stronę życia, a pomijając filozoficzne zboczenia. Ale jakże doniosłą i podniosłą musi być treść sama i przedmiot, skoro mimo niedostatku formy i opracowania, tak wiąże uwagę, rozrzewnia i chwyta za serce, a zwłaszcza duszę rozgrzewa i ku wyżynom prowadzi! Obecna mianowicie chwila, tocząca się walka religijna w Niemczech, nadaje tej księdze osobną wagę. Dzisiejsze poświęcenia, szermierki, ofiary i żarliwość walczących wypada odnieść, w znacznej części, do monasterskiej Ligi dobrego. Jeśli owe nadreńskie prowincye i Westfalia tak sumiennie dochowały skarbu wiary i wierności Kościołowi; jeśli duchowieństwo tameczne odznacza się karnością, a lud i szlachta na wskróś katolickim duchem i cnotą; jeśli szkoły i seminarya przysporzyły stamtąd tylu dzielnych na bieżącą walkę zapaśników, nie mało stąd zasługi policzyć trzeba na karb księżnej Galicynowej i jej przyjaciół, których nie wymieniliśmy wszystkich, bo przyszłoby nam chyba spisywać nieskończony poczet wszystkich wybitnych z owej epoki mężów. Podobne wzory i przykłady obfite bywają w zagrzewające do boju życia pobudki, niosąc z sobą oczywiste dowody, iż żadna dobra chęć ni uczynek nie marnuje się nigdy, ani ogranicza na samąż chwilę obecną, że trud i praca jednych pokoleń drugim prostuje ścieszki i drogi, i że najsłabsze nawet ręce mogą walne usługi oddawać sprawie ostatecznego tryumfu wojującego Kościoła. Pociechą zaiste w każdodniowym znoju, dźwignią w krótkiem życiu może być myśl, iż od nas zależy przyspieszenie zapanowania Królestwa Bożego na ziemi, i że dobra wola ludzka w połączeniu z wytrwałą modlitwą stanowi siłę rozstrzygającą o przeznaczeniach świata. *M.*

TRZECHSETLETNI JUBILEUSZ KONGREGACYI

„Sodalisów Maryi".

(Dokończenie).

II.

Za podstawę do oznaczenia liczby kongregacyj „Sodalisów Maryi" w Polsce, posłuży nam statystyka zakonu Jezuitów, który, jak wiadomo, na mocy bull i listów papieskich dzierżył wyłącznie kierownictwo duchowne tychże. W połowie XVIII. wieku liczył zakon cztery prowincye, wielkopolską, małopolską, mazowiecką i litewską, które stanowiły szóstą asystencyę a w nich 51 kolegiów, 18 rezydencyj i przeszło 60 domów i stacyj misyjnych. Szkół wszystkich średnich i wyższych, seminaryów i konwiktów 66 [1]. Przy każdej szkole istniała zawsze jedna, często dwie a nawet trzy kongregacye dla mniejszej i doroślejszej młodzieży szkolnej. Obok tego w miastach, jak Kraków, Warszawa, Lublin, Wilno, Poznań, Lwów, gdzie Jezuici oprócz kolegiów mieli rezydencye albo domy profesów, nie mniej w znaczniejszych wojewódzkich miastach, przy każdym kościele jezuickim istniały kongregacye dla rzemieślników, kupców i klas średnich, tak, że możemy z wszelką moralną pewnością liczbę kongregacyj maryańskich dla wiernych różnego stanu oznaczyć przynajmniej na drugie 100, a biorąc przeciętną cyfrę 100 członków w każdej kongregacyi, będziemy mieli w Polsce i Litwie przynajmniej 20,000 Sodalisów Maryi. Wszystkie te związki Maryi nie istniały bezczynnie, ale owszem miały swoje ustawy, odbywały pun-

[1] Zniesienie zakonu Jezuitów II. 4—7.

ktualnie swoje nabożeństwa i schadzki, oddawały się czynom miłosierdzia; słowem, żyły, ruszały się i działały. Mamy na to źródłowe a wielomowne dowody. Jedna z pierwszych kongregacyj u nas była zawiązana zaraz po ogłoszeniu erekcyjnej bulli Grzegorza XIII. kongregacya studentów w Wilnie. Historyograf litewski Rostowski, pod r. 1606, opowiedziawszy nagły rozkwit szkół wileńskich, tak, że wielu heretyckich rodziców syny swe z głośnej szkoły zwingliańskiej w Wilnie odbierali a do jezuickiej ich oddawali, pisze: „Dodawało bodźca młodzieży nabożeństwo do N. Maryi Panny; co najlepsi poświęcali się ślubem jej służbie i opiece polecali. Wybudowano niedawno kaplicę Sodalisów Maryi, z funduszów Franciszka Wessel, podkomorzego domowego króla Stefana“ [1]. Niebawem zawiązała się tam druga kongregacya szlachecka, posłuchajmy znów Rostowskiego; oto co pod r. 1607 powiada. „Podwójna była w Wilnie przy kolegium akademickiem kongregacya, złożona z przeszło trzystu sodalisów; jedna dla młodzieży akademickiej, w drugiej panowie przedniejsi, kilku biskupów, wielu kanoników i ci według swej zamożności kaplice sodalisów swemi darami wspaniale przyozdobili; akademicy zaś, samą swoją pobożnością kongregacyę w opinii ludu wysoko postawili. Byli między nimi, którzy szpitale odwiedzali, świadcząc chorym najniższe posługi; pościli w dni pewne, zwłaszcza w wilie świąt Maryi i inne podejmowali pokuty“ [2]. Podobne *sodalitia* jeszcze przed r. 1600 zawiązały się przy kolegiach w Brunsberdze, Płocku, Kaliszu, Lublinie i Jarosławiu. Najświetniejszą jednak była *Congregatio nobilium ad domum professam Cracoviae 1603 r.* [3].

Inicyatywa wyszła prawdopodobnie od O. Sawickiego, superiora św. Barbary, wprowadził ją w czyn Feliks Żebrowski, pedagog dwóch Zebrzydowskich, 17-letniego Jana starosty lanckorońskiego i bratanka jego, 16-letniego Mikołaja, starosty szadkowskiego; o czem

---

[1] Rostowski. Hist. lituanica Soc. Jes. (Wydanie Martinowa) 148. W Połocku już 1585 r. istniała studencka kongregacya sodalisów. (Rost. 327.)

[2] Tamże. 216.

[3] Ponieważ pierwotna myśl była umieścić dom profesów w budującym się (od r. 1597—1612) gmachu św. Piotra, przeto pierwsze oratorium tej kongregacyi było nad zakrystyą tegoż kościoła i dopiero 1612 r., gdy jenerał Aquaviva postanowił, aby dom profesów pozostawał na dawnem miejscu, przeniesiono kongregacye do oratorium nad zakrystyą kościółka św. Barbary. Comp. Miss. Congr. Nob. ad domum professam. S. J. Cracoviae str. 3.

tak pisze w swym dyaryuszu Wielewicki. „W listop. 1601 r. dano niejaki początek kongregacyi Wnieb. N. M. P. dla akademików i literatów. Feliks Żebrowski, niegdyś akademii wileńskiej teolog, bawiąc w Krakowie jako guwerner Jana Zebrzydowskiego, wojewodzica krak. i jego stryjecznego brata, pragnąc tych młodzieńców wiele obiecujących do pobożności zaprawić, porozumiał się z naszymi (Jezuitami) i począł zachęcać do niej wielu. Akademicy wzięli zrazu rzecz tę lekko, ale widząc, że ona coraz większe przybiera rozmiary, obrazili się wielce i usiłowali ją z gruntu wywrócić“ [1]. Kraków, będąc rezydencyą króla i dworu, wielu senatorów i przybocznej rady królewskiej, stolicą życia politycznego i umysłowego, do której panowie i szlachta, młodzież akademicka, w grodzie i palestrze pracująca tłumnie napływała — wydał się najodpowiedniejszem miejscem do kongregacyi szlacheckiej na wielkie rozmiary. Muczkowski a przed nim wielu literatów upatruje w tem jeden sposób więcej agitacyi jezuickiej wymierzonej na podkopanie akademii [2]. Istotnie jeszcze 1602 założył O. Sawicki przy pomocy Feliksa Żebrowskiego a za wpływem biskupa Bernarda Maciejowskiego i Wdy. Mik. Zebrzydowskiego bractwo akademickie, które w domu przy furtce ulicy św. Anny się zbierało [3]. Dzięki jednak zabiegom akademików bractwo to wnet się rozbiło, dopiero wskutek wysileń Żebrowskiego rozpierzchła gromadka połączyła się na nowo i zlała w kongregacyą „Sodalisów Maryi“ [4]. Że Jezuici chcieli wpływać religijnie na młodzież, to pewna, ani

---

[1] Diarii domus ad. S. Barb. MS. str. 205.

[2] Bractwa jezuickie i akademickie w Krakowie. Dwutygodnik literacki t. II. str. 161.

[3] Wielewicki. Hist. dom. ad S. Barbaram. „Hoc etiam mense (Januario 1602), generosus Dmnus Felix Zebrowski collata re cum P. Gaspare Sawicki, iterum confirmavit jacta et confirmata iam fundamenta Congregationis B. V. Assumptae. Et quidem P. Gaspar Sawicki tum apud Illssum Bernardum Maciejovium Eppum Crac. tum apud Nic. Zebrzydowski Palatinum negotium hoc promovit egregie, et coetus hujus congregationis habebant initium in domo lateritia ad portulam S. Annae sitam. MS. str. 206.

[4] Dum viderent Academici Cracov. conventum eorum qui Congregationi B. V. Assumptae initium dabant, omnia aliter quam in se erant explicantes, quod videlicet hoc praetextu scholae Societatis introducantur, ita 2 Julii 1602 hoc pium institutum impugnarunt, ut ex centum iis qui sodalitati futurae nomina dederant, vix viginti, manserint. Sed magnanimus Felix Zebrowski his omnibus ita ivit obviam, tum persvasionibus, tum aliis piis modis, ut postea ii, qui erant dispersi, redierint. Wielewicki MS. 210.

dziwić się temu nie można, ale i to pewna, że w założeniu kongregacyi szlacheckiej nie powodowali się ciasną, małoduszną rywalizacyą z Akademią; ludzie, jak Sawicki, Skarga, Grodzicki, którzy podówczas w Krakowie mieszkali, byli za nadto wielcy i mądrzy, aby się zniżać do takiej małości. Chodziło im o pomnożenie religijnego życia u króla i na dworze i w całej tej różnobarwnej mięszaninie szlachty i inteligencyi, która do stolicy kraju się cisnęła: wybornym do tego środkiem wydała się im *Congregatio Mariana*, więc ją też zaprowadzili. Pierwsi solidasowie Maryi rekrutowali się z akademickiej młodzieży, to prawda, ależ kongregacya w myśl Grzegorza XIII. przeważnie dla uczącej się młodzi erygowaną została; nie sami też akademii uczniowie, ale i skończeni już ludzie do niej zaraz z początku wstępowali. W oratorium nad zakrystyą nowego kościoła św. Piotra na ten cel przygotowanem i ozdobnie przystrojonem miał do młodzieńców, którzy z Janem i Mikołajem Zebrzydowskimi i ich pedagogiem Feliksem Żebrowskim zgromadzili się, kazanie ks. Gaspar Sawicki. Wyłuszczył w niem przyczyny, dla których *Sodalitas Mariana* założona. Poczem odprawiono mszę świętą i odśpiewano *Te Deum*, dziękując P. Bogu za przełamanie wielu trudności. Na d. 6 lipca t. r. dokonano pierwszych wyborów. Pierwszym prefektem kongregacyi został znany nam już Feliks Żebrowski, asystentami Jan Kwaśnicki, prof. akad. krak., Jan Zebrzydowski i Biesiekorski, pierwszym kapelanem i dyrektorem był O. Sawicki[1]. Przechowała się po dziś dzień księga wpisowa tej kongregacyi: *Album Sodalium Congregationis sub titulo Assumtionis B. Mariae V. erectae in domo professa Cracoviensi Societatis Jesu* i zaraz na pierwszych trzech stronicach znajdujemy imiona 54 pierwszych członków, u spodu napis: *Hi fuere primi, qui Cracoviae sub hoc vexillo Deiparae assumtae stipendia meruere.* Byli to przeważnie, jak wspomnieliśmy, studenci akademicy, kilkunastu profesorów akademii, lub stopnie akademickie posiadających mężów, jak Maciej Blosius, Jan Kwaśnicki, Maciej Tarcinas, Jędrzej Stefanides, Jan Bedoński, Wojciech Wolski, Tomasz Jabłoński, Wawrzyniec Dryński, Stanisław Daniecki a wreszcie kilku kanoników i prałatów: Tomasz Bucki doktor obojga prawa

[1] Coetus B. V. Assumtae 23 martii 1603 quae in dominicam Passionis inciderat in oratorio novi templi Soc. Jes. ad id praeparato et pulchre accomodato fieri coepti. Wielewicki Ms. 216.

i kustosz koleg. św. Michała, kapelan JKM., Józef Jozoila, prepozyt zebrzydowski ks. Swiniarski, kanonik kujawski i reformat O. Marcin Lochius.

Charakterystyczny jest wzrost i rozwój kongregacyi, nosi ona zawsze cechę dla uczącej się młodzi, ale, jak już wspomnieliśmy, poważni także wiekiem dygnitarze państwa do niej się wpisują. I tak w tymże jeszcze 1603 r. dnia 7 kwietnia wybrany prefektem ów zasłużony profesor akademii Jan Kwaśnicki, przybywa nowych członków 83, a między nimi biskup nominat łucki Marcin Szyszkowski, Jędrzej Opaliński biskup pozn., kanonik krak. Zdrojowski, referendarz koronny prałat Firlej, referendarz lit. później biskup wil. Eustachy Wołłowicz; akademii profesorowie: Albertus Mirovius i Krzysztof Squernovius.

Roku 1604 prefektem wybrany M. D. Jan Zebrzydowski wojewodzic krak. starosta lanckoroński, wicestarosta krakowski Rogoziński, przybyło nowych członków 58 między nimi: biskup krak. Bernard Maciejowski, Jakób Sobieski wojewodzic lubelski późniejszy kasztelan krak., kanonik krak. później biskup sufr. Tomasz Oborski, doktor medycyny Jakób Marianus i innych czterech akademików. R. 1605 wpisuje się 57 nowych sodalisów, między nimi biskup Maciej Pstrokoński kanclerz w. k., Marcin Leśniowolski. Roku 1606 przybywa 20, roku 1607 23 nowych, a między nimi kanonik później bisk. przemyski Stanisł. Sieciński. Roku 1608 wstępują: Jakób Maksym. Fredro, Stanisław ks. Czartoryski, Stanisław Lanckoroński, Jan Klemens Branicki miecznik w. k. i 33 przeważnie akademików. Roku 1609 przybywa 38, r. 1600 aż 101 nowych sodalisów, kilkunastu akademików, dwóch wojewodziców Koniecpolskich, dwóch Działyńskich, Gaspar został potem biskupem chełmińskim; prefektem jest kanonik wrocławski baron Jerzy Logau. R. 1611 przybywa nowych 75, prefektem Jakób Max. Fredro. R. 1612 nowych 111, między nimi 15 z stopniem akademickim, prefektem doktor filozofii i obojga praw Albert Mirovius. Roku 1613 d. 26 maja wpisuje się Jan Zamojski kaszt. chełmiński, a z nim do końca sierpnia nowych sodalisów 99, a potem czytamy łacińską notatę: „Podtenczas srożyć się poczęło w Krakowie powietrze morowe, dlatego zawieszono zwyczajne ćwiczenia kongregacyjne aż do 19 stycznia roku następnego“, w którym przybywa nowych 69,

między nimi przyszły biskup krak. Piotr Gembicki, Stefan Potocki, Stanisław Lanckoroński. Dnia 1 stycznia 1615 r. wpisuje się Mikołaj Zebrzydowski wojewoda krakowski, d. 1 września t. r. Józef Welamin Ruczkij (Rudzki) metropolita kijowski a z nim 98 innych.

Żeby nie nużyć czytelnika cyframi wspomnę tylko wybitniejsze osobistości sodalisów. Dnia 12 kwietnia 1618 wpisuje się król Zygmunt III. a za jego przykładem d. 16 kwietnia t. r. królowa Konstancya, d. 13 t. m. królewicz Władysław Zygmunt [1]. Jakaś niesumienna ręka wyrwała trzy karty, na których herby królewskie i własnoręczne podpisy były umieszczone. Gorszą się niektórzy literaci tą pobożnością Zygmunta III. i królów naszych, zapominają, że w wieku XVII. niemal wszyscy cesarze i królowie, jak to opowiedzieliśmy wyżej, na liście sodalisów imiona swe kładli i szczególną ją czcią otaczali. Jeszcze w 1605 r. nie będąc sodalisem odwiedził król Zygmunt III. z królową Konstancyą, arcyksięciem Maksymilianem i arcyksiężną Maryą, Oratorium Sodalitatis. Słuchał mszy św. i serdecznych powitań młodzieży, arcyksiężna zaś Marya uprosiła sobie jako drogi upominek misternie zrobiony obraz św. Kazimierza, ofiarując w nagrodę za to 50 dukatów na ozdobę oratorium [2]. Cóż w tem zresztą antikrólewskiego albo antinarodowego? Azali cześć N. Maryi Panny nie była obowiązkiem dla monarchów katolickich, ażali nie była znamieniem dla narodu polskiego? Nie mierzmy minionych wieków poczuciem naszego bezreligijnego stulecia i nie sądźmy że nasz indyferentyzm i niewiara jest czemsiś arcymądrem i wielkiem, bo dowód to tylko ubóstwa duchowego i obniżenia się wyższych moralnych uczuć.

R. 1624 wpisuje się do albumu sodalisów *Serenissimus prin-*

---

[1] Na str. 66 tej księgi czytam: Eodem praefecto A. R. Nicolao Taranowski Can. Crac., Serenissimus ac Potentissimus Dominus Dominus noster clementissimus Dominus *Sigismundus III.* Rex etc. Albo hoc Sodalium diligenter inspecto et pietate illorum in Deiparum collaudata Nomen quoque suum Sodalitati huic nostrae dedit et Albo isti inscribi mandavit. Warsaviae anno Domini MDCXIX. Die XII. Aprilis.

Cujus exemplo idem fecêre Srnissma ac Pientissma *Constantia* Regina etc. Ibidem, anno eodem. Die XVI. Aprilis.

Sernssmus Princeps *Vladislaus Sigismundus*. Ejusdem Srnssmi Regis Filius. Ibidem, anno eodem. Die XIII. Apr.

[2] Comp. hist. Congr. str. 8.

ceps, książę Jan Baptysta Ottoman, syn Machmeta III. cesarza Turków, stryj Osmana, który pod Chocimem przeciw Polsce wojował, brat Mustafy. Ten będąc tajemnie ochrzczony w obrządku greckim dostał się pod opiekę wielkiego księcia etruskiego (na dwór florencki Medyceusza Ferdynanda) i razem z jego synami w wierze katolickiej wychowany. Dzięki łaskawości papieża Pawła V., cesarza Rudolfa II. i króla hiszp. Filipa III. podejmowany wszędzie z czcią należną. Przez jakiś czas pod obcem nazwiskiem i przebrany bawił w Krakowie, w oratorium sodalisów przystępował często do sakramentów św. a wreszcie wpisał się własnoręcznie do ich albumu [1].

W rok potem 1625 d. 21 lipca wpisuje się do księgi sodalisów po grecku zielonym atramentem: „Porfirius Paleolog, konstantynopolitańczyk, z łaski Bożej arcybiskup Primae Justinianae de Ochrida, Bułgarii, Serbii, Albanii, drugiej Macedonii i t. d. to jest Góry Synai Georginianow czyli Weryi arcybiskup Patryarcha". Tuż po nim w chaldejskim języku podpisany „Jeremiasz najpokorniejszy metropolita z Dirachium". „Obydwaj ci powracając z Rzymu, gdzie Urbanowi VIII. posłuszeństwo złożyli, zatrzymali się w Krakowie i do sodalisów Maryi wpisali się" [2].

W tymże czasie 1624 r. 29 maja wstąpił do kongregacyi sodalisów nuncyusz papieski Jan Baptysta Lancillottus; r. 1625 Stanisław Kiszka bisk. żmudzki, Jan Lipski regent kancelaryi król. potem prymas; r. 1627 nuncyusz kardynał Antoni Sanctacrucius, bisk. sufr. wileński książe Sanguszko Hieronim. R. 1628 „Atanazy Venierés, Greczyn arcyb. Imbrii, za staraniem Urbana VIII. i chrześcijańskich panów na patryarchat konstantynopolitański przeznaczony, *legatus natus* Tracyi i Macedonii, radca tajny konst. patryarchy, wizytator biskupów i arcybiskupów i t. d." Podpisał się własną ręką po grecku, a razem z nim sekretarz jego Jakób, syn Jerzego Sifnios; r. 1629 zostaje sodalisem Jeremij Korybut Wiśniowiecki wojewoda ruski z synami Aleksandrem i Jerzym wcześnie zmarłymi; r. 1631

[1] Podpis ten brzmi: Dnia 21 marca (trzy słowa po turecku) Sultan Zachia (?) princeps Ottomanicus, Sultan Meemet tertii; Deiparae fidelis famulus 1624 vicesima prima die martii, oretur pro me qui Christum indutus, nunc Simeon vocor ἀλέξανδρος comes de Montenigro vulgo dictus. str. 87.

[2] Str. 92.

nuncyusz Honorat Vicecomes (Visconti). W r. 1635 znajduję w albumie sodalisów panią Konopackę kasztelankę chełmińską z trzema córkami; potem przerwa lat dziewięciu, spowodowana jakiemiś wewnętrznemi nieporozumieniami, najprawdopodobniej chwilową niełaską Władysława króla. Dopiero 1644, na prośby wielu osób zacnych a pobożnych, pozwolił jenerał Jezuitów Muciusz Viteleschi na ponowne otwarcie kongregacyi; wpisuje się pierwszy książe Kazim. Czartoryski kanonik krak., później biskup kujawski; za nim hetman w. k. Dymitr Wiśniowiecki; r. 1645 wojewoda bełzki Konstanty Wiśniowiecki, Zygmunt Słuszka wojewodzic trocki; r. 1649 Michał i Karol, książęta Czartoryscy. Wojna szwedzka r. 1653 spowodowała przerwę lat siedmiu w czynnościach kongregacyi; dopiero r. 1660 Łukasz Opaliński marszałek n. k. rozpoczyna szereg sodalisów, ale już w dwa lata potem r. 1662 znajduję w albumie zapiskę: „Zawieszoną znowu została kongregacya maryańska na lat 5 już to z powodu dwukrotnego morowego powietrza, już to dla nienawiści i prześladowania ludzi złośliwych. Dopiero WO. Stanisław Wapowski, przełożony domu profesów, za rządów JOJMCI księdza Jędrzeja Trzebickiego, bisk. krak. księcia siewierskiego, sodalisa niegdyś tej kongregacyi, wskrzesił i odnowił pobożność do NMP. na większą chwałę bożą w wrześniu 1667 r.“ Tenże sam biskup Trzebicki przyjmuje urząd prefekta sodalisów, wpisuje się 42 nowych członków z szlacheckiej młodzi i księży. R. 1668 bisk. sufr. Oborski prefektem; po nim aż do r. 1681 piastują ten urząd Jan na Tęczynie Opaliński podczaszy w. k., kanonik krak. Józef Zebrzydowski, Stanisław Skarszewski kaszt. wojnicki, Gaspar Cienski, kanonik krak. „R. 1669 d. 3 grud. w uroczystość św. Franciszka Ksawerego JKM. król Michał zwiedziwszy kościół św. Barbary i dom profesów, wstąpił także do oratorium sodalisów i imię swoje w ich album własnoręcznie napisał“ [1]. W dwa lata potem r. 1671 wpisuje się własną ręką obok królewskich insigniów „Eleonora Regina“, arcyksiężna austryacka, *żona króla Michała*, a za jej przykładem Jan Klemens hr. na Ruszczy Branicki marszałek n. k. Stanisław Piegłowski starosta uścieński, Jakób Szczaniecki kaszt. inowrocławski; r. 1675 kan. krak. Jerzy Denhoff. Od r. 1714—1721

[1] Comp. Hist. Congr. BVM. str. 29.

kongregacya zawieszona dla wojen domowych; druga taka przerwa od r. 1748—52 i trzecia od r. 1753—1757. Już żadna wybitniejsza osobistość w tem 50-leciu nie zapisuje się do albumu; młodzież szkolna, coś trochę szlachty majętniejszej i księża, a w roku 1733 spotykam szereg chłopów i rzemieślników niemieckich z Bawaryi, Czech i Austryi: Lenkhardów, Kuchmannów, Friedrichów, Hinterów, Hinterkretzerów, Rosnerów, Bustów, Langów, Pletzerów i t. d. i kilka nazwisk niewieścich: jak Szczypowska, Szpinka, Abrahomowiczówna. Kongregacya, jak wszystko w Polsce w tej smutnej epoce, chyliła się widocznie ku upadkowi; w ostatniem dziesięcioleciu od r. 1763—1773 zaledwo 18 nowych członków zapisano.

Obok kongregacyi dla szlachty istniała przy tymże domie profesów druga kongregacya NMP. Zwiastowania, założona 1619 r. dla obywateli miejskich i rzemieślników, połączona z bractwem św. Barbary, istniejącem oddawna przy kościele tejże nazwy. Dzisiaj razi nas może ten przedział między szlachtą a nieszlachtą w stowarzyszeniach nawet religijnych. Wtenczas nie raziło to nikogo, owszem taki przedział wydał się ówczesnym pokoleniom koniecznym, bo na nim opierał się ustrój polityczny i społeczny; było zresztą tak we wszystkich innych krajach, a wynikało także z różnicy wykształcenia umysłowego, którego nieszlachta nie posiadała wcale, albo bardzo niewiele. Mam pod ręką rękopiśmienną księgę ustaw tej nieszlacheckiej kongregacyi; przytaczamy je w nocie dosłownie, bo one wymowniej jak wszystkie komentarze świadczą nietylko o pobożności, ale o moralno-socyalnej doniosłości kongregacyi[1]. Widzimy

[1] *Leges Congregationis B. V. Mariae natae et S. Barbarae Cracoviae 1619.* Których Pan Bóg na większą chwałę Imienia Swego, do teij Congregatieij pod Opiekę Naświętszeij Pannij zgromadzić raczijł, pomnieć na to Vstawicznie maią przed obliczności Boskiego Maiestatu, isz zbawieniu Swemu, ij pobożnemu żywotowi ij powinnym cnotom Chrześcianskim osobliwie służącz, duchowną pomoc sobie ij Czeladce swoieij y inszijm, pod sprawą, ij nauką Oijców Societatis Iesu, wedle tych ustaw dawać zawsze będą.

1° Na początku swego do Congregatieij weścia, każdij Spowiedz swą vczijni ze wszystkiego swego zywota, iesli ieij pierwij nie czynił; abo więcz od Ostatnieij Spowiedzi powszechneij, przed Kapłanem naznaczonijm, a potym spowiadać się temuz będzie, y do Naswiętszego Sakramentu póijdzie na kazdy Miesiąc, we wtórą Niedzielę, chijba, zebij iakie Swięto do Communieij należące na on Miesiącz, przypadało także y na Swieta Panny Mariey vroczyste y Pana naszego wielkie ij na dzień S. Barbary.

z nich, że obowiązki sodalisów Maryi nie ograniczały się tylko na pewnych praktykach religijnych, ale wnikały w życie, moralizowały obyczaje, zaprawiały do czynów miłosierdzia, słowem cywilizowały po bożemu.

Za temi ogólnemi ustawami następują przepisy szczegółowe, czyli „powinności tak Praefecta, albo Starszego jako thesz inszijch Oficialistów *Congregatieij Najświętszij Panny* Narodzoneij przy ko-

---

2° Kazdego Poranku Mszy Swięteij wysłucha, chybaby praca gwałtowna nie dopuszczała mu tego, iednak pięc pacierzy, y pięć zdrowych Marieij, przed naświętszym Sakramente, możeli bydz, na kazdy dzień zmówi, prosząc Pana Boga za Kościoł iego Swiętij, za naywyszego Pasterza, za ludzie w grzechach leżące, za dusze w Czyściu y za Bracią teij Congregatieij, tak zywe iako y vmarłe. A w kazdy Wieczór swe Sumienie rozbierze.

3° Na kazdą Niedzielę y Swięto koronkę Pannij Marieij zmówi abo officium. Zwyczai się też w takowe dni Swięte wczas przychodzić zawsze do Oratorium, y rozmyślanie o rzeczach Niebieskich czynic ij napominania albo czytania Duchownego słuchać, ostatek czasu co go zbywa od nabożeństwa kościelnego trawić w nawiedzeniu Szpitalów, więzniów y inszych mieysc poboznych a ieślibij kiedy dla wielkiey przyczyny niemógł przybijć na schackę oznaymi to pierwey Starszemu abo Decurionowi.

4° W domu swijm także y w któreij mieska komorze obraz iaki nabozny swięconą wodę y ksiąskę duchowną mieć będzie. Do stołu przezegnanie pokarmu, potym y dziękowanie z przystoynemi paciorki vczyni, staraiąc się o to zeby nieinaczey w domu swym wszyscij do brania pokarmów przychodzilj. Takze y Naukę Chrześciańską vmiec y do teyze swych prowadzic będzie.

5° Wiarować się pijaństwa będzie, y gry nieprzystoyney albo kosterstwa na Mieyscach pospolitych, słów niecnciwych, złego towarzystwa, pogorszenia y wszelakiego niesłusznego zysku.

6° Oycu Duchownemu Przełożonym Congregatiey y inszym Vrzędnikom przystoyną Vcciwość y posłuseństwo oddawać będzie, z Bracią w miłości a w pokoiu besz wszelakiey niezgody zachowa się, a wszystkich innych przykładem dobrym y rozmową łaskawą do żywota poboznego y do SS. Sakramentów częstego vzywania przywodzić niech vsiłuie, zwłascza z którymi sprawę iaką y towarzystwo miewa y handel wiedzie.

7° Gdy kto z Braci w niemoc abo frasunek wpadnie za oznaymienie Starszego nie tylko ma bydź taki od wszystkich Panu Bogu przez modlitwy zalecony, ale tesz dla pociechy nawiedzony y poratowany; a iezliby z tego Swiatha zszedł, wszyscy ile zabawy komu dopuszczą ciało iego do grobu zaprowadziwszij Mszy S. za iego dusze czasu wolnego wysłuchaią y trzij koronkij zmówią y Officium defunctorum całe. A na każdy Miesiąc w Niedzielię po S. Communieij Officium za Vmarłe, mówić będą po ieden Nocturn.

Te Vstawy nie obowiązuią nikogo do grzechu, wszakze niech kazdy zwyczai się do ich pełnienia, dla swey v Pana Boga przysługi.

A. M. D. G. B. M. V. H.

ściele św. Barbarij r. p. 1619", które tu wspominamy tem chętniej, że z nader małemi zmianami były one wspólne i szlacheckim i studenckim kongregacyom w dawnej Polsce. Ustawy te zatwierdzone podpisem własnoręcznym ówczesnego prowincyała: *Joannes Argentus Provincialis.* Za temi idą „powinności Assesorów albo Assystentów, Sekretarza, Podskarbiego, Oeconoma, albo Prowisora, Decurionów, albo Consiliarzów, Instructora nowych Braciey, Czijtelników, Chór trzymaiących, albo Cantorów, Wizitatorów chorych, Odzwiernych, Zakrystyana". Dalej: „Consuetudines albo sposób zwyczajny odprawowania nabożeństwa Congregatiej Najśw. Bogarodzice przy kościele św. Barbary, Tak na początku jeij założenia jako ij potomnemi czasy wprowadzoneij ij zgodnie przyięthej". Odmawiano w kaplicy kongregacyjnej najprzód małe *officium de Beata,* czytano medytacyę i książkę duchowną, a po litanii loretańskiej Msza św. i exhortacya, wreszcie zwyczajna modlitwa ślubna Sodalisów do N. M. Panny[1]. Zamykają tę księgę: „Dekreta albo declaratie ustaw congregatiej Naśw. Bogarodzice Narodzenia od P. Praefecto z PP. Assesorami i Ojca Congregatiej uczynione". Idą one porządkiem lat od 1619 aż do r. 1743, ale z znacznemi przerwami. Nie potrzebujemy wspominać, że w podobny sposób jak kongregacya krakowska z 1699 r. uorganizowane były wszystkie inne kongregacye po całej Rzpltej rozrzucone; *ex una disce omnes.*

Ażeby zachować w swoich wyłącznie rękach duchowny wpływ na młodzież akademicką, zawiązali akademicy z rektorem Najmanowiczem na czele 1621 r. *Oratorium pietatis academicum.* Byłoto bractwo Różańca św. na stopę kongregacyi maryańskiej przykrojone; tylko młodzież akademicka i profesorowie mogli doń należeć. Wspólne odmawianie różańca, wspólne nabożeństwa i zebrania odbywały się najprzód w kapitularzu OO. Dominikanów, z któremi akademia jagiell. od r. 1450 w filadelfii zostawała, tak, że OO. Do-

---

[1] *Formula Sodalium Beatissimae Virginis Mariae. Sancta Maria Mater Dei et Virgo, Ego Te hodie in Dominam, Patronam, et Advocatam meam eligo, firmiterque statuo ac propono, me nunquam Te derelicturum, neque contra te aliquid unquam dicturum, aut facturum, neque permissurum: ut a meis subditis aliquid contra tuum honorem unquam agatur. Obsecro Te igitur; suscipe me in servum perpetuum: adsis mihi in omnibus actionibus meis: nec me deseras in hora mortis meae, Amen.*

minikanie mieli prawo otrzymywania stopni akademickich, profesorowie zaś i uczniowie akademii, zwłaszcza wpisani do bractwa Różańca św., przypuszczeni bywali do zasług zakonu [1]. Po siedmiu latach komornego u Dominikanów, przeniesiono *academicum oratorium*, do nowego kościoła św. Michała (teraz tam sąd i więzienie) i oddano pod duchowny kierunek OO. Karmelitów bosych, którzy też nietylko członków oratorium, ale i całą akademię do uczestnictwa w zasługach zakonu swego przypuścili i szkaplerz Matki Boskiej nosić im kazali. I znowu wspólne modlitwy, nabożeństwa i procesye, częste sakramenta, pokutne uczynki i czytania ksiąg pobożnych, należały do głównych obowiązków oratorii. Koło r. 1646 umieszczono oratorium w dzisiejszym amfiteatrze świeżo wybudowanej szkoły Władysławo-Nowodworskiej, przy ulicy św. Anny i dopiero r. 1786 na żądanie rektora akademii, ks. Kołłątaja, który oratorium uważał za „zabytek ciemnoty", zwinięto je i przeniesiono jako bractwo akademickie do kościoła św. Anny, kaplicę zaś przemieniono na amfiteatr szkolny [2]. Opowiadając to Muczkowski w swym szkicu: „Bractwa jezuickie i akademickie" dodaje: „Był to najzgubniejszy krok oświaty narodowej, przezeń bowiem do uniwersytetu, który przedtem aczkolwiek z duchownych profesorów w znacznej części złożony, swą umysłową siłę w czerstwości utrzymywał i krzepił, wkradać się począł d u c h z a k o n n y, który jagiellońską szkołę, tę niegdyś czystą, zdrowej i gruntownej nauki krynicę, zamienił z czasem w mętny stek ciemnoty i zepsutego smaku" [3]. W innej pracy wykazaliśmy przyczyny upadku akademii krak ; rozpoczął on się na wiek cały przed powiewem onego d u c h a z a k o n n e g o, a rozpoczął się z przekwitem humanizmu i przybyciem do nas wirtemberskich nowinek [4].

Nadmienić jeszcze wypada o kongregacyi Sodalisów w Warszawie, a miała ona swoją odrębną cechę i nosiła nazwę „królewskiej kongregacyi Niep. Poczęcia Maryi". Dzięki staraniom hiszpańskiego Filipa IV. wydał r. 1617 Papież Paweł V. dekret, zabraniający pod karą cenzur kościelnych wszelkich publicznych wystąpień na

[1] Dwutyg. liter. I. 167—173.
[2] Dwutyg. liter. 1. 196—202, 227, 233.
[3] Tamże str. 166.
[4] Czy Jezuici zgubili Polskę? Rozdz. IV.

ambonie lub szkole przeciw Niep. Poczęciu N. M. P. Zakaz ten ponowił Grzegorz XV. r. 1621. Odtąd w Hiszpanii poczęto obchodzić z wielką uroczystością dzień 8 grudnia; kapituły, akademie i bractwa zobowiązywały się osobnym ślubem, iż krwią swoją własną bronic będą przywileju Niep. Poczęcia Maryi. Pobożny ten zwyczaj z Hiszpanii przeszedł do innych krajów, mianowicie do Polski, gdzie król Władysław IV. nosząc się z myślą zawojowania Turcyi, ustanowił 1634 zakon rycerzy Niepokalanego poczęcia Maryi, który wszelako dla niechęci szlachty, troskliwej o swą równość, nigdy się nie rozwinął. Pod tem też wezwaniem założył król jedno bractwo w Krakowie, przy kościele OO. Reformatów, i chciał, ażeby „królewska kongregacya“ sodalisów w Warszawie także ku czci Niep. Pocz. Maryi erygowaną była. O czem tak pisze Rostowski: „Pobożność Władysława króla była budującym przykładem dla obywateli w założeniu *Sodalitatis Marianae* w Warszawie przy kościele Societatis. Wraz z królem wielu pierwszych dygnitarzy swe imiona wpisało tak, że potrzeba było rozdzielić kongregacyę na trzy części, polską, niemiecką i włoską, stosownie do narodowości dworzan pańskich. Początek kongregacyi dano 1 stycz. 1642. O. Jerzy Schoenhoff doktor teologii i teolog nadworny królowej Cecylii, wyłuszczył w kazaniu znaczenie i ustawy sodalisów w obecności króla, królowej i nader licznego dworu. Pierwszy swe imie podpisał król Władysław, przyrzekając, że tej królowej będzie wiernym sługą, a jej Niepokalanego Poczęcia, że gotów jest krwią swoją bronić. Potem królowa, bracia królewscy, Jan Kazim. i Karol Ferdynand i siostry Katarzyna i Konstancya, prymas i biskupi, senatorowie i inni dygnitarze tymże ślubem się zobowiązali, wpisując swe imiona do album z wielką swoją pociechą i zbawiennym pożytkiem“. W kilka lat potem, 1645 r. „odwiedził król (Władysław) z liczną świtą kościół (Sodalitatis regiae), byli tam: nuncyusz papieski, posłowie zagraniczni od cesarza, króla Francyi i Rzpltej weneckiej. Do zgromadzonych miano kazania w polskim, włoski, niemieckim i francuskim języku. Prezesem sodalisów wybrano nuncyusza. Poślubiona niedawno (w czerwcu) Władysławowi, królowa Marya Ludwika z domu Gonzagów, czcicielka swego rodaka św. Alojzego, odwiedziwszy w dzień jego kościół nasz, polecila Polakom tego Świętego“ [1]. Były to więc jakby

[1] Rostowski. Str. 332—341.

publiczne narodu całego śluby, bronienia czci i honoru Maryi, broniąc jej najpiękniejszego przywileju. Odtąd prawie wszystkie nowe powstałe kongregacye, studenckie zwłaszcza, wiązały się pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Maryi; odtąd też w niejednej książce do modlenia spotkałeś obrazek Maryi, na którego odwrotnej stronie pobożny sodalis Maryi krwią własną wypisywał, że jest jej sługą i jej honoru życiem swoim bronić będzie; odtąd też ugruntowała się w społeczeństwie polskiem cześć dla sodalisów Maryi i ona rzewna, głęboka pobożność do Matki Bożej, która stała się jego charakterystyką narodową.

Z kasatą jezuickiego zakonu 1772 r., usuniętą została kongregacyom Maryi walna podpora. — Nie ustały one całkiem, ale upadały powoli. Zrazu ex-Jezuici nauczali po wielu szkołach, i podtrzymywali jak mogli znaczenie i kwitnący stan kongregacyi. Co roku topniały ich szczupłe zastępy a na ich miejsce przybywali nauczyciele świeccy z ramienia komisyi edukacyjnej, niekiedy ex-księża i wykapturzeni mnisi, którzy nie rozumiejąc ducha kongregacyj, pozwolili im upaść zupełnie. Blisko 40 szkół średnich zostawało aż do r. 1830 pod zarządem OO. Pijarów; ci zaprowadzili wśród młodzieży szkolnej *Sodalitatem Marianam*, ale nadali jej kierunek bractwa kościelnego. Sodalisi pijarscy rekrutowali się bez wyboru z młodzieży V. i VI. klasy, z klas niższych tylko uczniów celujących przyjmowano, ale oprócz wspólnych nabożeństw w kościele i nader uroczystej procesyi w dzień N. M. Panny łaskawej, nie mieli oni nic wspólnego z dawnymi starej daty sodalisami.

A w innych krajach? *Sodalitia Mariana* wegetowały nad Renem i w Bawaryi, jako zwyczajne bractwa kościelne — co się stało z niemi gdzieindziej, nie umiem powiedzieć; to pewna, że stan ich nie był kwitnącym. Wynikało to z natury rzeczy. Będąc dziełem, dekretami papieskimi wyłącznie Jezuitom przekazanem, kongregacye maryańskie, po zniesieniu tego zakonu, nie mogły mieć jak tylko egzystencyą wyżebraną.

Roku 1814, bulla Piusa VII. przywróciła światu katolickiemu Towarzystwo Jezusowe, a z niem i kongregacye wskrzeszone tam, gdzie Jezuici szkoły swe otworzyli. A więc istnieją one od r. 1814—1860

we Włoszech, od 1814 po dziś dzień w Hiszpanii i Anglii; od r. 1830 w Belgii i Holandyi; od 1814—1880 r. z małemi przerwami we Francyi, od 1820—1848 i znów od 1853 po dziś dzień w Austryi i Węgrzech [1]; nareszcie w obojej Ameryce, Australii, Chinach, Bejrucie i Konstantynopolu; słowem wszędzie, gdzie istnieją publiczne szkoły albo konwikty jezuickie, istnieją obok nich kongregacye maryańskie dla uczącej się młodzi. Tak np. w kolegium jezuickiem w Monasterze do r. 1872 istniała kongregacya akademicka, licząca przeszło 250 sodalisów; młodzi ci ludzie z koronką i świecą w ręku przechodzili ulice i place w publicznej procesyi, odznaczali się pilnością w naukach i czystością obyczajów. Mam pod ręką album sodalisów Maryi katolickiego uniwersytetu w Lowanium, pod wezwaniem Oczyszczenia N. M. P. z r. 1883—1884. Dyrektorem sodalisów Jezuita, ks. Castelein, prefektem Karol D'Hondt, dwóch asystentów i 15 konsyliarzy — liczba sodalisów 784, między nimi znakomitsze imiona: de Clerq René, de la Vallé-Poussin, de Ludekerke, de Limburg-Stirum, de Villermont, d'Ukedem, du Parc, du Roy de Blicquy, du Val de Beaulieu, Rotsart de Hartaing, van de Walle i t. d. Z tych 784 należy do wydziału prawniczo-filozoficznego 324, do medyczno-naukowego 402, do szkół specyalnych 58. Przed pięciu laty, t. j. 1878 r. liczono tylko 468 sodalisów [2].

Dzisiaj gdy to piszę, liczyć można na świecie całym przeszło 100 kongregacyj maryańskich a w nich do 30,000 sodalisów, tak, iż prawdą są słowa breve Leona XIII., z d. 27 maja 1884 r., że *Frugiferas inter prima primaria Sodalitas Mariana* takie przybrała rozmiary... że i teraz po wszystkich świata stronach, morzem i lądem przedzielonych przyłączone do niej kongregacye istnieją".

---

[1] W Galicyi były Sodalitia Mariana studenckie od 1822 do 1848 r. w Tarnopolu, Nowym Sączu i we Lwowie. Od r. 1872 po dziś dzień przy konwikcie w Tarnopolu. W Austryi w obecnej chwili istnieją, o ile wiem, kongregacye Sodalisów w Kalsburgu pod Wiedniem, w Lincu, w Mariaschein w Czechach, w Tarnopolu w Galicyi i w Feldkirchen w Gorycyi.

[2] Sodalité des Etudiants de l'Université Catholique érigée à Louvain sous le titre de la Purification de la Très-Sainte Vierge Marie. Année académique 1883—1884, XLIV de la Sodalité. Bruges 1884.

Na wzór kongregacyi Maryańskiej założyły Siostry Najśw. Serca Jezusowego (Sacré-Coeur) w Lyonie 1831 kongregacyą „Dzieci Maryi“, pod wezwaniem Niep. Poczęcia, nietylko dla panienek swego pensyonatu, ale i dla dam wyższego świata, jak znów dla klas pracujących i uboższych zaprowadziły „kongregacyą Pocieszycielek Matki Bożej Bolesnej“. Kongregacya „Dzieci Maryi“ ma na celu „połączyć młode osoby w pobożności wychowane i zachęcić je do życia wśród świata podług zasad chrześcijańskich i przepisów Kościoła“ [1], a więc własne udoskonalenie i rozszerzenie dobrego wpływu na otaczające bliższe i dalsze sfery społeczne. Oto cel, środkami do niego modlitwa, częste sakramenta, słuchanie nauk, czytanie książek relig. uczynki miłosierne, jałmużny, zaopatrywanie ubogich kościołów w ornaty i t. p. Dzieci Maryi mają swoje statuta, swoją prezydentkę, asystentki i konsultorki, odbywają co miesiąc swoje posiedzenia i obecne są kongregacyjnemu nabożeństwu. Jedna z zakonnic Serca Jezusowego jest dyrektorką, a poważny wiekiem i cnotą kapłan świecki lub zakonny kapelanem. Niemal po wszystkich większych domach Towarzystwa Sióstr Serca Jez., a jest ich w tej dobie 115, istnieją kongregacye „Dzieci Maryi“ i liczą po 70, 100 i więcej osób. Polskie „Dzieci Maryi“ mają swoje kongregacye we Lwowie, Poznaniu i Pradze.

Oby ten szkic dziejów kongregacyi Maryańskiej zachęcił nasze młodsze pokolenie do wskrzeszenia jej bytu i do wprowadzenia w życie poczciwych tradycyj onych starych, dawnych „Sodalisów Maryi“.

Ks. Stanisław Zaleski.

[1] Ustawy kongregacyi Dzieci Maryi. Kraków, 1884, str. 4.

ODNOWICIEL ZAKONU DOMINIKANÓW

we Francyi.

(Dokończenie.)

Lacordaire rozwijając z mownicy *Notre Dame* te myśli, podniósł podziw przyjaciół a zawiódł nadzieję niechętnych przepowiadających mu upadek, i przez dwie zimy święcił ciągle nowe tryumfy, kiedy niespodziewanie dla wszystkich przerwał konferencye i postanowił pojechać do Rzymu. Szukano powodów tego niczem niewytłomaczonego kroku, później dopiero własne jego słowo wyświeca tajemnicę. „Potrzebowałem, pisze, samotności, ażeby znowu sam się znaleść w obec mojej słabości i w obec Boga".

W Rzymie przyjęty jak najprzychylniej, poświęca się dalej naukom teologicznym; w jego listach z tej epoki przebija pociąg do życia zakonnego i zamiar wskrzeszenia zakonu św. Dominika we Francyi. Po ośmnastu miesiącach pobytu w Rzymie otrzymuje zaproszenie do kazań w Metz. Poczucie obowiązku podniesienia ducha religijnego na prowincyi przychyla go do przyjęcia, ale cholera srożąca się w Rzymie opóźnia jego wyjazd, a Lacordaire po raz drugi daje dowód swego kapłańskiego powołania, pozostając w mieście, z którego wszyscy uciekają, aby nieść pomoc duchowną chorym i umierającym.

Po kilkomiesięcznych kazaniach w Metz, równie świetnem uwieńczonych powodzeniem i po roku spędzonym jeszcze w Paryżu, wraca Lacordaire do Rzymu, z postanowieniem już stanowczem zostania zakonnikiem i z życzeniem przywrócenia we Francyi zniesionych przez rewolucyę klasztorów.

Przekonania jego w tym względzie, przez wiele umysłów nawet dobrze myślących niepodzielane, powody i pobudki jego do tak ważnego i pełnego bezmiernych trudności zamiaru, wyjmujemy i podajemy w ustępach z pisemka jego dyktowanego na łożu śmierci: „*Notice sur le rétablissement de l'Ordre des frères prêcheurs en France*". „Pomijając osobiste moje wrażenia i rozważając tylko potrzeby Kościoła, zdawało mi się jasnem, że od zniesienia zakonów we Francyi, stracił on połowę sił swoich. Widziałem „w Rzymie resztki tych wspaniałych instytucyj, założonych przez „największych świętych, a historya, wymowniejsza jeszcze, pokazywała mi od wyjścia z katakumb niezliczony szereg cel, klasztorów, opactw, przybytków nauki i modlitwy, rozsianych od piasków „Tebaidy do krańców Irlandyi i od wonnych wysp Prowancyi aż „do zimnych stref Polski i Rosyi. Jako twórczą podstawę dostrzegałem trzy śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, kamień węgielny Ewangelii i doskonałego naśladowania Chrystusa. Czyż burza rewolucyi zamiast być tylko karą za niektóre zboczenia miała „zostać wyrokiem śmierci? Temu wierzyć nie mogłem, wszystko, co „Bóg stwarza, jest nieśmiertelnem w swojej istocie, a żadna nie ginie w świecie cnota, jak nie ginie żadna gwiazda na niebie. Przekonany byłem, że największą usługę, jaką można oddać w tym „czasie Chrześcijaństwu, było przyczynić się w czemkolwiek do odbudowania klasztorów. Ale wchodząc w siebie samego, czując „swoją nicość i porównywując się z tymi olbrzymami wiary i pobożności, nie znajdowałem w sobie nic odpowiedniego na założyciela lub odnowiciela zakonów".

Najbardziej zatrważał go stan polityczny Francyi, tak się o nim wyraża: „Kiedy naród zajdzie tak daleko, że wszystkie przywileje „wolności są dla tych co nie wierzą, przeciw tym co wierzą, czyż „można spodziewać się że nastanie w nim kiedykolwiek sprawiedliwość, ustalenie, spokój i cywilizacya inna, niż postęp materyalny".

Długi czas wahał się ks. Lacordaire co do wyboru klasztoru, gdyż zakon Jezuitów, do którego przez chwilę zamierzał wstąpić, był już we Francyi, a surowa reguła Dominikanów zdawała mu się zbyt ciężką dla zniewieściałego i od posłuszeństwa odwykłego pokolenia. Te niepewności były tem przykrzejsze, że prawie nigdzie, nawet między przyjaciółmi, nie znajdował gorącej zachęty, częściej

spotykał się z powątpiewaniem co do możności urzeczywistnienia swoich zamiarów. Mimo tego przyjęcie serdeczne, jakie go w Rzymie od Papieża, kardynałów i przełożonych zakonu Dominikanów spotyka, usuwa w końcu wszelkie wahania; otrzymuje dla mającego się utworzyć zakonu między innemi przywilej wychowania młodzieży, co spełnia wszystkie jego życzenia, bo oddawna młodzież była przedmiotem jego osobliwej miłości.

Wszystko więc ułożone się zdaje i załatwione w Rzymie, ale Francya, ale rząd, ale opinia publiczna, ale dziennikarstwo, ale bracia zakonni, których miał szukać, oto co zatrważało ks. Lacordaira. Z odwagą i szczerością, która jest udziałem ludzi stałego postanowienia, wystąpił sam pierwszy z podniesioną przyłbicą i ogłosił sławny memoryał pod tytułem: *„Mémoire pour le rétablissement en France de l'ordre des frères prêcheurs 1838“*. Dziełko to dzieli się na dwie części, z których pierwsza zajmuje się życiem i zadaniem zakonów, druga zaś stosunkiem rzeczy świeckich do duchownych; z tej to części podajemy niektóre ustępy, dziś jeszcze niestety tak prawdziwe, tak błyszczące jak były temu pół wieku blisko, bo dziś jak wtedy ludzie wolność pojmują. „Żyjemy w czasach, gdzie łatwiej człowiekowi zdobyć sobie fortunę i imię, niż idąc za swoją „wolą zostać ubogim i sługą wszystkich. Wszystkie potęgi europejskie, królowie i dziennikarze, stronnicy monarchii absolutnej i „wolności, wiążą się przeciw tym, którzy pragną siebie samych poświęcić, i nigdy w świecie nie obawiano się nikogo tak, jak dziś „człowieka chodzącego boso i w odzieży z grubej wełny. Kiedy my „namiętni zwolennicy tego wieku z jego łona zrodzeni, prosiliśmy „go o wolność niewierzenia w nic, dał nam ją, kiedyśmy go prosili „o wolność zdobywania stanowisk i zaszczytów, dał nam ją, i kiedy „bardzo młodzi jeszcze chcieliśmy wpływać na jego losy, sięgając „do najważniejszych kwestyj, pozwolono nam; ale dziś kiedy powołani tchnieniem Bożem, który i nasz wiek porusza, chcemy „pójść za pragnieniem naszej wiary, nie żądać niczego, ale żyć „ubogo z kilkoma towarzyszami temi samemi uczuciami przejętymi „co my, dzisiaj wstrzymani jesteśmy, wyjęci z pod nie wiem wielu „praw, a Europa cała gotowaby powstać, aby nas zgnębić, gdyby „była tego potrzeba“.

Nie zawiódł się Lacordaire, odzywając się z taką otwartością

do opinii publicznej; memoryał zjednał mu przyjaciół, a prasa nawet najradykalniejsza z pewnym uszanowaniem się o nim wyrażała. Kilku młodych ludzi zgłosiło się z gotowością złączenia się z nim, ale on nie nalegał, nie zachęcał, nie taił trudności, doradzał namysł, modlitwę, wypróbowanie siebie przed tak ważnym krokiem. Zrazu dwóch, później kilku jeszcze udało się za nim do Rzymu, gdzie oddano im klasztór della Quercia dla odbycia nowicyatu.

Tak jak opuściliśmy rozbiór konferencyi z kazań ks. Lacordaira, tak samo opuszczamy tu szczegółowy opis życia jego podczas nowicyatu, mając zawsze na oku więcej chrześcijanina i obywatela, niż zakonnika; pomijamy więc jego ćwiczenia w twardej regule św. Dominika, jego pokorę w wykonywaniu najpodrzędniejszych robót w klasztorze, wspomniemy tylko, że we własnych jego listach i opisach trybu życia, występuje wszędzie spokój ducha, swoboda myśli, dzielność słowa i pióra, jak u człowieka, który odkrył prawdziwą drogę po długiem błądzeniu i jest świadomy celu, do którego dąży. W czasie nowicyatu napisał cenne dzieło: „Życie św. Dominika“, o którem pisze Chateaubriand: „Nikt nie jest zdolnym napisać kartek, którebym więcej podziwiał, nie jest to tylko talent pierwszorzędny, ale jedyny w swoim rodzaju, ogrom piękna i świetności, nie znam wznioślejszego stylu“. W pierwszym roku śmierć mu zabrała dwóch najukochańszych uczniów, a 1840 r. złożył śluby zakonne i wracał do Francyi w habicie. Przypuszczając, że z tego powodu spotkać go może jaka zaczepka, zabrał był ze sobą sutannę świeckiego księdza, wkrótce jednak zdało mu się małodusznością zapierać się swego stanu, darował więc sutannę biednemu hiszpańskiemu księdzu, którego spotkał. Nigdzie zresztą niedoznał nieprzyjemności oprócz niechętnych spojrzeń z zadziwienia na widok sukni zakonnej od pięćdziesięciu lat we Francyi niewidzianej, a która zdawała się pokrywać ducha powracającego z tamtego świata. Łaskawie przyjęty przez arcybiskupa d'Affre, postanowił kazać w Notre-Dame. Obrał sobie za przedmiot „powołanie narodu francuskiego“.

Ogromna nawa napełniła się cała niezliczoną ilością słuchaczy ze wszystkich sfer społeczeństwa przybyłych, aby słyszeć tego mnicha, w białym habicie i z ogoloną głową... w kilka dni później zaproszony został przez ministra skarbu na obiad, podczas którego jeden z dawnych ministrów Karola X. powiedział: „Co za dziwna

„zmiana rzeczy, gdybym będąc ministrem był zaprosił Dominika„nina do siebie, spalonoby i zniszczono cały gmach ministerstwa".

Z powrotem do Rzymu czekała Ojca Lacordaira jedna z najboleśniejszych niespodzianek. Odebrał bowiem rozkaz od Stolicy świętej pozostania tam w Rzymie, rozłączenia się z towarzyszami, których rozesłano do różnych klasztorów. Po tylu łaskach i dowodach przychylności odebranych od Ojca świętego, oddawszy już niejedną usługę Kościołowi, ze smutnem zadziwieniem ten rozkaz przyjął; ale jako prawdziwy żołnierz katolicki, niewahając się ani chwili, nie zadając ani jednego pytania, usłuchał i poddał się w milczeniu. Później dopiero się dowiedział, że powodem tego postępowania względem niego były przychodzące z Francyi listy, ostrzegające Stolicę świętą, że ks. Lacordaire chce pod maską zakonu krzewić dalej doktryny ks. Lamennais, że jest zagorzałym republikaninem.

Wykonując rozkaz, oznajmił go naprzód swoim towarzyszom, dodając, że nie zrobiwszy jeszcze ślubów, są wolni i mogą powrócić do Francyi. Ani jeden się nie cofnął, wszyscy spokojnie poddali się wyrokowi, i każdy się do klasztoru sobie przeznaczonego udał; jedni do Guere, drudzy do Bosco, inni do St. Clément. Poddanie się to i pokora z jaką zniósł niesłuszne podejrzenia, najlepszym były dowodem jego wierności dla Stolicy świętej; to też niedługo potem mógł odwiedzić wzmiankowane klasztory, wszędzie znalazł wzorowy porządek i przykładne życie zakonne. Radość i szczęście z tego widoku malują się w ówczesnych jego listach; cierpliwie i z rezygnacyą dalszych czekał losów.

W krótkości przejdziemy epokę jego starań, zabiegów i walk, zanim potrafił ustalić we Francyi pierwszy swój klasztór. Niewątpliwą jest rzeczą, że szereg kazań jego w wielu miastach prowincyonalnych Francyi, zjednywał mu między światłymi ludźmi gorących przyjaciół, jak w Bordeaux i Nancy, a wszędzie obok czystego ducha religijnego widziano w nim patryotę namiętnie kochającego swoją Francyę.

Szczęśliwy traf zbliżył go w Nancy do młodego człowieka, wykształconego, zajętego podróżami i życiem światowem. Była w nim snać dusza dla wzniosłych idei przystępna, bo usłyszawszy i poznawszy O. Lacordaira przywiązał się do niego serdecznie, a widząc z jakiemi trudnościami materyalnemi miał do walczenia kupił dla

zakonu mały domek, który się stał pierwszem schronieniem Dominikanów we Francyi, i do którego niebawem przybyło księdzu Lacordaire dwóch towarzyszów z Bosco.

Dawniej jeszcze kilkakrotnie zapraszany przez arcybiskupa paryskiego M. d'Affre, aby rozpoczął przed 7 laty przerwane konferencye w Notre Dame, udał się do Paryża. Tu zaszła ciekawa i cechująca ówczesną epokę okoliczność. Od sześciu miesięcy toczyła się zacięta walka między uniwersytetem a duchowieństwem o wolność nauczania, o wolność legalnie i uroczyście obiecaną, a uporczywie w praktyce odmawianą; Kościół więc i jego zwolennicy walczyli o równość prawdziwą dla wszystkich. Przybycie O. Lacordaira do Paryża dodając siły obrońcom Kościoła, zaniepokoiło i rozogniło do tego stopnia obóz przeciwny, że obawiano się zaburzeń i gwałtów przy zapowiedzianych konferencyach. Trwoga była tak wielką, że król poprosił arcybiskupa do siebie i nalegał aby cofnął pozwolenie kazania dane O. Lacordairowi. Arcybiskup ze spokojem stanowczo odmówił, uważając go za księdza bez skazy i najlepszego wpływu. Rozmowa skończyła się słowami króla: „jeżeli zajdzie nieszczęście, nie będziecie mieli do obrony ani jednego żołnierza, ani jednego żandarma". Nie tu był koniec trudności. Rozdrażnienie doszło tak daleko, że obawiano się, aby ukazanie się O. Lacordaira w habicie nie było powodem do skandalu. Nietylko przyjaciele, ale arcybiskup sam dzielił tę obawę; zewsząd nalegano i proszono O. Lacordaira, aby przywdział sutannę księdza świeckiego. W tej okoliczności dał nowy i świetny dowód stałości, męskości i niezwyciężonej wierności swoim zasadom.

Znany był wpływ na nim świętobliwej przyjaciółki pani Swieczyn. Arcybiskup udał się więc do niej, aby radą swoją i ona przyszła mu w pomoc. Zacytujemy kilka ustępów z odpowiedzi, jaką w tym przedmiocie otrzymała: „Chodzi tu o sprawy, które w two-„ich oczach i w moich, szanowna przyjaciółko, górują nad wszyst-„kiem, i które nakazują nam zupełne zaparcie się siebie samych. „Oto są powody, które nie pozwolą mi zostawić ani tobie, szanowno „przyjaciółko, ani arcybiskupowi nadziei ustępstwa, które teraz bar-„dziej jak kiedykolwiek jest mi wzbronionem. Nie zwracam się do „przeszłości, nie rozbieram czy przywdziewając publicznie habit za-„konny, nie powiększyłem trudności przywrócenia we Francyi mego

„zakonu. Uczyniłem to, nosiłem te suknie na kazalnicach w Paryżu, „w Bordeau, w Nancy, sześć razy przebyłem w niej całą Francyę, „a wszędzie zdobyłem dla niej uszanowanie; zachowałem ją mimo „oficyalnych ostrzeżeń ministerstwa, jest to czyn dokonany. A ko- „mużbym ją miał dzisiaj poświęcić? Krzykom prasy antyreligijnej, „obawom rządu, umysłom rozdrażnionym przeciwko nam trzechmie- „sięczną zaciętą walką? Dałbym w Notre Dame nieprzyjaciołom na- „szym widowisko zakonnika, który się uląkł, chełpiąc się odwagą, „który się kryje, pokazawszy się raz, który prosi o łaskę i przeba- „czenie dla przybranej sukni. To nie jest możebnem. Im bardziej „chwila jest uroczysta, im więcej katolicy oczekują głośnej pociechy „mojego słowa, tem mniej mogę im przygotować tak boleśny zawód. „Muszą oni przekonać Francyą, że serca ich nie zmiękły i słowo za- „chowało swoją wolność. Lepiej sto razy milczeć jak zawieść ich „oczekiwania. Kościół nie potrzebuje tryumfów, obejść się może bez „mego słowa w Notre Dame. Bóg jest obecnym, aby go podtrzy- „mywać i zasłaniać od zniewagi, ale wymaga on, aby własne dzieci „nie upakarzały go, i nie znieważały w bolesnych jego przejściach. „Wszystko co mu przychodzi od nieprzyjaciół, jest mu dobrem, „wstyd tylko, który pochodzi od swoich, zdolnym jest może wywo- „łać zniechęcenie... Ksiądz arcybiskup wie, że nikt mnie nie znie- „waży na kazalnicy; wie, że liczne zgromadzenie zasłoni mnie od „podłej i pojedyńczej obelgi; wie także, że nie dam im czasu do na- „mysłu, i że za trzeciem zdaniem znajdę już w ich sercach święte „schronienie. Ciekawość sama utrzyma w karbach nienawiść, a od- „waga wzruszy tych nawet, którzy nie chcą być wzruszeni. Francya „ma poczucie godności, które ją porywa, gdzie tylko je dostrzedz „może. Jedyna rzecz, którąby mnie zgubić mogła w Notre Dame, „to jest, gdybym się ukazał w przybranej sukni. Zadziwienie, nie- „chęć, wzgarda i żal opanowałyby najpierw wszystkie umysły i nic- „by mnie już nie obroniło. Wreszcie mam też prawo zważać i na „to, co mnie osobiście tyczy w tej kwestyi. Charakter, oto czego „należy strzedz przedewszystkiem. Charakter stanowi siłę moralną „człowieka, a czyż nie widzisz, szanowna przyjaciółko, której „umysł i przyjaźń tak bystre ma oko; czyż nie widzisz, jakbym „spodlił charakter swój zrzucając habit, aby wstąpić na ambonę „Notre Dame. Któżby wątpił, że przywdziawszy go przez próżność,

„porzuciłem dla czczej chwały kazania w katedrze paryskiej. Na-„uczmyż się raz stawiać godność i obowiązek przedewszystkiem; „jeżeli się podoba Bogu, abym kazał w Notre Dame, będę kazał, „jeżeli te podwoje zostaną przedemną zamknięte, będę kazał gdzie-„indziej; jeżeli z kolei wszystkie kazalnice Francyi będą mi wzbro-„nione, jak to być może zamiarem rządu, będę wyglądał lepszych cza-„sów, a tymczasem czynił tyle dobrego, o ile mi dozwolonem będzie, „albo i nic wcale, jeżeli mi wszystko zakazanem będzie. Teraźniej-„szość jest niczem, przyszłość wszystkiem". Dodaje wreszcie, koń-cząc, że ślubował zostając zakonnikiem nie zdjęcia nigdy habitu, dyskusya więc wszelka staje się zbyteczną. Jako ustępstwo dla ar-cybiskupa przywdział na habit komżę kanonika. Stało się jak prze-widywał. Młodzież z ukrytą bronią otoczyła kazalnicę na wszelki wypadek. Ostrożność była zbyteczna. W przepełnionej ciągle nawie panowały cisza i spokój zupełny, a podziw dla wymowy większy, niż kiedykolwiek.

W owym czasie, opowiedziawszy się biskupowi, zakupił O. La-cordaire koło Grenoble stary, opuszczony klasztor z kawałkiem ziemi, który był został sprzedany podczas wielkiej rewolucyi. Sprowadził się tam z kilku towarzyszami, których z Bosco zawezwał. Trudne i ciężkie czekały zgromadzenie czasy. W przybytku od pół wieku opuszczonym, nic nie było oprócz dachu; pracą więc własną i po-mocą przyjaciół restaurował się powoli na wzgórzu w pięknej oko-licy położony klasztor zwany Chalais. Stał on się później ulubionem miejscem skupienia i odpoczyku O. Lacordair'a, po długich jego stacyach w różnych miastach Francyi.

Tu by nam wypadało mówić o surowości względem siebie i o ścisłości z jaką ten wzorowy zakonnik zachowywał regułę kla-sztorną. Podajemy jednak tylko jedno słowo, które maluje człowieka. Po jednem z kazań w Lugdunie, przyjętem z niezwykłym entuzy-azmem, czekano na niego długo z wieczerzą; udano się wreszcie do celi, tam u stóp krucyfiksu znaleziono go leżącego. „Co ci jest Ojcze? — Boję się — Czego? — Boję się mego powodzenia". — Opis dwóch pełnych znaczenia wypadków, dowodzących, jakie sobie sta-nowisko zdobył O. Lacordaire i jako człowiek publiczny i jako pi-sarz, poprzedzimy wyznaniem jego wiary politycznej, którą w pou-fnym liście znajdujemy. „Zdanie, jakie sobie niektórzy wyrobili

„o mnie w polityce, zawsze mnie dziwiło, nigdy bowiem nie po-„wiedziałem ani napisałem słowa, któreby pozwoliło wnosić, że na-„leżę do stronnictwa, tak zwanego republikańskiego. Całe moje „przekonania polityczne streszczają się w tem, że po za chrystya-„nizmem nie ma społeczeństwa możebnego, chyba społeczeństwo „dyszące ciągle między despotyzmem jednego a despotyzmem „wszystkich. Dalej, że chrystyanizm może tylko powrócić do pano-„wania nad światem przez lojalną walkę, gdzieby nie był ani cie-„mężcą ani ciemiężonym. W tem przekonaniu żyję a wszystko inne „jest mi obcem".

Po rewolucyi 1848 r., zarzucano O. Lacordair'owi, że przystąpił do Rzeczypospolitej, gdy tyle razy wyznawał, że monarchia konstytucyjna jest jedyną formą rządu we Francyi. Jeżeli się jednak zważy, że głównym celem i zadaniem jego całego życia było wywalczenie wolności dla Kościoła; gdy się zważy, że w pierwszych, dwóch objawach rewolucya 1848 r. nie miała nic antyreligijnego, gdy nawet widziano wśród niszczenia Tuilleryów sprzęty kapliczne, z uszanowaniem tłumnie przeniesione do kościoła; gdy się wreszcie zważy, że sam arcybiskup paryski w liście pasterskim pochwalił lud za jego umiarkowanie i szlachetność; pojąć łatwo, że O. Lacordaire miał nadzieję uzyskania od republiki dla Kościoła tego, co mu stale odmawiała monarchia. Był on pod wpływem tego pierwszego wrażenia każdej rewolucyi — obala się despotyzm, ogłasza się wolność i braterstwo, niebawem jednak złe i przewrotne żywioły biorą górę, następuje anarchia a zwykle potem despotyzm. Pod tem pierwszem wrażeniem z kilku przyjaciółmi zakłada dziennik *(l'Ere nouvelle)* nowa Era, którego zadaniem było stać po nad wszystkiemi stronnictwami, nie wcielając się do żadnego, aby módz każdemu prawdę mówić, i bronić religii na każdem polu.

Po rozpisanych wyborach do Konstytuandy *(l' Assemblée nationale)* postawiono kandydaturę O. Lacordaira w kilkunastu okręgach wyborczych, i wszędzie wielką ilość głosów uzyskał; w Marsylii przeszedł znaczną wiekszością i przyjął wybór. W sali posiedzeń zdawało mu się, że jako obrońca demokracyi powinien zasiąść na lewicy; niedługo jednak rozpatrzywszy się między sąsiadami, widząc ich radykalne i anarchiczne dążności, zabrał miejsce między umiarkowanymi, przemawiał tylko dwa razy i to z niewielkiem po-

wodzeniem, co przypisać należy szczególnie tej okoliczności, że kiedy na ambonie był panem swego przedmiotu, pewnym swoich zasad i kierunku, w konstytuandzie, wśród namiętnych walk rozdrażnionych stronnictw, chciał być umiarkowanym i godzącym, co w takich chwilach jest uważane za słabość i brak odwagi. Pojął niebawem, że tu dla niego miejsca nie było, i po dziesięciu dniach złożył mandat.

Podaje w liście do wyborców powody swego wystąpienia i przeprasza za zawód, który im zgotował. „Było we mnie dwóch „ludzi, pisze, zakonnik i obywatel, rozdział ich był niemożebny, „należało aby w jedności mojej osoby byli godni jeden drugiego „i aby nigdy działanie obywatela nie zasmuciło sumienia zakonnika. „W miarę jak postępowałem w zawodzie tak nowym dla mnie, wi„działem stronnictwa i namiętności rysujące się coraz jaśniej. Napróżno „starałem utrzymać się ponad agitacyami, mimo woli traciłem ró„wnowagę. Zrozumiałem wkrótce, że w zgromadzeniu politycznem „bezstronność prowadzi do niemocy i do osamotnienia, że trzeba „wybrać swój obóz i oddać mu się duszą i ciałem. Nie mogłem się „na to zdobyć, odstąpienie moje było więc nieuniknione...

W listach poufnych znajdujemy te same myśli i te same powody także kiedy opuszcza dziennik *l'Ere nouvelle:* „Trudność „naszego zadania, to jest zastósowanie ducha religijnego do polityki, „to jest ducha miłości i pokoju, do rzeczy, która wywołuje najusil„niejsze namiętności i najstraszniejsze rozdziały. Przy odwiedzaniu „skazańców i więźniów, lub ubogich i chorych, chrystyanizm jest „naturalny i każden go rozumie, ale jeżeli zechcesz zaś torować go „do polityki zaraz powstaje przeciw tobie krzyk, umiarkowanie „staje się słabością, miłosierdzie zdradą, a łagodność chęcią przy„podobania się wszystkim, nic łatwiejszego jak upór w stronnictwach, „nic trudniejszego jak sprawiedliwość względem nich".

Montalembert, wierny przyjaciel i wielbiciel Lacordaira, czy jako głębszy polityk, czy jaśniej widzący przyszłość i drogi, jakiemi chodzą rewolucye, nie pochwalał jego postępowania w tej epoce, a sam w głośnej mowie, która burzę wywołała, ostro wystąpił przeciwko tradycyom pierwszej rewolucyi, które znowu uszanować i odnowić chciano. Trudne było stanowisko O. Lacordaira, gdy jako poseł zawezwany został na zgromadzenie ludowe gdzie go interpe-

lować miano o stosunki z hr. Montalembert. Nie wyparł się przyjaciela i nie zapomniał, że jeżeli nie zgadzali się w tej chwili co do polityki, zgodni zawsze byli w tem co oba za najwyższe dobro uważali. Interpelacyę, wśród wzburzonej, kilkutysięcznej publiczności stawiono trzy razy. Odpowiedzi O. Lacordaira chociaż stanowcze nie zadawalniały interpelantów, którzy ostatecznie tak pytanie sformułowali... „Zapytuję obywatela Lacordaira czy mowa obywa„tela Montalemberta, która jest zatrutą satyrą przeciw naszym Oj„com z 93-go roku zasługuje na jego pochwałę lub naganę".

O Lacordaire: „Interpelujący mnie twierdzą kategorycznie, że „mowa obywatela Montalemberta wymierzoną była przeciw Ojcom „93-go roku, otóż co do mnie oświadczam, że nie uznaję żadnych „Ojców z 93-go roku; uznaję w 89-tym ludzi, którzy pragnęli oba„lenia wielu nadużyć, i którzy za tę sprawę walczyli, uznaję od 89 „do 93 ludzi, którzy umierali walcząc przeciw tym nadużyciom tak „wewnątrz na rusztowaniu, jak zewnątrz w bitwach, któreśmy staczali; „ludzi z żelazną wolą w swoich walkach za wolnością, tych nazywam „naszymi Ojcami. Pomiędzy ludźmi, którzy w owych czasach ginęli, „rozróżniam tych, którzy w obronie wolności zginęli, od tych, któ„rzy mordowali, aby niszczyć i łupić i oddalali jeszcze tę wol„ność. Nie byłbym może tego powiedział co on, a jednak mowa „hr. Montalemberta nie wzbrania mi uznać go za dobrego Francuza, „człowieka talentu i oddanego całkiem rzeczy publicznej, dlatego „też zostaję pełnym dla niego szacunku i przyjaźni".

Po krótkiem tem przejściu przez zgromadzenie narodowe, zwrócił się już całkiem O. Lacordaire do swego życia duchownego; wspierany przez przyjaciół i zakonników, zakłada wciąż nowe klasztory, a ukoronowaniem tych zabiegów, jest otwarcie zakonu Dominikanów w samym Paryżu. W kwestyi wychowania publicznego oddawna brał gorący udział i tu jak wszędzie bronił wolności; zaszedł był właśnie we Francyi fakt wielkiego znaczenia. P. Fallom minister wyznań i oświaty, zebrał komisyę z wielu znakomitości złożoną, zasiadali w niej hr. Montalembert obok p. Cousin, ks. Dupanloup (późniejszy biskup) koło p. Thiersa i t. d. ci ludzie najrozmaitszych zasad i przekonań zgodzili się jednak w kwestyi edukacyjnej, na zasadę wolności nauczania nie wykluczając nawet zakonów; a ustawa na niej oparta znaczną większością przez zgro-

madzenie narodowe przyjętą została 15-go marca 1850 roku. O. Lacordaire powitał z zapałem ustawę, której wpływ i znaczenie porównywał z edyktem Nantejskim przez Henryka IV. wydanym, ogłaszającym wolność wyznań. Starał się zaraz z niej skorzystać dla swojego zakonu; zważywszy jednak że reguła św. Dominika z licznemi duchownemi ćwiczeniami, nie dozwalała oddać się całkowicie wychowaniu młodzieży, które wymaga tyle czasu i wyłącznego poświęcenia, postanowił przyłączyć do swego zakonu braci tercyarzy temu zawodowi oddanych, i założył kollegium najpierw w Oullins, potem w Soreze, z których wychodzili uczniowie we wszystkich zawodach znakomite zajmujący miejsce. Oprócz kilku konferencyj miewanych w kilku miastach na prowincyi, oddawał się już całkiem O. Lacordaire swojej ukochanej młodzieży, poświęcał jej wszystkie swoje zdolności, z miłością i wiarą, że tylko przez kształcenie młodych pokoleń nastąpić może przeobrażenie społeczeństwa. Wielką pokusą w tym punkcie jest pomówić o wychowaniu jak je pojmował i praktykował O. Lacordaire, w porównaniu z tem, jak je pojmuje większość dzisiejszych cywilizatorów. Przedmiot to zbyt rozległy aby go pobieżnie traktować można, a dalej obawiam się słusznie aby nie zawołano „ne sutor" powiem więc tylko ogólne wrażenie, jakie na mnie zrobiło opisanie jak kształcono młodych ludzi w zakładach O. Lacordaira [1].

Kiedy w zakładach naszych świeckich chodzi o naukę i tylko o naukę, w zakładach rzeczonych chodziło szczególnie o wychowanie, o kształcenie młodzieży we wszystkiem, co wyrabia młodzieńca na chrześcijanina i obywatela; nauka nie zawsze trafi na umysł bogato uposażony, któryby z niej sowicie mógł korzystać, z dobrego wychowania pozostaje zawsze coś na całe życie. Zasady religijne, poczucie obowiązku, nauka życia z ludźmi, a wreszcie i ogłada towarzyska, która nie jest cnotą, ale ułatwia stosunki i łagodzi sprzeczności. Czy cała oświata, o którą słusznie wołamy, zacząwszy od szkół ludowych do wyższych, z dzisiejszym systemem przyniesie społeczeństwu owoce, których się po niej spodziewamy, jest pytaniem, które przyszłość rozwiąże. Kiedy u nas nauczyciel nie zna

[1] Co tu się powie o zakładach O. Lacordaira powtórzyć można o wszystkich innych zakładach naukowych pod kierunkiem Jezuitów, Oratoryanów Braci szkolnych i innych zakonników zostających. (Przyp. Red.)

ucznia po za szkołą, tam nauczyciel jest nieodstępnym towarzyszem i przyjacielem ucznia, grono nauczycieli zastępuje rodziców, a koledzy rodzinę; w tem to pożyciu wspólnem nie ujdzie uwagi żadna wada, żadne zboczenie, a rada i lekarstwo jest zaraz i ciągle pod ręką. Ale aby tak urządzić zakład wychowawczy, trzeba ludzi powołania i poświęcenia, dla których zadanie to jest celem życia i całem życiem, nie zaś środkiem do życia.

Ciągła i wytężająca praca około zakładów wychowawczych, których był duszą, obok surowych praktyk reguły swojego zakonu, wycieńczyły nareszcie żelazną tę naturę. Po długich a bezskutecznych usiłowaniach dla odzyskania zdrowia, nadeszła chwila, w której najznakomitsi lekarze orzekli, że już środków ocalenia niema. Wieść ta obiegła Francyę całą i dla pożegnania O. Lacordaira przybywali po kolei jego przyjaciele, a między innymi najdawniejszy z nich hr. Montalembert. Poważna, spokojna a serdeczna rozmowa rozstających się na zawsze przyjaciół, zakończyła się prośbą hr. Montalemberta, ażeby O. Lacordaire spisał pamiętniki o odrodzeniu zakonu Dominikanów we Francyi. Na łożu, z którego już powstać nie miał z całą przytomnością umysłu, dyktował O. Lacordaire piękne dzieło, które też zostało ostatnią jego pracą; zmarł d. 21 listopada 1861 otoczony braćmi zakonnymi i młodzieżą; zebrało się więcej jak 20.000 chrześcijan, aby uczcić ostatnią usługą tę świetną i popularną postać.

Należy nam jeszcze mówić o najznakomitszych zaszczytach, jakie go spotykały, których nie szukał, ale które przyjmował, uważając je za dowód uszanowania i hołdu dla religii. W roku 1860 ofiarowano mu krzesło w akademii francuskiej, najpoważniejszej korporacyi uczonych, w której od utworzenia jej to jest od 200 lat pierwszy raz zasiadł zakonnik, i wpisano jego imię jako dobrze zasłużonego religii, ojczyźnie i literaturze; było to najwyższem uznaniem talentu i charakteru, mowcy, pisarza i obywatela.

W r. 1854 mianowany został członkiem akademii prawniczej w Toulouzie; podziękowanie jakie wygłosił przy tej uroczystości, okazuje nam, jak ten zaszczyt pojmował i jak sobie wyobrażał przyszłość i udoskonalenie społeczeństwa: „Żebym mógł z wszelką swo„bodą cieszyć się z miejsca, któreście mi między sobą zrobili, po„trzebuję wzrok mój odwrócić od siebie samego, a widzieć zamiast

„siebie religią zasiadającą przy waszych obradach. W naszych cza-„sach rozdarcia, jedyna nadzieja przyszłości jest w szczerem pogo-„dzeniu się wszystkich usług i wszystkich obowiązków. Nie istnieją „już między nami klasy, burze polityczne tak zmiazdrzyły i zmię-„szały ludzi, ale są jeszcze stopnie, usługi i obowiązki różne; otóż „te łącząc się we wzajemnem uszanowaniu i w poczuciu swojej po-„trzeby, ułożą się w stałą podwalinę, na której spocznie ród ludzki".

Na zakończenie, jako treść życia O. Lacordaira charakteru i całej jego postaci, podajemy w tłumaczeniu ostatni ustęp książki hr. Montalemberta: *Un moine au. XIX siècle, le R. P. Lacordaire:*

„A teraz cóż się po nim na ziemi zostanie? Powiedziałem, że „wierzę mocno, że chwała jego dosięgnie wysoko w dalekiej przy-„szłości, ale do tego czasu, któż wie? Może go spotkać co i więk-„szych od niego spotkało, Danta, Schakspeara, Corneilla; sąd jego „wieku nie będzie może całkiem przyjęty przez następcę. Pewne „strony jego talentu podpadną znowu krytyce, pewne formy jego „wymowy zestarzeją się; myśli, namiętności, walki, do których się „zapalał, wydadzą się przestarzałe i mało znaczące. Prawdy wieku-„iste religii, których bronił, przez nowych nieprzyjaciół znieważane, „albo podkopane przez nowe szaleństwa, potrzebować będą nowych „dowodów i nowych szermierzy. Fundacye jego, zagrożone już przez „chciwość, przez podłość mogą być wydane prześladowaniu i ruinie. „Ale czego ani czas, ani niesprawiedliwość ludzka, ani zawody „chwały nie odejmą mu nigdy, to jest, wielkości jego charakteru, „to jest zaszczytu, że był duszą najbardziej męzką, jak stal nieugiętą, „najnaturalniej heroiczną naszych czasów, to jest, że zrozumiał „i stwierdzał czynami, jak nikt przed nim jeszcze, konieczne przy-„mierze wiary i wolności, które jedno może nowoczesne społeczeń-„stwo podnieść; to jest, że do takiej siły i do takiej świetności, łą-„czył poufną serdeczność i czułą tęsknotę, które wzruszają i przy-„ciągają więcej od geniuszu. Będzie on nadal jak i za życia bardziej „jeszcze kochanym niż podziwianym, a nikt nigdy spoglądać nie „będzie na tę dumną i wolną postać, żeby mu się łza do oka nie „cisnęła, cicha i mimowolna łza, która jest świadectwem prawdziwej „chwały i prawdziwej miłości".

Henryk Wodzicki.

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

(Ciąg dalszy).

II.

Monizm, objawiający się w nowoczesnej filozofii. — Monizm panteistyczny, sprawy jego, dowody i ich zbicie. — Zestawienie i porównanie Boga ze światem. — Monizm Schopenhauera i jego niedorzeczność. — System Hartmana i stanowisko, jakie swemu systemowi w rozwoju myśli ludzkiej naznacza. — Wyłożenie systemu i jego zbicie.

Wielka i radykalna herezya, która za dni naszych jakby wielogłowa hydra przeciw Bogu się podnosi, przyjęła, według słownictwa filozofii, nazwę monizmu, dlatego że wszystkie systemata nowszych czasów, z wyjątkiem niewielkiego zastępu wyznawców filozofii chrześcijańskiej, wychodzą z tej zasady, iż wszystkie jestestwa są ostatecznie jedną tylko istotą (μονον). Istota ta jednak różną jest u różnych. U niektórych jest rzeczywiście to jedno jestestwo, wszechjednotnikiem *(All-Eins)*, jestestwem wszystko w sobie pochłaniającem, które mianem Boga nazwać im się spodobało. Tej nauce hołdują moniści panteistyczni. Ale od niedawnego czasu, bo od wystąpienia Schopenhauera, podzielili się wyznawcy monizmu na dwa obozy. Jedni przypisują swojemu ogólnemu jestestwu wszystkie możliwe piękności i doskonałości, podczas gdy drudzy obrzucają je wszelkiego rodzaju brudotą i szkaradą. Stąd wyrosły główne dwa obozy filozoficzne: optymistyczny i pessymistyczny panteizm, właściwie panteizm i pansatanizm. Nie trzeba jednak mięszać tego panteistycznego monizmu z innym, wymyślonym przez Cudworth'a, Fechtnera, Oersteda. U tych cała przyroda niczem innem nie jest,

jak tylko jednym organizmem, jedną substancyą, jedną istotą a poszczególne jestestwa w przyrodzie są tylko częściami składowemi tej jednolitej całości, i w tym to ostatnim punkcie schodzą się z hołdującymi monizmowi panteistycznemu; różnią się zaś od nich tem, że przypuszczają istotę Boga odrębną od jednotnika natury i uznają jego zawisłość od istoty Bożej.

Obok panteistycznego monizmu podnosi się olbrzymiej postaci materyalistyczny monizm, przeczący istnieniu Boga i duszy, dla którego wszystko jest tylko materyą poruszającą się w nieskończoności, w skutek dzielenia się i mięszania do coraz to wyższych form i funkcyj się podnoszącą, a w tem kształceniu się i coraz to nowszem wyrabianiu i przerabianiu wieczne zakreślającą koło [1]. Nauka ta ma być ideałem dzisiejszej filozofii; prorok zaś jej Haeckel ogłasza światu, że z wystąpieniem jej rozpoczyna się nowa dla świata epoka [2].

Pomiędzy te dwa obozy filozofów monistycznych wtargnął trzeci szereg wyznawców filozofii idealistycznej. Tu już wszystko jest ideą tylko, a przedmioty wszystkie, o których zwykliśmy mówić bytują tylko w idei. Idea ta była początkowo w nicości zagrzebaną i sama w sobie niczem innem nie była, jak nicością; ta jednak nicość w skutek wewnętrznego parcia się rozwijała, aby się sama przed sobą okazać, a w końcu dojść do świadomości ludzkiej.

Oto jest różnobarwna postać dzisiejszej mądrości, występującej przeciw dawnej wierze w Boga, a żądającej posłuchu od ludzkiego umysłu i rzucającej nadto klątwę na każdego, któryby jej hołdu nie oddał. A przecież odsłonić prawdę więcej znaczy jak wszelki rozgłos i poklask u ludzi, więcej jak wrzekome wykształcenie i wiedza; dlatego przystępujemy do zbadania tej wiedzy, a otuchy dodaje nam dziwnie trafne słowo Seneki, jakie Arystotelesowi w usta kładzie: *Nullum magnum ingenium sine mixtura dementiae fuit*, nie było żadnego geniuszu, w którymby nie było przymieszki obłędu.

Nim jednak do rzeczy przystąpimy, niech nam będzie wolno małą uczynić uwagę. W wykładzie tych filozoficznych doktryn starać się będziemy sprowadzić ile możności techniczny język filozofów do codziennej od zwykłych śmiertelników używanej mowy. Przytem

[1] D. F. Strauss: Der alte u. neue Glaube. S. 225.
[2] Ernest Haeckel: Natürliche Schöpfungsidee.

łatwo spotkać nas może zarzut: „Ależ, doprawdy, czyż możebną jest rzeczą, aby tak sławni uczeni do tyla zbłądzili, i tak widoczne niedorzeczności wypowiadali? Nie! tu musiało się wkraść oszukaństwo jakieś — przedstawiają ich naukę błędnie, opacznie, aby się stać panami sytuacyi!“. W istocie nie idzie nam wcale o zaszczyt pokonania przeciwników, ale idzie nam o prawdę jedynie, a tu zastosowanym być może aksiomat: *exposuisse refutasse est.* Kto rzecz wyłuszczy, ten tem samem pokonał przeciwnika. Do tego zaś nie potrzeba wiele zachodu, wystarczy odrzucić tylko filozoficzne frazesa, a niedorzeczność wystąpi w całej swej nagości.

To powiedziawszy przystępujemy do wytłumaczenia panteistycznego monizmu. Doktryna ta ze stanowiska chrześcijańskiego została już osądzoną. Sobór Watykański potępia ją we wszystkich możliwych odcieniach, w jakich się przedstawia[1].

„Jeżeliby ktoś powiedział, że jedna i ta sama jest istota i treść „*(substantia et essentia)* Boga, co innych rzeczy, niech będzie wy„klętym[2]. Jeżeliby ktoś powiedział, że rzeczy ograniczone, czy to ma„teryalne, czy duchowe, z Boskiej istoty się wyłoniły; albo, że istota „Boża przez swe objawienie i rozwój staje się wszystkiem (co istnie„je), albo wreszcie, że Bóg jest ogólnym lub nieokreślonym by„tem, który określając się tworzy ogół rzeczy wraz z ich rodza„jami, gatunkami i osobnikami, niech będzie wyklętym“.

Taki sąd wydał Kościół: cóż na to powie zdrowy rozum? co wyda przedewszystkiem za zdanie o dowodach, jakie na korzyść swą stawia kosmoteizm? Oto założenie. W ogóle, tak twierdzi Spinoza, może jedna tylko substancya istnieć; ta zaś jest wiecznym i nieskończonym bytem, który w nieskończenie wielu kształtach pojedyńczych rzeczy się rozwija. Sama w sobie jest ona tylko nieokreślonym bytem, t. j. ani duchem ani materyą; duch i materya są tylko zewnętrznemi formami tego bytu, który je przyobleka; pojęcia i ciała są tylko zmiennymi kształtami, pod którymi ten byt występuje — zupełnie tak samo jak śnieg, lód, mgła, para, chmury są tylko różnemi zjawiskami i przeobrażeniami jednej i tej samej substancyi, którą wodą nazywamy. Oto treść nauki Spinozy, z którą zgadzają

---

[1] Con. Vat. Sess. III. c. 1. can. 34.

[2] „Wyklęty“, to znaczy od społeczności katol. kościoła wykluczony.

się zupełnie wszyscy jej wyznawcy, chociażby na tysiączne rozdzielali się odcienia.

I jakież mają na to dowody? Podamy je w skróceniu. 1) Gdyby wszystkie substancye różniły się co do istoty swej, natenczas nie mogłyby mieć nic wspólnego; a że wiele bardzo własności pojedyńcze rzeczy wspólnie posiadają, mimo różnicy, jaka między niemi zachodzi, więc muszą być tylko różnemi zjawiskami, w których przejawia się jedna i ta sama zasadnicza substancya. Oto walny dowód wielkiego myśliciela. Z początkami filozofii scholastycznej obeznany uczeń, odpowiedziałby temu myślicielowi, że w jego argumentacyi występuje pomięszanie pojęć *(confusio idearum)*. Dowód ten opiera się na wspólnych własnościach różnych rzeczy. Trzeba jednak rozróżnić podwójną wspólność własności: logiczną czyli w umyśle tylko będącą i realną czyli rzeczywistą. Te dwa pojęcia pogmatwał Spinoza, mając wspólność lub tożsamość logiczną za tożsamość rzeczywistą. To zagmatwanie pojęć jest grzechem pierworodnym, wszystkim panteistom właściwym.

Cóż w ogóle mają wspólnego dwie rzeczy odrębne, np. dwoje ludzi Piotr i Paweł? Wspólną im jest natura ludzka. Lecz czemże jest, pytam się, ta wspólność natury ludzkiej? czy jest to coś rzeczywistego? czy może w Piotrze i Pawle jest realnie jedna i ta sama rzecz, a tylko inne jakości przydane Piotrowi a inne Pawłowi? — Żadną miarą. Ta wspólna własność jest tylko czemś logicznem, przez porównawczy umysł oderwanem, co w języku szkoły nazywamy naturą specyficzną lub generyczną. Wszystkie jednotniki mają swoję własną odrębną fizyczną rzeczowość a przytem, równocześnie zachodzi między nimi większe lub mniejsze podobieństwo. Umysł ludzki odkrywa wszystkie te cechy wspólne przez porównywanie i zestawianie, i wszystko to, w czem się schodzą, uwydatnia jednem pojęciem, które zastosowuje do podobnych rzeczy. Np. Piotr i Paweł mają rude włosy, Piotr jednak ma swoje odrębne i Paweł swoje. Jedność i wspólność tych włosów jest tylko w umyśle porównywającym, nie zaś w rzeczywistości. Tak więc ogólnikowe pojęcia rośliny, zwierzęcia, człowieka, aż do najogólniejszego pojęcia substancyi, nie są wyobrażeniami o jakiejś istniejącej ogólnej roślinie, zwierzęciu i t. d., której inne rośliny, zwierzęta i t. d. byłyby tylko modyfikacyami, ale są to pojęcia od różnych

roślin, zwierząt i t. d. oderwane, wyrażające to, w czem się te pojęcia schodzą i uwydatniające je w jednym obrazie myśli.

Drugi argument tego samego filozofa wymierzonym jest przeciw kardynalnej zasadzie naszej, że Bóg będąc przyczyną sprawczą, nie jest treścią wszechrzeczy, ale realnie od nich odrębny. Gdyby jedna substancya, mówi on, mogła być przyczyną sprawczą drugiej, natenczas substancya stwarzająca musiałaby w sobie zawierać substancyę stworzoną, naturalnie nie jakby w naczyniu jakiem, ale w swej istocie. Jeżeli zaś jedna substancya drugą zawiera co do istoty swej, wówczas mają istotę wspólną, a zatem jedna i druga nie są to już dwiema odrębnemi, ale jedną i tą samą substancyą, co było do udowodnienia. Roztrząśnijmy nieco ten drugi dowód.

Przyczyna sprawcza musi zawierać skutek, jaki z niej pochodzi, to prawda, bo *nemo dat quod non habet;* ale to zawarcie skutku w przyczynie może być rozmaite. Nieraz przyczyna zawiera taki sam byt jaki udziela, jak np. kiedy wierzba rodzi wierzbę, albo kula w ruchu udziela ruch drugiej kuli — co scholastycy nazywali *continere effectum materialiter vel formaliter.* Innymi razy byt skutku jest w przyczynie, nie w ten sam sposób, ale jako niższy stopień doskonałości mieści się w wyższym: *eminenter,* albo jako możliwy czyn mieści się w mocy wykonać go mogącej: *virtualiter.* Rzeźbiarz który tworzy posąg — albo, ściśle mówiąc, tworzy kształt posągu, bo materyał skąd inąd pochodzi — musi uprzednio posiadać ten kształt w myśli; ale w myśli rzeźbiarza ten kształt jest formą duchową, ma więc byt wyższego rzędu: *continetur eminetur.* Musi też rzeźbiarz posiadać moc i zdolność wykonania tego kształtu; w czem znów ten kształt mieści się *virtualiter.* W posągu zaś samym uiszcza się ten kształt jako forma kamienna, byt różny i odrębny od bytu jaki ma ta forma w rzeźbiarzu.

Otóż wywód Spinozy wtedyby tylko logicznie konkludował, gdyby wszelki skutek musiał się zawsze mieścić w przyczynie *materialiter et formaliter,* z całą treścią i formą swoją, tak samo jak w sobie bytuje. Że tego jednak ani Spinoza, ani żaden inny panteista dowodzić nawet nie próbuje, i że widocznie przyczyna zawiera nieraz skutek tylko *eminenter,* albo *virtualiter,* cały ten dowód chybia celu.

Trzeci dowód nastręcza Spinozie pojęcie substancyi. Substancya, mówi on, jest to coś takiego, co tak przez siebie istnieje, iż nie potrzebuje do istnienia żadnej rzeczy pomocniczej. Jest więc czemś niezawisłem, a więc i czemś absolutnem, a jako takie nieskończonem. Już zaś j e d n a tylko może nieskończona i bezwzględna substancya istnieć; gdyby bowiem dwie istniały, jednaby drugą ograniczała, a stąd spychałaby ją do rzędu skończoności; bo przecież pierwsza nie może mieć tej samej doskonałości co i druga, nie byłyby bowiem znowu dwie substancye, ale tylko jedna i ta sama.

I z tym dowodem, przytoczonym na poparcie swej teoryi, nie powiodło się Spinozie szczęśliwie. To określenie substancyi wypisał Spinoza z Kartezyusza, a w dodatku powiedzmy, nie zrozumiał go. Kartezyusz niegdyś w szkole jezuickiej La Flêche oddawał się studyom scholastycznym. Według pojęć tej szkoły określano substancyę jako byt przez się i w sobie *ens per se et in se, quod non indiget altero subjecto, cui inhaereat.* Pojęcie to Kartezyusz nieco skrzywił, opisując substancyę w ten sposób: *Per substantiam nil aliud intelligere possumus, quam rem, quae ita existit, ut nulla alia re indigeat ad existendum.* Przypatrzmy się obecnie nieco temu, co to u scholastyków oznacza *ens per se et in se,* w przeciwstawieniu do przypadłości *(accidens),* którą określają jako byt nie w sobie: *accidentis esse est inesse.*

Cały byt i istota przypadłości streszcza się w tej rzeczy, której jest przypadłością; nie ma więc bytu w sobie *per se,* tylko w tem, czego jest formą. Substancya zaś nie ma swego bytu w innej rzeczy, którejby modyfikacyą była, ale ma byt w sobie *in se* i dlatego ma swój byt przez się i w sobie, nie potrzebując żadnego podścieliska, w któremby i przez któreby istniała — i dlatego to w określeniu ten dodatek, że nie potrzebuje żadnego podmiotu, w którymby bytowanie jej było zawartem. Ostatnie to wyjaśnienie pojęcia substancyi opuścił Kartezyusz, a może nie zwrócił nań uwagi, i stąd podał mylne jej określenie, że substancya jest taką rzeczą, która nie potrzebuje do istnienia żadnej innej rzeczy. Ten dodatek Kartezyusza był zanadto dwuznaczny, i mógł łatwo źle być zrozumianym. Mogło to oznaczać: że nie potrzebuje żadnej rzeczy do istnienia któraby była przyczyną sprawczą jej bytu — a zarazem może wyrażać tę myśl, że nie potrzebuje żadnego substratu, w którymby się

zawierała, będąc sama podścieliskiem przypadłości i modyfikacyi. W drugiem znaczeniu zrozumieli to określenie scholastycy, a przed nimi Arystoteles. I Kartezyusz może dobrze to wiedział, chociaż nie dość jasno się wyraził. Aż tu zjawia się Spinoza, chwyta się tego określenia i pojmuje substancyę w pierwszem znaczeniu, w znaczeniu mylnem, i na tem opiera cały swój panteistyczny system, zresztą ze sporą dozą logiki i akuratności. Co każdy poczynający uczeń dawnej filozofii dobrze wie, tego nie wiedział Spinoza, tłumacząc *ens per se* jako byt, który jest przez się, dlatego, iż w sobie zawiera racyę swego bytu, podczas gdy byt przez się według scholastycznej filozofii oznacza tylko byt, który nie potrzebuje do istnienia innego podmiotu, któregoby był formą. On sam bowiem jest tym podmiotem czyli podściedliskiem formy lub przypadłości; zatem oznacza coś, co bytuje samo w sobie, w przeciwstawieniu do bytu, który bytuje nie sam przez się, lecz w innym podmiocie, którego jest modyfikacyą.

I rzeczywiście, jeżeli substancya jest istotą racyę bytu w sobie mającą, wtedy jest niestworzoną, wieczną, niezawisłą, a zatem i nieskończoną, ponieważ z powodu swej niezawisłości nie może znikąd podlegać ograniczeniu. Taka więc substancya jest absolutem, jest prawdziwym Bogiem. Ta zaś substancya może inne do bytu powoływać, od niej zawisłe z wielu względów, a zatem skończone, które jednak są prawdziwemi substancyami. Przypuszczenie tej substancyi nieskończonej jest niezbędnem. jako ich przyczyny sprawczej, nie zaś jako podścieliska ich wewnętrznego istotnego bytu. Kształt posągu nietylko domaga się ręki mistrza, która z kamienia go wydobywa, lecz prócz tego potrzebuje materyału, któregoby jako podmiotu był formą. Marmur zaś, będący tłem pracy artysty, potrzebuje znowu ręki stwórczej, któraby mu istnienie nadała, nie potrzebuje zaś żadnego *substratum*, któregoby sam marmur był formą, lub przypadłością. Znowu więc spotykamy się z tem dziwnem zjawiskiem, że zerwanie z scholastyczną filozofią jest przyczyną największego obłędu względem najżywotniejszych prawd.

Oto dowody Spinozy, który po dziś dzień jeszcze cieszy się sławą wielkiego myśliciela. Lecz może filozofowie nowszych czasów, postępujący wskazaną od Spinozy drogą, wystąpią z lepszą i bitniejszą bronią dowodów, popierających twierdzenia ich praszczura?

Znachodzimy tu najdziwaczniejsze opisy tego wszechjednotnika (Alleins), nieraz z prawdziwie czułostkową przedstawiają nam go dewoteryą, gdzie zasadnicza substancya rozwija się, by radości i smutku doświadczać; to znów wyobrażają go sobie jako cichy, skromniutki kwiatek, to znów jako zimnem tchnący orkan, zmrażający ten kwiatek, to jako grzmoty i pioruny, lub jako nędzne dziecię ludzkie, które pada ofiarą rozszalałej burzy. Różne te odcienia spotkać można u Pfleiderera, Lipsiusza, Biedermanna, Straussa, Lotzego, Maxa Müllera, Heringa, Noiré, Geigera, Reichenaua. — Ale dowodów, uzasadnień nie szukaj, spotkasz się z takiemi chyba, jakie na grobowym kamieniu Boerhavego wyryte: „*simplex est sigillum veri*".

I rzeczywiście, im prostsze jest wyjaśnienie rzeczy, tem więcej prawdy posiada, a że według panteistów niema żadnego prostszego systemu naukowego, jak wszystko co jest na świecie i co się na nim dzieje uważać za zmiany i odmiany jednej i tej samej substancyi, a zatem system ten jest w ścisłem tego słowa znaczeniu jedynie prawdziwym.

Mamy tu najlepszy przykład, jakimi ci ludzie dowodami szermują: z frazesu robi się pewnik, a chociaż w nim źdźbło tylko prawdy zawarte, wykręcają je na wszystkie strony, jakby zewsząd prawdziwem było. Tak się i tu stało. W teoryach pewna pojedyńczość i prostota jest wtedy tylko rękojmią prawdy, kiedy objaśnienie faktów nie suponuje więcej przyczyn, jak tego istota rzeczy wymaga, jak szkoła dawna wyraża: *Non sunt multiplicanda entia sine necessitate.* Ta zaś prostota i pojedyńczość teoryi, która nie zwraca uwagi na przyczyny niezbędne, jest błędną i antiracyonalną. Stąd też słusznie powiedział Kant: *Entium varietates non sunt temere imminuendae.* Ten więc pewnik nic nie dowodzi na korzyść jednej absolutnej substancyi — musieliby przedtem głębocy myśliciele ze skarbnicy swej wiedzy wydobyć coś innego; musieliby nam udowodnić, że ilość różnych substancyj jest tylko dowolną, niczem nieuzasadnioną hypotezą a jedność jej jest niezbędną koniecznością. Lecz na ten dowód jeszcze żaden z myślicieli się nie zdobył.

Kto nie zapoznał wiary i na wierze opartej filozofii, ten uznać musi, że powyższy pewnik *simplex est sigillum veri,* w całym majestacie prawdy występuje dopiero w nauce o ponadświatowym Bogu. Tam widzi on cały wszechświat z materyą ustawicznie

w ruchu będącą, z całą pełnią życia i działalności, z całem bogactwem form i zmian, jako źródło bytu, wytryskujące z ręki wszechmocnego i wszystkowiedzącego Boga i płynące znowu ku temu Bogu, jako jedynemu swemu celowi, jako ku temu, który jest alfą i omegą stworzenia.

Wreszcie wyznać to musi, że materyalno-panteistyczny monizm stoi przed nami jako system nieuzasadniony i niepoparty rozumem. Wielcy myśliciele zbankrutowali na nim, nie mając żadnego pewnego rozumowego dowodu, przemawiającego na korzyść ich systemu. Chociaż jednak ten panteizm nie jest uzasadnionym, i na chwiejnych podstawach opartym i przez nielogiczne wnioski wykończonym systemem, jednakowoż może jeszcze być prawdziwym. Złe bowiem i niedostateczne udowodnienie teoryi nie jest jeszcze probierzem jej fałszu.

Popatrzmy więc teraz, co mówi rozum nasz o wewnętrznej wartości tego panteizmu. Na samym wstępie przytaczamy orzeczenie niepodejrzanego wcale sędziego w tej sprawie, skeptyka Bayla. „Człowiek o zdrowych zmysłach będzie wolał raczej własnymi paznokciami i zębami ziemię grzebać, aniżeli ugrzęznąć w tak niesmacznej i sprzecznej nauce (panteizmu), zawierającej najszkaradniejszy obłęd, o jakim tylko pomyśleć możemy, wystawiającej nam pojęcie Boga, w obec którego bledną niedorzeczności poetów pogańskich, jakiemi bóstwa swe przystrajali, bo ci przynajmniej nie wszystkimi obarczali je błędami, jakich ludzkość się dopuszczała. Według pojęć panteizmu zaś, Bóg jest jedyną działającą istotą, a zatem jest źródłem i końcem złego, tak tego co było, jak i tego co jest i będzie“ [1].

I rzeczywiście, jeżeli Bóg jest jedyną istniejącą istotą, i wszystko, co widzimy, czujemy i słyszymy, niczem innem nie jest, jak tylko objawem, manifestacyą tego Boga, to wtedy Bóg ten w Tyberyuszu jest wyuzdańcem, w Neronie matkobójcą, w Galbie pijanicą, w Kaliguli rozpasanym szaleńcem, w Katonie samobójcą, w Katylinie rokoszaninem, w Tarkwiniuszu Superbie cudzołożcą i zaprzańcem Boga, w Thersitesie obłąkanym. Piękną zaiste rolę odgrywa Bóg panteistów [2]. A ileż w nim sprzeczności! — jest karzącym sędzią

[1] Diction. histor. et crit. Art. Spinoza.
[2] Bucher. Pantheismus Würzb. 1834.

i skazanym na powieszenie złoczyńcą; — jest kamieniem, z którego sztukmistrz ręką swą wydobywa arcydzieła sztuki — jest i sztukmistrzem samym, jest wzburzonem i rozszalałem morzem a zarazem okrętem i ludźmi, których ten groźny żywioł pochłania. Czy chce, czy nie chce, musi Bóg panteistów zawierać w swem łonie miliony różnych sprzeczności. Obojętną natenczas zupełnie jest rzeczą, jakiem mianem zaszczycą tego wszechjednotnika, który wszystkiem jest, staje się i wszystko działa; czy go nazwą z Noiré „ciemną jaźnią wszechbytu“, albo z Froschchammerem „geniuszem świata, lub fantazyą wszechświata“ — albo z Burdachem „organizmem świata i t. d. Pod każdem mianem ukrywa się monizm, nawiązujący wszystkie twory nie w absolut ale w absurdum. Zaprawdę, wielką musi być potęga myśli, gdy się zdobyła na takie pojęcie Boga.

Jak nam się przedstawia moralność według pojęć panteistów? Gdzież się podziała świętość i nietykalność porządku moralnego? Jeżeli Bóg sam ze siebie wszelką złość i niegodziwość wyłania, jeżeli każdy złoczyńca jest tylko objawem Bóstwa, każde przekroczenie prawa czynem Boga, jeżeli Bóg jest wszystkiem i wszystko działa, to nie ma w ogóle żadnego obowiązującego prawa, jest ono tylko ułudą i marzeniem niedorzecznem. Prawo moralne wtedy tylko istnieć może, jeżeli jest z jednej strony święty prawodawca, z drugiej prawu podlegający człowiek — w panteizmie nie ma tych dwu odrębnych istot, tam rozkazujący i poddany, jest jedną jedyną istotą. Nawet sam rdzeń moralności, wolna wola, w panteizmie nie istnieje. Cóż może człowiek za to, że się Bogu spodoba objawić się w nim w roli złoczyńcy lub oszusta?!

Ale czyż panteizm nie podnosi człowieka do godności Boga? Śliczne mi to wywyższenie! Jeżeli temu bóstwu wszystkie zdrożności, niegodziwości, wszystko co jest najniższem i najobrzydliwszem, przypisuje się jako własność nieoddzielną, natenczas podniesienie do godności takiego bóstwa nie jest zbyt zaszczytnem. Każdy uczciwy człowiek wymówi się od takiego wywyższenia. Dla tego też sam nawet Schopenhauer zeznaje: „Nauka panteistyczna musi się rozbić o proste prawo etyczne. Jeśli świat jest manifestacyą Boga, natenczas wszystko co człowiek — nawet co zwierzę czyni, jest boskiem, a jako takie nieskończenie doskonałem. Nie ma nic coby było pochwały

lub nagany godne, a zatem etyka przepadła“ [1]. Jak się ma rzecz z porządkiem społecznym, opierającym się na tego rodzaju zasadach? Jeżeli każdy człowiek jest urzeczywistnieniem bóstwa, któż może tego rodzaju rozwojowi tamę położyć. Jeżeli każde życzenie, pragnienie i działanie ludzkie, jest życzeniem, pragnieniem i działaniem Boga, wtedy naturalnem następstwem każde jest uzasadnionem, rozumnem, świętem, choćby tego rodzaju postępowanie tysiące prawodawców swojemi prawami zakazało. Jeżeli każda idea, pojawiająca się w duszy człowieka, jest tylko manifestacyą absolutnej idei Boga, któż może przeciwko niej wystąpić, lub kłam jej zadać? Na to niema żadnej kompetentnej na ziemi powagi. Wtedy i ten prąd rokoszu, objawiający się w dzisiejszym racyonalizmie, socyalizmie i nihilizmie, jest koniecznem następstwem rozwoju bóstwa, a któż oprzeć się mu zdoła? Krótko mówiąc według tego rodzaju filozofii upadają wszystkie podwaliny społecznego porządku.

Takie zdanie wypowiada o panteizmie zdrowy rozum ludzki. Jeżeli zaś tego rodzaju argumentacya się nie podoba, podajemy drugą.

Panteiści, jakeśmy to widzieli, przypuszczają absolutną wszechrzeczy podstawę, którą podoba im się nazwać Bogiem; słusznie jedno i drugie czynią; mylą się w tem tylko, że tę absolutną substancyę stożsamili ze światem. Na co dowód jest następujący: Absolutna substancya ma pewne własności i mieć je musi, których świat nie ma i których mieć nie może. Zidentyfikowanie absolutnej substancyi, czyli Boga ze światem, jest więc niemożliwem. Wyłożymy to jak najkrócej. Wnętrznie konieczną własnością absolutnej podstawy jest n i e s k o ń c z o n o ś ć nietylko w przestrzeni i czasie, ale i co do doskonałości, czyli innemi słowy zawiera ona w sobie wszelkie doskonałości, bez żadnej przymieszki niedoskonałości. Na to podpisują się panteiści, owszem, jest to postulatum ich systemu. Absolutna bowiem substancya niema przyczyny poza sobą, ale zawiera w sobie samej racyę swego bytu. Ponieważ tego rodzaju substancya nie otrzymuje skądinąd bytu, dlatego też byt jej nie podlega żadnemu ograniczeniu. Ale może absolutna substancya, przez siebie i ze siebie istniejąca, z własnej swej natury jest ograniczoną? I to nie ma tu miejsca. Istota, nieotrzymująca skądinąd

[1] Welt und Wille als Vorstellung II. S. 677.

swego bytu, ale czerpiąca go z wewnętrznej swej natury, jest albo całą pełnią bytu właściwego tej naturze, albo próżnią, czyli nicością, innemi słowy nie istnieje wcale w porządku rzeczy. Mieć coś, a nie mieć wszystkiego, jest dla tego rodzaju istoty rzeczą niemożebną. Natura bowiem udziela się podmiotowi co ją posiada, nie czynem, ale bytem samym, czyli tem samem, że jest, a przeto nie częściowo lecz w zupełności cały swój byt mu udziela. Ale jakaż jest natura Tego, co jest sam przez się? Sam byt jest Jego naturą. Istota bowiem, która byt sama przez się posiada, musi też sam byt mieć jako własną naturę, gdyż tylko takiej istoty własnością być może z natury swej byt posiadać. To też wypowiedział Bóg w Piśmie św.: Ja jestem który jestem, tj. jestem samym bytem. Natura zaś, która jest samym bytem, mieści w sobie wszelką doskonałość bez granic, bo mieści wszelki byt, a wszelka doskonałość jest bytem, niedoskonałość zaś i ograniczenie jest tylko niebytem. Istota więc, której natura jest samym bytem, musi wszelką doskonałość posiadać, a wszelką niedoskonałość i ograniczenie wykluczać. Ta myśl, w rozliczny sposób rozwinięta, znajduje się u Doktora anielskiego, przedewszystkiem zaś w jego „Summie contra Gentes“ l. I. c. 28.

Absolutna istota, posiadająca w sobie wszelką doskonałość, jest zarazem nieskończenie pojedyńczą. Nie zawiera ona najprzód żadnych części, ponieważ żadna część nie mieści w sobie doskonałości drugiej części; każda więc pojedyńcza część nie byłaby nieskończenie doskonałą. Jak może zaś ze skończonych części, które z natury swej są zmiennemi, powstać nieskończona i niezmienna całość, choćby z nieskończonej ilości cząstek się składała? W absolutnej istocie nie może także być tam mowy o odróżnieniu potencyi i aktu, sama bowiem natura tej istoty wyklucza tego rodzaju złożenie; gdyż w takim razie nie wszystkie doskonałości byłyby w rzeczywistości *(a parte rei)*, tylko jedne byłyby rzeczywistemi, inne zaś możliwemi; absolutna zaś istota nie może żadnej możliwości w sobie zamykać, bo każda możliwość jest negacyą jakiejś doskonałości aktualnej. Absolutna istota zawiera też w sobie wszelkie doskonałości rzeczywiste bez żadnego ograniczenia; nie może zatem podlegać żadnemu prawu rozwoju; posiada ona faktycznie wszelkie stopnie doskonałości,

wszelką pełnię bytu, nie może się więc ograniczać do żadnego rodzaju bytu; niczem się stawać nie może, ponieważ wszystkiem jest; nie może nic utracić, niczego się pozbyć, ponieważ możność utracenia czegokolwiek nie jest doskonałością, ale jej zaprzeczeniem. Tego rodzaju przeto istota wyklucza wszelką zmianę, wszelki rozwój, wszelki postęp, ponieważ posiada wszelką piękność, dobroć i doskonałość, wszelkie życie i dzielność, które nietylko uszczerbku ponieść nie mogą, ale i w doskonałości nigdy nie postąpią. Istota ta jest ponad wszelką doczesność, bo bytu swego nie zawdzięcza żadnej innej istocie, była zawsze, ponieważ jest pełnią bytu i bytem samym, będzie też zawsze, bo cóżby mogło byt odebrać substancyi co koniecznie istnieje? Nie ścieśnia się prawami przestrzeni, ponieważ absolutna przestrzeń jest tylko możliwością faktycznej rozciągłości ciał, z części się składających, a że Bóg z części się nie składa, jest więc ponad wszelką przestrzenią. Takie jest pojęcie absolutnej istoty.

Przypatrzmy się obecnie światu. Nie posiada on tych własności, o których dopiero co mówiłem, nie może więc być identycznym z absolutną substancyą, czyli innemi słowy nie może być Bogiem. Wystawmy sobie, że stoimy na wysokim pagórku: przed nami rozwija się piękny widok rozrzuconych po dolinie wiosek z całym powabem i przepychem nęcącym oko widza. Wszystko nam się przedstawia doskonałem, nosząc na sobie cechę wykończonej piękności. Zestąpmy z pagórka i wejdźmy do podziwianej przez nas wioski a wnet zniknie wszelki urok. Spostrzegamy tam nędznych, kłopotami i boleścią starganych ludzi; w pięknej z daleka i promieniami słonecznymi ozłoconej chacie spotykamy wynędzniałą matkę, otoczoną gronem sierót, skazanych na głód i żebraninę; pod rozłożystemi i piękną zielenią umajonemi drzewami, rozdziera jastrząb drgające jeszcze ptaszęta. Jak zachwycający widok przedstawia nam się z góry patrzącym na wioskę, upiększoną jasnymi promieniami, a te same promienie spalą bogate, kłosami falujące niwy, na które rolnik ze zwątpieniem i rozpaczą spogląda [1].

Popatrzmy na świat, nie przez pryzmat fantazyi, ale wzrokiem niezamąconym, i zastanówmy się nad występkami i złościami na

---

[1] T. A. Lange. Geschichte des Naturalismus. II, S. 541. Tilman Pesch. S. J. Die Welträthsel II. 35. ss.

nim panującemi, o których najlepsze świadectwa wydają nam domy kaźne, w których osądzona ludzkość opłakuje swą nędzę i swoje zbrodnie, nieraz w rozpaczy ostatecznych chwytając się środków; zastanówmy się nad bratobójczemi walkami, gdzie brat przeciw bratu, naród sąsiedni przeciw drugiemu z całym przyborem niszczących przyrządów występując, pozostawia za sobą niezliczone łzy i jęki, a wtedy stańmy przed ludzkością i powiedzmy jej, że ten świat jest nieskończenie doskonałym, że jest Bogiem! Któż zdobędzie się na tego rodzaju bezczelność?

A cóż mówić o pojedyńczości, czyli posiadaniu doskonałości w niepodzielny sposób? Z milionów cząstek złożony jest świat, z których żadna nie zawiera w sobie doskonałości drugiej części. Całość więc zawisła od każdej pojedyńczej części. Gdy tylko jedna część nie zgadza się z drugą, rozprzęga się cała maszynerya, albo na inne puszcza się tory. Świat, to jakby instrument muzyczny, harmonijnie sporządzony. Pełno tam strón, wywołujących najpiękniejsze dźwięki w rozlicznych odcieniach. Wspaniała całość z tysiąca powstała cząstek! Ale niech tylko jednej lub kilku zabraknie strón, a całość zniszczona. Zamiast harmonijnych dźwięków, rozbrzmiewają nieznośne, rażące uszy fałszywe tony. Zaiste, dowód to najlepszy, jak całość zawisłą jest od poszczególnych części. Im więcej mistrzowskie ułożenie cząstek, z im więcej części całość się składa, tem też więcej jest zawisłą. Absolut zaś nie może być zawisłym, a zatem świat ten nie może rościć sobie pretensyi do bytu absolutnego, nie może więc być Bogiem.

W całym świecie, owszem w każdej poszczególnej jego części uderza nas ustawiczny rozwój, nieprzerwane przechodzenie z możliwości w rzeczywistość, od bytu do niebytu, od niebytu do bytu. Jakimże tysiącznym zmianom podlega kropelka wody w swojej długiej egzystencyi! Gdyby mogła, opowiedziałaby nam dzieje swoje, czem była, gdzie była, w jakich ciał wchodziła skład by tworzyć lub niszczyć! Tak i każda poszczególna rzecz rozwija się stopniowo, dąży do swego możliwego wykończenia, i znowu wstecznym pochodem schodzi do pewnego nieistnienia, rozkłada się na części składowe, ażeby ustawicznie w tem zaklętem kole powtarzać te same koleje rozwoju i rozkładu. I ta, tylu zmianom podlegająca

rzecz ma być absolutem, ma być Bogiem, w niezłożony i niepodzielny sposób streszczającym w sobie wszelką doskonałość?

Może świat jest nieskończonym co do czasu i przestrzeni? Nowsza filozofia wprawdzie uporczywie się trzyma tego zdania[1]. Ale nowożytna fizyka wcale za tem nie przemawia. Owszem, wielu fizyków twierdzi, że wszelki ruch w świecie się objawiający, przekształca się stopniowo w ciepło, a stąd wnioskują, że ta zmiana i przekształcanie kiedyś się skończyć musi, zaczem wszelki ruch i świat cały zamrze. Któż rozpadłemu w gruzy światu nada nowe kształty, kto go popchnie do nowego ruchu? Nowa fizyka protestuje też przeciw nieskończoności przestrzeni świata, ze względu na zjawiska światła i ciepła. Sławny astronom Olbers utrzymywał swego czasu, że jeżelibyśmy przypuścili nieskończoną przestrzeń, musielibyśmy przypuścić i nieskończoną ilość gwiazd stałych; jeżeliby zaś nieskończona ilość gwiazd stałych istniała, natenczas firmament niebieski musiałby wyglądać wypełniony i wydzielać ze siebie taką pełnię światła i ciepła, jak jasno świecąca tarcza słoneczna. Tak zaś się nie dzieje. A dla czego nie? Odpowiadają, że przestrzeń wszechświata pochłania światło i ciepło. Ale to medium absorbujące, jak słusznie Zöllner utrzymuje, doszłoby do takiego podniesienia temperatury, odpowiednio do ilości pochłoniętych płomieni, że grzałoby i świeciło jak słońce. Nie może zatem być nieskończona ilość gwiazd stałych, a zatem świat co do rozciągłości nieskończony, jest niemożliwy[3].

Nie gwarantuję za pewność tych dowodów; filozofia chrześcijańska w obydwu tych pytaniach opiera się na innych podstawach. Ale niechże ci pseudo-filozofowie kruszą kopie z przyrodnikami. Szańce, jakie jedna umiejętność przeciw Bogu sypie, druga swego czasu rozburza.

Sądzę, że krótkimi tymi zarysami dowodów dostatecznie okazałem, że świat żadnego przymiotu Bóstwu właściwego nie posiada. Wynik stąd ostateczny jest więc ten, że umysły wielkich myślicieli owładnięte są rodzajem najszkodliwszego obłędu, gdy

---

[1] C. G. Reuschle. Philosophie u. Naturwissenschaft.
[2] William Thomson.
[3] Pesch S. J. Welträthsel II. 32.

świat ten z Bogiem identyfikują. I oni w swym błędzie są *inexcusabiles*. Niechże panteiści tego zakroju zechcą zastanowić się nad tem, jak do nich woła wyznawca ich nauki Schopenhauer. „Panteizm uważa świat za objaw Boga czyli teofanię. Ale niech się tylko światu przypatrzą, temu światu, który składa się z istót ustawicznie potrzebujących drugich do zapewnienia swego bytu, które przez to tylko, iż drugie niszczą, przez pewien czas podtrzymują swój byt wśród trwogi i nędzy, i przez długi czas nieraz rozliczne ponoszą męki, póki ich śmierć w skostniałe nie obejmie ramiona. Zaiste takiego Boga, który we fazie swojego rozwoju, w taki nędzny świat się przeobraża, powinien chyba szatan ustawicznie nękać i dręczyć“ ![1].

Sąd więc zdrowego rozumu wydany o panteizmie jest sądem potępienia! Smutny to znak, że panteizm w opinii świata uczonego tyle jeszcze znajduje miru.

Panteistyczny monizm więc z Bogiem swoim zupełnie zbankrutował. Aż oto filozofowie ze szkoły Hegla wpadli na dziwny pomysł zarzucenia zupełnie imienia bożego i tłumaczenia konstrukcyi świata, nie przez absolutne dobro, ale przez absolutne zło, przez Nirwanę dawnego buddaizmu. Na tych fundamentach począł budować Schopenhauer. Ażeby dobre o niem wyrobić sobie pojęcie, wejdźmy na chwilę do szkoły Hegla. Tu dowiemy się, że świat w swej przedmiotowości jest tylko utworem rozwijającej się logicznie idei. Otóż jaką rolę u Hegla odgrywała idea, taką u Schopenhauera odgrywa wola. Istnieje tylko jedna istota zasadnicza wszechwola. Sama w sobie jest ona tylko bezwiednem chceniem, ponieważ zaś ten pęd woli jest nieskończonym, stąd jest zawsze niezaspokojonym, a więc i nieszczęśliwym. Ażeby to trawiące pragnienie zaspokoić, wola dąży do czegoś poza sobą, przez to dążenie zdobywa się na wyobrażenie, (ponieważ pragnienie zmieża tylko do czegoś przez imaginacyę przedstawionego). Ta ogólna wola do wyobrażenia posunięta, jest ciałem, jest duszą, jest wszystkiem, jednem słowem jest wszechświatem. Innemi słowy ciało, dusza i wszystkie inne rzeczy na świecie istniejące, są tylko wyobrażeniami, na które wola przez nieprzerwane, rozpaczy pełne, pragnienie się zdobyła. W człowieku dochodzi ona do zupełnego poznania swej nę-

[1] Welt als Wille u. Vorstellung II. S. 398. 677.

dzy. Człowiek czuje w sobie podstawę wszelkiego bytu, wolę zasadniczą i dlatego mówi do siebie: „Jestem wszystkiem we wszystkiem i dla tego chcę wszystkiego, choćby wszystko naokoło mnie w gruzy się rozpadło". Spostrzega on obok siebie tylokrotnie obraz własnej swej jaźni. Stąd powstaje indywidualizm, mocą którego człowiek sam siebie pojął jako rdzeń ustawicznej walki z tem wszystkiem, co do niego jest podobnem. Stąd datuje się nędza ludzka. Owocem tego poznania jest dążenie do uwolnienia od cierpień woli zasadniczej, przez zniszczenie osobowości, przez samobójstwo.

Nieszczęśliwa ta istota pierwotna, przepełniona różnego rodzaju występkami, złością, głupotą, boleścią, nudami, nie może się zidentyfikować z Bogiem ale raczej z szatanem, jak to sam Schopenhauer uznaje. Pansatanizm więc jest kwiatem wypielęgnowanym przez najgłębszych myślicieli epoki epigonów!

Cóż rozum na to? Napróżno rozgląda się na wszystkie strony, czy nie ujrzy coś takiego, coby przynajmniej miało pozór uzasadnienia tego systemu, chyba że za uzasadnienie Schopenhauerowskiej teoryi przyjmiemy historyę jego zrozpaczonego serca, która w końcu doszła aż do obłędu rozumu.

Myśl zasadnicza, na której cały ten system się opiera, jest błędną. Któż marzył o tem, że wszelka wola i pragnienie wynika z niezadowolenia i boleści! Lessing utrzymywał swojego czasu, że samo pragnienie i chcenie jakiejś rzeczy więcej roskoszy sprawia, aniżeli jej posiadanie. Gdyby Bóg w jednej ręce trzymając prawdę, jej posiadanie mu ofiarował, w drugiej zaś ręce trzymał dążenie do prawdy z możliwością popadnięcia w rozliczne błędy, wybralby drugie i przeniósłby dążenie do prawdy nad jej posiadanie. Wiele prawdy zawiera orzeczenie Lessinga. Najprzyjemniejszą roskosz przynosi człowiekowi samo dążenie do czegoś, choć w urzeczywistnieniu na tysiące natrafiające trudności. A choćby wśród tej pracy zawód jaki człowieka spotkał, to przecież stąd nie wynika, że pragnienie tylko z boleści powstaje. Tylko słaby na umyśle człowiek mierzy świat łokciem wrażeń chorobliwych swego serca.

Wniknijmy w znaczenia etyczne tego systemu. Samobójstwo występuje w roli najlepszego czynu, bo jest uwolnieniem zasadniczej woli z pod jarzma cierpień, objawiających się w tymczasowem jej istnieniu. Niemożebną jest rzeczą w tym systemie spotkać się

z pojęciem jakiejkolwiek moralności, cnoty lub uczciwości, gdzie człowiek nie jest panem siebie, lecz występuje w roli objawu zasadniczej woli.

Jakiż cel ma człowiek na ziemi? Jak Schopenhauer rozwiązuje tę zagadkę, zawierającą w sobie źródło wszelkiej cnoty? Człowiek, to na nieszczęście skazana istota, przeznaczona na to, by znikomem, sennem życiem, przez ustawiczny pochód wsteczny zdążała do nicości. Dla tego, człowiecze, rzuć się w bezdeń rozpaczy boś gorszy od psa, tyś uosobionym potępieńcem! Oto moralność wynikająca z zasad tej filozofii. Lecz czyż nie jest ona zarazem najdosadniejszem potępieniem całego systemu?

Zbliżamy się do ostatniego dziecięcia tego kierunku filozofii, które przy swojem wstępie na świat z entuzyazmem powitane, wśród wykształconego świata z takim tryumfem zostało przyjęte, jak żaden z przedstawicieli nowoczesnej oświaty! Tem szczęśliwem, z tylu oklaskami przyjętem dzieckiem, to monizm Hartmanna!

Niezbędną jest rzeczą zapoznać się przedtem ze stanowiskiem, jakie swej filozofii w historyi rozwoju myśli ludzkiej Hartmann naznacza. W pierwszej fazie tego rozwoju najważniejszą rolę odgrywa fantazya ludu. Gnana bojaźnią groźnych sił natury, przechodzi ona do ubóstwienia tychże i przekształca się w politeizm. Uczucie jednak religijne opiera się całą siłą wielobóstwu, bo uczuło harmonijną zgodę wszystkich sił natury. Z tego źródła wytrysnął podwójny strumień, rozlewający się wśród uczonego świata; aryjsko-indyjska oświata ze swym panteistycznym Brahmanizmem, i potworny płód fantazyi, wylęgły w głowach starych żydów, oddających cześć Jehowie, jako Bogu naturalnemu. Chrystyanizm zaś, to tylko nieszczęśliwa próba, zmierzająca do wynalezienia jakiegoś środka między Brahmanizmem a bóstwem Semitów przez swą naukę o Trójcy przenajświętszej. Naszemu tylko stuleciu udało się idee indyjskiej religii zlać w jedno ze zdobyczami naukowego świata, przyswajając sobie niektóre żywioły, zaczerpnięte z Chrystyanizmu. Proces stopienia tych różnorodnych idei kończy Hartmann we własnej swej osobie.

Przypatrzmy się więc temu Bogu, który wyszedł z tygla Hartmanna. Miano jego jest: „Nieświadome“, jak sam Hartmann zeznaje: „Pozostanę przy nazwie „nieświadomego“, chociaż do uży-

wania słowa „Bóg“ więcej mam prawa, aniżeli Spinoza lub podobni“, (str. 501).

Jakże nam się przedstawi życie tego Boga? Przypatrzmy się więc historyi jego życia lub raczej jego cierpień. Przed rozpoczęciem świata nieświadome, ten Bóg Hartmannowski, było poprostu niczem, „Wesen ohne Dasein“ str. 724. To Nic było jednak absolutnym duchem, obdarzonym wolą i siłą imaginacyi (Vorstellung), jednak bez świadomości. Chcenie tej nicości, nie było określonem dążeniem do czegoś pewnego, ale tylko czczem pragnieniem, wywołanem z trawiącego je niezadowolnienia, bez idei i rozumu. W tem, jak Minerwa z głowy Jowisza pojawia się wyobrażenie, przedstawiające świat; chcenie chwyta się tego wyobrażenia i z tego skojarzenia wynika pojawienie się świata (str. 792—795). Ale zarazem teraz dopiero zaczynają się na prawdę męki nieświadomego. Idea przedstawia wiecznie coś skończonego, a czcza wola ma nieskończone pragnienia; spełnia się więc zaledwo cząstka woli, a pozostaje jeszcze nieskończona próżnia niezaspokojonego pragnienia, zaprawionego goryczą i nieszczęściem. Zawód ten musi być naprawionym; tęskniąca za szczęściem wola musi znowu wrócić do swej nicości. To dzieło zniszczenia lub raczej oswobodzenia jest zadaniem umysłu, przedstawionem mu do spełnienia wśród świata.

Jakżeż się więc siła rozumu (Intelligenz) zabierze do tego dzieła zniszczenia? Środkiem do przeprowadzenia tego dzieła jest świadomość. Ta zaś świadomość — o dziwo! — wynika z nagłego zdziwienia się woli. Otóż i geneza tego zdziwienia. Nieświadome przez wolę i wyobrażenie rozmnaża się w niezliczoną liczbę jestestw. Najmilszą dlań rzeczą jest uzmysłowić się w życiu lub raczej w żyjących indywiduach. Przy tem uzmysławianiu się, za daleko się posuwa, nie może się już cofnąć, i z tego zastoju powstają niezmienne typy, rośliny, zwierzęcia, człowieka itd. Str. 568. ss.

Dotychczas szło wszystko w porządku. Rozum Nieświadomego pod naciskiem woli wytwarzał pojęcia, wola je pochwytywała i urzeczywistniała. Ale i rozumowi udaje się zrobić coś na swoją rękę bez współwiedzy woli, tem dziełem to — ludzki mózg. Mózg zaś ma własność reflektowania wyobrażenia jak lustro. Wola, w obec tego niespodziewanego zjawiska, dziwi się wyobrażeniu — i to jej zdziwienie się przechodzi w świadomość (str. 394). Dojście do

świadomości, to pierwszy krok zmierzający do oswobodzenia zasadniczej istoty, ażeby ją znowu w nicości pogrążyć. Drogi, po których Hartmann odtąd prowadzi światowładną wolę, to same rozczarowania, na jakie w ludzkości natrafia.

Pierwszą fazą tego pochodu, to roskosz, wynikająca ze szczęśliwej teraźniejszości. Nieświadome, już świadome, szuka w ludzkich swych objawach szczęścia, występującego pod różnymi kształtami; próbuje go w jedzeniu, piciu i miłości; szuka go w szczęściu rodzinnem, w czci, sławie i żądzy bogactw; sztuka i wiedza przechodzą te same próby; co więcej, w nikczemności, złości i występkach szuka ono swego zaspokojenia. Wszędzie ugania się za szczęściem, a znajduje tylko świadomość niewysłowionych nieszczęść, boleści i rozpaczy. Przechodzi więc w drugą fazę rozczarowania, w chrześcijaństwie. Ponieważ doczesność żadnego nie przedstawia szczęścia, marzy więc przynajmniej o szczęśliwej wieczności, opływającej we wszelkiego rodzaju roskosze, będące zapłatą ponoszonych tu utrapień i zawodów. Ale jak straszne złudzenie! Dusza to przecież tylko wiązanka, składająca się z aktów woli niaświadomego, skierowanych na pewien organizm. Rozpadnie się organizm, ustaje i dusza i nie potrzebuje już wieczności by być szczęśliwą (str. 722); a że chrześcijaństwo z nowem wystąpiło złudzeniem i Nieświadome o nową przyprawiło gorycz, więc ono rozpoczyna trzecią fazę rozwoju w tak zwanej oświacie. Wyprowadza więc na scenę parę, elektryczność, magnetyzm, chemię z jej laboratoriami, astronomię z jej kolosalnymi przyrządami, armaty Kruppa, utresowane wojska; wszystko przedstawia, by zrealizować jak największy postęp w państwie najwięcej kultywowanem. Ale i tu złudzenie straszniejsze nad inne. Cóż przynosi w darze wielki postęp, jeżeli nie nowe potrzeby, nową nędzę, nowe nieszczęścia, nową rozpacz? Po ostatnim więc zawodzie nie pozostaje nic innego, jak rozpocząć pochód wsteczny do prymitywnej nicości, do Nirwany. Nędzny ten świat musi potępić swe istnienie, musi brać się do zagłady siebie, skoro tylko dojdzie do świadomości swej nędzy.

Hartmann przedstawia nam ostatni akt oswobodzenia Nieświadomego tj. jego powrotu do nicości w następujący sposób. Nieświadome skupia się po większej części w ludzkości, tu dochodzi do

świadomości kolosalnej swej nędzy i zdobywa się na zamiar wrócenia do nieświadomej nicości. Wykonanie tego zamiaru spełnia się przez samobójstwo rodzaju ludzkiego; na drodze technicznej, może telegramem zostanie naznaczony czas, w którym oswobodzenie przez zniszczenie ma być spełnionem. Telegraf zadzwoni, zniszczenie *en masse* jest dokonanem. Rodzaj ludzki, jako objaw zasadniczej istoty przestał istnieć, a z nim skończyło się wszystko. Ziemski świat, świat nadziemski, jednem słowem wszystko, co świadomem było swej nędzy, wraca do nieświadomej nicości.

Taką jest filozofia największego filozofa za dni naszych. Zaiste, spełnia się tu wyrok Pisma św.: *In quo quis peccaverit, in hoc et punietur.* Odrzucają objawienie Boskie, na niezachwianych oparte podstawach, i czepiają się szału. Nauka, nosząca jego imię, jest prawdą, jego słowo wystarcza za dowód.

Żeby nie być niesprawiedliwym, przyznać muszę, że wiele szczytnych myśli zawiera dzieło Hartmanna, nadających mu nieco uroku. Ale te jasne myśli są światłem świętojańskiego robaczka, świecącego wśród ciemnej nocy letniej. Te piękne myśli wplata Hartmann w dzieło, tchnące najczarniejszą rozpaczą. I tak Bóg Hartmanna, bo tem jest jego Nieświadome, jest to istota, zawierająca w sobie źródło wszelkiej nędzy, złości i nikczemności, wyłaniająca to wszystko ze siebie, ażeby ujść przed naturalną swą niedolą, i tylko przez błędy i zboczenia udało się jej dojść do świadomości siebie. Tymczasem wiara i rozum przedstawiają nam Boga, który jako istota nieskończenie doskonała, streszcza w sobie piękność, dobroć i świętość; który zarazem jest źródłem i dawcą tego wszystkiego, co jest pięknem, dobrem i świętem. Wszelką zaś złość przedstawiają nam te dwa źródła prawdy jako odpadnięcie rozumnych stworzeń od Boga.

Prócz tego nie do pojęcia jest zmienność Hartmannowego pseudo-Boga. Nasamprzód jest Bóg według niego tylko czczą wolą, przesiąkłą wszelkiego rodzaju niezadowolnieniem, i ta czcza wola doznaje przecież jakiegoś wewnętrznego parcia, przez które dopiero staje się czemś pewnem, wszystkiem. Cały świat nie jest niczem innem, jak tylko zachcianką, wywołaną przez wyobrażenie. Jakież to tajemnice! Czcza wola jest istotą obraną z wszelkiego bytu, a już doznaje parcia w sobie i ma różne zarazem

wyobrażenia, przez które do bytu dochodzi! Jakżeż coś nieistniejącego może doznawać jakiegoś pędu wewnętrznego, lub mieć pojęcia? Istota bez bytu jest niczem, nicość zaś nie ma pojęć, nie rwie się do niczego, i dlatego sama z siebie niczem stać się nie może.

Utworzenie świata, czyli to, że Nieświadome urzeczywistniło się przez świat, było niedorzecznością, wynikiem bez odpowiednich przesłanek, za który mogłoby do odpowiedzialności być pociągniętem, gdyby rzecz ta nie stała się bez świadomości. Cóż to wreszcie za dziki pomysł powrotu całego świata do nicości przez samobójstwo całej ludzkości? To już usuwa się z pod wszelkiej krytyki. Tych kilka słów wystarczy zupełnie. Zresztą Hartmann już się doczekał odpowiedniej krytyki, tak dalece, że jeśli nie boży świat, to zapewnie filozofia Hartmanna życzyć sobie może powrotu do nirwany [1]. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

---

[1] Fischer. Hartmann's Philosophie. B. Mayer. Weltelend-Preus. Jahrbücher 1873. Tom. 31. — Ludwik Weiss. Antimaterialismus. — Gustaw Knauer, das Facit aus E. v. Hartmans Philosophie des Unbewussten.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Jana Kochanowskiego, pieśń świętojańska o Sobótce wedle wydania Andrzeja Piotrkowczyka R. P. 1617, objaśniona i oceniona przez prof. Dr. Jana Rymarkiewicza, członka Tow. Przyj. Nauk. Pozn. Wydanie jubileuszowe. Poznań. Nakładem księgarni A. Cybulskiego. 1884. str. 196.

Historya literatury polskiej znajduje się pod względem naukowego opracowania dotychczas w podobnym stanie, w jakim przed niewielu jeszcze dziesiątkami lat gramatyka polska się znajdowała. Każdy, ktokolwiek czuł w sobie jaką zdolność do pióra, pisał artykuły o języku polskim, jego „melodyjności, kształtach i duchu“, motywując swoje argumentacye prawem, jakie urodzenie polskie mu nadawało, gdyż o nauce języka ojczystego jak przedtem, tak i podziśdzień mało kto myślał i myśli. Podobny obraz przedstawiają nam nasze „historye“ literatury polskiej i artykuły literackie, których cała wartość naukowa polega na biografiach i bibliograficznych notatkach, podczas gdy krytyka toczy się kołem, ubarwiona w górnolotne słowa, w „estetyce, sztuce, poetyczności“ i tym podobnych lubujące się „dowodach“. Często się więc zdarza, że w obec takiej krytyki losy każdego utworu literackiego są niepewne, zależne od subjektywnego zdania krytyka, a częściej od jego widzimisię. Wprawdzie w rzeczach, o których wartości decyduje estetyczne uczucie, trudniej wynaleść znamiona, któreby można ująć w pewne prawidła, osnute na niewzruszonej podstawie objektywności. Ale to nie przeszkadza przecież, żeby nauka nie miała dążyć do tego celu, a z drugiej strony w dziedzinie estetyki są już pewne prawa, według których należy sądzić płody ducha ludzkiego.

Brak ten naukowej podstawy w pracach około literatury naszej uczuto w ostatnim czasie, i poczęły odzywać się głosy, nawo-

łujące do nowego kierunku. Ciekawem jest to zjawiskiem w historyi umysłowej pracy naszej narodowej, że zwrot ten ku lepszemu rozpoczął się najwidoczniej przy tym mężu, który poezyę polską wprowadził na nowe tory i stał się twórcą nowej epoki w literaturze. Od formy, stanowiącej dawniej główny przedmiot rozbiorów krytycznych, zwrócono się do treści i tę poddawać poczęto szczegółowej rozwadze. Początek zrobiono z Kochanowskim i w krótkim stosunkowo czasie przekonano się, że na tej drodze historya literatury polskiej przedstawi się w całkiem innem świetle.

Chcąc poznać jakiś przedmiot, nie dosyć jest zbadać jego własności, umieć rozróżnić jego składniki, ale koniecznem jest wiedzieć, jak przedmiot ten przedstawia się w obec innych jemu pokrewnych, co jest jego specyalną własnością, a co dzieli z innemi, — słowem, trzeba go porównać z innemi. Z porównania takiego bowiem uwydatnia się najlepiej podobieństwo, ale zarazem i różnica każdej rzeczy, wspólność lub odrębność jej przymiotów. Tym środkiem posługują się już od dość dawna niektóre gałęzie nauki, mianowicie przyrodnicze, z któremi w parze pod względem metody zdąża filologia porównawcza. Jakie zaś na tej drodze osiągnięto rezultaty w tych działach naukowych, na jakiej podstawie ugruntowano owe nowe nabytki dla wiedzy ludzkiej, wiadomem jest temu, kto w ogóle zajmował się dokładnie jakąkolwiek z tych naukowości.

Cóż więc było naturalniejszego, jak sposób ten porównawczej metody zastósować do nauki literatury polskiej? Kierunek ten stawał się tem konieczniejszym, im widoczniej natura sama rozbieranego przedmiotu do tego prowadziła. Jeżeli gdzie bowiem, to wśród pracy ducha ludzkiego, obok wielkiego podobieństwa pokazuje się różnica jeszcze większa tak co się tyczy środków samej pracy, jakoteż i jej celu. Chcąc zaś poznać pracę tę umysłową człowieka, niedosyć jest śledzić za jej charakterystycznemi znamionami, ale trzeba spuścić się do źródła samego, trzeba uchwycić wątek jej u samego początku i postępować za jej rozwojem i wzrostem, o ile odbywa się własnemi siłami jednostki, a o ile opiera się na gotowym fundamencie innych. Ciekawem bowiem i zastanowienia godnem być musi, jakiem prawem się to dzieje, że mimo równego początku człowieka od jednego Stwórcy, mimo tylu wspólnych przymiotów, łączących cały rodzaj ludzki w jedno ogniwo najściślejszego pokre-

wieństwa, przecież tak wielka zachodzi rozmaitość w jego myśli i działaniu. Różnica ta nietylko w pojedyńczych indywiduach jest naoczna, jest ona także przy całych narodach. Jeżeli więc w literaturze złożony jest cały ten zasób myśli jednostki i idei całych narodów w postaci pisanego słowa, czy nie powinniśmy się pytać, w jakim związku zostaje jednostka do innych współczesnych lub poprzednich, w jaki sposób idee jednego narodu dostają się drugiemu, jednej generacyi przechodzą na drugą, jakim ulegają przemianom tak co do treści, jakoteż co do formy?

Proces ten psychiczny nietylko w świecie myśli samej, ale także pod względem jej formy mamy najlepiej i najwyraźniej przedstawiony w mowie ludzkiej. Jeżeli dziś już jest pewnikiem naukowym, że np. pewna grupa języków tak zwanych indoeuropejskich, wyszła z jednego pnia językowego, czyli, że różnice ich obecne są dziełem rozwoju historycznego, które pierwotnie przecież w owym prajęzyku indoeuropejskim nie istniały — czy obraz ten tak rozlicznych przemian myśli i zewnętrznej ich formy czyli wyrazów, nie jest wiernem odbiciem, tylko na większą skalę przeprowadzonem tego, jaki się w literaturze całych narodów przez całe wieki powtarzał i jeszcze powtarza? Jak w filologii polskiej dzisiaj takie prace jak Szczeniawów, Morzyckich i t. d. i t. d. są niemożebne, a przynajmniej znalazłyby należytą odprawę od krytyki, tak w historyi literatury polskiej, również starać się powinna nauka o to, ażeby badania swe oparła na pewnym gruncie, na którym byłaby w stanie dojść do stałych prawideł, mogących służyć za normę dla oceny płodów literackich.

W świecie duchowym człowieka dzieje się podobnie, jak w świecie przyrody, w którym napotykamy jedno pasmo ściśle z sobą połączonych przemian rozmaitych gatunków, które znów mogą w pewnym zostawać z sobą stosunku lub to jakiego pokrewieństwa, albo też całkowitej różnicy. Cały świat pojęć religijnych i myśli filozoficznych, ów ogrom wiedzy ludzkiej, sztuka i nauka — wszystko to razem wzięte w historycznym rozwoju, pokazuje podobnie ścisły związek wzajemności, które im dalej wstecz, tem bardziej łączą się z sobą i prowadzą do jednego źródła. Jeżeli tak jest rzeczywiście, a że tak jest, wiemy o tem dostatecznie z historyi tych nauk i z każdym dniem jeszcze lepiej się o tem przekonywujemy, zachodzi

pytanie, w jaki sposób wspólny ten zaród duchowych zasobów objawiał się w różnych czasach u pojedyńczych narodów, co pozostało z niego niezmienionem a co jako nowy przyczynek każdy naród złożył do tej ogólnej skarbnicy duchowego mienia. Wspólna ta praca duchowa, którą całe narody podejmowały i podejmują w życiu historycznem nad swojem ukształceniem, musi się również odzwierciedlać w podobny sposób i w literaturze, jak to np. w kształceniu mowy, w rozwijaniu pojęć religijnych, w doskonaleniu sztuki i innych objawach tej czynności umysłowej, która w wszystkich czasach i u wszystkich narodów się powtarza. Zadaniem więc historyi literatury każdego narodu powinno być: badać tę pracę umysłową narodu, poznać jej rezultaty, jak się w kształcie pisanego słowa przedstawiają i porównać je z poprzedniemi, nietylko tego narodu, ale i innych, o ile są im podobne, lub różnią się od nich. Znanym jest faktem, który w literaturze europejskiej tak ogromny przewrót zrobił, odrodzenie się nauk klasycznych w średnich wiekach, ale mniej znanym, albo całkiem nieznanym jest sposób, w jaki oddziaływało ono na pojedyńcze narody, w jakiej formie idee starożytnego świata przeobrażały się w nowszym i czy równo u wszystkich narodów wpływ ten odbił się w literaturze, czy też zachodziły różnice. Nie dosyć jest bowiem wyśledzić wpływ jakiego starożytnego pisarza na nowożytnego, wyliczyć miejsca, które nowszy pisarz przejął z starszego, zaznaczyć zwroty obydwom wspólne, gdyż taka praca literacka niczem się nie różni od notatek bibliograficznych, które przecież nie stanowią jeszcze historyi literatury.

Krytyka nasza poszła przeważnie w tym kierunku. Z uznania godną skrzętnością wertuje znanych, lub mniej znanych autorów klasycznych, którzy mogli wywrzeć jaki wpływ na naszą literaturę; wyszukuje motywa, które z starożytnej przejmowano literatury; zestawia zwroty mowy, które żywcem lub przekształcone z greckiego lub łacińskiego pisarza przyswoił sobie polski poeta i przychodzi do rezultatu, że „wiara w oryginalność polskiego poety zachwianą zostaje“. Ależ i bez tych dowodów wie cały świat o tym ogromnym wpływie, jaki świat starożytny wywarł na literaturę średniowieczną, w której dzięki temu wpływowi nowy rozpoczął się kierunek. Czy więc nie można z góry już wierzyć lub być przekonanym, że polski pisarz, wykształcony na wzorach klasycznych niejedno lub nawet

bardzo wiele przyjął z tychże według tej światowej reguły, iż jedni korzystają z drugich? A co się tyczy owych „dowodów“, kto wie czy nie są one tylko iluzyą, polegającą na podobieństwie dwóch przedmiotów, a to, chociażby nawet i wielkie było, nie stanowi jeszcze równości tychże. Z podobieństwa lub nawet równości jakiego wyrażenia, choćby ono było bardzo rzadkie, nie można sądzić jeszcze o bezpośredniej zależności jednego pisarza od drugiego, gdyż w każdym języku jest pewien tylko zasób zwrotów, którymi wyrażać trzeba myśli i te odpowiednio do pokrewieństwa języków mogą być i są sobie równe. A co się tyczy motywów samych, takowe może czerpać poeta całkiem niezależnie z wszystkim wspólnego źródła, którem jest świat zewnętrzny. W tym zaś jak wiele przedmiotów jest sobie podobnych, tak i sposób, w jaki człowiek przychodzi do poznania jego objawów, może być bardzo zbliżony do siebie. Jeżeli np. Kochanowski zabrał się do napisania Odprawy posłów z tendencyą czysto polityczną, mającą ówczesne stosunki na względzie, czy szukał poprzednio w całej literaturze starożytnej odpowiednich wzorów i te żywcem przejmował, i z tych w ten sposób zesztukowanych kawałków stworzył artystyczną całość, przedstawiającą wierny obraz ówczesnej politycznej sytuacyi? Czy owe reminiscencye starożytne nie mogły w równy sposób być wypływem tylko zachodzących równych stosunków, które poeta jako nieodzowne akcesorye dramatycznej akcyi wiernie zastósował? Przez to nie chcę wcale zaprzeczać wpływu literatury starożytnej na poetyczną działalność Kochanowskiego, przeciwnie Kochanowski nie byłby nigdy naszej poezyi posunął do takiego szczytu pod względem formy i treści, jeżeli nie byłby czerpał i to pełnemi garściami z tego źródła klasycznej poezyi, z którego cały świat ówczesny tak obficie czerpał. Jednakowoż zachodzi pewna różnica co do sposobu, w jaki korzysta się z wzorów innych, czy to dzieje się niewolniczo i mechanicznie, czy też wzory te podają tylko materyał, który poeta samodzielnie przekształca.

Badania naszej krytyki poruszają się przeważnie w tym kierunku, który w wielkiej sprzeczności stoi z znaczeniem, jakie się z drugiej strony Kochanowskiemu przypisuje. We wszystkich prawie utworach jego, pominąwszy naturalnie te, które Kochanowski tłumaczył z starożytnych autorów, znaleziono jeżeli nie całe ustępy, lub

to żywcem zapożyczone od starożytnych, lub też podług ich modły zabarwione, to przynajmniej dużo myśli, obrazów, sposób ich przedstawienia, przypominać mają żywo starożytny świat, jego ducha i koloryt. Jeżeli do tego dodamy językowe właściwości, które często Kochanowski miał wiernie kopjować podług klasycznych wzorów, wówczas cała jego oryginalność zredukowaną będzie do zera.

Jak w obec tego wytłumaczyć sobie ów ogromny wpływ Kochanowskiego na literaturę polską, jak rozumieć owego rodzimego ducha, który wszędy wieje z jego poezyi, a który tak silnie poruszał umysły współczesnych; dlaczego Kochanowski tam, gdzie jako tłumacz wiernie trzymać się był powinien wzorów oryginału, okazuje się tak samodzielnym i swojskim, że przytoczę tylko jednę pieśń „Kto się w opiekę“? A co się tyczy samej formy, wszak on to wprowadził do literatury polskiej wszystkie niemal gatunki poezyi, przyoblekł je w odpowiednią formę poetycką, stworzył tę artystyczną szatę słowa, ową misterność kompozycyi, którą tak trafnie stósował zawsze do treści, a szczególnie wydoskonalił technikę wiersza, która swojem bogactwem i harmonią podobną jest tak bardzo do kwitnącego podówczas renesansu. Czy to wszystko żywcem przejął od starożytnych autorów? Czy raczej nie zachodzi pomiędzy Kochanowskim a klasycznym światem starożytnym taki sam stosunek jak np. pomiędzy architektem a tym rodzajem stylu, w którym wystawił jaki budynek monumentalny, a którego cały układ pod względem całości, jako też zastósowanie pojedynczych części do przeznaczonego celu stanowią jego własność umysłową jako samodzielna kreacya jego pomysłu.

Zamiast szukać w starożytnych autorach źródła Kochanowskiego, obrał inną drogę autor powyżej przytoczonej pracy, w której utwór ten poetyczny Kochanowskiego szczegółowemu poddał rozbiorowi. Po tekscie Pieśni świętojańskiej o Sobótce wedle wydania Piotrkowczyka z r. 1617, str. 9—28 i wstępie, w którym podany jest stan wiadomości dotychczasowych o Sobótce, str. 31—48, traktuje sędziwy autor w czterech rozdziałach o rodowodzie, układzie, podstawie i artyzmie Pieśni Świętojańskiej, str. 49—196. W tym porządku też rozbierzemy pracę tę, której sumienność i gruntowność mało znajdzie sobie równych pomiędzy pisarzami na polu literatury polskiej.

Przy wydawaniu tekstów polskich z dawniejszych czasów można trzymać się dwojakiej zasady: wydaje się tekst w dyplomatycznej wierności, albo też zmienia się jego formę zewnętrzną, stosując ją do dzisiejszego stanu tak co się tyczy języka jakoteż i ortografii. Dla celów naukowych pierwszy sposób jest nieodzownie potrzebny, dla praktycznego zaś użytku, nawet dla literackiego zajęcia można poprzestać na zmienionej formie oryginału. Autor nasz spowodowany niezawodnie uroczystością chwili, w której pracę swą puścił w świat, zachował wiernie szatę zewnętrzną utworu tego poetyckiego w tej postaci, w jakiej przedstawia się w wydaniu Piotrkowczyka z roku 1617 a które jedynie miał pod ręką. Wydania jednakowoż Piotrkowczyka różnią się pod niejednym względem od Łazarzowych, które możnaby chociaż nie za autentyczne ze względu na język i pisownię uważać, gdyż Kochanowski różnił się w swych zapatrywaniach ortograficznych od Januszowskiego, to przynajmniej za najbardziej do nich zbliżone, które też przy krytycznych wydaniach powinny stanowić główne źródło dla krytyka. Główne różnice wydań Piotrkowczykowych a Łazarzowych przytoczył Przyborowski: Wiadomość o życiu i pismach J. Kochanowskiego str. 137, które powtarzają się również i w Pieśni Świętojańskiej. Do tych można dodać jeszcze następujące, które pomiędzy jednymi a drugimi zachodzą tekstami. W tekście Łazarzowym z r. 1598, który mam pod ręką i z r. 1585 wedle wydania pomnikowego używa się regularnie albo zam. abo Piotrkow., wszystek częściej aniżeli wszytek, zam. wszytek Piotrk., między zam. miedzy Piotrk. bydź, zdobydź, zam. być, zdobyć Piotrk., chociaż w wydaniu warszawskiem również być, zdobyć jest wydrukowane. Często łączy się negacya nie ze słowem mianowicie z mam., podobnie jak przyimki z następnym wyrazem w Łaz., które w Piotrkow. już oddzielnie stoją. Oprócz tego zachodzą jeszcze następujące waryanty ważniejsze: II. zwr. 4 Łaz. w pośrzodku, Piotr. w poyśrzodku. III. 4 w drugim wierszu Łaz. śmiéyże sye, Piotr. śmieymy się. IV. 3 Ł. prace, P. pracy. V. 2 Ł. dobrzebych, P. dobrzebym. V. 5 Ł. y sámám tak głupią byłá, P. głupia. VII. 7 Ł. ćiężko, nászládowáć, P. ćięszko náśládowáć. X. 1 Ł. prośby, P. prożby; tamże zwr. 6 iákoby sye wrócił, w prof. Rymarkiewicza tekscie stoi błędnie: já-

kobyś się wróćił zamiast jakoby wydania Piotrk. X. 4 Ł. czárnáwé, P. czárnáwe, błędnie zaś w tekście prof. Rym. czárniáwe; również zamiast szczerze perłowe tekstu prof. Rym. stoi w Piotrk. szczere podobnie jak w Łaz. XII. 9 stoi w Łaz. i Piotrk. siadkę, co prof. Rym. poprawił na siatkę. Oprócz powyższych zmian, z których ostatnie od prof. Rymarkiewicza pochodzą, zmodernizował tenże tekst Piotrkowczyka jeszcze w tych miejscach: I. 8 prozno *i* X. 1. proznom, co także w Łaz. stoi: prózno próznom na prożno; X. 2 moię duszę także w Łaz. na moią. Do tych różnic pomiędzy oboma wydaniami, z których kilka wyżej przytoczonych, na karb naszego wydawcy złożyć trzeba, przychodzi jeszcze bardzo wiele opuszczonych kresek nad *a* tak zwanem jasnem i nad miękkiemi spółgłoskami, w zgłoskach miękkich, które w podanym nam tekście zaniechane zostały, podczas gdy w tekście Piotrkowczyka konsekwentnie się używają. Są to na pozór drobnostki, które dla niefachowego nie mają żadnego znaczenia oprócz ciekawości antykwarskiej, dla znawcy zaś mogą się na coś przydać. Dlatego potrzebną jest jak największa staranność przy dyplomatycznie wydawanych starych drukach, zwłaszcza że nie każdemu dana jest sposobność korzystania z pierwotnych wydań. Ta sama uwaga dotyczy wszystkich prac tego rodzaju nie wyjmując i pomnikowego wydania dzieł Kochanowskiego, w którem mimo tak wielkiej staranności przecież tego rodzaju usterki się powtarzają.

Do tekstu dodał prof. Rymarkiewicz uwagi krytyczne, w których objaśnia niezrozumiałe dziś wyrażenia i rzadsze formy językowe. Myśli tekstu tłumaczy autor wogóle dobrze, nawet lepiej aniżeli to w wydaniu pomnikowem się zdarza. Dotyczy to np. wyrażenia „ciągnąć kota“ i całej z niem połączonej historyi o „kocie“ w Pannie III, którą wydawcy warszawscy w dosłownem biorą znaczeniu. Pomijając tę okoliczność, że trudno przypuścić, aby poeta opisując uroczystość Sobótki, która, według zdania wydawców, „wskazuje na miejsce zamieszkania jego“, gdzie „w obec licznego zgromadzenia rodziny i gości, zebranych na imieniny poety była śpiewaną“, chciał towarzystwo rozśmieszyć, i wprowadził do pieśni „osobistość wskazaną na karę ciągnienia kota, z którą sąsiedztwo, ze względu na rozdrażnienie, wcale nie mogło być miłe, ani bezpieczne“, gdyż taka

apostrofa byłaby więcej niż niegrzeczną, — przemawia przeciwko takiemu tłumaczeniu tej historyi o kocie a na korzyść prof. Rymarkiewicza analogia innych pieśni, w których poeta w równy sposób nawiązując do rozmaitych okoliczności, wywodzi sens moralny i podaje roztropne nauki. Chwalić zaś i opisywać „przymioty kota“, w „pieśniach miłosnych i sielankowych“, musiałoby się wydawać i w owych czasach niestósownem, chociaż u nich były „insze, jak dziś obyczaje“.

Niektóre wyrażenia trzeba jednakowoż inaczej rozumieć, jak szan. autor je tłumaczy. I tak w pieśni I. wyrażenie: ojcowski rząd, nie oznacza tutaj „ojczysty, rodzimy tryb życia“, pod którym rozumiemy codzienny sposób życia, ale zwyczaj, który „matki nam podały, same także z drugich miały“. Podobnie w pieśni II. w wierszu: a ty się czuj, czyja kolej, nie maszli mię wydać wolej, słowo „wydać“ nie oznacza „zdradzić, opuścić, zostawić na koszu“, jak tłumaczy prof. Rym., ani też „zawstydzić, zdradzić, na śmieszność wystawić“, jak w uwagach w warszawskiem wydaniu czytamy, gdyż odzywając się panna II. do tej, „czyja była kolej“ t. j. panny następnej III. aby „się czuła“, t. j. miała baczność na siebie, na swój śpiew i taniec, nie zachęcałaby jej do „wystawienia siebie na śmiech“, co wtenczas nastąpićby musiało, gdyby panna III. przewyższyła ją w tańcu i śpiewie, w razie przeciwnym zaś, czyli gdyby okazała się panna III. mniej „śpiewać nauczoną i w tańcu niezganioną“, co musiałoby nastąpić, gdyby się nie „czuła“, byłaby ona sama „wydaną“, t. j. na śmiech wystawioną, a nie panna II. Znaczenie słowa „wydać“ mamy najlepiej uwydatnione w dedykacyi Januszowskiego wydania dzieł Kochanowskiego Mikołajowi Zebrzydowskiemu z Zebrzydowic Marszał. W. K. z r. 1598, powtórzonej w wydaniu z r. 1600 na str. 8: „Do tego przystępuje zacność i wielkość urzędu Marszałkowskiego koronnego... znak zacności domu, znak godności i dzielności wielkiej, któremi W. M. mój M. pan one mądre biskupy, one dzielne hetmany, one zawołane wojewody i kasztelany, ludzi wielkie i zacne domu swego starożytnego Zebrzydowskich jeśli nie przechodzisz, pewnie w żadnej rzeczy nie wydajesz“. Znaczenie wyrazu tego jest więc tutaj, jak w Pieśni naszej, komu w czem ustępować, być gorszym, a myśl owej zwrotki jest taka: a ty, czyja

kolej jest, uważaj na siebie, jeżeli nie chcesz gorszą się okazać (w śpiewie i tańcu) ode mnie.

W pieśni IV. wyrażenie: krzyw mej duszy i w pieśni V.: nie sprawujże się przez miarę, wzięte są z języka sądowego i oznaczają: być winnym i w obec prawa oczyścić się, uniewinnić, tłumaczyć się, zatem: kto mię o miłość ruszy, ten wiecznie będzie mi winien urażonej miłości, t. j. moim przeciwnikiem i: nie uniewinniaj się zbytecznie, boć ludzie gotowi ci uwierzyć. Pieśń IX. wyrażenie: zbójca własny, trzeba brać w dosłownem znaczeniu, jak w wydaniu warsz. słusznie objaśnionem zostało wierszem następnym: ach łakomy, swe ciało (t. j. syna) jesz niewiadomy.

Czy wyraz „skutniejszy“ w Pieśni XI. rzeczywiście jednego jest z c h u ć, c h ę ć pochodzenia, jak utrzymuje prof. Rym. i p. Chmielowski w wydaniu warsz., jest bardzo wątpliwem. Przeciwko temu przemawia przemiana *ch* w *k*, która tylko w wyrazach obcych i w narzeczowym języku zachodzi, ale zresztą jest nieznaną w języku polskim. Prawdopodobnie wyraz s k u t n y opiera się na tem samem źródle, jak czeskie s k v o s t n y wspaniały, pyszny, wdzięczny, miły, które sprowadzić można na s k u t, s k o t. Wówczas pomiędzy polskiem s k u t n y w znaczeniu drogi, piękny, a pierwotnem s k o t pecus' byłby ten sam stosunek co się tyczy pojęcia, jak między got. s k a t t s, niem. s c h a t z, w których słowiańskie znaczenie materyalne, w konkretnej przedstawiające się formie, jako majątek w bydle zawarty, nabrało ogólnego pojęcia, które może przechodzić także w sferę duchową. Możebnem zresztą jest, że dzisiejszy wyraz „skutek“ utworzony jest za pomocą sufiksu ъкъ od słowa s k u t podobnie jak: s m u t e k, s m ę t e k od s m u t, smucić, u p o m i n e k od p o m ѧ n, ś w i a d e k od ś w i a d i t. p. Słowo s k u t występuje w starosł. języku we formie s k u t-a t i componere, ornare, czesk. s k u t-iti gromadzić, czynić, od którego pol. s k u t-n y w ten sam sposób utworzone zostało jak od s m u t: s m u t-n y od w i e d: świadek, w i e d n y, bezwiedny i t. p. Znaczenie wówczas wyrazu s k u t-n y byłoby efficiens, efficax, podobnie jak s k u t-e k znaczy effectus a jako przymiot osobisty, fizycznie lub duchowo unaoczniający się, odpowiadałoby dzisiejszemu effektowny tj. przyjemny. Drugi sposób tłumaczenia tego wyrazu jest prawdopodobniejszy, gdyż ma po sobie

analogię podobnych utworów polskich, a co główna, ścisłą konsekwencyę praw głosowych. (Dok. nast.)

Dr. Antoni Kalina.

Wspaniałe wydanie wizerunków Papieży. *Potraits officiels des Souverains, Pontifes depuis Saint Pierre jusqu'a Léon XIII. (Réproduction par la Chromolitographie des médaillons en mosaïque de Saint-Paul hors les murs à Rome) par le Chanoine Louis Pallard. Paris, 1885.*

Za jedną z bram starożytnego Rzymu, przezwaną Ostia, wzniosła pobożność cesarzy Walentyniusza II. i Teodozego wspaniałą świątynię, na miejscu gdzie Lucyna pobożna, rzymska patrycyuszka, złożyła nimbem męczeństwa okolone szczątki świętego Pawła.

Od chwili tej, kościół ten zaliczony do bazylik, nieprzerwanej doznawał opieki Papieży, którzy kolejno kładli zasługi ku upiększeniu go.

Kolumnada z marmurów paroskich i mozaiki, okrywające nawę, okolone medalionami przedstawiającymi wizerunki Papieży, pozwalały nazwać tę świątynię jedną z najpiękniejszych w Rzymie.

Straszny pożar, dnia 16 lipca 1823 r., zamienił w gruzy tę świątynię, a wszystkie drogocenne zabytki sztuki, zniszczył bezpowrotnie. Zaledwie zdołano uratować trochę fresków i mozaik, pomiędzy któremi część owych wizerunków Papieży, ale tak zniszczonych, że służyć już nie mogły do ozdoby bazyliki, która była niegdyś chlubą świata. Wtedy to Papież Grzegorz XVI. przedsięwziął restauracyę kościoła św. Pawła — Pius IX prowadził ją dalej i dokończył odnowienia wnętrza, a Leon XIII. wykończa obecnie zewnętrzną strukturę. Wskrzeszona z gruzów świątynia wychodzi z pod dłuta artystów, wezwanych przez Papieży, jeszcze wspanialszą niż była dawniej. Mehmed-Ali, wicekról egipski, ofiarował alabastry, a cesarz rosyjski Mikołaj I. malachity dla ozdobienia świątyni; freskami zaś i mozaikami wyłącznie zajął się Ojciec św. Pius IX., polecając wykonanie tychże słynnym z artyzmu pracownikom watykańskim, według kartonów utalentowanych rysowników Fil. Agricoli i Consoni'ego.

Najstaranniej opracowaną częścią tych mozaik, obok Życia św. Pawła, jest fryza cała, stanowiąca szereg wizerunków Papieży.

Każdy ma metr wysokości, na tle złotem, a oddanie rysów i wyrazu tak artystyczne, że w podziw wprawia widza. Wspaniała też to galerya, sięgająca od św. Piotra do Leona XIII., w której poznajemy 33 męczenników i 86 świętych i błogosławionych.

Tę to galeryę wizerunków Papieży podaje nam kanonik Pallard w pięknem dziele, którego zeszyt próbny mamy przed sobą; powziął on piękną i wzniosłą myśl zużytkowania, tak wysoko dziś posuniętego zamiłowania piękna i artyzmu w wydaniach ozdobnych, na cel tak chwalebny jak obznajomienie świata z galeryą, która dla wiernych dzieci Kościoła ma nieopisaną cenę, a dla historyka i artysty bogaty stanowi materyał.

Tablice chromolitografowane, wys. 0·37 cm., szer. 0·27, zawierają po cztery portrety, w obramieniu coraz to odmiennem. Oprócz tych tablic, tyleż kart tekstu obejmującego zwięzłe życiorysy Papieży, z których splata się w skróceniu całość historyi Kościoła. Druk i papier odpowiadają najwybredniejszym sztuki wymogom; wreszcie ozdobne winietki przedstawiają motywa, to z katakumb, to z innych, stosownie do czasu, wzięte pomników.

Ojciec św. raczył przyjąć dedykacyę dzieła uczonego kanonika Pallard, a ks. Fr. Turinaz biskup z Nancy i Toul, zaszczyca go listem nader pochlebnym, a ks. Ant. Ricard, prałat domu Jego Świątobliwości i profesor teologii skreślił piękną odezwę, którą tu *in extenso* zamieszczamy.

„Żaden pątnik Rzymu, zwiedzający bazylikę św. Pawła za „murami, nie omieszkał zatrzymać się pod rzędem medalionów „mozaikowych, zdobiących górną fzyzę tego olbrzymiego gmachu, „a przedstawiających najpiękniejszą i chwały pełną galeryę auten„tycznych wizerunków Papieży.

„Dzięki autentycznym dokumentom i tradycyom sztuki chrze„ścijańskiej, widzimy tutaj do życia przywrócone, te sędziwe po„stacie, opromienione światłem Ducha Bożego, powagą pontyfikatu „i miłością św. Kościoła, która przewodniczyła im od św. Piotra „aż do dni naszych.

„Wpatrzywszy się nieraz w te wspaniałe postacie, na których „zda się Chrysus uwidomił przytomność swoją na ziemi, odcho„dziliśmy z żalem, unosząc z widzenia tego błyskawiczną jedynie „pamięć.

„Teraz dopiero, dzięki pobożnej pracy, zdolności i wytrwałości „kapłana, ożywionego synowską wiernością dla Stolicy św., Francya „i świat cały będzie w możności podzielenia się z Rzymem tym „jedynym w swoim rodzaju skarbem.

„Kanonik Pallard, znany już w katolickim i uczonym świecie „z niejednej publikacyi z dziedziny nauk teologicznych, a otoczony „pod względem sztuki pierwszorzędnymi pracownikami, przedsięwziął „to dzieło reprodukcyi mozaik św. Pawła w Rzymie, zachęcony „aprobatą wielu biskupów i błogosławieństwem Leona XIII., który „raczył przyjąć ofiarowaną mu dedykacyę.

„Świat sztuki, historyi i archeologii wita pracę tę z najżywszą „przychylnością. Takiegoż przyjęcia, a może gorętszego jeszcze, dozna „ona w świecie religijnym, gdzie galerya ta znajdzie najwyższe „uznanie kalwaryjskiej spuścizny Chrystusa, przelanej na następców „Stolicy świętej.

„Cenne to dzieło składać się będzie z 33 zeszytów w dużym „in 4°, podobnych wydanemu już numerowi próbnemu. Każdy zeszyt „zawierać będzie ośm portretów Papieży i tyleż życiorysów, po 4 „wizerunki na każdej karcie, ozdobionej odmienną ornamentyką.

„Tekst uprzednio przejrzany przez arcybiskupa paryskiego, „zajmować będzie tyle stronnic, ile wymagać będzie ośm biografii; „nie mniej jednak ośmiu stronnic. Kartki zawierające wizerunki „Papieży, będą mogły być od tekstu oddzielone, służąc ku ozdobie „kościołów, kaplic, zakrystyj i klasztorów, lub pozostawione tworzyć „będą piękny tom biblioteczny, a raczej jeszcze salonowe album. „J. M. ks. Turinaz, biskup Nancy i Toul, znany ze swej wymowy, „przyrzeka poprzeć to wspaniałe dzieło przedmową, która przydaną „będzie do pierwszego zeszytu.

„Zeszyty będą mniej więcej miesięczne w cenie ośmiu franków „każdy — odsyłany franco prenumeratorom. Wypłata zaś dopełnioną „będzie po odbiorze. Abonament adresować kanonikowi L. Pallard. „Ulica Notre-Dame-des-Victoires, Nr. 4 w Paryżu. Ten ostatni nie „omieszka przesłać na żądanie listę prenumeratorów (gratis).

„W przyszłości cena dzieła o wiele podniesioną zostanie".

M. S.

NB. Zeszyt próbny jest do obejrzenia w Redakcyi „Przeglądu Powszechnego".

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

O Sakramencie Pokuty. Część II. Szczegółowo opracował *ks. Dr. Adam Kopyciński.* Tarnów 1884.

Aby się nie powtarzać, nadmienić wypada, że wszystkie dodatnie strony w zesz. 8 str. 267 o I. części przez nas przytoczone, odnoszą się także i do II. tomiku. Jest wiele rzeczy opracowanych gruntownie, wszelakoż ubolewać nam przychodzi, czytając w przedmowie, do czego się autor przyznaje: że są ustępy z pośpiechem opracowane i że dzieło tak wielkiej wagi i doniosłości nie zostało należycie wygładzone i wykończone. Nie możemy tego tłumaczenia przyjąć, bo nie było konieczności wydawania tak spiesznego; jako też i to nie tłumaczy że autor przeznaczył dzieło dla młodszej braci, która ma błędy poprawiać i braki dopełniać it. d. Jakoż w istocie dzieło zresztą szacowne, ma wiele stron ujemnych.

Przedmiot nie jest wyczerpnięty; Nie wspomina bowiem autor o penitentach skrupulatach, o dążących do wyższej doskonałości i t. p. Brak rozkładu logicznego i systematycznego poglądu na całość. Niektóre bardzo ważne traktaty jak o nałogowych i recydywistach nie są wyczerpująco i zasadniczo opracowane. Za to cały traktat o przeszkodach małżeństwa jako znajomy z prawa kan. obejmujący około 70 stronnic mógłby być śmiało pominięty. Również mogły być, owszem powinny być opuszczone w polskim podręczniku kwestye omówione na str. 147—152.

Definicya Sakr. Małżeństwa (str. 126) jest niedokładna i pomięszana z definicyą stanu małż., a z tego pomięszania mógłby czytający wywnioskować, że Sakr. małż. już był w Raju ustanowiony. 192. Wyrażenie: że materyą i formą sakr. małżeństwa są osoby ślubujące, ich ciała, dusze i intencye (sic) to więcej niż nie zrozumiałe. Wszakże materyą jest wzajemne (nadanie) oddanie sobie prawa co do ciała drugiego małżonka, formą zaś jest wzajemne przyjęcie tegoż prawa. Str. 243. „Dziatwa w 8 roku obowiązana jest do spowiedzi". Synod Przem. Szembeka kładzie rok 6—7. Toż i Lat IV. *annos discretionis.* Nie godzi się o największym grzeszniku tak się wyrażać jak autor str. 247 że to zwierzę! (sic). Mówiąc o pobożnych penitentach autor, każe im szczegółowy rachunek robić z namiętności, pasyi, której ulegają (sic), nie bacząc, że tacy nie są pobożnymi penitentami. 109. Nałóg nazywa popędem do grzeszenia, niewłaściwie, bo popędy są wrodzone i same z siebie nie są złymi; kiedy nałóg grzechowy się nabywa i jest złem. Wiele jeszcze niewłaściwych wyrazów dałoby się przytoczyć; jak np. 192. Kapłana obowiązkiem jest: rozwodzić. 47 poselstwo zatrzymania grzechów. 110 nawrotny. 119 wymódz postanowienie. 323. 26. zniewolić do spowiedzi. 116 *restrictio mentalis* przetłumaczono przez myśl wsteczną.

Język potrzebuje ogładzenia; wyrazów nieużywanych w książkowej mowie pełno; jak: szkarada 32 przysłuża

58, 177, 179, 183 nadmiar-nader 8 wygłośnia, 32 nie jest wstanie 87, 94 orzeczenie św. Tomasza 47, głupkowaty 65, paniczek, Bozia 244, grzech zmazy str. 123 lewitów nałogowych, 319 niepomiernosci przeszłego życia, 318 pokutę zaznaczał, 329 winy powiedziane, 330 zaparcie płacy, 130 wyzwiska 305 pogwarzyć, 77 durzą, 115 oznak żalu, 243 przejdzie klauzurę, 274 mutosurd.

Albo zła konstrukcya 304, 118 zwątpić w miłosierdzie boże, 108 od grzechu chronić, 111 pod poruszeniem łaski, 127 porwał się, zerwać, 292 wstrząśnień w mózgu. Wreszcie makaronizmów cokolwiek mniej niż w I. części: str. 15 użył *petitione illa* nie słucha, *sed sollicitat*, 48 rozgrzeszy go, bo *judicium*, 88 spowiedź powinna być *parere parata*, okazyonaliści, zamiast okazyonaryusze.

Dalecy od wszelkiej polemiki uważaliśmy za nasz obowiązek dla dobra nauki wytknąć te niedostatki i usterki pojmując to dobrze, że dzieło doskonałe takiej doniosłości jak o św. Pokucie nie tak łatwo od pierwszego razu da się napisać. Życząc szan. Autorowi wytrwałości na rozpoczętem polu, żywiemy niepłonną nadzieję, że z uwag, któreśmy się starali uzasadnić, przy powtórnem wydaniu raczy skorzystać, przez co tylko zyska nauka i urośnie stąd prawdziwa dla autora zasługa i chluba.

X. Dr. Krukowski.

Apologie des Christenthum's vom Standpunkt der Sittenlehre, von *Fr. Alb. Maria.* III. Band. Natur und Uebernatur. Freiburg. Herder. 1884. S. 926.

Po świetnem przyjęciu jakiego doznały pierwsze dwa tomy, które się pojawiły już dość dawno, tom III. nie potrzebuje polecenia; jego bogata treść, i świetne myśli o najwznioślejszych przedmiotach, zalecają go aż nadto wymownie. Tom ten rozpada się na trzy działy. W pierwszym mówi autor „o historycznych przypuszczeniach chrześcijaństwa".

Przedstawia najprzód upadek starego świata pogańskiego i jego kultury, jako też stan duchowy i moralny podczas jego konania. Zbija potem zarzut, jakoby chrześcijaństwo powstało na drodze naturalnego rozwoju z pogaństwa, z filozofii, z rzymskiego ustroju państwowego, z germaństwa i z wędrówek ludów, podczas gdy ono jest przecież nową, nadnaturalną Boską religią.

Dział drugi traktuje w 8 rozdziałach o chrześcijaństwie w rzeczach wiary i urządzeniach społecznych jako o zasadzie życia moralnego.

Dział trzeci: chrystyanizm, jako „nauka wykształcenia i wychowania", wykazuje, jak chrześcijaństwo całego człowieka, a nie jedną stronę jego kosztem innych rozwija i przez to prawdziwie go wychowuje. Dzieło ze wszechmiar gruntowne i wyczerpujące.

Compendium juris ecclesiastici ad usum cleri et praesertim per imperium Austriacum in cura animarum laborantis, scr. *Simon Aichner* Ed. V. novis curis recognita et emendata. Brixinae. Weger. 1884. pag. 810. fl. 4.80.

Dzieło to w ciągu lat 22 doczekało się pięciu wydań. Można mu niejedno zarzucić, wszelako przedstawienie poszczególnych materyj jest jasne i zrozumiałe; język łaciński dosyć poprawny. W dodatku umieszczono kilka ważniejszych praw kościelnych i austryackich państwowych do Kościoła się odnoszących. Dokładny spis rzeczy ułatwia zoryentowanie się w tem sporem dziele.

KATECHESE und PREDIGT von Anfang des IV. bis zum Ende des VI. Jahrhundertes von *Dr. Ferd. Bobst*, o. ö. Prof. der Theol. an der Universität zu Breslau. Görlich 1884. S. 312.

Na polu liturgiki kościelnej położył wrocławski profesor Dr. Bobst niepospolite zasługi. Jest to cały cykl sumiennych studyów i opracowań. Roku 1870 wydał on książkę p. t. „Liturgika trzech pierwszych chrześcijańskich stuleci"; r. 1871: „Nauka i modlitwa w trzech pierwszych chrześcijańskich stuleciech"; r. 1872: „Sakramenta i Sakramentalia w tymże czasie"; r. 1873: „Karność kościelna w tymże czasie". W niniejszem dziele rozwija przed nami wyniki dalszych swych badań nad liturgią kościelną aż do VI-go wieku. Przy dokładnej znajomości Ojców Kościoła, jest ta książka prawdziwą skarbnicą dla kaznodziei i katechetów.

Z dzieł historycznych.

ZARYS HISTORYI POLSKI i krajów ruskich z nią złączonych, prof. *Anatola Lewickiego*. Kraków 1884.

Thiers bardzo trafnie przyrównał historyka do ojca, który zgromadziwszy dzieci koło siebie, opowiada im czyny dziadów i pradziadów. Tego porównania nigdy dosyć nie można zalecać pamięci i uwadze autorów książek elementarnych. Jak ojciec sumienny dzieci lekkomyślnie nie okłamuje i w błąd nie wprowadza, tak autor książki elementarnej winien przedewszystkiem opowiadać młodzieży rzeczy, sobie samemu dobrze i pewno wiadome, lepiej poprzestać na małem, niż goniąc za obfitością i zupełnością, prawdę z fałszem pomięszać. Wprawdzie w naszych czasach wymagania niepomiernie wzrosły, szkółka wiejska chce być uniwersytetem na małą skalę, książka szkolna encyklopedyą; a z drugiej strony, co się tyczy naszych dziejów, badania źródłowe nie zdążają dość szybko, żeby pracę kompilatorów, snadną i pewną siebie uczynić. Zadanie piszących staje się coraz cięższe, ale na to nie ma rady, trzeba się wpierw uczyć samemu, przetrawić w sobie zgromadzone wiadomości, i pisząc, mieć ustawicznie przed oczami przykład sumiennego ojca.

Dla autorów elementarnych książek historycznych jeden jeszcze przedstawia się szkopuł: brak dobrego wzoru. Dotychczas napotykane podręczniki, nawet obszerniejsze roboty, służyć tylko mogą za przestrogę, jak historyi pisać się nie powinno. Dla tego, po prawdzie mówiąc, ze wszystkich narodów cywilizowanych nasz naród najmniej zna dzieje własne, bo nie ma ich skąd się nauczyć. Wart konia z rzędem, kto z dwunastu ksiąg Szujskiego zapamięta choć szkielet naszej historyi, a lepszego nic dotąd nie napisano. O książkach szkolnych 'strach pomyśleć nawet. Wyróżnia się między niemi chwalebnie Zarys prof. Lewickiego i obiecuje być początkiem pożądanego zwrotu. Jest on treściwy, jasny, bez zarzutu pod względem religijnym; pisany dobrą polszczyzną, którą można zrozumieć bez pomocy słownika niemieckiego, zaleta nader rzadka u szkolnych pisarzy tutejszych. Nie napotkałem nigdzie tak zwięźle i dokładnie opowiedzianego panowania Kazimierza W., Jagiełły, Zygmunta Augusta, elekcyi

Walezyusza. Szkielet dziejów jest: są wszystkie wielkie kości, z podrzędnych wielu brakuje; za wymówkę może służyć objętość dziełka, zapewne w pewnej mierze i plan szkolny, do którego autor musiał się stosować, pisząc „dla użytku w klasach wyższych szkół średnich i w seminaryach nauczycielskich".

Książki prof. Lewickiego każda matka może użyć z pożytkiem przy uczeniu dzieci i bezpiecznie dać ją dziecku w ręce. To jej największą pochwałą i zasługą. Nie zamuruje ona głowy, nie odstręczy od nauki, nie skrzywi pojęć, nie rozbudzi niepotrzebnej ciekawości; nieomylnie oświeci, zajmie i zostanie w pamięci. Nie zaszkodziłoby jej było odleżenie się w manuskrypcie jeszcze przez czas jakiś. Wino wydaje mi się za prędko w butelki ściągnięte i zbyt pospiesznie na stole postawione. Autor widocznie nie ukończył jeszcze własnych studyów. Od początku XVII. wieku coraz mniej bywa pewnym siebie, przez XVIII. galopuje, przepraszam za porównanie, jak jeździec wiozący mydło w wyścigu z przeszkodami, przed którym wszystkie płoty leżą na ziemi. Panowanie Augusta II. chude, zaraz zjazd w Rawie mylnie wystawiony.. Wojna szwedzka nie była tam ostatecznie udecydowaną. Piotr był wtedy zajęty wojną turecką i do niej pragnął wciągnąć Polskę, a August śmiertelnie zawinił przenosząc swoją własną politykę nad wyraźny interes kraju. August potrzebował wojny, żeby wprowadzić do kraju wojska saskie, przy ich pomocy osiągnąć dziedziczność tronu, następnie tentować o koronę cesarską. Zatargi litewskie i wyprawa na Inflanty zdawały się obiecywać skutek szybszy i pewniejszy, niż wojna turecka, dla tego tamtą drogę obrał i Rosyę za sobą pociągnął, za czem poszły następne klęski, najazd szwedzki, konfederacya Tarnogrodzka, medyacya i gwarancya Piotra. W sądach o polityce polskiej w kwestyi wschodniej za Jana III, i w XVIII. wieku stawamy zazwyczaj zbyt wyłącznie na stanowisku porozbiorowem i patrzymy na Turcyę przez okulary zrobione po roku 1830, kiedy Turek uznany został naszym sprzymierzeńcem naturalnym. Rosya, Prusy i Austrya nas rozebrały, stąd wniosek, że należało już wtenczas obrócić się przeciwko sąsiadom i Turkowi dać pokój. Uznajemy co najwięcej wagę pobudek religijnych, nakazujących stać po stronie chrześcijaństwa w walce z niewiernymi, a zapominamy czem był wówczas Turczyn dla nas, że czychał ciągle na naszą zagładę, nigdy stałego pokoju nie chciał, zawieszenia broni zaledwie z musu dotrzymywał. Skoro raz rzuciliśmy się kolonizować wschodnie obszary, należało iść ku brzegom morza Czarnego, zdobyć całe porzecze i ujścia Dniestru, zdusić dwa gniazda rozbójnicze, Kozaczyznę i Tatarszczyznę, niewyczerpane źródło ustawicznych zatargów na wschodniej granicy. Za Sobieskiego było już zapóźno dobijać się o ujścia Wisły. tudzież o posunięcie się za Dźwinę i Dniepr. Posiadanie Dniestru stało jeszcze otworem i wynagradzało straty z innej poniesione strony. Po elekcyi Sasa znaleźliśmy gotowego wspólnika w Piotrze, który nas potrzebował i nam mógł być bardzo użytecznym. Polska i Rosya mogły sobie podać ręce, pomieścić się obok siebie wygodnie; w najgorszym razie Polacy zyskiwali możność położenia tamy corocznym inkursyom Tatarów, uprowadzających masami ludność i dobytek z kraju w jedno i drugie nie obfitującego. O ile pewność ludzka sięgać może, wspólne z Rosyą pójście na Wschód odwracało od nas najazd szwedzki i pośrednictwo Piotra, z czego urodziły się wprost dalsze nasze losy w XVIII. wieku, nawet kwe-

stya dysydentów, bo już Piotr w traktatach z Prusami opiekę nad nimi stypulował.

Panowanie Poniatowskiego zbyt pospiesznie opowiedziane, nie daje również jasnego pojęcia o rzeczy, chociaż badania dotychczasowe pozwalają bardzo łatwo uchwycić pasmo głównych zdarzeń i ich związek loiczny. Zręcznie i przyzwoicie natomiast wywiązał się autor z porozbiorowych dziejów Galicyi, które stosunkowo do całości nieproporcyonalnie wiele miejsca zabierają. *H. L.*

ZBORNIK moskiewskiego głównego archiwum Ministerstwa spraw zagranicznych. *Zeszyty* 3 i 4 Moskwa, 1883 r.

Zbornik ten wychodzi od r. 1880. Wiele cennych prac znalazło w nim miejsce w ciągu tych lat kilku. W zeszytach 3 i 4, tworzących razem obszerny tom, znajdują się następujące artykuły: „Początki stosunków Rosyi z Turcyą od czasów Iwana III“, przez A. Nekludowa; „Moskiewskie główne archiwum i ci, co je dawniej zwiedzali“, bar Bolera; dokończenie obszernej pracy Ulanickiego: „Dardanele, Bosfor i morze Czarne w w. XVIII.“ (zarys dyplomatycznej historyi kwestyi wschodniej); „Przegląd biblioteki moskiewskiego głównego archiwum Ministerstwa spraw zagranicznych“, I. Tokmakowa. Ten ostatni artykuł świadczy o wielkiem bogactwie biblioteki, składającej się obecnie z 32,205 tomów, rękopisów, map i planów. Zeszyty, wspomniane w tytule, kończą się obszernym katalogiem wydawnictw komisyi, istniejącej przy archiwum, a mającej na celu ogłaszanie drukiem dokumentów i traktatów dyplomatycznych.

Do ciekawych rezultatów dochodzi autor pracy „Początki stosunków Rosyi z Turcyą od czasów Jana III.“ p. Nekludow, w swych zapatrywaniach na stanowisko Rosyi względem dworu i dostojników tureckich. Turcy, zdaniem jego, ówczesnej Moskwy nie stawiali na równi z mocarstwami zachodniemi; nie lekceważyli, ale przeciwnie, raczej przesadne mieli wyobrażenie o jej potędze. Wszystko to, co oni widzieli lub słyszeli o Rosyi i Rosyanach, przedstawiało się im, jako coś bliskiego, rodzimego, pokrewnego. Ta wschodnia duma, nieruchomość, powaga, przesadna skłonność do wystawy i skomplikowanego ceremoniału, bogate dary, przywożone przez posłów, miasto upokarzających próśb o subsydya, z któremi nieraz występowli posłowie innych mocarstw europejskich, nareszcie długie suknie i poważne brody — wszystko to w oczach Turków stawiało Rosyę na stopie równości z ich ojczyzną, czyniło utrzymanie z nią dobrych stosunków nader pożądanem. Z tego też powodu nie było większych wojen lub groźniejszych zatargów pomiędzy obu państwami, aż do czasów Piotra W-go. *Sulima.*

ŻYDZI LITEWSCY. Historya ich prawnego i społecznego bytu na Litwie. *S. A. Berszadzkiego.* Petersburg. 1884.

Jest to już druga praca wymienionego wyżej autora w tym przedmiocie. Pierwsza, nosząca tytuł: „Dokumenta i regesta do historyi Żydów litewskich“, wydana w r. 1882, zawierała obfity materyał historyczny, za okres od r. 1388 po 1569, zebrany z aktów sądowych, metryki litewskiej, z rozmaitych archiwów krajowych, a przedewszystkiem z archiwum wileńskiego. W tej ostatniej pracy starał się autor zużytkować nagromadzony przez siebie materyał historyczny. Przedmiot swój rozłożył na kilka tomów, z których pierwszy, wyszły obecnie z druku, zajmuje się historyą Żydów litewskich od W. Ks. Witolda do Unii lubelskiej.

Rozpoczyna swą pracę od przeglądu dzieł, odnoszących się do historyi Żydów na Litwie i w Polsce, przechodzi następnie do rozbioru przywilejów Witoldowych, nadanych tymże, opowiada obszernie historyę ruchów antisemickich w XV. w. i zaprowadzenie prawa magdeburskiego w miastach litewskich, nareszcie przystępuje do wyjaśnienia stanowiska socyalnego i prawnego Żydów od Zygmunta I. do Unii lubelskiej, a kończy pojawieniem się na Litwie talmudu.

Celem tej obszernej monografii jest, według słów autora, odszukanie i wyjaśnienie przyczyn, powstrzymujących zlanie się Żydów litewskich z żywiołem panującym rosyjskim. Aby zaś rzecz tę zbadać do gruntu, cofnął się w przeszłość społeczeństwa żydowskiego na Litwie.

Sulima.

Z dzieł literackich.

LITERACKA DZIAŁALNOŚĆ Jana Turgeniewa; studyum krytyczne *W. Burenina*. Petersburg. 1884.

Pomimo nadzwyczajnej popularności, jaką cieszy się u swych współziomków, powieściopisarz rosyjski Jan Turgeniew, dotychczas nie było ani jednej gruntowniejszej monografii, wykazującej zasługi tego pisarza około literatury ojczystej. Z powodu śmierci Turgeniewa w roku przeszłym, ukazało się mnóstwo nekrologów, mniej więcej obszernych życiorysów, wspomnień o niektórych epizodach z jego życia i t. d. lecz to wszystko nie przekraczało wartości zwykłych artykułów dziennikarskich. Dopiero pierwszy W. Burenin zapełnił tę lukę, dając dokładną i sumienną ocenę literackiej działalności ulubionego pisarza i jego znaczenia w literaturze swego narodu. O pracy tej należy się wzmianka, chociażby tylko dlatego, że i u nas ma Turgeniew wielbicieli i czytelników, korzystających przynajmniej z tłumaczenia niektórych jego utworów na język polski („Ojcowie i Dzieci“, „Dym“, „Nowiny“).

Autorowi powyższego studyum można przyznać zupełną słuszność, gdy powiada, iż w Turgieniewie „w sposób niezmiernie oryginalny zespoliła się niezwykła prostoduszność, z uderzającą krytyczną analizą życia, najczystszy idealizm z trzeźwym realizmem, przenikliwy i jasny umysł z ciepłem serdecznem uczuciem, najgorliwsza służba sztuce z najdelikatniejszem czuciem dążeń i pragnień swego czasu“; grzeszy jednak ciasną jednostronnością szkoły t. z. „samobytników“, prawiących wiele o zgniliźnie Zachodu, gdy twierdzi: „Życie zachodnie w swej skończoności, w swem zamknięciu i ciasnocie, w ostrości, jeżeli tak się wyrazić wolno, i drobiazgowości swych wpływów, nie jest w stanie wytworzyć ani takiej wszechstronności i szerokości poglądów, ani takiej prostoty i łączności talentu z rozumem“. *A. Sulima.*

ZŁOTA PRZĘDZA poetów i prozaików polskich. Tom I. pod redakcyą p. *Chmielowskiego* i *S. Krzemińskiego* ze słowem wstępnem *J. I. Kraszewskiego*. Warszawa. 1884.

Są to wypisy na wielką skalę z celniejszych pisarzy nowej romantycznej doby jak Brodziński, Mickiewicz, Sło-

wacki (z tego najwięcej bo aż 254 stronnic) Krasiński, Malczewski, Zaleski i Goszczyński. Biografie autorów dosyć obszernie i przedmiotowo nakreślone, bibliograficzne notaty wyczerpujące; co do doboru wyjętych z całości ustępów spieraćby się można, ale to rzecz gustu, a znamy gusta p. Chmielowskiego. Praktyczna strona tej publikacyi wydaje nam się co najmniej wątpliwą, chociaż na wstępie upewnia J. Kraszewski że „perły te nanizane na sznury, każdy z łatwością unieść może i cieszyć się niemi"; a wątpliwą właśnie dlatego, że księga o 979 stronnicach nie łatwo jest przystępną tym, dla których właściwie przeznaczoną. Tłumaczy nam jeszcze autor wstępu dla czego wywrócono porządek i zamiast od Reja i Kochanowskiego, rozpoczęto Brodzińskim. Ma to być „pochód umiejętny od znanych rzeczy do nieznanych" jakby to prawdą było, że celniejsi autorowie zygmuntowskiej doby są nam „nieznani". Jedno zdanie sędziwego autora wstępu godne uwagi. Powiedziawszy, że „wiek XVII. uczynił nas zacofanymi" dodaje: „Niekoniecznie jak dotąd mniemano i głoszono przypisać należy całą winę tego smutnego przeobrażenia samemu wpływowi wychowania, wpływowi potężnego zakonu (Jezuitów), który postęp idei reformatorskich powstrzymywał Głębiej leżą przyczyny obezwładnienia! w ustawach zasadniczych, w prawodawstwie, w organizmie społeczeństwa, które zbyt wzniosły ideał postawiwszy sobie za zadanie, sił nie miało aby go dźwignąć". (str. V.) Wiele w powyższem twierdzeniu prawdy.

S. Z.

La patrie Hongroise par *Mme Adam*. Paris 1884. Un volume grand in octavo.

Do niedawna mówili Francuzi: *la France c'est Paris et Paris c'est le monde antier*, i wiarą w ten aforyzm popierali niepojętą obojętność w wykształconem społeczeństwie na to wszystko, co poza granicami Francyi leżało. Wojna francusko-pruska zmieniła ten chełpliwy kierunek, który i w literaturze znalazł swe odbicie. Pobieżne podróże Tissot'a po Niemczech, fikcyjne wędrówki po Syberyi Tissot'a i Améro, zaczęły budzić w publiczności powszechne zajęcie. Tą więc ubitą drogą przez ulubieńców francuskiego społeczeństwa, idzie pani Adam bujając po Magyarskiej ojczyźnie. Styl jej piękny, poetyczny, obrazowy, prowadzi ona nas przez zielone stepy Puszli i starożytne Hunyadzkie grody. Brak jednak znajomości miejscowego języka, utrudnia autorce wyczerpanie charakterystyki ludowej, którą usiłuje wypełnić anegdotami, a tych wybór nie zawsze w niej trafny. Belletrystycznej tej pracy nadaje autorka jakby charakter traktatu politycznego. Przyszłość Węgier upatruje ona w monarchii habsburgskiej i radaby usunąć wszelkie utopje i marzenia polityczne narodu. Jakby dopełnienie podaje nam szereg portretów politycznych, w których sympatye swe zwraca zawsze ku hr. Appony uwydatniając jego przewództwo konserwatywne.

W ogóle umiarkowane w tej pracy poglądy społeczne i polityczne, tej znanej skąd inąd ze swych skrajnych wyobrażeń redaktorki *Revue Nouvelle*, zdają się zwiastować jakby przełom w jej pojęciach i dążnościach.

M. S.

Leonis xiii. Pontif. M. Carmina, collegit atque italice interpretatus est Jerem. Brunellius. Udine. p. 204. 4°. m. 9. *Herder*. Freiburg).

Nie tylko w rządach Kościoła, ale i na polu literatury godnie wstępuje Leon XIII. w ślady swych poprze-

dników, którzy od Damazego aż do Klemensa IX. wzbogacili zbiór hymnów kościelnych. Jest to zbiór 24 utworów poetycznych papieża Leona XIII. (22 po łacinie, 2 po włosku), w wspaniałem wydaniu do użytku publiczności podany. Uzupełnia go bardzo szczegółowa i zajmująca biografia Ojca św. odsłaniająca mnóstwo drobnych szczegółów dotąd mało znanych.

Z dzieł filozoficznych.

Aestetik von *Jungmann* Dr. Theol. ord. Prof. an der Universität zu Innsbruck. II. Auflage (wesentlich umgearbeitet und erweitert). Freiburg. Herder, 1884. m. 12.

Do tego czasu brakowało podręczników do Estetyki, „któreby mogły służyć do użytku chrześcijan“ nietylko „poniekąd“, jak chce Jungmann, ale zupełnie. Racyonalizm i panteizm owładnęły tak wyłącznie tym zakresem, że katoliccy autorowie książek o sztukach pięknych, wyłącznie z punktu widzenia tych nauk wychodzili.

Tem więcej pocieszającą jest rzeczą pojawienie się rzeczonej książki, która, wychodząc z zasad chrześcijańskich, samoistnie traktuje naukę o pięknie i o sztukach pięknych. Po kilku wstępnych uwagach o pojęciu piękna, o sztuce, o umiejętności i teoryi sztuki, o estetyce i tejże zadaniu, jakoteż o wartości i ważności jej w życiu (str. 1—23), wykłada autor cały zakres estetyki w dwóch księgach.

Księga pierwsza traktuje w 20 rozdziałach (str. 23—323), o zasadniczych wyobrażeniach estetycznych, a mianowicie o istocie piękna i jej cechach, o dobroci, miłości, rozkoszy, o jasnem i logicznem uporządkowaniu istót, o piękności Boga, tejże objawieniu i odblasku, o dobrotliwości, o tem co wzniosłe i powabne, o śmieszności i komizmie, o zmysłowych przyjemnościach i wreszcie o spornych tłumaczeniach istoty piękna.

Księga druga traktuje w 33 rozdziałach (str. 323—861) o sztukach pięknych, o zadaniu ich, o najwyższych prawach i środkach a mianowicie z początku w ogólności, następnie zaś poszczególe o architekturze, o sztuce dramatycznej, o rzeźbiarstwie i malarstwie, o krasomówstwie, o poezyi i muzyce.

Całość kończy się rozprawą o smaku estetycznym i o przyczynie wielkiej rozmaitości sądów estetycznych.

Nie mamy oczywiście zamiaru zapuszczać się głębiej w bogatą i niezmiernie ciekawą treść tej książki wielkiej wartości. Kto chce sobie rościć prawo do wykształcenia chrześcijańskiego, w prawdziwem tego słowa znaczeniu, ten nie dla samego przeczytania tej książki, lecz dla przestudyowania musi ją wziąść do ręki, a to jedynie dlatego, że — jakeśmy to wspomnieli—niema innych, tak naukowo dokładnych książek tego rodzaju. — W rzeczach mniejszej wagi możnaby tu i owdzie nie zgodzić się z autorem, uważając jednakże na całość, mamy dokładną, prawdziwie chrześcijańską Estetykę, która uzupełnia chrześcijańską umiejętność. *A. Arndt.*

Die Nothwendigkeit der Offenbarung Gottes nachgewiesen aus Geschichte und Vernunft. *Prof. Mach.* Mainz Kirchheim. 1883. str. 339. 4 marki i 20 fen.

Kwestya, którą wyjaśnić autor zamierza, jest nader praktycznej doniosłości. Jest to punkt, o którym szczególnie w naszych czasach walka się toczy. A choć liczba ateistów z zasady jak po wszystkie czasy tak i teraz jest niewielka, to jednak nie można tego powiedzieć o deistach, naturalistach i racyonalistach. Wszyscy ci, jakkolwiek różnią się w swych systemach, zgadzają się jednogłośnie, że człowiek może z zupełną pewnością jedynie za pomocą siły rozumu rozwiązać kwestye tyczące się Boga, świata, człowieka, w ten sposób, że żadne dalsze bezpośrednie objawienie boskie nie jest potrzebne. Dzieło to nie zajmuje się filozoficznym, albo religijnym dowodem na usprawiedliwienie Chrystyanizmu, ale zbija na podstawie historyi twierdzenie Tindala, Makintosha, Condorseta, Schopenhauera, Buckla i innych, którzy mówią, że chrześcijaństwo nie udzieliło światu żadnych prawd obyczajowych przedtem nieznanych. Pogląd, na religijne sumienie pogańskich narodów w rzeczach wiary i obyczajów, przedstawia nam tak u pojedyńczych narodów jakoteż w najsławniejszych filozofach nader smutny obraz. Tamte oddały się na służbę materyi, ci usiłują zburzyć tradycyonalne pojęcie o Bogu, ale natomiast nie dają nam nic lepszego; a tak wspólnym najwyższym celem wszystkich, będzie gonienie za ziemską szczęśliwością. Oto trafny obraz, który maluje autor, przedstawiając nam stan wschodnich i zachodnich ludów. Ale jeszcze smutniejszy jest widok starożytnego świata, jeżeli się zwróci uwagę na stosunek człowieka do bóstwa (II. rozdział). Tu przywodzi nam autor własne świadectwa starożytnych, jakoteż najlepsze i najpewniejsze źródła z żyjącej mowy na udowodnienie okrucieństwa pogan; wskazuje na idące w parze z pogaństwem excessa i występki, na niewolniczą bojaźń w stosunku do bóstwa; na brak wiadomości o opatrznościowem rządzeniu światem, o wolności osobistej i nieśmiertelności; na nieznajomość istotnej równości wszystkich ludzi i brak poczucia obowiązku ogólnej miłości bliźniego (niewolnictwo). A choćby przy tem wszystkiem wspaniale odprawiano uroczystości, czyż obchodzić uroczystości a cieszyć się prawdziwym pokojem serca jest to samo? Nie — świat starożytny robi wrażenie skazanego na śmierć zbrodniarza, który jadłem i gorszącemi rozkoszami usiłuje osłodzić sobie ostatnie dni przed wykonaniem wyroku (Phaed. 65. p. 116. c.)

Zupełnie inaczej przedstawia się naród żydowski (III. rozdział). Na końcu zadaje sobie autor pytanie, czy może w przyszłości należy się spodziewać innego rezultatu badań rozumu ludzkiego całkiem zostawionego samemu sobie?

Mnogie cytaty świadczą o nadzwyczajnem oczytaniu autora. Styl jest jasny. Dzieło to wzbogaca literaturę apologetyczną i tem jest ważniejsze, że inne apologetyczne dzieła tę właśnie kwestyę już to pomijają, już to zbywają krótko. A ponieważ dzieło to ma zakrój historyczny, przeto stanowi przyjemną lekturę i podaje nam broń, której wartość szczególnie w naszych czasach jest nader wielka.

A. Arndt.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Słowianie na Węgrzech.

Narodowości słowiańskie. — Horwaci: stronnictwa horwackie, ich dążności, biskup Strossmayer w Zagrzebiu, usposobienie prasy wiedeńskiej i węgierskiej względem Horwatów, założenie kolegium horwackiego w Rzymie. — Serbi: w Horwacyi, w Węgrzech. — Rusini. — Słowacy: obudzenie i wzrost życia narodowego między Słowakami, prasa i wydawnictwa słowackie. — Streszczenie.

„Polak, Węgier dwa bratanki", śpiewali dawniej Madiarzy, potrącając kieliszkiem starego tokaja z braćmi Polakami; czasy się obecnie zmieniły — dziś mowa, wypowiedziana przez jednego z posłów galicyjskich, więcej zrobiła hałasu w Węgrzech, aniżeli w całej Europie. Dlaczego „idea Jagiellońska" takie wzburzenie wywołała u naszych sąsiadów? Trzej Jagiellończykowie im królowali, dwaj z nich po bohatersku krew swą przelali walcząc na czele ich hufców, do niedawna jeszcze „Eljen a Lengelek" rozlegało się po ich miastach, co zatem skłoniło Pester Lloyda et Comp. do takiego wystąpienia? Oto dowiedzieli się Madiarowie, że Polacy są Słowianami, a nic bardziej nie przeraża Madiarów nad marę panslawistyczną. Dziwić się temu nie można przypatrzywszy się bliżej składnikom etnograficznym ich kraju, i o tem właśnie chcę pomówić w dzisiejszym liście.

Węgry liczą 16 milionów mieszkańców; ilu jest Madiarów? Tego nikt nie wie. Choćby ich było 6 milionów, jak podają wykazy rządowe, to i w takim razie stanowiliby dopiero mniej więcej trzecią część ludności; to jest właśnie piętą Achilesową państwa wę-

gierskiego. Inni mieszkańcy, w liczbie około 10 milionów, składają się ze Słowian, Rumunów i Niemców; odliczając 4 miliony na dwa ostatnie szczepy, liczba Słowian równałaby się liczbie Madiarów, i gdyby Słowianie stanowili jednę całość, mogliby zrównoważyć wpływ Madiarów i przeważyć szalę panowania na swoją stronę; lecz tak nie jest. Słowiańscy mieszkańcy Węgier należą do czterech różnych pokoleń, różniących się między sobą tradycyami politycznemi, religią, a w części i językiem; żadne z nich nie wyrównywa liczbą, ani spójnością Madiarom, i dlatego ci ostatni mają zupełną przewagę.

Przewaga ta uwydatnia się najlepiej w wyborach do Izby. Gdyby wszystkie narodowości przedstawione były w sejmie węgierskim proporcyonalnie do liczby ludności, wówczas na 450 posłów powinnoby być: Madiarów 187, Rumunów 70, Serbów 70, Niemców 56, Słowaków 56 i Rusinów 11; tymczasem w rzeczywistości sejm składa się z 394 Madiarów, a tylko z 56 członków należących do innych narodowości. Słowacy i Rusini nie mają żadnego przedstawiciela. Dla zrozumienia tego stosunku przypatrzmy się bliżej słowiańskim narodowościom w Węgrzech.

Najprzód zauważyć należy, że ta druga część dualistycznego państwa Austro-Węgier polega również na dualizmie. Horwacya, połączona od ośmiu wieków z koroną św. Szczepana, zachowała niektóre dawne przywileje; jej urzędowy tytuł jest: „Trójjedyne królestwo Dalmacyi, Slawonii i Horwacyi". Mocą ugody, przedłużonej w r. 1878 na lat 10, Horwacya cieszy się autonomią, podobną do galicyjskiej; posiada swego Bana, swój sejm prowincyonalny, a na sejm wspólny do Pesztu wysyła około czterdziestu posłów. Ta ugoda nie zadawalnia ani Horwatów ani Madiarów. Madiarzy nie mogą zapomnieć Horwatom ich bana Jelaczyca, który w r. 1848 przyczynił się do zgniecenia rokoszu węgierskiego; nie mogą też przenieść, by w ich państwie istniała prowincya słowiańska niezależna, mogąca służyć za pochop innym Słowianom do podobnych wymagań i dążeń. Stąd usiłują madiaryzować, co się da, w Horwacyi. Nie udało się im roku zeszłego z herbami i napisami węgierskimi, musieli je zdjąć jak niepyszni, ale przynajmniej dali im bana, który nie jest rodowitym Horwatem.

Horwaci, ze swej strony, nie są zadowolnieni z tego co mają.

Dążą oni do połączenia się z Dalmacyą, do odebrania Rjeki (Fiume), którą sobie Madiarzy przywłaszczyli, wreszcie żądaliby takiego tylko związku z Pesztem, jaki istnieje tego ostatniego z Wiedniem. Lecz to jeszcze nie koniec, dążenia ich sięgają dalej. Oparci na swych prawach historycznych, pragną połączenia z Bośnią. Mieszkańcy Bośni są częścią Horwaci, częścią Serbi; Horwatów, a zatem katolików liczą tu przeszło 200.000, Serbów przeszło pół miliona; co się tyczy Bośniaków sturczonych, w liczbie również około pół miliona, tak Serbi jak i Horwaci do ich plemienności roszczą sobie prawa. Czas dopiero o nich rozstrzygnie; jednakże za panowania jeszcze tureckiego Muzułmanie bośniaccy więcej sprzyjali Horwatom; to zdaje się usprawiedliwiać podanie historyczne świadczące, że Horwaci jedynie należeli do sekty bogomilców, a ta właśnie sekta zmuzułmaniła się podczas zaboru tureckiego. Wreszcie marzą Horwaci o zjednoczeniu się ze Słoweńcami, z którymi łączy ich sąsiedztwo, wiara i język. Ludność Słoweńców krainskich, goryckich, triesckich, isterskich, styryjskich i koroskich wynosi, według ostatnich danych statystycznych, 1,140.304. Państwo słowiańskie południowo-zachodnie, miałoby tedy ludności około 5 milionów. Choćby i urzeczywistniły się marzenia Horwatów, przyszłość to jeszcze daleka; wspominamy tu o tem dla lepszego zrozumienia zawiłych stosunków słowiańskich w państwie austryackiem.

Ludność Horwacyi, nie licząc Dalmacyi, która obecnie należy do Cislitawii, wynosi około dwóch milionów; z tych trzy czwarte są Horwatami, reszta Serbi. Sejm prowincyonalny zasiada w Zagrzebiu; dwa są w nim wybitne stronnictwa: stronnictwo narodowe czyli rządowe, z którym złączyli się posłowie serbscy (30 członków) i stronnictwo prawa czyli opozycyjne, na czele którego stoi Dawid Starczewić. Starczewicianie burzliwością swoją, gwałtownemi, nieparlamentarnemi wystąpieniami źle zasłużyli się krajowi; cała tegoroczna sejmowa sesya była z ich powodu, jednym szeregiem zatargów, nieprzyzwoitych wyzywań, a nawet prostych bijatyk. Uśpienie religijne jest tu zupełne; nie mają mężów, ani nawet męża, któryby ich wywiódł z tego letargu. Arcybiskup zagrzebski kardynał Michajłowicz nie cieszy się uznaniem Horwatów; zarzucają mu, iż jest stronnikiem Madiarów, do tego stopnia, że podczas gdy całe duchowieństwo węgierskie zebrało się w Izbie Pa-

nów dla odrzucenia wniosku rządowego o małżeństwach mięszanych, arcybiskup Michajłowicz świecił tam swą nieobecnością. Biskup Strossmajer z Diakowa jest bardzo popularny, lecz mniej posiada ufności w sferach kościelnych. Istnieje jeszcze trzecia partya w sejmie horwackim mianowicie stronnictwo narodowe niezawisłe, lecz zbyt mało liczy członków (13), choć jedyne politycznie rozumne. Głównymi przedstawicielami tego stronnictwa są: Dr. Mazzura, Smiczi-klas i Zorić. W tegorocznym projekcie adresowym wystąpiło ono ze słusznemi skargami na postępowanie Węgrów. Gabinet liberalny p. Kolomana Tiszy jest odźwierciedleniem dawnego gabinetu centralistycznego wiedeńskiego, dąży do zmadiaryzowania innych narodowości, nie dotrzymuje zobowiązań zawartych w ugodzie z r. 1866, ani pod względem politycznym, ani ekonomicznym. Projekt adresu nie jest gołosłownem narzekaniem, ale zawiera mnóstwo szczegółów odnoszących się do postępowania ministeryum peszteńskiego i przeciwstawia temuż odnośne paragrafy ugody Obrót, jaki wezmą dalej sprawy w Horwacyi, zależeć będzie od rozumu politycznego tak Horwatów jak i Madiarów.

Wasze dzienniki i czasopisma, może bez wyjątku, nie znają zupełnie tutejszych stosunków. Wałkują wielką polityką, piszą o Sudanie i Tonkinie, nie opuszczają drobnostkowych szczegółów o popisach i występach tancerek i śpiewaczek, mają swych stałych korespondentów w Paryżu, obznamiających publiczność z jego błahostkami, lecz co się dzieje o miedzę, w ziemiach dawniej polskich, lub im pokrewnych, co się dzieje w Węgrzech, wiedzą to tylko co „Pester Lloyd“ w swych szpaltach zamieści. Mniejsza o to, że ich nazywają Kroatami, a ich kraj Kroacyą, choć nazwy te biorą tutejsi mieszkańcy za ubliżenie, mniejsza o to, iż przekręcają nazwy miejscowości, zwąc je z niemiecka, lub z madiarska: Diakowar, Krywosza, Kotar, Fiume... lecz w swej dobroduszności po za stronnictwem narodowem, alias rządowem, nic dalej nie widzą. Jak to śmiesznie wyglądało, kiedy jeden z dzienników z tryumfem rozpisywał się nad szczęściem, jakie spotkało posłów horwackich, przybyłych do Pesztu — sam pierwszy minister raczył ich przyjmować, a więc ugoda zostanie zachowaną czy przedłużoną! Otóż rzecz tak się miała. W sejmie zagrzebskim, po wydaleniu posłów prawicy (Starczewiczów), po dobrowolnem opuszczeniu Izby przez posłów

stronnictwa umiarkowanego, zostało tylko stronnictwo rządowe, które z pośród siebie wybrało posłów do Pesztu. Ci panowie po przybyciu do Stolicy oddali wizytę ministrowi; choćby nie byli figurami rządowemi, jeszcze i tak musieliby byli spełnić tę formalność, ale wywodzić stąd jakiś horoskop na przyszłość, to już czyste przywidzenie.

Czy ugoda zostanie przedłużoną, zobaczy kto doczeka, jak mówią Francuzi, tymczasem dzień 8, 9 i 10 listopada niedobrze wróżył. Biskup Strossmajer darował Zagrzebskiej Akademii Umiejętności swą galeryę obrazów, wartości półmilionowej, a ponieważ nie było stosownego umieszczenia, dał sto tysięcy reńskich na budowę odpowiedniego gmachu i dnia 8 listopada zjechał na uroczyste jego otwarcie. Ban i kardynał Michajłowicz nie dotrzymali placu, pierwszy wyjechał do Pesztu, drugi do Gradeca, tymczasem biskup diakowacki doznał królewskiego przyjęcia. Całe miasto z zastępcą prezydenta p. Crnadakiem wyszło na jego spotkanie i odprowadziło tryumfalnie do pałacu barona Vranicanya, gdzie stanął gospodą. Przez cały jego pobyt w Zagrzebiu miasto świętowało: mowy, śpiewy, koncerta, przedstawienia teatralne, illuminacye szły jedne po drugich, stronnictwa zawarły sojusz, nie dał się słyszeć żaden głos psujący harmonię ogólną, żaden wybryk nie naruszył porządku. Pomimo tego *Pester Lloyd, Nemzet, P. Naplo* i inne dzienniki madiarskie uderzyły na alarm, nazwały biskupa buntownikiem; do tego chóru przyłączyła się *N. Fr. Presse* naturalnie. Bardzo charakterystyczną cechą tego zajścia jest, iż wiedeńska *Vaterland,* w n. 321, broni biskupa i Horwatów przed napaściami i z całem uznaniem wyraża się o obchodzie. Dodać tu należy, że miasto Lublana przysłało wysłańców na tę uroczystość; pp. Zarnik, Hribar, Petriczić i Mosze, w imieniu Słoweńców brali w niej udział; ofiarowała nadto Lublana biskupowi tytuł honorowego obywatela. Pomiędzy obrazami darowanymi przez biskupa Strossmajera, znajduje się kilka pendzla naszych artystów, Matejki, Siemiradzkiego i Kotarbińskiego.

Życie umysłowe Horwatów skupia się około „Zagrzebskiej Akademii Umiejętności". Pod tytułem: „Rad Jugoslavenske Akademije" nie przestają uczeni horwaccy wydawać każdorocznie cennych prac odnoszących się do swej historyi. „Matica horwacka", „Stowarzyszenie św. Hieronima" i inne rozpowszechniają między ludem książki

pouczające. Kilkanaście czasopism horwackich zapoznaje ludność z biegiem wypadków i podtrzymuje ducha narodowego.

Wiadomością bardzo pocieszającą jest otwarcie seminaryum horwackiego w Rzymie. Oddawna istnieje tam kolegium i gospoda horwacka przy kościele św. Hieronima. Kolegium składa się z czterech kanoników i przełożonego (nadpopa); w gospodzie każdy podróżny Horwat przez trzy dni bywa bezpłatnie podejmowany. Przy tym właśnie zakładzie otworzono, z początkiem tego roku szkolnego, seminaryum dla młodzieży horwackiej. Każda z dyecezyi dalmackich, horwackich i bośniackich może posyłać corocznie jednego kleryka, na koszt zakładu, dla dokończenia studyów teologicznych. Po odbytym dwuletnim kursie nauk, wracają młodzi księża do swych dyecezyj. Rzecz to wielkiej wagi; najprzód, ze względu samej nauki, nadto ze względu liturgii: wiadomo bowiem jaki nieład liturgiczny panuje szczególniej w Dalmacyi. Rektorem kolegium mianowany został uczony horwacki X. Crnčić, kanonik kolegiacki. Horwaci ze Sławonii i Istryi, z wyjątkiem dyecezyi Krczkiej (Veglia), nie mogą korzystać z tego dobrodziejstwa; w XVII-ym bowiem jeszcze wieku, skutkiem różnych okoliczności, utracili przywilej do zakładu św. Hieronima.

Przechodzimy teraz do innego plemienia słowiańskiego, zbliżonego najbardziej do Horwatów językiem, lecz różniącego się przeszłością historyczną, religią i obecnemi dążnościami; chcemy tu *mówić o Serbach.*

Tak Serbi mieszkający w Horwacyi, Sławonii i Dalmacyi, jakoteż Serbi osiedleni we właściwych Węgrzech, przybyli tu po pogromie państwa serbskiego przez Turków. Wyznają wszyscy religię prawosławną, należą do patryarchy niezależnego w Karłowcach, używają w piśmie grażdanki z poprawkami Karadzića, a również cyryliki. Serbi w „trójjedynem królestwie", po przyłączeniu Krainy, liczą się na pół miliona, wybierają około 30 posłów do sejmu zagrzebskiego, gdzie stanowią osobny klub. Pomimo pewnego nacisku moralnego Horwatów, wbrew może prawdziwej polityce, chcą pozostać Serbami. Baron Živković wypowiedział to wyraźnie na posiedzeniu z d. 26 października r. z.: Srbi smatraju ovu zemlju uviek hrvatskom zemliom, ali se oni u nioj smatraju članovi plemena srbskoga. W tym roku członkowie

klubu serbskiego złączyli się ze stronnictwem narodowem, które im zawarowało przywileje samouprawy w cerkwi i szkole. Serbi węgierscy są dosyć rozróceni, najgęściej jednak osiedleni są w Banacie, a główne miejsce ich działalności jest Nowy-Sad (Neusatz-Ujvidek). Wzięci w kleszcze pomiędzy Madiarów i Rumunów, nie utracili swej narodowości, posiadają zmysł polityczny, wytrwałość a zarazem charakterystyczną giętkość — nie przebierają w środkach. Przed samymi wyborami tegorocznymi, udało się rządowi przeciągnąć część Serbów na swoją stronę; Serbi zebrani w Wielkiej-Kikindze zawarli sojusz z ministeryum, wskutek czego wyszło z urny kilku kandydatów rządowych. Serbi katolicy zamieszkujący okolicę Sabadki, trzymają się zdala od Serbów prawosławnych; sami siebie zowią Szokcy, a tym ostatnim dają nazwę Wlachy. Szokcy mówią po serbsku, używają alfabetu łacińskiego, w statystykach rządowych zaliczeni są do Madiarów. Antunowicz, Miladinowicz i Mamużicz wydawaniem stosownych dziełek obudzają ich poczucie narodowe. W dawniejszych wyborach głosowali z opozycyą, w tym roku rządowi kandydaci pozyskali ich głosy; według P. Naplo, 46,000 Bunewaców stanęło po stronie ministeryalnej. Serbi węgierscy, stanowiąc trzydziestą część wszystkich mieszkańców, mogą mieć jedynie przyszłość w związku z tą ludnością słowiańską, która dotąd nie okazała znaków życia politycznego — z Rusinami i Słowakami.

Rusini węgierscy, począwszy mniej więcej od Bardiowa i Preszowa, zajmują stoki południowe gór karpackich ku Wschodowi. Ludność ich wynosi około 400,000, należą do kościoła wschodniokatolickiego, mają biskupstwa w Preszowie i Munkaczowie pod metropolitalnym zarządem arcybiskupa Ostrihomskiego (Gran); dyecezya Križewacka składa się częściowo tylko z Rusinów. Rozsiani wśród innych plemion i szczepów łatwo się wynarodawiają. Wykształceńsi dla kawałka chleba madiaryzują się, ludność wiejska w zetknięciu z Wołochami staje się rumuńską.

Słowacy dość skupieni, zajmują północno-zachodnie strony Węgier. Madziarzy, po zgnieceniu państwa morawsko-słowiańskiego, wyparli tubylców z dolin Dunaju i Cisy, orężnym klinem rozbili ich na dwie połowy: jedni Słowianie, parci ku południowi, podążyli do swych pobratymców Horwatów, gęsto już osiadłych nad Sawą, Drawą i Adryatykiem; inni, parci ku północy, w bezdroż-

nych a lesistych odnogach Beskid i Tatr ocalenia szukali. Podczas gdy Horwaci, po złączeniu korony Zwonimira z koroną św. Szczepana, zachowali samouprawę i życie polityczne, Słowacy, rozbici na jednostki, nie stanowili nigdy żadnego osobnego zarodku politycznego. W dawnej dobie część ich kraju należała do Piastowiczów, od czasu do czasu oddzielne ich okręgi wyzyskiwane były przez malkontentów węgierskich i czeskich, wreszcie ziemia Spiska do pierwszego rozbioru należała do Polski. W tych warunkach nie mógł się wyrobić w Słowakach żaden zmysł narodowy polityczny, tem bardziej, iż za czasów reformy znaczna ich część oderwała się od Kościoła katolickiego i przyjęła wyznanie luterskie. Nie istnieje dziś między Słowakami życie polityczne, ale nie zamarło poczucie narodowe, owszem, wzmaga się ono coraz bardziej, wbrew i na przekor uciskowi madiarskiemu. Ruch narodowy w Czechach był główną pobudką do rozbudzenia życia między Słowakami: poczęli się krzątać około wydawnictw popularnych, przyjęli pisownię czeską i językiem coraz to więcej do nich się zbliżają. Zamknęli im Madiary gimnazya słowackie, posyłają młodzież swoją do Pragi; zamknęli im „Maticę Słowacką“, przez czasopisma i liczne książeczki popularne nie przestają szerzyć między ludem poczucia narodowego. W Turoczkim św. Marcinie (Turč. Sv. Martin) skupia się życie umysłowe Słowaków; wychodzą tam następujące czasopisma: *Narodnie Noviny,* redak. A. Pietor. *Stovenske Pohl'ady,* redak. Hurban Vajansky. *Narodni Hlasnik,* redak. A. Pietor. *Obzor,* red. R. Zaymus. *Černokňažnik,* pismo humorystyczne, red. D. Čajda. Nadto w Tyrnawie wydaje X. M. Kollar *Katolickie nowiny,* a w Skalici wychodzi *Kazateľňa,* której redaktorem jest X. A. Osvald.

Jakkolwiek nie istnieje życie polityczne między ludem, istnieje jednak stronnictwo polityczne słowackie, w którego imieniu wyszło, w „Narodnich Nowinach“ z d. 5 czerwca r. z., oświadczenie powstrzymania się od wyborów tegorocznych; oświadczenie podpisane zostało przez pp. Mudronia, Francisci, Jesenskego, Dullę i Pietora. W dawniejszych wyborach Słowacy kusili się o zdobycie kilku krzeseł w Izbie, lecz napróżno; brak poczucia politycznego między ludem z jednej strony, z drugiej zaś agitacye rządowe uniemożebniły ich usiłowania. Jeżeli jakiemu Słowakowi udało się otrzymać większość głosów, to zawsze znaleziono jakiś kruczek do unieważnienia,

a nowe wybory tak wyznaczano, iż trudno było agitatorom słowackim ściągnąć swych gazdów, zatrudnionych robotami w polu. Lud słowacki ogólnie nie bierze udziału w wyborach, w niektórych tylko okolicach agitatorowie ściągają datkiem, obietnicą lub grozą poczciwych wieśniaków. We wszystkich prawie okręgach słowackich przeszli kandydaci rządowi, ogólnie ci ostatni wyszli zwycięzko w okręgach niemadziarskich, w madziarskich zaś zwyciężyła opozycya. Koniec końców nie mają na sejmie Słowacy ani jednego przedstawiciela, nadto nie mają w kraju ani jednej szkoły średniej z wykładem słowackim.

Według ostatniego sprawozdania ministra Treforta, z końcem zeszłego roku szkolnego, było w Węgrzech szkół średnich 178, uczniów zaś uczęszczających było 37,520. Uczniowie wedle narodowości tak się dzielili: Madiarów 26,471, Niemców 5,787, Rumunów 2,236, Słowaków 1,684, Serbów 794, Włochów 179, Rusinów 144, innych narodowości 225. Żydzi zaliczeni są do Madiarów a nadto, nie ma wątpliwości i bardzo wiele innych nie madziarskiej narodowości. Nie było ani jednej szkoły z wykładem słowackim lub ruskim; a nietylko sam rząd nie ustanowił takiej szkoły, ale nawet zamknął kilka szkół, które Słowacy swojem staraniem urządzili, dając za powód propagandę panslawistyczną. Tenże sam powód podał rząd do zamknięcia „Maticy Słowackiej", tak, iż obecnie istnieje tylko jedno stowarzyszenie, ale pań słowackich, w Tur. św. Martynie, pod nazwą „Živeny"; rząd nie chce wystawić się na śmieszność i zostawia mu swobodę działania.

Słowacy od czasu do czasu dają przecież znaki życia, i tak, przed kilkoma miesiącami obchodzili pięćdziesięcioletnią rocznicę swej narodowej pieśni „Hej Słowacy" napisanej przez Tomaszika, pastora protestanckiego. Patryota słowacki doznał szczególniejszego przyjęcia w Pradze od różnych stowarzyszeń i kółek czeskich. W grudniu r. z. obchodzono również w wiedeńskiem kole słowiańskim pamiątkę śmierci Holuba i Szuleka, młodzieńców słowackich, powieszonych w r. 1848 z rozkazu Koszuta. Wreszcie, jakeśmy już byli wspomnieli, Słowacy wydają dość znaczną liczbę dziełek popularnych; na większą uwagę zasługuje jedno czasopismo wychodzące w Pradze pod tytułem: *Z Potulek po Slovensku*, redagowane przez Rudolfa Pokornego. Autor opisuje swą podróż po okolicach

słowackich, zapoznaje czytelnika z miejscowością, zwyczajami ludowymi, podaniami i historyą kraju.

Ciekawe broszury wydał znany pisarz słowacki Fr. V. Sasinek: Sw. Metod a Uhorsko i Arpad a Uhorsko. Słowacki historyk stara się udowodnić, że Bułgarzy, Chazarowie, Ugrowie należeli do szczepu słowiańskiego; czarni tedy Ugrowie, którzy z pozwoleniem Świętopełka morawskiego osiedli wraz z swym wodzem Arpadem na Pociszu, nie zmienili postaci kraju, swoi przyszli do swoich. Dopiero Kumanowie, którzy przybyli wraz z Tatarami w wieku XII., doszedłszy do władzy pod Władysławem IV. poczęli gnębić Słowian, a ci Kumanowie właściwie byli ojcami dzisiejszych Madiarów. Nie wchodzę tu w ocenę dowodów, charakterystyczną jest tylko rzeczą, iż Słowacy, nie mogąc inaczej bronić się przed zmadiaryzowaniem, usiłują przynajmniej historycznie uzasadnić swe prawa do ziemi, którą zajmują. — Nakoniec muszę wam donieść, że mowa ostatnia p. Riegera przykre wywarła wrażenie wśród Słowaków. Jakkolwiek przywódzca stronnictwa staroczeskiego zmuszony był politycznie do jej wypowiedzenia, winien był zacieniować w niej drażliwe dla Słowaków ustępy; przedewszystkiem zaś, nie powinien był wygłaszać słów, obrażających cały stan duchowny katolicki, bez ich poprzedniego stwierdzenia. P. Rieger powiedział mianowicie, iż „słyszał ze strony węgierskiej“, jakoby duchowieństwo katolickie, zadowolnione tłustemi prebendami, niedbało zupełnie o lud słowacki i nie starało się od powstrzymania go od nałogu pijaństwa. Najprzód dziwnie brzmi w ustach męża stojącego na czele tak poważnego stronnictwa politycznego wyrażenie słyszał. Wiele się słyszy, ale wierzy się prawdzie i prawdę tylko wolno wygłaszać. Że ministrowie węgierscy, Kalwini, źle są usposobieni dla katolicyzmu, rzecz ta jest znana, że pragnęliby anektować dobra duchowne, na zaanneksowanie których nie odważył się sam Józef II., rzecz jest również znana i o tem wiedzieć powinien p. Rieger. Lecz czy duchowieństwo nie dokłada starań o wykorzenienie pijaństwa, o tem należało się dowiedzieć i przekonać, a nie mówić na wiatr. Jeżeli ta rzecz nie jest znaną p. Riegerowi, znaną jest innym. Wszyscy tu wiedzą, że rządowi węgierskiemu nie chodzi całkiem o to, czy duchowieństwo naucza lud, i co naucza, lecz jedynie w jakim języku przemawia. Parę miesięcy temu rada miejska w Koszycach, czy

w Preszowie oskarżyła OO. Dominikanów o panslawizm, z tego jedynie powodu, iż każą w swym kościele po słowacku. Przed kilku laty biskup Spiski dowiadując się, ile dobrego robią w Galicyi misye pod każdym względem, szczególniej zaś, że całymi tysiącami wyrzeka się lud używania gorących trunków, wiedząc, że Słowacy bardzo licznie ciągną z Węgier, by brać udział w tych misyach, skoro odprawiają się na pograniczu, zaprosił misyonarzy polskich do swej dyecezyi; misye miały się rozpocząć, lecz drakoński telegram z Pesztu rozprószył zgromadzonych — misye surowo zostały zakazane. Toż samo, kubek w kubek, powtórzyło się w końcu roku zeszłego z misyonarzami czeskimi. Nie duchowieństwo zatem, lecz duch madiaryzacyi stawia przeszkody w umoralnieniu ludu; w ciągu zaś wyborów do Izby ajenci właśnie rządowi upajają lud dla przekabacenia go na swą stronę. O tem wszystkiem można i trzeba było się dowiedzieć przed wygłoszeniem mowy; wiedzieć i wypowiedzieć to był winien zwłaszcza p. Rieger, który zwalcza rozwielmożniony w Czechach husytyzm. Zresztą wszystko to na nic się nie przyda. Słowacy tak są związani etnograficznie i historycznie z Morawą i Czechami, iż życie narodowe tych ostatnich, pomimo wszelkich przeszkód stawianych w Węgrzech, będzie się przelewać i rozbudzać w sąsiadujących z nimi okolicach tatrzańskich.

Na zakończenie powtarzam główny punkt mego listu: że stronnictwo będące od lat blisko dziesięciu przy władzy, zowiące się liberalnem, jest stronnictwem czysto centralistycznem, siostrzycą rodzoną lewicy wiedeńskiej; od lat też dziesięciu, środkami jakie mu daje władza, godzi w to wszystko, co nie jest madiarskie. Czy dola Słowian zmieniłaby się ze zmianą ministerstwa, trudno jest orzec. Sądząc jednakże z usposobienia prasy, z mów wygłaszanych w sejmie, możnaby wnioskować, iż stronnictwo katolickie, gdyby się wytworzyło — na co się niestety nie zanosi — mogłoby jedynie uspokoić rozdrażnienie narodowościowe i zarazem przyczynić się do spojenia tylu różnorodnych czynników w ściślejszy związek państwowy.

Θ. X.

Z Prus Zachodnich.

Stosunki narodowościowe. — Zmiana polityki koła polskiego w Berlinie. — Obywatelstwo i stosunki ekonomiczne kraju. — Wpływ duchowieństwa. — Religijno-moralny stan ludu.

Zabór pruski liczy przeszło trzy miliony Polaków, którzy mieszkają w czterech osobnych dzielnicach, na Szlązku, w Wielkopolsce, Prusiech Zachodnich i Wschodnich. Każda z tych dzielnic odmienną ma przeszłość historyczną; trzy pierwsze należały niegdyś do Polski, z Prus Wschodnich tylko Warmia należała do niej bezpośrednio, Mazurów zaś bezzależność pośrednia tak była luźną, że Polska żadnego na nie nie wywierała wpływu i dopuściła w końcu, że prawie pół miliona ludności polskiej, namową i podstępem zlutrzałych książąt zachodniopruskich, oderwane zostały od Kościoła katolickiego. Wielkopolska ma najwięcej polskiej tradycyi, wszakżeż w niej leżała kolebka pierwotnego państwa polskiego i aż do r. 1793 tworzyła ona integralną część Rzeczypospolitej. Szląsk bardzo wcześnie oderwał się od Polski i przeszedł pod panowanie niemieckie, dlatego nie ma w ludzie żadnego już poczucia przynależności do całości narodu polskiego. Szlązacy mają przywiązanie do swego języka, ale przeszłość polska jest im obcą, bo na ich ziemi nie zachowała się ani jedna pamiątka dawniejszej chwały narodowej. Chociaż więc ludność Szląska dorównywa liczebnie ludności wielkopolskiej, to jednak w walce o byt, jaką toczy narodowość polska w Prusiech, bierze ona bardzo słaby udział, i dotąd nie wysyłała do Berlina ani jednego posła, któryby zasiadał w Kole polskiem.

Warmia i Mazury w trudniejszych jeszcze zostają warunkach. Na Szląsku wychodzą już gazety polskie, praktykuje kilku lekarzy Polaków, a co najważniejsza, spory zastęp duchownych polskich przyznaje się otwarcie do swej narodowości i pokazuje przygnębionym masom, że Wasserpolak (tak nazywają Niemcy Górnoszlązaków), a prostak, niekoniecznie to samo. Na Warmii nie wiem, czyby trzech podobnych duchownych się znalazło, zamiejscowe zaś gazety polskie dopiero od bardzo niedawna tu i owdzie zabłądzą pod strzechę warmijskiego gospodarza. Od czasu objawień gietrzwałdzkich po-

wstały we wiosce Gietrzwałdzie dwie księgarnie polskie, które przynajmniej polskie książki do nabożeństwa i kalendarze rozszerzają, ale zresztą nie masz na Warmii ani jednej biblioteki ludowej, ani jednego towarzystwa polskiego, a po szkołach wyższych język polski nawet do przedmiotów fakultetycznych, jak np. hebrajski nie należy.

Mazury, chociaż długim pasem ciągną się nad granicą Królestwa Polskiego i częstą z niem mają styczność, są jakby chińskim murem oddzielone od reszty narodu, gdyż ludność ich wyznaje protestantyzm i jest przytem dosyć fanatycznie usposobioną. Mazur zetknąwszy się z Polakiem katolikiem sam nie wie, jak się ma zachować, język i temperament ten sam, każą w nim widzieć brata, gdy tymczasem od dawna wpajana nienawiść do katolicyzmu czynią go podejrzliwym i nieszczerym. Jak mało jednakże zimne zasady protestantyzmu zdolne wypełnić serce i umysł, osobliwie jeżeli one tak są rozwinięte, jak u narodów słowiańskich, widać jasno na Mazurze. W głębi duszy jego tli jeszcze iskra katolicyzmu, zachował on dotąd dawne nabożeństwo do Najświętszej Panny, w wielkiej potrzebie niesie jałmużnę na Mszę św. do księży katolickich, a na odpusty podąża razem z katolikami do sąsiednich kościołów warmińskich.

Prusy Zachodnie zajmują pośrednie stanowisko pomiędzy Wielkopolską a resztą ziem polskich zaboru pruskiego, ale więcej są zbliżone do pierwszej. Jedna ich część, t. j. Chełmińska i Michałowska ziemia należały do Polski jeszcze przed przyjściem Krzyżaków, Pomorze zaś miało przed Krzyżakami własnych książąt polskich, będących w pewnej od królów polskich zależności; jedyna Malborska ziemia, dopiero po pokoju toruńskim pierwszy raz zetknęła się z Polską, chociaż ludność polska razem z Krzyżakami, a może jeszcze przed nimi ją zajmowała. W Prusiech Zachodnich pełno też pamiątek z przeszłości naszej; Gdańsk dotąd nie starł śladów panowania Rzeczypospolitej, najokazalszą ozdobą sławnej jego giełdy jest posąg króla polskiego. W ludu pamięci przechowują się świeżo wojny szwedzkie, w których oręż nasz nie jedno świetne odniósł zwycięztwo, szlachta zaś do dziś wylicza dostojników swego rodu, którzy niegdyś wysokie piastowali urzęda w Rzeczypospolitej. Ta silna i nieprzerwana tradycya tłumaczy nam, że Prusy Zachodnie pod względem życia narodowego o tyle tylko ustępują Wielkopolsce,

o ile licząc, ledwo połowę ludności polskiej, którą ma Księstwo [1], nie są wstanie zakładać i utrzymywać tyle i tak wielkich instytucyj narodowych, jakie ma Poznań. Ale podobnie jak Wielkopolska są Prusy Zachodnie reprezentowane w Kole polskiem w Berlinie przez odpowiednią liczbę posłów, gdy tymczasem Szląsk, Warmia, i Mazury nie wybierają dotąd posłów Polaków.

Okoliczność ta, że w Kole w Berlinie zasiadają tylko reprezentanci ziem polskich po pierwszym i drugim rozbiorze Prusom przypadłych, była jedną z przyczyn, że Koło dotychczasową swoją politykę opierało głównie na traktatach wiedeńskich; dopiero w najnowszym czasie odezwały się głosy przeciw tej ciasnej polityce. Wypada ją już z tego względu porzucić, że Koło, upominając się o prawa nasze na podstawie traktatów wiedeńskich, nie może równocześnie żądać tych praw dla Mazurów i Górnego Szląska, bo do nich traktaty wiedeńskie się nie odnoszą. A jednak wszystkie prawa, jakich Koło dla Prus Zachodnich i Wielkopolski żąda, tj. równouprawnienia języka polskiego z niemieckim i swobody religijnej, tak samo wszystkim ziemiom przez Polaków zamieszkałym się przynależą, a jeżeli nie poręczyły je mocarstwa traktatami, polegają one na porządku bożym, który starszym i ważniejszym jest od wszystkich traktatów dyplomatycznych. Lecz powróćmy do Prus Zachodnich.

Wyliczając przyczyny różnego położenia, w jakiem znajdują się cztery oddzielne dzielnice polskie, pominąłem jednę z główniejszych; jest nią brak większych obywateli ziemskich polskiej narodowości na Szląsku, Warmii i Mazurach, a obecność tychże w Prusiech Zachodnich i w Księstwie. Ponieważ naród nasz nigdy nie posiadał dostatecznej inteligencyi miejskiej, obywatelstwo ziemskie było dawniej jedyną, a dziś jest jeszcze najgłówniejszą dźwignią życia narodowego w obu tych prowincyach. Zacznijmy więc opis społeczeństwa zachodniopruskiego od krótkiego scharakteryzowania obywatelstwa.

---

[1] W Prusiech Zachodnich mieszka 693000 katolików i 672000 protestantów, pomiędzy katolikami jest przeszło 100,000 Niemców, a około 550,000 Polaków. W III. tomie Pamiętnika Fizyograficznego na rok 1883, znajduje się mapa etnograficzna Prus Zachodnich i Wschodnich, ułożona przez dra. J. L. Kozłowskiego, która podaje rozmieszczenie narodowości polskiej i niemieckiej.

Posiadłość ziemska odgrywa w walce o byt narodowości polskiej w Prusiech daleko większą rolę, niż leżące kapitały, rząd pruski stara się bowiem przez szkoły germanizować dzieci, a przez wojskowość dorastającą generacyę męską; tam zaś, gdzie majątki większe są w ręku niemieckiem, właściciele ich współzawodniczą z rządem w germanizowaniu dorosłych jednostek i całych familj. Stąd wynika, że jedynym środkiem na powstrzymanie zgubnych zapędów germanizacyjnych, jest utrzymanie ziemi w ręku polskiem, bo gdzie dziedzic Polak, tam lud pomimo wszelkich wysileń ze strony rządu nigdy się nie zniemczy. Prasa polska ciągle też regestruje każdy ubytek własności ziemskiej, nawołując obywateli, aby wszelkiemi siłami starali się utrzymać przy glebie po przodkach odziedziczonej, a mimo to rok rocznie i w Prusiech Zachodnich, tak jak w Księstwie, znaczny obszar posiadłości polskiej przechodzi w ręce niemieckie. Gdzież leży przyczyna tego smutnego objawu, czy winne tu jedynie obywatelstwo same? Nie można zaprzeczyć, że i pomiędzy obywatelstwem Prus Zachodnich znalazły się jednostki, które lekkomyślnością i nierządem roztrwoniły majątek, ale takie przypadki były rzadkie; większa natomiast część obywateli usilną pracą i oszczędnością stara się utrzymać dla siebie i familii ziemię, jako najgłówniejszy skarb narodowy, a jeżeli nie wszystkim się to udaje, leży to w stosunkach od obywateli niezależnych.

Otóż od kilkunastu lat, a osobliwie od wojny francusko-niemieckiej, stała się posiadłość ziemska w Niemczech bardzo ruchomą, majątki zaczęły szybko zmieniać właścicieli a wielka ich część przechodziła w ręce kapitalistów. Losowi temu musiała w końcu uledz znaczna część ziem polskich z tą różnicą, że między kupującymi kapitalistami nie było Polaków, sprzedawali więc dobra Polacy i Niemcy, ale nabywali je tylko ostatni. Nieobeznany ze stosunkami możeby zrobił zarzut społeczeństwu zachodniopruskiemu, że z pośród niego żaden wielki nie wyrobił się kapitalista, któryby mógł nabyć znaczniejsze obszary ziemi; zarzut taki byłby jednakże niesłuszny. Wielkie kapitały można zebrać tylko za pomocą handlu i przemysłu, a gdzież kupiec lub przemysłowiec Polak, chociażby był najdoskonalszym w swoim zawodzie, ma w Prusiech Zachodnich możebność tak wielkiego obrotu towarów, któryby mu nadzwyczajne przynosił zyski? Polacy mieszkają rozdzieleni po całej prowincyi,

nie mają więc miasta, któreby dla wszystkich było środkowym punktem i gdzieby u polskich kupców i przemysłowców mogli nabywać towary. Dlatego znajduje się w każdem miasteczku kilku kupców i przemysłowców Polaków, ale ci skazani na nielicznych odbiorców swej narodowości (Niemcy bowiem prawie nigdy od Polaków nie kupują) do wielkiego majątku dojść nie mogą. W Księstwie jest Poznań środkowym punktem prowincyi, jest tam więc kilkunastu zamożnych kupców Polaków; ale i w Poznaniu wielcy kapitaliści powstać nie mogą, bo połowa ludności jednej prowincyi takowych wytworzyć nie zdolna. W ogóle w narodzie naszym tylko Królestwo może nagromadzić znaczne kapitały w ręku jednostek; ale już sam niski kurs waluty rosyjskiej nie pozwala kapitalistom warszawskim nabywać dobra ziemskie w Prusiech; nie obyłoby się to bez znacznych ofiar, do których nikt dotąd, mimo wielostronnej zachęty, skłonności nie okazał.

Jeżeli pod względem ekonomicznym obywatelstwu Prus Zachodnich żadnej nie możemy udzielić nagany, nie zasługuje ono na takową i pod względem społecznym i religijnym. Jest ono bez wyjątku szczerze katolickie i konserwatywne; nigdzie nie słychać o nieporozumieniach pomiędzy niem a duchowieństwem, ani o niezadowoleniu ludności roboczej ze swych chlebodawców. Jeżeli ludność ta w znacznej liczbie wychodzi do Ameryki, czynią to właśnie ci, którzy mieszkając długie lata pod tym samym panem, uzbierali sobie jakiś kapitalik, za który spodziewają się za oceanem nabyć wielkie obszary ziemi. Często jednakowoż rozczarowani i po stracie wszystkiego wracają do kraju i u tego samego dziedzica szukają na nowo pomieszczenia.

Obok obywatelstwa jest u nas duchowieństwo przewodnikiem ludu, jego wpływ jest nawet daleko większy, ale za to też i przeszkody, jakie mu w ostatnich czasach stawiano, znacznie są większe. Byli u nas dawniej tacy, którzy mniemali, że zadaniem duchowieństwa jest ograniczenie się na kazalnicę i konfesyonał, a zupełne odsunięcie się od życia publicznego; to pojmowanie rzeczy jednak już bardzo się odmieniło. W istocie polityka w poziomem znaczeniu, spory osobiste, materyalne interesa stronnictw, nie obchodzą bynajmniej Kościoła; ale polityka wyżej sięgająca, tj. moralność w zastosowaniu do życia społeczeństw, interesa religijne, ściśle nieraz z do-

czesnymi związane, pojęcia i zasady, rozpowszechniane w celu utorowania drogi pewnym kierunkom rządów lub stronnictw, to wszystko nietylko obchodzi zbliska Kościół, ale należy do niego jako najwyższego nauczyciela i stróża religii i moralności. Dziś więc, kiedy w naszym kraju pod nazwą polityki te najwyższe interesa są w grze, a przeciwnicy Bożego na świecie porządku wszelkich używają środków, by lud zwieść, odebrać mu świadomość jego praw, lub odwieść go od obowiązku bronienia tych praw, właściwą jest rzeczą, a często powinnością dla kapłana stać na wyłomie, walczących pouczać, zachęcać i zagrzewać.

Przeważna część duchowieństwa zachodnio-pruskiego pojmuje obowiązki swoje z tak wysokiego stanowiska i razem z obywatelstwem kieruje i podtrzymuje pisma ludowe, zakłada biblioteczki parafialne, bierze udział w towarzystwach rolniczych, spółkach pożyczkowych, jednem słowem korzysta z wszystkich swoich praw obywatelskich, używając swej inteligencyi i wpływu na umoralnienie ludu przez oświatę i podniesienie jego dobrobytu materyalnego. Ale z żalem powiedzieć trzeba, że nie wszystkich duchownych wpływ jest równie dodatni. Wyjaśnimy to szczegółowiej.

Podaliśmy powyżej liczbę katolików Polaków i Niemców w prowincyi, przyczem trzeba nadmienić, że statystyka rządowa zwykle na niekorzyść Polaków wypada. Temu stosunkowi nie odpowiada narodowość duchowieństwa, będzie pomiędzy niem pewnie trzecia część Niemców, a w tych okolicach Prus Zachodnich, które należą do dyecezyi warmińskiej, niemal wszyscy duchowni liczą się do narodowości niemieckiej. Nie byłoby to samo w sobie złem, gdyby ci duchowni Niemcy władali dostatecznie językiem polskim, i w nim lud polski o wierze pouczali. Ale kulturkampf i dążenie rządu pruskiego do rozszerzenia władzy i na sfery czysto kościelne, uczynił ten stosunek niebezpiecznym dla narodowości, a pośrednio i Kościoła. Powiedzieliśmy, że rząd pruski usiłuje za pomocą szkoły rozszerzyć germanizm, wydalił on nadto język polski z wszystkich dykasteryj rządowych, pozostał jedynie Kościół, gdzie śpiew polski i kazania się utrzymały. Aby usunąć to ostatnie paladyum języka naszego, zaczął rząd od czasu kulturkampfu przy rozdawaniu probostw (w dyecezyi chełmińskiej większa część probostw jest rządowego patronatu) w pierwszym rzędzie uwzględniać tylko Niemców,

prezentując Polaków tylko wtedy, jeżeli Niemców zabraknie. Podobnie i opróżnione kanonikaty, skoro prawo prezentacyi przysługuje rządowi, bywają obsadzane przez duchownych niemieckich. Tym sposobem chciałby sobie rząd z duchowieństwa zrobić powolne narzędzie i przy jego współdziałaniu wyrugować język polski z Kościoła. Dotychczas wprawdzie próby pod tym względem nie przyniosły pożądanych skutków, ale bo ten system dopiero od niedawna wszedł z całym rygorem w życie, a na przyszłość nie chciałbym gwarantować, czy nie znajdą się tacy duchowni, którzy samowolnie będą w myśl rządu ograniczali język polski. Zachodzą bowiem już przypadki, że proboszczowie dzieci polskie, jeżeli tylko jako tako rozumieją po niemiecku, w tym języku przysposabiają do Sakramentów św. a w części prowincyi należącej do warmińskiej dyecezyi w niektórych miejscach już i liczbę kazań polskich znacznie zmniejszono.

Praktyka ta, nie mówiąc już o krzywdzie, jaką wyrządza narodowości, i pod względem religijnym zgubne pociąga za sobą skutki. Bo czyż prawdy religijne, w obcym wykładane języku, zdolne poruszyć serce i umysł tak, aby na zawsze je posiadły, czyliż przeciwnie nie odbiją one się niezrozumiale o uszy słuchaczy? Rząd pruski nie powinien nawet w własnym interesie chwytać się takich środków do zgermanizowania Polaków, bo dotąd oni mu w niczem się nie sprzeniewierzyli, a odbierając im narodowość i osłabiając przekonanie religijne, narusza dwa ważne czynniki moralne i łatwo część tej ludności popchnąć może w szeregi socyalistyczne. A socyalnych demokratów ma rząd pruski pomiędzy niemiecką narodowością dosyć!

Powyższy argument nieraz posłowie polscy w Berlinie przytaczali, wzywając rząd, aby zaprzestał gnębienia narodowości i Kościoła, ale reprezentanci rządu pomijali go lekceważeniem. Nadzwyczajne powodzenie oręża i polityki Prus wzbudziło w państwie tem przekonanie, że powodzenie to na zawsze przykute do jego rydwanu i dlatego nie ma powodu ani z nikim się liczyć, ani niczego obawiać. Ale czyż ciężkie dni niepowodzeń i nieszczęścia minęły już jakąkolwiek jednostkę, lub jakiekolwiek państwo?

Przechodząc do ludu trzeba na wstępie odpowiedzieć na pytanie, o ile grasujące dziś w państwach europejskich idee socyalistyczne przystęp do niego znalazły. Odpowiedź będzie na to krótka;

dotąd lud nasz ideami tego rodzaju wcale jeszcze nie dotknięty, a to z dwóch przyczyn. Raz że lud polski mieszka przeważnie po wsiach, a socyalizm głównie pomiędzy robotnikami wielkich miast się krzewi, a po drugie, co najgłówniejsza, jest to lud polsko-katolicki. Głos kapłana nie jest jeszcze w obec niego głosem wołającego na puszczy, a tam gdzie kapłan stoi na straży, nie dojdzie chłopa polskiego żadne pisemko komunistyczne, a jeżeli go przy sprężystej agitacyi, jaką rozwijają socyaliści w Niemczech, dojdzie, nie zdolne jadu swego trwale w nim zaszczepić. Tego wpływu nie ma kościół protestancki na swych wyznawców; z tego powodu owych kilkuset socyalistów, jacy są w prowincyi, składa się z Niemców protestantów.

Z tych samych przyczyn i pod względem moralnym ludność polska wyżej stoi od niemieckiej, dowodzi tego nietylko statystyka zbrodni i samobójstw, ale i wzrost tych narodowości w prowincyi. Wiadomą jest bowiem rzeczą, że im moralniejsze jest społeczeństwo, tem szybciej się pomnaża; otóż w Prusiech Zachodnich jest przyrost ludności polskiej, mimo że znaczna jej część corocznie wychodzi do Ameryki, większy niż niemieckiej. Niemcy zarzucają zwykle chłopu polskiemu skłonność do pijaństwa, i w rzeczy samej jego lekkie usposobienie prędzej mu pozwala zapomnieć się przy kieliszku, niż powolny i wyrachowany temperament Niemca, ale pijaństwo ludu polskiego w Prusiech Zachodnich, nie ma groźnego charakteru. Przed kilkunastu laty było ono daleko bardziej rozpowszechnione, ówczesne jednak misye OO. Jezuitów, głównie przeciw niemu skierowane, tak zbawienne wywarły skutki, iż przypadki pijaństwa zachodzą dotąd tylko sporadycznie, a ogół ludności utrzymał się wstrzemięźliwym.

Ponieważ w Prusiech panuje od dawna przymus szkolny, przeto ludność polska stoi pod względem oświaty daleko wyżej, niż odpowiednie warstwy tej ludności w Królestwie i Galicyi. Ale mogłaby ona przy wrodzonych zdolnościach jeszcze wyższy zajmować stopień oświaty gdyby nie ta okoliczność, że większą część kursu szkolnego wypełnia mozolne uczenie się języka niemieckiego, a dalej, że nawet inne przedmioty szkolne wykładają się dzieciom polskim w obcym im języku niemieckim. Dowodem wysokiej oświaty ludu polskiego w zaborze pruskim są pisma peryodyczne specyalnie dla

niego wydawane. Najstarszym z nich jest *Przyjaciel Ludu*, wychodzący dawniej w Chełmnie, a od lat kilku przeniesiony do Poznania. Obok niego powstał w Toruniu *Przyjaciel*, redagowany przez znanego pisarza i mówcę ludowego p. Danielewskiego. Oba te pisma wychodzą co piątek, ażeby lud roboczy, który je czytuje, mógł w niedzielę po południu do rąk je dostać. Dla klas średnich wychodzi w Pelplinie trzy razy tygodniowo *Pielgrzym* z dodatkiem niedzielnym *Krzyż*. Pisma te stoją na gruncie katolickim, osobliwie *Pielgrzym* ma oprócz wiadomości politycznych, rozprawy i nauki treści religijnej.

Streszczając nasz pogląd na stosunki zachodnio-pruskie, powiedzieć możemy: lud prosty, ów rdzeń narodu, jest moralnie zdrowym i żywotnym, nie ma też obawy, aby przewodnicy jego, duchowieństwo i obywatele mogli mu się przeniewierzyć; chociaż więc w trudnych żyje warunkach, to mamy to silne przekonanie, że zachowa on na zawsze nieskażony charakter polsko-katolicki. O podstawach materyalnego bytu Prus Zachodnich pomówimy inną razą.

J. K.

Z Berlina.

Zapowiedź zmiany polityki w dziennikach. — Gra ks. Bismarka i grupowanie się stronnictw. — Agitacye przedwyborcze. — Wybory. — Stosunki kościelno-polityczne.

Już w miesiącach wiosennych można było po zachowaniu się prasy rządowej poznać, że się zanosi na zwrot w wewnętrznej polityce księcia Bismarka; mianowicie „Norddeutsche Allgemeine Ztg.“, która w zasadniczych sprawach nigdy jeszcze nie zostawała w sprzeczności z kanclerzem, występowała tak namiętnie przeciwko stronnictwu środkowemu, że nie można było wątpić o tem, iż znaczenie tej frakcyi w parlamencie miało być zniweczonem. Kto zna pruską prasę rządową, obeznany jest także z nieuczciwością jej w polemice. Ulubiony organ żelaznego kanclerza uderzał tedy przedewszystkiem na Polaków; gdziekolwiek coś się stało wbrew woli kierownika polityki niemieckiej, odpowiedzialność spadała zawsze na nich lub na Jezuitów. „Dopóki kuryi rzymskiej więcej zależy na styczności z pro-

pagandą polską, niż na pokoju z rządem pruskim, ostatni nie będzie mógł żywić żadnych sympatyj dla rzymskiej propagandy", pisała „Norddeutsche Allgemeine Ztg.", kiedy baron Schorlemer w izbie poselskiej wyraził zadziwienie swoje, że rząd pruski nie założył protestu przeciwko zaborowi dóbr propagandy rzymskiej. W kilka dni później zostały odwołane pogłoski nieuzasadnione o przyjęciu rezygnacyi prymasa polskiego. Organ księcia Bismarka musiał przyznać, że w Watykanie „zimniejsze usposobienie" panuje, ale winę przypisała „Norddeutsche Allg. Ztg." Jezuitom, którzy w Leona XIII. nie władającego językiem niemieckim mieli wmówić, że w prasie niemieckiej posunięcie ks. kardynała Ledóchowskiego na godność sekretarza dla memoryałów zostało, w sposób ubliżający papieżowi, przedstawione jako zwycięstwo polityki pruskiej; również mieli Jezuici podsunąć Papieżowi sfałszowane sprawozdanie o interpelacyi księdza Jażdżewskiego w izbie poselskiej. „Norddeutsche" twierdziła, że w Rzymie „wpływy polonizujące" znowu przeważają. Ciągłe te wycieczki zawierały równocześnie zarzuty silne przeciwko stronnictwu środkowemu (centrum), że ono, sposobem wcale nie patryotycznym, brata się z Kołem polskiem. Nawet poważny „Osservatore Romano" wmięszał się w polemikę, która się oczywiście zawiązała między organem Bismarkowym a tutejszą „Germanią". Dziennik papieski oświadczył (co dla publiczności obeznanej z stosunkami wcale nie było rzeczą potrzebną), że jedynem i niezmiennem prawidłem Stolicy apostolskiej przy spełnianiu obowiązków i przy układach z mocarstwami, jest pokój religijny; „Stolica św. nie zważa bynajmniej na wpływy polityczne, kiedy chodzi o obronę interesów religijnych". Rozumie się, że prasa rządowa nie cofnęła ani słowa z tego, co była powiedziała; rządowy telegraf usiłował nawet milczeniem zabić artykuł organu papieskiego, podczas kiedy agentura austryacka i francuska telegraficzne rozszerzyły go wszędzie. Kiedy niedługo potem sesya sejmu pruskiego skończyła się, oświadczył organ Bismarkowy, że prace sejmowe głównie dla tego nie przyniosły żadnego owocu, że centrum popiera interesa polskie. Równocześnie dostali cięgi konserwatywni, że się łączą z centrum; jedni i drudzy musieli usłyszeć zarzut, że zarazili się niebezpiecznemi zasadami opozycyi liberalnej, że mianowicie przyswoili sobie taktykę, aby rządowi zawsze wymawiać niedoskonałość, a własną mądrość przedsta-

wiać w świetle najkorzystniejszem. Dzienniki zachowawcze wykazały niedorzeczność tych zarzutów. Było to tem łatwiej, że właśnie w owym czasie w komisyi parlamentarnej przyszło do porozumienia między centrum a zachowawcami celem przeprowadzenia projektu rządowego o ubezpieczeniu robotników kalek. Mianowicie „Kreuz-Ztg.“ wystąpiła odważnie przeciwko organowi księcia Bismarka, dowodząc, że przyczyną jałowości prac sejmowych, jest „wieczne trwanie“ walki kościelnej, że więc „trzeba zakończyć walkę kościelną“.

Polemika ta musiała zrobić tem przykrzejsze wrażenie, że równocześnie w parlamencie toczyły się rozprawy o ubezpieczeniu robobotników. Wiadomo, że projekt rządowy został przyjęty przez konserwatystów, centrum i Polaków; narodowcy liberalni przyłączyli się do tej większości dopiero wtenczas, kiedy się przekonali, że ich własne poprawki i wnioski nie przejdą; poprzednio oświadczyli się oni przeciwko projektowi z zasadniczych powodów, spodziewając się, że znów znajdą łaskę w oczach żelaznego księcia, pragnącego pozbyć się centrum. Przyjaźń bowiem księcia z frakcyą środkową, która umożebniła znany zwrot w polityce celnej i gospodarczej, nie potrwała długo; już w r. 1880 oskarżał książe centrum w Rzymie, że mu także w sprawach niereligijnych śmie opór stawiać. Teraz kiedy Windthorst, popierając reformy Bismarkowe, nie przestawał domagać się przywrócenia pokoju kościelnego, postanowił kanclerz usunąć frakcyę katolicką na bok a tem samem nadzieja pokoju kościelnego i przeprowadzenia reformy socyalnej upadła na długo.

Na początku marca 1884 r., zlały się w jednę frakcyę owe dwa stronnictwa liberalne, które głównie przeciwko celnej i gospodarczej polityce kanclerza podnosiły opozycyę, a nie było wątpliwości, że przeważny wpływ w silnej tej frakcyi wywierać będzie znany Eugeni Richter, nieustraszony a groźny przeciwnik księcia Bismarka od dawnego czasu. Czem prędzej zwrócił się kanclerz z całą energią przeciwko nowej frakcyi, liczącej w parlamencie przeszło 100 członków; w radzie związkowej potępiono wyraźnie (co nigdy nie bywało) program nowej frakcyi, domagającej się utworzenia odpowiedzialnego ministerstwa, a organ księcia Bismarka oświadczył nawet, że program taki sprzeciwia się konstytucyi. Równocześnie usiłował kanclerz przeprowadzić ich *mit Zuckerbrot*, jak Niemcy mówią, na swoją stronę. Na nowo zaszczycił Bennigsena, który przed rokiem

cofnął się był z areny parlamentarnej, mianem osobistego i politycznego przyjaciela; prasa rządowa perswadowała narodowcom, że najlepiej im będzie w zgodzie z rządem i umiarkowanymi konserwatystami; kanclerz sam wyparł się groźby dawniejszej, że przyprze narodowców do ściany. W południowych Niemczech przyjęli niektórzy narodowcy z zapałem zaproszenie do popierania narodowej polityki wielkiego męża stanu. Kiedy nie było pod ręką innego przedmiotu, aby unosić się nad tą polityką, dostarczył takowego projekt, domagający się zapomogi państwa w zaprowadzeniu parowców do Australii i Azyi Wschodniej. Na ten cel miało państwo przez lat 15 wydawać rocznie po 4 miliony. Zwłaszcza kupcy i przemysłowcy niesłychanie ucieszyli się widokiem rozszerzania odbytu wyrobów niemieckich, inni marzyli o niemieckich koloniach rolniczych pod równikiem, lub na głębokich piaskach zachodnich wybrzeży Afryki; posypały się adresy, petycye, protesty przeciwko parlamentowi nie chcącemu wyrzucać tak ogromnych sum bez namysłu. Wszystkie te objawy zapału wyszły z obozu narodowców liberalnych. Kilku mowców dorzuciło trochę kadzidła na cześć reform socyalnych, a od razu ci, którzy poprzednio ganili reformy, jako zarody niebezpiecznego socyalizmu, poczęli podziwiać mądrość ks. Bismarka. Kto się uważnie przypatrywał temu nagłemu nawróceniu się, mógł się przekonać, że myślą przewodnią naczelników nowego ruchu była chęć wyparcia centrum z zajętego stanowiska; zamiary te musiały się podobać ks. Bismarkowi, który z zadowoleniem odpowiadał na każdy objaw ze strony świeżo nawróconych. Ponieważ zapał wywołany w szeregach norodowców w pierwszym rzędzie miał na celu wzmocnienie tegoż stronnictwa przy wyborach do parlamentu, przeto organ ks. Bismarka z góry wydał hasło, że wszędzie powinny się połączyć stronnictwa umiarkowane, aby zadać klęskę przeciwnikom. „Norddeutsche“, mówiła ciągle tylko o umiarkowanych, odrzucała bowiem „skrajnych“ zachowawców skłonnych do sojuszu z centrum a liczyła centrum na równi z liberalną opozycyą i socyalistami do najgorszych przeciwników. Zrazu opierali się co twardsi konserwatywni („Kreuz Ztg“ i „Reichsbote“) tej taktyce, wreszcie na nią przystali, chociaż w niektórych okręgach narodowcy i liberalno-konserwatywni połączyli się, aby wyprzeć nawet posiwiałych w służbie parlamentarnej konserwatywnych, a osta-

tecznie pokazało się, że tylko w bardzo drobnej liczbie okręgów, na mocy poleconego sojuszu, mieli być wybrani konserwatywni, a prawie wszędzie górą byli liberalni umiarkowani. Bismark wyraźnie pochwalił ten sojusz, pragnął bowiem mieć w parlamencie na każde zawołanie większość liberalno-konserwatywną. W skutek tego postanowiło centrum połączyć się w kilku okręgach nawet z liberalną opozycyą, aby tym sposobem sparaliżować plan Bismarka. Kandydaci liberalni przyrzekli katolikom, że w danym razie głosować będą w parlamencie przeciwko ustawom wyjątkowym, ukutym przeciwko katolikom. Prasa rządowa narobiła nie mało wrzawy z tego powodu; wrzawa ta wzmogła się, gdy baron Schorlemer wraz całą niemiecką prasą katolicką usilnie napominał Niemców katolików, aby w okręgach polskich lub mięszanych, bez wyjątku popierali polskich kandydatów a to zaraz przy pierwszem głosowaniu, nie czekając, czy będą potrzebne ściślejsze wybory. Niestety — nie wszędzie usłuchali go Niemcy katolicy. Agitatorzy liberalnej opozycyi rozwinęli równie wielką energię przeciwko rządowi, atoli nacisk rządowy na wyborców był silniejszy od tej agitacyi. Również socyaliści postawili w bardzo licznych okręgach kandydatury; mianowicie w Berlinie, gdzie w zeszłym roku po raz pierwszy przeprowadzili kilku kandydatów przy wyborach do rady miejskiej, okazali się nadzwyczaj czynnymi. — Winienem dodać, że książe Bismark nie uzyskał w radzie związkowej ani zniesienia ustawy banicyjnej, przeciwko księżom naszym, ani projektu, stanowiącego pierwszy krok do przywrócenia cechów rzemieślniczych, chociaż parlament ostatni jedno i drugie uchwalił. Tylko pełnomocnik Bawaryi oświadczył się stanowczo za zniesieniem banicyi, ku niemałemu zdziwieniu księcia Bismarka i rządu. Rząd ten zresztą nie postawił programu swego na przyszłość; naród dowiedział się tylko, że ubezpieczenie robotników kalek ma być zastosowanem także do niektórych gałęzi przemysłowych, które dotychczas jeszcze nie były objęte tą ustawą. Wśród takich okoliczności odbyły się wybory powszechne na dniu 28 października.

Parlament ostatni składał się pod koniec sesyi z następujących stronnictw: centrum liczyło 109, zachowawcy i liberalno konserwatywni 78, narodowcy liberalni 45, liberalna opozycya 107, demokratów było 10, Polaków 18, Alzatczyków 15, Duńczyków 2, socyali-

stów 13 członków, parlament liczy 397 członków, absolutna większość wynosi 199 głosów.

Udział wyborców w powszechnem głosowaniu był znacznie większy niż się spodziewano, mianowicie odznaczyli się gorliwością katolicy w całem państwie z bardzo nielicznymi wyjątkami; Polacy dopisali znakomicie, zwłaszcza w Księstwie Poznańskiem i na Górnym Szląsku; mniej gorliwości było w Prusiech Zachodnich. W skutek tego znacznego udziału nie można było w licznych okręgach uporać się z wyborami, gdyż nieraz z dwóch, trzech, czterech kandydatów należących do rozmaitych stronnictw, żaden nie otrzymał absolutnej większości głosów. W takich okręgach trzeba było przystąpić do powtórnego wyboru między tymi dwoma kandydatami, którzy mieli względną większość; takich wyborów ściślejszych było, 99. Na dniu 28 października dokonano wyboru tylko 298 posłów; z tych było zachowawców i liberalnych konserwatystów razem 77, narodowców 40, członków centrum (wraz z Welfami hanowerskimi) 100, Polaków 16, Alzatczyków 14, liberalnej opozycyi 30, demokratów 2, socyalistów 9. Do ściślejszych wyborów w 99 okręgach stanęło kandydatów 198, po dwóch w każdym okręgu. Poszczególne stronnictwa były przytem reprezentowane w takim stosunku: centrum 23, postępowcy czyli liberalna opozycya 53, socyaliści 24, zachowawcy wraz z liberalno-konserwatywnymi 40, narodowcy liberalni 44, Polacy 4, demokraci 6, Alzatczycy 2, Duńczycy 2. Rezultat wyborów był następujący: wybrano zachowawców i liberalno-konserwatywnych 15, narodowców 14, członków centrum i Welfów 11, żadnego Polaka, 1 Alzatczyka, 1 Duńczyka, liber.-opoz. 37, demokratów 5, a socyalistów 15, tak, iż ostatecznie parlament składa się z 87+15 zachowawców, 40+14 narodowców, 100+11 centrum, 16 Polaków, 15 Alzatczyków, 1 Duńczyka, 30+37 członków lib. opozycyi, a 9+15 socyalistów.

Rząd nie ma tedy absolutnej większości w parlamencie, bo zachowawcy, liberalni konserwatyści i narodowcy, liczą razem tylko 156 członków, podczas kiedy potrzeba do absolutnej większości 199 członków; nie może więc rząd nic przeprowadzić wbrew woli centrum i liberalnej opozycyi, do której przystępowałyby w takim razie wszystkie mniejsze frakcye: natomiast bardzo łatwo utworzyć

większość z zachowawców i przedstawicieli ludności katolickiej, jeśliby tego miało być potrzeba.

Kiedy z jednej strony wytrwałość wyborców katolickich niemałą napawa nas otuchą, to z drugiej strony powinien przerazić ogromny wzrost socyalizmu w całem państwie, o ile ono składa się z przeważnie protestanckich dzielnic; w katolickich okręgach zaraza ta prawie nieznana, bo chyba wielkie miasta stanowią pod tym względem wyjątek; w Poznaniu oddano na socyalistę 67 głosów. W Berlinie oddali socyaliści przed 6 laty już 52.000 głosów przy wyborach, liczba ta spadła następnie na 30.000, aby teraz podnieść się do 68.000. Postępowcy berlińscy nie spodziewali się podobnej porażki, stracili oni bowiem od trzech lat 18.000 głosów, podczas kiedy rządowi i antisemici uzyskali 18.000. Mieszczaństwo przestraszone przypomina sobie, że kiedyś książę Bismark za pomocą socyalistów zamierzał złamać siłę liberalnej opozycyi, woła, że zwolennicy Stoeckera nie mniejszą pałają zawiścią przeciwko bogaczom i kapitalistom niż socyaliści; winę całą wzrostu jednego i drugiego stronnictwa przypisuje ona tak zwanym socyalnym reformom ks. Bismarka, który tego wreszcie dokazał, że w samym Berlinie do urny wyborczej przystąpiło 125.000 socyalistów i Stoeckerianów a tylko 71.000 (liberalnych) mężów, popierających obecny porządek społeczny. Prasa jednak rządowa konserwatywna nie lęka się wcale wzrostu socyalistów; tak dalece porwał ją szał radosny z powodu upadku liberalnej opozycyi. Podobnie jak w stolicy państwa uzyskali socyaliści po wszystkich wielkich miastach bardzo wiele głosów. Przed trzema laty nie przeprowadzili nigdzie kandydatów swoich przy pierwszem głosowaniu, teraz zwyciężyli od razu w 9 okręgach, a do ściślejszego wyboru stanęli w VI. okręgu berlińskim, w Hamburgu w III. w Wrocławiu w I. i II., w Królewcu, w Magdeburgu, w Hanowerze, w Brunświku, w Kiel, Gotha, Elberfeld, Offenbach, Darmstadt, Mannheim, w Dreznie w II., w Kolonii, w Kassel, w Moguncyi, we Frankfurcie nad Menem i t. d. W licznych innych okręgach zawisł wynik wyborów ściślejszych od głosów socyalistycznych. O zachowaniu się socyalistów w parlamencie nie potrzeba nic pisać. Będą oni teraz stawiali samodzielne wnioski w parlamencie, czego dawniej czynić nie mogli gdyż mieli tylko 13 głosów, a 15 podpisów potrzeba do wniesienia wniosku.

Przeciwnicy rządu są wielce zadowoleni, że ani centrum, ani Polacy, ani Alzatczycy, nie przystaną na żadne ukrócenie praw konstytucyjnych, ani na zwiększenie ciężarów publicznych. Na straży swobody stoją tedy ci, których najbardziej spotwarzano jako podporę wszelkiej reakcyi. O zachowawcach i liberalnych konserwatystach, dziś nic prawie pochlebnego powiedzieć nie można; drobna tylko garstka konserwatystów gotowa zachować swą niezawisłość i przestrzega zasad, przeważna część ulegać będzie zawsze i wszędzie ks. Bismarkowi. W wyższym stopniu uczynią to jeszcze narodowcy, którzy poprostu na jego imię zostali wybrani; gotowi oni popierać reformy socyalne, o ile takowe w interesie mieszczaństwa będą potrzebne. Dalej prawdopodobnie w tym kierunku i kanclerz nie pójdzie. Przebieg obrad parlamentu niemieckiego do następnego listu.

Z kościelno-politycznej dziedziny, prawie nic pomyślnego zapisać nie można; w ogólności położenie nie zamieniło się wcale, owszem obawiamy się silniejszego wybuchu walki. Kiedy przed kilku miesiącami poseł Schloezer miał za urlopem opuścić miasto wieczne, zjawił się w prasie liberalnej ohydny artykuł, przedstawiający wrzekomo treść rozmowy, którą z posłem pruskim miał mieć pewien sprawozdawca dziennikarski. Hrabia Monts, zastępca p. Schloezera, oświadczył wprawdzie urzędownie ks. kardynałowi Jacobiniemu, że ów artykuł niema najmniejszej podstawy, tymczasem prasa nie przypisywała temu zaprzeczeniu prawie żadnego znaczenia. Kiedy pan Schloezer z Rzymu przyjechał do Berlina, potwierdziła nawet „*National Ztg.*“ doniesienia pierwotne, o ile zawierały poglądy posła pruskiego na układy i na tendencye dyplomacyi papieskiej; organ ks. Bismarka nazwał owe doniesienia tylko niedokładnemi. Otóż p. Schloezer miał zarzucić Stolicy apostolskiej, że jej nic zgoła nie zależy na usunięciu walki kościelnej, zwłaszcza że walka sprzyja tylko intrygom, które w rezydencyi papieskiej ustawicznie kuje się przeciwko państwu niemieckiemu i rządowi; prałaci rzymscy nie dbają wcale o interesa religii i dziewięciu milionów katolików pruskich, chodzi im jedynie o interesa hierarchiczne i polityczne. W skutek tych wycieczek, przypisywanych panu Schloezerowi, sądzono zrazu że nie powróci już do Rzymu, ale kiedy przedstawiciel rządu pru-

skiego złożył urzędowe oświadczenie, na którem Watykan musiał poprzestać, powrócił i pan Schloezer do wiecznego miasta.

Na początku sierpnia zebrali się biskupi pruscy w Fuldzie, u grobu św. Bonifacego, apostoła Niemiec, na obrady kościelno-polityczne. Treść obrad pozostała w tajemnicy, to jednak pewna, że omawiano tam przedewszystkiem, sprawę wychowania kleru. Obecnymi byli biskupi: ks. Krementz warmiński, ks. Brinkmann monasterski, ks. Höting osnabrücki, ks. Korum trewirski, ks. Kopp fuldajski; biskupi: wrocławski, chełmiński, paderbornski i limburski posłali kanoników jako zastępców; czy arcybiskup gnieźnieńsko-poznański i koloński byli reprezentowani na tem zebraniu, nie wiadomo.

Wiadomo, że młodzi księża, którzy nie słuchali teologii przez trzy lata na uniwersytetach niemieckich lub seminaryach uznanych za niemieckie przez ministra Gosslera, zostali wykluczeni z służby kościelnej przez rząd pruski; dotychczas nie ma mowy o tem, aby ci kapłani mieli otrzymać „dyspensę“ ministeryalną. Przedewszystkiem studya odbyte u Jezuitów w Rzymie, lub w Insbruku nie doznają żadnego uwzględnienia: rząd domaga się, aby księża ci dopełnili w Niemczech trzechletnich studyów teologicznych. Blisko rok temu ks. biskup chełmiński jako senior episkopatu wniósł podanie, aby księża dotknięci banicyą, lub ścigani za funkcye duchowne, wreszcie swobodnie powrócić mogli. Niestety, każdy wypadek bywa roztrząsany osobno, na podstawie formalnego śledztwa, nie dziw więc, że dopiero drobna liczba księży powróciła. Z Polaków wymienić mogę tylko ks. Łaszewskiego z Prus Zachodnich, którego nazwisko głośne było przed dziesięciu laty, kiedy intruz wtargnął się do jego parafii, a prawowity pasterz został dotknięty banicyą. Do Księstwa Poznańskiego nie pozwolono jeszcze powrócić żadnemu banicie. Zresztą listy gończe wysłane na nowo za niektórymi księżmi nadreńskimi, i świeżo za księdzem Rezlerem z poznańskiej dyecezyi, procesa przeciwko prasie katolickiej i przeciwko kapłanom, którzy nie otrzymawszy dyspensy ministeryalnej, w osieroconych parafiach niosą pomoc konającym lub odprawią mszę św. — wszystko to przypomina ludności katolickiej, że kulturkampf trwa jeszcze.

Wspomnieliśmy kilkakrotnie o intruzach czyli rządowych księżach, którzy zagarnęli z ramienia rządu posażne beneficia, chociaż

lud unika ich jakby zapowietrzonych. Na Szląsku usiłują dozory kościelne pozbyć się tych odstępców w ten sposób, że im płacą pensye, skoro ci księża zobowiążą się powstrzymać od wszelkich funkcyj duchownych. To stało się w Koźlu z księdzem Grünastlem i z księdzem Mückem w Kluczowie; ostatni zatrzymał jeszcze W. Strzelce: z Koźla wyniosły się za rządowym księdzem dyakoniski, a miejsce ich w lazarecie, zajęły siostry miłosierdzia. W Polkowicach na Górnym Szląsku umarł paraliżem tknięty rządowy ksiądz Beherer, nad którego grobem przemawiał osławiony pan Brenk z Kościana. Dnia 5 grudnia prawi katolicy weszli w posiadanie kościoła, który intruz przez lat siedm w najwyższem zaniedbaniu zajmował. Wreszcie też zapisać możemy pierwszy wypadek, że jeden z rządowych księży w Księstwie Poznańskiem powrócił do swych obowiązków, tj. ks. Czerwiński z Sierakowa. Młody ten kapłan był poprzednio wikarym w tej parafii, ale w mniemaniu, że później uzyszcze zatwierdzenie duchownej władzy, dał się namówić do opanowania beneficyum jako proboszcz; lud cofnął się od niego natychmiast, a ks. kardynał rzucił na niego klątwę. Ks. Czerwiński różni się o tyle od szląskich intruzów, że nie za grosz judaszowski ustępuje, lecz dobrowolnie i bezwarunkowo władzy duchownej się poddał, uzyskał też już od Stolicy św. przebaczenie i niebawem zajmie miejsce wikarego przy jednym z poznańskich proboszczów.

Kiedy niedawno cesarz Wilhelm z powodu manewrów nadreńskich miał odwiedzić starożytną stolicę westfalską, chciała szlachta katolicka i dozory kościelne wręczyć mu adres, prosząc, aby raczył koniec położyć walce kościelnej. Doradzcy monarchy wymogli jednak na nim, że adresu owego nie przyjął wcale.

Ks. Majunke, dawniejszy naczelny redaktor „Germanii“, poseł do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego, wydawca korespondencyi, którą ogłaszało kilkadziesiąt dzienników katolickich, porzucił czynność dziennikarską i parlamentarną, w skutek życzenia księcia biskupa wrocławskiego, aby jako kapłan pracować w wiejskiem ustroniu. Ks. Majunke jest jednym z najgorętszych przyjaciół Polaków.

X.

Z Paryża.

Czy istnieje przesilenie fabryczne i rolnicze we Francyi?

Wojna z Chinami i tak zwane przesilenie fabryczne i rolnicze, są w tej chwili we Francyi najważniejszemi kwestyami, jakie zajmują Izbę i całą francuską prasę. Niema prawie gazety, któraby nie mówiła o bezrobociu w Lyonie i o przesileniu rolniczem, jakie grozi ruiną wszystkim gospodarzom.

Głosy są różne — każdy radzi inne lekarstwo: ten proponuje kredyt rolniczy, drugi woła o równość w zawodzie. Cały zaś ogół walczących podzielił się na dwa wielkie obozy, jakie zresztą można widzieć dzisiaj w każdem państwie, to jest: protekcyonistów z ministrem rolnictwa na czele i wolno-handlowców *(libres-echangistes)* pod wodzą ministra handlu. Jednakże tak jedność protekcyjna jak i wolny handel są tylko manewrem, użytym w innym celu, jak nas o tem przekonają fakta!

W pierwszych chwilach pojawienia się przesilenia w Lyonie, mówiono o 15.000, 20.000, 30.000, 40.000 robotników bez pracy. Cyfry te jednak były tylko stworzone, dla zaatakowania dzisiejszego porządku rzeczy i rachują się od 12 do 13.000 według najściślejszych obliczeń. Objaw ten przypisują dwóm ogólnym przyczynom, do których dołączyły się niektóre nieszczęśliwe okoliczności tego roku, ale których doniosłość przesadzono. Na pierwszem miejscu trzeba zanotować cholerę i zamięszanie, jakie epidemia ta sprawiła w całych handlowych stosunkach. Potem, w samym Lyonie, przemysł i fabryki metalów, co się razem łączy, nie bardzo były czynne. Firmy takie, jak La Buire, fabryka Paris-Lyon — Méditerranée, d'Oulins, l'Arsenal, zmniejszyły liczbę robotników; nakoniec wielkiej doniosłości dom w Lyonie, który zajmował około trzystu robotników, robił złe interesa, więc zamknął fabrykę. Stąd zastój chwilowy, ale nie przesilenie.

W dzisiejszych czasach, we wszystkich ważniejszych punktach, istnieją pewne instytucye, które mogą być uważane jako narzędzia do ocenienia ścisłości ogólnego położenia dobrych lub złych interesów ludności, tak jak barometr i termometr służą do ocenienia presyi i temperatury atmosfery. Takiemi są: Kasa oszczędności, Lombard (Mont de piété) i Bióro dobroczynności; kiedy bieda zaczyna

dokuczać, wtedy wszystkie wkłady w kasach oszczędności zostają wycofane; cyfra zastawianych fantów w Lombardzie powiększa się; do bióra dobroczynności wpływają coraz liczniejsze prośby o wsparcie. Cóż więc można zauważyć w tym roku w Lyonie? Miasto to posiada dwie kasy oszczędności; jedna zwana „de Lyon", druga „de la Croix-Rousse". Kasa pierwsza, w ciągu dwóch miesięcy sierpnia, września i pierwszych dni października, miała 21.778 wkładek, co reprezentowało sumę 4,394.576 franków; wypłaciła zaś 12.123 żądań na sumę 2,842.768 fr. Trzeba powiedzieć że wycofywanie podczas pierwszych dni października bardzo się zwiększyło; żądania podniosły się o 1.328 na sumę 356.845 fr. gdy tymczasem wkładki wynosiły tylko 446.207 fr.; różnica pomiędzy jedną cyfrą a drugą jest słaba, ale zawsze przewaga jest na stronę wkładek. Ostatecznie, podczas peryodu dwóch miesięcy i tygodnia, zamkniętego pomiędzy 1-szym sierpnia i 7 października, kasa oszczędności w Lyonie posiadała 1,551.808 fr. więcej, niż wypłaciła. W peryodzie tym samym w r. 1883, przewyżka wkładów nad wycofaniami wynosiła 1,461.000 fr.; w roku 1882 dochodziła do 1,390.818 fr., a w r. 1881 różnica była tylko o 90.446 fr. Wprawdzie prawo z 9 kwietnia 1881 roku podniosło maximum wkładek; ale tu nietylko s u m a, ale l i c z b a wkładek powiększyła się w tym roku w proporcyi bardzo znacznej: 21.778 w 68 dniach sierpnia, września i października 1884 r., przeciwko 18.252 w tym samym czasie i tej samej epoce w r. 1883, 19.013 w r. 1882 i 16.897 tylko w r. 1881.

Wzrost więc oszczędności jest widoczny; to samo jest w drugiej kasie. Jeżeli się poradzimy bióra dobroczynności, to zobaczymy, że próśb o wsparcie w sierpniu i wrześniu było 11.808 w r. 1881; 10.890 w r. 1882; 10.585 w r. 1883, nakoniec 11.125 w r. 1884. Od 1 sierpnia do 7 października b. r. zapomogi rozdzielone podniosły się do sumy 14.000 fr., a więc około 4000 fr. więcej, niż w roku zeszłym. Tutaj więc jest pewne zwiększenie się, ta jednakże okoliczność nie dowodzi jeszcze, że robotnicy Lyonu są wystawieni na pastwę nędzy. Gdzież więc jest przesilenie, gdzie są te trzydzieści albo czterdzieści tysięcy robotników bez pracy, dla których trzeba otwierać warsztaty zarobkowe z funduszów miasta? poco ta liczna komisya czterdziestu czterech? kilka cyfr, objaśniają lepiej sytuacyę, niż dziennikarskie szumne artykuły z wykrzyknikami.

Ale czyż przez to można powiedzieć, że nie ma przesilenia w Lyonie? Nie. Izba handlowa lyońska w jednym ze swoich raportów, z d. 6 października, powiada: że „jedwabnictwo, metallurgia, farbiarstwo, produkcye chemiczne i inne drugorzędne przemysły, zmniejszyły swoją produkcyę i uwolniły wielu robotników, jednakże nie doszły jeszcze do tego stopnia obniżenia, jak w r. 1882". Co do przyczyn, to jedne są chwilowo-przypadkowe: cholera i kwarantanna; inne są właściwie ekonomiczne, które mają związek z rynkami handlowymi, zagranicznymi; inne znów mają przyczynę krajową, jak podniesienie opłaty na nici bawełniane: prawo, „które przeszkadza, mówi sprawozdanie, przemysłowi jedwabniczemu zastosować się, do kaprysów mody, bądź też do wymagań konkurencyi zagranicznej".

Pomimo więc pozornie różnych przyczyn, jedna jest najgłówniejsza i najważniejsza: „system protekcyjny, który wszystkich przygniata i który chcą jeszcze zwiększyć". Jest to pierwszy punkt na którym się spotyka przesilenie lyońskie z rolniczem, do czego powrócimy później.

Tak więc system protekcyonistów jest przyczyną tych ekonomicznych przewrotów, jakich widownią i rzec można opisem jest Francya. Błąd ten istnieje po trochu wszędzie. Francya chce produkować wszystko, to samo Niemcy, Włochy, Hiszpania, kolonie australskie, Kanada, Stany Zjednoczone i Rzeczypospolite Ameryki Południowej. Wszyscy chcą sprzedawać a nikt kupować. Wspomagają wywóz, podtrzymują żeglugę, a chcą mieć wyjątkowe taryfy cła przywozowego i przewracają do góry nogami naturalny bieg rzeczy, podstawiając sztuczne systemata; oto istotna przyczyna obecnych przewrotów.

Bo czyż może być coś niebezpieczniejszego jak podwyższenie we Francyi cła na nici bawełniane. Tym sposobem rząd tworzy dwie kategorye obywateli: jednych, których proteguje, drugich, których poświęca. Do tej drugiej kategoryi należy milion ludzi, którzy żyją z przemysłu w Lyonie, Saint-Etienne i w ich okolicach. Każdy wie, że w tych czasach, kiedy zbytek, że tak powiem połowiczny, przeważa nad zbytkiem wielkim, materye wyprodukowane z bawełny i jedwabiu sprzedają się najwięcej. Fabryki lyońskie są doskonale urządzone, aby otrzymać zyski w tej gałęzi pracy; potrzeba tylko warunku, który zależy

od prawodawstwa, to jest należy oswobodzić od opłaty nici bawełniane. Jeżeli rząd chce przyjść w pomoc wielkiej lyońskiej produkcyi, musi otworzyć na ścieżaj wszystkie porty dla swobodnego przywozu bawełny. Zrozumieli to ludzie, którzy widzą błędy rządu i chcieli go zaatakować — skorzystali z peryodycznego przesilenia, jakiemu prawie zawsze ulegają fabryki w Lyonie, i zrobili z tego kwestyę wielkiej wagi, aby wytargować zmienienie cła.

Zobaczmy teraz jak się nam przedstawi kwestya rolnicza, która tak żywo zajmuje w tej chwili całą Francyę. Charakterystyka ta znanego przesilenia rolniczego jest zadaniem nie łatwem — pomimo iż wszystkie dzienniki, tak polityczne jak i specyalne już od dawna o tem tylko mówią, komentując tę niby wielkiej doniosłości kwestyę ekonomiczną. Po przeczytaniu jednakże sumiennem całej masy frazesów i argumentów, we właściwem znaczeniu tego wyrazu trzeba koniecznie postawić pytanie: Czy przesilenie rolnicze we Francyi istnieje rzeczywiście?

Ale przecież dzienniki, zebrania rolników, agitacye, wreszcie komisya rolnicza w Izbie — czyż nie są tego dowodem? Właśnie wszystkie te głosy mówią co innego. Oto, co pisze organ rolników: „Nieszczęście rolnictwa francuskiego polega na tem, że w senacie i Izbie ma ono za mało ludzi kompetentnych i zupełnie mu oddanych. We Francyi w wilią wyborów, wszyscy mówią o rolnictwie, robią mu piękne obietnice; ale nazajutrz wszystko jest zapomniane. Przyszłe wybory ogólne dają naszym rolnikom d o b r ą o k a z y ę d o d z i a ł a n i a. Kryzys, która wisiała nad nimi od wielu lat, skończyła się budząc ich do czynu. W wielu departamentach: Aisne, Aube, Seine-et-Marne, Eure-et-Loir, zrobił się ruch bardzo żywy, aby otrzymać od władz publicznych prawo wyższej opłaty na produkta rolne obce. Trzeba, żeby ten ruch pociągnął inne departamenta, bo gdy masa rolników będzie w ruch wprawiona to zwycięży ona cały opór“ [1].

Racya zaś tego całego ruchu scharakteryzowaną jest tak: „My wołamy najprzód w imię równości. Wielkie przemysła francuskie są protegowane przez prawo 20 albo 25%; przemysł największy ze wszystkich, to jest rolnictwo, zostało przeciwnie poświęcone dla

[1] Journal d'Agriculture pratique. Nr. 44. str. 617.

handlu. Gdybyśmy chcieli równości, moglibyśmy wymagać także prawa 20%; ale my tego nie robimy, myślimy, że prawo 10% wzmocni nasz handel wewnętrzny, bez spowodowania drożyzny".

Pod takiem hasłem zawrzała w całej Francyi agitacya. Codziennie dzienniki donoszą o nowych rolniczych zebraniach, których *pia desideria* są mniej więcej takie:

Zważywszy że konkurencya zagraniczna, co dzień czynniejsza, obniżyła cenę aż do minimum 20 fr. za 100 kilogr. pszenicy, której aktualna cena jest 25 fr. i że w takich warunkach produkcya zboża we Francyi nie jest możliwą, potrzeba, aby prawo przywozowe było podniesione do 5 fr. na 100 kilogr. za pszenicę; 8 fr. za mąkę, 3 fr. za żyto, jęczmień, owies; 3 fr. za otręby i plewy; 45 fr. od konia lub wołu, 35 fr. od krowy, 5 fr. od owcy, 25 fr. za 100 kil. mięsa świeżego lub solonego.

Wiele okręgów rolniczych wysłało delegacye do ministra rolnictwa, przedstawiając mu w najczarniejszych barwach ruinę rolnictwa. Kwestyę tę naturalnie podniesiono w Izbie, gdzie się zebrała komisya rolnicza, składająca się z pp.: Grame, Armez, Duvivier, Demercay Lechevalier, Fryderyka Passy, Clémenceau, Langlois, Bernarda Lavergne, Bernier i Paula Duval.

Nareszcie prezes „towarzystwa rolników we Francyi" wezwał wszystkie towarzystwa rolnicze, aby na dzień 20 b. m. wysłały do Paryża swych delegatów na wielką radę, o czem zawiadamiając prezydenta Rzeczypospolitej, wylicza powody, jakie zmuszają rolników do energicznego działania.

Cała ta agitacya jest tem śmielszą, że 14 sierpnia p. Méline, minister rolnictwa złożył na stole w Izbie projekt prawa podniesienia opłaty na bydło, a to z powodu obowiązku jaki ma rząd: wszystkich wypróbować środków, aby podnieść gałęź produkcyi, która żywi więcej niż dwie trzecie całej ludności Francyi.

Jeżeli się jednak dobrze zastanowimy tak nad wywodami p. Méline jak nad skargami rolników i przyczynami narzekania na biedę, musimy przyjść do przekonania, że tak jedne jak i drugie nie mają żadnej podstawy.

Aby klęska rolnicza istniała, albo też groziła całemu krajowi,

potrzeba na to zupełnego nieurodzaju. Tymczasem co mówią cyfry statystyki urzędowej [1]?

Powierzchnia zasiana zbożem była obliczoną na 6,976.203 hektarów, gdy tymczasem w roku 1883 zajmowała tylko 6,803.821 hektarów. Zbiór wynosi 111,141.845 hektolitrów, ważących 84,803.731 cent. metr. w miejsce 103,753.426 hektolitrów, wagi całkowitej 79,264.561 cent. metr. w r. 1883.

Zbiór, jak się okazuje, jest większy niż w roku zeszłym: jest on co prawda mniejszy od zbioru w r. 1882, który wynosił 122,153.524 hektolitr., ważących 93,483.716 cent. metr. z przestrzenią 6,907.792 hektarów; ale roku 1882 był wyjątkowy, bo przeszedł 26 milionów hektol. i 18 milionów cent. metr, jakie wydał roku 1881, a którego rezultat uważano jako przeciętny.

Uprawa żyta jest ta sama: powierzchnia zajęta pod uprawą była stopniowo od 1,871.052 hektarów w r. 1882, 1,719.666 hekt. w r. 1883, 1,765.616 hekt. w r. 1884. Zbiór ostatniego roku charakteryzuje się następnemi cyframi: 25,487.589 hektolitrów, wagi 18,343.935 cent. metr. W roku 1883 wynosił on 24,842.602 hektol. albo 17,736.653 cent. metr. i 29,487.099 hektol. albo 21,115.535 cent. metr. w r. 1882.

Zaznaczamy jeszcze raz, że r. 1882 był wyjątkowy, widzimy że cyfry wykazające zbiór roku bieżącego okazują rezultaty dobre, tak pod względem ilości, jak i pod względem jakości. Pomimo tego rolnicy żądają podniesienia opłaty do 5 fr. na hektolitrze. Jeżeli prawo przejdzie, to bez wątpienia zboże zdrożeje. 100 milionów hektolitrów w cyfrze okrągłej zjedzone we Francyi, pomnożone przez 5 = 500 mil. fr. Naturalnie, zwiększy to ceny chleba o 5 centimów na kilogr. Jest 36 milionów ludności, licząc na każdego pół kilogr. konsumpcya wyniesie 900.000 fr. zdrożenia codziennego × 365 dni = 328,500.000. W innej formie rezultaty tego zabójczego żądania są jeszcze straszniejsze. 3 hektolitry na osobę × 36,000.000 Francuzów = 108,000.000 hektolitrów × 5 = 540,000.000 fr. I to na czyją korzyść?

Na tym punkcie spotykają się oba przesilenia, jeżeli nazwa ta nie zasilna na dzisiejszy stan rzeczy wcale nie tak bardzo zastraszający, to jest kwestya fabryczna z kwestyą rolniczą. Jeżeli bowiem

---

[1] Journal officiel.

do dzisiejszego położenia bezrobocia, podwyższyć zechcą jeszcze ceny na chleb i mięso, wtedy przyjdzie prawdziwe przesilenie. Przemysł francuski już i tak maleje z powodu praw protekcyjnych, ale cios byłby jeszcze silniejszy, gdyby zdrożało pożywienie dla robotnika. Argumenta wolno-handlowców sięgają jeszcze głębiej.

Reakcya protekcyonistów niszczy dzisiaj nietylko interesa ogólne konsumentów, ale nawet zagraża istnieniu naszych wielkich przemysłów exportu. Francya bowiem nie jest państwem wystarczającem dla siebie samego. Pod wpływem opieki bezpieczeństwa, rozszerzenia środków komunikacyjnych i obniżenia zastaw cłowych, jej handel zewnętrzny, kiedyś nieznaczny, wzrósł o siedm razy dopiero od pół wieku, a wzrósł podwójnie od czasu nowej polityki handlowej. W r. 1834 wynosił tylko 1.104 milionów, a w r. 1860 4.174 milionów; wzniósł się o 8.519 milionów r. 1883. Jakkolwiek w gałęzi najznaczniejszej produkcyi narodowej, jak wina, jedwabiu, lnu, artykułów Paryża etc., wywozi się tylko bądź jednę trzecią, bądź połowę ogólnej wartości produkcyi rocznej. W roku ostatnim np., Francya wywiozła za 1.810 milionów produktów fabrycznych, gdy tymczasem wywóz wynosił tylko 663 milionów, trochę więcej jak jednę trzecią [1].

Chcąc jednak utrzymać nadal ten sam stosunek albo nawet zwiększyć wywóz, nie może Francya zamykać swych portów przed produkcyą obcych krajów, bo jeżeli Ameryka kupuje dajmy na to jedwab, to przecież musi coś na to miejsce sprzedać ze swych produktów. Francya więc, protegując 300,000 właścicieli większej własności, powodowałaby ograniczenie źródeł swego bogactwa.

To też dnia 14 listopada na posiedzeniu komisyi, minister rolnictwa oświadczył się wprawdzie w zasadzie za podniesieniem opłaty ale nie w takim stopniu w jakim żądają gospodarze. Gdyby bowiem ustanowiono tylko 4 fr. na cent. metr. to wyniosłoby 20%, gdy tymczasem inne przemysły są protegowane tylko przez 10%. Zaznaczył nawet, że znaczne podniesienie opłaty nie wypadłoby dobrze dla rolników, bo wzbudziłoby wielu przeciwników, i żądanoby znowu usunięcia tego prawa.

Co zaś do projektu rządowego podniesienia opłaty na bydło przychodzące z zagranicy komisya większością 6 głosów przeciwko

---

[1] l'Economiste. N. 41, 42.

5 projekt ten odrzuciła. Odwrotnie, większość zdawała się sprzyjać projektowi podniesienia cła na zboże, ale p. Clémenceau osądził, że wiadomości jakie Izba posiada o przesileniu rolniczem nie są dostateczne, żąda więc, aby przed orzeczeniem komisya mianowała kilku członków do departamentu l'Aisne, aby tam przeprowadzić ścisłą ankietę nad znaczeniem zażaleń wniesionych przez rolników. Zaznaczył on, że ten departament sąsiaduje ze stolicą i że okazał się najgorliwszym w agitatowaniu. P. Grame sprzeciwiał się temu dowodząc, że trzeba się oświadczyć bez zwłoki, aby uniknąć przeładowania, jakiem grożą Francyi spekulanci, którzy się spieszą wprowadzić pszenicę przed zaprowadzeniem taksy.

Pomimo jednak tych argumentów, komisya odłożyła swoją decyzyę co do pszenicy 5 głosami przeciwko 4—2 wstrzymane — i oświadczyła się na stronę ankiety. Wybrano z pomiędzy siebie trzech delegatów: pp. Fryderyka Passy, Grame i Clémenceau.

W Izbie powstał w skutek tego żywy ruch opozycyjny, dowodzący, że komisya rolnicza nie ma prawa wyznaczać z łona swego ankiety, bo to należy do Izby, zresztą ankieta ta istnieje, bo była wyznaczoną do zbadania kwestyi lyońskiej. Pomimo to jednak komisya została przy swojem i zdania swego w tej kwestyi, ważnej dla milionów ludności roboczej jeszcze nie wyrzekła.

Taka jest charakterystyka i takie są główniejsze momenta walki, która pod płaszczem idei ekonomicznych kryje pierwiastek polityczny i co już dziś widnem potrochu, w świecie rolniczym poczynają się lękać że ich użyto jako narzędzi do walki, z kwestyi czysto ekonomicznej natury, robiąc kwestyę czysto polityczną. Bronią się jednak jeszcze jak mogą dowodząc, że ich postępowanie jest tylko rewindykacyą praw dawno zaniedbanych, że oni chcą tylko istotnej równości, bo jeżeli inne rzeczy podlegają opłacie przywozowej to dlaczego nie mogą jej podlegać i produkta rolnicze.

Zdaje się jednak, że jest to istotnie manewr czysto polityczny i dobrze obmyślany, bo z podwójnem cięciem. Gdyby prawo zbożowe przeszło, wtedy rząd oburzyłby na siebie całą klasę roboczą, na której się dotąd opiera i której najwięcej faworyzuje i schlebia, choćby np. przez wydalenie ze służby wojskowej księcia de Chartre, bez żadnego logicznego powodu.

Jeżeli zaś prawo nie przejdzie, wtedy podniosą ogromny krzyk

rolnicy, którzy znowu podczas wyborów na wsiach mają wielkie wpływy i których rząd chciał pociągnąć ku sobie przez wniosek p. Méline, co znów oni chcieli jeszcze lepiej wyzyskać dla siebie, żądając opłaty nie tylko na bydło, ale na wszystkie produkta rolnicze i to w stopniu bardzo wysokim bo aż 20%.

Cios jest więc zręcznie obmyślany, chociaż rezultaty jego kryje przyszłość, która jest zawsze niepewną i wątpliwą. Jeżeli mówimy o dążności obalenia dzisiejszego rządu, trudno także nie wspomnieć w jaki sposób wyzyskano nawet cholerę, która według zapewnień ludzi, znających dobrze paryskie stosunki po szpitalach, wcale nie istnieje. Było parę wypadków raczej tyfusu głodowego pomiędzy najuboższą klasą Paryża i pomiędzy biednymi Włochami, którzy z przeziębienia i głodu pochorowali się. Opozycya wyzyskała i tę okoliczność, krzycząc i wmawiając w osoby rządowe, że cholera rozgościła się w stolicy nadsekwańskiej. Naturalnie powstał przestrach wielki, szczególniej pomiędzy cudzoziemcami, którzy tłumnie poczęli z Paryża uciekać. Dla Paryżan zaś ubytek cudzoziemców, to klęska, bo oni z nich żyją, oni całe lato wyglądają tylko zimy, by interesa poprawić; tymczasem interesa te z powodu cholery wcale nie idą. A kto temu winien? rząd! który ogłaszał fałszywe biuletyny o cholerze. Że to jest prawdą, dowodzi jeszcze i ta okoliczność, że kwestyę o istnieniu cholery w Paryżu podniosły najprzód dzienniki, które są w największej opozycyi z dzisiejszym porządkiem rzeczy.

Rząd się spostrzegł, że to manewr wymierzony przeciwko niemu, ale to trochę za późno, bo atak się udał. Europa zaalarmowana, do Paryża mało kto przyjedzie, a szczególniej z Anglii, gdzie się tak boją cholery, więc ogłoszenia urzędowe o zmniejszeniu cholery, jakie się pojawiły w dziennikach, nie przyniosą skutku równej siły, jaki zrobiła wiadomość o istnieniu cholery.

Czy jednak te sztuczne przesilenia lyońskie, przesilenia rolnicze i cholera będą skutecznymi czynnikami do obalenia dzisiejszego porządku we Francyi? W każdym jednak razie w połączeniu z kwestyą chińską, która tak piecze Francuzów, nie posłużą one do jego wzmocnienia.

N. Dunin.

Z archeologii krajowej.

(Przegląd archeologiczny, organ c. k. konserwatoryi pomników i Towarzystwa archeolog. we Lwowie. Zeszyt I. II. III. 1882—1884.).

Towarzystwo archeologiczne krajowe we Lwowie zawiązało się za inicyatywą ś. p. Dra Stanisława Krzyżanowskiego, członka nad. Akademii Umiejętności w Krakowie. Statut Towarzystwa został zatwierdzony d. 31 grudnia 1875 r. Pierwsze walne zgromadzenie Towarzystwa odbyłosię d. 12 lutego 1876 r. Na mocy statutu wybrany został Wydział z dziewięciu członków złożony. Prezesem obrano Dra S. Krzyżanowskiego, sekretarzem Karola Widmanna, bibliotekarzem Antoniego Schneidera, podskarbim Władysława Zawadzkiego. Do Wydziału weszli: prof. Dr. Izydor Szaraniewicz, Waleryan Podlewski, Dr. Tadeusz Wojciechowski i inni. Zadania Towarzystwa, statutem zakreślone nader rozległe. Celem jego było poszukiwanie, badanie, przechowywanie, tudzież opisywanie i odrysowanie wszelkich zabytków ruchomych i nieruchomych, do przeszłości Galicyi i W. ks. krakowskiego odnoszących się. Nadto Towarzystwo zamierzało zajmować się odczytami i rozprawami w zakres archeologii wchodzącemi, i w miarę funduszów wydawaniem pisma archeologicznego. W szczególny zakres działalności Towarzystwa wchodziły następujące działy: archeologii przedhistorycznej i antropologii; archeologii chrześcijańskiej; numizmatyki; paleografii; heraldyki; dyplomatyki; sfragistyki i sztuk pięknych, o ile się wiążą z archeologią. W ciągu roku 1876 ogłosiło Towarzystwo trzy zeszyty *Przeglądu archeologicznego*, a w r. 1877 wyszedł zeszyt IV. Zeszyty te zawierają artykuły: „O Słowianach nadbałtyckich“, przez A. H. Kirkora; „O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych“, przez tegoż; „Badania i poszukiwania archeologiczne w Galicyi“, przez A. Schneidera; „Dyplomataryusz heraldyczny“, przez Dra St. Krzyżanowskiego, oraz bibliografię archeologiczną, przegląd literatury archeologicznej, kronikę Towarzystwa i wiadomości rozmaite.

Od r. 1877 ustała wszelka działalność Towarzystwa. Prezes opuścił Lwów, przeniósł się do Warszawy, gdzie wkrótce umarł. Umarł gorliwy członek Mieczysław Potocki, odebrał sobie życie Antoni Schneider, niektórzy wystąpili z Towarzystwa. Pozostali Dr.

Szaraniewicz i Karol Widmann, najlepszej chęci, najgorliwsi i najpracowitsi — lecz cóż mogli, gdy cała organizacya Towarzystwa była zachwianą, gdy brak zupełny środków nie pozwalał myśleć nawet ani o wydawnictwie, ani o badaniach.

Cześć wskrzeszenia Towarzystwa należy się Wojciechowi hr. Dzieduszyckiemu. Jego staraniem i zabiegliwością odżyło Towarzystwo, znalazły się środki do dalszych wydawnictw, do ścisłych, umiejętnych badań, raczej do odgrzebania prastarej stolicy Rusińskiej, wielkiego niegdyś i sławnego grodu Halicza. Izydor Szaraniewicz pierwszy, z miłością, poświęceniem i z wielką znajomością przystąpił do badań tej odwiecznej, bo jak dziś już stwierdzono, sięgającej jeszcze epoki kamiennej, siedziby; Wojciech Dzieduszycki utorował mu drogę, wyjednał w seymie odpowiednie środki.

Towarzystwo na nowo ukonstatowało się w październiku 1881 r. Do Wydziału weszły nowe, dzielne siły, tacy ludzie jak uczony ks. Antoni Pietruszewicz, prof. Julian Zacharjewicz, Dr. Aleksander Semkowicz i inni. Prezesem wybrano hr. W. Dzieduszyckiego, wiceprezesem ks. Pietruszewicza, sekretarzem, zarazem redaktorem „Przeglądu“ Karola Widmanna. Prof. Dr. Szaraniewicz pozostał jak dawniej najgorliwszym członkiem zasilającym „Przegląd“ swojemi pracami. Towarzystwo posiada własną bibliotekę, która w roku 1882 zawierała 447 dzieł. Posiada i niewielki zbiorek starożytności. Utrzymuje stosunki z kilku zagranicznemi akademijami i towarzystwami naukowemi. Na nowo powołane do życia Towarzystwo archeologiczne ogłosiło dotąd trzy zeszyty *Przeglądu archeologicznego*. Na wstępie I. zeszytu Wydział Towarzystwa zamieścił odezwę do publiczności, w której streścił swoje zadanie, swoje cele i nadzieje ich urzeczywistnienia: „jest uzasadniona nadzieja, powiada odezwa, że Towarzystwo będzie miało środki materyalne niezbędnie potrzebne, za pomocą których będzie mogło podjąć pracę naukową, będzie mogło rozpoznać i opisać zabytki sztuki rozrzucone po naszym kraju, i będzie mogło grono członków swych i w ogóle miłośników sztuki lub starożytności zaznajomić z postępami, które archeologija poczyniła w innych krajach i u innych narodów“.

Wierzymy, że pod względem sztuki, już sam prezes i niektórzy członkowie wiele mogą zdziałać, badając i klasyfikując zabytki z czasów ubiegłych. Sądzimy wszakże, że nie tak łatwo pójdzie z za-

bytkami przedhistorycznemi, do badania których Towarzystwo niewielu posiada specyalistów. A kraj tak bogaty w zabytki tego rodzaju! Niszczono je, rujnowano, tysiące kurhanów, mogił, zgładzono do szczętu przez oranie; najstarożytniejsze groby kamienne, sięgające najodleglejszej, bo jeszcze kamiennej epoki, zniweczono, a jednak ocalało jeszcze bardzo wiele; ocalały prastare horodyszcza, rozległe cmentarzyska kurhanowe ze szkieletami, oraz ciałopalne, niemało jaskiń, mnóstwo pomników mehalitycznych, do zbadania których niedość być archeologiem, ale potrzeba pomocy i geologa. Pod względem archeologii przedhistorycznej w samej tej odezwie spotykamy niektóre usterki, które w błąd wprowadzić mogą nieświadomych. „I książe, i bojar i kupiec mieszkali w drewnianym dworze otoczonym wałem ziemnym, i liczne rozrzucone po Rusi Horodyszcza są po największej części zabytkami z czasów książąt dzielniczych". A więc możnaby sądzić, że kniaziowie, bojary, kupcy utworzyli te Horodyszcza? — Nie. — Horodyszcza o wiele i bardzo wiele wieków poprzedziły tych kniaziów, bojar i kupców. Horodyszcza, tak samo jak nasze grodziska i tyńce, należą do pierwotnych ludzi i epok, a dopiero kniaziowie skorzystali z nich, jako miejsc obronnych i na nich wznosili swe zamki i dwory, tak samo jak na innych wznoszono świątynie pańskie i klasztory (Gródek i Wawel w Krakowie, Tyniec, Alwernia, Częstochowa, góra św. Krzyska i tyle innych).

Kończy się odezwa wezwaniem do wszystkich ludzi dobrej woli, ażeby dostarczali wiadomości o zabytkach przedhistorycznych, o starych budowach i w ogóle o zabytkach i pamiątkach z czasów dawniejszych. Wyszczególnienie pierwszych, tj. zabytków przedhistorycznych nie zupełnie dokładne, może nawet nie dość łatwe do zrozumienia dla ludzi niefachowych. Czy poczciwe chęci Wydziału Towarzystwa i dostojnego prezesa osiągnęły jakikolwiek skutek — nie wiemy. Ale wiemy z doświadczenia, że choć dużo u nas ludzi dobrej woli, za to bardzo mało z dobrą wolą archeologiczną, a jeszcze mniej z chociażby najmniejszą wiedzą na tem polu. Tego rodzaju wiadomości zbierają się tylko przez osobiste badania i wycieczki. Wtedy znajdują się i ludzie chętni, którzy wskażą zabytki, dopomogą w badaniach. Sekcya wykopalisk komisyi archeologicznej Akademii Umiejętności od lat dziesięciu pracuje gorliwie właśnie nad zebraniem dokładnych wiadomości o wszelkiego rodzaju zabytkach

z epok pierwotnych, i dziś posiada już znakomity pod tym względem zasób. Jeden zeszyt ogłoszony już drukiem, inne, o ile wiemy, wkrótce się ukażą. Dlatego uważalibyśmy za najwłaściwsze, i nawet konieczne, ażeby Towarzystwo archeologiczne lwowskie zostawało w ścisłych i stałych stosunkach z antropologiczną, archeologiczną i historyi sztuki komisyami Akademii Umiejętności, ponieważ zadania ich wiążą się ze sobą, kierunek prac powinien być oparty na właściwem porozumieniu i śledzeniu za postępem wiedzy, która w zakres tych instytucyj wchodzi. Skoro Sekcya wykopalisk nagromadziła już skarby prawdziwe pod względem wiadomości o zabytkach przedhistorycznych, Towarzystwo archeologiczne lwowskie powinnoby zasilać sekcyę wiadomościami tego rodzaju zebranemi na własnem terrytoryum, tj. w Galicyi wschodniej. Toż samo i w kwestyi historyi sztuki, a połączenie takich sił, jak prof. Łuszczkiewicza, Dra M. Sokołowskiego, z Wojciechem Dzieduszyckim, prof. Ćwiklińskim i Zacharjewiczem, jako motorami — mogłoby przynieść olbrzymie korzyści dla nauki.

Pierwszy zeszyt „Przeglądu“ zawiera następujące artykuły: „Budowle drewniane na Rusi“, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego; „Obraz św. Jana Chrzciciela, znaleziony w cerkwi św. Mikołaja w Buczaczu“, przez tegoż; „Pomnik Konstancyi Daniłowiczównej w kościele obrządku łacińskiego w Żurowie“, przez Dra J. Szaraniewicza; „Wiadomości o Dyaryuszu czyli dzienniku ks. Porfirego Ważyńskiego, biskupa chełmskiego“, podana przez ks. A. Pietruszewicza; „Wiadomość o archiwum miasta Lwowa“, podana przez Karola Widmanna. Następują: „Materyały historyczne ziem polskich i ruskich, dotyczące lat 1381, 1387, 1411, 1596, 1613, 1663, 1762“, podane przez J. Detmarskiego, ks. A. Pietruszewicza i Dra Szaraniewicza. Dalej archeologiczno-lingwistyczna zapiska ks. Pietruszewicza „O znaczeniu i pochodzeniu słowa rokosz“. W końcu „Sprawozdanie o towarzystwie archeologicznem we Lwowie“, „Z literatury archeologicznej“, „Rozmaitości“ i „Kronika bibliograficzna“.

W. hr. Dzieduszycki umiejętnie skreślił dzieje budownictwa, przeważnie na Rusi, opisał zmiany, jakim ulegały świątynie pod względem stylów, dał dokładny zarys cerkwi ruskiej drewnianej, wspominał o starych domach po miasteczkach, „które mają i archeologiczną i artystyczną wartość, gdy zwracają ku nam poczerniałe,

żadnym tynkiem nie zeszpecone ściany, i gdy oprą ogromne dachy swe o misterne słupy, przechowujące jeszcze jakieś starosłowiańskie tradycye". — „Staroświecki dwór znikł już prawie bez śladu".

W Buczaczu w r. 1610 Potocka, z domu Mohylanka, fundowała cerkiew św. Mikołaja, podług podania na tem miejscu, na którem stał kościół św, Jana Chrzciciela, którego obraz słynął cudami. Hr. Dzieduszycki odnalazł ten obraz w dzwonnicy, gdzie mógł rychło uledz zupełnemu zniszczeniu. Hrabia uznał, że ma on wszystkie znamiona odległej starożytności, kazał więc go odrestaurować najstaranniej, a do drugiego zeszytu „Przeglądu" dołączył przerys tego nader ciekawego obrazu, który dziś zdobi cerkiew Buczacką.

Pomnik Konstancyi Daniłowiczównej, o którym podał wiadomość Dr. Szaraniewicz, znajduje się w Żurowie w kościele rzymsko katolickim, założonym pierwiastkowo w r. 1568, restaurowanym w r. 1668 i 1816. Pomnik ten z alabastru krajowego misternie wykuty, z drugiej połowy XVII. wieku. Mamy tu i opis samego kościoła.

Ks. Pietruszewicz zrobił wielką przysługę piśmiennictwu, udzielając do „Przeglądu" Dyaryusz ks. Porfirego Ważyńskiego, zamieszczony we wszystkich trzech zeszytach „Przeglądu". Ks. Ważyński, syn oszmiańskiego starosty[1], w roku 1745 wstąpił do zakonu OO. Bazylianów, nauki teologiczne ukończył w Rzymie, był rektorem kollegium włodzimierskiego, protoarchimandrytą OO. Bazylianów, archimandrytą Żydyczyńskim, w końcu w r. 1790 wyświęcony w Warszawie na biskupa chełmskiego. Był on gorliwym mnichem, powiada ks. Pietruszewicz, jako biskup zajmował się nietylko sprawami swego duchownego powołania, lecz także i polityką. Jakoż, biskup Ważyński, tak samo jak metropolita ruski Jazon Smogorzewski, byli gorliwymi stronnikami Tadeusza Kościuszki i podczas powstania, naczelnikami komisyj porządkowych w swych dyecezyach. Jako naczelnik biskup Ważyński brał czynny udział we wszystkich sprawach, przewodniczył na posiedzeniach komisarzom z obywateli wybranym, korespondował z Kościuszką, zbierał składki,

---

[1] Oszmiańskie starostwo nigdy do Mohylewskiej gubernii nie należało, jak mylnie powiedziano w wiadomości o tym Dyaryuszu. Położone ono w gub. Wileńskiej.

nieszczędząc ofiar z własnej kieszeni. Z tego względu dyaryusz, czyli pamiętniki Ważyńskiego są nader ciekawe. Własnoręcznie zapisywał on wypadki każdego dnia. Mamy więc tu nieznane dotąd akta piśmienne i listy charakteryzujące czas i ludzi owej epoki. Spisywał zaś tak pedantycznie, że nie zaniechał nigdy zanotować kto u niego był na obiedzie, kto na wieczerzy, kto z wizytą, lub za interesem. Gościnny musiał być, bo niebyło dnia, ażeby niemiał u siebie kogo z gości. Wiele światła rzucają listy jego do Kościuszki i tego ostatniego do niego. W jednym z nich (z dnia 7 maja 1794 r. w obozie pod Połańcem) pisze Kościuszko: „Los wasz kapłani greckiego obrządku zbyt jest i był w panowaniu niesprawiedliwości upośledzonym. Polacy, wolni Polacy poprawią go i tych którzy się pokażą gorliwemi dla nich zostawią w stanie szczęśliwym i godnym powołania waszego. Ja was o tym imieniem narodu upewniam. Bądź Biskupie pewnym szczerości mojej i wdzięczności, której T o b i e s z c z e g ó l n i e od narodu Polskiego chcę bydź rękojmią. Pobożności Twojej i przyjaźni mnie polecam i pełen uszanowania jestem. T. Kościuszko“ [1].

D. 8 czerwca 1754 r., gdy wojska rossyjskie zajęły Chełm, biskup Ważyński musiał opuścić swoją stolicę, a zabrawszy ze sobą ofiary obywatelskie (klejnoty i pieniądze) udał się do Galicyi i dnia 26 stanął we Lwowie, skąd powrócił do Chełma dnia 21 sierpnia. Chełm był zajęty przez wojska austryackie. Dom biskupi był zrabowany.

Zapewne wrócimy jeszcze do tego ciekawego Dyaryusza, skoro wyjdą dalsze zeszyty Przeglądu archeologicznego, w których spodziewać się należy, znajdziemy dalszy ciąg i zakończenie pamiętnika biskupa Ważyńskiego.

Wiadomość o archiwum lwowskiem, przez redaktora Karola Widmanna podana, także zamieszczona we wszystkich trzech zeszytach Przeglądu. Wiadomości te są nader cenne, tem bardziej, że poprzednie nie zawsze były dokładne. „Przeszłość pięciowiekowa, mówi p. Widmann, przemawia do nas z tego zbiorowiska spółczesnych świadectw, zapylonych, od starości pożółkłych, a miejscami uszkodzonych i spo-

[1] Ks. Pietruszewicz bardzo słusznie zachowuje wszędzie pisownię i język oryginału.

niewieranych ksiąg i aktów". Obok dyplomatów, przywilejow, dokumentów, ksiąg wyborów, rachunków miejskich, w archiwum mieściła się kassa i składano nieraz bardzo kosztowne depozyta, jako też przechowywano kosztowności będące własnością gminy.

Archiwum posiada cenne zabytki piśmienne z wieków ubiegłych. Tak n. p. najdawniejszą księgę ze zbioru fragmentów, z napisem: fragmenta officii consularii, obejmujące oryginalne zapisy spraw wytaczanych w obec urzędu rajców miasta i uchwały rajców od roku 1382 do 1389. Są inne księgi od roku 1441 aż po rok 1807. Księgi radzieckie od roku 1599 do 1720. W r. 1757 Czacki, jako komisarz królewski z rajcami miasta dokonał szczegółowej rewizyi archiwum. Sporządzony został inwentarz, obejmujący nietylko akta, ale i depozyty, czyli fanty przechowywane w archiwum. Oprócz klejnotów, worków z pieniędzmi były tam najpospolitsze przedmioty, suknie, rozmaite ubrania, np. spodnica zielona, tabinowa, poszew musułbasowa czerwona, żupany, kontusze, nawet jedna peruka. Klucze od bram srebrne na pięć długie na jedwabnym karmazynowym złotem przerabianym No cztery.

W r. 1838 regulacyę archiwum polecono znanemu historykowi rusińskiemu Dyonizemu Zubrzyckiemu. Czynność tę pełnił do końca roku 1839.

W r. 1848, przy zbombardowaniu miasta, a szczególnie ratusza, szczęśliwym trafem archiwum ocalało. Pewien jednak żołnierz z pułku księcia Parmy poczuł się w nadmiarze lojalności do prawa poszukiwania za bronią, o której ukrywanie w archiwum podejrzywał „buntowniczy" magistrat. Wyłamał więc drzwi, a nie znalazłszy broni zabrał dwa młotki i dwie kielnie, pozłacane, srebrne, sprawione do ceremonii zakładania węgielnego kamienia pod ratusz. Później te młotki i kielnie zostały zwrócone, a żołnierz uległ dotkliwej karze.

W r. 1862 znany Jan Wagilewicz mianowany był dyrektorem naukowym archiwum. Wagilewicz umarł 10 maja 1866. Następcą jego był Romankiewicz Edward. Znaczna część odpisów i wypisów przez Wagilewicza dokonanych wydrukowaną została w wydawnictwie „Aktów grodzkich i ziemskich".

Przez Wagilewicza i sekretarza Raspa zostało archiwum rozłożone na cztery oddziały: I. dokumenta i dyplomy; II. akta; III.

księgi pisane i drukowane i IV. listy. Później do tych działów przybył oddział V. ksiąg i aktów oddanych z tabuli miejskiej i VI starożytne zabytki i kosztowności.

W dalszym ciągu autor podaje katalog chronologiczny oryginalnych dyplomów i dokumentów znajdujących się w archiwum z wykazami gdzie były drukowane. Jest to ciekawy zbiór nadań, przywilejów itd. Kazimierza Wielkiego, Władysława Opolskiego, króla Ludwika, Dymitra księcia włodzimierskiego i łuckiego, królowej Jadwigi, Władysława Jagiełły, Bonifacego IX. papieża i wielu innych.

Z tego krótkiego i ogólnikowego zarysu, przekonać się łatwo, jak sumienną, ważną i użyteczną jest praca p. Widmanna, użyteczną szczególnie dla archeografów i historyków. Czytaliśmy niedawno w jednem piśmie zarzut, że p. Widmann ogłosił katalog i tych dyplomów, które już były drukiem ogłoszone. Owszem, jest to zasługa p. Widmanna, że w swoim chronologicznym zarysie nieopuścił i tych dyplomów, które się drukowały w języku oryginału. Koniecznem to jest przy systematycznem opisaniu archiwum, bo przecie katalog nie jest kodeksem, a zaznajomienie z treścią i wskazanie gdzie był drukowany dyplom w oryginale, właśnie może być bardzo przydatnem i użytecznem dla pracowników lub osób interesowanych.

Materyały historyczne podawane przez ks. Pietruszewicza i Dra Szaraniewicza zamieszczone we wszystkich trzech zeszytach i niektóre zawierają listy i opisy wypadków historycznych nader cenne i ciekawe. Mamy tu także dokumenta podane przez Klemensa Sienkiewicza, odnoszące sie do napadu kozaków na Przemyśl w roku 1648, wzięte z archiwum miejskiego w Przemyślu. Jest praca Dra Romana Maurera p. t.: „Kilka dat do dziejów rodziny Odrowążów Sprowskich na Rusi w XV. wieku“. Ciekawe też opisanie archiwum Dominikanów w Jarosławiu, przez ks. Sadoka Barącza.

W II. zeszycie zamieszczony pięknie napisany i podający ciekawe szczegóły artykuł p. t.: „Fara łacińska i cerkiew św. Jura w Drohobyczu“ przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, z planami i rycinami na 17 tablicach.

W III. zeszycie oprócz wspomnianych już artykułów mamy jeszcze ś. p. Dra K. Hoszowskiego dwa artykuły: „Fundacya kar-

dynała Zbigniewa Oleśnickiego, a niegdyś rezydencya kardynała Stanisława Hozyusza“ i „Stanisław Hozyusz kanonik krakowski, później biskup warmiński i kardynał państwa rzymskiego“, oraz tablicę genealogiczną potomstwa Jeremiasza Mohiły, podaną przez Dra Szaraniewicza i uzupełnioną przez K. Widmanna. W materyałach historycznych między innemi mamy ciekawy „List Filipa Orlika hetmana kozaków do generalnego asystenta OO. Jezuitów w Rzymie, pisany z Tesaloniki 5 sierpnia 1725“ podany przez ks. Pietruszewicza.

We wszystkich trzech zeszytach mamy osobne działy: „Sprawozdanie o Towarzystwie archeologicznem we Lwowie“, „Kronikę bibliograficzną“ i „O literaturze archeologicznej“. Działy te prowadzone starannie, ale dla braku zapewne materyałów nie zawsze wyczerpująco. Pożądanem byłoby co najwięcej szczegółów o pracach obecnych w zakresie archeologii przedhistorycznej, historyi sztuki itd., gdy tymczasem w Przeglądzie zaledwo mamy parę artykułów z dzisiejszej literatury archeologicznej rossyjskiej (ks. Pietruszewicza o ornamentyce słowiańskiej i Kirkora o nawodnem mieszkaniu z epoki kamiennej w okolicy Ladogi). Rossyanie, Czesi, nawet w południowej słowiańszczyźnie pracują gorliwie nad archeologiją jak przeddziejową tak i historyczną, dla nas zaś koniecznem jest jak najbliższe i najgłębsze zaznajomienie się z zabytkami, jakie ocalały na całej przestrzeni ziem, przez rozmaite szczepy słowiańskie zajmowanych.

Jest to prawdziwą zasługą Redakcyi, że zamieszcza dział Bibliografii archeologicznej, której brak oddawna czuć się daje. Niechodzi tu bynajmniej o rzeczy bieżąca, ale o skupienie materyałów do takiej bibliografii od najdawniejszych czasów. Nie chodzi tu o chronologię, bo to materyał, z którego by następnie dało się utworzyć Bibliografię w chronologicznym porządku. A więc tu wejść by powinny rozmaite artykuły archeologicznej treści ogłaszane w *Przyjacielu ludu*, w *Dzienniku* i *Tygodniku wileńskim*, powtórzyć to co jest znanem z katalogów *Biblioteki Warszawskiej*, *Kłosów*, *Tygodnika illustrowanego*. Sądzilibyśmy nawet, że koniecznem jest podać artykuły stosujące się do polskiej archeologii, a ogłoszone w obcych językach, szczególnie słowiańskich. Dużo jest rzeczy, w Drewnostiach moskiewskiego towarzystwa archeologicznego, w Zapiskach peters. Akademii nauk, peters. geograf. towarzystwa, pe-

tersb. Archeologicznego towarzystwa, Historyi i starożytności odeskiego towarzystwa itd. Bardzo wiele ważnych dla naszej archeologii materyałów w wydawnictwach czeskich. Nie troszcząc się zgoła o systematyczne uporządkowanie, dawać wszystko co się w tej mierze zdobędzie, a co z czasem posłuży za bogaty materyał do bibliografii archeologicznej polskiej.

Z powyższego wykazu widzimy, że redakcya „Przeglądu“ wielce się zasłużyła wydaniem tych trzech zeszytów, zawierających tyle cennych artykułów. Prace Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, ks. Pietruszewicza, Dra Szaraniewicza i samego redaktora Karola Widmanna, mogłyby zdobić każde pismo; działy dodatnie też dobrze opracowane, ale, oddając cześć należną dla wielce przez nas poważanego redaktora; zapytajmy, czy przegląd archeologiczny, w ściślejszem archeologicznem znaczeniu, odpowiada swojemu zadaniu? Nie! — Wina to nie redaktora, ale raczej ogólnej działalności samego Towarzystwa, bo p. Widmann, jak widzimy umie skorzystać z prac historycznych, archeograficznych, a nawet i z dziedziny sztuki, archeologów zaś epok pierwotnych nie stworzy, i nie odszuka, skoro ich niema. Cieszymy się, że wyszło trzy zeszyty „Przeglądu“; smucić się musimy, że od 1 czerwca 1882 r. wyszło tylko trzy. Z działu archeologii historycznej (sztuka) mamy trzy artykuły Wojciecha hr. Dzieduszyckiego; z działu zaś archeologii przedhistorycznej, ani jednego. Wprawdzie prof. Dr. Szaraniewicz, który pierwszy myśl podał i z niesłychaną energią, umiejętnie do jej urzeczywistnienia przystąpił i do dziś dnia w tej pracy nie ustaje dla wskrzeszenia prastarego książęcego i królewskiego Halicza, w drugim zeszycie „Przeglądu“ podał plan robót podjąć się mających w celu odszukania i bliższego zbadania starodawnych budowli lub innych historycznych pomników w Załukwi, w Haliczu i na Kryłosie, niepominął w nim i zabytków przedhistorycznych mogił, cmentarzysk itd., ale o ile widzimy ze sprawozdania jegoż w 3 zeszycie, systematyczne badania zabytków pierwotnych w okolicy Halicza zaledwo się rozpoczynają. Wcale się temu nie dziwimy, skoro Dr. Szaraniewicz i jego gorliwy współdziałacz ks. Ławrecki tak wiele już na innem polu dokonali, gdy tyle już fundamentów starych cerkwi, skitów i rotond odkryto, gdy śród ruin tyle ciekawych zabytków średniowiecznych znaleziono, że dość jest wspomnieć o sarkofagu wykutym

z jednolitego kamienia, a mamy niepłonną nadzieję, że i zabytki pierwotne doczekają się chwili gruntownego ich zbadania, co tem konieczniejsze, że jak dowiadujemy się od delegata Akademii Umiejętności p. Teodora Ziemięckiego, tuż w pobliżu Kryłosa zbadał on kilka kurhanów — mogił, należących do epoki kamienia gładzonego. Gdzieindziej wypowiedzieliśmy zdanie nasze o doniosłości odwiecznego horodyszcza w Kryłosie; dziś zaś, gdy tuż prawie obok mamy wymowne świadectwo istnienia pierwotnych ludzi z tak odległej epoki i samo horodyszcze nabiera jeszcze większego znaczenia. Tu musiała być najdawniejsza, najpierwotniejsza siedziba władzców Czerwonej Rusi, a dopiero w następstwie czasu, gdy gród się rozszerzał, w potęgę wzrastał, siedzibę tę przeniesiono nad sam Dniestr, korzystając także z dogodnej miejscowości, gdy tymczasem całą przestrzeń do koła zalegały świątynie, skity, pałace bojarskie, których ślady dziś niespracowany Dr. Szaraniewicz odgrzebuje. Nie zahacza to bynajmniej teoryi Dr. Szaraniewicza o starym Haliczu; owszem stwierdza ją.

W jesieni b. r. (1884) zapowiedziany był Zjazd archeologów i historyków we Lwowie; ale odłożony został na rok przyszły, co i na lepsze wyjść może, bo da możność uczonym naszym wyczerpania programu, bardzo szerokiego, obejmującego działy archeologii przedhistorycznej, antropologiczny, artystyczny (sztuk) i historyczny.

Mamy niepłonną nadzieję, że przy znanych i doświadczonych najlepszych chęciach Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, jako głównego promotora zjazdu, restauracyi pomników w Haliczu, oraz badań archeologicznych tamże, powoli i stopniowo wszystkie jego błogie zamiary, dobitnie i jasno wypowiedziane w Odezwie towarzystwa archeologicznego (w 1. zeszycie), uskutecznione zostaną. Towarzystwo archeologiczne w Lwowie ma swoją przyszłość. Nadając mu kierunek właściwy, przy dzielnej pomocy ludzi fachowych w tej, lub innej gałęzi wiedzy antropologicznej, towarzystwo może i powinno przynieść wielkie korzyści dla kraju i nauki. Dzięki badaniom, zarządzanym corocznie przez Akademię umiejętności, gorliwości niektórych członków i współczuciu kilku miejscowych obywateli, nasze Podole i Pokucie, jeśli nie w zupełności, to w znacznej części już nam wykryły swoje tajnie przeddziejowe; wiemy już jakie tam zabytki mehalityczne, jakie mogiły, groby i cmentarzyska; poznaliśmy za-

bytki mitologiczne — ależ właściwa Ruś Czerwona, Stryjskie, Przemyskie i t. d., leżą dotychczas odłogiem. Znajdą się ludzie, znajdą się i chętni do pomocy, do współudziału w pracy, skoro Towarzystwo lwowskie energicznie i umiejętnie zarządzi poszukiwania i systematyczne badanie. Dla tego to, powtarzamy, Towarzystwo powinno zostawać w jak najściślejszem porozumieniu z Akademią umiejętności, być jej pomocniczą i współdziałającą, jak np. grono komisyi historycznej we Lwowie, lub komisyi językowej także we Lwowie. Nie rozrywać się, ale skupiać się, działać wspólnie, systematycznie potrzeba. Niezbędne to szczególnie dla wschodniej Galicyi. Porzecza Dniestru, oraz dorzecza tegoż: Zbrucz, Strypa, Seret i inne do dziś dnia przechowały wiele zabytków przedhistorycznych od najdawniejszych czasów, bo nawet z epoki kamiennej. Ocalały posągi Bab, ołtarze pogańskie, świątynie, odwieczne horodyszcza. Rozmaitość zwyczajów pogrzebowych niezmierna; mogiły ze szkieletami idą tu obok kurhanów i cmentarzysk ciałopalnych; groby kamiennne, z sześciu olbrzymich płyt układane, zawierające po dwa szkielety w skurczonej postawie, a przy nich przedmioty z kamienia, z kości i bursztynu, a nic zgoła kruszcowego, w końcu okazy ceramiczne, formą i ornamentyką we wszystkich tego rodzaju grobach zbliżone do siebie, następnie groby także z olbrzymich głazów ułożone, tworzące koła, na dnie których siedzące dwa szkielety, lecz w których, oprócz wyrobów kamiennych, już i bronzowe się znajdują; dalej groby przykryte dużemi głazami; w końcu mogiły — kurhany, nie zaprzeczenie do nowszej epoki należące, w których obok bronzów, już i żelazo się znajduje. Kurhany ciałopalne i cmentarzyska wspólne, niekiedy znaczną przestrzeń zajmujące, a wielce różniące się od ustroju wewnętrznego, jaki widzimy w tego rodzaju zabytkach na nadwiślańskiem porzeczu. We wschodniej nakoniec Galicyi, w Zbruczu, odkryto posąg Światowita, a od r. 1848 do r. 1876 nie umiano określić z pewnością miejsca znalezienia onego, samo znalezienie otaczały ciemności i jakieś legendarne opowieści; żadne pismo nie powtórzyło nawet nazwisk tych osob, którzy byli rzeczywistemi sprawcami tak ważnego odkrycia (Bieńkowski i Brzuszkiewicz); dopiero 29 czerwca 1876 r. wspólną naszą pracą z pp. Tomaszem Horodyskim, Szczęsnym hr. Koziebrodzkim i Władysławem Przybysławskim, w obecności i podług skazówek właśnie tych osób, które się przyczyniły do wy-

krycia, przez czci najgodniejszego T. Horodyskiego umyślnie na ten cel sprowadzonych, kwestya znalezienia stanowczo wyjaśnioną została i bałamutne wieści o domniemanym znalazcy ustać musiały. Wspomnieliśmy tu o tem dlatego, ażeby przekonać, jak są niezbędne osobiste badania, jak również, że w kraju naszym zawsze się znajdą ludzie chętni do niesienia pomocy i współudziału w pracy.

Myśl przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego na pierwszym zjeździe archeologicznym w Haliczu w r. 1883 najpierwej rzucona, a przez wszystkich obecnych członków na zjeździe ze współczuciem przyjęta, o założeniu muzeum narodowego w Haliczu, jest nader szczęśliwa. Dlaczego byż Ruś Czerwona, czy Halicka nie mogła mieć swojego muzeum, w któremby znalazły miejsce starodawne pomniki, wykopaliska, dzieła sztuki? Dla nauki jest rzeczą nader ważną, gdy w jednym zbiorze od razu można obejrzeć i ocenić zabytki tego kraju, zamiast, jak dziś, szukać ich w Narodnym Domu, w Zakładzie Ossolińskich, w zbiorach Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego we Lwowie, w muzeum Akademii umiejętności, w gabinecie uniwersytetu Jagiellońskiego, w muzeum ks. Czartoryskich, w zbiorach Muzeum przemysłowego Dr. Baranieckiego w Krakowie, a dodajmy, że tylko w jednej Akademii umiejętności zabytki systematycznie i naukowo ułożone, po największej części osobistemi badaniami członków poparte i wyjaśnione. Ogólne zbiory w stolicach i po wielkich miastach dobre są i użyteczne dla archeologii porównawczej, ale wtedy, kiedy jest możność bliższego poznania i głębszego zbadania zabytków odrębnych miejscowości, jak w danym razie porzecza Dniestrzańskiego. Mądrze i nader praktycznie urządzono w Prusiech, że każda miejcowość posiada swoje właściwe muzeum. To samo dzieje się i w kilku innych państwach zagranicznych. Każdy Rusin, jesteśmy najmocniej przekonani, chętnie złoży w Haliczu każde wykopalisko, czy to przez naukowe zbadanie, czy też przypadkowo znalezione. Niepodobna wszakże zadowalniać się tylko tem, co przypadek nadarzy; trzeba studyów, trzeba głębszych osobistych badań, bo też te tylko przedmioty, które przez osobiste badania zdobywają się, mają prawdziwą wartość naukową, gdy luźnie znalezione, niewyjaśnione, często bez określenia nawet dokładnego miejsca i samych okoliczności znalezienia, służą tylko do zapychania szaf i witryn muzealnych, bardzo często niemających zgoła wartości naukowej.

Muzeum w Haliczu gromadząc zabytki z Rusi Czerwonej, Podola, Pokucia, Stryjskiego, ziemi Przemyskiej i w ogóle całej wschodniej Galicyi, prędkoby urosło do wysokiego znaczenia naukowego, a miłem i pożądanem byłoby dla całego kraju. Zależne i zostające pod dozorem Towarzystwa archeologicznego we Lwowie, takie muzeum zostawać powinno pod opieką Wydziału krajowego, a wyższem kierownictwem naukowem Akademii Umiejętności, która już niejednokrotnie dała dowody swej bezinteresowności, bezstronności i poszanowania kwestyj narodowościowych. Sejm nie odmówi swej pomocy, a wątpić nie można, że i prywatne osoby poświęcą grosz możliwy na przedsięwzięcie tak wzniosłe i w skutkach tak wiele obiecujące. Nie można też wątpić, że nasi uczeni, jak w Krakowie, tak we Lwowie i w całym kraju pośpieszą z pomocą naukową. Wyznając z całą szczerością, że badania rozpoczęte przez szanownego profesora Dra Szaraniewicza w Haliczu, uważamy za nader ważne i najmocniej nas osobiście interesujące, przypomnieć jednak uważamy za stosowne, że niepodobnaż łożyć koszt na sam tylko Halicz; oprócz Halicza, którego archeologiczną i historyczną doniosłość wysoce cenimy, mamy przecie prastarą Trembowlę, Przemyśl, Drohobycz, mamy aż trzy Dźwinogrody, mamy na znacznej przestrzeni nieustający szereg pierwotnych zabytków w Miodoborach, mamy dwie bogate skarbnice wykopalisk w dwóch Horodnicach, miodoborskiej na Podolu i naddniestrzańskiej na Pokuciu, w końcu mamy te najdonioślejsze, najznakomitsze zabytki w Bołdach Stryjskich, u stóp Beskidów, które gdyby były n i e u n a s, jużby dawno świat cały o nich wiedział i liczni pielgrzymi z dalekich by stron przybywali, ażeby podziwiać te majestatyczne pomniki natury i tę umiejętną, cyklopiczną pracę ręki człowieka z wieków ubiegłych.

Życzymy z duszy, ażeby myśl szanownego inicyatora, na przyszłym zjeździe w czyn się zamieniła i jak najpomyślniej kwestya muzeum narodowego rozwiązaną została.

A. H. Kirkor.

Z wystawy Sztuk pięknych.

„Bolesław Chrobry“ Matejki. — Obrazy scen ludowych.

Jest znowu znakomity obraz Matejki na wystawie. Zwiedzający ją, liczniejsi niż zwykle, przechodzą prędko przez pierwszą wielką salę do drugiej, gdzie w głębi ustawiony Bolesław Chrobry Matejki. Obraz małych rozmiarów; wszyscy więc przychodzą blisko by mu się przypatrzeć, i słyszy się wszystko, co mówią. „Patrz, jaka to wielbłądzia szyja u tego konia Światopełka“ — „A i w jego postaci jest jakiś błąd, ale nie wiem jaki“. „A ten Archirej, to ten sam co na Stefanie Batorym“. „A ta Brzetysława, to jakieś małe dziewczę bez wyrazu, co ona tu robi?“. „A te postacie na pierwszym planie, dziwna! jak mało mają plastyki“. „A światło, ni to noc ni dzień“. „Ta cerkiew za bramą robi wrażenie, że Chrobry wyjeżdża z Kijowa, nie wjeżdża“. „Wszystko to nic, ale główny błąd obrazu, że go bez komentarza zrozumieć nie można“... I tak dalej i dalej, — a jednak wszyscy stoją i patrzą i pomimo tych „olbrzymich“ błędów odejść im nie pilno, oderwać się trudno.

Stojąc i ja w tym gwarze i nie mogąc słów krytyki nie słyszeć, doznawałem przykrego ale dobrze mi znanego wrażenia. Nie można się dziś prawie znaleść wśród ludzi, żeby nie słyszeć zarzutów na Kościół katolicki. Wszystkie grzechy Papieży, i te nawet, których nie popełnili, wszelki upadek w zakonach, brak gorliwości tego lub owego księdza, a w braku argumentów bliższych Albigenzi i Huss, Inkwizycya i Galileusz i noc św. Bartłomieja, i mnóstwo ogólników dawno zbitych, a zawsze na nowo powtarzanych, brzęczy koło nas jak mszyca egipska, której się opędzić trudno. Wyznaję, że nigdy nie czuję się tak bezsilny, jak w obec tej mszycy, bo zarzuty czynione mają wiele prawdy, tylko... niczego nie dowodzą; tylko, żeby tę ich bezsilność wykazać, trzebaby dużo tłomaczyć i mówić, na to, żeby nie być zrozumianym. A przecież pomimo tego wszystkiego Kościół jest najwyższą instytucyą na ziemi, największym dobrodziejem ludzkości, matką cywilizacyi, stróżem wolności, źródłem najwyższych ideałów doczesnych i wiecznych, jakie były i będą kiedykolwiek na świecie, on niesie w swej dłoni dwa najcenniejsze dary najwyższego, bo absolutnego porządku: prawdę i świętość!

I Bolesław Chrobry Matejki, pomimo wszystkich zarzutów jakie mu uczynić można, jest mistrzowskiem dziełem, przewyższającem zaletami swemi te zarzuty o całą nieskończoność. A najprzód sama główna postać, która przez bramę wprost ku nam wyjeżdża; pytam tych, którzy znają całą sztukę, jak świat długi i szeroki i jak daleko w przeszłość sięgniemy, czy widzieli piękniejszego rycerza na koniu? Jaka dzielność i fantazya i swoboda i młodość, — zda się, że cały świat rozniesie. A koń jaki dumny, jak doskonale ruchem swoim wyraża niecierpliwość, że był w swym tryumfalnym pochodzie zatrzymany na chwilę przez historyczne cięcie w złotą bramę. I gdyby był tu jeden konny rycerz na obrazie — ale patrząc dłużej coraz to nowe odkrywa się piękności. Postać Światopełka ponura i podejrzliwa, wjeżdżająca jakoś nie prosto, a patrząca z podełba, doskonale przeciwstawia Wschód Zachodowi, chytry bizantynizm, szczerej i rycerskiej cywilizacyi łacińskiej. Znakomici są dwaj mieszczanie kijowscy, na pierwszym planie po prawej, którzy z pewnego rodzaju czcią bałwochwalczą, dziś jeszcze ruskiej ludności właściwą, witają króla. Albo i ten jakiś chłop, który za grupą kobiet wspina się na mury, i ten bojar, który ukląkł przed koniem królewskim na środku drogi, a którego postać odwróconą do nas tyłem a skurczoną, tak doskonale się rozumie pod grubą i bogatą suknią. A orszak królewski, a szczegóły archeologiczne, przedewszystkiem ta brama, która tak jasno zlociła się kiedyś w naszej wyobraźni dziecięcej, jakżeż doskonale odpowiadają wszystkim i najwybredniejszym wymaganiom dojrzałego, trzeźwego a naukowego wieku naszego. Rzeczywiście trudno lepiej odczuć i jaśniej pojąć bramę forteczną z pierwszych wieków średnich, w której obok kamieni i cegieł drzewo wielką odgrywa rolę, zbudowaną pod wpływem bizantyńskim, ale przez lud świeży i gruby jeszcze, bez symetryi i bez dokładnego zrozumienia form z daleka przywiezionych. A koloryt — ten poważny i głęboki koloryt mistrza naszego, który z daleka ciągnie oko, by w miarę zbliżania się coraz to nową napawać je rozkoszą! Wpatrując się w ten obraz, mimowoli wchodzi się do duszy artysty, tak szczytnej, że nic małego jej nie zajmuje, a tak płodnej, iż gdy możnaby się zacząć obawiać, że zaczyna się wyczerpywać, zarzuca nas całym szeregiem utworów nowych, w zupełnem tego słowa znaczeniu, bo zawsze oryginalnych, gotujących nam zawsze jakąś artystyczną niespodziankę. Dziś zda-

wałoby się, że tej płodności nie wystarczają same obrazy na wielką miarę, zbyt powolne w tworzeniu dla siły twórczej tak potężnej; więc powstaje w oczach naszych cały szereg kompozycyi, rozmiarami mniejszych, wykonaniem szybszych, które sam mistrz nazywa szkicami, a które sa rzeczywiście nową seryą „szkiców historycznych“ historyka malarza. Oby ich było jak najwięcej!

Ale i gromadka widzów przed obrazem powoli rozgrzewa się, po krytyce wydanej na pierwszy rzut oka; następują uwagi coraz głębsze, coraz cieplejsze, po uwagach idą wykrzykniki, aż wyrywa się z jakiejś młodej piersi słowo: „Ach, gdyby to mieć!“ i wywołuje w duszy wszystkich obecnych podobne pragnienie, które jest i zawsze będzie najprotszym i najbezpośredniejszym wyrazem zachwytu. Gdyby mieć ten obraz i módz się patrzeć nań długo, zawsze, coraz to nowe w nim odkrywać uroki — to ostatnie słowo duszy w obec arcydzieła, którego piękna ani w słowa ująć, ani wyczerpać nie można. Szczęśliwi, którzy dzieła takie posiadać mogą.

Ale wróćmy jeszcze do pierwszej sali, którąśmy, w upragnieniu oglądania dzieła Matejki, z pośpiechem minęli. Pomówię tym razem o niektórych działach obrazów, dawno już na wystawie będących, które posłużą nam do zrobienia sobie ogólniejszego pojęcia o sztuce dzisiejszej u nas. Biorę najprzód sceny z życia ludowego. Jest to pole nie dość u nas dotąd uprawiane, kopalnia nie dość wyzyskana, a jest jednak w tem życiu ludowem wiele charakteru i wiele poezyi, wiele bólów i tajemnic dotąd nam nieznanych, a tak dla nas ciekawych i ważnych. I w literaturze świat ludowy traktowany jest jakoby mimochodem, pobieżnie lub mylnie. Niektórzy pisarze, zdawałoby się, korzystają z naszej niewiadomości, aby nam dawać chłopów swojej kompozycyi, nie takich, jakich Pan Bóg stworzył, ale stworzonych na ich własne kopyto, *ad usum* ich własnych teoryj i tendencyj. I malarstwo od tych kierunków nie zupełnie było zawsze wolne, a dopiero ostatniemi czasy miłość prawdy i na tem polu zaczyna górować nad wszystkiem. Dotąd jednak mamy dopiero próby, nie zawsze zadowalniające, a gdy obejmiemy okiem i myślą cały dość liczny szereg obrazów i obrazków z życia ludowego, zaledwie kilka rysów ucieszy nas, a i te jeszcze bardziej tem co obiecują, niż tem, czem już są obecnie. „Miej serce i pa-

trzaj w serce", mówi poeta; myśmy nie zajrzeli jeszcze w serce ludu, może dlatego właśnie, że jeszcze dość serca dlań nie mamy.

Kiedy mowa o scenach z życia ludowego, trzy nazwiska z wystawy przychodzą na pamięć: Pruszkowski, Herncisz i Bierkowska. Pruszkowskiego jeden jest tylko obraz ludowy, i żal nam, że tylko jeden, bo zalety jego są niezwykłe. Temat codzienny i pospolity bardzo; parobczak i dziewczyna rozmawiający przy studni. Już wyborem tematu świadczy malarz, że od dawniejszych swoich rusałek zbliżył się więcej do rzeczywistości, ale pojęciem i przedstawieniem jego świadczy o tem bardziej jeszcze. Szczególnie uderza, uchwycenie natury w jej życiu i w tych jej właściwościach, któremi element ludowy rozróżnia się od innych. Znać tu głębokiego a subtelnego spostrzegacza, a przytem i poezyę w jego duszy, która rzecz ze strony moralnego piękna chwyta i z tej strony ją przedstawia. Wszystko w tym obrazie, od ogólnego układu postaci, aż do wyrazu w twarzach, jest szlachetnie piękne, i wszystko jest prawdziwe. Nawet to podobieństwo rysów dwojga młodych istot, które świadczy, że z tej samej wsi pochodzą, a które tak często w naszych wsiach zadziwia, jest wzięte z rzeczywistości. Ten obraz jest nierównie bardziej n a s z, niż dawniejsze tego malarza rusałki, w których elementu ludowego dopatrzeć można tylko w stroju, bo i pozy i rysy twarzy i wyrazy zupełnie ludowe nie są. Jedną rzecz w tym obrazie możnaby chyba zarzucić, a to, że nie dość zaznaczona różnica tkanin w stroju; że gruba wełniana sukmana parobczaka, a koszula lub fartuch dziewczyny zbyt podobnie się cieniują, a nawet faldują, choć i tu znać sumienne studyum, nie dość może tylko wyzyskane.

Herncisz w tym roku kilka wystawiał obrazów z życia ludowego, i niejednym rysem zadziwił. Patrzącemu na te obrazy jasnem jest, że w tym malarzu siedzi coś niezwykłego; że on umie czasem patrzeć na naturę tak, jak chyba tylko Kotsis patrzał, a może jeszcze trafniej. Chciałoby się niemi nacieszyć, ale szkoda, że tych trafnych rysów na każdym obrazie zbyt skąpo, że zbyt są pobieżnie rzucone, i że nie potrafiły zainteresować więcej samego malarza. Weźmy np. ten obrazek, który dziś jest na wystawie. Złodziej jakiś schwytany i związany przez żandarma, stawiony przed wójta w jego chacie, stara się wyłgać z tak niemiłej pozycyi, a łże tak

znakomicie, z taką chytrością i życiem, że jest aż coś genialnego w tej postaci. Chata wystudyowana dobrze, głowa wójta, który siedząc z fajeczką, słucha z mądrą miną i z pewnym rodzajem niezupełnie pewnej siebie pogardy, także jeszcze może zadowolnić; taki rys, jak stojący obok chłop, na pół z żołnierska ubrany, jest także wzięty z życia. Ale to i wszystko. Błędów za to na tym obrazie nierównie więcej: żandarm z głową osadzoną bliżej lewego ramienia, narysowany jakby przez kogoś, kto się jeszcze rysować nie uczył, wygląda na wypchaną lalkę bez życia; głowy reszty chłopów zwykłe, pobieżnie rzucone, a płótnianki wiszą na nich jak na kołkach. Kobieta wychodząca z sąsiedniej izby z dzieckiem na ręku, niebrzydka może, ale zupełnie nie chłopka... Doprawdy pojąć nie można, jak jeden i ten sam malarz może być do siebie tak niepodobnym na tym samym obrazie. I w innych kompozycyach to samo uderza. *Lirnik* np. miał grupę dzieci bardzo ładną, i parę głów charakterystycznych, ale zresztą wszystko mierne lub gorzej nawet. I największy ludowy obraz Herncisza: *Sobótki*, choć nierównie więcej wystudyowany, z ładnym krajobrazem, dawał parę tylko lepszych, prawdziwszych postaci, wśród morza banalności. Szczególnie kobiety wszystkie jednakowe, a podobne raczej do małomiejskich aktorek w rolach ludowych, niż do chłopek rzeczywistych. Jest w p. Herncziszu z pewnością coś, co może się uwolnić z więzów, sami niewiemy czego, czy miernoty, czy pośpiechu, czy zbytniej w siebie ufności, czy łatwego zadowalania się dziełem własnem, i co może zrobić z niego niepospolitego ludowego malarza. Ale czy się uwolni? P. Herncisz widocznie sam nie wie, co stanowi jego wartość, i zdaje się, że gdy uchwyci dobry jakiś rys, lub jaką postać, już zaraz dokomponowuje do niej byle jako resztę obrazu, by się z nami jak najprędzej podzielić. Niech się tak nie spieszy, niech tych rysów i postaci trafnych będzie na obrazie coraz więcej, niech nie będzie innych, a przekona się, jak wysoko stanie.

P. Bierkowska podała nam już cały szereg miłych obrazków z życia ludowego. Niektóre z nich są raczej krajobrazami z jedną lub kilkoma figurami, ale niektóre dają nam prawdziwe sceny ludowe. Najciekawszym z tego rodzaju jest ten, który przedstawia kilkoro robotników i robotnic posilających się w południe z jednej misy w izbie chaty. Jeden młody parobczak, jakiś „mądry Maciuś“,

siedzi zgarbiony nad misą i zajada chciwie, reszta towarzystwa kpi z niego i śmieje się. Scena dobrze uchwycona z życia, wyrazy głów i pozy prawdziwe, a nawet delikatnie odczute. Obrazek cały z kawałkiem słonecznego świata, który widać przez drzwi otwarte, bardzo miłe robi wrażenie, i chciałoby się aby artystka szła dalej w tym kierunku, studyując pilnie i podchwytując rzeczywistość i prawdę „na gorącym uczynku".

Jest jeszcze jeden obrazek dobry, p. Wankiego. Chłop rozmawiający z dziewczyną u drzwi chaty, nie taki poetyczny jak Pruszkowskiego, ale barwniejszy, bo z ruskich okolic. Szczególnie poza chłopa opartego ręką o odrzwia jest doskonale z natury uchwycona. Obrazek ten już jest dawno na wystawie i na próżno czekamy na nowy, — a szkoda. Więcej obrazów ludowych z głębszem odczuciem ludowego pierwiastka niema, bo postacie chłopskie użyte do urozmaicenia krajobrazów, lub sceny jarmarczne w głąb ludowego życia nie wchodzą, dają nam mniej lub więcej trafnie odtworzoną zewnętrzną jego powłokę. Gdy w obec tego co mamy, przypominamy sobie, co z ludowego malarstwa zrobił Defregger lub Vautier, jakżeśmy od tego daleko!

X. Eustachy Skrochowski.

Wynik konkursu

na uczczenie 300-go jubileuszu św. Karola Boromeusza.

W miesiącu czerwcu z. r. „Przegląd powszechny" ogłosił, z powodu jubileuszu św. Karola Boromeusza, konkurs na rozprawę, *o zasługach św. Karola w zakładaniu seminaryów i o sposobie w jaki należy urządzać i prowadzić te instytucye, aby odpowiadały myśli Saboru Trydenckiego i dzisiejszym potrzebom Kościoła.*

W oznaczonym terminie nadeszły trzy rozprawy, które zbadali starannie sędziowie, w tymże czerwcowym numerze Przeglądu powsz. wymienieni, i następujące wydali zdania.

Rozprawa z godłem *Juxta suum posse*, zdaniem dwóch sędziów, zawiera wiele zdrowych i cennych uwag nad wychowaniem duchownych, wieje z niej prawdziwy duch kościelny; zdaniem jednak wszystkich, rozmija się ona z właściwem zadaniem konkursowem,

zasług św. Karola Boromeusza wcale nie podnosi, jest niemal wyłącznie ascetyczną bez naukowej podstawy.

Rozprawie z napisem *Żarliwość domu twego*, jeden z sędziów odmawia wartości, dwaj inni uważają, że autor pierwszą część tematu ledwo mimochodem potrąca, a w drugiej stoi wyłącznie na podstawie paru niemieckich pisarzy, mianowicie Temistora, i niczego nie wtrącił, coby mogło mieć interes dla trzech działów naszego kraju.

Rozprawa z nagłówkiem *Confortare*, zdaniem jednego jest treściwsza od poprzedniej, ale zdaniem wszystkich, zasług św. Karola prawie wcale nie wykazuje, względem urządzenia seminaryów więcej utyskiwań niż wskazówek zawiera, a w podanych wskazówkach mieści rzeczy, jak pominięcie dogmatyki w studyach, o których mowy być nie może.

Zdaniem wreszcie wszystkich trzech sędziów, żadnej z tej rozpraw wyznaczone honorarium przysądzonem być nie może. Manuskrypta zostaną bezzwłocznie zwrócone.

W sprawie jubileuszu św. Metodego.

W świecie słowiańskim rozbudza się coraz większe zajęcie jubileuszem św. Metodego i pielgrzymką do Welehradu.

W Petersburgu, jak już wiadomo z gazet, walne zgromadzenie „słowiańskiego towarzystwa dobroczynności“, odbyte 28 listop., zajmowało się głównie tą kwestyą. Profesor Müller mówił poważnie o doniosłości tego obchodu; ale gdy zaczął opowiadać zaciekawionym nowiną słuchaczom, że w Rzymie, w miejscowości do r. 1881 zaniedbanej, z okazyi pielgrzymki Słowian katolików w tym roku odbytej, odkryto starą bazylikę św. Klemensa pod dzisiejszym kościołem tego imienia, a w niej grób św. Cyrylla z freskami dotyczącemi jego dziejów — dziwujemy się doprawdy takiej naiwności. Choćby się nie znało poważniejszych prac o kościele św. Klemensa, jak Dudika i Mullool'ego — co jednak profesor mający o tym przedmiocie publiczny odczyt znaćby powinien — to przecież nawet rosyjski Sbornik muzeum Moskiewskiego (t. 8) już w r. 1866 o tych freskach pisał, a grobu św. Cyrylla niestety do dziś dnia nie znaleziono,

chociaż z pomników historycznych wiadomo na pewno, że tamże został pochowany.

Właściwie już r. 1852 Benedyktyn morawianin Dudik, dowiedziawszy się od przeora klasztoru św. Klemensa, że obecny kościół stoi na gruzach starego, zaczął dokoła kopać i znalazł, tuż pod powierzchnią, pyszną marmurową kolumnę; o czem napisał w swojem dziele *Iter Romanum* wydanem r. 1855. Wkrótce potem, r. 1859, przy jakiejś robocie restauracyjnej w kościele św. Klemensa, trafiono na szczątki starego podziemnego muru. Uczony konserwator rzymski Rossi, uwiadomiony o tem, a przypominając sobie odkrycie i konjektury Dudika, umyślił odgrzebać w całości pozostałe szczątki starej bazyliki. Książe biskup ołomuniecki, w nadziei odnalezienia grobu św. Cyrylla, chojnych dostarczył na to funduszów. Prace tego odgrzebywania trwały od r. 1859 do r. 1865, a owocem ich było wyjawienie światu prastarej bazyliki, która była niegdyś, jak dowodzi Mullooly, własnym domem św. Klemensa, o której w IV wieku wspomina św. Hieronim, w V-tym odprawiał się w niej synod, w VI-tym Grzegorz W. miewa w niej swe sławne homilie i zakłada przy niej klasztór benedyktyński. W XI-tym w., podczas zdobycia Rzymu przez Normandów pod Robertem Wiskardem, ginie ona pod gruzami, a na tych gruzach Paschalis II w tymże stuleciu wznosi nowy kościół, który, różnym znów uległszy odnowieniom, do dziś dnia istnieje. Ale dopiero r. 1859 dowiedziano się, że pod tymi gruzami pierwotna bazylika, do połowy wysokości murów, zachowała się w dziwnie dobrym stanie a na tych murach odsłoniły się śliczne freski, w różnych wiekach, zdaniem upoważnionych badaczy malowane; niektóre, jak Matka Boska z dzieciątkiem, już w VII wieku, inne w IX, X i XI-tym. Cztery z nich odnoszą się do naszych Apostołów słowiańskich. Jeden przedstawia Pana Jezusa w otoczeniu świętych; Michała, Gabryela, Andrzeja i Klemensa. Pan Jezus greckim obrządkiem błogosławi, a u stóp jego klęczą dwie zdrobniałe postacie, święci Cyryll i Metody. To obraz pamiątkowy, czyli *ex voto*, który oni za życia, a mianowicie r. 869 wymalować kazali, kiedy z ciałem św. Klemensa do Rzymu przybywszy, tamże na biskupów wyświęceni zostali. Tego szczegółowo dowodzi Dudik i powszechnie archeologowie na to się zgadzają.

Drugi fresk przedstawia jak Cyryl otrzymuje od cesarza wscho-

dniego, Michała III. polecenie ogłaszania Ewangelii Morawianom; cesarz w „wielkim ornacie“ siedzi na tronie, święty przed nim klęczy, dwie inne osoby wzywają go gestem i z pośpiechem odchodzą — zapewnie to posłowie króla Morawii Rościsława (Rastic), który zażądał od cesarza nauczycieli wiary. Na trzecim obrazie Cyryl (lub według Dudika, Metody), chrzci przez zanurzenie Słowianina, jak świadczy napis *sclavus* obok ochrzczonego. Czwarty fresk przedstawia wspaniałą procesyę, odprowadzającą do kościoła ciało świętego. Według Dudika i innych, jest to przeniesienie zwłok św. Cyrylla z Watykanu do kość. św. Klemensa r. 869, a umieszczenie w procesyi Papieża Mikołaja, który umarł r. 867, jest małym anachronizmem, w legiendach zwyczajnym. Prawdopodobniej jednak Mullooly utrzymuje, że to przeniesienie ciała św. Klemensa, które po przywiezieniu do Rzymu przez św. Cyrylla, umieszczonem być musiało tymczasowo na Watykanie, a po odpowiednich przygotowaniach, do kościoła św. Klemensa uroczyście przeniesione. Po lewej stronie jest przepyszna grupa, która natchnęła podobno Krudowskiego: św. Mikołaj Papież, między Cyrylem i Metodym, spuszcza ręce na ich dłonie, i zdaje się im mówić, co w liście do Bułgarów napisał: *Gaudium meum et corona mea vos estis.* Papież i jedna z pobocznych postaci mają nimby w koło głowy, druga nimbu nie ma, co dowodzi, jak sądzę, że ten fresk pochodzi z epoki między śmiercią św. Cyrylla a śmiercią św. Metodego (869—883), a przynajmniej zanim cześć, którą temu ostatniemu w Morawii rychło oddawać poczęto do Rzymu doszła.

Głębszą myślą zakończył p. Müller swój odczyt. Wspomniał z żalem o dawnej jedności wiary Słowian, którą ta rocznica przywodzi na myśl, a której dziś nieprzezwyciężone, jak on sądzi, stoją na zawadzie trudności. W tem jednak brzask nadziei wskazał, że „pośród wrzawy nieprzejednanych waśni, słychać jedne i te same imiona, tak długo przez Słowian zapomniane“. I my także z radością ten promyk nadziei witamy. Niech idą Słowianie za temi imionami, choćby drogą historycznych badań, choć drogą słowiańskich uczuć; nie indziej zaprowadzą ich te imiona, tylko tam gdzie są zapisane obok Klemensa, gdzie, po wiekach zapomnienia, wyszły jak z grobu postacie Cyrylla i Metodego po obu stronach Mikołaja.

Na twierdzenia w *Nowoje Wremia* i podobnych pismach raz po raz powtarzane, że przygotowujący się Jubileusz Welehradzki jest polityczną agitacyą polską, odpowiadają za nas fakta: wszystkie obrady i przygotowania dzieją się jawnie, śladu politycznych zabiegów w nich nie widać: organa najwięcej w tej kwestyi upoważnione, zaznaczają najwyraźniej cel religijny. Podstawiać zaś cele i zamiary, które się ani w słowie ani w czynie nie objawiły, lub wyzyskiwać aforyzmy gazety, której nikt w kraju na seryo nie bierze — to nie jest *bona fides*. Gdyby w tym obchodzie było choć źdźbło tak zwanej „polskiej polityki", Ruś halicka nie szłaby z nami ręka w rękę. Ponieważ idzie, to najlepszy dowód, że sprawa ta stoi ponad sferą politycznych sporów i widoków; że jednego tylko wszyscy chcemy: uczcić wspólnych Ojców naszej wspólnej wiary.

Od Welehradzkiego komitetu otrzymujemy wiadomości świadczące o gorliwem jego działaniu. Mieszkanie i środki wyżywienia dla pątników przygotowują się za jego staraniem na wielką skalę i szczególnie się o to troszczy komitet, żeby jak najwięcej oszczędzić wydatków przybywającym pielgrzymom. I tak np. przyzwoite wyżywienie dla księdza nie wyniesie więcej jak 1 złr. na dzień; piwo sprzedawać się będzie po 6 do 7 centów za szklankę półlitrową; chleb i inne główne artykuły żywności dla ludu sprzedawać się będą pod kontrolą zarządu welehradzkiego, po najniższych cenach. Dla dostarczenia wody, której dawniej brakowało, restauruje się stary wiadukt. W samym klasztorze welehradzkim umieści się, oprócz dostojnych gości, do 500 osób, za opłatą 30 do 50 centów od łóżka; prócz tego w pobliskich miastach i miasteczkach, jak: Hradyuszu, Napajedle, Kwasicach, Hulinie, Kromiryżu, Zdounkach, Przerowie, pątnicy różnych stanów odpowiednie znajdą mieszkania, i tam noc przepędziwszy, będą mogli za dnia dojeżdżać z łatwością, koleją lub podwodami, do Welehradu. Jeszcze gościnniejsze przyjęcie czeka włościan u miejscowego ludu, który szczególną żywi sympatyę dla Polaków. Świeżo wójtowie pięciu wsi otaczających Welehrad, oświadczyli w imieniu swych gmin, że włościan naszych przyjmą z radością, ile tylko ich strzechy pomieścić zdołają, a za mieszkanie żadnego nie przyjmą wynagrodzenia. Gminy też z okolic Kromiryża mają to samo złożyć oświadczenie. Nie jestże to prawdziwie piastowska gościnność! Opatrzył też przezorny komitet lekarską pomoc

i osobne pokoje dla chorych, zmówił straż ogniową i weteranów wojskowych do utrzymania porządku i udzielania obcym wszelkich informacyi; dla kupców przedmiotów nabożnych przygotował stosowne miejsca; dla jak największego ułatwienia oryentacyi przybyszom postarał się o zdjęcie planów topograficznych i wyda mapę samej miejscowości w Welehradzie i drugą mapę całej okolicy, z wyszczególnieniem miasteczek, wsi, dróg i z oznaczeniem odległości. Nie poprzestając na opatrzeniu potrzeb materyalnych, komitet wystosował odezwę do redakcyi gazet i pism peryodycznych katolickich całej słowiańszczyzny z prośbą, żeby przez przeciąg tego roku przysyłały do Welehradu swoje pisma — i już otworzył czytelnię, do której czasopisma we wszystkich słowiańskich narzeczach napływać zaczynają. Oprócz tego, z końcem b. miesiąca zacznie wychodzić w Welehradzie czasopismo *Jubileus Swato-Metodejski*, które o wszystkich przygotowaniach, obchodach i wogóle o wszystkiem co tej sprawy dotyczy, będzie regularnie uwiadamiać.

W Krakowie komitet zebrał się na wezwanie J. Ex. biskupa krak. 20-go grudnia, powziął różne przygotowawcze uchwały, między innemi, żeby przybrać jeszcze kilku nowych członków; postanowił zająć się wydaniem polskiej książki ludowej o św. Cyryllu i Metodym; przyjął w zasadzie projekt welehradzkiego komitetu, żeby Polacy, jak i inne narodowości, ofiarowali pamiątkową chorągiew do welehradzkiej świątyni. Wreszcie dla zbadania miejscowości i zawiązania bliższych stosunków wysłał jednego ze swego grona do Welehradu.

Pragski komitet wydał odezwę wzywającą Czechów, którzy chcą w tej pielgrzymce uczęstniczyć, żeby się do niego zgłosili. Ruski komitet we Lwowie przedsięwziął wydanie ludowej książki o świętych Cyryllu i Metodym. Taka książka w języku morawskim wyszła już z pod znakomitego pióra X. Prochaski. Ruch ten słowiańsko-katolicki już i morza przeszedł: dziś dowiadujemy się, że nawet w Ameryce liczne grono Polaków i Czechów gotuje się z przyjazdem na tę uroczystość i zamówiło sobie osobny na tę pielgrzymkę parowiec. Wiadomość tę przesłał X. Józef Molitor, misyonarz z Chicago.

W końcu dzielimy się z czytelnikami naszymi dobrą nowiną, że ks. kard. Fürstenberg arcyb. ołomuniecki wydał wreszcie list

pasterski, ogłaszający papieskie *breve* z odpustami dla pątników welehradzkich i przepisujący porządek uroczystości. Przychylność Ojca św. dla tej uroczystości już w tem się objawia, że nie tylko na ten rok, ale odrazu na dziesięć lat pielgrzymom do Welehradu hojnych udziela odpustów.

Przytaczamy poniżej *Breve* papieskie, jakoteż piękny i uwagi godny list pasterski ks. kardynała Fürstenberga, w dosłownem tłumaczeniu.

X. Maryan Morawski.

LEO PP. XIII.

„Universis Christi fidelibus praesentes Litteras inspecturis, Salutem et Apostolicam Benedictionem.

Ad augendam fidelium religionem et animarum salutem coelestibus Ecclesiae thesauris pia charitate intenti, omnibus utriusque sexus Christi fidelibus vere poenitentibus et confessis, ac S. Communione refectis, qui Ecclesiam titulo Assumptionis B. Mariae Virg. loci vulgo „Velehradini“ *nuncupato*, Dioecesis Olomucensis die decimo quarto mensis Februarii, vel uno ex intercidentibus usque ad vigesimum primum ejusdem mensis diebus, nec non die sexto mensis Aprilis vel uno pariter ex intercidentibus diebus usque ad primam mensis Octobris Dominicam, cujusque fidelium arbitrio sibi respective eligendo, singulis annis devote visitaverint, et ibi pro Christianorum Principum concordia, haeresum extirpatione, peccatorum conversione, ac S. matris Ecclesiae exaltatione pias ad Deum preces effuderint, plenariam omnium peccatorum suorum Indulgentiam et remisionem, quam etiam animabus Christi fidelium, quae Deo in charitate conjunctae ab hac luce migraverint per modum *suffragii applicare possint*, misericorditer *in* Domino concedimus. Praesentibus ad Decennium tantum valituris. Datum Romae apud S. Petrum sub Annulo Piscatoris die XV. Julii MDCCCLXXXIV. Pontificatus Nostri Anno Septimo“.

FRYDERYK,

Z łaski Bożej i Stolicy Swiętej, Swiętego Rzymskiego Kościoła Kardynał-kapłan, tytułu św. Chryzogona, Arcybiskup Ołomuniecki, Książę, Hrabia królewsko-cesarskiej kaplicy, Landgraf Fürstenberg, Doktor św. Teologii, Jego c. k. apostolskiej Mości rzeczywisty tajny Radca.

Ukochanym wiernym mej Dyecezyi pozdrowienie i błogosławieństwo w Panu!

Są chwile w życiu ludzkiem, w których człowiek czuje potrzebę okazać na zewnątrz to, co się w duszy jego dzieje.

Serce ludzkie poczytują za punkt środkowy wszystkich uczuć: z takowych Stwórca uczucie wdzięczności w sposób zupełnie osobliwy w serce człowieka wlać raczył.

Znajdują się na tym Bożym świecie różne istoty, które schodzą z drogi wskazanej wolą Rożą i ludzkiemi ustawami, i ztąd też na wielką z naszej strony zasługują litość, żadne jednak zboczenie nie zdolne jest tak boleśnie zadrasnąć ludzkiej natury jak niewdzięczność.

Im większe kto otrzymał dobrodziejstwa, tem go też większe z dawcą łączą obowiązki, a przeto też tem większe pohańbienie za niewdzięczność nań spada.

Najdrożsi moi! Zaszła właśnie w życiu naszem chwila pełna doniosłości — nazwałbym ją najmilej sprawą serca Słowian, nas zaś Morawian w szczególności: jest nią tysiącletnia rocznica śmierci Apostoła kraju naszego św. Metodego, nad którego dziedzictwem — mam na myśli całość wiary naszej swiętej — straż mnie z rządzenia Opatrzności powierzoną została. Niewielką naszą ojczystą ziemię, Morawię naszą, drodzy moi dyecezyanie, obdarzył Stwórca dziwnie łaskami swemi z pomiędzy innych krajów na świecie: wyposażył bowiem Bóg Morawę wszelkiemi pięknościami, które zachwycają i pociągają serce człowieka, czyniąc mu drogiem i miłem to miejsce, które kolebkę życia jego widziało.

Ziemia w Morawii cieszy się urodzajem, lud szlachetny, obyczajny, pełen bojaźni pańskiej, nabożny i władcy swemu wierny. Ale przed lat tysiącem, najmilsi moi dyecezyanie, nie posiadali przodkowie nasi cnót onych, pomimo usposobienia z natury szlachetnego.

Opatrzność Boża temu lat tysiąc zmiłowała się nad Morawią i dwaj bracia Konstanty i Metody pozyskali ją Chrystusowi.

Konstanty i Metody ujrzeli światło dzienne na Wschodzie: kolebką ich był Soluń (Tessalonika). Znamienite ich przyrodzone skłonności rozwinęło prawdziwie chrześciańskie wychowanie: obydwaj odznaczali się tak bystrością umysłu jak i dobrocią serca.

Zdolności ich pozyskały im łaskę u cesarza: życie zaś pobożne podobało się Bogu, który ich wybrał na swych Apostołów. Zbawcze swe prace rozpoczynają obydwaj bracia w potężnem państwie Chazarów a szlachetne ich

wysiłenia błogosławi Pan; naczelnicy państwa znizają swe karki pod słodkie jarzmo Chrystusa i Bóg dozwala apostołom odnaleść szczątki Klemensa papieża. Ukończywszy zadanie swe wracają bracia wśród najgorętszych życzeń i błogosławieństw, prosząc w nagrodę o wolność dla więźniów wojennych.

Na tej to pierwszej misyjnej wyprawie poznali obaj bracia, jak łatwo i jak dzielnie przenika serca słowo również z głębi serca wychodzące: a geniusz Konstantego nietylko, że uchwycił i przyswoił sobie przeróżne słowiańskie narzecza, lecz nadto założył podwalinę przyszłej słowiańskiej literatury.

Teraz nastała godzina miłosierdzia także dla naszych przodków: w roku 862 prosił Rościsław, władca Moraw, greckiego cesarza Michała III, żeby posłał na Morawy nauczycieli, którzy świadomi języka ludowego, opowiedzieliby mu niebieską nowinę.

I przyszli Apostołowie. W r. 1863 obchodziliście, moi najmilsi dyecezyanie, tysiącletnią rocznicę przybycia Apostołów kraju naszego w sposób godny was, mojej archydyecezyi, a nawet całej Morawii. Głęboko wzrusza moje serce wspomnienie roku, w którym mogłem widzieć, jak wdzięcznie wspominają wasze serca dobrodziejstwa, które wyświadczyli waszym ojcom święci nasi Apostołowie.

Ledwo stanęły stopy świętych na naszych ojczystych błoniach, zaraz poczęli głosić naukę Ukrzyżowanego naszym ojcom. Z radością przyjęli Morawiacy Ewangelię, wykonywali chrześcijańskie cnoty, wyrzekali się błędów i porzucali zwyczaje, niezgodne z chrześcijańskim zakonem.

Dwaj bracia przeszli naszą Morawię i sąsiednie okolice, zamieszkałe przez Słowian i Niemców; wszędzie siali ziarno chrześcijaństwa. I ono przyniosło owoce. Prędko stanęły świątynie, gdzie niekrwawa ofiara nowego przymierza oddawała cześć Bogu w Trójcy Jedynemu. Bracia zaciągnęli szlachetną młodzież do pracy, wysyłali missyonarzów do współbraci. Słowo Boskie nietylko ustnie ale i na piśmie poczęto wykładać naszym przodkom: powstały nowe szkoły, gdzie chleb żywota im podawano.

Ten szybki postęp wiary przypisać należy przy łasce boskiej prostemu lecz pragnącemu poznania prawdy charakterowi Morawian . Kiedy w innych krajach odnosili missyonarze wieniec męczeński, nasi przodkowie współubiegali się w miłości i przywiązaniu ku swoim Apostołom. Lecz nic niema stałego na świecie i mało chwil szczęścia niezamąconego. I naszych Apostołów wstrzymało w ich świętem dziele niegodne współzawodnictwo i poziom niechęci: zielsko, które nigdy nie powinnoby było się pojawić w winnicy pańskiej. Źle przedstawiano sobie szlachetny zamiar Apostołów, którzy dla pozyskania dusz Chrystusowi, używali brzmień ojczystej mowy; błędnie wykładano ich najszlachetniejsze usiłowania.

Trzeba było im sprawiedliwość oddać; a to mogło stać się tylko przez wyrok papieski. Rządził wtenczas łódką Piotrową papież, którego bystrość była przenikającą, a serce pełne najszlachetniejszych uczuć. Był to papież Mikołaj tego imienia pierwszy.

Z radością poszli bracia za głosem do nich wydanym; pośpieszyli do Rzymu, do Ojca chrześcijaństwa; oddali jemu zwłoki św. Klemensa; usprawiedliwili swoje postępowanie w ulubionej Morawii i oddano im sprawiedliwość.

Prawy następca św. Piotra uznał postępowanie misyonarzów, poświęcił ich na biskupów, oddał im prawnie prowadzenie dusz naszych przodków.

Ale wielki myśliciel, filozof Konstanty, który przybrał imię Cyryla, nie miał już ujrzeć niw morawskich: został odwołany, aby otrzymać niebieską zapłatę za swoje czyny, które głównie tyczyły się Morawii.

W bazylice św. Klemensa w Rzymie spoczywają ziemskie szczątki, jak je św. Metody w r. 1869 ostatni raz widział: czekają chwili, kiedy głos anielski zabrzmi.

Wziął Metody do serca ostatnie słowa umierającego brata: „nie opuszczaj Morawian", wrócił więc ze swymi uczniami na Morawią, żeby dalej prowadzić dzieło zbawienia.

Z apostolską gorliwością starał się o to, żeby mieć stosownych pomocników, i takich wyświęcał na kapłanów i sług ołtarza. Bez troski o względy panów i możnych, dbał tylko o zakon Pański; z iście kapłańskim duchem powstawał na tych, co gwałcili zasady obyczajności. Jako najwyższy kapłan morawski, jako strażnik Słonu, jakkolwiek twórca słowiańskiej liturgii, był zawsze sprawiedliwym dla niemieckich kapłanów, którzy w Morawach zachowali obrządek łaciński; przekonany, że kazanie ma pożądane skutki dopiero wtenczas, kiedy zbawienne prawdy są przystępne ludowi w jego rodzimej mowie, starał się o przekład pisma św.; jako szczery syn świętego rzymsko-katolickiego Kościoła, dbał o to, żeby czyste źródło, które z Rzymu wypływa, nie zostało zamącone przez ludzkie dodatki, i sam brał udział w przekładaniu części Pisma św.: słowem, stał się wszystkiem dla wszystkich.

Wśród tej błogosławionej działalności przypada w dziejach ważne zdarzenie: w r. 874 otrzymał chrzest książę czeski Borzywoj. Zdarzenie to otworzyło św. Metodemu drogę do pracy apostolskiej w Czechach.

Ale nie same Czechy były polem działania dla naszego Zwiastuna Ewangelii; gdzie tylko słychać było słowiańską mowę, tam znajdują się ślady trudów apostolskich św. Metodego.

Ciężkie jednak doświadczenia miały spotkać Świętego: ostatnie dni jego życia nie miały się skończyć bez wielkich przykrości.

Błędna zasada, która nadużywa religii w celach politycznych, przyniosła swój jadowity owoc: haniebna nienawiść wrogów targnęła się na prawowierność apostolskiego męża i zadała bolesne rany jego sercu.

Całe życie Apostoła, jego cała działalność była najpiękniejszą obroną jego nauki; i mógł powiedzieć, co mówił sławny Bossuet: niechaj mój język pierwej uschnie, niżbym powiedział coś przeciwnego nauce i zdaniom Kościoła.

Papież Jan VIII. z ojcowską dobrocią wysłuchał uniewinnień św. Apostoła i zapewnił go o swojej opiece i łasce.

Rana jednak, którą jego sercu zadali nieprzyjaciele, niezliczone trudy, które ponosił mąż apostolski, straszne nawiedzenia, które spotkały jego ulubioną Morawię i jego wierną, pobożną trzódkę, zaciężyły na drodze jego życia i wkrótce, według pobożnego podania, spokojnie zasnął w Panu, błogosławiąc swoich wiernych, we Welehradzie 6 kwietnia 885.

Mili dyecezyanie moi! Przedstawiłem wam w kilku słowach działalność św. Metodego; pobieżnie wspomniałem o dobrodziejstwach, których doznali od niego nasi przodkowie. Odwołuję się do serc waszych, do waszych chrześcijańskich uczuć i wzywam was wszystkich, żebyście w sposób godny okazali waszą wdzięczność dla św. Apostoła naszego kraju.

Może zapytacie mnie, swego Arcypasterza, co macie czynić, żeby tysiącletnią rocznicę śmierci św. Metodego godnie obchodzić?

Otóż, moi dyecezyanie drodzy, odpowiedź moja jest krótka; mówię: silnie i niewzruszenie zachowujcie, czego was nauczono!

Bądźcie wiernymi synami i córkami świętego rzymsko-katolickiego Kościoła, wyznawajcie śmiało i bez bojaźni ludzkiej wiarę, którą Święty głosił w Morawii naszym ojcom a nie wierzcie fałszywym prorokom, którzy starają się podać w podejrzenie tę wiarę, jakby już nie wystarczała w naszych czasach. Jeżeli przenikliwy umysł Konstantego przyjął wiernie Boskie prawdy: iście byłoby zuchwalstwem odrzucać je, jakoby dla nas nie były stosowne.

Ale sama wiara nie wystarcza: Wiara musi być czynna. Zachowujcie przykazania, które Bóg dał i jego Kościół św.: naśladujcie waszych przodków, którzy, kiedy usłyszeli zbawienne prawdy z ust św. Metodego, wyrzekli się bóstw rzekomych, swoje obyczaje i zwyczaje zastosowali do Ewangelii. Ojcowie rodzin i matki, zachowujcie karność w waszych domach; rodzice, starajcie się o chrześciańskie wychowanie swoich dzieci; młodzieńcy i panny, strzeżcie niewinności nabytej w Chrzcie św.; drogie dzieci, słuchajcie swoich rodziców i szanujcie ich.

Zwracajcie, najmilsi dyecezyanie, wzrok wasz na Rzym, zkąd płynie do was czysty zdrój zbawiennej nauki; mianowicie wy, najmilsi dyecezyanie słowiańskiego szczepu, bądźcie szczególnie wdzięczni za miłość, którą Stolica apostolska za czasów św. Metodego wam okazała. Niedopuśćcież, żeby wasza mowa ubliżała Stolicy św.; brońcie, brońcie mężnie, żeby wasze, powiedziałbym dziewicze, piśmiennictwo nie plamiło się podejrzeniami na Stolicę św. i niezdrowymi przekładami obcych piśmiennictw, które oburzają każde chrześciańskie serce; nie podtrzymujcie zuchwałych ani współczuciem ani zapomogą!

Moi najmilsi dyecezyanie! Naśladujcie wzór Apostoła kraju naszego i bądźcie zgodni ze sobą, jakimkolwiek językiem mówicie: przecie jednej i tej samej ojczyzny synami jesteśmy wszyscy. Kochajcie, najdroższi — używam słów, które wypowiedzieli w 1849 r. moi współpracownicy w winnicy pańskiej — kochajcie swój naród i swój kraj i swój język; ale nie zapominajcie, że cała ziemia Pańska, że we wszystkich językach codzień do Niego mówią: Ojcze nasz, odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom, i że to Jego wola święta, aby ludzie i narody nie byli przez prawa i porządki państwowe rozłączeni, ale nawet na zewnątrz tak złączeni, jak mają wewnętrznie i w duchu łączyć się Wiarą i Miłością.

Nadto odwiedzajcie, i o to prosi wasz Arcypasterz, miejsca, które przechowują szczątki Apostoła waszego kraju, według podania. Odwiedźcie w r. 1885 Welehrad, padnijcie na kolana w tej świątyni, której wspaniały blask waszem jest dziełem, dziękujcie za dobrodziejstwa wyświadczone waszym przodkom i wam przez nich, zróbcie dobre postanowienia i zachowajcie je. Patrzcie, najmilsi dyecezyanie, Stolica św. otworzyła niebieskie skarby łask we Welehradzie, możecie brać w nich udział. Wasi ojcowie duchowni zawiadomią was, z mego zlecenia, o odpustach i o uroczystościach, jakie mają być urządzone w r. 1885: słuchajcie ich głosu.

Kończę. Podobało się Opatrzności Boskiej, powierzyć mi dziedzictwo św. Metodego, tę św. wiarę, żebym ją strzegł u mego drogiego ludu morawskiego.

Przez 31 lat stojąc na czele mojej miłej archidyecezyi, zawsze dzieliłem radość i smutek z moją najmilszą trzódką, w urzędzie biskupim zestarzałem się.

Ty wielki nasz Apostole, św. Metody, który z niebieskich wysokości na swój drogi lud patrzysz, wstaw się prośbami swemi do Boga za moich dyecezyan, aby nigdy nie zachwiali się w wierze, którąś im przyniósł, lecz ciągle w niej wzmacniali się, a ja żebym znalazł miłosierdzie, kiedy przed Boskim tronem Sprawiedliwości stanę.

Błogosławię was, najmilsi moi dyecezyanie, w Imię † Ojca, † Syna i † Ducha św. Amen.

Dan w mojej Arcyb. stolicy w Ołomuńcu, w święto Narodzenia naszego Boskiego Zbawiciela, na dniu 25 grudnia 1884.

Fryderyk Kardynał Fürstenberg,
książę-arcybiskup.

Druk ukończony dnia 29 grudnia 1884.

MIKOŁAJ TRĄBA

PIERWSZY PRYMAS POLSKI.

Do wyświecenia dziejów narodu i Kościoła naszego w wieku XV., dla których obecnie w piśmiennictwie polskiem powszechny budzi się interes, niemałym będzie przyczynkiem osnuty na wiarogodnych źródłach życiorys jednego z najwybitniejszych tegoż wieku mężów, o którym dotąd nader mało i do tego błędnie pisano, chociaż się gruntownie zajmowano innemi tej samej epoki osobistościami, niemogącemi się z nim równać ani znaczeniem, ani wpływem na polityczne i kościelne sprawy narodu. Tym mężem był Mikołaj Trąba, podkanclerzy króla Władysława Jagiełły, najprzód arcybiskup halicki, następnie gnieźnieński i pierwszy prymas polski.

Pochodził on z starej szlacheckiej rodziny, mającej w herbie trzy czarne trąby w białem polu [1], i urodził się roku 1358 [2] z ojca Wilhelma herbu Trąby, i matki Elżbiety niewiadomego pochodzenia. Ukończywszy nauki w kraju i za granicą, rzadką roztropnością, bystrością rozumu i niepospolitą nauką, utorował sobie drogę na dwór króla Władysława Jagiełły, któremu przez długie lata zna-

[1] Długosz, Historia Pol. (wyd. lipskie), lib. XI., 312: „Nicolaus de Sandomiria, Vicecancelarius Regni, natione Polonus, genere nobilis *de domo Tubarum*, tres tubas nigras in albo campo pro insigni deferente". Okolski, *Orbis Polonus*, t. III., 226. Paprocki, Herby Ryc. Polsk. (wyd. Turowskiego) str. 606, 607, 921.

[2] W roku 1422, dnia 4 września, składając świadectwo w procesie króla Władysława naprzeciw Krzyżakom przed komisarzem Papieskim, Antonim Zeno, podał wiek swój na lat 64. Zob. Działyński, *Lites ac res gestae*, t. II., 176: „*aetatis annorum LXIV*". W trzy miesiące potem, dnia 4 grudnia tegoż roku żyć przestał.

komite oddawał usługi, za co dozgonną zjednał sobie u niego wdzięczność i nieograniczone zaufanie. Trzydziestoletnie blisko najściślejsze pomiędzy nimi stosunki skojarzyła nierozerwalnie poniesiona przez Mikołaja kilkoletnia kaźń i niewola dla monarchy swego, wkrótce po połączeniu się jego z królową Jadwigą i osiągnięciu wraz z jej ręką tronu polskiego. Kiedy bowiem Wilhelm, książe rakuski od czwartego prawie roku życia swego zaręczony z młodszą od siebie królewną, z Krakowa sromotnie został wydalony, a oblubienica jego, poświęcając się dla dobra narodu, w. księciu litewskiemu rękę swą oddała: Krzyżacy nienawistnem patrząc okiem na wzmagającą się przez ten związek potęgę Polski, i niejako przeczuwając, że tenże związek niezmierny cios im zada, wszystkie poruszyli sprężyny, ażeby zjednoczeniu się Korony z Litwą przeszkodzić i związek małżeński pomiędzy Jagiełłą i Jadwigą rozerwać, a przynajmniej zohydzić przed światem. W tym celu nietylko spowodowali ciężko upokorzonego książęcia Wilhelma, że przez ochmistrza swego, Konrada Tschirnau, rozesłał po wszystkich dworach i zamkach książęcych żale na Jagiełłę, ale sami przez agentów swoich przed Stolicą apostolską oskarżali go i czernili złośliwie, przedstawiając małżeństwo jego z Jadwigą jako nieprawne i przepisom kościelnym wręcz przeciwne. W takim położeniu rzeczy król i panowie polscy uznali za rzecz konieczną wyprawić do Rzymu poselstwo, celem oficyalnego zawiadomienia Stolicy apostolskiej o wstąpieniu królowej Jadwigi na tron i podzieleniu go z prawowitym małżonkiem swym, Jagiełłą, tudzież zapobieżenia intrygom i oszczerstwom krzyżackim, przez jasne i dokładne przedstawienie rzeczy. Do tego ważnego poselstwa użyto jako najzdolniejszego i najodpowiedniejszego naszego Mikołaja, naówczas prawdopodobnie już kanonika krakowskiego, który wybrawszy się w końcu r. 1386 w podróż zapewne z Litwy, dokąd królowi w apostolskiej jego wycieczce towarzyszył, obrał nieostrożnie drogę na Wiedeń, jak niektórzy utrzymują, w tym zamiarze, ażeby książęcia Wilhelma nakłonić do dobrowolnego zrzeczenia się pretensyj swoich do tronu polskiego i do królowej Jadwigi [1], lub też ofiarować mu się za pośrednika do uzyskania dla niego w Rzymie rozwiązania zaręczyn w dzieciństwie z królewną za-

[1] Caro, *Geschichte Polens* III., 76, 77.

wartych, którego w Krakowie duchowieństwo udzieliło Jadwidze[1]. Niefortunne było to pośrednictwo dla królewskiego posła, albowiem rozżalony do żywego z powodu doznanego zawodu i hańby książe, i niemyślący tak łatwo zrzekać się pretensyi do ręki najpiękniejszej z ówczesnych niewiast i do potężnego królestwa, kazał go wrzucić do więzienia, z którego go dopiero po czterech latach na usilne prośby wielu panów uwolnił[2]. Nie dziw przeto, że król Władysław za tak ciężką ofiarę dla siebie i małżonki swej poniesioną otaczał Trąbę aż do jego zgonu czułymi względami i rzetelną wdzięcznością, której wynikiem było obsypywanie go łaskami i nareszcie wyniesienie go na najwyższy szczebel dostojeństwa w kraju, tem więcej, że następne jego względem króla i narodu wielkiej doniosłości zasługi i niepospolite zdolności, które go z czasem w rzędzie najpierwszych ówczesnych znakomitości postawiły, same niejako pchały go na coraz wyższe stopnie zaszczytów i godności.

Od roku 1404 aż do końca roku 1409, występuje Trąba na rozlicznych dokumentach jako proboszcz św. Floryana na Kleparzu, kanonik gnieźnieński, krakowski i sandomirski, kolegiaty św. Jerzego na zamku w Krakowie i św. Wita w Kruświcy[3]. Od końca roku 1403 aż do końca roku 1409 sprawował ważny urząd pod-

[1] Szajnocha, Jadwiga i Jagiełło t. II., 361.

[2] O tem uwięzieniu Trąby mamy pierwszą wzmiankę w Katalogu Opatów Żegańskich w Strenzla *Script. rer. Silesiacar.* t. I. 218 w tych słowach: „Ad hunc ducem (Austriae), quidam veniens et dispensationem apostolicam, quam sine suo mandato *impetravit*, *ostendens*, *ut*, si eam carnaliter cognovisset, etiam si inter eos velut puberes matrimonium extitisset, aliam ducere posset, *incarceratus* accepit laboris sui praemium, donec per supplicationem multorum fuit redditus libertati". Długosz w Katalogu swoim Arcybiskupów Gnieźnieńskich (Ms. w bibl. Ossolińskich) wyjaśnia bliżej to zdarzenie w tych słowach: „Nicolaus, dictus Trambka, (Jagiellono) imprimis charus, quod *captivitatem quadriennem in Austria*, causam matrimonialem contra Wilhelmum, Austriae ducem, *Romam procedendo* defensurus, *protulerat*". Obydwa źródła tem się od siebie różnią, że pierwsze naznacza uwięzienie Mikołaja w powrocie z Rzymu, drugie zaś w podróży tamtędy. List Papieża Urbana VI. z dnia 17 kwietnia roku 1388 do króla Władysława pisany, w którym mu robi wyrzuty, że poselstwa oficyalnego do Rzymu nie przysłał, podanie Długosza prawdopodobniejszem czyni. — Cfr. Niesiecki, Korona IV, 378. Caro l. c. III., 77, uw. 1.

[3] Codex diplom. Universit. Cracov. f. 78. Cfr. f. 56. Długosz l. c. lib. XI. 312.

kanclerzego koronnego [1], który go do osoby królewskiej nieodstępnie przywiązywał. Widzimy go też towarzyszącego królowi Władysławowi prawie we wszystkich podróżach, w tym czasie odbywanych, w charakterze podkanclerzego koronnego i wiernego we wszystkich sprawach doradzcy oraz powiernika skrytych jego planów i zamiarów. W roku 1404 dnia 14 kwietnia był z nim w Inowrocławiu, gdzie wystawił w jego imieniu przywilej przysądzający kościołowi Kujawskiemu wieś Wawrze [2], dnia 8 października we Lwowie, gdzie król pozwolił Jakubowi, halickiemu arcybiskupowi, założyć staw rybny i postawić młyn wodny na rzece Wielkiej Lipie [3], dnia 11 listopada w Nowem mieście Korczynie, gdzie król dał piśmienne prałatom i panom zapewnienie, że nadzwyczajna kontrybucya na wykupno z rąk krzyżackich ziemi dobrzyńskiej ponawianą nie będzie [4]. Oprócz tego był w tymże roku w piątek przed uroczystością Trójcy św. (23 maja) w Raciążu, gdzie podpisał potwierdzenie pokoju z Krzyżakami przez Kazimierza W. niegdyś zawartego [5], a na dniu 22 sierpnia w Wiślicy [6]. W roku 1405 na wiosnę przebywał z królem w Krakowie [7], w pierwszej połowie października we Lwowie [8], a w drugiej połowie tegoż miesiąca w Gródku [9], w końcu zaś tegoż miesiąca w Medyce [10]. W r. 1406 od pierwszej połowy marca bawił dłuższy czas w Krakowie [11], w roku 1407 w oktawie Bożego Ciała w Poznaniu [12], w końcu października w Medyce [13], na początku listopada w Krośnie [14], w roku 1408 w końcu października w Przemy-

[1] Codex dipl. Univers. Cracov, f. 78.

[2] Rzyszczewski i Muczkowski, *Codex diplom Poloniae* II, 336: „Datum per manus honorabilis Nicolai Praepositi sancti Floriani et Canonici Cracoviensis Regni nostri Vicecancellarii nobis dilecti".

[3] Akta grodzkie i ziemskie lwowskie t. II, 52: „Relatio domini Nicolai, Praepositi sancti Floriani in Cracovia, Regni nostri Vicecancellarii".

[4] Rzyszczewski i Mucz. l. c. II, 371.

[5] Dogiel, *Codex diplom. Poloniae* IV, 78.

[6] Zbiór dyplomatów klasztoru mogilskiego str. 93.

[7] Tamże, str. 94.

[8] Akta grodzkie i ziemskie lwowskie t. II. 52.

[9] Tamże t. II, 55, t. IV, 28.

[10] Tamże III. 156.

[11] Tamże V, 34.

[12] Zbiór dyplomatów klasztoru mogilskiego str. 96.

[13] Akta grodzkie i ziemskie lwowskie t. IV. 60.

[14] Tamże, t. III, 162.

ślu [1], w roku 1409 w miesiącu marcu w Krakowie [2], w połowie lipca w Łęczycy [3], w końcu sierpnia w Nowem mieście Korczynie [4], a w drugiej połowie listopada w Krakowie [5], wszędzie pozostawiwszy ślady pobytu swego w licznych przywilejach i swego czynnego, niekiedy przeważnego udziału, mianowicie w dwóch latach ostatnich, w publicznych sprawach państwa zagrożonego wojną z Krzyżakami. Długosz wyraźnie utrzymuje, że do tajemnej narady w Brześciu litewskim w początku grudnia roku 1409 pomiędzy królem Władysławem a w. książęciem Witołdem, na której stanowczo ułożono plan wyprawy wojennej na Krzyżaków, sam tylko podkanclerzy Mikołaj był przypuszczony [6].

W jakiem następstwie i kiedy Trąba pozyskał wymienione wyżej godności kościelne, dociec nie można, tem mniej, że na wydanych przez siebie dokumentach podpisywał się zwykle tylko jako proboszcz św. Floryana w Krakowie, rzadko kiedy przydawszy inną jaką godność. Prawdopodobnie został najprzód kanonikiem krakowskim, którym był już przed swojem uwięzieniem w Wiedniu. Jako proboszcz św. Floryana i kanonik krakowski występuje na przywileju, wydanym w imieniu króla w Inowrocławiu dnia 17 kwietnia roku 1404 [7], o którym wyżej była mowa. Kiedy został kanonikiem gnieźnieńskim, niewiadomo. Że nim był, dowodzą dokumenta i akta kapituły gnieźnieńskiej. Po pierwszy raz występuje on w godności kanonika metropolitalnego na przywileju króla Władysława w piątek po oktawie Bożego Ciała (3 czerwca) roku 1407 w Poznaniu [8], lecz był nim niezawodnie daleko dawniej. Jako członek i delegat kapituły gnieźnieńskiej podpisał wyrok sądu polubowego, złożonego

---

[1] Tamże, t. IV, 60, 71.

[2] Tamże, t. IV, 73.

[3] Tamże, t. VI, 17.

[4] Tamże VII, 58.

[5] Rzyszczewski i Muczk. t. I. 284.

[6] *Historia Pol.* lib. X., 207: „Ibi omnem progressum belli futuri contra Cruciferos gerendi Wladislaus Rex Poloniae cum Alexandro magno duce Lithuaniae, *solo Nicolao Trąba Regni Poloniae Vicecancellario conscio secretissime conficiunt*".

[7] Ryszczewski i Muczk. l. c. t. II, 366.

[8] Zbiór dyplomatów klasztoru mogilskiego, str. 96: „Datum per manus venerabilis Nicolai praepositi s. Floriani ante Cracoviam et *canonici Gnesnensis* ecclesiarum, regni nostri Vicecancellarii".

z króla, arcybiskupa Mikołaja Kurowskiego, tudzież kilku prałatów i panów świeckich, ogłoszony w Łęczycy dnia 18 lipca roku 1408, a wydany w sprawie spornej pomiędzy tąż kapitułą, a jej proboszczem, Mikołajem Strosbergiem [1]. W aktach tejże kapituły, rozpoczynających się od roku 1408, występuje po raz pierwszy jako kanonik pod dniem 29 kwietnia roku 1410 w dekrecie, dotyczącym opcyi wsi prestymonialnych, w którym mu pozostawiono wolny wybór pomiędzy Szczepanowem i Szczepankowem, a Korytkowem i Oldrzychowem [2]. W tymże roku złożył przysięgę przed rektorem akademii krakowskiej, Mikołajem z Kozłowa, i dał się zapisać w metrykę tejże akademii jako jej członek [3].

Podczas wiekopomnej wyprawy krzyżackiej, podkanclerzy Mikołaj, nieodstępny towarzysz i prawa ręka króla Władysława, znamienite oddawał usługi nietylko jemu, ale i całemu krajowi. Wystawiwszy własnym nakładem jednę chorągiew zbrojną, czterdziestą czwartą z porządku, mającą za godło trzy czarne trąby w białem polu [4], wyruszył z królem z Krakowa w końcu lipca roku 1410 i wytrwał przy nim podczas całej kampanii, będąc nietylko najwierniejszym stróżem jego osoby, ale roztropnym, mądrym i energicznym doradzcą w najważniejszych chwilach, w których przytomnością umysłu i osobistą odwagą nadawał niejako kierunek pomyślnym wypadkom i do świetnego pod Grunwaldem i Tannenbergiem zwycięstwa niemało się przyczynił. Należąc do rady tajnej wojennej razem z w. księciem Aleksandrem Witołdem, Krystynem z Ostrowa, kaszt. krak., Janem z Tarnowa, wojewodą krakowskim, Sędziwojem z Ostroroga, wojewodą poznańskim, Mikołajem z Michałowa, wojewodą sandomirskim, Zbigniewem z Brzezia, marszałkiem koronnym i Piotrem Szafrańcem z Pieskowej Skały, podkomorzym krakowskim [5], wywierał stanowczy wpływ na wszelkie przedsięwzięcia

---

[1] Archiv. Capituli Gnesn. Nr. 310. Liber privileg. I., 291—301: „Nicolaus Vicecancellarius Regni Poloniae, *Canonicus Capitularis.*".

[2] Acta decret. Capit. Gnesn. I., 9.: „(Die penultina mensis Aprilis nr. 310) item predicti domini decreverunt liberam prebendam domino *N(icolao) Vicecancellario,* an videlicet velit, nempe binum Szczepancowo, aut Corithcowo cum Oldrzychowo".

[3] Sołtykowicz, O stanie akademii krakowskiej, str. 599.

[4] Długosz l. c. lib. XI. 243.

[5] Tamże, lib. XI., 228.

i ruchy wojenne. Nie dowierzając obcym zaciężnikom i lękając się z ich strony zdrady, pilne miał na nich oko. Spostrzegłszy przed rozpoczęciem walnej bitwy, jak około 300 Czechów, oddalało się z obozu bez wiedzy króla, czy to z tchórzostwa, czy też w skutek przekupstwa Krzyżaków, dzielny podkanclerzy, zabiegłszy im drogę, zapytał o przyczynę odwrotu, a gdy mu zbiegi odpowiedzieli, że dlatego ustępują, ponieważ im król przynależnego nie wypłacił żołdu, zgromił ich temi słowy: „Wiem ja, że wam król Władysław przynależny żołd wprzód, niemieście go zasłużyli, wypłacił, zatem nie doznana krzywda, lecz bojaźń i tchórzostwo skłoniło was do opuszczenia obozu; skoroście posłyszeli, że król dziś na nieprzyjaciela uderzyć postanowił". Te słowa tak podziałały na umysły Czechów, że zaniechawszy zamiaru, powrócili niebawem do obozu i bili się potem mężnie [1].

Bezpośrednio przed rozpoczęciem bitwy król, zlustrowawszy pojedyńcze oddziały wojska, w szyku wojennym stojące, i krótką ale jędrną przemową do męstwa i wytrwałości je zachęciwszy, zsiadł z konia i spowiedź przed ukochanym podkanclerzem swoim odprawił, poczem wydał mu rozmaite rozporządzenia i tak jemu, jako i wszystkim kapłanom i pisarzom, oraz czeladzi bezbronnej kazał udać się do taborów obozowych i tam oczekiwać swego przybycia po skończonej bitwie. Powolny rozkazowi monarchy, ustąpił Mikołaj, luboby najchętniej był został przy boku jego, aby go strzedz i bronić od przypadku, a w razie niebezpieczeństwa własną zasłonić osobą; lecz zaledwo się oddalił, przybyli przed obecność króla dwaj wysłannicy krzyżaccy, niosąc dwa gołe miecze w ręku. Przysłał je dumny i zuchwały mistrz wielki, Ulryk, wzywając króla do stoczenia bitwy bez zwłoki z przydaniem różnych przechwał i pogróżek. Skoro ich król ujrzał, myśląc, że z jakiem nadzwyczajnem przychodzą poleceniem, kazał natychmiast przywołać podkanclerzego, bez którego rady nic nie przedsiębrał, lecz wysłuchawszy spokojnie zuchwałe wyzwanie w. mistrza, z godnością prawdziwie monarszą, sam jakoby w natchnieniu proroczem ku niemałemu zdumieniu posłów i otaczającego go rycerstwa, a niewymownej podkanclerzego radości odpowiedział: „Chociaż w wojsku mojem mam dostatek

[1] Długosz l. c. lib. XI, 248, 249.

orężów i od nieprzyjaciela bynajmniej ich nie potrzebuję, ku większemu przecież wspomożeniu, bezpieczeństwu i obronie słusznej mej sprawy przyjmuję w imię Boże te dwa miecze, od wrogów łaknących krwi mojej i narodu mego przysłane... Ufam w najpewniejszej Boga obronie i przyczynie Świętych Jego, że mnie i lud mój mocą swoją i orędownictwem zasłonią i nie dopuszczą, abym z ludem moim uległ przemocy tak okrutnych wrogów, u których tylekroć dopraszałem się pokoju, i w obecnej nawet chwili, gdyby na sprawiedliwych mógł być zawarty warunkach, nie odrzuciłbym go bynajmniej i chętniebym wymierzoną do boju prawicę cofnął... Tuszę, że zuchwałości krzyżackiej niebo kres położy i hardą ich bezbożność teraz i na przyszłość ukróci; nie wątpię bowiem, że Bóg zawsze sprawiedliwą wspiera sprawę. Tę, mówię, zuchwałą i do nieba podnoszącą się pychę nieprzyjaciół moich na tem oto polu, na którem stoimy i wkrótce się z sobą spotkamy, Sędzia sprawiedliwy i Bóg zastępów zetrze i upokorzy. Ufam i mam nadzieję, że w obecnej bitwie Bóg mnie i narodowi memu użyczy wsparcia i pomocy". To powiedziawszy, polecił posłów krzyżackich bezpiecznie przeprowadzić przez szeregi wojsk swoich, podkanclerzemu kazał wrócić do taborów, sam zaś przywdziawszy przyłbicę i dosiadłszy konia, kazał do boju wytrąbić pobudkę [1].

Gdy nareszcie zawrzała straszliwa rozprawa wojenna, Mikołaj Trąba natężoną uwagą i wzrokiem, z modlitwą gorącą na ustach, śledził wszelkie ruchy i zwroty wojsk sprzymierzonych, szczególniejsze dając baczenie na oddziały zaciężników, którym nie dowierzał. Nagle spostrzega, jak jedna chorągiew królewska pod znakiem i godłem św. Jerzego, w której służyli sami Czesi i Morawcy, ustąpiwszy z placu boju, spiesznie umykała do pobliskiego gaju. Nie zważając na grożące sobie wielkie niebezpieczeństwo życia, wybiega bezbronny z obozu wraz z kapłanami i pisarzami, i biegnie jak najspieszniej do owego gaju czyli lasu, a stanąwszy przed dowódzcą zbiegów, Janem Sarnowskim czyli Żarnowskim, Czechem, mniemając, że to był Dobiesław z Oleśnicy, ponieważ znak chorągwi jego podobny był znakowi zbiegów, poczyna go surowo karcić i strofować, wołając: „Jakżeś śmiał, niecny i przeniewierczy rycerzu, w tej

[2] Długosz, l. c. lib. XI. 251, 252.

właśnie chwili, w której król i towarzysze twoi z największym zapałem i niebezpieczeństwem życia krwawy bój staczają, sromotnie plac jego opuszczać i kryć się w tym lesie, jak niewieściuch przed wojną? ty, któryś niegdyś w osobistych walkach tak wielkie okazywał męstwo i tyle odnosiłeś zwycięstw? Ażaliż to tobie przystoi? Nie lękaszże się splamić siebie z całem pokoleniem twojem taką sromotą, której niczem zmyć i zgładzić nie zdołasz?" Tknięty do żywego temi sprawiedliwymi wyrzutami dowódzca chorągwi, uchyliwszy przyłbicy i dawszy się poznać, rzecze: „Ani bojaźń, ani chęć własna sprowadziła mnie na to miejsce, ojcze wielebny, ale porwany zostałem w popłochu tłumem uciekających żołnierzy do mojej należących chorągwi". Obrażeni tym kłamliwym zarzutem przedniejsi rycerze, zawołali: „Przysięgamy przed tobą mężu czcigodny, że ten człowiek niegodziwy, nasz rotmistrz i dowódzca, wbrew woli naszej z pola bitwy tu nas sprowadził; ażeby nam przeto nikt zarzucić nie mógł, żeśmy sami sromotnie uciekli, porzucamy natychmiast dowódzcę tego i znak, który dzierży i powracamy na pole bitwy". Jakoż w tej chwili opuściwszy zawstydzonego Sarnowskiego, pospieszyli do boju i połączyli się z oddziałami polskimi [1]. Tym sposobem zacny podkanclerzy przyczynił się pośrednio do przeważenia losu bitwy na stronę polską. Równie zaś troskliwy o szczęśliwy jej wypadek, jak o osobiste ukochanego monarchy swego bezpieczeństwo, płakał rzewnie, ile razy stracił go z oczu wśród tumanów kurzu i zamięszania walki [2]. To też radość jego była niewysłowioną, gdy w dniu pamiętnym 15 lipca król okryty sławą niesłychanego dotąd zwycięstwa, z rozpromienionem obliczem, bez najmniejszego szwanku powrócił do obozu. Z rzewnemi łzami szczęścia i rozkoszy witał bohatera dnia i z nim razem czułe składał Bogu dzięki za tak widoczną jego nad orężem polskim opiekę. Król wiedząc dobrze, ile był winien dzielnemu swemu podkanclerzemu wdzięczności, zaraz na pobojowisku serdeczne złożył mu dzięki, i w nagrodę wielkich zasług jego, nadał mu zamek Kowale [3].

Ze wszystkich radzców królewskich żaden z większą gorliwo-

---

[1] Długosz, l. c. lib. XI. 255, 256.
[2] Tamże, lib. XI, 252, 253.
[3] Tamże, lib. XI, 276.

ścią i zapałem nie obstawał za wytrwałem, aż do szczęśliwego końca oblężeniem zamku malborgskiego i skruszeniem tego gniazda krzyżackiego, jak nasz Mikołaj, nalegając bezustannie, aby nie porzucać tak pomyślnej sposobności zadania ciosu śmiertelnego zdradzieckiemu i podstępnemu zakonowi, oraz przedstawiając, że po zawczesnem odstąpieniu od oblężenia i nie zgnieceniu wroga w własnem jego gnieździe, świetne zwycięstwo grunwaldzkie nie na wiele się Polsce przyda, gdyż wróg chwilowo upokorzony i bezwładny, skoro się na nowo wzmocni, z podwojoną wściekłością czyhać będzie na zgubę Polski. Tak zaś wielce przejęty był koniecznością ukończenia świetnej wyprawy wojennej zdobyciem Malborga, że nie przestając na samych mądrych radach i przedstawieniach, bolesnemi skargami i rzewnemi łzami usiłował króla nakłonić do wytrwania przy oblężeniu [1]. Nie przyszło jednakże do tego; król odstąpił od Malborga, i po niewczasie przekonał się dopiero, jak dobrze mu radził roztropny podkanclerzy, i jak jasno przewidział skutki lekkomyślnego porzucenia oblężenia. Podczas zabawy wojennej pod Malborgiem, która trwała dwa miesiące, i po jej zaniechaniu podkanclerzy nader gorliwie zajmował się interesami ziem zdobytych i zaprowadzeniem w nich ładu, tudzież doprowadzeniem do poddania się królowi niektórych miast pruskich trzymających stronę Krzyżaków, nawet dość długo po bitwie grunwaldzkiej. W środę po uroczystości Rozesłania Apostołów (16 lipca), nazajutrz po zwycięskiej bitwie pisał wezwania do mieszkańców Torunia i innych miast z Ostroboga, aby niezwłocznie króla Władysława uznali swym monarchą [2], co jednakże dopiero podczas oblężenia Malborga nastąpiło [3]. W końcu miesiąca września roku 1410 król przeprawiwszy się w powrocie do Polski przez rzekę Drwęcę, rozpuścił wojsko i zwolna posuwał się w towarzystwie podkanclerzego w głąb kraju, witany z uniesieniem przez poddanych na każdym kroku. Tryumf spotykający zwycięskiego monarchę, dostawał się w pewnym udziale także wiernemu doradzcy jego, o którym wiedziano, jaki wpływ wywierał na zaszłe świeżo wiekopomne wypadki, atoli duszę jego prze-

[1] Tamże lib. XI. 283.
[2] Raczyński. Kodeks dyplom. Litwy str. 116.
[3] Długosz l. c. lib. XI. 275.

nikała boleść i zgryzota z powodu niespełnienia się gorącego jego pragnienia co do zdobycia Malborga, tem więcej, że wśród okrzyków radości i uniesienia dochodziły do uszu jego złowrogie wieści o krokach zaczepnych Krzyżaków naprzeciw pozostawionym w Prusach załogom polskim i wielokrotnych klęskach tymże zadanych. Już w Inowrocławiu dopędził króla Janusz z Brzozogłów z całą załogą zamku tucholskiego, który podstępem zdobyli nieprzyjaciele, a do Bydgoszczy nadeszła zatrważająca wiadomość, że w. mistrz, Henryk Plauen zebrał znaczne wojsko z zaciężnych rycerzy i posiłków nadesłanych zakonowi przez Eberharda, biskupa wyrcburgskiego, i Jana książęcia mynsterbergskiego, czyli zambickiego na Śląsku, i osadził je w Tucholi w celu najeżdżania stąd granic Królestwa ogołoconych z obrony. Król zmuszony był przeto wysłać do Prus zebrane na prędce dwanaście chorągwi pod dowództwem Piotra Szafrańca, podkomorzego krakowskiego, które z łzami i żalem wielkim pół mili za Bydgoszcz odprowadzał. Szafraniec stoczył wprawdzie z nieprzyjacielem pod Tucholą szczęśliwą walkę, ale celu nie dopiął, bo zamku zdobyć nie mógł. W drodze do Gniewkowa dopędzili króla gońce z wieścią o poddaniu się Krzyżakom zamków Sztumu i Morąga, których załogi królewskie utrzymać nie zdołały, a równocześnie o zdradzie mieszkańców Torunia i Gdańska, którzy obydwa miasta w ręce nieprzyjacielskie wydali [1]. Łatwo sobie wystawić, co się dziać musiało w patryotycznem sercu podkanclerzego, który widział usuwające się coraz więcej z rąk polskich wyprawy krzyżackiej owoce. Pocieszyła go nieco wieść o pomyślnej wyprawie na Pomorze i zdobyciu zamku Nowe przez Sędziwoja z Ostroroga, lecz go tem więcej zmartwiło niezłomne postanowienie króla, który upadał widocznie na duchu i ulegając wpływom agentów Witołda, lękającego się zbytniej potęgi Polski, skłaniał się do układów z wrogiem, co dopiero tak straszliwie upokorzonym. Zanim przyszło do zjazdu w Raciążu, nadeszła do Polski, pocieszająca wieść o świetnem zwycięstwie pod Gołubiem nad Krzyżakami inflanckimi, ciągnącymi ku Malborgowi, lecz i to zwycięstwo nie zachęciło Jagiełły do rozpoczęcia na nowo akcyi wojennej. W grudniu r. 1410 zawarto

[1] Długosz. l. c. lib. XI. 295, 296, 301, 302.

zawieszenie broni na miesiąc, o które układy toczyć musiał rad nierad strapiony podkanclerzy Mikołaj [1].

Spodziewać się należało, że król Władysław przy pierwszej nadanej okazyi wynagrodzi wiernemu i prawemu słudze swemu jego rzetelne usługi i biskupstwem jakiem obdarzy. Jakoż po powrocie do kraju, gdy w końcu roku 1410 rozstał się z tym światem Jakób, arcybiskup halicki, z zakonu franciszkańskiego, głośny z świątobliwości prałat, wdzięczny monarcha mianował niezwłocznie następcą jego Mikołaja Trąbę i gorąco go polecił Stolicy apostolskiej, która go chętnie potwierdziła jeszcze przed 1 lutego 1411, albowiem w tymże dniu już jako arcybiskup podpisuje dokumenta pokoju, pomiędzy królem Władysławem a zakonem krzyżackim w Toruniu, zawartego [2]. Pozwalał mu też król obok arcybiskupstwa z powodu szczupłych jego dochodów zatrzymać wszystkie dotąd posiadane beneficya i godności kościelne, jako to: probostwo św. Floryana w Krakowie, kanonie gnieźnieńską, krakowską, kaliską, sandomirską, św. Jerzego na zamku krakowskim, św. Wita w Kruświcy i altaryą w Katedrze na Wawelu [3]. Król nie mogąc się rozstać z doświadczonym, wiernym i mądrym podkanclerzem swoim, wymógł na nim, że przy arcybiskupstwie zatrzymał pieczęć koronną, którą dopiero oddał, gdy postąpił na arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Gdyby był wiedział, że jemu na tym urzędzie przyjdzie spisywać upokarzający pokój toruński, którego korzyści w żadnym nie pozostawały stosunku do wielkości zwycięstwa grunwaldzkiego i straszliwego ciosu zakonowi niemieckiemu zadanego, nie byłby z pewnością podjął się dłuższego pieczęci piastowania. Z rozdartem sercem pisał niezawodnie warunki pokoju, które głównie dyktował Witold, wywierający dziwny wpływ na króla, ulegającego mu we wszystkich ważniejszych sprawach, nie mogąc naprzeciw obojgu

[1] Długosz l. c. lib. XI, 304, 305.

[2] Działyński, *Lites ac res gestae* t. I. f. 25: „Datum per manus Reverendi in Christo patris domini Nicolai sanctae Haliciensis Ecclesiae Archiepiscopi, Regni „Poloniae Vicecancellarii". Prawdopodobnie Mikołaj był natenczas dopiero nominatem i elektem halickim, ponieważ Długosz wyraźnie dzień 19 czerwca roku 1411 jako datę jego prekonizacyi kładzie (Histor. Pol. lib. XI., 312).

[3] Długosz l. c. lib. XI., 312.

przeprzeć zdania swego, świetniejsze dla zwycięzców zastrzegającego następstwa i plony. Za sto tysięcy kóp groszy pragskich płatnych w trzech ratach król ustąpił wrogom Pomorze, ziemię chełmińską i michałowską, wszystkich jeńców i zamki zabrane. Jedyny Dobrzyn pozostawał przy Polsce, a Żmudź przy Litwie, ostatnia tylko do zgonu króla i Witołda. Ziemowit książe mazowiecki otrzymał ziemię zawkrzańską, a o Santok i Drezdenko rozstrzygnąć miał spór sąd polubowy. Naród oburzony do żywego niekorzystnym traktatem pokojowym, złorzeczył sprawcy jego głównemu, Witołdowi [1].

W skutek fatalnego przypadku zakończył niespodzianie żywot doczesny dnia 7 września r. 1411 arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj Kurowski [2]. Kapituła metropolitalna, pragnąc odzyskać nadwerężone i pogwałcone przez królów swoich prawo wolnego wyboru arcybiskupa w dawnej swej nietykalności, bez odniesienia się do króla Władysława, w kilka dni po zgonie Kurowskiego naznaczyła termin do elekcyi kanoniczej na dzień 26 września tegoż roku. Tymczasem król, dowiedziawszy się o tymże terminie, przysłał do kapituły przez dworzanina swego, Gromkę, listy od siebie i od arcybiskupa halickiego, jako kanonika gnieźnieńskiego, uniewinniając nieobecność arcybiskupa, który dla ważnych spraw publicznych przybyć nie mógł [3]. Akta kapitulne nie przytaczają całej treści listu królewskiego, ani napomykają, że w nim polecał na osieroconą stolicę gnieźnieńską Trąbę, atoli z dalszego toku sprawy wnosić można, że tak w rzeczy samej było. Mimo to kapituła, chcąc się koniecznie przy prawie swojem utrzymać, w terminie wyżej wspomnianym zgromadziwszy się, wybrała jednomyślnie arcybiskupem Wojciecha Jastrzębca, biskupa poznańskiego [4], rachując z pewnością na to, że król ze względu na wielkie jego zasługi, chętnie się na wybór jego zgodzi. Równocześnie wyprawiła delegatów do bawiącego przy boku króla w Grabiu elekta, ażeby go o wyborze zawiadomić i na stolicę arcybiskupią zaprosić [5]. Dowiedziawszy się

---

[1] Działyński. *Lites ac res gestae* t. I., 2., f. 35. Długosz l. c. lib. XI. 308, 309.

[2] Długosz l. c. lib. XI., 314.

[3] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 15.

[4] Tamże Ib., 15.

[5] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 16.

zaś, że król koniecznie pragnie mieć arcybiskupem ulubieńca swego, Mikołaja Trąbę, dla którego, jak to niżej zobaczymy, miał osobliwe powody wdzięczności, a którego w Gnieźnie bliżej nie znano, gdyż tam wcale prawie nie bywał, zostając bezustannie na usługach królewskich; wysłała na dniu 1 października tegoż roku z grona swego poważnego i zacnego archidyakona gnieźnieńskiego Mikołaja Kiczkę wraz z kanonikiem Mikołajem Górką, ażeby upartego monarchę nakłonić do respektowania praw Kościoła i uznania jednomyślnego wyboru Jastrzębca[1], lecz napróżno. Król obstawał niezmiennie przy swem postanowieniu, a ponieważ mu nie była obojętną osoba biskupa poznańskiego, spowodował go do układu z Mikołajem Trąbą w ten sposób, że tenże miał elektowi za ustąpienie na rzecz jego pretensyi do arcybiskupstwa oddać za lat czternaście miasto Grzegorzew wraz z ośmiu donośnemi wsiami arcybiskupiemi z wszelkiemi dochodami, skoro tylko na stolicy arcybiskupiej zasiądzie. Układ ten, rzucający nader niekorzystne światło tak na króla, jako i na obydwóch prałatów, bo zakrawający na symonią i zdradzający lekceważenie przepisów kościelnych, zakazujących surowo podobnych alienacyi własności kościelnej i frymarczenia nią, poręczył Jagiełło powagą swą monarszą już na dniu 4 października r. 1411[2], i kiedy delegaci kapituły stanęli przed królem, już sprawa pomiędzy nim a obydwoma biskupami była załatwioną, którą atoli w ścisłej trzymano tajemnicy, aby nie przeszkodziła planom królewskim i obydwóch prałatów przed Stolicą apostolską i przed światem nie skompromitowała. To też Jastrzębiec łudził kapitułę dość długo, nie wydając się z owym układem i zrzeczeniem się pretensyi do arcybiskupstwa, jak widać z dalszego jej uczciwego względem niego postępowania, gdyż obstając za nim stanowczo wbrew woli królewskiej, postanowiła jego i swoich praw bronić przed Stolicą apostolską, i w tym celu na dniu 28 października roku 1411 wybrała z pośród siebie delegatów: Mikołaja z Czeszewa, Piotra z Kobylina i Adama z Bądkowa, kanoników, którzy mieli niezwłocznie udać się do Rzymu, celem wyjednania dla elekta swego potwierdzenia[3]. Dopiero wten-

[1] Tamże I., 16.

[2] Archiv. Capit. Gnesn. Nr. 324 (dokument oryginalny).

[3] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 19: „Item prescripti domini constituerunt

czas Wojciech Jastrzębiec wystąpił z oświadczeniem, że się zrzeka wszelkich praw do arcybiskupstwa, król zaś równocześnie ponowił stanowcze swoje żądanie, aby kapituła nie ważyła się nikogo innego, tylko Mikołaja Trąbę kanonicznie wybrać swoim arcybiskupem. Ta, wiedząc z doświadczenia, że król od raz powziętego postanowienia nie odstąpi, a nie chcąc przez dłuższy opór wystawiać dyecezyi na nieszczęścia, uległa konieczności i naznaczyła termin nowego wyboru na dzień 6 grudnia roku 1411 [1]. Prałaci i kanonicy zrażeni samowolnem postanowieniem króla, albo też świadomi układu pomiędzy Jastrzębcem a Trąbą zawartego, nie stawili się w należytej liczbie w terminie oznaczonym do Gniezna, nie chcąc zapewne przykładać ręki do uświęcenia niejako królewskiego gwałtu i świętokupstwa jego faworytów. Dla niedostatku odpowiedniej liczby wyborców po trzykroć musiano odraczać termin wyborczy, aż nareszcie w dniu 28 grudnia zebrało się zaledwo czternastu prałatów i kanoników, a zatem mniejsza połowa kapituły, którzy na Mikołaja Trąbę oddali swe głosy i przez usta proboszcza swego, Mikołaja Strosberga arcybiskupem go uroczyście ogłosili [2]. Król, nie czekając wypadku wyboru kanonicznego, wyprawił naprzód do Rzymu Jana Śledzia, mistrza dekretów i nadwornego kapelana swego, ażeby ulubieńcowi swemu torował drogę do stolicy gnieźnieńskiej. Papież Jan XXIII., otrzymawszy akt elekcyjny, spełnił życzenia królewskie i bullą z dnia 30 kwietnia roku 1412 przeniósł Mikołaja Trąbę z arcybiskupstwa halickiego na gnieźnieńskie [3].

Skoro nowego arcybiskupa i metropolitę doszła wiadomość z Rzymu, że został na stolicę gnieźnieńską potwierdzony, złożył urząd podkanclerski, którego przy arcybiskupstwie gnieźnieńskiem dzierżyć nie było wolno i zajął się uporządkowaniem własnych interesów swoich w arcybiskupstwie halickiem, poczem pożegnawszy się z dyecezyą, wybrał się na swoje nowe zaszczytne stanowisko,

---

dominos N. de Czechowo presentem, Petrum de Cobilino et Adam de Bandcow absentes tanquam presentes in suos procuratores ad petendum dominum Albertum Episcopum Poznaniensem et postulatum Gneznensem per dominum nostrum papam confirmari, et alia faciendi in forma, presentibus... etc".

[1] Tamże I. 19. b.

[2] Acta decr. Capit. Gnesn., I. 20.

[3] Archiv. Capit. Gnesn. Nr. 326 (bulla oryginalna).

na które go kapituła metropolitalna zaraz nazajutrz po kanonicznym wyborze, delegatom swoim, kanonikom Blizboryuszowi i Alberykowi z Modły, uroczyście zaprosić poleciła [1], ułatwiając mu według możności pokrycie znacznych kosztów, które przeniesienie się jego z Halicza do Gniezna za sobą pociągało. Przez swoje publiczne usługi bowiem, a przedewszystkiem przez uzbrojenie i utrzymywanie własnym nakładem jednej chorągwi podczas wyprawy krzyżackiej, mimo dość znacznych dochodów z beneficyów wyżej przytoczonych, ogołocił się do szczętu, o czem wiedząc kapituła, nietylko pożyczyła mu 50 grzywien [2] i wszelkie przysługujące mu z arcybiskupstwa dochody rychlej, aniżeli należało, wypłaciła [3], ale nadto założyła za niego 550 dukatów kosztów dla kuryi rzymskiej za wygotowanie bull odnośnych [4]. Oprócz tego, gdy Ziemowit, książe mazowiecki, podobnie jak niegdyś ojciec jego po zgonie arcybiskupa Jana Suchywilka był uczynił, dobra arcybiskupie w okolicy Łowicza w końcu roku 1411 zbrojno był najechał i nielitościwie pustoszył, kapituła wystąpiła energicznie w obronie tychże dóbr, wysławszy do księcia listy z upomnieniem, ażeby w sześciu dniach po ich odebraniu ustąpił z Łowicza i dóbr kościelnych, oraz wszelkie poczynione szkody wynagrodził, pod zagrożeniem natychmiastowej klątwy i interdyktu [5]. Prawdopodobnie Ziemowit uląkł się groźby i żądaniom kapituły zadosyć uczynił, gdyż akta kapitulne nic więcej o tej sprawie nie wspominają.

---

[1] Acta decr. Capit. Gnesn. I. 20. b.

[2] Tamże I., 25. b.

[3] Acta decr. Capit. I. 24. b. „Pomiędzy innemi złożyli zawiadowcy dóbr arcybiskupich, Mikołaj Bronisz z klucza gnieźnieńskiego 80 grzywien, Mikołaj z Czeszewa z klucza opatowieckiego 60 grzywien, a Mikołaj Kiczka, archidyakon, z tegoż klucza 36 grzywien, Alberyk z Modły z klucza łęczyckiego 30 grzywien, Mikołaj Górka z klucza wieluńskiego 54 grzywien. Do wszystkich innych zawiadowców rozpisano listy, ażeby się jak najrychlej z należytości swych uiścili. Pieniądze zawiózł elektowi w miesiącu maju roku 1412 prokurator kapituły prawdopodobnie do Biecza, gdzie się właśnie naówczas odbyć miał zjazd walny, na którym był obecnym Mikołaj (Acta decr. Capit. I. 25).

[4] Acta decr. Capit. Gnesn. I. 29.

[5] Tamże I. 206: „Item eadem die (29 Decembris 1411) domini praedicti literam petitoriam et processum instituendum cum sententia excommunicationis et interdicti contra dominum Semovitum ducem Mazoviae et suos complices decreverunt, ut videlicet desistat ab occupatione bonorum mensae archiepiscopalis et satisfaciat infra sex dies post acceptationem".

Nareszcie z początku miesiąca września 1411 zjechał Trąba do Pyzdr, ażeby stamtąd odbyć uroczysty wjazd na stolicę arcybiskupią, jak wnosić należy z dekretu kapituły, na dniu 7 tegoż miesiąca wydanego [1]. Odtąd bawił w Gnieźnie aż do końca roku, biorąc udział w obradach kapitulnych, i nader pilnie zajmował się sprawami swojej archidyecezyi, ustanowiwszy oficyałem swoim jeneralnym mistrza Mikołaja Strzeszkona, kanonika metropolitalnego, który już za czasów poprzedniego arcybiskupa znakomicie urząd swój namiestniczy sprawował, a po jego zgonie jako administrator osieroconą zawiadywał archidyecezyą. Zimę przepędził częścią w Żninie, częścią w Łowiczu lub w innych miejscach archidyecezyi, pracując bezustannie tak nad duchownem jej dobrem, jako i nad uporządkowaniem rozległych dóbr swoich arcybiskupich. Kapituła prawdopodobnie nie pozwoliła ustępować miasta Grzegorzewa i ośmiu wsi okolicznych biskupowi poznańskiemu, Wojciechowi Jastrzębcowi, za zrzeczenie się pretensyi do arcybiskupstwa, o którem wyżej była mowa, jak z tej okoliczności wnosić należy, że oryginał pergaminowy poręczenia królewskiego w tej mierze trzykrotnie wszerz nożem jest przerznięty, co oznacza jego niewykonanie.

Na uroczystość Patrona archidyecezyi i kościoła metropolitalnego, św. Wojciecha, roku 1413 gorliwy arcybiskup zjechał do Gniezna i po odbyciu kościelnych obrzędów brał udział w obradach kapituły jeneralnej, zajmując się przytem nader gorliwie sprawami archidyecezyi. (C. d. n.)

X. Korytkowski.

[1] Tamże I. 29 b.

KSIĄŻĘCE GNIAZDO.

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

W głębi Wołynia, na samem pograniczu leśnych jego puszcz z pasem najżyźniejszej pszennej gleby, leżą dwie wielkopańskie posiadłości, dwa Księstwa: Ołyckie i Klewańskie, wzajemnie z sobą graniczące. Księstwo Ołyckie dotąd jeszcze jest własnością Radziwiłłów, a nawet stanowi jedną z ich ordynacyi, gdy sąsiednie Klewańskie, do niedawna jeszcze było kilkuwiekową siedzibą ks. Czartoryskich, gniazdem ich ojczystem, kolebką, od której pisali się nawet książętami na Klewaniu i Żukowie, a to dla odróżnienia od drugiej gałęzi tegoż domu, która wziąwszy w spadku po książętach Koreckich, Korzec, także na Wołyniu położony, książętami na Korcu przezywać się poczęła. Gałąź ta Korecka wygasła na początku bieżącego stulecia na Józefie Stolniku W. litewskim, pozostali zaś dotąd Czartoryscy na Klewaniu i Żukowie, są jedyni wśród nas dotąd żyjący i z tych pochodził Adam, wielki ów filar narodowy, który blask swój roztoczył i na dziś żyjących potomków i pokrewnych tego imienia. Przed kilku laty książęta Czartoryscy Klewańszczyznę, tę odwieczną kolebkę rodu swego, sprzedać byli zmuszeni rosyjskiej Izbie dóbr Państwa. I spełnił się fakt, który mrowiem przeniknął najobojętniejsze nawet w kraju serca, a którego pobudek badać nie śmiemy, snać wielkie być musiały, ani o obojętność bowiem dla kraju, a tem bardziej o kosmopolityzm w rzeczach swojskości dotyczących, żyjących członków tej dostojnej rodziny pomawiać nie mamy prawa; rzucając przeto zasłonę na fakt ten smutny, raczej dla pamięci młodszych pokoleń, zamierzyliśmy

przypomnieć dzieje starożytnego gródka, który tyle pokoleń, tak w kraju zasłużonej wypiastował rodziny.

Ślicznyż bo to ten Klewań. Znaliśmy go z lat dziecinnych: zamek jego potężny uśmiechał się do nas, jakby upostaciowana z lepszych czasów legenda, którą powtarzały do koła i starożytny kościół katolicki i jeszcze starsze od niego cerkwie greckiego obrządku, a w ich podziemnych sklepach, dochowane w metalicznych trumnach i w starożytniejszych jeszcze dębowych wyżłobionych kłocach, prochy pierwszych z rodu Czartoryskich. Dziś wszystko to zamknięte, dla obcego oka niedostępne, ba, nawet starożytna fara pustką i opuszczeniem trąci, a w zamkowych salach, nagich, z ozdób ogołoconych, moskiewska jakaś mieści się szkółka. Wszystko to jakby mówić chciało *pulvis est et in pulverem reverteris...*

W Klewaniu przechowywało się archiwum rodowe książąt — liczne i we wzorowym utrzymywane porządku, do którego, nie bez trudności, wstęp jednakże miałem dozwolony przez pełnomocnego dóbr. W następstwie, kiedy dobra te sprzedane zostały, nie wiem jakiemu losowi uległ zbiór ten szacowny, a zawierał istne skarby dziejowe w pergaminach, a więc nadania i przywileje monarchów i wielkich książąt litewskich, pierwszym przodkom tego domu udzielone, nadania miast i majętności, sprawy procesowe graniczne i t. p. O ile więc czas i okoliczności na to pozwalały, robiłem wyciągi, notatki, dopełniane następnie drukowanemi źródłami z kronik i z nich to utworzyła się praca niniejsza, którą czytelnikom naszym przedstawiamy, a która służyć może za materyał do charakterystyki wielkopańskiej, tak dobrze krajowi zasłużonej rodziny i jej gniazdowego *fundum*.

Początkowe dzieje Klewania, równie jak i innych gródków i zamieszkałych osad na Rusi, niedokładnie lub zgoła zbadać się nie dają, giną w pomroce dziejowej; jednakże w XIV. już wieku przejaśniać się nieco zaczyna, to też i tutaj widzimy, że ta część góry, na której i teraz murowana cerkiew stoi, na fundamentach dawniejszych założona, i to miejsce, gdzie zamek się wznosi, z częścią miasta Horodyszczem zwaną, już w owym czasie było miejscem obronnem, zamykającem w sobie starożytną cerkiew i zborzyszcze,

terrytoryum obronne, pod ogólną nazwą Klewania znane, a stanowiące w tym czasie posiadłość udzielnych książąt peresopnickich.

Kiedy Gedymin W. ks. litewski mocą oręża zagarnął pod swe władztwo część Rusi, wówczas i Klewań wraz z całem księstwem Peresopnickiem, przeszedł na jego własność i stanowić począł odtąd dobra dziedziczne panującej litewskiej dynastyi [1]. Z tych Świdrygiełło W. ks. litewski „za zgodą wierney swey rady, za znamienite usługi i niechybioną nigdy wierność“ księciu Michałowi Bazylewiczowi, niektóre wsie i dworzyska na Wołyniu leżące, daje i darowywuje.

Tu właśnie doszliśmy do owej pięty Achilesowej w rodowodzie domu, który historyczną swą działalnością, tyle się następnie odznaczył, a którą śladami uczonego badacza naszych dziejów Kaźmierza Stadnickiego, tylu innych po swojemu kommentować i rozwiązać usiłowało. Kto był ów ojciec Michała, pierwszem nadaniem Klewania obdarzonego, czy ziemianinem bez znaczenia, czy też potomkiem Gedyminowym, owym dziejowym Korygiełłą? Nie przeczę, że kwestya ta ma wszelkie pozory doniosłości historycznej i z tych zapewne pobudek, tak skwapliwie przez współczesnych dziejopisów podjętą została, lecz z drugiej strony, pojąć nie możemy, dlaczegoby tak drażliwą być miała dla rodziny, która w następnych wiekach, tyle sław zaprawdę już historycznych wydała, a bądź co bądź starożytnością swego pochodzenia, mało równych sobie w dziejach narodowych posiada. Pomijając więc te subtelności pomroką dziejową pokryte i pozostawiając ostateczne tychże rozwikłanie heraldykom, utartą już drogą dalej kroczyć będziemy.

Owoż, przywilej powyższy Świdrygiełły, nadający mitycznemu księciu Michałowi Bazylewiczowi część Klewańszczyzny na własność, datowany jest w Łucku 29 grudnia 1448 r. i wyraża między innemi: że majątek ten, leży w Łuckim powiecie w Żukowie i składają go wsie Ołyszów nad rzeką Stubłem, Derewiane na Rudce, Alisowy nad Stubłem, Suchowcy dworzysko, wierzch Radochówki, Harukowiec na rzece Połonnej, a także i Monaster św. Mikołaja na Klewaniu nad Stubłem z cerkiewnem zborzyszczem.

---

[1] Widzimy to w spisie grodów ziemi wołyńskiej, należących do Litwy, uczynionym około połowy XIV. wieku, gdzie nasz Klewań, pisany jest Koływań. Patrz Schlötzer: Geschichte von Lithauen str. 19.

Klewań więc, jako przynależytość włości Żukowskiej, wspomina się najwyraźniej już pod rokiem 1448, lecz prócz monasteru żadnej zresztą osiadłości przy nim nie było; jak więc się osiedlał, jakie przechodził następnie koleje, od tej daty opowieść naszą rozpocząć dopiero możemy; widzimy zaś, że majętność ta od połowy XV. stulecia, do ostatnich czasów, nieprzerwaną stanowiła własność domu Czartoryskich, których też imiona i zasługi, dla uzupełnienia narracyi, potrącić nam wypadnie.

Owoż wedle utartej tradycyi, której dopiero Stadnicki i cały rząd nowoczesnych pisarzy historycznych zaprzeczyć usiłowali, przy rozdziale ziem między synami Olgierda, Korygiełło, w chrześcijaństwie Bazylim-Konstantym zwany, między innemi dzielnicami, wydzielony miał dla siebie Czartorysk, od którego sam i potomkowie jego zwać się poczęli Czartoryskimi i pieczętować się Pogonią, herbem od dawna w familii używanym, a przywilejem od Władysława III. potwierdzonym [1].

Korygiełło-Bazyli, w r. 1390 zabity przy obronie zamku Krzywego Wileńskiego i pochowany w katedrze wileńskiej, miał tedy według wersyi familijnej zostawić trzech synów: Jana zmarłego bezpotomnie, Aleksandra namiestnika Pskowa, którego córka Zofia była za Teodorem książęciem Bielskim, i nareszcie Michała, domniemanego przodka Czartoryskich. Michał ów, najmłodszy z trzech braci, ulubieniec Władysława III., otrzymuje od niego w darze Nowice w Haliczu [2], gdzie już miał osiąść, kiedy wypadki z braćmi jego zaszłe na Litwie, powołały go do Ojczyzny. Tu, za przychylność jakoby dla Świdrygiełły, otrzymuje od niego, jak widzieliśmy, nadanie nowych dóbr w 1448 r., między któremi był i nasz Klewań. Oto podstawa rodu, odtąd już ubitemi idziemy ścieżkami, którym nie przeczą dzieje, a których ślady wraz z filiacyą rodu, pozostały w archiwach familijnych domu i w dziejach ojczystych.

Pierwszym więc z rodu Czartoryskich, ów Michał, pisać się

---

[1] Przywilej ten którego autentyczność zaprzeczono, datowany jest w Budzie, mieście stołecznem Węgier, w czwartek przed św. Witem roku 1442. Do ostatnich czasów przechowywał się w archiwum książąt Czartoryskich w Klewaniu.

[2] Przywilej wydany w Warradynie w r. 1443, we wtorek po oktawie św. Stanisława biskupa i męczennika. (Archiw. Klewańskie).

zaczął na Klewaniu, ale nigdy na Żukowie. Klewań bowiem składający się z jednego li tylko Monasteru, wchodził tylko w obręb rozległej włości żukowskiej. Sąm zaś ów Żuków w owe czasy był jeszcze własnością Wielkoksiążęcą i jeszcze w 1516 r. 20 listopada przywilejem swym Zygmunt I. nadaje resztę tejże majętności żukowskiej, składającą się z osad: Żukowa, Bielowa, Nowego Stawu i Humiennik, Bohuszowi Bohowitynowiczowi na własność, pozwalając osadzić miasto i zbudować zamek w Żukowie. Nie był więc jeszcze ów Żuków, nawet daleko później własnością Czartoryskich i dopiero jak zobaczymy niżej, od 1701 roku posiadłość tę do tytułu dołączać zaczęli.

Michał starosta bracławski, pierwszy dziedzic Klewania, protoplasta Czartoryskich, ten sam, który niesforny oddział ochotników Rusinów, dążący do twierdzy Kaffy, wyciął w pień pod Bracławiem w 1463 roku, — w nowem swem nadaniu w Klewaniu, nieopodal od monasteru, na miejscu, które zwało się Horodyszczem, a w owe czasy połączone było jeszcze i z tą częścią miasta, która i dziś to miano nosi, rozpoczął budować zamek, oddzielił ziemię zamkową od cerkiewnej głęboką fossą, sprowadził w nią wodę od Stubła, tuż obok płynącą, i w około zamek oblał — tak, że jedyny dostęp do tegoż, był tylko od cerkwi św. Mikołaja, przez most zwodzony. Michał nie dokończywszy budowli zamku, zmarł około 1480 roku, zostawiając żonę Zofię Niemierzankę, która miała w dożywociu od męża Klewań a kollacyę sąsiedniego monasteru peresopnickiego od W. ks. Aleksandra. Po śmierci zaś jej około 1498 r, wszystko to objął na siebie syn ich Teodor. Ten był starostą łuckim i prowadził dalej murowanie zamku, lecz kiedy to było już prawie na ukończeniu, kiedy obydwie strzelnice narożne już były zbudowane, a z przeciwnej strony już i mieszkańcy osiedlać się poczęli — wtedy dopiero pozwał go Radziwił z sąsiednej Ołyki, okazując przywileje, że to Horodyszcze, na którem buduje się zamek, i ta ziemia, na której siedlą się mieszkańce, jest od dawna jemu nadana i że to wszystko należy do jego włości Smorzewskiej i Michorszczyzny. Dowody Radziwiłła były jasne, dokumentami poparte i rzeczywiście nadanie Świdrygiełły zapewniało tylko księciu Michałowi monaster św. Mikołaja na Klewaniu stojący, to jest uroczysko, na którem był zbudowany i miano to nosił, a pod nazwą którego Czartoryski i przy-

ległe horodyszcze i ziemię nieopodal leżącą mieć rozumiał — a która właściwie należała z dawnego nadania do jego sąsiada Radziwiłła. Nie mogąc tedy dla sporu kończyć budowy zamku w Klewaniu, zaczął Teodor budować drugi w sąsiednim nowonabytym Bielowie, który przezwał Biełhorodem i wyrobił przywilej u króla Zygmunta na założenie obok niego miasta i na zaprowadzenie jarmarku [1]. Na projektach jednak się skończyło, wkrótce bowiem umarł, zostawiając dwóch synów: Aleksandra i Jana, oraz dwie córki zamężne: Annę za Bazylim Czyżem koniuszym litews., i Anastazyę za Piotrem Bohdanowiczem Chreptowiczem.

W roku 1547 d. 19 czerwca, nastąpił dział między Aleksandrem i Janem, synami Teodora, mocą którego starszemu Aleksandrowi dostał się zamek Czartorysk i Litowież z przynależytościami [2], Janowi zaś Klewań, zamek i miasto Biełhorod, dwór Szeple, majątki: Sarny, Chołopy i folwark Charuków w Łucku, ze wszystkiemi do niego przynależytościami.

Ten więc dopiero Jan, syn Teodora, Czartoryski, — który był posłem z Litwy na sejm do układania paktów Unii z Litwą, — pragnąc nareszcie ukończyć długie procesa z Radziwiłłami, zgłosił się do Mikołaja, proponując mu zamianę wzwyż pomienionego Smorżewa i Michorszczyzny, obejmujące zarazem i zakwestyonowane Horodyszcze, na którem była rozpoczęta budowa zamku klewańskiego, na inną majętność, a mianowicie na Silno, leżące bliżej Ołyki, a które mu się w wianie dostało od żony Anny Kuźmianki księżniczki Zasławskiej [3]. Kanclerz dla miłości braterskiej, jak się wyraża w swym dokumencie, przystał na proponowaną zamianę, do której Czartoryski dodał jeszcze brzeg klewański nad rzeczką Ołyką leżący

[1] Przywilej na to był wydany w Mielniku 1529 r. 18 listop. (Arch. Klew).

[2] Aleksander ten był wojewodą wołyńskim i zaślubił Magdalenę Despotównę, wdowę po Janie księciu Wiśniowieckim. Z tego małżeństwa był syn Michał, który był starostą Żytomirsk., ożeniony z Zofią Chodkiewiczówną, hrabianką na Szkłowie i Myszy, córką Hieronima Chodkiewicza kasztelana Wileń., z którą miał syna Jerzego, zmarłego bezpotomnie.

[3] Z zapisu uczynionego w Zasławiu 18 Września 1547 r. czytamy, że w tymże roku pojął za żonę Annę córkę Kuźmy księcia Zasławskiego, starosty Kamienieckiego, i Anastazyi Juryewny Holszańskiej, i wziął po niej w posagu tysiąc kop groszy litews. w monecie a drugi tysiąc w perłach, klejnotach, szatach i t. p. Sam zaś zapisuje żonie cztery tysiące kop groszy — na trzeciej części swej majętności.

i tysiąc złotych polskich. Dokumentem zaś swym 5 stycznia 1555 r. wydanym, zapewnia Radziwiłł spokojne posiadanie zamku przeciwnikowi, wyrażając się między innemi: „A k' tomu, kotoroje prawo „i Lysty w sebe majem na toie horodyszcze, hde Zamek Klewański „zbudowany i hde mesto poseliło sia — tehdy my toho prawa na- „szoho Jch sim Lystom naszym kasujem a kniaziu Jwanu ku po- „moczy y potomkom Jeho miłosti, na wecznyi czasy prywłaszczaiem. „A chotiaby kotory Lyst na Klewań u nas dla naszych Imeney in- „szych hołowneyszych potrebny został, tehdy predsia takowoie prawo „nasze na Klewań w niwecz oboroczaiem. Nechay kniaź Jwan, żona, „deti y Jch miłosti potomki, prawom swoim, y ot nas iemu zapy- „sanym, Klewań zamek y mesto wże w spokoynym derżaniu ieho „budet, a my sami, dety i potomki naszy do Klewania wże niczoho „meti y w to sia wstupowati nemaiem weczno“ [1]. Tak więc dzięki wyrozumiałości Radziwiłła, spór ten załatwiony został w sposób dla obydwóch stron zadawalniający, a Czartoryscy gniazdo swe odtąd w spokoju posiedli. To też zaraz już w 1561 r. zamek klewański zupełnie ukończony został i powaśnieni sąsiedzi przystąpili do ostatecznego rozgraniczenia dóbr swych Klewańskich i Ołyckich. Punktem granicznym między ich dobrami stało się Uroczysko, dotychczas Babie zwane [2].

Zamek Klewański, jedyna może tego rodzaju budowa na Wołyniu nie przerabiana w późniejszych czasach, w pierwowzorze swoim mniej więcej tak się przedstawia. Stoi na wysokiej górze, zewsząd wodą oblanej, zabudowany w czworobok, z dwiema basztami prawie trójkątnemi na dwóch przeciwległych stronach, północnej i południowej, a w nich umieszczone strzelnice; dziedziniec

[1] Król Zygmunt układ ten zatwierdził zaraz nazajutrz.

[2] O pochodzeniu tego Uroczyska natrafiamy na ciekawy szczegół w archiwum klewańskiem w fascykule zatytułowanym Swiadectwo Olyczan, a to w tych słowach: „Uroczysko to kiedy powstało, ludzie starzy dobrze to pamiętają. Przed laty ogromny mór przyszedł od strony Klewania, a wydusiwszy, co nie uciekło z Klewania, dostał się do wsi Derewianego i poczęli ludzie umierać. Dostrzegł ktoś z mieszkańców, że teraz, jak i dawniej bywało, mór chodzi w postaci jakiejść baby, alias wiedźmy. Zbiera się więc gromada i postanawia babę żywcem zakopać, jako jedyny środek ocalenia Derewianczan. Złapawszy ją przeto, wyprowadzają w pole, gdzie dół już nad drogą i granicą był przygotowany, zakopują wiedźmę i sypią mogiłę. Mór przestał zaraz i skutek okazał się — to i starzy dawniej robili“... (Wypis dosłowny).

mający 80 łokci kwadratowych, obwiedziony wysokim murem pięciołokciowej grubości; przy murze tym ciągną się mieszkania z oknami na dziedziniec, w których niegdyś mieścić się musiała załoga zamkowa i służba; górna część mieszkań także strzelnicami najeżona; przy baszcie północnej, od strony zwodzonego mostu, pozostała dotychczas podwójna brama, na dziedziniec zamkowy prowadząca — dalej od zachodu przy ścianie głównej było właściwe mieszkanie książęce, od bramy do baszty południowej ciągnące się, z charakterystycznemi oknami w ołów oprawnemi, a pod niem sklepione lochy, do dziś dnia wszystkie w całości dochowane, z których część zapewne więzienia pomieszczać musiała. Dziwnym trafem zamek ten w Klewaniu, położeniem i budową swą przypomina o wiele wprawdzie większe zamczysko łuckie, a okalające go nawet błonia Stubła mało co malowniczemu Styrowi ustąpią. Znać tu na wszystkiem wielkopańską, z odległych wieków, książęcą siedzibę. To też w dawnych kronikach klewańskich nie ma śladu, aby Tatarzy i różnego rodzaju hajdamacy, tak często te strony nawiedzający, zdobyć kiedykolwiek mieli zamczysko tutejsze. Po opisie zamku do przerwanej kroniki wracamy. Owoż książe Jan Czartoryski, o którym wyżej była mowa, umarł około 1572 roku, zostawiając z księżniczki zasławskiej dwie córki: Helenę za Ostafim Hornostajem i Katarzynę za Bazylim Zahorowskim kasztel. bracławskim; synów zaś także dwóch: Jana i Jerzego. Lecz czy żon miał dwie, Annę a później Eudoksię, czy też Anna owdowiawszy, przywdziała szaty zakonne i Eudoksii imię przybrała, dociec tego trudno. Oryginalne dokumenta klewańskie, najwyraźniej wspominają o jednej tylko żonie Annie księżniczce zasławskiej. Tymczasem, w starożytnej cerkiewce zamkowej, widzieliśmy starą księgę Ewangelii, w której obok tytułowej karty, mieści się zapis uczyniony ruskim zwyczajem dla parochów klewańskich pod d. 8 stycznia 1572 r. przez księżnę Eudoksię i jej dwóch synów Jana i Jerzego. Jest to rodzaj erekcyi, z której parę ciekawszych szczegółów wyjmujemy, jako to: że miasto Klewań opasane było w tym czasie wałem, którego wschodnia brama była w tem miejscu, gdzie dzisiejszy szpital pomieszcza się, dalej, że do cerkwi zamkowej należały okoliczne parafie: Derewiane, Moczułki, Oleszwa Ruda i Krasne, oraz że ten zapis uczyniony został

dla tego, że poprzednie nadania Czartoryskich dla cerkwi klewańskiej w pożarze tego miasta zginęły.

Jan, starszy syn Jana Teodorowicza, w okazyi z Moskwą pod Pskowem dał męstwa swego dowody; poślubił zaś Ewę Barkołobównę Korsakównę, z którą męskiego potomstwa nie miał, tylko córkę Aleksandrę, zamężną za Mikołajem Jełowickim.

Jerzy, młodszy syn Jana, był postacią w rodzie już więcej wydatną, dziejową. On pierwszy z rodu Czartoryskich zmienił ruski obrządek na rzymsko-katolicki, w czem go już następnie potomkowie jego wszyscy naśladowali. I nie dziw, początkowe bowiem wychowanie pobierał u Jezuitów w Wilnie i stale już potem to zgromadzenie opieką swoją otaczał. Monaster czerńców peresopnickich, tę spuściznę rodową imienia, oddaje w 1595 r. siostrze swej fanatyczce rusince Helenie Hornostajowej, sam zaś wzbogaca domy Jezuitów w Winnicy i w Łucku, gdzie dwór swój i place na zakładające się kolegium ofiarował, wznosi nareszcie pierwszą świątynię katolicką w Klewaniu około 1590 r. pod wezwaniem Wniebowzięcia N. Panny, św. Stanisława biskupa, patrona swego św. Jerzego i św. Anny [1].

W kilka lat potem kościół tutejszy otrzymuje od swego założyciela erekcyę, która go hojnie uposarza. Między innemi dobrodziejstwami nadaje mu na własność wieś Nowystaw nad Stubłem. Postanawia także erekcya, aby pleban utrzymywał zawsze do pomocy dwóch wikaryuszów, rektora szkoły, kantora i zakrystyana. Prezentę ma podawać sam książe lub jego następcy, dopóki wiernie trzymać się będą religii rzymsko-katolickiej; gdyby zaś zostać mieli schyzmatykami lub heretykami, w takim razie biskup łucki ma sam naznaczać plebana. Jeśliby zaś kościół ten spalił się, lub z innych powodów uległ zniszczeniu, to zamek bierze na siebie obowiązek wybudowania nowego, lecz zarazem zastrzega, że będzie mógł pierwiastkowy fundusz onego, wedle swej woli odmienić. Z tejże erekcyi widzimy, że przy kościele był osobny dom szkolny

[1] Z tego czasu dochowały się w kościele Klewańskim w prezbiteryum trzy płyty z kamienia piaskowego, w posadzkę wprawione, nadgrobki Czartoryskich.

a przy nim mieszkanie bakałarza, sposobiącego uczniów do śpiewu kościelnego [1].

Xiąże Jerzy był starostą łuckim i za żonę pojął Aleksandrę, córkę Andrzeja księcia Wiśniowieckiego, wojewody Wołyńskiego; z nią miał dwóch synów: Jędrzeja, który w stanie duchownym jako bernardyn był znany pod imieniem Adryana, i Mikołaja Jerzego, który rządy po nim objął w Klewaniu, a także dwie córki: Annę za Aleksandrem Krynickim i Halszkę za Stanisławem z Dąbrowicy Firlejem. Sam książe żył jeszcze około 1616 r.

Mikołaj-Jerzy, właściwie pierwszy z rodu podniósł dopiero lustr imienia, przydał mu historycznego blasku. Ożeniony był z Izabellą księżniczką Korecką, córką Joachima i Anny z Chodkiewiczów; ona dopiero wniosła w dom mężowski królewskie swe wiano t. j. państwo Koreckie,. Odtąd rozpoczyna się ów szereg dygnitarzy w domie Czartoryskich, którzy pożyteczną swą działalnością w kraju imię swoje wsławili w ojczyźnie, ku czemu i rozrost fortuny nie mało także się przyczynił. To też i książe Mikołaj upatrując w tem wyraźne „błogosławieństwo Boże“, pomnąc nareszcie na przedśmiertne zlecenie ojca, rozpoczął swą działalność od wymurowania kościoła w Klewaniu, na miejscu drewnianej świątyni, wystawionej staraniem rodzica. Stanął więc ten przybytek Pański, okazały, jakim go widzimy dotąd, a i uposażenie jego udwoił niemal pobożny fundator, powiększywszy dziesięciny z łanów dworskich i dodając do pierwiastkowej fundacyi sto kop zboża z łanów nowo nabytego Żukowa i tyleż z folwarku Hruszwicy [2]. Nadto wyrobił książe Mikołaj przywilej u króla, mocą którego Zygmunt III. uznał za nieprawną i przeciwną chwale Bożej i postanowieniom swych Antecessorów sprzedaż monasteru peresopnickiego Hornostajowej, a przez nią czerńcom ruskim, i rozkazuje, aby tenże przywrócony został rodzinie Czartoryskich, stosując się jednakże do woli Mikołaja, dozwala mu na wieczne czasy przyłączyć starożytny ten monaster do Mansionaryi klewańskiej, z tym jednakże warunkiem, aby kościół klewański

[1] Erekcya ta wydana na zamku klewańskim 9 października 1598 r. podpis zaś na niej umieszczony w te słowa: „Ego Georgius Dux Czartoryski in Klewań omnia haec supra scripta, approbo, affirmo, attestor et manu propria subscribo“.

[2] Nowa ta erekcya spisaną została 2 stycznia 1630 roku.

odprawiał wiecznymi czasy Mszę św., w pierwszych dniach każdego miesiąca za niego i za następców jego królów polskich [1].

Mikołaj znacznie podniósł rodzinny swój Klewań, postawił go w rzędzie najzamożniejszych gródków wołyńskich, otoczył ojcowską niemal opieką, uczynił go stałą swą rezydencyą, a chcąc wszystko w nim do należytego przyprowadzić porządku, znowu się postarał, wezwawszy do tego swych przyjaciół, o nowe rozgraniczenie tych dóbr swoich z sąsiednią Ołyką, co też i stwierdzone zostało nowym dokumentem z d. 20 listopada 1637 r. W tymże roku odbyło się solenne poświęcenie tutejszego kościoła, na które przybył ks. Stanisław Łoza, biskup argiwski, sufragan łucki, i ściągnęło się z kilku okolicznych prowincyi obywatelstwo. Wyszukiwał też Mikołaj powodu do rozmaitych festynów i uroczystości dla ściągania ludzi do swojego Klewania, który też roił się zawsze od przybyszów z różnych stron świata, przybywających dla uświetnienia orszaku hojnego magnata. I tak pod koniec października 1642 r. z wielką i uroczystą okazałością odbyło się tu przeniesienie ciała św. Bonifacego z kaplicy zamkowej do kościoła. A relikwie te syn księcia Floryan, już kapłan wielce uczony i nabożny, przywiózł był sam z Rzymu, doznawszy przy zdobyciu tych świętych szczątków całe dziwnej przygody, o której wspomina ze zwykłym sobie humoryzmem pobożny kanclerz Ołycki. Otóż o te pobożne szczątki spierali się w Rzymie dwaj książęta cudzoziemscy, którzy zarówno posiąść je pragnęli. Co widząc Magister Palatii, aby obu ich pogodzić, darował je trzeciemu, obecnemu tam wówczas Czartoryskiemu, który też umknął z nimi co prędzej do Polski i do Klewania je przywiózł [2]. Niedługo jednak cieszył się wołyński nasz gródek powodzeniem swem i wzrostem, popieranym przez dobroczynnego magnata. Nastały ciężkie czasy, dni smutku i niedoli dla ziem ruskich w ogóle, a nie uniknął ich i nasz Klewań. Już w r. 1648 ukazały się liczne ukraińskie pułki, podążające do Łucka; te nawiedzały i Klewań, a rozbestwione chłopstwo z różnych stron kraju płynęło za nimi, siejąc mord i pożogę w swym pochodzie. W kłębach dymu stanął wówczas

[1] Przywilej królewski wydany został w Warszawie 20 czerwca 1630 r. Obszerną monografię księstwa peresopnickiego i historyę jego starożytnego monasteru, drukowaliśmy w gazecie „Wiek“ z roku 1882.

[2] Patrz Pamiętnik księcia Albrechta Radziwiłła. T. II. str. 81.

kraj cały, a w wściekłości nic nie uszanowano, czerń ta nic nie oszczędzała, aż do cerkwi swych współwyznawców — i te stanęły w płomieniu, a szeroką ich łuną znaczyło żołdactwo krwawy swój pochód. Z Klewania, jak kościotrup, ocalało tylko książęce zamczysko; strwożony lud z miasteczka i z okolicznych wiosek rozpierzchnął się, tułał się po lasach. Na domiar, w dwóch latach następnych, ukazała się kolejno niezliczona moc szarańczy i doszczętnie zniszczyła plony, których i tak już zbierać nie było komu, głód więc, a za nim rozliczne choroby, nawiedziły tę bogatą niegdyś krainę. Różnorodne te klęski napływały po kolei, znacząc długie a smutne panowanie Jana Kazimierza. Zaledwie biedny ten lud podążał ochłonąć po jednej z tych klęsk, gdy już następowała druga, stokroć groźniejsza. Koniec roku 1653 dla Klewania, jak równie dla całej okolicy, zwiastował się niemniej groźnie. Już na początku grudnia napłynęli tu Tatarzy, którzy w około zagony swe rozesłali i w zaledwie dźwigającej się po dawnych klęskach mieścinie, groźne swe czambuły rozpuścili. Po kilkodniowej tu gościnie, miasteczko przedstawiało kupę zgliszcza — i znowu ostały się tu tylko domy Boże i nadwerężone zamczysko — lud rozbiegł się po sąsiednich puszczach, lub uprowadzony został w jassyr.

Wtedy to Jan Kazimierz, zważając na ogólną kraju niedolę, ściągnął oczy i na Klewań, a pomny na zasługi dziedzica, którego już był wówczas mianował kasztelanem wołyńskim, chcąc nareszcie ściągnąć i rozbiegłą ludność klewańską, udarował to miasto prawem Magdeburskiem w r. 1654, według statutów którego „krom apelacyi do pana swego dziedzicznego, mieszczanie i przed nikim innym, tylko przed wójtem, burmistrzem, rajcami i ławnikami swoimi przysięgłymi, zwykłym sposobem sprawować się mają. Na który to urząd miejski, radziecki, lentwójtowski i ławniczy, nazajutrz po nowem lecie ruskiem, t. j. po św. Wasylu, pospólstwo wszystkich trzech rajców prawa świadomych wybierać ma, jak równie lentwójta i ławników sześciu; burmistrza zaś i wójta sam dziedzic naznaczać ma". Tymże przywilejem król także ustanawia dwa jarmarki tygodniowe, jeden na Trzech Króli ruskich, a drugi na Wniebowzięcie N. M. Panny. Targi zaś dwa w tydzień, jak i dotąd bywały, pierwszy w poniedziałek, a drugi w piątek. Żydzi, którzyby mieszkali w Klewaniu, urzędowi miejskiemu i jego juryzdykcyi, we

wszystkiem posłuszni być powinni i równie z innymi mieszczanami podatki miejskie mają ponosić. Mieszczanie mieć powinni ratusz dla porządku, a pod nim sklepy. Przytem nadaje król za patrona i herb miastu św. Michała Archanioła, którym w urzędowych pismach pieczętować się mają. A jeśliby rzemieślników wielka ilość tam była, tedy im dozwala się Annały cechowe spisać; te zatwierdzone przez burmistrza i rajców, powinny być podane do konfirmacyi Jego Kr. Mości; dalej wyraża ten przywilej: „Dalszych, czego nie daj Boże, buntów kozackich strzedz się, a Nam i Rzeczpospolitej, także i Panu swemu dziedzicznemu całe wiary i posłuszeństwa dotrzymać będą powinni, a to pod straceniem praw i wolności swych od Nas sobie teraz nadanych...“ [1].

Pomimo tych nadań królewskich i gorliwości osobistej księcia Mikołaja, ulubiony jego Klewań, z którego nie wydalał się prawie, bardzo słabo tylko dźwigał się z upadku, a dawnej swej świetności nie odzyskał już nigdy podobno. Ludność strwożona wracała do swych siedlisk powoli, prawie pojedyńczo — wciąż oglądając się, ażali znowu najezdnik na jej mienie nie targnie się. Budowała się też nieznacznie, choć książe dziedzic nic nie szczędził, aby gniazdo swe do dawnego przywrócić porządku. I tak zbudował nowy okazały ratusz, ustanowił nowe cechy: tkacki i piekarski, zamek swój nadwerężony dźwignął i uzbroił, a pod dowództwem sławnego swego puszkarza Kosterowskiego, jak mógł, oganiał się najezdniczym kupom, które wciąż jeszcze kraj plądrowały. Słynęły też na daleką okolicę, stajnia jego w Grabowie, obora w Ołyszowie, po okolicznych folwarkach...., a jednak nie plotło się już jakoś życie mieszkańcom Klewania, a pamięć przebytych klęsk łzy mieszkańcom wyciskała. Umarł nareszcie stary książe 12 lipca 1661 roku — w swoim rodzinnym Klewaniu; w podkościelnym grobie złożono jego zwłoki, gdzie i dotąd pozostają. Za życia piastował urzędy wojewody podolskiego, a potem wołyńskiego. O ośm lat całych przeżyła go żona, ostatnia księżniczka Korecka, która się także dobrze Klewaniowi zasłużyła, kiedy pamięć jej tkwi dotąd w uściech miejscowego ludu. Ona to była fundatorką kaplicy na zamku tutej-

[1] Przywilej ten wydany w Warszawie 30 marca 1654 roku na sejmie walnym sześcioniedzielnym.

szym, w której mieścił się cudowny obraz Matki Boskiej, następnie do miejscowego kościoła przeniesiony. Zostawili księstwo trzech synów: Floryana-Kazimierza, owego pobożnego rzymskiego pątnika, o którym już wyżej wspomnieliśmy, a który umarł prymasem Królestwa polskiego, następnie Jana-Karola i Michała-Jerzego, o których niżej powiemy, i córkę Annę wydaną za Jana Tarłę wojewodę sandomierskiego.

Młodzi dziedzice nie robili między sobą działu familijnego, ale zajęci już więcej sprawami publicznemi, rzadko przebywali w ojczystym Klewaniu. Miasto więc choć jeszcze miało dobrobyt dawnemi nadaniami zapewniony, dotkliwie już jednak odczuwało nieobecność swych panów. Na zamku rzadko już się tu gość zjawiał, handel miejscowy obumarł, to też z żalem wspominano tu imię księcia Mikołaja. Z papierów miejscowych widzimy jednakże, że stanęła tu w tej epoce, kosztem książąt, druga cerkiew murowana w 1681 r. pod wezwaniem N. Panny, która doczekała dni naszych, i dopiero w pożarze miasta w 1852 r. zgorzała.

Młodszym bratem prymasa Floryana, a drugim z rzędu synem Mikołaja, był Michał Jerzy ks. Czartoryski, poseł od Rzeczypospolitej do Cara moskiewskiego. Ten spory od granic wołoskich w r. 1667 uspokoił, brał z kolei województwa bracławskie, wołyńskie, aż nareszcie sandomierskie, na którem dopiero ogarnął go jakby szał małżeński, bo cztery razy z kolei ponawiał związki: z austryaczką Fehenberg, z Eufrozyną Stanisławską wdową po Potockim, i po raz trzeci z Koniecpolską. Z tych małżeństw dzieci nie miał, a że widocznie pragnął męskiego potomka, ożenił się przeto po raz czwarty z Joanną Olędzką, wdową po Oleśnickim, staroście opoczyńskim, i ta ostatecznie uszczęśliwiła starca synem, któremu dano imię Kazimierza.

Brat Michała Jan-Karol był podkomorzym krakowskim i marszałkiem Izby poselskiej — a za króla Michała przewodniczył rycerstwu polskiemu pod Gołębiem. I ten, jak i brat jego bawił się kilkokrotną żeniaczką. Z pierwszą żoną Anną Zebrzydowską miał synów Samuela i Kaźmierza, także córkę hetmanowi Ogińskiemu poślubioną, z drugiej Magdaleny Konopackiej, wdowy po podskarbim Gąsiewskim, zostawił trzech synów, Michała i Antoniego, zmarłych bezpotomnie, i trzeciego Józefa.

Z tego licznego potomstwa obydwóch braci Czartoryskich, pozostało żyjących dwóch tylko braci stryjecznych, Kazimierz i Józef. Ci w 1701 roku uczynili między sobą dział majątkowy, mocą którego Kazimierzowi synowi Michała-Jerzego pozostała włość klewańska i żukowska, Józefowi zaś Korecczyzna. Od tego to 1701 roku powstały dwie oddzielne linie w rodzinie, pierwsza pisać się poczęła na Klewaniu i Żukowie, druga na Korcu.

Na tym okresie możemy zakończyć naszą pracę — nie piszemy bowiem historyi domu Czartoryskich, ale raczej tylko dzieje gniazdowego ich gródka Klewania, a te ostatnie przez cały wiek XVIII. nic prawie do zaznaczenia nie przedstawiają. Rodzina natomiast władzców tutejszych, urosłszy do znaczenia niebywałego dotąd w Rzeczypospolitej, opuściła rodzinne zamczysko, na szerszą widownię przenosząc działalność swoją. Losy Polski, acz skołatanej wewnętrzną niemocą, a stąd może zawistne potężnym jej sąsiadom, spoczęły przeważnie niemal w rękach tej rodziny. Za panowania ostatnich dwóch monarchów naszych, Czartoryscy stoją wciąż u steru politycznej nawy państwa, nadając jej kierunek, nie zawsze może po myśli pognębionego niemocą narodu, ale zawsze z przewodnią myślą, ku jego dobru skierowaną. To też długo jeszcze i po politycznym swym upadku, chował naród nasz tradycye tej potężnej rodziny, której ostatni potomkowie do ostatnich chwil nie przestawali jakby opiekuńczem skrzydłem otaczać co wydatniejszych jego rozbitków. Wracając jednak do Klewania, który acz przestał być siedzibą rodu i wszedł do składu obszernych majętności, wciąż przez małżeństwa pomnażanych, odległe to państewko nigdy nie przestawało wzorowo być utrzymywanem, dzieliło losy wszystkich zresztą gródków naszych, na tych odległych kresach kraju położonych, brakowało mu tylko głównej do życia budzącej arteryi, a to obecności ulubionych jego panów.

Nie przerywając filiacyi dziedziców Klewania, jakkolwiek ci ostatni nigdy już tu nie mieszkali, wyliczyć tu nam jednak wypada ich poczet od owego Kazimierza na którym ich szereg przerwaliśmy. Owoż ten ostatni wydzielił Klewań synowi z Morsztynówny zrodzonemu Augustowi-Aleksandrowi, generałowi ziem ruskich, ożenionemu z Sieniawską, wdową po Denhoffie, najbogatszą dziedziczką na Rusi, przez którą tyle sławna wówczas Granowszczyzna, weszła

do składu fortuny Czartoryskich. Synem jego był ów Adam generalny starosta podolski, pospolicie generałem ziem podolskich zwany, postać naszych już niemal czasów sięgająca i potężna w dziejach, ostatecznie na stopień Feldmarszałka przez Cesarza Franciszka I. wyniesiony, mecenas nauk, które we własnym kraju z uśpienia obudził, nareszcie członek kilkunastu towarzystw naukowych, zmarły w Sieniawie w Galicyi dopiero w 1823 roku. Tego synowie, z Izabelli Flemingówny urodzeni Adam i Konstanty, byli ostatnimi świecznikami narodu z karty europejskiej wykreślonego, którzy pracy nad jego odrodzeniem żywot swój cały poświęcili. Zajmiemy się wyłącznie młodszym Konstantym, któremu się w spadku po ojcu Klewańszczyzna dostała, a który już był ostatnim w rodzie, co się jej podtrzymaniem zaprzątał. Nie mając zdolności brata swego Adama, ograniczył się też sferą działalności daleko skromniejszej. Żołnierz, ostatni w rodzie Sarmata, część życia wyłącznie wojaczce poświęcił. Urodzony w 1773 roku, doszedł do stopnia pułkownika w wojsku narodowem, dowodząc pułkiem 16 piechoty księstwa warszawskiego. Za nowego już rządu mianowany generałem-lejtnantem wojsk rosyjskich, ozdobiony był kilku polskimi i obcymi orderami. Od roku 1830 wyniósł się do Wiednia, skąd nie wychylał się już do śmierci, a ta starcem już 87-letnim zaskoczyła go tamże 23 kwietnia 1860 roku.

W dziejach Klewania, sędziwa postać księcia Konstantego znowu wydatnie zarysowuje się. Żołnierz-obywatel, usiłował on znowu z upadku podźwignąć to ojczyste przodków gniazdo. Nie dano mu już było wskrzesić jego dawne znaczenie, zajął się więc przynajmniej odrodzeniem dobrobytu materyalnego i jego upiększeniem. Los i tu przedwcześnie przerwał jego pracę, a kiedy książe przenosił się na mieszkanie do Wiednia, nie przeczuwał zapewne, że już nigdy do Klewania nie miał powrócić, że to ulubione gniazdo, do którego tyle pracy przyłożył, już w następnem pokoleniu w obce przejdzie ręce.

Jeszcze w 1794 roku włość klewańska przez lat parę pozostawała w sekwestrze rządowym, ale ją książe ratował, miłością i opieką otaczał. Cichą była jego działalność, ale iluż to rzeczy dokonał? Jeszcze w roku 1817 zaczęto przeobrażenie zamku, nie ujmując jednak jego charakterystycznej całości. Ścianę wschodnią tej

starożytnej budowy złamano całkiem, a natomiast dodano dwie oficyny. W tak odnowionej budowie umieścił książe szkołę powiatową, którą obdarzył zamożną biblioteką, urządził przy niej gabinety fizyczny i mineralogiczny, założył ogród botaniczny, dał bezpłatne mieszkania w zamku nauczycielom. Nadto urządził drugą szkółkę parafialną na wzór Lankastra, ustanowił fundusz dla ubogich dziewcząt, wyrobił przywilej na aptekę w mieście, którą zobowiązał wydawać bezpłatnie lekarstwa biednym uczniom, lekarza zaś sam opłacał. I nie dziw, że tak obdarzone zakłady rychło wziętością i powodzeniem na daleką okolicę zasłynęły; książe też garnął do nich najlepszych w kraju nauczycieli, nic zgoła nie szczędząc, aby im rozgłos i powodzenie zapewnić. Tak stały rzeczy aż do pamiętnego 1831 roku, w którym, jak wszystko w tych prowincyach, postać swą zmieniły, zamknięto nawet na czas jakiś szkoły, a choć w parę lat potem odrodziły się na nowo, lecz już przekształcone do niepoznania, a i księcia już niestało i jego dobroczynnej opieki. W 1834 roku utworzono tu nawet rodzaj gymnazyum sześcioklasowego podobno, lecz i te w kilka lat później powędrowało do Równego. Zbiory naukowe i biblioteka w czasie tych przenosin rozproszyły się bezpowrotnie. Przy urządzaniu ulubionego Klewania, nie przepomniał też książe i o miejscowym kościele, fundacyi przodków, dźwignął tę świątynię, jednę z najokazalszych w kraju, odnowił w niej groby przodków, installował piękny obraz Wniebowzięcia, oryginalne płótno Carlo Dolce, dotąd tu przechowane, choć sam kościół przykrem opuszczeniem trąci. W tych czasach także stanęły tu obszerne i wspaniałe budynki gospodarskie i kilka fabryk, jak cegły, dachówki i wapna, słowem całe miasteczko jakby odrodziło się na nowo, schludną i dostatnią przybrało postać. Wszystko to jednak rychło skończyć się miało po odjeździe jego do Wiednia, już tylko jakby duch jego dobry czuwał nad Klewaniem i rozproszyć się temu wszystkiemu nie dozwalał ostatecznie. Książe Konstanty dwa razy się żenił. Z pierwszej żony Amelii Radziwiłłównej pozostawił syna Adama, którego potomstwo żyje dotąd, z drugiej żony Maryi Dzierżanowskiej pozostało synów trzech, z których najstarszy Aleksander także z księżniczką Radziwiłłówną Marcelliną, córką Michała z Podłużnego, żonaty, objął po ojcu dobra klewańskie i te przed paru laty odsprzedał, o czem mówiliśmy wyżej. Bez komentarzów, za-

znaczyć nam tylko wypada, że pozostawanie majętności nieprzerwane w posiadaniu jednej rodziny przez pięć wieków prawie, jest faktem nader rzadkim, niesłyszanym prawie, zwłaszcza przy frymarku fortun tak często niestety w ostatnich dwóch stuleciach w Polsce praktykowanym. Na zakończenie dodać nam chyba wypada, że miasteczko trzyma się dotąd, jakby tchnieniem dawnych swych panów; ożywia je droga murowana, przez sam Klewań przeprowadzona, bliskość kolei o milę stąd idącej, a może i duch dobry dawnych jego panów. Oprócz starego zamku, ma z lepszych czasów synagogę murowaną, parę takichże cerkwi, z prochami pierwszych Czartorykich, ma nareszcie położenie cudowne, widoki rozległe i dziwnie urocze. Przy górze cerkiewnej znajduje się tu źródło wody żelazistosiarczanej, a nieopodal, w miejscowości tak zwanej w Rowach, wyborna glina garncarska.

Tadeusz Jerzy Stecki.

KATOLICKA SZKOŁA SOCYALNA WE FRANCYI

I

STOWARZYSZENIE „KÓŁEK RZEMIEŚLNICZYCH“ [1].

(Questions sociales et ouvrières. 1. Régime du travail. Paris 1883. — 2. Instruction sur l'oeuvre des cercles catholiques d'ouvriers. Paris. 1883. — 3. Exposé de l'oeuvre 1878).

Jednym z głównych powodów dzisiejszej „kwestyi społecznej“, tak chorobliwie i tak gwałtownie rozwijającej się we wszystkich prawie społeczeństwach na Zachodzie, było niewątpliwie zniesienie przez wielką rewolucyę francuską normalnego stosunku pracodawcy do robotnika, oraz instytucyj korporacyjnych, które ten stosunek regulowały i ujmowały we właściwe karby. W społeczeństwie chrześcijańskiem jednostka nie była pozostawiona sama sobie i zmuszona ratować się od głodowej śmierci zwierzęcą walką o byt. Osławione czasy panowania pięściowego prawa znalazły słowo zagadki, o której rozwiązanie nasz wiek kusi się daremnie. Cechy rzemieślnicze nie były zapewne ideałem; ogółem wziąwszy jednak, odpowiadały zadaniu swemu dobrze i przynosiły społeczeństwu pożytek, którego doniosłość teraz dopiero możemy w całej pełni ocenić. Rzemieślnik należący do cechu znajdował w tym ostatnim najprzód fachowe wykształcenie, następnie zaś oparcie i pomoc moralną i fizyczną, zabezpieczenie przeciw samowoli, wyzyskiwaniu, nieuczciwej konku-

[1] Jako podstawę do rozbioru wielkich kwestyj socyalnych, wstrząsających obecnie światem, zaczęliśmy już umieszczać studya o zasadach etycznych, obok nich zaś podawać zamierzamy szereg monografij o istniejących dziś szkołach socyalnych katolickich. Obecna praca, o szkole hr. de Mun, zwanej *Oeuvre des cercles catholiques*, jest pierwszą w tym szeregu. (Przypisek Redakcyi).

rencyi — w podróży gospodę, w chorobie szpital, zawsze i wszędzie hamulec religijny i moralny przeciwko wybrykom i zboczeniom wszelkiego rodzaju. Pracodawca natomiast i nabywca mieli gwarancyę co do sumienności rzemieślnika i jego roboty w przepisach cechowych i dyscyplinie korporacyjnej.

Obok tej praktycznej korzyści, cechy przynosiły uczestnikom swoim drugą ważniejszą. Pomimo częstych w tym względzie zboczeń, zwłaszcza od początków humanizmu i reformacyi, społeczeństwo przedrewolucyjne dążyło zawsze, w teoryi przynajmniej, do podwójnego zaspokojenia potrzeb jednostki i ogółu, stósownie do podwójnego składu ludzkiej natury; przytem zaś potrzeby duszy stawały na czele, potrzeby ciała w drugim dopiero rzędzie. Zgodnie z tem i cechy rzemieślnicze nie były zwykłemi stowarzyszeniami, mającemi na celu li tylko ułatwienie stosunków i wzajemną pomoc uczestników: były to zarazem bractwa kościelne, troszczące się zarówno o dusze swoich członków, jak o ich doczesny dobrobyt i powodzenie. Myśl religijna stanowiła cement, łączący składowe czynniki, równający ich przeciwieństwa i niedokładności, na podstawie chrześcijańskiego braterstwa i miłości bliźniego. Praktyczne cele i korzyści, jakie z niej wypływały, były konieczną jej konsekwencyą, nie pierwszym motorem. Temu wyzwoleniu się z egoistycznych względów i podniesieniu po nad powszedni, materyalny poziom życia, bractwa cechowe zawdzięczają siłę żywotną i wewnętrzną spójnię, które w ciągu wieków były pierwszym warunkiem i przyczyną ich wzrostu, rozwoju i wpływu.

W ostatnich czasach w obec wzrastających niebezpieczeństw i zawikłań kwestyi socyalnej, zaczęto coraz częściej i coraz głośniej wskazywać na owe instytucye średniowieczne, jako na środek zaradczy przeciwko podobnym chorobliwym zboczeniom czwartego stanu. Czy wskrzeszenie cechów urzędowe, z inicyatywy i pod kierunkiem prawodawców i władz, jest w ogóle możliwe i o ile byłoby korzystnem, nie czas jeszcze sądzić. To pewne, że w obec dzisiejszego ustroju państwowego i ducha, przenikającego zarówno prawodawstwo jak i społeczeństwo, cechy wskrzeszone, musiałyby chyba stać się zewnętrznem naśladowaniem dawnych instytucyj, jednem ogniwem więcej w machinie państwowej, obracającem się wedle woli mechanika. Wielka siła moralna, którą chrześcijańskie stowarzyszenia rze-

mieślnicze zawdzięczały wierze, nie da się wywołać reskryptem ministeryalnym, ani uchwałą parlamentu.

Wierząca część społeczeństwa zrozumiała to dobrze i zrozumiała nie od dzisiaj dopiero. W chwili gdy kwestyi socyalnej nikt jeszcze na seryo nie brał, myśliciele katoliccy zwracali na nią baczną uwagę, przewidywali jej rozwój i niebezpieczeństwo; przepowiadali z zadziwiającem jasnowidzeniem — jak Ludwik Veuillot, — na podstawie wypadków 1848 r., późniejszą paryską kommunę. A nie dość, że widzieli złe, obmyślali oni zarazem środki zaradcze. Na pomoc rządów i ogółu nie można było liczyć; katolicy, jak i w innych podobnych razach, tak i w tej sprawie postanowili prywatną inicyatywą i ofiarnością zastąpić zaślepioną bezczynność władz i ludów.

Charakterystyczną cechą wszelkiej prawdziwie chrześcijańskiej działalności, jest uchylenie centralizmu i szablonu, szerokie pole, zostawione dla indywidualnej inicyatywy i narodowych właściwości, różnorodność objawów i dróg, prowadzących do tego samego celu. Zarówno zgromadzenia zakonne, jak i świeckie stowarzyszenia, myślą chrześcijańską natchnione, służą za dowód tego faktu. I na polu społecznej reformy odradzająca i zaradcza działalność chrześcijańskiego społeczeństwa różne obrała drogi. Zasadniczą, teoretyczną część zadania oddawna już wzięli za cel studyów swoich ekonomiści katoliccy. W Niemczech, pod przewodnictwem dzielnego biskupa Ketelera, wykształciła się szkoła, która w dwóch odrębnych odcieniach, austryackim i niemieckim, wywołuje nader ożywiony ruch literacki, i dziś już wywiera wpływ poważny na uregulowanie i poprawę stosunków socyalnych nad Renem. We Francyi genialny umysł Le Play'a, zacząwszy od sceptycyzmu, drogą mozolnej czterdziestoletniej obserwacyi faktów, wszedł do przekonania i naukowego udowodnienia, że „zachowywanie dziesięciorga przykazań Bożych jest miarą i warunkiem doczesnego szczęścia ludów i prawdziwej ich pomyślności". Na około znakomitego ekonomisty skupił się liczny zastęp ludzi, którym jego nauka otworzyła oczy, lub dopomogła do ugruntowania przekonań. Szkoła ta wziąwszy za hasło reformę społeczną, na podstawie wyników sumiennej obserwacyi, pracuje z usilnością i z coraz większem powodzeniem nad zwalczeniem „liberalnych" uprzedzeń i przewrotnych pojęć panujących w oświeconych

warstwach dzisiejszego społeczeństwa, i nad rozszerzaniem zdrowej, racyonalnej, na faktach opartej doktryny społecznego ustroju.

Wszelako niedosyć na teoryi: idee katolickie więcej niż inne, wymagają przelania się w czyn. Jakoż działalność społeczna katolików z natury rzeczy musiała skierować się przedewszystkiem do wewnętrznej reformy, uzdrowienia, odrodzenia czwartego stanu. Nie mając w ręku władzy, ani wpływu na sfery rozstrzygające w kwestyach finansowych i przemysłowych, katolicy mogli jedynie dopomódz robotnikom do znalezienia właściwej drogi wyjścia wśród trudności i zatargów, wśród wyzysku i brutalnej przemocy z jednej strony, a podszeptów rozdraźnionej namiętności z drugiej. To, co dawniej na szeroką skalę ogół państw chrześcijańskich, *respublica christiana*, urzeczywistniała w cechach, to w naszych czasach chrześcijańska część społeczeństwa w mniejszym rozmiarze stara się zrobić za pośrednictwem stowarzyszeń.

W Niemczech katolickie stowarzyszenia rzemieślnicze, zawiązane przed 30-tu laty nad Renem, za inicyatywą ks. Kolpinga i rozpowszechnione po najmniejszych miasteczkach, nawet w protestanckich prowincyach, mają przedewszystkiem towarzyską i świecką cechę, jakkolwiek kierownikami ich bywają zwykle duchowni. Taki *Gesellen-Verein* bywa zazwyczaj ogniskiem, w którem skupia się ruch umysłowy, towarzyski i kościelny niższych warstw miejskiej ludności: odczyty popularne, wycieczki, zabawy, czasem nabożeństwa i religijne obchody. Dzięki ofiarności członków i opiekunów, stowarzyszenia posiadają często własne, porządnie i wygodnie urządzone domy, w których obszerne pomieszczenie, z czytelnią i restauracyą, zastępuje dla członków konieczną w Niemczech knajpę, a w gościnnych izbach przejezdni znajdują tanie mieszkanie. Bez krępujących urzędowych pozorów, stowarzyszenia czeladzi katolickiej, podobnie jak również rozgałęzione stowarzyszenia majstrów, kupców, studentów katolickich i t. d., czuwają troskliwie nad prywatnem życiem, moralnością i religijnemi przekonaniami swoich członków. Około nich grupują się i z nich rekrutują swoje siły inne stowarzyszenia katolickie, jak św. Wincentego, św. Michała (Święto-Pietrze), św. Bonifacego (Opieka nad katolikami w prowincyach protestanckich), św. Ludwika, św. Cecylii i t. p.; w nich też polityczna działalność katolików niemieckich znajdowała i znajduje najsilniej-

szą pomoc. Śmiało powiedzieć można, że dzisiejsza wzorowa organizacya i niespożyta potęga niemieckiego katolicyzmu, który przed stu laty zdawał się być w zupełnym upadku, jest w znacznej części dziełem katolickich stowarzyszeń.

We Francyi towarzystwo św. Wincentego od wielu lat już starało się zastąpić brak stowarzyszeń podobnych, otaczając szczególniejszą swą opieką rzemieślników i ich rodziny. Zarówno konferencye tego nieocenionego stowarzyszenia, jak i odrębne, utworzone w ich łonie i zależne od nich kółka *(Oeuvres)* zajmują się kojarzeniem kościelnem dzikich małżeństw, tak pospolitych wśród robotniczych warstw we Francyi *(Oeuvre de St. François Régis)*, wychowywaniem chrześcijańskiem ich dzieci, umieszczaniem ich w terminie i opieką nieustanną nad niemi aż do wyzwolenia, zakładaniem gospód dla wędrownych czeladników, urządzaniem nabożeństw w późnych godzinach dla tych robotników, którzy w dni świąteczne pracują do południa w fabrykach. Działalność ta jednak, choć niezmiernie pożyteczna i różnostronna, nie mogła być dostateczną, dla tego samego, że była drugorzędną, dodatkową niejako w stowarzyszeniu, mającem za cel przedewszystkiem wspieranie ubogich i własne uświęcenie się członków za pomocą uczynków miłosiernych. Dlatego też w pięknej, choć niestety zbyt krótkiej chwili ogólnego porywu w górę do chrześcijańskiego odrodzenia Francyi, po klęskach przegranej wojny i pożarach komuny, powstała myśl utworzenia osobnych stowarzyszeń dla chrześcijańskiej reformy stosunków społecznych przez chrześcijańskie odrodzenie warstw rzemieślniczych.

L'Oeuvre des cercles ouvriers catholiques, taką nazwę przyjęło stowarzyszenie, zawiązane przez hr. de Mun i jego przyjaciół, pod skrzydłami Krzyża i godłem: *In hoc signo vinces*. Zakreśliło ono sobie odrębny program i odrębne formy od tych, w jakich rozwijały się inne stowarzyszenia pokrewne. Od ekonomistów „Reformy socyalnej", odróżniała ich droga, jaką postanowili dążyć do tego samego celu. Podczas gdy szkoła le Play'a posługuje się metodą indukcyjną, zwolna, na podstawie faktów, dochodząc do chrześcijańskiego ideału, stowarzyszenie de Mun'a ideał ten wzięło za punkt wyjścia, z niego wywodzi dedukcyjnie swe zasady i ku niemu całą swą działalność kieruje. Towarzystwo le Play'a ma tę korzyść w obec naszego wieku, że posługuje się metodą wiekowi właściwą,

obserwacyą faktów; stowarzyszenie zaś de Mun'a ma tę korzyść, że zaczyna od czynu, opiekuje się robotnikami, urządza ich stowarzyszenia podług zasad Ewangelii — nie obserwacyą, ale eksperymentem dowodzi światu prawdziwości i życiodajności tych zasad: *Coepit facere et docere.*

Od stowarzyszeń niemieckich katolickich różni się ten związek wyraźniej może zaznaczonym religijnym kierunkiem, ale głównie udziałem i przewodnictwem klas wyższych. W Niemczech uczucie religijne, nawet w rzemieślniczych sferach, nie zostało jak we Francyi całkowicie zagłuszone w duszach całych dwóch pokoleń; nić tradycyi kościelnej nie zerwała się — celem stowarzyszeń katolickich jest tylko kierować nią i rozwijać dalej. Stąd zostawione własnym siłom, pod ogólnym tylko wpływem kilku poświęconych tej sprawie mężów, i noszące pozornie towarzyską tylko cechę, stowarzyszenia niemieckie celowi swemu odpowiadają całkowicie. We Francyi chcąc reformować robotników, trzeba było budować gmach od samych podstaw, uczyć abecadła wiary i moralności chrześcijańskiej. Słusznie też, dla osiągnięcia tego celu, nietylko myśl religijną, ale religijne praktyki zrobiono osią środkową całego przedsięwzięcia, wyrzekając się, co prawda, w ten sposób tak szerokiego zakresu działania, jak w Niemczech, ale za to mając możność gruntownego wpływu. Słusznie też, dla zapobieżenia niebezpieczeństwom, wynikającym z ustroju społecznego Francyi i obecnego stanu warstw robotniczych, kierownictwo zostało wyższym klasom powierzone.

Stowarzyszenie „ma za cel poświęcenie sfery wyższej sferom robotniczym; za zasadę orzeczenia kościoła o jego stosunku do społeczeństwa świeckiego“ [1]. Stąd dwie kategorye członków: jedni, którzy dla stowarzyszenia pracują; drudzy, dla których stowarzyszenie istnieje. Jedni i drudzy obowiązują się zarówno do wypełniania pewnych praktyk religijnych, uwydatniających kierunek przedsięwzięcia.

Na czele stowarzyszenia stoi główny komitet *(Comité de l'oeuvre)*, jednoczący zależne od niego komitety miejscowe *(comités locaux)* i nadający im ogólny kierunek; komitety miejscowe zajmują się zakładaniem pojedyńczych kółek rzemieślniczych, z których każde

[1] Instruction sur l'oeuvre, p. 1.

stanowi całość odrębną, ogniwo do wielkiego łańcucha należące. „Jedność kierunku w ogólnem stowarzyszeniu, bez ujmy swobody działania w pojedynczych towarzystwach“ [1], to godło stowarzyszenia.

Punktem środkowym, około którego skupia się każde kółko, jest kaplica, bądź w lokalu towarzystwa, bądź przy parafialnym kościele. Kapelan jest obok dyrektora najważniejszą w kółku osobą. Wspólne nabożeństwa niedzielne i świąteczne, przystępowanie do stołu Pańskiego, ćwiczenia duchowne, choć nieobowiązkowe, są oczywiście jednym z głównych środków dodatniego wpływu na uczestników.

Oprócz kaplicy, lokal każdego kółka obejmuje mieszkanie dyrektora, kilka sal dla zebrań i zabaw towarzyskich, bibliotekę i pokoje gościnne dla bezżennych lub przejezdnych rzemieślników, którzy korzystając z nich, obowiązani są zachowywać regulamin domowy. Oprócz tego, przy lokalu znajduje się ogród i restauracya. Członek kółka znajduje zatem wszystko, czego mógłby żądać uczestnik każdego klubu, i oprócz wieczorów w tygodniu, może w lokalu towarzystwa przepędzać cały dzień świąteczny.

Na uprzyjemnienie mu tego dnia składa się cały szereg bardzo szczęśliwie obmyślanych i praktycznie przeprowadzonych rozrywek. Są gry towarzyskie i gimnastyczne, chóry, wieczory muzykalne i literackie, kursa i pogadanki naukowe popularne, wenty, tombole i t. d. Urządzeniem tego wszystkiego zajmuje się stała komisya, której obowiązkiem jest wciąż nowemi środkami podtrzymywać wesołość i ułatwiać stosunki wzajemne członków. Oprócz tego, kółko posiada kasę wsparcia dla robotników chorych, lub pozbawionych zajęcia, kasę oszczędności i wzajemnej pomocy.

Oto naprzykład porządek, zachowywany w dnie niedzielne w kółkach paryskich: Członkowie zbierają się w lokalu o $8^1/_4$ z rana, o $8^1/_2$ msza św. w kaplicy ze śpiewem chóralnym i nauką; o $9^1/_2$ śniadanie wspólne; o $11^1/_2$ sesya urzędników kółka; o $12^1/_2$ druga msza św. dla tych, którzy na pierwszej być nie mogli; o 1-ej gimnastyka; o 3-ej konferencya św. Wincentego à Paulo (opieka nad ubogimi); potem gry towarzyskie; o $4^1/_2$ nauka i błogosławieństwo Najśw. Sakr.; o 6-ej wspólny obiad; potem znów zabawy i tom-

[1] Instruction sur l'oeuvre, p. 88.

bola do $9^1/_2$. W ciągu dnia cztery razy odbywa się kontrola członków. Kontrola ta postawiona jest do woli; członek stający do kontroli, dostaje za każdym razem bilet na fantową loteryę, rozegrywającą się wieczorem. W ten sposób bez przymusu otrzymuje się możność ścisłego nadzoru nad obecnością członków, co dla młodszych zwłaszcza bardzo jest potrzebne.

Oprócz zebrań niedzielnych i świątecznych, odbywają się bardziej uroczyste i urozmaicone zebrania miesięczne, w których biorą udział zaproszeni goście, oraz rodziny członków. Na zebraniach tych ożywionych muzyką, śpiewem, loteryą fantową i t. d., zarząd zdaje sprawę z działalności i stanu stowarzyszenia, a jeden z wybitniejszych gości lub uczestników, ma przemowę lub konferencyę. Z większą jeszcze uroczystością odbywają się ogólne doroczne zgromadzenia w obecności opiekunów i dobrodziejów kółka. Wreszcie pojedyńcze rzemiosła obchodzą nabożeństwem i wieczorną zabawą święto swoich patronów, tworząc w ten sposób zawiązek cechowych korporacyj na chrześcijańskim gruncie opartych; a kilkanaście razy do roku tak zwane „rodzinne uroczystości“, łączą członków w wesołej i swobodnej zabawie.

W ten sposób urządzone stowarzyszenie przedewszystkiem, a raczej wyłącznie przeznaczonem jest dla rzemieślników wierzących, w celu utrzymania ich w wierze i ochrony od propagandy tajnych stowarzyszeń. Stąd, o ile przy zakładaniu nowych kółek, wybór pierwszych członków, bywa niezmiernie rozważny i do wypróbowanych i pewnych ludzi się ogranicza, o tyle kandydatów do już istniejącego stowarzyszenia, przyjmuje się łatwo, prawie bez ograniczeń. Chęć wstąpienia do wyraźnie katolickiej instytucyi, jest sama przez się najlepszem poleceniem. Rekrutowanie kandydatów odbywa się na szeroką skalę, za pomocą publicznych konferencyj, kazań i rekolekcyj dla rzemieślników. Kandydat najmniej przez trzy miesiące przechodzi rodzaj nowicyatu, podczas którego poznaje ducha i ustawy stowarzyszenia, i sam daje się kierownikom jego poznać. Przyjęcie na członka odbywa się uroczyście w jedno ze świąt towarzystwa, i połączone jest z wręczeniem „znaku“ stowarzyszonych, będącego ogniwem między wszystkiemi towarzystwami całej Francyi. Raz będąc członkiem kółka, należy się do wszystkich podo-

bnych, a gdy dla jakiejkolwiek przyczyny nie może się być członkiem czynnym, zostaje się członkiem zewnętrznym *(membre agrégé)*.

Zarząd stowarzyszenia spoczywa z jednej strony w ręku rady wraz z jej przewodniczącym, obieranej przez członków z pomiędzy siebie; z drugiej z dyrektora, naznaczonego przez Komitet miejscowy, i mającego za zadanie kierować członkami a w razie potrzeby i radą. Dyrektor ten, człowiek z wyższem wykształceniem, zastępuje przewodników kółka, rzemieślników, w wypadkach, w których brak czasu lub stanowisko nie pozwala im występować, czuwa nieustannie nad rozwojem i pomyślnością kółka; jest jego gospodarzem i moralnym kierownikiem, z władzą nader obszerną, z której jednak jak najmniej na zewnątrz powinien robić użytku. W ten sposób zamknięta jest droga do wszelkich zboczeń i niebezpieczeństw, na jakie zarząd, wyłącznie z rzemieślników złożony, mógłby czasem być narażony.

Po nad kółkami, jako łącznik, stoją organizujące je i kierujące niemi K o m i t e t y m i e j s c o w e. Organizacya ta, naśladowana z Towarzystwa św. Wincentego, różni się od tego ostatniego swobodnym wyborem zarządu w łonie Komitetu, skupieniem całej władzy wykonawczej w ręku odpowiedzialnego sekretarza, wreszcie podziałem na cztery sekcye pod kierownictwem sekretarza. Sekcye tworzą zupełnie ministeryum. Jedna z nich zajmuje się propagandą w wyższych sferach towarzyskich: publikacyami, korespondencyą i studyowaniem kwestyi socyalnej w zastósowaniu do potrzeb stowarzyszenia; druga zakładaniem i kierownictwem kółek; trzecia finansami; czwarta urządzaniem konferencyj i wykładów popularnych dla rzemieślników, oraz rozszerzaniem pożytecznych książek i broszur.

W podobny mniej więcej sposób urządzone są cztery sekcye sekretaryatu generalnego w głównym centralnym komitecie paryskim. Jest to punkt środkowy, z którego rozchodzą się nici na całą Francyę. Sekcye noszą nazwy: pierwsza „propagandy“, druga „zakładania nowych kółek w kraju“, trzecia „Paryż i administracya“, do niej należy także i administracya organu stowarzyszenia miesięcznika *l'Association catholique*, czwarta wreszcie zajmuje się nauką i popularyzowaniem dobrych książek.

Dwie rady odrębne dołączone są do sekretaryatu generalnego. Jedną jest rada p r o p a g a n d y, drugą rada s t u d y ó w. Ta ostatnia przygotowuje wydawnictwa socyalne towarzystwa. Oto na przykład treść jednego z tych wydawnictw, *Régime du travail.* Na czele znajduje się, jako wstęp, zarys celów i zadań stowarzyszenia. Za tem następuje cały szereg sprawozdań z tematów, które opracowywali członkowie rady studyów, od kwietnia 1878 r. do października 1882 r. Tematów jest ogółem dziewięć. Pierwszy, o chrześcijańskim porządku społecznym, ma być w przyszłości rozebrany wyczerpująco w obszerniejszych uwagach; tymczasowo ograniczono się na krótkiem sformułowaniu zasad, na jakich porządek ten się opiera. Następne temata opracowane są różnostronnie najczęściej przez kilku naraz członków rady, oraz głównego komitetu. Między nimi spotykają się nazwiska zasłużonego weterana sprawy katolickiej, Kellera, hr. de Breda, hr. de Raquefeuil, pp. Millcent, Maigneu, wreszcie O. Monsabré, który dziełu chrześcijańskiego odrodzenia czwartego stanu przyniósł dar swej porywającej i natchnionej wymowy. Konferencya jego stanowi punkt kulminacyjny tej książki. Z zagłówków, rozdziałów, a właściwie tematów, opracowanych przez radę studyów, ocenić można interes i wartość wydawnictwa. Są to np.: Bezrobocia i zjednoczenia rzemieślnicze. — Katolickie stowarzyszenia fachowe *(professionels) sztuk i rzemiosł.* — Wolność pracy. — Obowiązki władzy w obec pracy. — Banki ludowe. — Zasady organizacyi pracy: sprawiedliwość i miłość bliźniego. — O naturze stosunku prawdawcy do robotnika *(contrat de travail)* — Prawo stowarzyszenia.

Z tego pobieżnego szkicu można mieć wyobrażenie, czem jest wielkie dzieło hr. de Mun i jego przyjaciół, a zwłaszcza, czem w przyszłości być może. Trudno było zaprawdę dzieła na szerszą skalę pomyśleć; jest to zarys na olbrzymią organizacyę, ramy potężne, w których nie już działalność pojedyńczego stowarzyszenia, ale ogólna i wspólna praca całego chrześcijańskiego społeczeństwa pomieścić się może. Żelaznej organizacyi tajnych stowarzyszeń, siecią swą okrywających Francyę, duch chrześcijaństwa chciał w dziele Towarzystw rzemieślniczych przeciwstawić organizacyę równie mądrze obmyślaną i ściśle zespoloną, równie solidarną, wszechstronną

i wpływową. Zamiar taki w chwili obecnej, podczas radykalnych gwałtów i tryumfów rzeczypospolitej, zdawać się może za śmiały. W kraju jednak, który niedawno stworzył prywatną ofiarnością szereg katolickich wszechnic i stwarza codzień dziesiątki i setki dzieł chrześcijańskiego miłosierdzia, w takim kraju nic nie ma niepodobnego.

Tym szerokim zakresem stowarzyszenia, tłómaczyć się daje nader skomplikowana maszyna administracyjna, która w pierwszej chwili razi jakimś ministeryalno-biurokratycznym zakrojem. Co w każdem innem stowarzyszeniu byłoby śmiesznością i czczą formalistyką, tutaj wywołane jest myślą poważną i rzeczywistą potrzebą. Z naszego jednak punktu widzenia pewne uproszczenie, usunięcie zbyt licznych może a mniej potrzebnych kółek machiny administracyjnej, ułatwiłoby jej funkcyonowanie. Szkoda, naszem zdaniem, że przejmując od Towarzystwa św. Wincentego ogólny zarys jego organizacyi, „Towarzystwo kółek rzemieślniczych“ nie zastósowało się bardziej do tej organizacyi w szczegółach.

Bądź co bądź, ta skomplikowana organizacya kółka, pochłaniająca wszystkie wolne chwile uczestnika, odrywająca go całkiem od stosunków po za obrębem towarzystwa, ma we Francyi pewną racyę bytu ze względu na zepsucie tamecznych rzemieślniczych warstw i niebezpieczeństwo częstszego zetknięcia i obcowania z niemi dla uczestników stowarzyszenia. Z drugiej strony, charakter narodowy francuski ma tę właściwość, że choć do niesforności i wybryków niebezpiecznych aż nadto skłonny, jarzmo rutyny, choćby bardzo ścisłe, znosi łatwiej od innych narodów i tylko w ten sposób może być w karbach utrzymany.

Najlepszym zresztą dowodem, że w ogóle biorąc, myśl przewodnia organizacyi kółek rzemieślniczych była mądrą i praktyczną, jest ogromne ich rozgałęzienie i rozwój. Obejmują one dziś Francyę całą, i to nietylko miasta, ale i wioski, oraz pojedyńcze warsztaty i fabryki; całe zastępy rzemieślników katolickich znajdują w nich moralny kierunek, pomoc i podnietę do wytrwania w swoich zasadach i do ich obrony. Rezultat to świetny i hojna nagroda usiłowań, ofiar i pracy katolickiej Francyi. Tysiące, dziesiątki tysięcy dusz zachowanych dla Boga, ojczyzny; przykład tych gron, choćby najmniejszych liczbą od ogółu rzemieślników, tak bardzo pojęciami

i życiem odmiennych — w szerokim planie, zakreślonym przez założycieli — to dopiero krok pierwszy, to ziarno, z którego w przyszłości ma wyrosnąć owoc. Ale samo to ziarno już jest wspaniałym owocem. Czy pracy, pod godłem Krzyża rozpoczętej, Opatrzność da na tym świecie zwycięstwo? — nie naszą rzeczą przepowiadać. To pewna, że ludzie pracujący nad urzeczywistnieniem tej myśli, zrobili wszystko ze swej strony, żeby drogi wyroków Bożych wyrównać i przygotować.

J. Gnatowski.

Nowo znaleziona

„NAUKA DWUNASTU APOSTOŁÓW".

Olbrzymi rozwój literatury teologicznej w innych krajach, a mianowicie w Niemczech i Francyi, szczególnie na polu starożytności chrześcijańskich i patrystyki, działa prawdziwie deprymująco na każdego z nas, gdy porówna to, co się równocześnie u nas na tych polach robi. Ten wzgląd powinienby też służyć za wytłumaczenie, że dzielimy się z czytelnikami „Przeglądu" przedmiotem, z samej natury rzeczy nieco trudnym i niepoczytnym, ale zajmującym od roku, w wysokiej mierze, cały świat uczony.

Rok miniony (1884) może się nazwać pod tym względem szczęśliwym i żyznym, że przyniósł nauce patrystyki i starożytnej historyi kościelnej kilka nowych, a ciekawych i ważnych rzeczy. *Gamurrini* znalazł w bibliotece w Arezzo zaginioną książkę św. Hilarego piktawskiego: „Liber de mysteriis", a ks. *Duchesne* znalazł w bibliotece Orleanu większą część traktatu, napisanego r. 554 przez archidyakona rzymskiego Pelagiusza. Traktat ten wymierzony był przeciw V. soborowi powszechnemu (553) i papieżowi Wigiliuszowi, ale gdy Pelagiusz został wybrany Papieżem, wtedy traktat swój wycofał i stąd ślad jego zaginął. (cfr. Bulletin Critique N. 5). Nadto podał *de Rossi* nieznany wiersz (54 hexametrów), ułożony na cześć jednego z Papieży, który umarł na wygnaniu (Bulletino di archeologia cristiana, seria IV. anno II. Nr. 1—2). Nareszcie w styczniu minionego roku pojawiła się w handlu księgarskim książka, wydana w grudniu poprzedniego roku (1883) w Carogrodzie,

p. t.: „Διδαχὴ τῶν δώδεκα Ἀποστόλων“ [1], która nas tu bliżej będzie zajmować.

Wydawca tego dzieła *Teofilos Bryennios*, metropolita Nikomedyi, znany jest uczonemu światu od r. 1875, w którym wydał oba listy św. Klemensa rzymskiego. Pierwszy list był dotąd znany tylko w 59 rozdziałach. Bryennios podał go cały w 65 rozdziałach. Ostatnie te rozdziały są niezmiernie ważne, bo z nich można rozstrzygnąć kwestyę czasu, w którym Klemens pisał, a mianowicie, że pisał go jako Papież, w związku zaś z tem nabiera list ten większego znaczenia jako świadectwo prymatu papieskiego, bo Klemens wyraźnie (c. 63) mówi, że dlatego wysłał mężów zaufanych do Koryntu, aby widzieli, „że cała troska z naszej strony była, i jest zwrócona ku temu, aby u was pokój w rychle nastał“. Drugi list Klemensa był dotąd znany w 12 rozdziałach, Bryennios podał 20 rozdziałów, i teraz dopiero wiemy, że to jest najstarsza chrześciańska homilia, wcale nie pisana we formie listu.

Wydając listy Klemensa, opisał zarazem Bryennios, ówczesny metropolita Seresu, kodeks carogrodzki. Znajdujące się w nim listy pseudo-Ignacego przesłał w odpisie Funkowi (prof. w Tubindze), który właśnie przygotowywał swoje doskonałe wydanie Ojców apostolskich, i sporządził odpis listu Barnaby dla Hilgenfelda (prot. prof. w Jenie), który właśnie wydaniem tego listu był zajęty. Bryennios zapowiedział też już wówczas wydanie pisma, które w kodeksie na piątem miejscu (fol. 76a. med.—80) p. t.: Διδαχὴ wymienił. Obecnie wywiązując się z tej obietnicy, dodał uczony komentarz, spis imion i rzeczy, nadto przedrukował siódmą książkę konstytucyi apostolskich i t. zw.: Διαταγαὶ αἱ διὰ Κλήμεντος. Uczynił to zaś dlatego, że wedle jego zdania oba te pisma czerpały z Διδαχὴ. Aby to zaś lepiej uwidocznić, wydrukował odnośne słowa pochyłem pismem. (Inne pisma, które przedrukował z kodeksu Carogrodzkiego, jak lectiones variantes do Synopsis starego Test. przez św. Chryzostoma i krótka rozprawka o genealogii P. Jezusa, są małej wagi).

[1] Διδαχὴ τῶν δώδεκα Ἀποστόλων ἐκ τοῦ ἱεροσολυμιτικοῦ χειρογράφου νῦν πρῶτον ἐκδιδομένη μετὰ προλεγομένων καὶ σημειώσεων, ἐν οἷς καὶ τῆς Συνόψεως τῆς Π. Δ., τῆς ὑπὸ Ἰωάνν. τοῦ Χρυσοστόμου, σύγκρισις καὶ μέρος ἀνέκδοτον ἀπὸ τοῦ αὐτοῦ χειρογράφου, ὑπὸ Φιλοθέου Βρυεννίου, μητροπολίτου Νικομηδείας. Ἐν Κωνσταντινουπόλει 1883. Τύποις Σ. Ι. Βούτυρα. Εὑρίσκεται παρὰ τῷ ἐκδότῃ.

Rozgłos, jaki publikacya Bryenniosa wywołała w uczonym świecie teologicznym, jest zdumiewający. Dość powiedzieć, że oprócz mnóstwa rozpraw i monografii, wyszło w przeciągu 8 miesięcy 5 wydań i kilka tłomaczeń [1]. Ale łatwo to zrozumieć, jeśli się rozważy, jak rozpaczliwie usiłują protestanccy teolodzy w studyach patrystycznych znaleść usprawiedliwienie swoich przekonań. Zagadkowe, ale bądź co bądź starożytne pismo nasze, daje też obszerne pole do kombinacyi i obfity materyał do różnych hipotez. Zanim jednak w szczegóły się wdamy, może nie będzie od rzeczy podać je w tłumaczeniu wiernem i dosłownem, z zachowaniem ile możności szyku wyrazów.

Nauka Pana przez dwunastu apostołów narodom [2].

I. 1) „Drogi dwie są: jedna żywota i jedna śmierci, różnica „jednak wielka pomiędzy dwiema drogami. 2) Droga zasię żywota „jest ta: pierwsze, będziesz miłował Boga, stwórcę twego; drugie, „bliźniego twego, jak siebie samego, wszystko zaś cobyś chciał, „żeby się nie stało tobie, i ty innemu nie czyń. 3) Tych zaś słów „nauka jest taka: błogosławcie tym, którzy was przeklinają, módlcie

---

[1] † Theologische Literaturzeitung nr. 3 (luty). — † Literarische Rundschau (Funk) nr. 4 (luty). — † Bulletin critique (Duchesne) nr. 5 (luty). — † Zeitschrift für kath. Theologie (Bickell) VIII. str. 400 sq. — Allgemeine evang. luther. Kirchenzeitung nr. 9. — J. W. (ordsworth) The Guardian n. 1998 (marzec). — Hilgenfeld, Liter. Centralblatt (15 marca.). — Zeitschrift für wissenschaftliche Theologie III. str. 366 sq. — The Andover Review (Smyth) I. 4. p. 426 sq. — † Theologische Quartalschrift (Funk) III. str. 381. sq. — Forschungen zur Gesch. des neutestamentl. Kanons (Zahn) III. str. 278. sq. — † Theolog. Quartalschrift (Krawutzcky) IV. 547 sq. — † Literar. Rundschau (Funk) nr. 19. — *Bonet.Maury.* „La doctrine des douze Apôtres. Paris 1884.

Oprócz editio princeps wydali w Niemczech: *Wünsche,* Lehre der zwölf Aposteln nach der Ausgabe des Metropoliten Bryennios. Lpzg. Schultze. — A. *Hilgenfeld,* Evangeliorum secundum Hebraeos ed. altera, aucta et emendata Lpzg. Weigel. — A. *Harnack,* Texte u. Untersuchungen zur Geschichte der altchristl. Literatur II. 1. 2. Lpzg. Heinrich. Obok tekstu jest tłómaczenie, tak samo jak u Wünsch'a. Czwartego wydania dokonał w Holandyi *Prin* w Leydeu, piątego w Ameryce, Hitschok et Brown w New-Yorku. Tłómaczenie nadto podał Funk: Theolog. Quartalschrift. III. 383 sq.

[2] Liczbowanie zdań zachowaliśmy wedle wydania Ad. Harnack, Texte und Untersuchungen, Lpzg. 1884. I., p. 1—64.

„się za nieprzyjaciół waszych, a pośćcie za tych, którzy was prze-
„śladują; jakaż bowiem łaska (χάρις), jeśli miłujecie miłujących was?
„czyż i poganie tego samego nie czynią? wy zaś miłujcie nienawi-
„dzące was, a nie będziecie mieli nieprzyjaciela. 4) Powstrzymuj
„się od wszelkich cielesnych i światowych pożądliwości. Jeśli cię kto
„uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi, a będziesz dosko-
„nały; jeśli cię kto zażąda na milę jednę, idź z nim dwie; jeśli ci
„kto weźmie płaszcz twój, daj mu i suknię; jeśli ci kto weźmie co
„twego, nie upominaj się; bo też nie możesz. 5) Każdemu proszą-
„cemu cię daj i nie upominaj się; bo ojciec chce, aby dane było
„wszystkim z własnych darów. Szczęśliwy dający wedle przykaza-
„nia, niewinny bowiem jest; biada biorącemu; jeśli bowiem ktoś
„potrzebę mający bierze, niewinny jest, ale niemający potrzeby,
„będzie winien sądu, dlaczego wziął i na co, a w ciasności osa-
„dzony, badan będzie z tego, co uczynił i nie wyjdzie ztamtąd,
„póki nie odda ostatniego szeląga (κοδράντην). 6) Ale i względem
„tego powiedziano: niech potnieje twoja jałmużna w rękach twoich,
„póki nie poznasz, komu masz dać“.

II. 1) „Drugie zasię przykazanie nauki. 2) Nie zabijaj, nie cu-
„dzołóż, nie nadużywaj chłopców, nie czyń rozpusty, nie kradnij, nie
„czaruj, nie niwecz dziecka w łonie, ani narodzonego nie zabijaj.
„3) Nie pożądaj własności bliźniego, nie przysięgaj, nie dawaj fał-
„szywego świadectwa, nie bluźnij, nie mścij się. 4) Nie bądź fał-
„szywy i dwujęzyczny, bo sidłem śmierci jest dwujęzyczność. 5) Niech
„nie będzie mowa twoja kłamliwa i czcza, ale uzupełniona czynem.
„6) Nie bądź chciwy, ani łakomy, ani obłudny, ani podstępny, ani
„pyszny, nie knuj złego zamiaru przeciwko bliźniemu twemu. 7) Ni-
„kogo z ludzi nie miej w nienawiści, lecz jednych poucz, za drugich
„się módl, innych miłuj nad duszę (życie) własną“.

III. 1) „Dziecko moje, uciekaj przed wszelkiem złem i przed
„wszystkiem, co do niego podobne. 2) Nie stawaj się zagniewa-
„nym; prowadzi bowiem gniew do zabójstwa; ani zapalczywym,
„ani kłótliwym, ani popędliwym; z tego bowiem wszystkiego za-
„bójstwa powstają. 3) Dziecko moje, nie stawaj się pożądliwym,
„prowadzi bowiem pożądliwość do porubstwa, ani sprosnym w mowie,
„ani lubieżnym w spoglądaniu; z tego bowiem wszystkiego cudzo-
„łóstwa powstają. 4) Dziecko moje, nie stawaj się ptaszkowidzem

„(augurem); to bowiem prowadzi do bałwochwalstwa; ani zaklinaczem, „ani czarnoksiężnikiem, ani zażegnywaczem (περικαθαίρων = oczyszcza- „jący z chorób), ani nawet nie chciej na to patrzeć; bo z tego „wszystkiego powstaje bałwochwalstwo. 5) Dziecko moje, nie stawaj „się kłamcą, ponieważ kłamstwo prowadzi do kradzieży; ani chciwym „grosza, ani chełpliwym; bo z tego wszystkiego kradzieże powstają. „6) Dziecko moje, nie stawaj się mrukliwym, bo to prowadzi do „bluźnierstwa, ani hardym, ani bezczelnym, bo z tego wszystkiego „bluźnierstwa się rodzą. 7) Bądź natomiast cichy, albowiem cisi „odziedziczą ziemię. 8) Stań się cierpliwym i miłosiernym i nie- „winnym i spokojnym i dobrym i drżącym zawsze na słowa, któreś „usłyszał. 9) Nie wywyższaj się sam, ani dozwalaj swej duszy wy- „niosłości. Niech się nie wiesza dusza twoja u wysokich, jedno „obcuj ze sprawiedliwymi i niskimi. 10) Przydarzające ci się wypadki, „przyjmij jako dobre, wiedząc, że bez Boga nic się nie dzieje".

IV. 1) „Dziecko moje, tego, który do ciebie słowo boże mówi, „pomnieć będziesz nocą i dniem, a czcij go jak Pana; bo skąd się „panowanie głosi, tam Pan jest. 2) Odwiedzać będziesz codziennie „oblicza świętych, aby się napawać mowami ich. 3) Nie będziesz „czynił schizmy, lecz uspakajać będziesz zwaśnionych. Sądź spra- „wiedliwie, nie patrz na osobę, karcąc przewinienia. 4) Nie będziesz „wątpił, czy nastanie, lub nie (sąd boski?). 5) Nie stawaj się wy- „ciągającym ręce do brania, a do dawania kurczącym. 6) Jeśli po- „siadasz co przez ręce (pracę), daj wykup grzechów twoich. 7) Nie „będziesz zwłóczył z dawaniem, ani dawszy nie będziesz narzekał, „bo poznasz, kto jest ten, który dobrze wynagradza zasługę. 8) Nie „będziesz się odwracał od potrzebującego, lecz wspólne mieć będziesz „wszystko z bratem twoim i nie powiesz, że jest własność twoja, „jeśli bowiem w nieśmiertelnem jesteście spólnikami, o ile bardziej „w znikomych rzeczach? 9) Nie odejmuj ręki swej od syna swego, „albo od córki swej, ale od młodości ucz bojaźni Boga. 10) Nie „rozkazuj słudze swemu, albo służebnicy, którzy w tym samym „Bogu nadzieję pokładają, w twej gorzkości, aby czasem nie prze- „stali się bać Boga, który nad (wami) obydwoma jest; nie przychodzi „bowiem powoływać wedle osoby, ale do tych, których duch przy- „gotował. 11) Wy zaś słudzy, bądźcie poddani panom waszym, jako „obrazowi Boga, w uszanowaniu i strachu. 12) Nienawidzić będziesz

„wszelką obłudę i wszystko co niemiłe jest Panu. 13) Nie porzucaj „przykazań pańskich, lecz zachowuj coś odebrał, ani dodając ani „ujmując. 14) W zgromadzeniu (ἐκκλησίᾳ) wyznawaj przewinienia „twoje, i nie przystępuj do modlitwy twojej ze złem sumieniem. „Ta jest droga życia".

V. 1) „Zasię śmierci droga jest ta: przedewszystkiem jest „zła i przekleństwa pełna; zabójstwa, cudzołóstwa, żądze, porubstwa, „kradzieże, bałwochwalstwa, czary, trucizny, rabunki, fałszywe świa- „dectwa, obłudy, dwoistość serca, zdrada, pycha, złość, zarozumia- „łość, chciwość, sprosna mowa, zazdrość, wyniosłość, bezczelność, „pochlebstwo. 2) Prześladowcy dobrych, nienawidzący prawdy, ko- „chający kłamstwo, nie znający nagrody sprawiedliwości, nietrzy- „mający się dobrego ani sprawiedliwego sądu, czuwający nie ku „dobremu, ale ku złemu; od których zdala łagodność i cierpliwość, „marność kochający, goniący za zyskiem, nielitujący się nad bie- „dnym, nieponiżający się do poniżonego, nieznający tego, który „ich stworzył, zabójcy dzieci, niweczący obraz boski, odwracający „się od potrzebujących, uciskający nieszczęśliwych, bogatych obrońcy, „ubogich niesprawiedliwi sędziowie, wszechgrzeszni; chrońcie się „dzieci tego wszystkiego" [1].

VI. 1) „Patrz, aby cię kto nie sprowadził z takowej drogi „nauki, bo przeciw Bogu by cię uczył. 2) Jeśli bowiem możesz nieść „całe jarzmo pańskie, będziesz doskonały; jeśli nie możesz, co mo- „żesz, to rób. 3) Względem jadła zaś, co możesz znoś, ale od ofiar- „nego mięsa miej się bardzo na baczności; to bowiem jest cześć „zmarłych bogów".

VII. 1) „Względem chrztu, tak chrzcijcie: to wszystko prze- „powiedziawszy, chrzcijcie w imie Ojca i Syna i świętego Ducha „w wodzie żywej (płynącej). 2) Jeślibyś nie miał wody żywej, w in- „nej wodzie chrzcij; jeśli nie możesz w zimnej, to w ciepłej. 3) Je- „ślibyś obojga nie miał, nalej na głowę trzykrotnie wodę w imie Ojca „i Syna i świętego Ducha. 4) Przed chrztem zaś niech pości chrzcący, „chrzczony i *jeśli mogą, jeszcze niektórzy inni;* nakaż jednak pościć „chrzczonemu przez jeden lub dwa (dni)".

---

[1] W jednem i drugiem zdaniu jest opuszczone słowo. *Funk*, l. c. 386—7. Tłómaczy tutaj imiesłowy przez tryb nieokreślony, *Harnack* l. c. p. 17—19 przez czas teraźniejszy. W polskiem można było dosłownie iść za oryginalem.

VIII. 1) „Wasze posty niech nie będą razem z hypokrytami, „poszczą bowiem w poniedziałki i czwartki, wy zaś pośćcie w środy „i piątki. 2) Nie módlcie się też jak obłudnicy, lecz jak Pan w swo„jej ewangelii przykazał, tak się módlcie: Ojcze nasz, któryś jest „w niebie, święć się imie twoje, przyjdź królestwo twoje, bądź wola „twoja jako w niebie tak i na ziemi; chleba naszego powszedniego „daj nam dzisiaj i odpuść nam naszą winę, jako i my odpuszczamy „naszym winowajcom i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw „ode złego, bo twoja jest moc i chwała na wieki. 3) Trzykrotnie „na dzień tak się módlcie".

IX. 1) „Co się tyczy Eucharystyi (dziękczynienia), tak „dzięki czyńcie. 2) Najpierw względem napoju (περὶ τοῦ πο„τηρίου): dziękujemy ci, ojcze nasz, za świętą winną macicę Da„wida, syna twego, którąś nam objawił przez Jezusa syna twego[1]; „tobie chwała na wieki. 3) Zasię nad złamanym chlebem: dzięku„jemy ci ojcze nasz za życie i poznanie, któreś nam objawił przez „Jezusa syna twego; tobie chwała na wieki. 4) Jak był tenże chleb „łamany, rozsiany po wyżynach gór, a zebrany, stał się jeden, tak „niech będzie zebrany kościół twój od kończyn ziemi do twego „królestwa, bo twoja jest chwała i moc przez Jezusa Chrystusa na „wieki. 5) Nikt atoli niech nie je ani nie pije z waszej Eucha„rystyi, jedno ochrzczeni w imie pańskie, bo względem tego wy„rzekł Pan: nie dawajcie świętego psom".

X. 1) „Po najedzeniu tak dzięki czyńcie: 2) Dziękujemy ci, „ojcze święty, za twe imie święte, któremuś mieszkanie uczynił „w sercach naszych, i za poznanie i wiarę i nieśmiertność, którąś „objawił nam przez Jezusa syna Twego; tobie chwała na wieki. „3) Ty, panie wszechmocny, stworzyłeś wszystko dla imienia swego; „pokarm i napój dałeś ludziom do używania, aby ci dziękowali, sam „zaś dałeś duchowy pokarm i napój i żywot wieczny przez syna „twego. 4) Przedewszystkim dzięki ci czynimy, ponieważ mocny „jesteś ty, tobie chwała na wieki. 5) Pomnij Panie na kościół twój, „abyś go wybawił od wszelkiego złego i dopełnij go w miłości „twej, i zgromadź go od czterech wiatrów, uświęcony, do królestwa

---

[1] W oryginale jest oba razy „τοῦ παιδός σου". *Harnack* (p. 15.) tłómaczy „*deines Knechtes*", *Funk* (l. c. 388) „*deines Sohnes*".

„swego, któreś mu nagotował, bo twoja jest moc i chwała na wieki.
„6) Niech przyjdzie łaska, a niech przeminie ten świat. Hosanna
„Bogu Dawida. Jeśli kto święty, niech przystępuje; jeśli kto nie
„jest, niech czyni pokutę, Maran Atha (Pan idzie) Amen. 7) Pro-
„rokom natomiast pozwólcie dzięki czynić, ile chcą“.

XI. 1) „Kto tedy przyszedłszy, będzie was uczyć tego wszyst-
„kiego co wyżej powiedziane, przyjmijcie go; 2) jeżeli zaś sam
„uczący zbaczając, uczyłby innej nauki ku rozluźnieniu, nie słuchajcie
„go, ale ku rozszerzeniu sprawiedliwości i poznania pańskiego,
„przyjmijcie go jako Pana [1]. 3) Względem apostołów zaś i proroków
„wedle dogmatu (nauki) ewangelii, tak czyńcie. 4) Każdy apostoł,
„który do was przychodzi, niech będzie przyjmowany jak Pan; 5) ale
„niech nie zostaje dłużej nad jeden dzień, jeśli zaś potrzeba
„i drugi; trzy jeśli jednak zostanie, fałszywy prorok jest. 6) Wy-
„chodząc apostoł niech nic nie zabiera krom chleba aż do noclegu;
„jeśliby pieniędzy żądał, fałszywy prorok jest. 7) Żadnego proroka
„mówiącego w duchu nie doświadczajcie ani sądźcie, bo każdy
„grzech będzie odpuszczony, ale ten grzech nie będzie odpuszczony.
„8) Nie każdy jednak, mówiący w duchu, jest prorokiem, lecz gdy
„ma naśladowanie Pana; po postępowaniu więc poznany będzie fał-
„szywy prorok i prorok. 9) A żaden prorok, zamawiający stół
„w duchu, nie jada z niego, chyba że jest fałszywy prorok. 10)
„Każdy zaś prorok uczący prawdy, jeśli tego co uczy nie czyni,
„fałszywy prorok jest. 11) Każdy prorok doświadczony i prawdziwy,
„czyniący ku tajemnicy światowej kościoła [2], ale nieuczący czynić
„to, co sam robi, niech nie będzie sądzony przez was, u Boga bo-

---

[1] Dosłownie w tekscie: „εἰς δὲ τὸ προσθεῖναι δικαιοσύνην καὶ γνῶσιν κυρίου, δέξασθε αὐτόν“. Harnack (l. c. 37) tłómaczy: „lehrt er aber, so dass er Gerechtigkeit und Erkenntniss vermehrt.“ Funk. — (l. c. p. 390): „wenn er aber die Gerechtigkeit und Kenntniss des Herrn (in euch) vermehrt“. — Krawutzcky (l. c. 580) tłómaczy: „jedoch zur Hinzufügung von Gerechtigkeit und Erkenntniss des Herrn, nehmet ihn auf“. Ostatnie tłómaczenie jest dosłowne i nadaje osobny sens temu miejscu, dlatego poszliśmy za niem.

[2] Miejsce to niejasne tłómaczy *Harnack* (l. c. 45) „der in Hinblick auf das irdische Geheimniss der Kirche handelt.“ — *Funk* (l. c. 390) idzie za tłómaczeniem *Duchesne*, (Bulletin crit. 1884. nr. 5. p. 93) i tłómaczy: „der in der Versammlung geheimnissvolle, weltliche Dinge verrichtet“. W oryginale jest: „ποιῶν εἰς μυστήριον κοσμικὸν ἐκκλησίας“, Miejsce to uważa Funk za zepsute. Będziemy o niem mówili jeszcze później.

„wiem ma sąd, tak bowiem czynili i starzy prorocy. 12) Ktoby „powiedział w duchu: daj mi pieniędzy, lub coś podobnego, nie „słuchajcie go, jeżeli jednak mówi względem innych potrzebujących, „że trzeba dać, niech go nikt nie sądzi".

XII. 1) Każdy przychodzący w imie pańskie, niech będzie „przyjęty, potem jednak doświadczając go poznacie, rozpoznanie „bowiem będziecie mieli, prawe i lewe. 2) Jeśli podróżnym jest „przybywający, wspomagajcie go, ile możecie; ale nie zostanie „u was dłużej nad dwa lub trzy dni, gdyby była potrzeba. 3) Jeśli „zaś zechce u was osiąść, będąc rzemieślnikiem, niech pracuje i je. „4) Jeśli nie posiada rzemiosła, wedle rozpoznania waszego obmyślcie, „żeby nie pracujący pomiędzy wami nie żył chrześcianin. 5) Jeśli „zaś nie zechce tak pracować, chrystokupca jest (χριστέμπορός ἐστι). „Strzeżcie się takich ludzi".

XIII. 1) „Każdy prorok prawdziwy, chcący osiąść pomiędzy „wami, wart jest wyżywienia. 2) Tak samo nauczyciel prawdziwy „i ten jest godzien, jak robotnik, swego wyżywienia. 3) Wszelką „przeto pierwocinę płodów tłoczni i bojewicy, wołów i owiec, wy- „bierając pierwocinę, dasz prorokowi, oni są bowiem wasi arcyka- „płani. 4) Jeśli zaś nie macie proroka, dajcie ubogim. 5) Jeśli ciasto „robisz, pierwocinę weź i daj wedle przykazania. 6) Tak samo dzban „wina albo oliwy napoczynając, weź pierwocinę i daj prorokom. 7) „Pieniędzy i ubioru i całego dobytku, biorąc pierwocinę, o ile ci „się będzie zdawało, daj wedle przykazania".

XIV. 1) „W dzień pański [1] zgromadzając się łamcie chleb i dzięki „czyńcie, wyspowiadawszy się grzechów swoich, aby czystą była „ofiara wasza. 2) Wszelki zaś mający spór z przyjacielem niech nie „schodzi się z wami, dopóki się nie zgodzą, aby nie została znie- „czyszczoną ofiara wasza; 3) to bowiem jest powiedziane przez „Pana: we wszystkiem miejscu i czasie zanosić mi ofiarę czystą, „bo król wielki jestem, mówi Pan, a imię moje cudowne pomiędzy „narodami".

XV. 1) „Ustanawiajcie [2] sobie nadto biskupów i diakonów,

---

[1] W oryginale jest „κατὰ κυριακὴν δὲ κυρίου".

[2] W oryginale „χειροτονήσατε", to znaczy dosłownie: *kładźcie ręce*. „Χειροτονηθεὶς (II. Cor. VIII. 19) tłóm. Wulgata; „*ordinatus* ab ecclesiis". Act.

„godnych Pana, mężów łagodnych, niechciwych grosza i prawdo-
„mownych i doświadczonych, wam bowiem i oni pełnią służbę[1]
„proroków i nauczycieli. 2) Nie pogardzajcie więc nimi, bo oni są
„czcigodni dla was razem z prorokami i nauczycielami. 3) Upomi-
„najcie się nawzajem nie w gniewie, ale w pokoju, jak macie
„w ewangelii; a z żadnym, który ukrzywdzi bliźniego, niech nikt
„nie rozmawia, ani niech nikt nie słucha, dopóki nie odprawi po-
„kuty. 4) A wasze modlitwy i jałmużny i czynności odprawiajcie
„tak, jak macie w ewangelii Pana naszego“.

XVI. 1) „Czuwajcie nad życiem waszem; lampy wasze niech
„nie zgasną, a lędzwie wasze niech nie zostaną rozpasane, lecz
„bądźcie gotowi; nie znacie bowiem godziny, w której Pan nasz
„idzie. 2) Często się schodźcie, szukając potrzebnych (rzeczy) du-
„szom waszym; nie pomoże wam bowiem cały czas waszej wiary,
„jeśli w ostatnim czasie nie staniecie się doskonali. 3) W ostatnich
„bowiem dniach pomnożą się fałszywi prorocy i zgorszyciele, i za-
„mienią się owieczki we wilki a miłość zamieni się w nienawiść. 4)
„Bo ze wzrostem bezprawia będą się nawzajem nienawidzić i prze-
„śladować i zaprzedawać, i wtedy zjawi się zwodziciel świata, ja-
„koby syn boży i czynić będzie znaki i cudy i ziemia oddaną zo-
„stanie w ręce jego i czynić będzie bezprawia, jakie od wieków
„nigdy się nie działy. 5) Wtedy dostanie się stworzenie ludzkie
„w ogień próby, i zgorszy się wielu i zginie; ale wytrwali w swej
„wierze wyratowani zostaną przez przeklinanego samego[2]. 6) I wtedy
„okażą się znaki prawdy: pierwszy znak otworu w niebie, potem
„znak grzmiącej trąby, i trzeci zmartwychwstanie umarłych; 7) nie

---

ap. XIV. 22 χειροτονήσαντες“ tłóm. Wulgata: „et cum *canstituissent* illis per singulas ecclesias presbyteros“. Nasze miejsce mówi więc o wyborze biskupów i diakonów, który wykonywały gminy chrześcijańskie.

[1] W oryginale „λειτουργοῦσι καὶ αὐτοὶ τὴν λειτουργίαν“ możnaby więc tłomaczyć: odprawiają liturgią.

[2] W oryginale: „ὑπ᾽ αὐτοῦ τοῦ καταθέματος“. *Bryennios* tłómaczy: κατάθεμα jak κατ-ανάθεμα: rozumie przez to Chrystusa P., którego przeklinać będą potępieni. *Funk* (l. c. 393) wcale tego nie tłomaczy i domyśla się, że należy czytać ὑπ᾽ αὐτοῦ τοῦ κάτω θέματος, t. j. ἐπὶ τῆς γῆς, a więc, że wybawieni zostaną ze ziemi. Harnack — (l. c. 63) poszedł za Bryenniosem. (I Cor. 12, 13. zachodzi też „ἀνάθεμα Ἰησοῦς“, bo żydzi i poganie przeklinali to Imię.) *Hilgenfeld*, Zeitschrift. f. wiss. Theol. 1884. p. 371 proponuje w tem miejscu: ἀπ᾽ αὐτοῦ ..“ i tłómaczy: wybawieni zostaną od klątwy.

„wszystkich, lecz jako powiedziano: Przyjdzie Pan i wszyscy Święci „z nim. 8) Wtedy ujrzy świat Pana idącego nad chmurami nieba.

* * *

Tak brzmi nauka, którą kodeks Carogrodzki Bryenniosa przechował w doskonałym odpisie. Kilka błędów piśmiennych poprawił sam Bryennios, kilka wykazał jeszcze Harnack (l. c. I. 13), tak, że list Nauki można uważać za intergralny.

Dzieli się to pismo na dwie nierówne części, z których pierwsza (r. I.—IV.) zawiera naukę obyczajową, osnutą na porównaniu dwóch dróg, życia i śmierci; druga zaś (VII.—XVI.) obejmuje przepisy kościelne i społeczno-obyczajowe napomnienia. Możnaby też drugą część jeszcze podzielić na dwie, dlatego że trzy rozdziały (VII.—X.) mają przepisy wyłącznie liturgiczne i tworzą pewien rodzaj rytuału, ostatnie sześć (XI.—XVI.) zawierają upomnienia i rady kościelno-społeczno-obyczajowe. Ta druga większa połowa pisma objaśnia nam też praktyczne zadanie pierwszej części, a mianowicie, że przepisy w niej zawarte, miały być czytywane katechumenom przed chrztem.

Cel i przeznaczenie Nauki wyrażone jest w tytule. Διδαχὴ oznacza naukę ustną, tradycyjną i to nie dogmatyczną, jedno obyczajową. Ta nazwa służy wprawdzie Apostołom także do oznaczenia nauki dogmatycznej (Tit. 1, 9; II. Joann. 9, 10), ale w II. wieku rozumiano już powszechnie przez διδαχὴ naukę obyczajów. Tak np. list Barnaby (16, 9) wyraźnie rozróżnia: „Ὁ λόγος τοῦ θεοῦ τῆς πίστεως, ἡ κλῆσις αὐτοῦ τῆς ἐπαγγελίας, ἡ σοφία τῶν δικαιωμάτων, αἱ ἐντολαὶ τῆς διδαχῆς". Pierwsi chrześcianie kładli też główny przycisk na wpojenie nauki i zasad chrześciańskiej moralności, która stała w największym przeciwieństwie do wyobrażeń pogańskich. Dlatego najstarsza chrześciańska homilia św. Klemensa Pap. wyłącznie na tem się ogranicza. Nie przeto, żeby dogmatyczna część nauki chrześciańskiej miała być zaniedbywaną, ale pisarze chrześciańscy już w II. wieku unikali widocznie obszernego jej traktowania w pismach, bo uważali ją za *„disciplina arcani"* i nie chcieli wystawiać na rozgłoszenie niepotrzebne. „Nie spodziewaj się, powiada autor listu do Diogeneta, abyś się od kogokolwiek z chrze-

ścian dowiedział tajemnicy, właściwego ich nabożeństwa“ (c. 4), „ale jeśli przyjmiesz ich naukę, wtedy zostaniesz wtajemniczony“ (c. 11). Dlatego św. Ignacy (ad Ephes. c. 12) nazywa chrześcian „wtajemniczeni“ (συμμύσται), a obowiązek zachowania tajemnicy, który Tertulian (Apolog. c. 7) nazywa „*fides silentii*“, był tak ściśle zachowany, że Pliniusz brał dwie diakonise na tortury, a jednak nie dowiedział się o chrześcianach nic więcej nad przepisy moralności (Epp. l. X. 97). Tem się też tłómaczą symboliczne obrazy w Katakumbach, i tem oględne bardzo wyrażenia dogmatyczne u pisarzów II. i III. wieku.

Ale przypatrzywszy się bliżej Nauce, można spostrzedz od razu, że dogmata chrześciańskie są tu wyrażone w doxologiach i liturgicznych modlitwach II. części. Dlatego tę część możnaby też nazwać dogmatyczną, bo tu jest wyznanie Trójcy św. (VII. 1), Ojcze nasz (VIII. 1), tu wiara we wszechmoc i opatrzność Boską (X. 3), nieśmiertelność, zmartwychwstanie, wiara w kościół św. powszechny i jego przyszłe uwielbienie, a wreszcie wiara w sąd ostateczny jest wyrażona w końcowem upominaniu (XVI.).

Być może zresztą, że herezye III. wieku zniewalały następnie chrześcian do coraz gruntowniejszego uczenia katechumenów nauki wiary, i że dlatego pisma moralne, jak „Pastor“ Hermasa, były wedle świadectwa św. Atanazego, czytywane tylko pierwszej, tj. najniższej klasie katechumenów, a do tej kategoryi należała może i pierwsza część naszej Nauki (cfr. Harnack l. c. p. 37). Drugą część przeznaczył autor widocznie dla chrześcian nieobrzezanych „τοῖς ἔθνεσιν“, bo tak ich też nazywał św. Paweł (Rom. 11, 13. Gal. 2, 12. Ephes. 3, 1); Żydów natomiast nazywa hypokrytami (VIII. 1) i uzasadnia przepis postu w środy i piątki koniecznością odróżnienia się od nich. Samo zresztą pobieżne traktowanie przepisów, tyczących się jadła (VI, 3), wskazuje na to, że Nauka powstała w tych stronach, gdzie gminy przeważnie się składały z chrześcian, nawróconych z pogan. Przy tem wszystkiem jednak należy zwrócić uwagę na to, że autor całą naukę swoją podszywa pod powagą dwunastu apostołów; że to co on uczy i przepisuje, podaje jako powtórzenie ich nauki; że tu i owdzie powołuje się na słowa Pana i na Ewangelią. To samo zniewala do szczegółowego rozbioru

Nauki i dochodzenia, z jakich źródeł czerpał i w jakim duchu pisał autor.

Zanim jednak do szczegółowego rozbioru przystąpimy, trzeba nam się rozpatrzeć w literaturze kościelnej za świadectwami, jakie Nauka ma za sobą, a mianowicie trzeba nam dochodzić tego, czy w starożytności uznawano to pismo za wiarogodne. Pod tym względem panuje prawie u wszystkich uczonych jednozgodne przekonanie, że Nauka była już znana w II. wieku, że odnośne wzmianki pisarzów II. i III. wieku jej się tyczą. Jeden tylko ks. Krawutzcky (docent we Wrocławiu) wystąpił ze zdaniem odmiennem, które na końcu uwzględnimy.

Pierwszy, który cytuje nasze pismo i to jako „γραφή", czyli Pismo św., jest Klemens Aleksander, który powołuje się na wyrażenie Nauki (r. III, 5): „Dziecko moje, nie stawaj się kłamcą, bo kłamstwo prowadzi do kradzieży". Jedna tylko zachodzi tutaj odmiana, tj.: że w Nauce jest „τέκνον μου", a Klemens ma „υἱέ" [1]. Ten cytat dowodziłby, że Klemens znał już Naukę. Drugi pisarz, który zdaje się ją wspominać (w IV. wieku), jest Euzebiusz. W sławnym rozdziale swej historyi kościelnej (III, 25), w którym zestawił rezultat swoich studyów nad Nowym Zakonem, wymienia pomiędzy t. zw. ἀντιλεγόμενα albo νόθα, na piątem miejscu, razem z listem Barnaby, także pismo, które tytułem Naukę naszą wyraźnie przypomina, choć go nie nazywa διδαχή, tylko διδαχαί [2]. Widocznie więc uważał Euzebiusz to pismo za tak starożytne, jak list Barnaby, który bądź co bądź z pierwszego wieku pochodzi, a więc z wieku apostolskiego (τὸ ἦθος τὸ ἀποστολικόν). Wiarogodność tego pisma nie była powszechnie uznana, ale widocznie musiały niektóre kościoły stawiać je na równi z Pismem św. Takiej powagi zażywał przynajmniej list Barnaby, obok którego stawia Euzebiusz „διδαχαί". Pisarz ten zasługuje zaś na tem większą wiarę, że był bardzo ostrożny przy wyliczaniu pism, tak dalece, że nawet pierwszy list Klemensa ominął. — Trzeci autor, który w 40 lat po Euzebiuszu (367)

---

[1] Clem. Aleks. (Strom. I. c. 20): „οὕτος κλέπτης ὑπὸ τῆς γραφῆς εἴρηται: υἱέ, μὴ γίνου ψεύστης, ὁδηγεῖ γὰρ τὸ ψεῦμα πρὸς τὴν κλοπήν."

[2] Euseb. h. e III. 25: „καὶ πρὸς τούτοις ἡ φερομένη Βαρνάβα ἐπιστολὴ καὶ τῶν ἀποστόλων αἱ λεγόμεναι διδαχαί". Rufin tłomaczy to przez „*doctrina* q. d. apostolorum", Nicephor. Callisti, tłomaczy dosłownie „*Doctrinae*".

wymienił księgi Nowego Testamentu, był św. Atanazy w 39 liście wielkanocnym. W niezmiernie ważnym tym liście policzył do ksiąg kanonicznych te, które Euzebiusz podawał za wątpliwe (listy: Jakóba, Judy, II. Piotra, II. i III. Jana i Objawienie św. Jana), a w końcu zalicza między innemi (obok Sirach, Ester, Judyt i Tobiasza) Naukę i Pasterza, do tych, które są ἀναγιγνωσκόμενα, ale nie apokryficzne [1]. Uzasadnia zaś Atanazy św. drugorzędne znaczenie tych pism u Ojców tem, że one są przeważnie moralnej tylko treści, choć naukę pobożności głoszą. Ten cytat jest wielkiej wagi, bo nietylko tytuł dokładnie podaje, ale odnosi się także i do treści i zgodnie z rzeczywistością ją określa; pokazuje nadto, że w Aleksandryi musiała Nauka obok Hermasowego „Pasterza" mieć wielkie znaczenie. Odtąd jednakże zapanowało na całe wieki głuche milczenie o naszem piśmie. Na Zachodzie nie wspomina go żaden pisarz, a na Wschodzie mówi o niem dopiero po 400 latach historyk carogrodzki Nicephorus Callisti († 828) w swojej Stichometryi. Tutaj zaliczona jest διδαχὴ ἀποστόλων do apokryfów, ale ten sam los dzielą także listy św. Klemensa, Ignacego i Polikarpa — i Pasterz. Liczbę stychów naszego pisma podaje Nicefor okrągło 200. Bryennios naliczył wprawdzie 203 stychy, ale zobaczymy zaraz, że rachuba ta jest niedokładna.

W późniejszych czasach już się pamięć naszego pisma zatarła zupełnie i odtąd wzmianki zachodzą już tylko bałamutne. Do pism Atanazego, patryarchy antyocheńskiego, z czasów Justyniana, dodany jest spis ksiąg kanoniczych, i tutaj na końcu są wspomniane: „διδαχαί" (Πέτρου ἀποκάλυψις. — Περίοδοι καὶ διδαχαὶ τῶν ἀποστόλων. — Βαρνάβα ἐπιστολή). Ta wzmianka opiera się jednak widocznie na Euzebiuszu. — Zonaras (11, 20) już tylko coś słyszał o tem piśmie, ale go nie widział i uważa je za utwór Pseudo-Klemensa, t. z. διαταγαὶ αἱ διὰ Κλήμεντος, które Sobór VIII. uznał za podrobione [2], ale które z naszą Nauką mają niejedno pokrewieństwo. W no-

[1] α' „καὶ διδαχὴ καλουμένη τῶν ἀποστόλων καὶ ὁ Ποιμήν. καὶ ὅμως ἀγαπητοί, κἀκείνων κανονιζομένων καὶ τούτων ἀναγιγνωσκομένων οὐδαμοῦ τῶν ἀποκρύφων μνήμη" (ap. Harnack p. 8).

[2] „τὴν διδαχὴν δὲ τῶν ἀποστόλων τινὲς λέγουσιν εἶναι τὰς διὰ τοῦ Κλήμεντος γραφείσας διατάξεις. ἃς ἡ λεγομένη ἕκτη σύνοδος ἀναγιγνώσκεσθαι". (ap. Bryennios P. κς', Harnack p. 10.)

wszych czasach identyfikowano też powszechnie Naukę, z t. zw. διδασκαλίαι, albo διατάξεις, albo διαταγὴ τῶν ἀποστόλων, które zawarte są w t. zw. *Constitutiones Apostolorum*. Zamięszanie musiało być tem większe, że t. zw. *Didascalia Apostolorum* istnieje w trzech tłómaczeniach: syryjskiem, arabskiem i etiopskiem, które są skróceniem pierwszych 6 ksiąg t. zw. konstytucyj apostolskich. Wedle innych, jest syryjskie tłómaczenie pierwotnym tekstem, który w greckiej wersyi został rozszerzony i interpolowany [1]. Konstytucye apostolskie składają się jednak z 8 ksiąg i powszechnem było mniemanie, że powstały te książki w rozmaitym czasie, mianowicie że siódma książka powstała prawdopodobnie dopiero w IV. wieku, a ósma jeszcze później [2]. W miarę jak odkrywano stare kodeksy greckie t. zwanych „διαταχαὶ", rosło zamięszanie jeszcze bardziej i dopiero wspomniany już przez nas X. Krawutzcky, stawił hipotezę bardzo bystrą (Theol. Quartalschr. 1882, str. 359—445), że t. zw. Konstytucye apostolskie są napisane przez jednego autora, i że tenże musiał mieć przed sobą pismo starożytne, które wschodni pisarze zowią nauką, albo nauczanie apostołów, a Rufin nazywa: *duae viae, vel judicium secundum Petrum* [3].

---

[1] Didascalia apostolorum syr. ed. *Lagarde* 1854. The ethiopic Didascalia edited and translated by Th. *Pell Platt* 1834. Usher (Polycarpi et Ignatii epp. 1644. XLII squ. *Lagarde*, Reliquiae juris eccles. antiq. gr. 1856. IV, LVI — uważają syryjskie tłómaczenie za tekst pierwotny, natomiast: *Bickell* (Geschichte des Kirch. Rechts 1843, I, 148 sq.) i *Haneberg* (Canones s. Hippolyti 1870, 12) uważają tłómaczenie syryjskie za skrócenie greckiego tekstu.

[2] Drey, Neue Untersuchungen etc. Tübingen 1832; Real-Encyklopaedie der christl. Alterthümer I 330 sq.; *Funk*, Literar. Rundschau nr. 4. (1884.) str. 101.

[3] *Rufin* (expos. in symbol. apost. 36—37) powtarza spis ksiąg, który Atanazy św. podał w swoim 39 liście wielkanocnym, ale swoim zwyczajem odmiennie. Zaliczywszy do „*libri ecclesiastici*" t. zw. deutrokanoniczne, dodaje następnie: „in Novo vero Testamento libellus, qui dicitur Pastoris, sive Hermas, qui apellatur *Duae viae vel Judicium secundum Petrum*. Quae omnia legi quidem in ecclesia voluerunt, usu tamen proferri ad auctoritatem ex his fidei confirmandam". — Co to jest za pismo, które tu Rufin wymienił, zamiast Διδαχή, która jest wymieniona przez Atanazego? — Czy to jest jedno i to samo? — Czy też wyrzucił ją, a wsadził inne, które cytuje także Hieronim (de viris illustribus 1.) pomiędzy pismami podszywającemi się pod imię Piotra ś.? Oto pytania, na które nie było odpowiedzi. — Kiedy znaleziono w Watykańskiej bibliotece stary kodeks: Ἐπιτομὴ ὅρων τῶν ἁγίων ἀποστόλων καθολικῆς παραδόσεως, który jest skróceniem innego kodeksu p. t. „Διαταγαὶ αἱ διὰ Κλήμεντος

Rok 1884 przyniósł więc rozwiązanie tej zagadki i znalezione przez Bryenniosa w kodeksie carogrodzkim (albo jerozolimskim) pismo, uznano odrazu jako zaginione od wieków, a niegdyś Klemensowi Aleksandr. Euzebiuszowi, Atanazemu i Rufinowi znaną Naukę Apostołów.

Jedna tylko jeszcze zachodzi kwestya niezmiernie ważna, t. j. kwestya czasu, w którym Nauka została napisana, Bryennios (prolegom. κ') przyjmuje jako czas powstania tego pisma r. 120—167, i na to godzi się też *Wünsche* (l. c.). Natomiast *Funck* (Liter. Rund. p. 103) godzi się na *terminus ad quem*, ale *terminus a quo* zdaje mu się zbyt późnym, bo autor Nauki ma dużo pokrewieństwa z listem Barnaby i pasterzem Hermasa (*Harnack* l. c.) str. 82 sq.), przyjmuje mniej więcej ten sam czas co Bryennios, t. j. z powodów zewnętrznych decyduje się na r. 135(40)—165, a z powodów wewnętrznych na 120—165, co prawie na jedno wyjdzie. Harnack jest tego przekonania, że autor Nauki wziął treść do swoich pierwszych 6 rozdziałów z listu Barnaby (r. 19) ale to, co jest tam „*rudis indigestaque moles*", to on systematycznie ułożył, i to z podziwienia godną zręcznością. Na to znów odpowiada Funk (Liter. Rund. str. 578), że taki zręczny autor nie potrzebował przecie szukać treści u niezręczniejszego, a więc musiało być odwrotnie, t. j. że Barnaba wziął treść do rozdziału 19 z Nauki. Zaczem powstanie tego pisma trzebaby cofnąć aż w pierwszy wiek apostolski, t. j. mniej więcej rok 80, bo tak czy owak Hermasa „Pasterz" pochodzi z pierwszego wieku [1], zaczem i Zahn zgadza się na to, że Nauka powstała już w pierwszym wieku, i to pomiędzy 95—100.

καὶ κανόνες ἐκκλησιαστικοὶ τῶν ἁγίων ἀποστόλων (edit. Pitra, Bickell, Lagarde i Hilgenfeld), wtedy *Hilgenfeld* (Nov. Test. extr. can. ed. 2. 1884) identyfikował już na pewno Διαταγαί i Judicium Petri, choć *Harnack* (Epist. Barnabae 1878 p. XLVI. i p. 73.) oraz Th. *Zahn* (Ignatius von Ant. 1873. p. 583) zawsze o tem powątpiewali. To powątpiewanie okazało się też teraz zupełnie uzasadnionem.

[1] Cfr. *Nirschl.* Der Hirt. des Hermas. Passau 1879 p. 3. *Nirschl*, Lehrb. der Patrologie u. Patristik, Mainz. 1881. t. I. str. 84 sq. — *Brüll*, Der Hirt des Hermas, nach Unsprung u. Inhalt untersucht. Freib. 1882. — *Funk* (Theol. Qu. Schrift. 1884. 120). W ostatnich czasach wszyscy katoliccy uczeni przyjęli zapatrywanie *Gaaba* i *Zahna*, że Hermas był biskupem w Kumae i jako grek rodem, po grecku napisał swą pracę. Przeciwnicy (Brühl, Funk) powołują się na t. zw. *fragmentum Muratorianum* tj. spis książek kanonicznych, który

Tak stała kwestya pod koniec roku 1884, kiedy *Krawutzcky* wprowadził ją na nowe tory. Zewnetrzne dowody upadają u niego zupełnie i tylko wewnętrzne mogą mieć jeszcze znaczenie [1].

A najpierw cytat Klemensa Aleksandryjskiego, o którym wyżej była mowa, może być wzięty z Nauki, ale tak samo może być wzięty skąd innąd; Euzebiusz przytacza odmienny tytuł; pozostaje więc tylko sam list wielkanocny św. Atanazego, w którym może nasze pismo jest wzmiankowane, ale przypatrzywszy się bliżej Stichometryi Nicefora, wolno mieć niejakie wątpliwości. Mówiliśmy już wyżej, że Nicefor Callisti podaje liczbę stichów t. zw.: διδαχή okrągło 200, Bryennios naliczył ich wprawdzie w Nauce przez siebie wydanej 203, ale toby nie stanowiło różnicy. Tymczasem Harnack (l. c. prolegomena p. 13) obliczył, że w naszem piśmie jest 10.700 liter, a więc licząc po 35 liter na jeden stichos, wypadnie okrągło 300 stichów. A zatem pismo, wydane przez Bryenniosa, jest większe o 100 stichów od tego, które znał Nicefor. Już ta sama okoliczność może naprowadzić na domysł, że Nauka jest interpolowane i pomnożone pismo, którego autor używał pierwotnego i dotąd nieznanego nam pisma: o dwóch drogach, życia i śmierci, i drugiego anti-ebionickiego przepisu, który mógł być w Kościele potrzebny po zburzeniu Jerozolimy. Oprócz tego używał widocznie Starego Testamentu, listu Barnaby i „Pasterza" Hermasowego, a nadto cytuje Ewangelią, którą prawdopodobnie jest ewangelia Nazarejczyków i Ebionitów, znana pod nazwą; „*Evangelium secundum (duodecim) apostolos* [2]". — Autorstwo tej pracy przypisuje Krawutzcky

---

z końca II. wieku pochodzi. Tam powiedziano: „Pastorem vero nuperrime temporibus nostris in urbe Roma Herma conscripsit, sedente cathedra urbis Romae ecclesiae Pio episcopo fratre ejus". Pius był Papieżem (142—157) a brat jego Hermas był rodem z Akwilei, a więc łacinnik i ten Hermas II. na łacinę przełożył z greckiego oryginału. Ten oryginał uważają Ireneusz i Klemens Aleksandr. za „natchniony", choć znali osobiście Hermasa II. W tem leży najlepszy dowód, bo pisma z II. wieku nie byliby natchnionem nazywali.

[1] Theolog. Quartalschrift IV. str. 547—606: „Uber die sog. Zwölfapostellehre".

[2] Krawutzcky (l. c, p. 549) uzasadnia swoje przypuszczenie mianowicie tem, że Ewangelia, o której mówi ś. *Hieronim* (ad Math. XII. 13): „evangelium quo utuntur Nazarei et Ebionitae, quod nuper in graecum de hebraeo sermone transtulimus et quod vocatur a plerisque Matthaei authenticum" — o której wspomina także *Origenes* (Hom. I. in Luc. ad I., 1.) — uważała za

Teodotowi Garbarzowi z Carogrodu, a czas napisania kładzie na rok 192. O tym czasie wzmógł się ebionityzm do największego rozwoju: o tym czasie powstały Klemensowe homilie w duchu gnostyckich Ebionitów, o tym czasie wystąpił na czele sekty ebiońskiej, tłómacz biblii Symmachus, i o tym czasie wystąpili w Rzymie Blastus i Teodot Garbarz[1]. — Te hipotezy są niewątpliwie bardzo śmiałe i rok przyszły (1885) przyniesie nam niewątpliwie obfity plon pism, które liczyć się będą z tem nowem zapatrywaniem. „W każdym razie — powiada Funk (Lit. Rund. p. 579), jeżeli pismo nasze nie powstało w pierwszym wieku, tylko w połowie drugiego, w takim razie jedynie tłómaczenie Krawutzcky'ego zrozumiałem je czyni, a niewątpliwie jego rozprawa jest najbystrzejszem ze wszystkiego, co dotąd o niem napisano“. (Dok. nast.)

X. Dr. Chotkowski.

---

największy grzech obrazę brata i przepisywało takie samo surowe postępowanie z winowajcą, jakie przepisuje autor *Nauki* (XIV. 2; XV., 3) w przeciwieństwie do tego, co przepisuje ewangelia św. Mateusza (18, 15): „si autem peccaverit in te frater tuus“ etc. Ewangelia ta nosiła za czasów Hieronima św. i Orygenesa tytuł: evangeliam domini secundum duodecim apostolos — i prawdopodobnie powstała w tych samych stronach, gdzie nasza „nauka pańska przez dwunastu apostołów“.

[1] Krawutzcky (l. c. str. 585. nota 2).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Jana Kochanowskiego, pieśń świętojańska o Sobótce wedle wydania Andrzeja Piotrkowczyka R. P. 1617, objaśniona i oceniona przez prof. Dr. Jana Rymarkiewicza, członka Tow. Przyj. Nauk. pozn. Wydanie jubileuszowe. Poznań. Nakładem księgarni A. Cybulskiego. 1884. str. 196.

(Dokończenie.)

Ważnem jest przy ocenie jakiejkolwiek pracy umysłowej człowieka poznać jej źródło, czy niem jest jego własny umysł, czyli też początku jej należy szukać poza sferą jego umysłową. W największej liczbie przypadków człowiek karmi umysł swój tym chlebem powszednim, który mu świat codzienny, jego stosunki, miejsce i czas, w którym żyje, podają. Często myśl jedna, która błysnęła mu z tych sfer, wystarcza, by przekształcić się w jego duchowej pracowni w arcydzieło, którego układ, wykończenie formy, oddanie myśli przewodniej w najdrobniejszych szczegółach, należą wprawdzie do niego, ale pierwotne źródło znajduje się przecież poza granicami jego duchowości. Znając to źródło, można wówczas prawdziwie poznać twórczość człowieka, w jaki sposób przekształcił myśl tę pierwotną, podług własnego zasobu duchowego ją formując, o ile utwór ten nosi na sobie znamiona, należące do skarbnicy jego duchowej, lub też z niej wyjętym być musi jako z obcej tylko przesadzony ziemi.

Pytanie to, odnoszące się do źródła Pieśni świętojańskiej, musiało każdemu krytykowi tem usilniej nasuwać się, im widoczniej uderzyć każdego musi różnica, jaka utwór ten Kochanowskiego wyszczególnia nietylko z pomiędzy innych jego płodów, ale także w ogóle w całej ówczesnej literaturze polskiej. Tak kompozycya, myśli, przedstawienie poszczególnych obrazów, wreszcie forma językowa — wszystko to razem wzięte przenosi nas z Parnasu kla-

sycznego na niwę rodzimą, polską, gdzie każdy ton owej pieśni jest jakby echem znajomej nam piosnki, nuconej w samotnej izdebce pod słomianą strzechą, lub przy zabawach w dni uroczyste zebranej wiejskiej drużyny. Ta szata odmienna pieśni tej nosi też na sobie zanadto zakrój swojski, aby żywcem zaliczyć ją do wzorów podług obcej wykrojonych mody. Dlatego też więcej lub mniej stanowczo odzywały się głosy, które przyznawały jej swojski początek. Jednakowoż słowa ogólnie wypowiedziane, nie przyjmowały się wśród grona pracowników na niwie literatury naszej, ponieważ brakowało im poparcia, jakiego każda naukowa krytyka domagać się ma prawo. Prof. Rymakiewicz postarał się o to poparcie i przytoczył całe mnóstwo pieśni ludowych, które tak formą swoją zewnętrzną, jako też treścią stanowią niby echo pieśni Kochanowskiego o Sobótce. Naturalnie w owych pieśniach ludowych nie spodziewajmy się znaleść żywych wzorów dla Kochanowskiego, i tego znaczenia z pewnością nie przypisuje im autor, ale każdy, ktokolwiek patrzy na poezyę Kochanowskiego nietylko przez szkła klasycyzmu, pozna w nich coś więcej, jak tylko „jednę nutę oberka na odsiebkę“, śpiewaną przez pannę drugą. W każdym razie przytoczone pieśni pokazują więcej powinowactwa z pieśnią świętojańską, a tem samem więcej mają prawa do lutni Kochanowskiego, jak wzmianka rzymskich pisarzy o uroczystości Palilia, która równego będąc jak Sobótka pochodzenia, musiała w głównych do niej być podobną momentach.

Ale kwestya ta, dotycząca rodowodu pieśni świętojańskiej, w ten sposób postawiona, zejdzie w końcu na spór *um des Kaisers Bart*. Jeżeli kto niewzruszoną ma wiarę w wszechwładny wpływ klasycyzmu, który dawał placet na to, jakie przedmioty mogą znaleść pomieszczenie na stokach Parnasu, tego umysł wzdryga się na samą myśl wpływu, mogącego skądinąd jak z kastalskiego pochodzić źródła. Dlatego korzystniej jest dla nauki, a zarazem więcej przyczynia się do załatwienia tej kwestyi, jeżeli pokaże się, w czem polega jej charakter swojski, jakie są jego główne rysy, które ma wspólne z ogólnym duchem narodowym, czy wszystkie momenta, zgodne z właściwościami charakteru polskiego, Kochanowski ujął w odpowiednią formę zewnętrzną, o ile forma ta nosi na sobie koloryt rodzimy, — albo w czem uwydatnia się wpływ klasyczny, jakiej uległ w twórczości poety odmianie, i czy znamiona,

oddalające się od wzorów klasycznych, są rzeczywiste, lub tylko pozorne, zastósowane do każdorazowej sytuacyi przedmiotu. Autor zestawia wprawdzie zgodne motywa, powtarzające się w ludowych, jako też Kochanowskiego pieśniach, zwraca uwagę na „sposób wyrażenia“ obydwom wspólny, ale zamało uwydatnił tę „swojskość“ pieśni o Sobótce, za mało w naszkicowanym przez niego obrazie utworu tego poetycznego widzimy farb polskich, malujących odpowiednio naszkicowane w nim rysy. A przecież kto tak rozmiłował się w tym utworze, kto aż na miejsce „kolebki, domu i grobu“ Jana Kochanowskiego udawał się, by znaleść klucz do zrozumienia ducha jego poezyi, temu nietrudno było podać nam obraz taki, któryby najwierniej przedstawiał i myśl w utworze tym zawartą, jakoteż tło, na którym poeta ją rozwinął.

Ale miłość zbyteczna, jak z jednej strony widzi tylko piękne przymioty w ukochanej osobie lub przedmiocie, tak znów z drugiej strony zanadto jest względną na usterki, jakie w nich widzieć jest zmuszoną. Jeżeli jak najchętniej zgadzam się z szan. autorem co do „charakteru całości poematu“, który sam poeta w tej myśli pojmował, to mimo całej sympatyi, jaką żywię do tego poematu, mimo najskrupulatniejszego postępowania krok w krok za wywodami autora w porównaniu z treścią pojedyńczych pieśni, nie mogę się dopatrzeć tej „zgodności żywiołów w skład poematu wchodzących“, ani też tej „jedności planu w kompozycyi“ jego, której pojedyńcze części mają się mieć ku sobie, jak trzy główne części kompozycyi muzycznej, lub „trzy dekoracye dramatu w dziewięciu odsłonach“. Przyjmując z autorem jako „związek między wewnętrznymi śpiewami pieśni świętojańskiej, przedstawiający się w najściślejszej konsekwencyi psychologicznej, miłość dwanaście przyrodzonych faz swoich przebywającą“, wówczas znajdziemy się nieraz w kłopocie, jak zrozumieć pojedyńcze owe „fazy“ miłości, które zamiast w przyrodzonym występować związku, związek ten rozrywają, albo w niczem nie pokazują postępującej naprzód akcyi w tym psychicznym dramacie. Jeżeli można zrozumieć ów związek, jaki np. pomiędzy pieśnią II. i III. zachodzi, w których chęć zabawy drugiej panny, trzecia panna posuwa do wesołości i pustego śmiechu, a wesołe życie, polegające na „dobrej myśli i szlachetnem zdrowiu“ przechodzi u niej w swobodną swawolę, żartującą z miłośnych afektów marco-

wego kawalera; to jak pogodzić mamy z temi dwiema szczebiotliwemi pustakami pannę czwartą z jej gorącą miłością, której oznaki wkłada na głowę miłego. Czy w pieśni czwartej nie objawia się miłość, podobnie jak w pieśni piątej rzeczywiście, z tą tylko różnicą, że panna czwarta wynurza swoje uczucia, z głębi serca płynące, w sposób również czuły, podczas gdy panna piąta, będąc przedmiotem afektów natrętnego Szymka, którym nie dowierza, drastyczniej na jego komplimenta odpowiada? A jakiż znów związek pomiędzy temi rozkochanemi istotami, a wiernym opisem lata w pieśni szóstej? Czy miłość panny siódmej, chcącej dzielić trudy na polowaniu z swym miłym, jest silniejszą jak panny czwartej, którą i sen prace nie zbawi, śpi a myśli, by na jawi? Albo czy smutek ukryty w duszy panny dziewiątej mniejszy jest, jak rezygnacya panny dziesiątej, która pogodziwszy się z koniecznością odjazdu swego miłego, prosi go tylko o „wiarę“ i powrót jego osoby? Że poeta związku tego pomiędzy pojedyńczemi pieśniami nie pojmował w sposób, w jaki autor nam je tłómaczy, wynika także z pieśni jedenastej, w której sławi wdzięki swej nieprzepłaconej Doroty. Wprawdzie teoretycznie wszystko można dowieść, wszędy można znaleść naturalne przejścia, które gdy przyjdzie przebyć własnemi nogami, rosną do nieprzebytych otchłani. A właśnie to tłómaczenie myśli i treści każdego utworu duchowego człowieka, zbliża się najbardziej do prawdy, które najwięcej jest naturalne, a najmniej szukać zmuszone jest dowodów.

Autor sam wprowadza nas na tę drogę właściwą, na której w najprostszy sposób układają się pojedyńcze pieśni w jedną całość jakby rozmaite kwiatki w jeden wieniec naturalny. Nie ulega bowiem wątpliwości, że pieśń o Sobótce napisał Kochanowski, „kiedy stale już osiadł na wsi“, gdzie przy kominie siedząc przysłuchiwał się pieśniom rozmaitym, lub przypatrywał w dni świąteczne ludowym uroczystościom, których miłosne śpiewy znajdywały żywy oddźwięk w sercu poety. Cóż naturalniejszego, jak w pieśniach o Sobótce szukać tego dźwięku, któryby był właściwem echem uczuć poety ku Annie Podlodowskiej, a z drugiej strony pobrzmiewałby w sferze, na którą otoczenie codziennego życia się składało. A właśnie w owych pieśniach mamy jedno i drugie w harmonijną ujęte całość, jako jeden przedstawione obraz, którego główne rysy wyo-

brażają świat uczuć z ówczesnego życia poety, a tło, nadające obrazowi temu artystycznej harmonii, opiera się na wziętym z życia ludowego modelu. Czy na tem traci całość jakiego obrazu, że przedstawioną jest w nim rozmaitość w pojedyńczych momentach objawiającej się głównej myśli? Czy naturalnym jest ów związek psychologiczny pomiędzy pojedyńczemi fazami uczucia, które wprawdzie rosną i rozwijają się stopniowo według porządku przyrodzonego, jak rośnie i rozwija się każde ciało organiczne, ale tem samem właśnie, ujęte w jedną całość, okazują się jako teoretyczne formułki psychologii, ułożone podług z góry obmyślanego szematu. Wszak uczucie — to życie, a życie — to rozmaitość!

Podstawą pieśni świętojańskiej, stanowiącą tło nakreślonego przez poetę obrazu, jest obrzęd ludowy Sobótka. Czy Kochanowski znał znaczenie obrzędu tego, jak przypuszcza autor, jest więcej niż nieprawdopodobnem. I bez znajomości jego istotnej myśli mógł on dopatrzeć się w tej uroczystości pożądanego motywu, który artystycznie opracował, podobnie jak lud święci tradycyjnie takie obrzędy, chociaż nie rozumie ich wewnętrznej treści. Sama forma zewnętrzna obrzędu, treść śpiewanych przy nim pieśni miłośnych, stanowiły wystarczający materyał, który można było żywcem przelać na papier, by otrzymać poetyczną całość. Kochanowski umiał ocenić poetyczną stronę tego malowniczego obrzędu i tę przejął żywcem do swego utworu. Jednakowoż jako sztukmistrz w ramy te ogólne wlał życie z własnego wydobywając je wnętrza. Gdy pomimo to zachodzi tak ścisły związek pomiędzy wewnętrzną stroną tego utworu, będącą duchową własnością poety, a zawartą w obrzędzie tym główną myślą: najlepszy to więc jest dowód, że pieśń Kochanowskiego o Sobótce wypłynęła bezpośrednio z życia ludowego, z którem dzieli bezwiednie najgłówniejsze momenta myśli, zawartej w tradycyjnie przechowanym tym obrzędzie. Jak żądać zresztą od Kochanowskiego zrozumienia znaczenia obrzędu Sobótki, którego wytłómaczenie autora tyle kosztowało pracy! A praca ta, mająca za cel objaśnienie początku i znaczenia właściwego uroczystości tej, którą autor z taką sumiennością i gruntownością przedsięwziął, stanowi najcenniejszy rozdział całego dzieła. Potrzeba było rzeczywistej odwagi, by przedrzeć się przez krzaki i zarośla, które tamowały badaczowi drogę do osiągnięcia właściwego celu, od którego poznania nie tyle zależy

zrozumienie istotnej natury pieśni Kochanowskiego o Sobótce, ile raczej uroczystości samej.

Jestto oznaką każdego wznioślejszego umysłu, że w pracy swojej stara się dotrzeć do gruntu rzeczy, gdyż prawda na samym spodzie leży. Można było stronę tę odnoszącą się do zwyczaju święcenia Sobótki, na którym oparł Kochanowski swój utwór, pominąć milczeniem, lub zbyć ją kilku ogólnikowemi uwagami, jak to zwyczajnie w pracach i studyach literackich się dzieje. Zamiast tego wolał autor szukać na rozmaitych drogach i ścieżkach źródła pierwotnego znaczenia tej uroczystości, do którego po wątku, jaki mu nazwa sama podawała, trzymając się ściśle przewodnika, za jaki słusznie porównawczą mytologią, opartą na filologicznej podstawie, sobie obrał, zdaniem mojem szczęśliwie dotarł. Że w zwyczaju tym ludowym przechowane mamy prastare pojęcie religijne, którego przedmiotem była wiara w boga-słońce, nie może ulegać żadnej wątpliwości. Pojęcie to, które stanowiło wspólną religijną własność wszystkich Słowian, sięga jeszcze do czasów wspólności narodów indoeuropejskiego pochodzenia w Azyi zamieszkałych, zkąd dostało się do Europy, gdzie długie wieki panującem było wyznaniem wiary świata pogańskiego a przemienione i ubarwione w rozmaite dodatki żyje do dziś dnia w obrzędach ludowych u wszystkich narodów. Ono żyje i w naszym narodzie w rozmaitych przedstawiając się formach, z których wyłonić istotne znaczenie wtenczas można, jeżeli się wszystkie te waryacye podań, zwyczajów, pieśni i tym podobnych objawów życia ludowego sprowadzi jakby do jednego mianownika. Że na tej drodze można dojść do rzeczywistych rezultatów, pewniejszych jak gdy się trzyma tłómaczeń mytologicznych dawniejszych historyków i starszych jeszcze kronikarzy, o tem dzisiaj wie każdy, komu znane są prace tego rodzaju. O tem można także przekonać się z pracy prof. Rymarkiewicza, która w tej mierze może posłużyć za wzór, jak z podobnym materyałem postępować należy. Naturalną jest rzeczą, że przy badaniach tego rodzaju nie zawsze i nie wszędzie można równie pewnym postępować krokiem; zależy to od materyału, który badaczowi służy do dyspozycyi. Przy większem bogactwie źródła, z którego jedynie można czerpać wiadomości o rozbieranym przedmiocie, podstawa dla badacza staje się szerszą a tem samem pewniejszą. Stąd wnioski stawiane na niej, mają trwalszy

fundament, aniżeli gdzie dla braku takowych środków skazanym jest się na własne pomysły. Jeżeli więc objaśnienie znaczenia „Zelmana“ jako antropomorficznie przedstawionego pojęcia o bogu — słońcu może być więcej niż prawdopodobnem, nawet prawdziwem, to zawdzięczyć trzeba jedynie tylko materyałowi, jaki pieśni, podania i obrzędy ludowe w całej Słowiańszczyźnie powtarzające się, stanowią. Czy zaś równie tyle prawdopodobieństwa ma po swej stronie tłómaczenie przez autora posągu zbruckiego, nazywanego powszechnie posągiem Światowida, jest trudniej orzec. Tutaj bowiem podstawa badania jest nadzwyczaj małą, gdyż ograniczoną li tylko na sam posąg i znachodzące się na nim figury. Że prof. Rymarkiewicz z wielką bystrością wniknął w wnętrzną stronę tego zabytku i drogą szczegółowej analizy poszczególnych jego postaci trafniej niejedno tłómaczy, aniżeli to dotychczas inni uczynili, że zatem jego tłómaczenie pod względem negatywnym, obalającym dotychczasowe wyobrażenie o tym posągu, jakoby przedstawiać miał boga Światowida, wiele ma za sobą prawdopodobieństwa, każdy, zdaje mi się, na zdanie to się zgodzi. Ale czy bóstwo, w posągu tym przedstawione, było bóstwem całego r o k u, czyli b ó g - r o k, jak utrzymuje autor, jest inna sprawa. Czy w ogóle można przypuszczać, aby tak abstrakcyjne pojęcie, jakiem jest czas, nadawało się dla umysłu prastarych narodów do tego, by w niem uznać jakąś wyższą istotę z daleko większą siłą, aniżeli człowiek ją posiadał? By tak ogólne pojęcie uczynić w ogóle przedmiotem bliższego zastanawiania się, do tego potrzeba umysłu, przyzwyczajonego do filozoficznego sposobu myślenia. Tego zaś nie można przypuszczać o człowieku w owym czasie, który podług objawiających się skutków, sądził o sile działającej przyczyny. A cóż innego jest r o k, jeżeli nie objawem działającej takiej przyczyny, która w pewnych po sobie następujących peryodach swoją działalność uskutecznia? Jeżeli pojedyńcze te objawy, w pojedyńczych porach roku występujące, przyoblekano w odpowiednie symboliczne znaki, lub antropomorficznie wyobrażano sobie w odpowiednich postaciach ludzkich, to nie zmieniało istotnego znaczenia pojęcia pierwotnego tej *causa efficiens*, którą jedynie można było uznawać za bóstwo, jakoteż rzeczywiście uznawano. Zdaje się, że i autor niewiele przywięzuje znaczenia do tego b o g a - r o k u, jak również do całego Olympu polsko-słowiańskiego, na którym

obok ojca zasiadały dzieci jego: Zelman, Ladoń, Chason, Zejman, lecz w gruncie rzeczy tak samo pojmuje cały ten proces metafizyczny, jak z całego jego rozprowadzenia tej kwestyi widzieć można. W zamian za to i my nie kładziemy wielkiej wagi na niektóre usterki lingwistycznej natury, które w tym rozdziale zachodzą, a które mogłyby tylko dowodzić, że autor nie jest fachowym lingwistą, do czego też nie rości pretensyi, ale znów nie są tego rodzaju, by oparte na nich dowody mogły czynić nieprawdziwymi albo osłabić ich znaczenie.

Podobnie rozumieć trzeba cały rozdział czwarty, traktujący o „artyzmie w pieśni świętojańskiej o Sobótce“ i owej analogii, jaka według zdania autora, pomiędzy artystycznym układem tego poetycznego utworu Kochanowskiego, a utworem pędzla Rafaela, przedstawiającym Dzieje Amora i Psychy, ma zachodzić. Dowodzi to tylko tego, że autor czytając utwór poetyczny, stara się wniknąć w jego ducha, zrozumieć jego artystyczną formę, którą wtenczas najlepiej można, jeżeli się porówna ją z odpowiedniemi innemi kreacyami ducha ludzkiego. Wówczas występuje piękno każdego utworu jawniej, pojedyńcze momenta jego myśli przedstawiają się plastycznie, wartość artystyczna ocenia się lepiej i pewniej, jeżeli mierzy się go podług wzorów, jakie znajdujemy na innem polu umysłowej pracy ludzkiej. Dlatego z przyjemnością czytamy ten rozdział, w którym charakterystyka tego utworu naszkicowana jest trafnie bez tych frazesów, jakich do znudzenia naczytać się można w innych studyach literackich. Utwór taki, w ten sposób przedstawiony, zaczyna interesować czytelnika, który patrzy na niego nie jako na martwy posąg, z suchych złożony kawałków marmuru, w postaci zimnych słów wyrzeźbionych, lecz przeciwnie widzi w nim życie, rozumie znaczenie każdej cząsteczki, szuka w nich związku, wnika w wnętrze jego całości i poznaje jego myśl przewodnią — jego ducha.

Dr. Antoni Kalina.

Do tej recenzyi Dra Kaliny dodamy kilka uwag p. Matusiaka nad Sobótką:

Śmiałe jest zapewne twierdzenie, że Jan Kochanowski był pierwszym romantykiem, ale nie ulega wątpliwości, co stwierdza także Dr. Rymarkiewicz, że wielki nasz poeta ulegał czarowi poezyi ludowej, jak tego dowodem jest pieśń o Sobótce. Zdaje się nawet, że niektóre wiersze są wprost wyjęte z ust ludu Sandomierskiego.

W Sobótce (p. II.):	W Sandomierskiem:
Kiedy w bęben przybiiáią, Sáme nogi práwie drgáią.	Na bebenku grajo, Nogi podrygają.
W Sobótce (p. II. i III.):	W Sandomierskiem:
Zá mną, za mną piękne koło, Opiewáiąc mi wesoło...	I pudziemy wszystkie w koło, A zagrájcie nám wesoło[1].
W Sobótce (p. V.):	W Sandomierskiem:
Y sámám ták głupia byłá, Żemci też kiedy wierzyła.	Cemu já tez głupiá béła, Tobie, Jasiejku, wierzéła.
W Sobótce (p. VIII.):	W Sandomierskiem:
Sámám go (wieniec) swą ręką wiła, Sámá go będę nosiła.	Sema já se wiánek wiéła, Sema go bede nosiéła.
W Sobótce (p. IX.):	W Sandomierskiem:
Spiewa słowik na topoli, A w sercu go przed się boli.	Spiewá słowik na topoli, A mie serce zawdy boli — Zawdy boli, łzy my płyno, Ześ Jasiéjku wybrál inno.

Widzimy, że wiersze te nawet co do rytmu zgadzają się ze sobą. Niektóre rzeczy przypominają wprost sandomierskie. Zaraz na początku pieśni I. czyta się:

Siostry, ogień nápalono
I plácu nam postąpiono.

W Sandomierskiem do dziś dnia nazywają się dziewczęta między sobą siostrami, jak chłopcy braćmi (Zob. Wesele stalowskie

[1] Zob. moją rozprawkę: „Wesele stalowskie", Ateneum, zeszyt kwietniowy, 1881, str. 131.

l. c. str. 135.), a o ten „plac“ tak się tam przy uroczystościach weselnych upominają:

Nasi dobrzy ludzie ustopcie sie z izby,
Zebyśmy nimiały z tem wiáneckiem cizby.

Wiersz (p. I.):

Oycowski rząd záchowaycie...

przypomina żywo Sandomierskie:

Do rzedu, ojcowie, do rzedu,
Błogosławcie swoje dzieci do ślubu.
(Zob. Wesele l. c. str. 137).

Wiersze (p. IX.):

Nadobnać to dziewka byłá
Póki między ludźmi żyła —

mogły powstać pod wpływem takich, jak:

Kolegácka za moz idzie,
Kolegácek juz odydzie,
Kolegácka za moz posła,
Kolegácek juz odesła.
Da moja Zosiejku kontrowałaś (obcowałaś) z nemy,
Juz terá nie bedzies, jino z kobiétemy.
Juz sie rozerwała na przystawie groblá,
Chtóredy chodziéla Zosiejka nádobná.

Myśl przynajmniej jest ta sama, a wyrazy nadobny, nadobna, wiadomo jak często pojawiają się w pieśniach ludowych.

Nie zgadzamy się też wcale na wywód wyrazu „bélica“. Wyraz ten nie ma nic wspólnego z wyrazem bielica, dziewica: jest to forma ludowa zamiast „bylica“ i pochodzi od słowa bylić, co znaczy przypominać. Do dziś dnia używa lud w Sandomierskiem pochodnych słów zbélić, nabélić — zbylić, nabylić w znaczeniu przypomnieć; bélica tedy czyli bylica jest to po prostu „niezapominajka“ ludowa, a może w ogóle najdawniejsza polska, wyraz bowiem „niezapominajka“ zdaje się być tłómaczeniem niemieckiego Vergissmeinnicht; tem bardziej, że lud nasz w wielu okolicach wyrazu tego zupełnie nie zna.

S. Matusiak.

Jan Ostroróg, studyum z literatury politycznej, napisał *Michał Bobrzyński.* Kraków, 1884.

Jak wszystko, co wychodzi z pod pióra p. Bobrzyńskiego, niniejsze pisemko jest nader ciekawe i uwagi godne. Spór między autorem a p. Pawińskim i prof. Caro dla powszechności nieprzystępny, lecz każdego zajmie osobistość Ostroroga i jego plan reformy politycznej, złożony w Pamiętniku o naprawie Rzeczypospolitej.

Ostroróg, młody pan polski XV. wieku, uczył się prawa za granicą, w Niemczech, Włoszech, w Paryżu, zapoznał z ruchem filozoficznym i politycznym Europy, z teoryami o wyższości soborów nad Głową Kościoła i cesarza nad Papieżem, z humanizmem, z nowinkami husyckiemi; otrząsł się z domowych „przesądów“ i zasmakował w postępowych wyobrażeniach. Powróciwszy do kraju, stanął przy królu Kazimierzu Jagiellończyku, zajętym łamaniem przywilejów, troską o skarb i wojsko niezbędne do przeprowadzenia jego zamysłów. Jan Machiawel, pisząc swego księcia, nic nowego nie wymyślił, tylko uklasyfikował i umotywował praktyki ówczesnych włoskich potentatów; tak i Ostroróg ujął w system dążenia i projekta swego pana, wyszedł z tego samego co król założenia i wyciągnął zeń wszystkie loiczne, nawet jeometryczne następstwa.

Łamiąc przywileje, Kazimierz Jagiellończyk uderzył najprzód w prawa Kościoła i duchowieństwa, bo były najobszerniejsze, bo je napotkał zaraz na pierwszym kroku i od nich zacząć musiał, żeby dobrać się do worka kościelnego i módz zeń czerpać pełną garścią. Stąd wynikło odebranie kapitułom prawa wyboru biskupów, nominacya biskupów przez króla, zatargi z apostolską Stolicą. Ostroróg domagał się przeto przedewszystkiem, aby „król polski, nieuznający nad sobą niczyjej zwierzchności oprócz samego Boga, „zerwał z wszystkiem, co owej zasadzie ujmę przynosi“. „Niechaj się czynią Papieżom odwiedziny, uszanowania i pod tem właśnie, nie zaś posłuszeństwa imieniem, gdyż to jest niedorzecznym i z wolnością króla polskiego niezgodnym postępkiem“. Żądał dalej, aby ustało coroczne wywożenie pieniędzy z kraju do Rzymu, pod postacią świętopietrza i rozmaitych danin, apelacye i pozwy nadzwyczajne przed kuryę apostolską, „uwielbiania piśmideł (papieskich) z czerwonemi pieczęciami i konopnymi sznurkami, przybijanych na drzwiach ko-

ścielnych". Żądał samoistności Kościoła polskiego, pod jurysdykcyą biskupów, arcybiskupów i prymasa; obsadzania stolic biskupich przez króla; uregulowania stosunku Kościoła do państwa, w sposób odpowiedni interesowi państwa, które ma prawo ten stosunek ustanowić samo, jednostronnie, nakładać na Kościół ciężary publiczne, zwalniać poddanych od obowiązku uiszczania Kościołowi dziesięcin, zakazać duchowieństwu pobierania opłat za posługi duchowne, wzbronić przyjmowania zbytecznej liczby osób do stanu duchownego, domagać się należytego kształcenia duchowieństwa, należytego zarządu dyecezyi przez biskupów, dozoru nad klasztorami. Program reformy Ostroroga obejmował prócz tego powszechny obowiązek płacenia podatków i służby wojskowej, ustanowienie administracyi i sądownictwa z ramienia króla, nakoniec usunięcie przewagi Niemców z klasztorów i będącego tam w użyciu języka niemieckiego. Wszystko razem zmierzało do jednego celu: wzmocnienia władzy królewskiej, a początkiem i punktem wyjścia być miała walka społeczeństwa świeckiego z kościelnem, walka między państwem i Kościołem.

Pan Bobrzyński mianuje Pamiętnik „pomnikiem dla Ostroga, ale także pomnikiem dla Polski ówczesnej i świadectwem jej cywilizacyi". Przystaję na pomnik dla Ostroga, choć z niejaką restrykcyą; przeciwko reszcie ośmielam się zaprotestować. Ostroróg wyprzedził w samej rzeczy swój czas, około połowy XV. wieku postawił program zasadniczy reformacyi Józefa II., ks. Bismarka, nowoczesnego państwa wszechwładnego. W tym ostatnim punkcie p. Bobrzyński widzi zapewne główną zasługę Ostroroga, powiada bowiem: „Drogą, którą podaje Ostroróg, drogą walki z hierarchią kościelną państwa i narody Zachodu doszły do późniejszego ładu, potęgi i chwały". Ład, potęga i chwała są to bardzo elastyczne termina; obok ładu, potęgi i chwały w rozmaitej mierze nabytych, państwa i narody Zachodu doczekały się wielu ujemnych, bolesnych rezultatów, które je następnie o niemoc lub upadek przyprawiły, i które zawdzięczały nie czemu innemu, jak drodze obranej, łamaniu przemocą cudzych przywilejów, *vulgo* praw, walce społeczeństwa świeckiego z Kościołem i religią, jednem słowem, pójściu do ostatnich granic za radami różnych Ostrorogów.

Porządek średniowieczny mógł się był przeżyć, nie odpowiadać

potrzebom nowego czasu, wymagać rewizyi i reformy; lecz nie szło za tem koniecznie, żeby wszystko z gruntu obalać bez wyboru, uciekać się do przemocy i gwałtu, targać wszelkie węzły, wzniecać walki, wśród których ginąć miały największe dobra ludzkości, nawet spokój i bezpieczeństwo sumień. Ostroróg chciał wprawdzie tylko niezawisłości świeckiej króla, narodowego Kościoła samoistnego, bez formalnego zerwania z Rzymem, wreszcie silnej władzy monarszej, skarbu i wojska; mógł nie przewidywać, na czem kończą narodowe Kościoły, do czego dochodzi nieograniczona władza pana absolutnego. Wiary żywej i płodnej pewno nie miał, stracił „przesądy", czyli rzeczy po imieniu nazywając, wrodzone i wychowaniem wpojone poszanowanie istniejącego porządku i obyczaju; jakkolwiek prawnik uczony, nie uszanował mocy praw cudzych, literą prawa i długiem używaniem potwierdzonych; jako praktyczny polityk, dążył do rezultatów pozytywnych i chwytał się broni gotowej, obiecującej najszybszy i najpewniejszy skutek, wojnę państwa z Kościołem, której pierwszy nie wynalazł, bo płynęła ona z ułomności natury ludzkiej i wrzała pod rozmaitą formą, mianowicie pod postacią nieposłuszeństwa stworzenia dla Stwórcy, poddanego dla władzy, od początku świata i ludzkości. Co była warta droga zalecana przez Ostroroga, do czego ona wiodła, pokazuje nam historya wieków, będąca jednym zbiornikiem świadectw, na czem kończą się podobne przedsięwzięcia, gdy ich siła rzeczy i wypadków nie powstrzyma. Człowiek bowiem sam, z dobrej woli, nie zatrzymuje się w połowie tej drogi.

Wojna przeciwko prymatowi Papieża, wywożeniu pieniędzy do Rzymu, piśmidłom z czerwonemi pieczęciami, dziesięcinom, przywilejom i swobodom Kościoła, zrodziła reformacyę religijną, odszczepieństwo, rozdarcie rodziny chrześcijańskiej, wojnę krwawą między braćmi, ucisk sumień. Sprawa zbawienia zeszła prędko na szary koniec, główną rolę poczęło grać co innego. Monarchowie uciekli się do protestantyzmu, żeby zniszczyć i złupić hierarchią, złamać wszelkie zapory jedynowładztwa; prosty lud, żeby się uwolnić od jurysdykcyi kościelnej, dziesięcin i danin. Powstały państwa nowożytne, ale jakim kosztem? Pomińmy kwestyę wiary. Za obaleniem autonomii Kościoła, poszło obalenie wszelkiego samorządu zbiorowych jednostek, upadła nawet niezależność rodziny i indywi-

dualna swoboda sumienia. Reformowani władcy pierwsi postawili zasadę, że religia panującego winna być religią poddanych. Filip II. palił heretyków, Ludwik XIV. ścigał protestantów nietylko dla osiągnienia religijnej i politycznej jedności, lecz także z religijnych pobudek; ci prześladowali katolików jedynie i wyłącznie w interesie absolutyzmu. Państwo nowożytne, wynikło z waśni religijnej i z użycia jej za środek złamania wszelkich praw, ograniczających władzę monarchy; jakkolwiek wygląda w teoryi naukowej, w życiu i praktyce nosi na sobie skutki grzechu pierworodnego, nie może istnieć bez ucisku sumień, bez niewoli jednostki, pomimo postępu wyobrażeń, zmiany w obyczajach, upowszechnienia zasady tolerancyi, równości i wolności, pomimo indyferentyzmu i humanitaryzmu. Takiem było od początku, takiem pozostanie chyba do końca czasów. Przyszła filozofia francuska z prawami człowieka i umową społeczną, z ideałem wszelakich swobód; lecz skoro wielka rewolucya jęła urządzać państwo wedle ideału filozofów, pierwszym jej krokiem było prześladowanie katolików i wszelkiej religii pozytywnej, proskrypcya, grabież, burzenie świątyń, zakaz obrzędów; dyrektoryat wzbronił targów w piątki, żeby katolikom posty utrudnić. Wszczęła się reakcya przeciwko rewolucyjnym orgiom, niemal we wszystkich państwach rządy zawarły kompromis z ludowym i liberalnym obozem, rozpoczęła się era konstytucyi i parlamentów, nauka zbudowała obraz idealnego państwa nowożytnego; mamy równość cywilną, równość polityczną mniej więcej zupełną, równość w obec podatku i karabina; lecz cóż się przytem dzieje?

Papież przestał być monarchą świeckim, żyje z jałmużny wiernych, juryzdykcya papieska obcięta; padły przywileje hierarchii duchownej, rządy mianują biskupów; z majątków duchownych ledwie szczątki ocalały, reszta utonęła w prywatnych kieszeniach, lub w marnotrawstwie rządów; duchowieństwo płaci podatki, nawet od pensyj pobieranych ze skarbu; samorząd Kościoła zredukowany do *minimum*, zostaje pod dozorem administracyjnym; pretensye swe Kościół ogranicza do rzeczy wiary i sumienia, szuka zgody i spokoju. Tymczasem pokój między państwem i Kościołem nieprzywrócony; albo wojna toczy się w najlepsze, albo chwilowe zawieszenie broni wisi na włosku, dopóki pozwala na to taktyka parlamentarna. A wojna o cóż się toczy? O wszechwładztwo państwa, posunięte do ostatnich

granic; o to, aby katolik nie mógł uczyć się katechizmu, wyspowiadać, otrzymać Sakramenta od kapłana nieopatrzonego w upoważnienie rządowe do sprawowania funkcyj kapłańskich. I to się nazywa swobodą sumienia? „Wolnego obywatela“ państwo bierze w ręce od kolebki i do grobu wiedzie na sznurku; nie wolno mu kroku uczynić bez wiedzy i zezwolenia państwa, nie wolno dzieci wychowywać inaczej, jak według reguły przez państwo przepisanej. Czemuż zawdzięczamy raka, toczącego Europę, militaryzm, jeźli nie państwu, uzbrojonemu w prawo pociągania wszystkich do służby wojskowej i do płacenia podatków? Utrzymanie olbrzymich armij stałych rujnuje wszystkie kraje po kolei, zmusza do coraz większych podatków, uboży społeczeństwa materyalnie, zwiększa zastępy demokracyi socyalnej, przyspiesza nieuniknione przesilenie i nowy rok 1848. Prędzej czy później przyjdzie do walnej rozprawy między anarchią i rządami, stanie znowu jakiś pakt między wojującymi obozami, okupiony nadaniem przywilejów „czwartemu stanowi“, reformą parlamentarną na korzyść tego ostatniego, uwłaszczeniem robotników fabrycznych. A szukając początku historyi, prostą dochodzimy drogą do rozmaitego kalibru Ostrorogów i ich recept politycznych.

Z tego powodu trudno mi się zgodzić, żeby Pamiętnik Ostroroga miał być „pomnikiem dla Polski ówczesnej i dla jej cywilizacyi“. Prędzej pochwalić można Polskę za to, że nie poszła drogą, przez reformatora wskazaną. Miarą cywilizacyi narodu nie może być ślepe chwytanie się prądów czasowych, zbawiennych lub zdrożnych, byle dominujących w świecie i opatrzonych sankcyą nauki, która jutro lub pojutrze gotowa zmienić zdanie. I dziś niekoniecznie cała bez wyjątku nauka stoi przy zasadzie wszechwładzy państwa; popiera ją nauka oficyalna, przez państwo patronowana i dążąca do monopolu, choć sama głosi maksymę: *Die Wissenschaft ist frei*, choć między samą nauką oficyalną istnieje jedność nie lepsza, jak w każdej sekcie protestanckiej, gdzie każdy w co innego wierzy. Wszak dziś każdy minister skarbu ma w zanadrzu profesora, który jego podatek chwali jako idealny; lecz zaraz profesor z naprzeciwka mu oponuje, a profesor mieszkający na rogu, obu kolegów o herezyę oskarża.

„Całe życie wolność kochałem“, rzekł Henryk Wodzicki krótko przed śmiercią, i te słowa dają się zastosować do całego po-

kolenia jego. Ostrorogowi na pomniku należałoby dopisać: Całe życie kochałem wszechwładzę państwa. I za tysiąc lat potomność zrozumie, że można było kochać wolność, kochać do przesady, ślepo, uganiać się za abstrakcyą i ideałem; najodleglejsza potomność pojmie także, że nie doświadczywszy dobrodziejstw wszechwładnego państwa, Ostroróg mógł umiłować rzecz zbliska nieznaną. Lecz czego nigdy nikt nie zrozumie, to platonicznego przywiązania do formy bytu politycznego i społecznego, mającego swą racyę w rzeczywistych stosunkach, nałożonego twardą koniecznością, którego jednak ułomność i szkodliwość, nieprawy początek i złowrogie skutki, dowodzą dzieje ludzkie i namacalne doświadczenie codzienne.

Henryk Lisicki.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

NAUKA RELIGII w szkołach przez *ks. Szymona Zuzaka* w Sanoku 1884. (Odbitka ze sprawozdania c. k. gimnazyum za r. 1884 [1].

Do niewielkiej liczby kapłanów, zajmujących się sprawą bardzo ważną nauki religii w szkołach, i od czasu do czasu odzywających się w czasopismach — z uznaniem to wspominam — należy ks. Sz. Zuzak. Broszura, którą mamy przed sobą, co do objęcia mała (sto stronnic obejmująca), ale co do treści ważna, i w dążności daleko sięgającej. Rzecz omówiona w 7 pytaniach: 1. Kto powinien uczyć w szkołach religii. 2. Kogo i czego. 3. Naukę religii należy poczynać katechizmem. 4. Rozkład materyału na pojedyncze lata szkolnej nauki. 5. Liczba godzin dla nauki religii. 6. Nauka religii w gimnazyach. 7. Kilka uwag o książkach szkolnych dla n. r. 8. Prawa kościoła i rozporządzenia władz szkolnych. Rzecz wyłożona logicznie, jasno i gruntownie; pod wielu względami i dla wielu wcale ciekawe i cenne zawiera ta broszura w sobie uwagi i wskazówki. Nużący tylko i zbyt przeładowany cytatami łacińskiemi, niemieckiemi, i polskiemi sposób wykładu i mięszanina łaciny w texcie polskim ujmuje nieco wartości broszurze. Nie myślę podnosić wszystkich zalet, jak nie ze wszystkiemi zapatrywaniami autora się zgadzam. Tak co do 1 pytania: Kto ma nauczać religii w szkołach? autor

[1] Jest to zarazem odpowiedź na artykuł pana B. Trzaskowskiego „O nauce religii w szkołach“, umieszczony w *Nowej Reformie*, nr. 38—41 roku zeszłego. (Przyp. Redakcyi).

podjął mrówczą pracę, szeroką i drobiazgową, uzasadniając to, co wszystkim znajome, że kapłani są właściwymi nauczycielami religii w szkołach; chciał snać przekonać niektórych pedagogów o tej prawdzie. Autor widocznie jest zdania, że tylko sami kapłani powinni uczyć religii, i dlatego (str. 99) nazwał niezgodnem z prawem kość. rozp. min. z dnia 29 grudnia 1879 r. dotyczące kwalifikacyi nauczycieli świeckich, dla pomocniczego udzielania nauki religii; gdy tymczasem (str. 12) cytuje dekret Stolicy Apost. 18 paź. 1876, wydany dla duchow. dyec. monasterskiej, dotyczący udzielania misyj kanon. do nauczania rel. nauczycielom i nauczycielkom pod pewnymi warunkami. Dlaczegoż w Austryi miałoby to być absolutnie złem? Dotknę drugiej drażliwej kwestyi: skoro szanowny autor (str. 18) gorliwie dopomina się (i słusznie) wynagrodzenia dla kleru paraf. za udzielanie nauki rel. w szkołach ludowych, dla czegóż (str. 99) nazywa złem rozp. min. (§. 5 ust 1869 14 maja) żądające, aby katecheci stosowali się do praw szkolnych i rozporządzeń władz szkolnych w myśl tych praw wydanych? Trzeba być konsekwentnym; jeżeli się będzie brało płacę, wtedy nauczyciel religii nie może się od praw szkolnych uchylać. 2. Czego uczyć? To wskazują książki do wykładu nauki religii przepisane. Zestawienie siedmiu próśb Ojczenasza z dwunastu artykułami wiary, z dekalogiem i sakramentami wydaje mi się sztucznem i naciągniętem, a do tego niepraktycznem. 3. Twierdzenie absolutne autora: żeby naukę religii w szkołach rozpoczynać koniecznie katechizmem, i szerokie uzasadnienie tego twierdzenia, stają w sprzeczności z planami nauki rel. w Galicyi przez Najprzew. Ordynaryaty obowiązującymi, tudzież ze zdaniem św. Augustyna (de catech. rud.): Dokładna przez opowiadanie udziela się nauka, jeżeli ją zaczniemy od tego, co napisano: Na początku stworzył i t. d. A więc poczyna się historyą bibl., a na tle historyi zbiera się dopiero pojęcia katechizmowe i formułuje w zdania i twierdzenia; w ten sposób nauka będzie także w myśli ks. Z. poniekąd poczynać się katechizmem. Więc nie koniecznie zgadza się z powyższem, co autor (54) mówi: W pierwszych wiekach nie opowiadano historyi, ale nauczano katechizmu (sic). Dodać jeszcze trzeba, że tam miano zwykle dorosłych katechumenów na uwadze. Zresztą ciekawy jestem, jak sobie katecheta da radę, jeżeli wykładając Ojcze nasz i Zdrowaś (jak ma autor str. 63) zechce się posługiwać historyą biblijną, i wnet przy I. prośbie opowie o pasterzach i Aniołach, przy II. o dobrym łotrze i śmierci św. Szczepana, przy IV. o mannie na puszczy i t. d. Czy takie wyrwane z całości opowieści dzieci zrozumieją, spamiętają? wątpię. Całkiem inaczej się dzieje, jeżeli się rozpocznie naukę historyą bibl. S. T. i pokrótce przejdzie co najważniejsze z N. T., a nie szerokiem objaśnieniem Pacierza bez poprzedniej wiadomości historyi bibl. 4. Co do rozkładu materyi na pojedyncze klasy, ja stawać będę po stronie planu dla nauki religii kons. przem., aby w każdym roku wyczerpać całość katechizmu w stosownych ramach, aby dziecko, z którejkolwiek klasy wyjdzie w życie, miało jakiś zapas całości. Słuszne jest, co autor (66) pisze o książce modlitewnej jednostajnej dla młodzieży szkolnej, ale co ważniejsza, należało wspomnieć o tem, czemu młodzież szkół ludowych od 1 listop. do Wielkiejnocy nawet w niedzielę i święta nie chodzi ze szkoły do kościoła; jeśli tak dalej pójdzie, to mimo, że mamy katol. nauczycielów i katolików w Radach szkolnych, wy-

rośnie wnet generacya odwykła od Kościoła i praktyk religijnych. Zasługę ma autor upominając się o pomnożenie liczby godzin na naukę religii w szkołach; ale mu powiem otwarcie, że jego wołanie na nic się nie przyda, jeżeli Najprzew. Ordynaryaty o to się nie upomną. Jeżeli bowiem dalej milczeć będą, natenczas świeccy posłowie (jak to było w Niższej Austryi) dopominać się będą dla swoich dzieci, aby naukę religii w szkołach nie traktowano na równi z przedmiotami podrzędnymi. Nie zapuszczam się w pyt. 6. dotyczące nauki religii w gimnazyach; tylko tem zakończę, że i w szkołach ludowych należy uczyć historyi bibl. jako systematycznej całości a nie historyjek tylko okolicznościowych; także w sobotę powinni katecheci objaśniać dzieciom perykopy Ewangelii niedzielne lub też we wilie świąt, świętalne.

X. Krukowski.

Żywot Pana. Jezusa Chrystusa Stworzyciela i Zbawiciela rodzaju ludzkiego wedle Ewangelistów świętych z rozmyślaniem nabożnem Doktorów pisma świętego krótko zebrany przez mistrza Akademii krakowskiej *X. Baltazara Opecia*, wedle edycyi Jana Hallera z roku 1522. poraz 36 i 37-my w polskim języku wydany. Gniezno, nakładem straży św. Wojciecha, w komisie księgarni katolickiej w Poznaniu 1884.

Po odnalezieniu całkowitego egzemplarza „Żywota Pana Jezu Krysta" ułożonego przez Baltazara Opecia, wydał go ks. Polkowski w 33 egzemplarzach w podobiźnie roku 1878 dla badaczów języka polskiego. Na prośbę jednak ks. Dra. Łukowskiego, aby książkę tę można włączyć do wydawnictw religijnych Straży św. Wojciecha, ogłosił drukiem ks. P. dwa nowe wydania tejże książki, z kolei 36 i 37. Pierwsze z nich popularne, z usunięciem archaizmów zastosowane do dzisiejszego języka; drugie więcej naukowe, opatrzone notatkami i waryantami odnoszącemi się do trzech najdawniejszych wydań, a mianowicie: do wydania Hieronima Wietora z 1522 i 1538 i do wydania Hallera z 1522. Waryanty te i odmiany, dodatki lub opuszczenia miały jedynie odnosić się do treści tekstu, ale nie można było pominąć różnic językowych — zaznaczono więc te, które bardziej oddalone od dzisiejszego sposobu mówienia, łatwo mogłyby być źle zrozumiane.

Pracę samego mistrza Opecia poprzedza bibliografia rzeczonego dzieła i krótka biografia autora oparta na źródłach autentycznych. Uderza fakt, że Baltazar Opeć, stale nazywany mistrzem krakowskim, a nawet „doktorem sławnej Akademii krakowskiej", nie znajduje się wcale ani w *Liber promotionum* ani w *Liber diligentiarum*, ani nawet w metryce akademickiej. Jedyny szczegół, że nasz B. Opeć był proboszczem w Siennie, zdołano stwierdzić; w aktach bowiem kapituły katedry krakowskiej, w *Liber retaxationum beneficiorum* fol. CCLXXXXIII. odszukał ks. Polkowski, że r. 1529 *Balthazar praepositus Sennensis* pod przysięgą zeznał wartość beneficyum swego.

Jakkolwiek edycya 37-ma książki Opecia, jak się wyraża ks. Polkowski, nie ma pretensyi uchodzenia za „wydanie ściśle naukowo lingwistyczne", jednak samo zachowanie tekstu pierwotnego i waryanty na marginesie umieszczone, dozwalają wniknąć nieco głębiej w ducha i ustrój języka początków XVI-go wieku. Wydanie zaś 36 przeznaczone dla ogółu czytelników rozeszło się w kilku tysiącach egzem-

plarzy wśród wielkopolskiego ludu; i to podobno korzyść najważniejsza.

W. D.

Die Heilige Mission während der Fastenzeit. *Dr. L. Nellessen.* 2. Aufl. Pustet, Regensburg, 1884. str. 335. 2 mar.

Kazania te rozpadają się na trzy części: Sposób życia dzisiejszego chrześcijanina ze stanowiska Ewangelii przedstawiony; pokuta chrześcijańska; przypowieści ewangeliczne. Rozkład materyału jest prosty: W pierwszej części wyłożoną jest zwykle nauka Ewangelii, w drugiej przedstawiony stosunek dzisiejszego chrześcijanina do tej nauki. Układ dzieła przypomina w wielu miejscach najznakomitszych kaznodziei. Tematy kazań składających część pierwszą są następujące: troskliwość o zbawienie duszy; chrześcijańskie zaparcie się siebie; wzgląd ludzki; zgorszenie; miłość bliźniego; dwom panom służyć nie można; ostatnie kazanie tej części jest nauką na Wielki Piątek. Część druga obejmuje naukę o odwlekaniu pokuty, o rachunku sumienia, o żalu, o pokucie, o zadośćuczynieniu i poprawie, o powrocie do grzechu i kazanie na Wielki Piątek. Przypowieści obejmują podobieństwa: o siewcy, o głupich pannach, o gościach zaproszonych, o bogaczu, o celniku i faryzeuszu, o synie marnotrawnym i o Samarytaninie.

W kazaniu o odwlekaniu poprawy życia nie potrafił autor dość jasno wywiązać się z trudności, którą każdemu mówiącemu o tym przedmiocie nastręcza kwestya: czy pokuta na łożu śmierci zawsze jest bez znaczenia? Św. Augustyn jest zdania, że taka pokuta „rzadko“ bywa dobrą; *sera poenitentia raro vera.*

Otóż autor może za daleko się posuwa, zamieniając „rzadko“ św. Augustyna na „zawsze“. Nie pierwszy tu wprawdzie zapatrywanie takie wypowiada, ale niemniej zdanie to powinno być złagodzonem. Bardzo praktyczne jest kazanie o pokucie, pouczające raczej niż moralizujące. Znakomicie do czasów naszych zastosowane są wykłady przypowieści. Myli się jednak zdaniem naszem autor, uważając historyę o bogaczu i Łazarzu za przypowieść tylko, gdyż tłumacze pisma św. idąc za zdaniem Ojców Kościoła, osoby te uważa za ściśle historyczne.

X. A. A.

Z dzieł historycznych.

Monumenta Saeculi XVI. historiam illustrantia. Edidit, collegit, ordinavit *Petrus Balan* SS. Dmni N. praelat. domesticus, commendator Imp. Ordinis Franc. Jos. Volumen I. Clementis VII. epistolae per Gadoletum scriptae, quibus accedunt variorum ad Papam et ad alios epistolae. Oeniponte. 1885.

Poważna ta i niemałej doniosłości dla historyi pierwszej połowy XVI. wieku publikacya, jest do pewnego stopnia apologią Klemensa VII. Zarzucano temu Papieżowi, że za nadto był politykiem, za mało ojcem chrześcijaństwa; że do pogodzenia powaśnionych królów i książąt brał się leniwo, że bywał stronniczym, dla Karola V. zbyt wyrozumiałym. Otóż listy tego Papieża, ogłoszone w zbiorze

Balsana, wykazują bezpodstawność tych zarzutów. Redagował je sekretarz papieski, biskup Karpentoraktu, Jakób Sadoletis, wielki zwolennik humanizmu, piszący ciceronowską łaciną nietylko listy, ale i uczone rozprawy o filozofii i poezyi. R. 1536 został kardynałem. Poprawki w brulionie tych listów czynił sam Klemens VII., albo z polecenia i w myśl jego sekretarz Sadoleti. Bruliony te, rozrzucone w archiwach: Watykanu, Mutyny i Modeny, zebrał starannie prałat papieski, Piotr Balan i wydał je w tomie niniejszym wraz z poprawkami, umieszczonemi drobnym drukiem u spodu tekstu. Wydanie staranne, brak tylko nagłówków, streszczających tenor listu, brak wszelkich komentarzy, co niesłychanie utrudnia zoryentowanie się w takiej mnogości dokumentów. Umieszczony przy końcu tomu spis nazwisk *Index nominum* nie zapełni tego braku.

Zbiór cały rozpada się na dwa działy. Dział pierwszy: Brevia ad Principes Clementis VII. ab a. 1524 ad 1528, listy Klemensa VII. w formie breve do panujących do książąt i wybitniejszych dygnitarzy i osobistości w różnych państwach Europy. W dziale tym, liczącym 195 listów, następujące dokumenta tyczą się Polski. a) Breve z d. 19 maja 1525 do prymasa Polski Jana Łaskiego. Wzywa go Klemens VII., aby nakłonił króla Zygmunta i senatorów do energicznej obrony wiary kat. przed nadciągającą wstępnym bojem herezyą. Nadaje prymasowi pełną władzę przyjmowania nawracających się apostatów do jedności kościelnej i zwolnienia ich od wszelkich cenzur, oraz do karania temiż cenzurami upornie w herezyi trwających. Prymas może tę pełność władzy subdelegować innym, a w spełnieniu jej przyzwać może, gdyby była tego potrzeba, pomocy *brachii saecularis*.

b) Breve z dnia 1 lipca 1525 do Zygmunta I. — Papież dziękuje królowi za pośrednictwo w celu nakłonienia Czechów do uległości Stolicy św. i poświadcza wiarogodność posła swego do Węgier, barona Burgii.

c) Breve z d. 20 lipca 1525 r. do króla Zygmunta i królowej Bony. Donosi Papież, że polecił legatowi swemu w Hiszpanii i nuncyuszowi w Niemczech, — prosił zaś o to samo cesarza niem. — aby poparli gorąco odebranie „zamku“ Baru na rzecz Bony.

d) Breve z dnia 20 lipca 1525. Pochwala Klemens VII. zawieszenie broni z Turkiem, ale nie pochwala pokoju, zawartego z mistrzem krzyżackim, Albrechtem... „pochwalilibyśmy chętnie ten układ, gdyby ten, z którym, złożywszy nieprzyjaźń, zawarty pokój... godnym się okazał takiej wspaniałomyślności i łagodności“. Wyraża dalej nadzieję, że król dołoży starań, aby w Prusiech katolicka wiara przywróconą została, i przyrzeka mu wszelką w tej mierze pomoc.

e) Breve z 21 sierp. 1525 do królów Polski i Węgier wyraża radość Papieża z sojuszu tych królów, zachęca Ludwika do podźwignięcia Węgier ze stanu upadku i do ratowania wiary kat.; Zygmunta zaś w szczególności prosi, aby się zaopiekował szczerze młodym królem Ludwikiem.

f) Breve z dnia 18 list. 1525 do w. k. Moskwy, Wasyla Iwanowicza III. — Klemens VII. w odpowiedzi na poselstwo W. księcia Moskwy wysyła swego posła, Jana Franciszka, biskupa skareńskiego, w celu doprowadzenia do skutku obietnic Wasylowych. Obiecywał zaś Wasyl Iwan, że „w połączeniu i jedności z Papieżem wojować będzie przeciw niewiernym“.

g) Breve z tejże daty do króla Zygmunta. Dziękuje Papież królowi, że gościnnie podejmował posłów Wasylowych do Rzymu, Pawła i Dymitra;

prosił go, aby równie uprzejmie przyjął swego posła, biskupa Jana Franciszka, który ma polecenie „szukać u króla pomocy i rady we wszystkiem". Zamiary Klemensa VII., zawarte w tych słowach: „do tej nowej sprawy za natchnieniem Bożem zabraliśmy się, ażebyśmy z księciem Moskwy zrobili próbę, ażali nie uda się go nakłonić i nagiąć go do wiary katolickiej i do zgody z chrześcijańskimi pany a zwłaszcza z waszą królewską mością. Spodziewamy się osiągnąć to wtenczas..., jeżeli ty nas jakby za rękę po prawej drodze poprowadzisz".

h) Breve z tejże daty do czterech prałatów i tyluż panów polskich. Wzywa ich Papież, aby radą i pomocą wsparli posła papieskiego do Moskwy, biskupa Jana Franciszka.

Drugi dział zawiera 82 listów od Karola V., różnych książąt, prałatów, panów, miast i rzeczpospolitych do Papieża Klemensa VII., oraz dokumenta, tyczące się spraw włoskich. Z tych dokumentów następujące tyczą się Polski i Rosyi.

a) List królowej Bony do Klemensa VII. z dnia 22 czerwca 1524 r. w sprawie Baru; prosi o pomoc w odebraniu Baru i o łaskawe wysłuchanie prałata Salviate.

b) List Zygmunta i Bony do kard. Compegio z d. 8 sierp. 1524. Proszą go, aby poparł ich posła Stanisława Borgh (sic), kanonika krak., do arcyks. Ferdynanda, w sprawie odzyskania na rzecz Bony księstwa Baru.

c) List Zygmunta I. do Klemensa VII. z dnia 13 sierp. 1524 r. w tejże sprawie. Król skarży się na nieprawe zajęcie Baru przez wicekróla cesarskiego, wyjaśnia swe prawa do tego księstwa, przypomina swe zasługi broniąc wiarę św. od pogaństwa i od herezyi, w końcu prosi, aby Papież polecił nuncyuszowi swemu u cesarza, iżby ten poparł słuszne żądania polskiego posła, wyprawionego dopiero co aż do Hiszpanii i oddanie Baru do skutku przyprowadził.

d) Instrukcya króla Zygmunta I., dana d. 10 kwiet. 1526 r. na zamku malborskim biskupowi skareńskiemu, Janowi Franciszkowi, papieskiemu posłowi do Moskwy. Na wstępie wątpi król o pomyślnym skutku legacyi, „gdyż dotrzymanie traktatów i przysięga żadnej wagi nie ma u niego" (w. k. Wasyla). Dalej poleca mu, aby oświadczył Wasyłowi, że w imieniu Papieża pracował nad zawarciem pokoju między królem polskim a nim, że król polski pomimo krzywd, od Wasyla doznanych, przez cześć dla Papieża i dla dobra chrześcijaństwa, nakłania się do zawarcia pokoju pod warunkiem zwrotu Smoleńska, który już po zawarciu pokoju Wasyl zdradą zajął. Jeżeli się na ten warunek nie zgodzi Wasyl, co prawie jest pewnem, wtenczas o stałym pokoju nie ma mowy; można tylko układać się o przedłużenie zawieszenia broni, i w tym celu król polski gotów jest przysłać swoich komisarzy. *S. Z.*

Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce przez *Juliusza Falkowskiego*. Tom III. 1884.

Z prawdziwem uznaniem i pod wpływem miłego wrażenia, witamy tom 3-ci Obrazów J. Falkowskiego. Niemasz w nich prawie tego chelpliwego autorskiego ja, tak często niestety pojawiającego się w utworach wielu dzisiejszych pisarzy; tu autor jakby ukryty, pozostawia ocenę swego utworu czytelnikowi nie mącąc narracyi zbytecznemi objaśnieniami, tłómaczącemi tylko osobiste jego poglądy.

To też p. Falkowski, z ujmującą prostotą, a jednak umiejętnie stawia nam przed oczy wdzięczny obraz epoki mało dotychczas opracowanej, lubo

bardzo nam bliskiej. O tych czasach prawił nam dziadek przy domowem ognisku, dziadek, który czynną w nich odegrywał rolę, a których ręka dziejopisa-krytyka pochwycić jeszcze prawie nie zdołała. Dzieje to z lat 1809 do 1811, okres działalności wielkiego Napoleona, którego błyskawiczna polityka pogrążała całe grupy europejskich narodów w świat marzeń, illuzyi, częstokroć niezisziczonych nadziei, tłocząc jednych, rozdmuchując iskrę politycznego odrodzenia w drugich, a wszystkich zarówno pociągając za swym zwycięskim rydwanem, pochłaniającym niezliczone ofiary krwi, mienia. . ofiary, które kiedyś, w oddalonej dopiero przyszłości okupione być miały. W księdze przeznaczeń jednak inne losy zapisała mu Opatrzność, i padł ów potężny Cezar Zachodu a potęgę jego skruszyły, nie armie nieprzyjaciół, nie działa, lecz walka żywiołów, mroźna zima Północy. Upadek, zniszczenie moralne i materyalne nadsekwańskiego władcy pociągnęło za sobą i pogrzebało nadzieje narodu, który mu ślepo zaufał, a o którym przepomniał niewdzięczny więzień z św. Heleny.

Ten to właśnie smutny, dziejowy nasz okres, wziął sobie za zadanie przedstawić nam autor Obrazów. Pomocniczemi dlań źródłami, były współczesne pamiętniki: Sołtyka, Koźmiana, Ostrowskiego, i innych, z których zręcznie ujął co było zbyteczne, porównał, dopełnił innemi, i utworzyła się z tego całość sumienna i malownicza zarazem — rzetelny obraz z tych czasów. A nie same tylko dzieje wojenne kreśli nam autor, maluje on zarazem stan i nastrój społeczeństwa ówczesnego w Warszawie i na prowincyi, kreśli działalność towarzyską, literacką, ba, nawet dotyka rozwoju sztuki ówczesnej, spraw teatru narodowego w Warszawie. Co do tych ostatnich, posiłkuje się wyciągami z prywatnej korespondencyi p. Nakwaskiej, żony prefekta ówczesnego w Warszawie, jedynej bodaj niewiasty poważnej, surowej, w hulaszczem ówczesnem społeczeństwie. Powiedzieliśmy już, że własnych poglądów autora spotykamy w tej pracy nie wiele, a skromność ta autorska wyszła na dobre książce, nie przeszkodziła mu jednak skreślić wiernie niektóre postacie jak n. p. Napoleona i drugą, już więcej promienną, X. Józefa Poniatowskiego, co już nadaje „Obrazom“ barwę ściśle historyczną i podnosi ich wartość.

M. S.

Minin i Pożarskij. Praca *Iwana Zablielina* Moskwa. 1883 r.

Dwóch historyków rosyjskich zajmuje się specyalnie t. zw. okresem niepokojów („smutnoje wremia“ od r. 1605—1613): Kostomarów i Zabielin. Lecz obaj stoją na wręcz przeciwnych stanowiskach i wychodzą z odmiennych punktów zapatrywania. P. Kostomarów jest przeciwnikiem apoteozowania własnych dziejów w ogóle, a w szczególności niektórych ulubionych postaci, na tej zasadzie, iż tam, gdzie naród pełen świeżych sił i energii, a ufny w lepszą przyszłość, „historyk może śmiało wznieść się po nad przesądy i patrzeć bezstronniej i trzeźwiej na przeszłość swej ojczyzny; przeciwnie w społeczeństwie niezdrowem, chylącem się ku upadkowi, historyk cofa się w przeszłość i obchodzi się z nią z całem namiętnem, jednostronnem uwielbieniem“.

Zupełnie inaczej na tę kwestyę zapatruje się jego antagonista, I. Zabielin. Według jego zdania, bez idealizowania przeszłości, nie może być prawdziwej „historyi narodowej“; tylko zły, nikczemny naród nie ma w swych dziejach nic, z czego mógłby być dumnym, a więc zbywa mu i na szacunku dla swej przeszłości. Czyż nie

skutkiem tego, pisze Zabielin, większość inteligencyi rosyjskiej spotyka się ze surowym zarzutem, iż „nie ma gruntu pod sobą, nie ma narodowego poczucia, a zatem i pod względem moralno-umysłowym chwieje się za powiewem wiatru na różne strony".

Ta różnica w zapatrywaniach obu historyków, odbiła się szczególniej na popularnych postaciach z okresu walki narodowej przeciwko Polakom: ks. Pożarskim i kupcu Mininie. Ks. Pożarskij, który u Kostomarowa uchodzi za człowieka ograniczonego i nietęgiego wodza, w ostatniej pracy Zabielina przedstawia się jako wódz, stojący na wysokości swego wielkiego zadania, pełen rozumu, zdrowej rady, i cnoty rycerskiej. Kupiec Minin, podług Kostomarowa: człek dzikiego obyczaju, okrutny, chciwy władzy i niesumienny w kwestyach pieniężnych; pod piórem jego przeciwnika staje się bezinteresownym i czystym, ulubieńcem narodu, pełnym poświęcenia bohaterem.

Z powodów wyżej podniesionych, cała praca Zabielina, jest nieustanną polemiką z Kostomarowem. *Sulima.*

Notatka bibliograficzna z powodu III. tomu „Malowniczej Rosyi" (Litwa i Biała Ruś, przez A. H. Kirkora). Przez *Białorusina*. Wilno. 1884.

„Notatka bibliograficzna", wydana z powodu III. tomu „Malowniczej Rosyi", jest odbitką z prawosławnych „Litewskich Dyecezalnych Wiadomości". Autor jej ukrywszy się pod nazwą Białorusina, rzuca się na A. H. Kirkora za jego dzieje Litwy i Białej Rusi, umieszczone w 3-im tomie „Malowniczej Rosyi". Chociaż one wyszły w wydawnictwie rosyjskiem i po rosyjsku, to jednak twierdzi Białorusin z „Litew. Dyecez. Wiadomości", iż napisane zostały w celach propagandy poglądów polskich.

Zarzuty czynione trzeciemu tomowi „Mal. Rosyi", są dosyć charakterystyczne. Najpierw gniewa się Białorusin na p. Kirkora, iż korzystał ze źródeł wyłącznie prawie polskich, a pominął rozmaite cenne wydawnictwa rosyjskie z lat ostatnich, jak akty komisyi kijowskiej i archeograficznej komisyi wileńskiej, prace metropolity Makarego. prof. Kojałowicza i t. d.

Następnie zarzuca, iż w rzeczonym tomie znajdują się rysunki licznych kościołów katolickich i potrety znakomitych Polaków, urodzonych w tamtym kraju, a brakuje portretów takich osób, jak M. N. Murawjewa (byłego generał-gubernatora wileńskiego), P. N. Batiuszkowa i innych „użytecznych pracowników" około dobra Litwy.

Mówiąc o początkach i rozwoju oświaty na Litwie, pan Kirkor ku wielkiemu niezadowoleniu autora „Notatki Bibliog.", przypomina zasługi Giedyminowiczów i Olgierdowiczów, Stefana Batorego i Jana Kazimierza, Komisyi Edukacyjnej i ks. Adama Czartoryskiego, a pomija milczeniem imiona rozmaitych kuratorów wileńskiego okręgu naukowego, przynajmniej z ostatnich lat dwudziestu.

Nareszcie i tego przebaczyć nie może, iż p. Kirkor skonstatował w swej pracy upadek moralności ludu litewskiego w ostatnich czasach z wyjątkiem tej części kraju, jak n. p. na Żmujdzi, gdzie katolicyzm utrzymał się w całej mocy. Ażeby przeciwko temu twierdzeniu użyć jakiegoś skutecznego argumentu, białoruski współpracownik „Litew. Dyecez. Wiad." przypomina t. z. „koniokradztwo", chociaż powszechnie wiadomo, iż nazwa i rzecz sama na wielkie rozmiary jest produktem importowanym na Litwę w czasach najnowszych.

Przy tej sposobności zwracam uwagę na wyjście jedynastego tomu „Malowniczej Rosyi“. (Syberya Zachodnia. Wydanie spółki M. O. Wolf. Pod ogólną redakcyą P. P. Semenowa. Petersburg. 1884 r.) Na niego złożyły się prace najgruntowniejszych znawców Syberyi, jak Radłowa, Polanina, Jadrincewa, Łatkina, Polakowa. Chociaż kraj ten bezpośrednio nas nie obchodzi, to jednak zbiegiem okoliczności ściśle związany z losami niejednego z naszych współziomków i dlatego może obudzić pewien interes. *Sulima.*

Geschichte der deutschen Nationalliteratur, nebst kurzgefasster Poëtik für Schule und Selbstbelehrung von *G. Bruger;* 7 verbesserte und vermehrte Auflage. — Freiburg. Herder, 1884. L. LXXVIII. 775. m. 6.

Obok cennych dzieł Vilmara i Lindemana, zajmuje książka Brugera tem wybitniejsze miejsce, że się zajmuje szczególniej nowszą i najnowszą literaturą (635 str.), podczas gdy tamte zwracały swą uwagę przedewszystkiem na literaturę staroniemiecką i średniowieczną. Sprawi prawdziwą przyjemność widok tylu katolickich pisarzy przedstawionych w należytem świetle, których cały tłum akatolickich autorów historyi i literatury pominął milczeniem, albo zbył kilkoma, nic nie znaczącemi słowy.

Odczyty z dziejów zachodniej Rosyi (Litwy i Rusi). *M. Kojałowicza.* Nowe wydanie, przerobione i uzupełnione. Petersburg, 1884. Z mapą etnograficzną.

Aż nadto dobrze znane są tendencye Kojałowicza, profesora prawosławnej duchownej Akademii w Petersburgu, abym tutaj miał się nad niemi rozwodzić. Sama nazwa, używana przez niego nieustannie, „zachodniej Rosyi“ dla ziem litewsko-ruskich, jest najlepszym wyrazem poglądów autora na traktowany przedmiot. O spokoju i objektywności w opowiadaniach historycznych, naturalnie, i mowy być nie może. Najnamiętniej przedstawiony jest okres rozbiorów. Polityka Aleksandra I-go, przez czas niejakiś uwzględniająca do pewnego stopnia prawa i potrzeby narodowe mieszkańców z ziem litewsko-ruskich, znajduje w panu Kojałowiczu gwałtownego przeciwnika.

Nie można jednak twierdzić, aby prace jego były zbyt poczytne. Od czasu wyjścia pierwszego wydania r. 1864, upłynęło do ukazania się drugiego, lat dwadzieścia i to — w okresie rozbudzonego patryotyzmu rosyjskiego w tym mianowicie kierunku. *Sulima.*

Wilno i okolice. Przewodnik i książka historyczno-informacyjna, z planem miasta Wilna, 9 rysunkami i mapą gubernii wileńskiej. Wilno, 1883.

Przeznaczenie tej książki wyrażone w samym tytule. Autor miał przedewszystkiem na celu podróżników, nieznających miasta i kraju, a więc, jak sam się przyznaje we wstępie, nie ma w niej nic takiego, coby nie było znanem innym wydawnictwom polskim i rosyjskim. Część historyczną opracował podług artykułu profesora Uniwersytetu petersburg. Wasilewskiego, umieszczonego w wydawnictwie Batuszkowa „Zabytki starożytności rosyjskich w zachodnich guberniach cesarstwa“. Oprócz tego jednego, żadnych innych źródeł autor „Wilna i okolic“ nie cytuje; nie powołuje się nawet na prace Kirkora, z którego czerpał wiadomości archeologiczno-historyczne pełną garścią. *Sulima.*

Znakomitsze i zagadkowe postacie w. XVIII. i XIX.

przez *E. P. Karnowicza*, z 13 rycinami. Peter., 1884. r.

Jest to dziesięć biografii osób głośnych w dziejach bądź powszechnych, bądź rosyjskich, jak Maurycego Saskiego („Marszałka Saskiego"), naturalnego syna Augusta II., dyrektora poczt w Prusach Wagnera, Kawalera d'Eon'a, Aleksandra Cagliostro, Anny Maryi Dogrumowej, księżny Elżbiety Kingston, ks. A. A. Bezboroska, r. t. d., których postępowanie z różnych powodów nie zupełnie zostało wyjaśnionem, a przynajmniej było osłonięte pewną tajemniczością. Autor rzecz swoją traktuje poważnie, na podstawie ścisłego badania źródeł historycznych. Tylko biografia Anny Dogrumowej, znanej z procesu r. 1785 za Stanisława Augusta, może nas bliżej interesować. *Sulima.*

Pamiętniki hr. Stanisława Małachowskiego. Wydał *Wincenty hr. Łoś.* T. I. Poznań. 1885.

Przygody pojedynczego człowieka, w pamiętnik spisane, zawsze są materyałem malującym epokę, która takie jednostki wydała. Z tego też stanowiska jedynie, powiemy słów parę o pamiętnikach hr. Stan. Małachowskiego. Szczegóły w nich zawarte, obejmują lata od 1770 do 1831, przez niejedno zdolniejsze pióro wielokrotnie opisane; mało historycznego przedstawiają interesu.

Praca cała podzielona na księgi, z których pierwsza poświęcona całkowicie osobistym wspomnieniom młodości, druga zaś zawierająca opis a raczej zbiór także osobistych wrażeń, z podróży do Konstantynopola, którą autor odbył przy boku Piotra Potockiego starosty strzeżowskiego, mianowanego wówczas ambasadorem do Porty. W trzeciej dopiero podążamy za autorem do Możajsk, gdzie na czele polskich ułanów, powiększał zwycięzki korpus generała Latour-Maubourg, i następnie z nim wchodził do Moskwy. Klęska wielkiego Napoleona rozprasza i polskie pułki. Małachowski wpada w ręce nieprzyjaciół, którzy zsełają więźnia na wygnanie do Tweru a następnie do Tambowa. Z tej epoki swojego życia, podaje nam autor szczegóły najdrobniejsze, wiążąc wrażenia swoje z charakterystyką tuziemców, badaną bardzo powszechnie.

W końcu znajdujemy sporą wiązankę listów do żony, z wygnania pisanych, w których odzwierciedla autor pamiętników stan duszy i umysłu swego. Wielbiciel Voltaira i Roussa, od nich *Credo* swoje zapożycza, a niechętny i uprzedzony przeciw duchowieństwu katolickiemu, w prawosławnem usiłuje odkryć dodatnie strony, polecając siebie „greckiemu, katolickiemu, wreszcie jedynemu Bogu całego świata" (str. 154). Wydawca ukazał nam ramotę Małachowskiego w szacie tak strojnej i ozdobnej, że prawdziwie żałować nam przychodzi tyle trudu łożonego na pracę zkądinąd bezwartościową, zwłaszcza gdy tyle cennych materyałów historycznych po archiwalnych zbiorach naszych spoczywa odłogiem, napróżno oczekując ogłoszenia ich światu. *M S.*

Z dzieł literackich.

Pan Tadeusz Mickiewicza. Studyum estetyczno-literackie. Napisał *Dr. Henryk Biegeleisen.* Warszawa 1884.

Na uświetnienie 50-letniej rocznicy napisania Tadeusza pojawiło się poważne wszechstronne studyum nad tem arcydziełem literatury naszej, tem cie-

kawsze, że skreślił je człowiek pochodzeniem, tradycyą, a nawet wiarą, — p. Biegeleisen jest bowiem Izraelitą — obcy społeczeństwu, które Mickiewicz opiewał i uwiecznił w swym Tadeuszu. Jest to anatomiczny rozbiór arcydzieła jeniuszu. Skulpelem stare przez Kwintyliana i Horacego podane klasyczne prawidła poematu epicznego, i nowożytna metoda krytyki. I oto zaraz nasuwa się pytanie, czy utwór geniuszu może być zawsze i wszędzie podciągnięty pod ustalone reguły i metody, czy właśnie nie na tem polega wartość i potęga geniuszu, że on sam tworzy nowe drogi i koleje — i wyrabia swój własny sposób pojmowania i przedstawiania rzeczy? Powiedzieliśmy zawsze i wszędzie bo na to zgoda być musi, że i geniuszowi nie wolno wyłamywać się z pod kontroli zdrowego rozumu i prawideł loiki. Mickiewicz wykształcony na wzorach klasycznych, profesor klasycznej literatury, znał te prawidła, i nie myśląc może o nich stosował się do nich; nie można jednak żądać, aby twórca poezyi romantycznej zawsze się nimi krępował. Otóż zdaje nam się, że Dr. B. w swej analizie, zawsze sumiennej, miejscami bardzo drobiazgowej, pewnik ten nie zawsze potrafił uwzględnić. Utworzył on sobie metodę krytycznego studyum nową, przynajmniej niezwyczajną a dosyć szczęśliwą. W obszernym na LXXXVIII. stronnicach wstępie opowiada nam dzieje narodzin Tadeusza. Znajdziesz tam wyborną charakterystykę bezowocnych, bo bez ładu a żółcią zaprawionych zabiegów i robót emigracyi po 1830 (str. IX—XI), od której Mickiewicz stroni i ucieka, łączy się za to i brata z wybitniejszymi osobistościami Francyi i Polski, przestawiającymi kierunek religijno-konserwatywny. Znajdziesz tam mnóstwo nieznanych lub mało znanych szczegółów objaśniających ten niesłychanie zajmujący proces, jaki odbywał się w duszy poety, gdy pisał Tadeusza. Opowiedziawszy genezę poematu szkicuje autor „obraz życia szlacheckiego“ tak jak ono przedstawione w Tadeuszu, str. 1—58. I właśnie to, już podobno niepowrotne, zaściankowe i szlacheckie społeczeństwo, oto właściwy główny bohatyr poematu: Tadeusz lub ks. Robak to tylko wybitniejsze postacie, i napróżno narzeka krytyka, że poematowi brak głównego bohatyra w guście wirgiliuszowskiego Eneasza. Obraz ten jest zarazem streszczeniem i ogólną charakterystyką poematu. Tytuły drugiego i trzeciego rozdziału Przedmiotowość i podmiotowość Mickiewicza w Panu Tadeuszu rażą nieco swoją zbyt szkolną nomenklaturą a nie zdają nam się być potrzebne. Można je było zlać w jedno wygodnie i podnieść zwięźlej a dosadniej twórczość poety, który umiał być takim realistą, że poemat jego nietylko „wzięty z życia“ jak inne poezye romantyków, ale „jest życiem samem“, a pomimo to tak jest idealnie pięknym, lekkim i przejrzystym, że nietylko w przytoczonych przez Dra B. epifonematach, ale w każdym obrazie i w każdym ustępie poematu przebija czysta, piękna, głęboko myśląca, często lirycznie nastrojona dusza poety. Czwarty z kolei rozdział nosi tytuł: Malowniczość w Panu Tadeuszu. Zadanie nie lada podnieść i uwydatnić talent obrazowania, plastykę poety. Co jest w Tadeuszu coby nie było malownicze, plastyczne, naszkicowane tak udatnie, nałożone farbą tak gustownie, że czytając, żywe obrazy ludzi i wypadków przesuwają się w wyobraźni, a każdy malarz przelałby je z łatwością na płótno? To też Dr. B. podnosi coraz to nowe malownicze postacie i sceny, (zapełnił nimi prawie czwartą część swej książki str. 114—266), a

jeszcze nie wszystkie je wspomniał i urozmaica jednostajność swego podziwu analogią mickiewiczowskiej rzeźby z malarskim talentem Homera, Goethego, Byrona, W. Scota, i t. d. z fantazyą Krasińskiego i Słowackiego. Dowodzi to może niemałej erudycyi autora, ale nie objaśnia przedmiotu, który blaskiem swej prawdy sam z siebie bije w oczy. Ostatnie cztery rozdziały: Epizody, Dyalog, Technika homerowska, Styl Mickiewicza w Panu Tadeuszu mają już tylko wartość chyba dla profesorów i szkoły. Rozpoczyna się traktat o epizodach sentencyą, której trudno domacać się sensu. „Porównaliśmy kompozycyę epiczną do dwóch kół dośrodkowych, z których większe zakreśla całe życie narodu w pewnej epoce, mniejsze odgranicza jednolity organizm głównej akcyi poematu. Ogniwami połączenia i wzajemnego oddziaływania tak zakreślonych kół są epizody zapełniające to mniejsze środkowe koło, treścią obszerniejszego“ (str. 269). Niech to zrozumie kto może; szczęściem w książce Dra B. takich ciężko uczonych ustępów niewiele. Epizody i dygresye będąc opowiadaniem drugorzędnych, nie wchodzących w skład głównej akcyi epicznej wypadków, służą właściwie do urozmaicenia i ozdoby i tylko niekiedy stają się łącznikiem pojedynczych działów głównej narracyi. Trudno też zrozumieć, czy zdaniem Dra B. Mickiewicz zawinił przeciw klasycznym prawidłom opowiadając „w własnej osobie przeważną część akcyi“, tak, że „na 9758 wierszy Pana Tadeusza przypada tylko 3823 wierszy dyalogu“ (str. 284). Cały ten rozdział wydaje nam się nieco drobiazgowy, przewlekły, bez rzetelnej korzyści dla estetyki i sztuki. Chwilową tę nudę wynagradza sowicie przedstawienie, do jakiego stopnia znajomość starych klasyków, zwłaszcza Homera, którą celował nasz Mickiewicz, wpłynęła na wyrobienie jego stylu (str. 308—311) wrzekomo tak pojedynczego i prostego, że każdemu zda się, iżby i on tak samo napisać potrafił a w gruncie rzeczy tak artystycznego i wykwintnego. Styl ten jak słusznie powiada Dr. B. jest „charakterystyczny, indywidualny i zawsze zastosowany do treści... cechuje go wielka rozmaitość i sztuczność“. Artyzm ten przebija przedewszystkiem w doborze epitetów i w porównaniach.

Oto treść książki; usterek w niej mało, pracy sumiennej wiele, erudycyi i talentu podostatkiem.

S. Z.

Kompletny zbiór pism *ks. Piotra Wiaziemskiego.* Tom IX. Petersburg. 1884.

Najpierw wyszły pisma literackie tego autora w siedmiu tomach. Od ósmego zaś zaczęto drukować wyciągi z jego „silva rerum“, których pozostało po nim 37 ksiąg. Są to wszelkiego rodzaju myśli, poglądy, notatki z podróży, anegdoty, wyjątki z dzieł przeczytanych i t. d. Niektóre z nich bywały luźnie, jakby od niechcenia rzucane na papier; inne — traktowane prawie z naukową ścisłością — mogłyby stanowić osobną broszurę lub rozprawkę. Wszystkie jednak odznaczają się obszerną wiedzą i znajomością stosunków, a głównie samodzielnością i oryginalnością poglądów.

Najdokładniej prowadził Piotr Wiaziemskij notatki z podróży do Polski, Estonii, rozmaitych części Rosyi, po wszystkich prawie krajach Europy i na Wschód.

Dla scharakteryzowania poglądów autora na sprawę polską, przytoczę dwa ustępy z IX-go tomu: jeden pisany podczas powstania roku 1831, a drugi zaraz po wzięciu Warszawy. „Nie okazujcie Polakom dobrodziejstw

w rzeczywistości, a tylko prawcie im o dobrodziejstwach. Oni tak dbają o zaszczyt uchodzenia za szlachetnych i mężnych, iż z powodu samych słów o cnocie i męztwie polazą na ściany. Lecz cnoty ich wszystkie teatralne. Napoleon był dla nich najodpowiedniejszym. Oni zawsze gotowi zamienić słońce na fajerwerk. Mowa wygłoszona przez cesarza w sejmie, droższą jest dla nich nad wszelkie jego dobrodziejstwa. Nie można powiedzieć, aby byli żądni sławy, raczej żądni rozgłosu. Im na tem nie zależy, żeby w domu być szczęśliwymi, lecz żeby popisać się przed Europą. Polityczni Don Kiszoci..." Po upadku zaś powstania wciągnął do swej księgi pamiątkowej taką uwagę: „Oto i ostatni akt krwawego dramatu..." Co będzie potem? Przy pierwszej wojnie, przy pierwszym ruchu w Rosyi, Polska powstanie przeciwko nam, albo trzeba będzie postawić rosyjskiego wartownika przy każdym polaku. Jest jeden środek: porzucić Królestwo Polskie jak uwalniamy niegodziwca, którego ani trzymać u siebie nie możemy, ani oddać w rekruty".

Nie zgadzając się wcale z trafnością ostatniego porównania, możemy jednak przyjąć konkluzyę ks. Wiaziemskiego. *Salima.*

Jan Brożek (J. Broscius), akademik krakowski. 1585—1652. Jego życie i dzieła, ze szczególnem uwzględnieniem prac matematycznych. Ze źródeł rękopiśmiennych opracował *Jan Nep. Franke.* Wydanie Akademii umiejętności ku uczczeniu trzechsetletniej rocznicy urodzin Brożka. (Z wizerunkiem Jana Brożka). W Krakowie 1884. 8° str. 303.

Po świetnych czasach w XV. i XVI. wieku, Uniwersytet krakowski smutny przedstawia widok w wieku w XVII. To prawdziwe „ministeryum oświaty" w Polsce, które niedawno temu nie ustępowało w niczem równorzędnym instytucyom zagranicznym, nie rozwijało się na równi z Zachodem, zasklepiło się samo w sobie i żyło tylko resztkami dawnej sławy, a nie przestawało rościć sobie pretensyj do naczelnego stanowiska w państwie. W walce z Jezuitami o zakładanie szkół, wydobywa dawne przywileje, chwali się zasługami dawnemi, ale zapomina o tem, że nie spełnia należycie swego zadania, zapomina, że najdzielniejszą bronią przeciw obcym uroszczeniom w tym wypadku byłaby zasługa własna około szerzenia oświaty, własna potęga moralna i naukowa. Dyktatorstwa nie nadaje się, nie wykazuje się do niego prawa papierami, ale się je bierze szturmem. Prawdziwie wielki człowiek nawet w nieszczęściu jest wielkim, ale nasza Akademia nawet w tej walce z Jezuitami, jakże jest niekonsekwentną i słabą! Daje pozwolenie zakonowi na zakładanie szkół w Krakowie, a potem cofa się i udaje, że układ nie był prawomocnym: nie czuje nawet jak nisko upada, złoszcząc się przed możnowładzcami i broniąc swych praw na drodze uwłaczającej jej godności, za pomocą pism ulotnych.

Jedną z największych potęg naukowych na Uniwersytecie w XVII. był Jan Brożek i jemu to poświęcone jest dzieło, które mamy przed sobą. Geneza jego taka. Na trzecim zjeździe lekarzy i przyrodników roku 1881 w Krakowie, uchwalono uczcić pamięć trzechsetletniej rocznicy urodzin Brożka przez wydanie monografii o jego życiu i dziełach. Akademia Umiejętności podjęła się wydania tej monografii i nagromadzenia potrzebnych materyałów, a p. Franke podjął się opracowania. Taka jest historya tego

dzieła, dokonanego, jak tego już nazwisko autora jest rękojmią, wielkiej staranności, sumienności i znajomości rzeczy.

Dotąd o Brożku mało się wiedziało, samo brzmienie jego nazwiska było niepewne. On sam pisał się po łacinie Broscius, a późniejsi wnioskowali stąd, że nazywał się albo Broski albo Brocki, albo też Broszcz. Akta uniwersyteckie wykazały, że najprawdopodobniej nazywał się Brożek. Nie był też znany i rok jego urodzenia. Mniemano prawie powszechnie, że się urodził roku 1581. Tymczasem prezes Akad. Umiej. Dr. Józef Majer już w roku 1842 podał rok 1585 jako datę urodzenia Brożka w Kurzelowie, w województwie sieradzkiem, co też obecnie zostało stwierdzone. Pierwsze nauki pobierał w rodzinnem miasteczku; w 19 roku życia jest uczniem wydziału filozoficznego w Krakowie, a 10 lat później jego profesorem. Oddawał się głównie matematyce i dzieła jego w tym kierunku są najważniejsze. Zajmowała go także astronomia, stąd też obudziło się u niego wielkie uwielbienie dla Kopernika. Przedsięwziął nawet podróż do Torunia, aby pozbierać o nim wiadomości. Postarał się o listy Kopernika, z których dwa ogłosił, a inne niestety, z wielką szkodą dla nauki zaginęły. Ulubionym jego przedmiotem była także geometrya, nieraz wzywano go do kopalni w Bochni i Wieliczki, gdzie gorliwie pracował nad pomiarami. W r. 1620 wyjechał do Włoch, głównie dla uczenia się medycyny i tam też r. 1623 otrzymał w Padwie stopień doktora nauk lekarskich. W rok po powrocie do kraju rozpoczął znowu wykłady w Akademii krakowskiej a parę miesięcy przedtem wmięszał się do wspomnianej już walki z Jezuitami. Bierze on w niej żywy udział: pisze na Jezuitów oną głośną satyrę bezimienną Gratis plebański i drukuje ją potajemnie, jeździ na sejm do Warszawy do króla jako poseł Akademii dwukrotnie. Pan Lange opisując tę kłótnię, od której niektórym literatom spodobało się rozpoczynać erę upadku oświaty w Polsce, powiada wyraźnie, że więcej spokoju i powagi okazali Jezuici i rozumniejszymi były ich argumenta jak Akademi. W r. 1629 otrzymał Brożek święcenia kapłańskie i został kanonikiem kościoła św. Anny. Otrzymywał potem liczne intratne beneficya, a w roku 1639 opuścił Kraków i zamieszkał jakiś czas w swojem probostwie w Międzyrzeczu na Podlasiu. W r. 1649 wraca znowu na Uniwersytet, zostaje kanonikiem katedralnym i otrzymuje stopień doktora teologii. W r. 1652 nawiedziła Kraków zaraza morowa. Ofiarą jej padł rektor Gregorowicz, a w ostatnich dniach listopada i Brożek wybrany po nim na tę godność. Był on także dobrodziejem Uniwersytetu. Dnia 2 lutego 1639 roku spisał akt fundacyjny, który pamięć jego uświetnił, a z którego postanowień Akademia prawie przez dwa wieki korzystała.

Zapis ten wynosił 3.000 złotych, z których 1.000 na pomnożenie dochodu astrologa zwyczajnego, 1.000 na zakupno książek matematycznych i medycznych, tudzież instrumentów astronomicznych; wreszcie 1.000 złotych dla jednego ucznia matematyki i astronomii, poświęcającego się tym naukom w Krakowie. Nadto zapisał całą swoją znaczną bibliotekę matematyczną i medyczną kolegium większemu. Nie jest jednak Brożek zupełnie wolnym od wad swojego czasu, szuka np. jakiegoś związku bliżej nieokreślonego pomiędzy medycyną a matematyką. W każdym razie „ze zgonem Brożka straciła Polska znakomitego obywatela, a Uniwersytet krakowski jednego ze swych najlepszych profesorów, któ-

ry żadnego niestety nie pozostawił następcy. Brożek był ostatnim matematykiem w Akademii przed Janem Śniadeckim. *S. M.*

Zarys historyi literatury ukraińskiej XIX-go wieku. *N. J. Petrowa.* Kijów. 1884.

N. J. Petrow występuje już z drugą pracą nad historyą literatury ukraińskiej. Pierwsza wyszła pod tytułem: „Szkice z historyi literatury ukraińskiej XVIII-go w." Ta ostatnia zajmująca się wiekiem XIX., jest jakby uzupełnieniem poprzedniej. Rzecz sama traktowana gruntownie, podług najlepszych źródeł, na 470 stronicach. Autor dzieli najnowszą literaturę ruską na cztery okresy: pseudo-klasyczny, sentymentalny, romantyczno-artystyczny i narodowy. W osobnym zaś rozdziale traktuje o słowianofilstwie ukraińskiem, rozwijającem się od końca czwartego dziesiątka do początków szóstego naszego wieku, a za głównych jego przedstawicieli uważa: Szewczenkę, Kulisza i Kostomarowa.

Aby dać poznać spokojny i umiarkowany sposób sądzenia autora, wystarcza ta okoliczność, iż nie rzuca się w sposób namiętny na Kulisza z powodu nowego kierunku polityczno-narodowego, wyrażonego w jego „Kraszance", jak to uczyniło wielu recenzentów ruskich galicyjskich i zakordonowych, ale objaw ten tłómaczy zwrotem Kulisza ku ideom socyologicznym. *Sulima.*

Próba rozbioru powieści Gogola „Taras Bulba", *K. Chocianowa.* Petersburg. 1884.

„Taras Bulba" jest historyczną powieścią wysoce utalentowanego pisarza rosyjskiego Gogola-Janowskiego z pochodzenia Rusina. Punktem dośrodkowym fabuli powieściowej jest powstanie kozaków pod dowództwem Tarasa w r. 1630. Ale wartości historycznej powieść ta nie posiada. Gogol celował w opowiadaniach obyczajowo-społecznych, lecz do napisania dobrej powieści historycznej nie posiadał odpowiedniej znajomości przeszłości polsko-kozackiej. Powieść ta posiada zato inne zalety. Przedstawia np. wiernie pod względem psychicznym i artystycznym, jak rozwija się i wpływa na wypadki trojaka miłość: kraju, kobiety i rodzicielska.

Tymczasem krytyk „Tarasa Bulby", K. Chocianów, unosi się na 83 stronicach swej pracy przedewszystkiem nad historyczną stroną tej powieści. Dzieli na równi z Gogolem uwielbienie dla kozaczyzny, chociaż dzisiaj zupełnie innego zdania są nawet ci, którzy, jak Kulisz, najwięcej się przyczynili do jej upoetyzowania.

Charakterystycznem zaś znamieniem obecnego usposobienia społeczeństwa rosyjskiego może posłużyć i ta okoliczność, iż nawet początkujący autor, jak K. Chocianow toruje sobie drogę do względów czytającej publiczności kosztem naszej przeszłości i prawdy historycznej. „Jaki oburzający despotyzm — pisze z powodu mniemanego usiłowania Polski narzucenia Ukrainie katolicyzmu — przemocą zmuszać innych do uważania za najdoskonalsze tego wyznania, które my sami za takie uznajemy! Jakie barbarzyństwo przymuszać innych myśleć, czuć, żyć i mówić tak, jak my to czynimy, a tem samem zabijać w nich godność ludzką!"

Gdyby nie młodociany wiek autora, mógłby on, rozpatrzywszy się bliżej we współczesnych stosunkach, znaleść trafniejsze zastósowanie dla powyższej tyrady. *Sulima.*

Z dzieł filozoficznych.

METAPHYSIK. Ein Leitfaden für akademische Vorlesungen, sowie zum Selbstunterrichte, von *Dr. Georg Hagemann*, Professor der Philosophie zu Münster. 4-te Auflage. Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung 1884. Mark. 2.50.

W dzisiejszem piśmiennictwie tak płodnem i liczącem nawet dzieła znakomite na polu literatury, historyi lub przyrody, na polu jednak głębszej myśli w dziedzinie filozofii, dzieła mające rzeczywistą wartość są rzadkością. Dla tego warto na nie zwrócić uwagę, nawet gdy zagranicą i w obcym pojawiają się języku.

Dwie pierwsze części tej filozofii tj. logika i psychologia wychodziły już w kilku wydaniach dawniej, obecnie wyszła metafizyka w wydaniu 4-tem.

Nie jest naszym zamiarem wchodzić w rozbiór i ocenę pojedynczych części twierdzeń, rozumowań i dowodów autora; chcemy tylko w ogólności zwrócić uwagę myślącej publiczności na dzieło, które jako treściwy i gruntowny podręcznik ma oczywistą a nie chwilową wartość.

Autor na wstępie przedstawia i gruntownie uzasadnia pojęcie tak imieniowe jak i rzeczowe metafizyki, które zapewne do smaku nie przypadnie ani zwolennikom Kanta, ani pozytywistom dzisiejszym, przeczącym wszystkiemu, co pod zmysły nie podpada.

Metafizykę dzieli autor na ogólną i szczegółową. W każdej rzeczy odróżniamy jej byt, jej istotę, i jej działanie. Otóż w części ogólnej rozwija i uzasadnia autor te 3 zasadnicze pojęcia. Zaczyna od najbardziej ogólnego pojęcia bytu, „entis"; przechodzi wszystkie własności bytu, wprost z tegoż pojęcia wynikające, i tak kładzie podwaliny do dalszych rozumowań. Następnie rozwija drugie zasadnicze pojęcie metafizyki: co jest istota, co przypadłości jako przeciwstawienie istoty. Pojęcie to ważne w dziedzinie rozumienia rzeczy i związane z tajemnicami naszej świętej wiary, ale o niem niestety wielu najmniejszego wyobrażenia nie ma, dlatego natrafiają na tyle trudności w pojęciu prawd wiary. Wreszcie w 3-im dziale części ogólnej rozwija i uzasadnia trzecie zasadnicze pojęcie metafizyki tj. działania i przyczyny i wynikającej z tegoż zasady przyczynowości.

W metafizyce szczegółowej te 3 ogólne zasadnicze pojęcia, tj. bytu, istoty i działania, stosuje autor do bytu rzeczywistego w tym świecie. Sam byt świata tu przypuszcza, jako już dowiedziony w Noetyce przeciw idealistom; bada tylko ogólną jego istotę i własności — i przyczyny bytu. Przyczyny zaś dzieląc na bliższe, bezpośrednie, i dalsze, ostatnie, pośrednie, zarazem i część tę Metafizyki dzieli na dwa działy: w pierwszej tj. kosmologii, zajmuje się przyczynami bytu bezpośredniemi, tj. samą naturą wszechrzeczy; a w drugiej, czyli teologii, ostatnią przyczyną bytu wszechrzeczy tj. Bogiem. *F. C.*

L'IDÉE du beau dans la Philosophie de St. Thomas d'Aquin, par *P. Vallet*, professeur de philosophie. Paris. (p. XII. 364) 8°.

Autor odpowiada na trzy pytania, a mianowicie:

Co jest piękno w swej istocie?

Do jakich własności duszy zalicza się ono?

Jakie są jego najcelniejsze rodzaje?

Brak tej książce związku: szczegóły są starannie opracowane i budzą wielkie zajęcie u tych, którym dzieła św. Tomasza nie są obcemi.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Reichsanzeiger niemiecki o „Przeglądzie powsz.“

Zwykle mówią, że pioruny biją w wysokie góry: *feriuntque summos fulmina montes.* Tym razem jednak uderzył piorun w kretowinę — z niemałem zdziwieniem świata, który o istnieniu tej kretowiny nie wiedział — a z większem może jeszcze zdziwieniem tych, co ją znali.

Urzędowy dziennik państwa niemieckiego i królestwa pruskiego piętnuje pismo nasze jako „dążące do odbudowania całości Polski, a przesiąkłe nienawiścią Niemców, ultramontańskim fanatyzmem i wrogiem usposobieniem dla istniejącego porządku państwowego [1];

[1] Artykuł Reichsanzeigera z 12-go stycznia jest taki:

Pod tytułem *Przegląd Powszechny* wydaje zamieszkały w Krakowie Jezuita ks. Morawski, wraz z rozmaitymi towarzyszami zakonu i zwolennikami swoich zasad, pismo miesięczne, którego tendencyą jest podtrzymanie między mówiącymi po polsku poddanymi Prus, Austryi i Rosyi myśli przywrócenia całej Polski.

Tego zamiaru dowodzi mianowicie okoliczność, że pismo to zwerbowało sobie współpracowników ze wszystkich, w jakimkolwiek stosunku do polskiej narodowości stojących krajów, i zawiązało publicystyczne stosunki od polskich Inflant (trzech zachodnich powiatów rosyjskiej gubernii witebskiej) aż do Dalmacyi. Że nienawiść ku Niemcom i ultramontański fanatyzm ciągną się przez tę publikacyę jakoby nić czerwona i że pod firmą katolickiej wierności dla wiary, krzewi się wrogie usposobienie dla istniejącego porządku państwowego — to się samo przez się rozumie. W tym duchu objaśnia dawniejszy sufragan ks. Janiszewski encyklikę papieską przeciwko masonom, H. Lisicki (autor znanego dzieła o margrabi Wielopolskim i o A. Helclu) Pamiętniki ks. Metternicha, Jezuita ks. Pierling (autor dzieła „Rome et Demetrius“) listy Kardynała

powtarzają to chórem gazety z tego samego źródła natchnione; organ austryackiego centralizmu *N. Fr. Presse.* widzi w tem wystąpieniu Reichsanzeigera groźną przestrogę daną rządowi, żeby nie tolerował takich wybryków polonizmu i ultramontanizmu, ledwo nie prorokuje upadku ministerstwa w skutek istnienia *Przeglądu Powszechnego.* Z drugiej strony pewne galicyjskie pisma, które zaliczają nasz *Przegląd P.* do „straży pożarnej“ i nazywają nas gasicielami, w głowę zachodzą, jakim to sposobem Reichsanzeiger niemiecki mógł im taki kłam zadać. „Przecież to nie *Przegląd Powsz.*, — mówią między wierszami, — to my, co wołamy bez ustanku: do ruchu! bij zabij na Niemców! nam się należał honor takiej napaści; chyba to jakaś intryga jezuicka“.

Inne wreszcie gazety w kraju naszym i w Niemczech, zwracają uwagę na artykuł wstępny zeszytu styczniowego p. t. „Siła i prawo“, i przypuszczają, że on bezpośrednio ten grom wywołał, choć z przyczyn łatwych do odgadnienia, pominięto go w motywach i przerzucono się na inne, od przypadku dobrane artykuły.

W istocie i Redakcya *Przeglądu powsz.* zachodziła w głowę, czemu ją taki zaszczyt spotkał. W gruncie nie przeceniamy tego faktu, wiemy, że w bajce Wilka i Baranka, podrzędną jest rzeczą, jakiego wilk użyje pretekstu; jemu tylko o to idzie, żeby powie-

---

di Como do najbardziej wpływowego jezuickiego propagandzisty XVI. wieku i spowiednika nawróconego Jana Szwedzkiego, Antoniego Possevina; niejakiś pan Ostoja „Uroczystość Lutra w Niemczech“; Jezuita ks. Jackowski historyę zakonu bazyliańskiego, którego wpływ w kościele unickim daleko sięgał; anonim jakiś zapowiedzianą na kwiecień roku przyszłego specyficznie katolicką tysiącletnią uroczystość Apostoła Słowiańszczyzny Metodego na Morawie, z powodu czego wypowiada nadzieję, że „Polska zajmie należyte sobie stanowisko jako jednolite ciało“.

Motto *Przeglądu* brzmi: „Błogosławiony lud, którego panem Bóg jego“ (Ps. 143). W rzeczywistości ma to znaczyć: „Błogosławiony lud, który nie uznaje żadnego Pana, prócz duchowieństwa katolickiego“. Czy i jak daleko wyłączne uznanie tego Pana da się pogodzić z zaprzysiężoną wiernością dla panującego i dla państwa, to nie obchodzi naturalnie polsko-jezuickich wydawców. Że dla interesów kościoła katolickiego z pomocy udzielanej przez polsko-narodowe marzenia, żadne błogosławieństwo wyniknąć nie może, to dla nieuprzedzonego badacza jest tak samo rzeczą pewną, jak to, że bardzo zgubnym być musi wpływ takiego, przeżytemi wspomnieniami sztucznie podtrzymywanego narodowego życia w marzeniach, na rzeczywiste stosunki w polskich dzielnicach państwa“.

dzieć: czemu mi wodę mącisz? Barankiem zaś w tym przypadku nie jest sam *Przegląd*, ale w ogóle Polacy katolicy. Warto się jednak i nad pretekstem wybranym zastanowić.

Motywa przywiedzione przez Reichsanzeigera przypominają bardzo rezonowanie wilka. Że mamy korespondentów w różnych częściach Polski, i aż w Dalmacyi, to ma dowodzić, że dążymy do wskrzeszenia Polski! Żeśmy drukowali artykuł p. Lisickiego o Metternichu i stare listy kardynała di Como do Possewina, to ma być poszlakiem nienawiści Niemców i ultramontańskiego fanatyzmu snujących się jak nici czerwone w naszem piśmie! Nawet motto *Przeglądu* z Pisma św. wzięte (któreby i protestant uszanować powinien) Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego, ma dowodzić, że nie chcemy innego pana na ziemi uznać! Wreszcie jedyne zdanie, jakie Reichsanzeiger z *Przeglądu* przytacza, jest fałszywie przytoczone, a główne słowo, które on podkreśla i z którego swoj wniosek wywodzi, w *Przeglądzie* wcale się nie znajduje[1]. Z takimi motywami nie ma się co rozprawiać. Ale słówko powiedzmy o samych zarzutach.

Nienawiści Niemców wypieramy się bezwarunkowo. Przykazanie miłości bliźniego stawiamy ponad wszelkiem ludzkiem uczuciem i ziemskim interesem; patryotyzm zaś zasadzamy, nie jak pogańska starożytność, na nienawiści obcych narodów, ale w sposób chrześcijański na kochaniu swego kraju i służeniu mu w pierwszym rzędzie bez wykluczenia innych. Wolno nam jednak zwrócić uwagę Reichsanzeigerowi, że kto wyjmuje Jezuitów z pod prawa, a narodowość i język polski prześladuje aż do szkółki ludowej, temu nie do twarzy predykować nam miłość dla Niemców. Szczęściem, ponad sferami inspirującemi Reichsanzeigera stają w oczach naszych takie grona ludzi, jak dzisiejsze centrum niemieckie, które szlachetnością i męstwem w obronie praw Kościoła i nawet praw polskiej narodowości zdobywają naszą cześć dla swego narodu.

[1] Z tego powodu żądaliśmy od Redakcyi Reichsanzeigera, żeby tę mylną cytacyę sprostowała. Otrzymaliśmy zaś odpowiedź z dnia 17 stycznia, że Sz. Redakcya nie może na razie naszego żądania uwzględnić, bo zacytowanego numeru *Przeglądu* nie ma pod ręką (sic). *Wir müssen uns eine definitive Antwort auf dasselbe schon aus dem Grunde vorbehalten, weil das darin erwähnte Novemberheft de 1884 uns zur Zeit nicht vorliegt. Redaction des deutschen Reichsanzeigers etc.*

Co się tyczy ultramontańskiego fanatyzmu, tej drugiej „nici czerwonej“, jeżeli fanatyzm ma być wzięty w właściwem znaczeniu, jako narzucanie gwałtem przekonań, to niech fakta jak biały dzień jawne świadczą po czyjej stronie gwałt przekonaniom zadawany. Jeżeli zaś Reichsanzeiger w tych słowach rozumie samą wiarę rzymsko-katolicką ze wszystkiemi jej zasadami i wszystkimi wynikami, dogmatycznymi, moralnymi i społecznymi — od Ewangelii aż do soboru watykańskiego — to przyznajemy się do niej całem sercem; ale trudno przypuścić, żeby urzędowy organ państwa niemieckiego religijną wiarę szesnastu milionów niemieckich poddanych fanatyzmem nazywał.

Zarzut „wrogiego usposobienia dla istniejącego porządku państwowego“ przechodzi już wszelką granicę. Przecież nie wymaga od nas Reichsanzeiger, żebyśmy byli zadowolnieni z wszystkiego co jest w Państwie — każde stronnictwo i sam rząd jakichś reform pragnie. To więc „wrogie usposobienie“ jedno tylko z dwojga znaczyć może: albo że dążymy do przewrotu całego państwowego porządku, jak anarchiści, albo że dążymy do reform przewrotnemi drogami — co także jest rodzajem anarchizmu. Pomijamy stronę obelżywą takiego zarzutu; ta należy do kratek sądowych, nie do szermierki w piśmie publicznem. Objektywnie rzecz biorąc, powiemy tylko, że dziś, kiedy proces Reinsdorfa wyjawił światu, jaki wulkan nurtuje niemieckie społeczeństwo, kiedy armię niemiecką — bezprzykładnym sposobem — poddano rewizyi, kiedy w parlamencie 24 socyalistów zasiada — to nie zdaje się właściwa chwila, by igrać słowami, jak w r. 1872, o sojuszu czarnego internacyonału z czerwonym, ale pora raczej skupiać siły zachowawcze i godzić się z nieśmiertelną chrześciańskich społeczeństw macierzą, Kościołem katolickim. Rok właśnie temu, kiedy Następca tronu pruskiego odwiedzał Watykan, ta prawda zaczynała świtać; dziś ją znowu jakaś złowroga mgła przyćmiła. Oby się ta mgła rozeszła, nie czekając aż ją nieszczęścia rozedrą.

Kończymy na głównym zarzucie Reichsanzeigera, że „tendencyą *Przeglądu powsz.* jest podtrzymywanie między mówiącymi po polsku (sic) poddanymi Prus, Austryi i Rosyi, myśli odbudowania Polski“. Tem oskarżeniem denuncyuje Reichsanzeiger nasze pismo przed drugimi rządami, i zdaje się nawet denuncyować je

przed władzą kościelną, gdy dodaje: „że dla interesów kościoła katolickiego pomoc udzielana przez polsko-narodowe marzenia, błogą być nie może“. Widzieliśmy, że dowody zewsząd nagromadzone na poparcie tego oskarżenia, chybiają celu. Ale nie potrzeba się trudzić o dowody: *habetis confitentem reum.* Przyznajemy się, że pracujemy nad budowaniem Polski — bodaj od morza do morza... tylko nie gmachu politycznego, który w przeszłem stuleciu upadł, a którego wskrzeszenie jest w mocy bożej, lecz ani do zadania naszego pisma, ani do zawodu naszego nie należy — ale tej budowli duchowej, której podwaliny zakładali i krwią swoją skrapiali św. Wojciech i św. Stanisław; której wstrząśnienie przez reformacyę było pierwszym powodem, jak Skarga przepowiadał, politycznego upadku; którą następnie wolteryanizm i sceptycyzm jeszcze głębiej podkopały, a która w naszym wieku szczęśliwie z gruzów się dźwiga. Tę budowlę duchową wciąż dźwigać chcemy — nie bronią, ani knowaniami, bo broni nie dzierżymy, a knowaniami brzydzimy się — ale wiarą ojców naszych, światłem, co z tej wiary promieni, nawet w sferach wszechstronnej nauki, i w sferach społecznych zagadnień, poczuciem obowiązków osobistych i obywatelskich, którem — ta wiara serca ogrzewa. Takie budowanie jest zadaniem naszem i celem pisma naszego — i obyśmy do ostatniej kropli potu i krwi tej pracy poświęcili.

X. Maryan Morawski.

Listy z Anglii.

Spór o reformę wyborczą. — Reprezentacya duchowna w Izbie. — Kasata kościoła państwowego. — Stosunek ludności do pojedyńczych wyznań. — Rozkład anglikanizmu. — Obojętność kłas wyższych. — Poleganie na sobie samym. — Pseudemonium.

Wiadomo, że toczy się spór parlamentarny pomiędzy tutejszemi stronnictwami w kwestyi projektu ustawy wyborczej. Po za Izbami i po za wielkimi klubami politycznymi, powstał

nowy spór ludu z Parami monarchii, a to z przyczyny, że stronnictwo zachowawcze w Izbie niższej, pod przywództwem baroneta Northcote, żąda wniesienia projektu (bilu) nowego podziału mandatów i okręgów wyborczych — *pari passu* z reformą wyborczą, — i oparło się o większość swoją w Izbie wyższej; kółka zaś liberalne w stolicy i po prowincyach wystąpiły przeciwko tej większości, pierwsze podnosząc okrzyk *Down witt the Peers!* Precz z Parami, jako dziedzicznem ciałem reprezentacyjno-prawodawczem! Okrzyk ten przyszedł w porę ministrom; powtarza go słabo lord Hartingtone, gdyż tak wymagają racye pokrewieństwa z połową parostwa i własna książęca mitra; powtarza głośno i *à outrance* minister p. Chamberlaine, duszą i przekonaniem radykał z familii Bradlaughów; okrzyk ten rozlegał się podczas wakacyj parlamentarnych nad brzegami Tamizy i u stóp gór Grampiańskich, od Bristolu do wysp Orknejskich. Zwykłą w Anglii taktyką spotęgowano znaczenie tej kwestyi, aby sobie zapewnić *vocem populi!*

Koryfeusze „popularni“, tj. rej wodzący w ludzie, którzy tu prowadzą obecnie krucyatę przeciw Izbie wyższej na korzyść eklektycznego stronnictwa ministeryalnego, posiłkują się przedewszystkiem w wywodach swych i filipikach dwoma czynnikami, uwydatnionymi w brytańskim senacie, a z różnych racyj wzbudzającymi niechęć w szerszych masach. Pierwszym kamieniem obrazy jest dziedziczność tytułu, ziemi i parlamentarnego dostojeństwa u tych, którzy nie pracują, ani sieją, ani sami zbierają. Rzecz jasna, do jakiego stopnia trzeba menerom zachowywać ostrożność, by walcząc z tą dziedzicznością, nie urazić partyi większości w Westminsterze, — której chodzi jedynie o przejście ustawy tegorocznej, — a tymczasem nie rozżarzyć kwestyi socyalno-ekonomicznej! To też przyznać trzeba, panowie ci są ostrożni, a zresztą lud, jak powiedziałem, może uznać sprzeczność parlamentarną w konstytucyach obu Izb i żądać reformy parów; ale on dalekim jest od przeniesienia kwestyj radykalnych z Westminsteru do swoich farm, lasów, wiosek i miasteczek. Drugim czynnikiem jest reprezentacya duchowna w Izbie parów, której obszerniejszą wzmiankę poświęcić mi wypada.

Kiedy w r. 1869 ówczesny gabinet p. Gladstone'a przeprowa-

dził słynną ustawę, odbierającą kościołowi anglikańskiemu w Irlandyi charakter państwowy wraz z prawami i przywilejami, jakie był najniesłuszniej posiadał, w samej Anglii, pomimo stronniczych okrzyków: *Down with the Pope! No Mass!* słaby był protest, słaba opozycya przeciwko temu ostatecznemu *Disestablishment of the Church in Ireland.* Ówcześni arcybiskupi z Canterbury i York należeli do najgwałtowniejszych w Izbie lordów oponentów, wraz z partyą anglikańską w obu Izbach. Tak zwana *Church-Party* w parlamencie angielskim składa się obok biskupów, z posłów uniwersyteckich, z profesorów wszechnic, z reprezentantów niektórych seminaryów, kościelnych korporacyj londyńskich, wreszcie z niewielu w Izbie niższej dependentów bursy kościelnej. Przecież opozycya tej właśnie strony miała charakter jedynie sentymentalny; argumentów doraźnych jej brakło, a sam skład jej, ile, że było w niej wielu członków żyjących z protestanckich synekur w Irlandyi, dowodził najlepiej potrzeby reformy ministeryalnej. Ministeryum, zniewolone zresztą energiczną agitacyą autonomistów irlandzkich, musiało wnieść bil owej reformy, chcąc uchodzić za gabinet liberalny w wielu innych palących kwestyach. Bo jakżeż było usprawiedliwić rażącą sprzeczność między liczebną i moralną siłą kościoła anglikańskiego a siłą niemal równą Kościoła rzymsko-katolickiego? Jakżeż w obec tej humanitarnej filantropii, która się podówczas stała dewizą gabinetu, można było patrzeć na cztery i pół miliona katolików irlandzkich odrywających sobie łyżkę strawy, by złożyć przepisaną dziesięcinę kilkuset pastorom anglikańskim?

Ustawa więc przeszła. Kościół anglikański przestał być w Irlandyi k o ś c i o ł e m „par excellence“, przestał się bogacić i bawić propagandą z ciężko zapracowanego grosza rolników kraju katolickiego, przestał również świecić w aureoli kościoła cywilizacyi anglo-saskiej. Jednym z najwyraźniejszych wyników tej urzędowej kasaty było (by nie mówić o skutkach, jakie wywarła w całoskładzie kościoła naszego na wyspie), że... dyssydenci podnieśli głowę, a uwolnieni od ciężarów materyalnych i od pewnego rodzaju stygmatu „nienarodowego“, mającego ogromne znaczenie w niespokojnej Irlandyi, rozwielmożnili się i dotąd rozwielmożniają swobodnie, odpadając coraz jawniej i liczniej od pnia anglikańskiego. Egzystencya kościoła anglikańskiego w Irlandyi dlatego tylko ma jeszcze jakieś

znaczenie, że forma jego wyznania, będąc formą stanu i korony w Anglii, służy w wysokim stopniu za cechę lojalności i antikatolicyzmu.

Następstwa ustawy z r. 1869 w Anglii nierównie są większego znaczenia. Ustawa ta przyczyniła się za zrządzeniem bożem do dziwnie silnego, choć powolnego rozwoju kościoła naszego pomimo, że napotyka przeszkody na pierwszy rzut oka niepodobne do usunięcia, (jak się to niebawem wykaże).

Gdy ustały ostatnie protesty zdetronizowanych prałatów anglikańskich w Irlandyi, natychmiast po całej Anglii poczęto wołać: *Disestablichment there — why not here?* Jeżeli Kościołowi nie ubliża, nie szkodzi kasata w jednej części królestwa, toż mu ona nie zaszkodzi i w reszcie! A te same racye, w identycznej niemal proporcyi, jakie spowodowały kasatę w Irlandyi, powinny sprowadzić emancypacyę kościołów nieanglikańskich w samej Anglii i Walii! Dla czego? Według bardzo wiarogodnej statystyki Whittaker'a na rok 1883, stosunek ludności w Anglii i Walii do pojedyńczych wyznań w ten się przedstawia sposób:

Liczba mieszkańców w Anglii i Walii 28,764.307.

Członków kościoła anglikańskiego	6,422.079
Metodystów starszych	1,905.864
Prezbyteryanów	945.130
Metodystów Wesley'a	4,023.950
Baptystów	3,780.000
Kongregacyonalistów (niezależnych)	4,332.566
Rzymsko-katolików	3,429.915
Anglo-katolików	762.840
Członków „Towarzystwa Przyjaciół“ (kwakrów)	1,460.280
Niewiadomego wyznania	951.376
Żydów	748.597
Mahometanów.	319
Buddystów.	1.264
Bałwochwalców	127
Razem .	28,764.307

Pomimo wiarogodności wykazu Whittakera, można być przekonanym, że bądź co bądź liczby powyższe złożone są na korzyść

Kościoła państwowego. Najlepszy statysta, zabierający się w Anglii do podobnego wykazu, natrafi na dwie trudności. Z jednej strony spotka instynktową opozycyę w sferach anglikańskich, w duchowieństwie, które radeby (co bardzo często czyni) odesłać wszelkich statystów z kwitkiem; z drugiej strony znajdzie, iż musi rozsortować, że tak powiem, mnóstwo sekt pośrednich, na które piszą się w połowie adepci sekt wyraźnych. Nic łatwiejszego, jak znaleść tu człowieka uczciwego, który sam nie wie do której należy sekty. W pierwszą niedzielę, „sabat", każdego miesiąca pójdzie rankiem do kościoła[1] i przyjmie chleb i wino; o jedenastej, wybierze się do kaplicy metodystów; o trzeciej, do kaplicy baptystów; a wreszcie o siódmej do zboru *(meetting-house)* „niezależnych", lub „braci morawskich", jeżeli przypadkiem nie do „drżących" *(Shakers)!* Do jakiego właściwie wyznania należy, on sam nie wie, nie wie jego żona, nikt nie wie. Rektor kościoła uważa go za *churchmana* i oddaje mu od czasu do czasu konwencyonalną wizytę. Rektorowa przyjmuje peryodycznie filiżankę herbaty w salonie jego żony i zapytuje o dziatwę. Ile to razy zdarzyło się mi zapytać znajomego:

— *Of what Church are you?* i otrzymać odpowiedź:

— *Don't know; Church of England, I suppose!*

Lecz przypuśćmy, że cyfry Whittakera zasługują na wiarę. Odliczając pięć ostatnich, jako przedstawiających liczbę niechrześcijan, znajdujemy, że na 6,422.079 członków kościoła anglikańskiego, jest w Anglii i Walii 20,640.545 chrześcijan „dyssydentów" *(Dissenters, Nonconformists).*

Okazuje się, że „kościół państwowy" przestał być kościołem narodowym, a pozostał tylko kościołem tronu, duchowieństwa, uniwersytetów angielskich i wszechnicy świętej Trójcy w Dublinie, wreszcie niewielkiej stosunkowo liczby mieszkańców. Nie będąc kościołem większości, kościół anglikański używa mimo tego przywilejów, bogactw i subwencyj, do jakich przestał mieć prawo. Świątynie jego liczne, obdarzone zbytkownie ze spoliacyi kościoła katolickiego i ze skarbu państwa, wyjęte z pod wszelkich ciężarów po-

[1] Tylko świątynie anglikańskie zowią tu „kościołami", *church;* inne są „kaplicami", *chapel,* lub „zborami".

datkowych, duchowieństwo płatne olbrzymiemi pensyami [1] z podatków całego narodu; nakoniec — i w tem właśnie szukać należy głównej przyczyny okrzyczanego anachronizmu w konstytucyi Izby parów, dwudziestu sześciu biskupów anglikańskich zasiada w parlamencie, w charakterze lordów duchownych, z tytułu i prawa świeckich baronii, któremi b y ł y niegdyś ich dyecezye! Obecność tych dygnitarzy w ciele prawodawczem jest istotnie pod wielu względami głośną niedorzecznością. Zwrócić wypada uwagę i na to, że biskupi są prawie wszyscy stronnikami obozu torysów, konserwatystami; są zaś nimi z tradycyi, a zarazem i z własnego interesu, jako reprezentanci starej instytucyi państwowej, zagrożonej nowatorstwem obozu przeciwnego. Obowiązki dyecezyalne zatrzymują ich oczywiście w katedralnych stolicach; gdy jednak zachodzi potrzeba, wtedy t. zw. „bicz parlamentarny“ *(whip)*, t. j. taki członek partyi lub frakcyi, który stara się o obecność jak największej liczby stronników, zwołuje ową falangę lordów duchownych, a ci głosują po stronie konserwatywnej *as a matter of course*... bez względu na refleksyę, na poprzednie debata, których nie słyszeli, może nawet nie czytali! Przyzna każdy, że nie bez racyi woła John Bull: *Down with the Peers!* Uważmy i to jeszcze: Sprawy religijne sześciu milionów mieszkańców mają w parlamencie dwudziestu sześciu rzeczników, sprawy i interesa religijne reszty, dwudziestu dwóch milionów, nie mają ani jednego! Gdzież tu słuszność? Ten stan rzeczy miał racyę bytu wówczas, kiedy anglikanizm był jedyną uznawaną religią a inne wyznania nie były tolerowane. Lecz w obec kasaty kościoła państwowego w Irlandyi, a wolności religijnej w Szkocyi, anachronizm ten obraża prosty rozsądek i wszelkie uczucie sprawiedliwości.

Pomimo kasaty, jeżeli gdzie kościół anglikański okazuje żywotność, to głównie na „Wyspie Świętych“. W Irlandyi bowiem kościół ten reprezentuje panowanie i cywilizacyę Anglii, żyje siłą

[1] Obaj arcybiskupi, kanterberyjski i yorkski, pobierają od rządu po 15.000 funtów rocznie. Pierwszy otrzymuje nadto 10.000 funtów, jako lord kapelan rodziny panującej. Urząd ten jest oczywiście synekurą, a obowiązki jego ograniczają się do stwierdzania narodzin każdego księcia Walii (następcy tronu) i uroczystego dawania ślubów, chrztów i ostatniej pociechy religijnej przed śmiercią. Inni biskupi płaceni są od 4500 funtów do 10.000. Rektorzy mają często kilka parafij, pobierając pensye ogromne, a płacąc zastępców swych — wikaryuszów — jak się z nimi ugodzą.

tradycyonalnej opozycyi do Kościoła katolickiego, a zdeklasowany ustawą z r. 1869, zwarł swe szeregi i rozwinął propagandę! Anglikanizm irlandzki różni się wielce od anglikanizmu brytańskiego. Od czasów Wilhelma III., który go najtroskliwszą otaczał opieką i stał się jego, że tak powiem, patronem, anglikanizm irlandzki nie przestał walczyć przeciw katolicyzmowi; po ustawie Gladstone'a stał się iście sektą polityczno-religijną, której wyrazem są Oranżyści. Czytelnik przypomni sobie z poprzednich moich „Listów z Irlandyi", jakiej broni i w jaki sposób używają Oranżyści w celu wytępienia ducha narodowego w kraju. Nie od rzeczy będzie zapisać, jakich środków używa anglikanizm chcąc propagandzie religijnej zapewnić jakie takie rezultaty. Pisma irlandzkie, mianowicie dublińskie, ogłaszają nieraz wieści o zniknięciu dziecka z różnych instytucyj publicznych, jak szpitale, domy pracy, elementarne szkoły rządowe, nawet z kolonij poprawczych i z więzień. Szukają rodzice, krewni, przyjaciele, bez skutku. Tymczasem okazało się kilka razy w przeciągu jednego roku (1882), że dzieci te zwabione zostały, lub po prostu wydobyte z instytucyj owych przez agentów, lub agentki anglikańskiej propagandy; że perswazyą, a najczęściej obietnicą i upominkiem sprowadzono je do wyparcia się wyznania, do którego należały, i wcielono do kościoła anglikańskiego! Znam osobiście pewną wdowę, żyjącą z wynajmowania części swego domu, której lokatorem był przez pewien czas duchowny anglikański. Opowiadała mi o bezustannem natręctwie apostoła, który obiecywał jej stałą pensyę miesięczną i wolne wykształcenie syna w pierwszorzędnym zakładzie naukowym, gdyby przeszła na anglikanizm! Biedna kobieta, gorliwa katoliczka, nie mogła się inaczej pozbyć naprzykrzeń duchownego, jak wypowiadając mu mieszkanie. Przykładów podobnych mógłbym przytoczyć bardzo wiele: wystarczy przeczytać kilka gazet katolickich i kilka specyalnych pism anglikańskich, aby nagromadzić je setkami.

Podczas gdy w Irlandyi charakter anglikanizmu jest mściwy i zaczepny, w samej Anglii ma on przeciwnie cechę odporną. Kościół państwowy broni się tu wszystkiemi siłami rozkładowi; a rozkład ten, to psucie się wielkiego ciała anglikanizmu, tak jest widoczne, szybkie i nieuleczalne, że i gabinety ministeryalne i co najważniejsza, niektórzy z biskupów odzywają się coraz częściej z po-

trzebą wprowadzenia najradykalniejszej reformy, kasaty państwowej: *Disestablishment!* W liście, pisanym do kleru swej dyecezyi po odbytej wizycie episkopalnej pisze biskup londyński[1], że „g ł ó w n ą przyczynę upadku kościoła należy upatrywać w obojętności klas wyższych i w niesubordynacyi duchowieństwa“.

Pomijając uwagi nad próżnią kościoła anglikańskiego, której słowa te tak dobitnie dowodzą, zrozumiejmy iż ta skarga: O b o j ę t n o ś ć k l a s w y ż s z y c h nie uwydatnia się bynajmniej w zaniedbywaniu tych obowiązków, jakie wyznanie anglikańskie nakłada i jestem przekonany że „my lord of London“ nie miał na myśli podobnego zarzutu. Owszem, kto zna Anglią i Anglików ten chętnie odda im tę słuszność, iż w im wyższych obracają się kołach, tym są poważniej zajęci sprawą swej religii i jej obowiązków, w każdym zaś razie wypełniają te ostatnie z podziwienia godną skrupulatnością. Są tu wyjątki, jak wszędzie; lecz w stosunku do całości narodu opinia moja bynajmniej na prawdzie nie traci. Protestantyzm angielski nie doszedł jeszcze do powtórzenia aksyomatu luteranów:

„Wer Unterricht nicht hat — der habe Religion!“

Ta obojętność, którą biskup londyński wyrzuca klasom wyższym, objawia się przedewszystkiem w rozdawaniu beneficyów. W Anglii biskup ordynuje kandydata do stanu duchownego i zostawia go na łasce społeczeństwa. Młody „clergyman“ ogląda się za „patronem“, od którego oczekuje *„a living“*, dosłownie: środków utrzymania. Patronami są właściciele ziemscy, korporacye miejskie, korporacye cechowe, ministeryum, dwór lub wreszcie biskup i wszechnice. Gdy zawakuje „a living“, t. j probostwo, patron szuka odpowiedniego „rektora“. Względy familijne, protekcye, oto co najczęściej wpływa na decyzyę patrona. Decyzyę tę sankcyonuje biskup w każdym razie, chyba, że kandydat jest człowiekiem złej sławy. Gmina parafialna płaci rektorowi pensyę. Jeżeli tak wypadnie, że obrany przez patrona rektor ma już znaczniejsze *„living“*, lub zajmuje jaki urząd dyecezyalny gdzieindziej, natenczas szuka sobie zastępcę *(vicar)* i płaci mu umówioną sumę, bezwątpienia niższą od tej, jaką wypłaca gmina. Często tak się zdarza, że wikarym jest

[1] Według tygodnika illustr. „The Graphic“, z dnia 15-go listopada ostatniego.

rektor sąsiedniej parafii, a ten wołąc mieć zastępcę na nowem probostwie, znów po sobie kontraktuje, starając się na interesie nie stracić [1]. Przy tem wszystkiem rektor parafii, raz nominowany, nie może być usuniętym ani przeniesionym, jeżeli sam tego nie żąda, pozostaje rektorem danej parafii dożywotnie. Jasna więc rzecz, iż wybór rektora powinien być uczyniony z wielką ostrożnością i sumiennością. Tak się bynajmniej nie dzieje, i to lekceważenie obowiązków kollatorskich nazywa biskup obojętnością. Nie chcę oczywiście twierdzić, aby zawsze nominacye spadały na ludzi, pozbawionych wszelkiej wartości moralnej. (Wykwintny powieściopisarz Thackeray, oswoił nas przecież z pewnymi typami kapelanów, rektorów i wikaryuszów anglikańskich!). Ale jeżeli rozkład kościoła anglikańskiego, i rozpadanie się w liczne sekty, dzieje się głównie z winy własnego duchowieństwa, toż wypadałoby dbałym o całość i godność tego Kościoła członkom czuwać, aby się między nich nie wkradli ludzie przewrotnych idei i doktryn. Tej obojętności klas wyższych trzeba przypisać, że beneficya i parafie oddają duchownym najmniej do anglikanizmu przywiązanym, najmniej troskliwym o utrzymanie przywiązania do religii państwowej w powierzonej sobie owczarni. Brak subordynacyi duchowieństwa niższego sprowadza ostateczne klęski i utraty kościoła. Niech biskup co chce prawi, niech jakbądź upomina, rektor pewien swego „living“, bezpieczny na wygodnem dożywociu, robi swoje. Zdarza się czasem, że przychodzi do głośnych rozhoworów między reprezentantem wyższej hierarchii a nieposłusznym duchownym: od lat niespełna dwudziestu złożono osobną komisyę kościelną, mającą czuwać nad czystością form kościoła. Komisya ta nabyła ogromnego rozgłosu, gdy przed trzema laty faktycznie uwięziła niejakiego p. Green, rektora, zaprowadzającego rytualne reformy w swym kościele! P. Green pozostaje dotąd w więzieniu: nic mu to jednakże nie przeszkadza w dalszem pobieraniu swej pensyi od gminy parafialnej, której nie przestał i nie przestanie być

[1] Dla przykładu warto zapisać mnogość beneficyów jednego z najwybitniejszych prałatów anglik., kanonika Farrar. Obok bardzo intratnej kanonii przy opactwie Westminsterskiem, wielebny ten gentleman jest dziekanem (płatnym) katedry św. Pawła, kapelanem honorowym (pensya 250 funtów szter.) kolegium Baliol na wszechnicy Oxfordzkiej, rektorem parafii Bury St. Edmund's i kanonikiem starszym katedry kanterberyjskiej.

rektorem, dopóki sam zechce. Gmina jego nie składa się z samych osób przychylnych reformom; lecz pensyi odmówić nie może, gdyż p. Green mógłby ją ściągnąć z pomocą trybunałów państwowych! Może więc hierarchia więzić nieposłusznych podwładnych, lecz urzędu czy parafii pozbawiać ich nie może. Absurdum legalne! Hierarchia spróbowała swej powagi na wielebnym p. Green, wyjątkowe jego obrazy i ubliżenia umożliwiły ten krok; gdyby jej przyszło wglądać w zachowanie się, doktryny i formy nabożeństwa wszystkich rektorów, wikaryuszów i pomocnikow *(curates)* parafialnych, osierociałoby niezawodnie $^{9}/_{10}$ kościołów anglikańskich w monarchii!

Każdy turysta opisujący Albion i Anglików uważa, jak powszechnie zachowywany tu jest dzień niedzielny. W ulicach londyńskiej *City* odurzonym się jest nadzwyczajnym ruchem w ciągu tygodnia; w niedzielę, na tychże samych ulicach nie naliczysz tuzina osób, przechodzących podczas „godzin kościelnych". Rychłym rankiem, przed południem, po południu i z wieczora zobaczysz, jakoby procesye pieszych i pojazdów, w różne dążących strony; mężczyzni, kobiety i dzieci z książkami (psalmów i hymnów) w ręku, w ciemnem, poważnem ubraniu, spieszących do kościołów i zborów. O jednych i tych samych godzinach rozpoczynają się nabożeństwa zarówno w naszych, jak anglikańskich świątyniach, a w tym czasie stolica milionów ma wszelkie pozory miasta absolutnie bezludnego[1]. Tak samo na prowincyi. Wrażenie zewnętrzne odnosi się więc dobre.

Rozczarowanie przychodzi z czasem. Żyjąc z Anglikami, poznając ich charakter, znajduje się klucz do tej zagadki sekciarstwa, przychodzi się do przekonania, że formy są tu wszystkiem, tylko nie prawdziwą religią. Zastanawiając się nad rozkładem anglikanizmu, widzimy, że, gdy ten nie może zadowolnić tych członków swoich, których jedynym celem jest zbawienie duszy, tworzą się dwa prądy: jeden katolicki, drugi sekciarski. To, co pozostaje w pośrodku, jest hierarchią, „księgą wspólnych modlitw", zbiorem „trzydziestu dziewięciu artykułów", jednem słowem: przestarzałą instytucyą państwową, istniejącą na wzór onych niewykreślonych z księgi

[1] Od czterech lat spokój ten świąteczny przerywają tu i owdzie „parady" Armii Zbawienia, o której następnie.

statutowej dekretów. Trudnoby tu wykazywać niezliczone stopnie, po których *The Church* postępując coraz wyżej, przybiera z jednej strony nazwę *High Church*, wysokim kościołem, z drugiej zaś zstępując coraz niżej, wojuje z tamtym, jako *Low Church*, kościół niski. Jeszcze wyżej po za pierwszym, stoi w ogólnem uznaniu kościół rzymsko-katolicki. Jeszcze niżej, pod drugim, rozpoczyna się sekciarstwo. Zaś po obu krańcach, gdzie się kończy różnobarwny anglikanizm, państwo umieściło urzędową nazwę „Dyssydentów", rozumiejąc zarówno katolików jak i sekciarzy pod tem mianem.

Charakter wyśpiarzy pozwala nam uprzytomnić sobie niektóre czynniki w tem zamięszaniu, wirującem wewnątrz kościoła anglikańskiego i porywającem jednych jego członków wyżej, coraz wyżej, aż ku progom kościoła prawdziwego, a spychającem innych coraz niżej, aż ku przepaściom gorzej niż pogańskiej obrzydliwości. Godzą się obcy i sami Brytańczycy na twierdzenie, iż główną cechą ich charakteru jest samolubstwo. Samolubstwo indywidualne i zbiorowe, egoizm jednostek i egoizm całego społeczeństwa zrobił Anglią tem, czem jest. W polu ekonomii politycznej, egoizm ten wytworzył osobny, angielski kapitalizm i pauperyzm. Pierwszy szuka albo dalszych gratyfikacyj materyalnych swego samolubstwa, albo gratyfikacyj moralnych. Drugi toż samo: albo wszelkiemi siłami dąży do wyrwania się z zaklętego koła, lub też dając całkiem, czy częściowo za wygraną, szuka również... *the moral self satisfaction*. W obu kołach, samolubstwo jednę oś dało: *Self-reliance*, poleganie na sobie samym każdego człowieka. Powiedzieć Anglikowi, że jest *selfish*, to gotów się obrazić; jest on *self-relying*, polegającym na sobie samym, kwintesencyą sobkostwa. Z samolubstwa Brytańczyków w ten sposób pojętego, w ten sposób przez nich samych z pewną nawet dumą określonego, wyprowadzamy dwa wnioski, łatwe do sprawdzenia w każdej chwili: P i e r w s z y, że z pomiędzy warstw zamożnych i warstw najuboższych najwięcej wychodzi w Anglii... poszukiwaczy (musimy ich tak nazwać) gruntowniejszego szczęścia moralnego, gruntowniejszej *moral selfsatisfaction*. D r u g i, że w klasach średnich przeważnie, jeśli nie j e d y n i e, rozradza się odpowiadający dążnościom ich spekulantyzm moralny i wyradzający się z niego spekulantyzm materyalny. Stąd: idąc z anglikanizmem w górę, natrafiamy coraz wyraźniej na głęboką religijność, staczającą ostatnie

walki wrodzonego samolubstwa, *self reliance*, i przyjdziemy do religii prawdy, pokory i Chrystusowej miłości. Zstępując z innym kierunkiem anglikanizmu na bezdroża, uderza nas przedewszystkiem ta jedna, ogólna cecha sekciarstwa: żądza zysku. Zysku, nie powiem materyalnego w pospolitem tego wyrazu znaczeniu, lecz grubo-materyalnego etycznie. „Czyń dobrze, aby ci się dobrze działo na tym... no, i na tamtym świecie"! Oto dewiza sekciarstwa. Poleganie bezwzględne na własnych siłach w sprawach doczesnych przedzierzgnęło tu najwznioślejsze uczucia duszy ludzkiej w straszną nędzotę porywów, ohydnego tchórzostwa duchowego i zarozumiałości, spłodziło sekty, w których trudno się dopatrzeć śladu herezyj chrześcijańskich, daleko łatwiej odkryć adoracyę człowieczej indywidualności. I tak obejmując obraz cały jednym rzutem oka, można powiedzieć, że anglikanizm współczesny upokarza się i oczyszcza u bram Opoki Piotrowej na jednym krańcu; na drugim zaś sięgając do Stanów Zjednoczonych, rozbryzguje się w cuchnącej zgniliźnie sekt takich, jak „Adamitów", „Braci Wspólnego Pożycia", obok których sam Mormonizm czystym się wydaje.

Tyle ogólnych uwag nad anglikanizmem i sekciarstwem. Przechodząc z kolei do bliższych szczegółów, zapraszam czytelnika z sobą do miejscowości w południowej Anglii, będącej z położenia swego i klimatycznych warunków „rajem Albionu", z natłoku zaś sekt wszystkich istnem pseudemonium dla każdego zdrowo myślącego chrześcijanina. *Bournemouth*, najwięcej arystokratyczne z nadmorskich „fashionable resorts" Anglii, rozłożone w lasach jodłowych pomiędzy Southampton i Poole, patrzące od wybrzeża na wyspę Wight, a z wysokich pagórków swoich na odwieczne lasy, nazwane jeszcze przez Wilhelma Zdobywcę „Nowym Lasem" — Bournemouth powstało przed mniejwięcej czterdziestu laty w sposób równie zadziwiający, jak się rozwija, upiększa i rozszerza do kolosalnych rozmiarów. Przed czterdziestu laty, sir George Meyrick, właściciel większej części gruntów lesistej nad Cieśniną okolicy, przyjął deputacyę duchownych anglikańskich, proszącą o ustąpienie, w możliwych warunkach, pewnego obszaru na zbudowanie kościoła, hotelu, kilku domostw dla niezbędnych kramarzy i willi dla... słabowitych członków kościoła, którzyby z balsamiczną aurą znaleźli tam zupełny wypoczynek i zacisze. Baronet zgodził się. Wystawiono piękną

w stylu gotyckim świątynię pod wezwaniem św. Piotra. Sir George, jako patron, oddał młodą parafię przedstawionemu sobie anglikańskiemu „ministrowi“, zależnemu od biskupa dyecezyi Winchester. Fama rozniosła wkrótce po całym kraju niespodziewane rezultaty sanitarne osady, którą chciano nazywać „osadą skazanych suchotników“, „anglikańskim szpitalem“. Wspaniały hotel nie mógł pomieścić przybywających, zbudowano kilka, potem kilkanaście innych hoteli wielkich i małych. Nie dość było jednego kościoła anglikańskiego, wystawiono drugi, obszerniejszy, okazalszy, pod wezwaniem św. Trójcy. Nabudowano domów, willi, pałaców we wszelkich stylach architektonicznych. Osada została miastem (liczącem dziś przeszło 45.000 dusz stałej ludności); od okolicznych właścicieli nabyto więcej obszarów, więcej lasów, a napływ mieszkańców i gości wzrastał w tak ogromnych stosunkach, że obecnie Bournemouth zniszczyło handel portu w Poole, którego dotyka na Wschodzie i zrujnowało municypalne znaczenie miasta historycznego Christchurch, które swemi parkami i willami otoczyło na Zachodzie. Dwa kościoły anglikańskie nie wystarczały tysiącom rezydentów i tysiącom gości, dla których w Bournemouth sezon trwa od początku do końca roku. Nastąpiła więc ogromna inwazya sekt: sekt szkockich, walijskich, angielskich, niemieckich, francuskich, szwajcarskich, amerykańskich, i innych niewiadomego pochodzenia. Każda sekta budowała natychmiast swój zbór lub kaplicę, obok zboru i kaplicy stawiano równocześnie „szkołę niedzielną“ i dom dla „ministra“. Anglikanie i „starsi“ sekt poważniejszych dodali filie do swych świątyń. Koniec końcem, (jeżeli już jest koniec), Bournemouth liczy w tej chwili: czternaście świątyń anglikańskich, trzy kaplice (wspaniałe gmachy) kongregacyonalistów, dwie prezbyteryanów szkockich, pięć metodystów Wesley'a, trzy baptystów, jednę baptystów ścisłych, dwie metodystów starszych, dwa zbory „Braci z Plymouth“, jeden kwakrów, jeden „misyonarzy św. Łukasza“, jeden braci morawskich, nakoniec jeden „kościół“ unitaryuszów, nie będących chrześcijanami i — w pobliżu Christchurch — całą kolonię „Drżących“ *(Skakers)*, których apostołka i głowa zarazem zapowiadała przez długi czas przyjście Chrystusa a obecnie ogłasza zgromadzonym

wkoło siebie wiernym, że... ona sama jest Mesyaszem[1]. Nie licząc tej ostatniej sekty, widzimy, że w przeciągu lat niespełna czterdziestu wystawiono tu trzydzieści sześć kościołów, kaplic i zborów! Doliczymy do nich oratoryum Najśw. Serca Jezusowego, jedyny kościół katolicki w Bournemouth, obsługiwany przez trzech OO. Jezuitów, uczęszczany przez około 50 rodzin stale osiadłych katolików[2].

Nic więc łatwiejszego, mieszkając w Bournemouth, jak przypatrzeć się anglikanizmowi i sekciarstwu. Stosunki zaś brytańskiego protestantyzmu do katolicyzmu są niemal te same po całej W. Brytanii. Bo nawet w Szkocyi, stawiając prezbyteryanizm w miejsce kościoła anglikańskiego, zobaczymy, że są prawie identyczne. Wybaczy mi więc czytelnik, że go oprowadzę po kościołach, kaplicach i zborach w Bournemouth.

Pierwsza świątynia religii państwowej, jaką zbudowano tu z wspaniałomyślną pomocą sir G. Megricka, przypadła pieczy clergymana starej daty, który ani nie był z Wysokiego, ani z Niższego kościoła; umarł jednakże po dwóch latach rektorstwa. Wrzała podówczas kontrowersya traktaryanistów na wszechnicy oxfordzkiej; znano już w kołach duchownych „innowacye" Newmana, czytano jego własne rozprawy. Dzielił się wtedy jeszcze anglikanizm na kościół liberalny i na kościół ściśle konstytucyjny... *Homunculi quanti sunt!* Ale nowe nazwy, same w sobie niefortunne, powstały w Oxfordzie: Kościół liberalny został Kościołem nizkim. W kościele ściśle konstytucyjnym zatknął Dr. Pusey znak *Sursum corda!* ponad 39 artykułami i koroną! W Bournemouth, Meyrick zawahał się komu teraz oddać parafię św. Piotra. Wydobył go z kłopotu sam biskup z Winchester, przysyłając r y t u a l i s t ę jako kandydata *sub conditione juris*. Meyrick go przyjął: kościół św. Piotra został zmieniony, upiększony, na ołtarzu postawiono lichtarze, gorzej jeszcze, bo

[1] Kolonia, o której mowa, nazywa się *Hordle;* nazwisko zaś głowy sekty „Drżących", *mistress Girling* (wym. Gĕrling). Pierwszem staraniem tej kobiety ilekroć zbliży się do niej ciekawy obcy, jest „zamagnetyzować" go. Nie zawsze się jej to udaje.

[2] Wczoraj (dnia 16-go listop.) proboszcz, O. Birch, zaprowadził po raz pierwszy w parafii Bournemouth, Bractwo Najśw. Serca Jezusowego. Dodam, że znana u was powieściopisarka, lady Georgina Fullerton, wróciła na łono Kościoła św. przed 45 laty i stale zamieszkała w Bournemouth.

w lichtarzach były woskowe świece... jeszcze gorzej, bo świece zapalano podczas nabożeństw. Obok miesięcznych procesyj po nawach (a któż między liberalnymi lub ścisłymi słyszał o procesyach!), odbywano Wieczerzę Pańską co tydzień, zamiast co miesiąc. Więcej było klękania przy obrzędzie niedzielnym i modlitw, których nie mogli się wierni doszukać w konstytucyjnej „Book of Common Prayer“: no, ale rektor był zażartym wrogiem sekciarstwa, liberałów i katolików, więc się parafianie zgodzili na reformy... nie mogąc inaczej. Przecież wystawiono o sto kroków wyżej kościół nowy, z wyższą wieżą, z pięknie dobraną gamą dzwonów. Do tej świątyni pod wezwaniem św. Trójcy, schronił się anglikanizm ścisły: bez lichtarzy, bez przyklękań, bez procesyj, ale z koroną symboliczną na symbolicznej biblii po nad ołtarzem. Anglikanizm liberalny skrzywił się na podobnie służalczą manifestacyę: kupił kamienicę, rozszerzył dwa okna, zamurował cztery, dolepił do niej kwadratową turmę i z twierdzy swej rzucał obelgi i szyderstwa na dwie przyległe świątynie, opuszczany codziennie, używany za najdogodniejszą nutę pocisków przez apostołów sekciarstwa, coraz więcej liberalnego, coraz... niższego. Tymczasem Bournemouth rozrastało się szybko. Przemysłowiec pewien, którego znam osobiście, p. Aleksander Christy, wielki demokrata, ofiarował jednemu z właścicieli gruntów wybudować własnym kosztem kościół w części miasta, która wtedy nie miała żadnego (anglikańskiego). Piękny ten kościół stoi dzisiaj daleko od efemerycznych granic municypalnych, pod wezwaniem św. Klemensa. Patron oddał go rektorowi niewątpliwej „ortodoksyi“. Ku niemałemu zdumieniu patrona, biskupa, dziekanów, arcydziekanów, mieszkańców, z wielkim przestrachem „trzeźwych rytualistów“ od św. Piotra, z przerażeniem „ścisłych“ od św. Trójcy, z abominacyą „liberałów“, „nizkich“ i t. d., nowa świątynia została ni stąd ni zowąd opanowaną przez... „Jezuitów“!! Nie Jezuitów z Richmond-Hill, z kościoła jawnie katolickiego, lecz przez gorszych jeszcze Jezuitów. Co tam *High-Church!* Kościół św. Klemensa doszedł do superlatywu; w gamie miejscowego religiantyzmu zaintonował nutę najwyższą! Wejdźmy do tego kościoła.

Niedziela, rano, wpół do jedenastej. Kościół przepełniony. Klęczniki francuskie, woda święcona, wizerunek Zbawiciela rozpiętego na krzyżu, po nad rodzajem bramy żelaznej, lanej *à jour*, dzielącej

presbyteryum od nawy. Kobiety po lewej, mężczyźni po prawej stronie. Arystokracya okoliczna, do której zapewne należą oczekujące przed kościołem rzędy pojazdów na przodzie. Brak uderzający, wymowny reprezentantów warstwy średniej, obok arystokracyi proletaryat: robotnicy. Na kazalnicy anglikański pulpit, obok pulpitu katolicki krzyż misyonarski. W ołtarzu obraz św. Klemensa, pod obrazem krucyfiks. Krucifiks stoi na *tabernaculum*. Po obu stronach ołtarza dwie marmurowe figury: Najświętszej Panny — b e z D z i e c i ą t k a — (Niepokalane Poczęcie) i św. Józefa. Na ołtarzu płonie sześć wysokich świec woskowych; bukiety świec niezapalonych, mniejszych, zdobią ołtarz. Przez arabeski bramy błyska czerwone światło wiecznie płonącej lampy. W presbyteryum stale i ławy, anglikański pulpit orłem wsparty a na nim biblia. W stalach k l ę c z ą „the curates“ w komżach, ozdobionych anglikańskim kapiszonem długim, czerwonym. Dwóch chłopców ministrantów służy przed ołtarzem, gdzie w pośrodku stoi rektor parafii, ubrany w rewerendę albo stułę, manipularz, ornat, — wszystko wręcz przeciwne anglikańskim rubrykom i zwyczajom rytualistów, którzy pozwalają na rewerendę i komżę, nic więcej. Ornat kroju starożytnego, między greckim i dominikańskim. Na ołtarzu kielich, ubrany w każdym szczególe tak jak w naszych kościołach; mszał drukowany po angielsku. Duchowni w stalach mają rzymskie birety zamiast anglikańskich „college caps“, biretów uniwersyteckich.

A cóż powiem o nabożeństwie? Z nieznacznemi bardzo różnicami zupełnie tak samo odbywane, jak nasza Msza święta: tylko zamiast łacińskiego, używany język angielski; „konsekruje“ celebrant głośno i klęcząco; przerywa często officium, by odwróciwszy się do ludu, zaintonować psalm. Lud śpiewa hymny i psalmy z urzędowej książki *(Book of Psalms and Hymns)* przez cały ciąg nabożeństwa, prócz podniesienia i komunii. Komunikują (pod dwiema postaciami) wprzód mężczyźni, potem kobiety, w końcu dzieci. Po podniesieniu, celebrant milczy: i tu już do końca nierozpoznać zewnętrznej różnicy między mszą św. a tym naśladowaniem. Tylko... obecnemu katolikowi serce się ściska od żalu na widok okropnej profanacyi świętych tajemnic. *High Church* przyjmuje tajemnicę transsubstancyacyi, wierzy w nią. Cóż tych nieszczęśliwych powstrzymuje od pojednania się? Jedna rzecz tylko: są żonatymi, mężami,

ojcami! Niejeden z nich wyznaje, że gdyby nie wzgląd na utrzymanie żony i dzieci, przeszedłby do kościoła rzymsko-katolickiego, bo wierząc we wszystkie dogmata we spół z nami, przekonany jest, że nie ma kapłaństwa ani sakramentów św. bez prawego posłannictwa z ramienia prawego kościoła. Cóż na te smutne choć nabożnie odprawiane obrzędy mówią anglikanie i sekciarze? Pierwsi, jeżeli nie są „ścisłymi", tłumaczą, iż nie ma między 39 artykułami żadnego, któryby wyraźnie a szczegółowo potępiał podobny rytualizm; że więc sumienie tu jedynie wskazuje drogę. Sekciarstwo szaleje z wściekłości: raz dla tego, że radeby oskarżeniem o romanizm ku sobie zwrócić sympatye chwiejnych; potem dla tego, że chciwość dochodów i nienawiść świątyń anglikańskich podaje mu w demonstracyach antyanglikańskich najlepszą broń ku uzyskaniu kasaty kościoła państwowego. W sekciarstwie panuje głębokie przekonanie, że rytualizm, puzeityzm, *High Church* jednem słowem, to most rzucony przez... Jezuitów, którym naród angielski przechodzi *the great gulf of Reformation*, głęboką przepaść „reformacyi". Nie skończyłbym, gdybym chciał wspominać o przykładach dziwnej chwiejności anglikanów, łaknących obfitego zdroju łaski bożej i tych moralnych (po ludzku nawet mówiąc) pociech, jakich szkoły religii państwowej dać im nie mogą. Lecz wszędzie ich powstrzymuje wzgląd na ludzi i na rodzinę. Z drugiej strony przykłady chrześcijańskiego męstwa, bynajmniej nie są rzadkie: synowie zamożnych rodzin, dziedzice wysokich tytułów i fortun porzucają wszystko, by prawdy szukać. Iluż to młodzieńców takich, wyszłych z Oxfordu i z Cambridge, umieszcza ks. kardynał Manning przy szkołach i elementarnych szkółkach, jako nauczycieli, by mieli kawałek chleba i schronienie! Ileż młodych panien z bardzo przyzwoitych (lecz sekciarskich) domów zmuszonych jest uczyć się krawiectwa, stać po za stołem magazynowym, wchodzić w obowiązki bon i guwernantek, aby módz przyjąć, lub ocalić i zachować żywą i czystą wiarę świętą. I ileż w tym przełomie anglikańsko-katolickim smutnych prób niepewności przekonań i zamącenia zasad! Powiadał mi zakonnik z klasztoru OO. Dominikanów na Haverstock-Hill, w Londynie, że księża starannie pilnować muszą, by do Stołu Pańskiego nie zbliżały się zakonnice protestanckie z klasztorów puzeistowskich. Osoby te spowiadały się często u katolickich kapłanów, nie wspo-

minając słówkiem o swem wyznaniu! Widywałem nieraz na wieczornem nabożeństwie protestantów, modlących się przed Najśw. Sakramentem z gorliwością, godną najszczerszego przekonania. O sekciarstwie już tą razą więcej nie wspomnę. Wartoby, jeżeli mi *Przegląd* pozwoli, osobny poświęcić list rysom historycznym sekt wielkich i małych. Powtarzam tylko, że cechą ich ogólną jest norma: Bądź religijnym, a dobrze ci się będzie działo! W praktyce rozpoznasz to od razu. Śpiewają hymny i psalmy po kaplicach i zborach, w tych hymnach i w tych psalmach „Myself" i „My friends" (Ja i Moi) powtarzane bez końca. Główną częścią nabożeństwa u nich jest kazanie. Kazanie obłudnika do obłudników: zaczynające się zawsze od składania dzięk Najwyższemu za zdrowie, dobrobyt i szacunek u ludzi, zachowane lub otrzymane w ciągu tygodnia, a kończące się prośbą o dalszą opiekę Bożą i wyrażeniem żalu za „słabości". Tak np. „Niezależni" mają formułę modlitw wieczornych, której oto końcowy ustęp: My wiemy, Boże Wszechmocny, że prócz tego wszystkiego starać się powinniśmy o doskonałość w tych cnotach, które Syn Twój praktykował dla naszego przykładu. Ale my wiemy także, że Ty sam tylko możesz, jeżeli chcesz, zrobić nas doskonałymi. Zrób nas doskonałymi! My wzdychać *(aspire)* tylko możemy; w ręku Twojem pozostaje możność. Jakoś jest miłosiernym, tak bądź łaskawym. Amen.

Mówią sekciarze, że człowiek sam z siebie wszystko może i powinien zdziałać, co nie należy do porządku nadprzyrodzonego; stąd więc „prawość moralną" *(the moral rectitude)* opierają na zasługach Zbawiciela. Jest jedna sekta niechrześcijańska „Unitaryuszów", nie uznających Bóstwa Chrystusa Pana, ani Ducha św. U nich „the moral rectitude" musi być zdobytą przez człowieka. Sami sekciarze wyznają, że Unitaryusze są zawsze ludźmi nieszczęśliwymi. Ale i ta sekta wzrasta codziennie: „the moral rectitude" jest między niemi gwarancyą uczciwości w handlu; kramarz dziś opuszczony przez klientelę, ogłasza się unitaryuszem, nazajutrz zaczyna mu się lepiej powodzić. „Nie mają innej deski zbawienia, prócz prawości moralnej!" wołają protestanci, tem samem piętnując własny brak wiary!

I czyż dziwna, że w tym chaosie sekciarsko-anglikańskim zapomniano o nędzarzach? Że w zaułkach londyńskich jest półtora

miliona, że w kałużach ulicznych Manchesteru, Liverpolu i t. p. miast przeludnionych leżą miliony w najohydniejszem zaniedbaniu duchowem". Czy dziwić się, że „Armia Zbawienia", z całą swą zewnętrzną śmiesznością nie ściągnęła na siebie potępienia mężów takich, jak kardynałowie Newman i Manning, nie wspominając o hierarchii anglikańskiej? Dopóki „Armia Zbawienia" nie jest s e k t ą, dopóki jest przedsięwzięciem czysto materyalnej formy; działalność jej pozostanie zbawienną: bo lepiej by lud śpiewał i mustrował się w dzień boży po ulicach i parkach, jak gdyby w dzień Boży walał się w pijaństwie i rozpuście.

To jedno tylko chciałem dowieść w swych spostrzeżeniach: że jakkolwiek ogólny i chętny jest ruch ku nawróceniu się klas wyższych i roboczych w Anglii — za co Bogu najwyższemu chwała! — to z drugiej strony charakter narodowy, niezachwiany w wielkich masach średnich, opiera się zaciekle Prawdzie i Miłości, żyjąc samolubstwem.

E. N.

Z Berlina.

Mowa tronowa. — Wybory nie po myśli rządu. — Rozstrój w parlamencie. — Ustawa banicyjna. — Stosunki kościelne. — Reformy socyalne. — Wniosek Haertlinga. — Sprawa Congo.

Mowa tronowa przy otwarciu sesyi nowego parlamentu, była niemiłą zapowiedzią niedoboru, wynoszącego przeszło 40 milionów i nowych ciężarów; gorzką pigułkę osłodzono oświadczeniem, że po zjeździe skierniewickim pokój na długi czas jest zapewnionym.

Nie dość pomyślny dla rządu centralnego wynik wyborów powszechnych, rozdraźnił niemało kierownika polityki niemieckiej i wycisnął w skutek tego charakterystyczne znamię na dotychczasowym przebiegu prac parlamentarnych. W skutek kompromisu między partyą centrum a konserwatywnymi, wybór prezydyum Izby odbył się bardzo spokojnie; pierwszym prezesem został p. Wedell-Piesdorf, zastępcą jego pierwszym baron Franckenstein (członek centrum a prezes pierwszej Izby bawarskiej), drugim zaś zastępcą

tutejszy sędzia Hoffmann (członek liberalnej opozycyi). Narodowcy liberalni, którzy tyle wrzawy podczas agitacyi wyborczej i później narobili, nie dostali się do prezydyum. — Niechęć rządu pruskiego przeciwko nowemu parlamentowi uwydatniła się bardzo wyraźnie w tem, że tylko posłom, którzy mieszkają po za Berlinem, dano karty wolnej jazdy po wyraźnie oznaczonych liniach kolejowych do stolicy i napowrót do miejsca zamieszkania, podczas kiedy dawniej wszyscy bez wyjątku posłowie, więc i mieszkańcy stolicy, otrzymywali takie karty po wszystkich kolejach całego cesarstwa w każdym kierunku. Rząd tłómaczył się tem, że niektórzy posłowie, zwłaszcza liberalni i socyalni, nadużywali w prywatnych i agitatorskich celach kart swoich. Parlament nie pozostał dłużnym odpowiedzi. Liberalna opozycya odnowiła wniosek kilkakrotnie już przyjęty, aby wyznaczono dyety członkom parlamentu; wniosek ogromną większością przyjęto, bo tylko konserwatywni i drobna część narodowców liberalnych głosowali przeciwko niemu. Przy tej sposobności wystąpił ks. Bismark z namiętną krytyką parlamentu czyli raczej obecnego składu jego. Kanclerz oświadczył pogardliwie, że mu nawet Europa cała nigdy nie imponowała, toć mu i parlament nie zaimponuje. Zdaniem jego jedynie konserwatywni i narodowcy liberalni walczą jako szermierze narodowej polityki za cesarza i za cesarstwo, a tych wszystkich jest tylko 157. „Inne stronnictwo centrum, liczące 100 członków, walczy za „księże rządy", bo przez swobodę Kościoła, tylko panowanie Kościoła rozumieć należy". Kiedy frakcya katolicka przeciwko temu zaprotestowała, zawołał książe Bismark: „Skoro panowie nie panujecie, narzekacie na ucisk, boście z starodawnej tradycyi do rządów nawykli. Pozwólcie, że otwarcie wam powiem: walczycie za rządy duchowieństwa, po części z taktycznych, po części z politycznych względów. Chcecie nas zmiękczyć opozycyą swoją, lecz mojem zdaniem, taktyka ta okaże się błędną". Następnie uderzył kanclerz na liberalną opozycyę, na demokratów i socyalistów, przedstawiając wszystkie te stronnictwa jako zarażone duchem republikańskim i dążące do tego, aby cesarzowi wydrzeć władzę rządową. W końcu wskazał książe na to, że w parlamencie zasiada 40 cudzoziemców, walczących przeciwko cesarstwu jako takiemu, t. j. Polacy, Francuzi, z którymi do pewnego stopnia także Welfowie hanowerscy toż samo zajmują stanowisko. Oświadczył tedy kanclerz, że taki parla-

ment imponować mu nie zdoła i że wniosek o wyznaczenie dyet odrzucić musi rada związkowa; co innego gdyby w obręb dyskusyi miała wejść zmiana — prawa wyborczego!

Po takich początkach można było przewidzieć, jak namiętnemi będą rozprawy nad odnowionym wnioskiem Windthorsta o zniesienie ustawy banicyjnej przeciwko duchowieństwu naszemu. Wycieczki kanclerza przeciwko stronnictwu katolickiemu nie pozostały bez wrażenia na konserwatystach, a kanclerz dołożył wszelkich sił, aby wmówić w frakcye rządowe, że wniosek Windthorsta jest po prostu demonstracyą antirządową. Konserwatywni, którzy zawsze głosowali za wnioskiem, stchórzyli; przeważna ich część połączyła się z najzaciętszymi wrogami wszelkich zasad chrześcijańskich, a garstka, która głosowała odpowiednio przekonaniom swoim za Windthorstem, czuła przynajmniej potrzebę tłómaczenia się z tego. Naoczny to dowód, czem jest właściwie w Niemczech tak zwany żywioł zachowawczy: pod naciskiem ks. Bismarka stali się rządowymi. W rozprawach brał kanclerz udział nader czynny, a wywody jego mają mianowicie dla publiczności polskiej, wielkie znaczenie, gdyż znowu Polacy musieli odegrać rolę kozła ofiarnego i przyjąć odpowiedzialność za wszystkie prześladowania kościoła katolickiego w Prusach.

Przedewszystkiem dowodził kanclerz, że ponowne postawienie wniosku Windthorsta jest lekceważeniem powagi rządowej, skoro większość rady związkowej odrzuciła już raz zapadłą w tej mierze uchwałę parlamentu; twierdził śmiało, że wniosek zupełnie jest zbyteczny, od ustąpienia Falka bowiem żaden minister nie korzystał z ustawy banicyjnej. „Owych 280 i kilku księży, którzy dawniej ustawą zostali dotknięci, powróciło z wygnania, tylko 27 przepadło bez wieści: za nimi nikt nie stawił się, może pomarli, może uzyskali stałe zatrudnienie za granicą“. W tej samej chwili, kiedy kanclerz te słowa mówił, wypędziła policya ks. Albina Barcikowskiego z osieroconej parafii Wielkie Łęki w ks. Poznańskiem, na mocy dawnego dekretu banicyjnego a nazajutrz doniosły dzienniki poznańskie, że jeszcze 21 księży poznańskich dotkniętych jest banicyą. Wobec tej rażącej sprzeczności między rzeczywistością a twierdzeniem księcia Bismarka wezwała go *Germania*, aby postarał się o zniesienie owych dekretów banicyjnych, gdyż w przeciwnym razie w księstwie Poznańskiem już nikt nie zechce słowom

jego wierzyć. Do obecnej jednak chwili nie dozwolono księżom naszym powrócić, chociaż przed rokiem ks. biskup chełmiński jako senior episkopatu także za nimi wstawiał się u rządu pruskiego; prasa rządowa nie odważyła się wypowiedzieć słowa na obronę kanclerza. Oznajmił on po raz pierwszy w mowie swej, że rząd pruski głównie z powodów dyplomatycznych i politycznych sprzeciwia się zniesieniu ustawy banicyjnej. „W dzielnicach czysto niemieckich nie potrzeba już dziś zdaniem mojem owej ustawy; możnaby ją tam cofnąć, ale inaczej ma się rzecz w polskich dzielnicach. Czy ustawa tam zastósowaną będzie, zależy to od przyszłości. Usiłowania polskie zmierzające do oderwania prowincyj niegdyś polskich od ziem staropruskich nie staną się groźnemi dla państwa, dopokąd obecny rząd pozostanie u steru. Mogłaby jednakże przyjść chwila, kiedy ruch ten mógłby się stać wielce niedogodnym dla państwa pruskiego". Przypomniawszy rok 1863, oświadczył kanclerz, że wśród podobnych stosunków politycznych ustawa banicyjna przyda się wybornie. Frakcyi centrum zarzucał, że drobnemi ustępstwami pozyskać się nie da, lecz żąda odrazu wszystkiego; a chociażby rząd na to przystał, nie byłby jeszcze pewnym stałego poparcia z strony centrum, bo punkt ciężkości tegoż stronnictwa znajduje się poza obrębem państwa niemieckiego. Układy z Rzymem do niczego nie doprowadziły, Rzym nie myśli o ustępstwach zasadniczych. Tymczasem dzisiaj Prusy mogą czekać, a dopóki Rzym nie poczyni wyraźnych a doniosłych ustępstw, dopóty z pruskiej strony najdrobniejsza koncesya nie nastąpi. Napróżno, zbijając wywody księcia Bismarka, wykazał Windthorst, że ustawa banicyjna nie ma nic wspólnego z polityczną agitacyą, że tu chodzi o sprawy czysto duchowne, jak odprawianie mszy św. i sprawowanie sakramentów; pod tym względem nie ma żadnej różnicy między niemiecką a polską ludnością. Jeżeliby Polacy wyłamywali się z swych obowiązków dla rządu, to użyć należy przeciwko nim ustaw kodeksu karnego; tymczasem Polacy płacą nałożone podatki, walczą w pułkach pruskich, rząd zaś obraża sumienie ich i zmusza prawie do buntu. Książę Bismark usiłuje zrzucić z siebie odpowiedzialność za walkę kościelną ale nikt mu nie uwierzy, dopóki on nie położy końca nieszczęsnej walce, którą on sam przeważnie nadal podtrzymuje. Błahe też są narzekania, jakoby żądania katolików nie miały granic; niech tylko

rząd przywróci stosunki, jakie panowały za Fryderyka Wilhelma IV. a zakwitnie pokój wewnętrzny. „Dopóki zaś swoboda Kościołowi nie będzie przywróconą, nie poprzestaniemy nacierać na rząd, aby nam oddał, co nam się należy; w sprawach gospodarczych i socyalnych nie odmawiamy rządowi poparcia, zwłaszcza, że przyszłość Niemiec groźną nam się przedstawia, ale stronnictwem rządowem centrum nie jest, i nigdy nie będzie". Podniósł dalej ustępstwa jakie Rzym poczynił, mianowicie w obsadzaniu stolic biskupich, ale i to dodał, że poznańskie stosunki kościelne nie byłyby tak opłakane, gdyby rząd pruski nie odrzucał z góry wszystkich kandydatów przez Rzym przedstawionych a nie podsuwał ciągle swoich kandydatów. Na to mu ks. Bismark odparł, że dyplomacya rzymska cofnęła kandydatów przez siebie proponowanych, skoro z Berlina objaśniono Rzym o „antecedencyach tychże panów;" skarżył się kanclerz, że niektórzy księża polscy zmierzają do oderwania dzielnic polskich od państwa pruskiego; arcybiskupa zaś z takiem usposobieniem rząd pruski w żaden sposób nie może wpuścić do Poznania; jeźli warunek ten nie będzie dopełnionym, pozostanie stolica poznańska nadal opróżnioną, bo obecny rząd ani na włos nie ustąpi. Kanclerz obstawał również przy tem, że mu nie chodzi o to, aby sprzeciwiać się odprawianiu mszy św., ale ustawa banicyjna jest wymierzoną przeciwko takim księżom, którzy z ambony prowadzą polityczną agitacyę. Oprócz duchowieństwa narodowego, wydaje mu się szlachta polska nader niebezpieczną. Nie dowierza też książe temu, aby centrum uspokoiło się, gdyby powróciły dawne stosunki, a w każdym razie żądał, aby centrum zajęło stanowisko czysto katolickie, odrzuciwszy od siebie wszystkie żywioły obce (polskie, francuskie), które się wieszają przy tak potężnej a karnej frakcyi.

Inkryminacyom ks. Bismarka dał należną odprawę Jan Graevy. Młody ten szermierz, który teraz dopiero wstąpił do parlamentu, zaprzeczył temu, jakoby Polacy byli wrogami państwa niemieckiego. Polacy żądają tylko sprawiedliwości, tymczasem oni właśnie najwięcej cierpieć muszą pod naciskiem ustaw, które policyi nadały władzę zbyt obszerną, bo organa rządu wychodzą ciągle z tego założenia, że w obec Polaków wolno im wszystko. Dlatego żądają Polacy, aby przedewszystkiem usunięto tę ustawę drakoniczną, chociaż z drugiej strony ustawy majowe narodowości polskiej uszczerbku

nie przyniosły. Bronili jeszcze Polaków baron Schorlemer i poseł Magdziński. Ten kładł nacisk na to, że kanclerz zarzuca wprawdzie wrzekomej agitacyi polskiej, jakoby pragnęła Poznańskie, Prusy Zachodnie i Górny Szląsk oderwać od Prus i Niemiec, ale dowodu nie przytoczył na to żadnego. Jakiem też prawem narzeka kanclerz na Polaków, jako na żywioł obcy? Toć Polacy nie życzyli sobie wcale, aby ich wcielono do cesarstwa niemieckiego, ale żądali uznania odrębnego ich stanowiska w Prusach na mocy znanych traktatów. Wspominał książe Bismark o ewentualności wojny między Rosyą a Niemcami; nad tą ewentualnością zastanawiali się także nieraz Polacy i powiedzieli sobie niestety, że wprawdzie będą musieli ponosić okropności takiej wojny i ciężkie ofiary, że jednakże po takiej wojnie niczego spodziewać się nie mogą w obec panującego w obu państwach systemu rządowego. Polacy zaś żyją nadzieją, że żywotność narodu, jaka się ciągle manifestuje, przyjdzie kiedyś do znaczenia. Mówca bronił następnie duchowieństwa, jakoby ono było odpowiedzialnem za powstania polskie, odparł zarzut polonizowania Niemców i podnosił udział Koła polskiego w pracach parlamentarnych, o ile takowe odnoszą się do polepszenia stosunków w dzielnicach polskich. Koło polskie broni nadto jako frakcya narodowa narodowych praw polskich Kościoła gnębionego, słowem wszystkich dóbr, jakie Polacy po przodkach odziedziczyli. W obronie tych dóbr występuje niecylko szlachcic i ksiądz, lecz również chłop polski, którego napróżno od reszty narodu odłączyć ks. Bismark usiłuje. W końcu wyraził mówca silne przekonanie, że Niemcy-katolicy, jak dawniej, tak i na przyszłość występować będą w obronie Polaków-katolików.

Po przemówieniu postępowca Richtera za wnioskiem, przystąpiono do głosowania. Za Windthorstem głosowało 217, przeciwko niemu 93 posłów.

Do całej tej akcyi parlamentarnej nie potrzeba dawać komentarzy. Niech nam tylko wolno będzie w tem miejscu umieścić krótki ustęp z artykułu „Kuryera Poznańskiego“, w sprawie obsadzenia w przyszłości stolicy arcybiskupiej. Organ poznański pisze: „Być może, iż znakomita polityczna przeszłość jednego z kandydatów, proponowanych przez Stolicę św., (wiemy, o kim tu mowa), pełne siły i poczucia narodowej godności słowa, wypowiedziane przez

niego w parlamentach i sejmach, nie podobały się kanclerzowi; atoli pomiędzy kandydatami Stolicy świętej byli i są tacy, którzy nawet pod względem przysługującej każdemu obywatelowi wolności wypowiedzenia swych przekonań, nie narazili się potężnemu księciu. Jakiemże tedy prawem może kanclerz trząść w parlamencie w tak ubliżający sposób „antecedencyami“ kapłanów, których nazwiska są publiczną tajemnicą? Jak wszędzie, tak i tutaj kieruje się kanclerz względem Polaków tak świeckich jak i duchownych uprzedzeniami“. „Moniteur de Rome“ zaś, przedstawiwszy smutne położenie Kościoła w Prusach, tak mówi: „Kto sądzi, że Kościół mógłby się zgodzić na życie tak smutne i niezaszczytne, żąda od niego samobójstwa, a kto mu zarzuca, że dąży nie do wolności, lecz do przewagi i panowania, urąga się z niego w sposób krzyczący i niesprawiedliwy“.

Ilustracyą tego położenia są świeże fakta, że kapucyna krakowskiego, O. Krescentego, któremu ks. Edmund ks. Radziwiłł powierzył kierownictwo misyi ludowej w Ostrowie, uwięziono i na karę pieniężną zasądzono, a listami gończymi sądy poznańskie ścigają księży Rezlera i Piotrowskiego za sprawowanie funkcyj duchownych. Liczba parafij osieroconych wynosi w księstwie Poznańskiem 185, z których 146 nie ma żadnej opieki duchownej.

Ludności katolickiej w księstwie grozi inny jeszcze cios, który już dotknął katolików w archidyecezyi kolońskiej. Regencya kolońska wydała bowiem świeżo rozporządzenie, że młodzi księża mają się powstrzymać od wszelkich czynności kapłańskich, skoro przez władzę duchowną nie otrzymali wyraźnie określonej posady wikaryuszowskiej. Ponieważ rząd arcybiskupa kolońskiego nie uznaje, nie ma więc w archidyecezyi żadnej władzy duchownej, któraby mogła dopełnić wymaganej formalności; księża są tedy zmuszeni zastósować się do interdyktu rządowego, jeźli nie chcą narazić się na ciężkie kary. Ludność została tem rozporządzeniem do żywego oburzoną, bo tendencya ustaw majowych zmierzała tylko do tego, aby od funkcyj duchownych wykluczyć księży nieposiadających obywatelstwa niemieckiego lub wykształcenia przepisanego; jednym i drugim warunkom odpowiadają księża kolońscy, a notyfikacyi nie wymaga już dziś państwo względem księży, którzy każdej chwili mogą być przesyłani na inną posadę. Ludność katolicka oburza się tembardziej, że protestanckim kaznodziejom zostawia rząd zupełną

w tej mierze swobodę. Ponieważ w Księstwie Poznańskiem księża młodzi również nie mogą otrzymać formalnych posad, przeto prawdopodobnie rząd wystąpi tam z tąż samą surowością. W Prusach Zachodnich żądają nawet naczelnicy powiatów od świeżo przybyłych księży, aby się wykazali biskupim dokumentem, na mocy którego pełnią obowiązki przy parafiach. Landraci nie mają prawa do takich indagacyj, przeto też młodzi księża mieli im oświadczyć, aby się udali wprost z swem zapytaniem do biskupa chełmińskiego.

Przed kilku tygodniami umarł sędziwy biskup limburski, ks. dr. Blum, który przed rokiem wrócił z wygnania. Dotychczas kapituła nie obrała jeszcze administratora dyecezyi, bo podług pruskiego ustawodawstwa musiałby on złożyć przysięgę na ustawy majowe, a tego przecie żaden kapłan katolicki nie uczyni. Dyspensować od przysięgi rząd nie może, bo władza dyskrecyonalna ustała z początkiem kwietnia roku zeszłego. Jeźli tedy rząd nie porozumie się z Stolicą apostolską względem obsadzenia limburskiego biskupstwa, pozostanie dyecezya osieroconą a zarząd majątku biskupiego przejdzie w ręce kólewskiego komisarza. Nowy biskup musiałby także być zwolnionym od przysięgi na ustawy majowe.

W ostatnim moim liście wspominając o byłym rządowym ks. Czerwińskim z Sierakowa, powiedziałem, że „ks. kardynał rzucił na niego klątwę". Tak nie było, ks. Czerwiński nigdy nie był obłożony klątwą, podpadł tylko suspensie *ab officio et beneficio*. Pomyłkę tę prostuję tem chętniej, że ks. Czerwiński po swem budującem pojednaniu się z kościołem, już od kilku tygodni pracuje poczciwie na Kujawach.

Parlament zajął się jeszcze inną sprawą, która żywo obchodzi ludność polską, tj. wnioskiem ks. dr. Jaździewskiego, domagającym się równouprawnienia języka polskiego w sądownictwie. Podług ordynacyi sądowej odbywa się obecnie całe postępowanie sądowe w niemieckim języku. Tłumacza wzywają wtedy tylko, gdy strony nie mają żadnego wyobrażenia o języku urzędowym. Protokół prowadzi się jedynie w niemieckim języku; tylko wtenczas, jeżeli sędzia uważa za rzecz potrzebną i żąda tego, umieszczają się zeznania świadków i rzeczoznawców w innym języku w protokole, lub w osobnym dodatku do protokółu. Rozumie się, że w praktyce nie dzieje się to wcale lub bardzo rzadko. Sędziowie wmawiają w Po-

laków, że ci dostatecznie umieją po niemiecku, i mogą się obyć bez tłumacza, lub ignorują niewiadomość ludu prostego, i na tem koniec. Otóż wniosek wspomniany żąda, aby w ziemiach zabranych w r. 1772 język polski był równouprawniony z niemieckim; władza rządowa ma wzywać tłumacza, ile razy toczy się sprawa z osobami niewładającemi językiem urzędowym, a protokół ma się spisywać w języku stron interesowanych. Wniosek koła polskiego odnosił się tylko do polskiej ludności, pozostawiając innym w obrębie państwa mieszkającym szczepom swobodę bronienia swych praw przez swoich posłów. Ks. Jażdżewski uzasadnił wniosek polski tak ściśle przedmiotowo, jak tylko można było, unikając wszystkiego, coby drażnić mogło. Mowca zganił nierówność, którą ustawodawstwo obraża uczucia polskie, dzieląc poddanych na różne klasy i wywołując przez to rozterkę. Nietylko prawo przyrodzone staje w obronie ludności polskiej, lecz także traktaty wiedeńskie i odezwa Fryderyka Wilhelma III. z dnia 15 maja 1815, w której czytamy te słowa: „Wasz język ma być obok niemieckiego używany we wszystkich czynnościach publicznych". Do tych słów stósowano się przez czas dłuższy, aż później z usunięciem przepisów obowiązujących, nastąpił przewrot radykalny, pomimo to, że ludność polska nie włada i dziś jeszcze niemieckim językiem. Wyrobiły się stosunki tem gorsze, że nowa ordynacya sądowa polega na postępowaniu ustnem, na wzajemnem rozumieniu się sądu i stron. Pod tym względem został na ludność polską nałożony kaganiec, zwłaszcza że Polacy mają prawie zawsze do czynienia z sędzią Niemcem. W Poznańskiem bowiem na 242 sędziów, jest tylko 30 Polaków sędziów, w okręgu wrocławskim na 509 tylko 14, a w Prusach Wschodnich tylko 6.. Polacy nie poświęcają się służbie sądowej, ponieważ ministrowie nie posyłają ich do okręgów polskich, lecz do niemieckich, a wyższej posady żaden Polak nie zajmie nigdy, kto się zaś poświęci prawu, czemprędzej przechodzi do adwokatury: nie ma więc żadnej nadziei, abyśmy w obec takich stosunków mieli w stronach polskich sędziów rodaków. Dalszym skutkiem zgubnego przepisu prawnego jest to, że ludność, nie mogąc sama podawać skarg, zażaleń i wniosków do sądu, zmuszona jest szukać pośredników, którzy ją wyręczają; tym sposobem utworzyła się klasa ludzi, uchodząca także w oczach rządu za nader niebezpie-

czną, t. zw. pisarzy pokątnych, a wpływ tych ludzi jest zgubny pod względem moralnym i materyalnym. Mówca przypomniał następnie los wniosku polskiego podczas ostatniej kadencyi parlamentu; komisya sejmowa wyraziła życzenie, aby ulepszono instytucyę tłumaczów sądowych, ale jeżeli gdzie, to w polskich dzielnicach sprawdza się przysłowie włoskie: „traduttore-traditore". Nawet Niemcy przyznają, że dawniej łatwiej było o tłumaczów zdolnych i sumiennych; więc i ta instytucya nie przyniesie nam teraz pomocy skutecznej. Komisya oświadczyła dalej, aby obsadzono posady sędziowskie urzędnikami, znającymi język polski, ale skądże ich wziąść, kiedy w szkołach od 12 lat nie uczą już obowiązkowo języka polskiego? Należy przyjąć w zasadzie równouprawnienie językowe w sądach, a wtenczas reszta łatwo się znajdzie. Mówiąc o protokółach niemieckich, zapytał się ks. Jażdżewski, co sądzić można o protokóle niemieckim, podpisanym przez Polaka nie mówiącego po niemiecku? zwłaszcza, że w praktyce protokóły bywają pisane w skróceniu, i zrozumiałe są chyba sędziemu, nie zaś interesowanej stronie, szczególnie kiedy nim jest prostaczek. Pomimo to bywa protokół podstawą postępowania prawnego. W końcu prosił wnioskodawca, aby się parlament nie zasłaniał niemożnością wprowadzenia w życie wniosku samego; środki odpowiednie znajdą się, byle wola była szczerą.

W imieniu rządu oświadczył sekretarz stanu von Schelling, dość szorstko, że nie ma żadnych widoków, aby na korzyść Polaków zaszła zmiana w ustawodawstwie. Mniej szorstką postawę zajęli posłowie niemieccy; o zasadniczem równouprawnieniu polskiego języka z niemieckim, nie chcą oni wiedzieć; ale wszyscy zgodzili się na to, że obecne przepisy wywołały takie niedogodności i trudności, iż koniecznie potrzeba w osobnej komisyi stosunki te zbadać szczegółowo; przytem mają być uwzględnione potrzeby innych także szczepów, które nie władają niemieckim językiem. Poseł Windhorst żądał ścisłej sprawiedliwości dla ludności polskiej; jeżeli Prusy w obec Polaków zajmą podobne stanowisko jak Austrya, wtenczas i rezultat będzie podobnym. Z wielką uwagą słuchała izba wywodów księcia Ferdynanda Radziwiłła, który z powagą i energią protestował przeciwko oskarżeniu księcia Bismarka, jakoby Polacy żywili skłonności rewolucyjne. Mowca oświadczył, że ludność polska owszem

pragnie utrzymania pokoju, aby spokojnej oddać się pracy. Wreszcie przekazano wniosek ks. Jażdżewskiego komisyi, złożonej z 14 członków; weszło do niej z łaski frakcyi centrum trzech Polaków, i ci też tylko wraz z jednym członkiem z centrum głosowali za przyjęciem wniosku, który, rzecz jasna, upadnie także w parlamencie.

Sprawa subwencyi dla parowców zamorskich omawiana szeroce w osobnej komisyi, a niewiadomo jeszcze, czy wszystkie linie (wschodnio-azyatycka, australska, zachodnio-afrykańska) pozyskają większość parlamentu, subwencye bowiem obliczone są na lat 15 a wynoszą rocznie 5,400.000 marek, którą to sumę rzeczoznawcy uważają jeszcze za zbyt niską. Niekorzystne położenie finansowe państwa, odegra w tej sprawie także ważną rolę. Wprawdzie wszystkie stronnictwa przemawiają za oszczędnością, ale ile razy oszczędność ta tyczy się spraw zagranicznych, tyle razy powstaje niesłychana wrzawa po stronie mniejszości rządowej parlamentu i w prasie rządowej. Miało to miejsce mianowicie wtenczas, kiedy liberalna opozycya w porozumieniu z centrum odrzuciła żądanie ks. Bismarka, aby w ministerstwie wspomnianem utworzyć nową posadę drugiego dyrektora; na cel ten miał parlament stale przeznaczyć 20.000 marek i 1.500 m. dodatku na komorne. Ks. Bismark przemawiał kilkakrotnie za tą pozycyą, oświadczając równocześnie, że przybierze sobie urzędników do pomocy, jeżeli parlament odrzuci projekt ten pierwotny, i że tym sposobem podoła pracy. Pomimo to powstała taka wrzawa w prasie z powodu odrzucenia projektu rządowego, jak gdyby parlament był uchwalił zagładę państwa niemieckiego. Ilustracyą uczciwości prasy rządowej w tej sprawie jest fakt, że budżet ministeryum dla spraw zagranicznych wynosi prawie 7 milionów, a to o 380.000 marek więcej niż w zeszłym roku; z tych 7 milionów zakwestyonował parlament tylko 80.000 marek, na resztę przystaje. Każdy nieuprzedzony powie, że tu nie ma powodu do rozpraw o braku poczucia narodowego i słusznie nazwała „Germania“ całą komedyę ostatnią (adresa, telegramy, wiersze, zgromadzenia publiczne, zbieranie składek na fundusz bismarkowy), która się odegrała prawie w całem państwie, prostym „szwindlem“. Pomimo, że prasa liberalna nie dosyć poparła liberalną frakcyę parlamentu, to nietrudno dziś przewidzieć, że przy trzeciem głosowaniu nad budżetem ks. Bismark otrzyma tyle pożądanego drugiego dyrektora. Równocześnie syn jego starszy, hrabia

Herbert Bismark wstępuje do ministerstwa jako sekretarz stanu. Prasa opozycyjna domyśla się, że wrzawa obecna ma na względzie agitacyę wyborczą, gdyż w jesieni odbędą się wybory do sejmu pruskiego; w zagranicznej zaś prasie jest mowa o tem, że obecne „oburzenie narodowe", bez wiedzy „oburzających się" ma posłużyć za rodzaj plebiscytu na korzyść ks. Bismarka przeciw następcy tronu, który podobno nie we wszystkiem podziela zapatrywanie kanclerza względem polityki wewnętrznej. Zdaje mi się, że nie należy nadawać takiej doniosłości demonstracyom sztucznym.

Na pozór lekceważy ks. Bismark ogromny wzrost socyalizmu w Niemczech. Atoli powszechna i nagła rewizya całego wojska niemieckiego, ażali nie znajdują się w armii pisma socyalistyczne, oraz energiczne wystąpienie policyi tutejszej przeciwko agitatorom socyalistycznym, dowodzą jasno, że u dworu bardzo poważnie na tę sprawę się zapatrują. W parlamencie jednak sprawa reformy socyalnej nie postąpiła naprzód. Dozwolono tylko, aby z dobrodziejstw ustawy zabezpieczającej zdrowie i życie robotników fabrycznych, korzystali także robotnicy na roli i przy zakładach transportowych. Natomiast już dzisiaj prawie pewną jest rzeczą, że nader zbawienny wniosek br. Haertlinga z centrum, członka kat. stowarzyszenia *Arbeiterwohl*, nie zostanie przyjęty. Daleki od tych policyjno-finansowych półśrodków, jakimi ratować chce społeczeństwo ustawa o ochronie robotników, zmierza wniosek Haertlinga wprost do podźwignięcia moralnego stanu robotniczej klasy i domaga się 1) zakazania po fabrykach pracy w niedziele i święta, z wyraźnem ustanowieniem wyjątków; 2) ograniczenia pracy kobiet i dzieci; 3) ustanowienia maximum pracy dla robotników płci męskiej. Przed dwoma miesiącami wniesiony, przyszedł ten wniosek dopiero 14 stycznia pod obrady parlamentu. Ks. Bismark przyjął go z ironiczną niemal niechęcią zapytując, dla czego centrum nie wystąpi z gotowym, jasno opracowanym projektem, ale robotę tę zostawia rządowi — czy snać dla tego, aby całą zań odpowiedzialność zwalić na rząd? Podsuwał inicyatorom wniosku zamiary agitacyjne, chęć pozyskania socyalistów i t p., i wróżył zawczasu przegranę w tej sprawie. Sofistyczne wywody ks. Bismarka zbił w długiej wspaniałej przemowie br. Schorlemer-Alst, ale ks. Bismark nie słuchał tej repliki. W imieniu koła polskiego przemawiał za wnioskiem poseł Cegielski. Krótko

ale dosadnie dowodził, że ludność robocza polska, czuje się dotkniętą nie samem tylko położeniem ekonomicznem, ale także religijnym i narodowym uciskiem, który położenie to pogarsza, a słowa jego w obronie klas pracujących w ogóle, nabierały tem większej wagi, że sam jest właścicielem znacznej fabryki w Poznaniu. Po trzechdniowych nader ożywionych debatach, wniosek ten odesłano do komisyi.

Na zakończenie słowo o sprawie Congo. Dnia 15 listopada r. z. zebrała się w Berlinie tak zwana konferencya afrykańska, zwołana wspólnie przez Niemcy i Francyę; a chociaż podług pierwotnego zamiaru tylko mocarstwa wielkie w niej miały brać udział, to jednak dopuszczono później także Włochy i Turcyą w skutek przedstawień tychże państw. Desiderata konferencyi obejmują trzy punkta: 1) wolność handlu na rzece Congo, 2) wolność żeglugi na rzece Niger, 3) przepisy międzynarodowe względem późniejszego opanowania ziem nie posiadanych dotąd przez żadne z mocarstw uznanych. Nie trudno dostrzedz, że konferencya cała zwraca się przeciwko Anglii i pragnie ograniczyć dotychczasową jej przewagę w krajach zamorskich. Punkt ciężkości konferencyi spoczywa w pracach komisyi przez nią wyznaczonej, w której ważną rolę odgrywają techniczni doradzcy pełnomocników warstw poszczególnych. Rząd portugalski przedstawił na samym początku konferencyi obszerny memoryał, w którym nie tylko broni się przeciwko zarzutom, mianowicie przeciw temu, jakoby tolerował handel niewolnikami, lecz nadto twierdzi, że panowanie udzielne nad ujściami rzeki Congo od dawna zostaje w ręku Portugalii. Memoryał ten nie odniósł dotąd skutku, ale jest przyczyną zwłoki. Wkrótce po zebraniu się konferencyi uznały (jak to uczyniły poprzednio już dawniej Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Belgia), mocarstwa jedno po drugiem państwo założone nad brzegami rzeki Congo przez *Association internationale africaine*. Spodziewano się zrazu, że konferencya ukończy swe prace przed Bożem narodzeniem, tymczasem przeciągną się one do końca stycznia a może i dalej. Komisya zgodziła się najprzód na to, co właściwie zrozumieć należy przez pobrzeże rzeki Congo: i uchwaliła, że granicę pobrzeża stanowić mają góry po obu stronach rzeki. Granica taka jest bardzo luźną, gdyż jak niektórzy geografowie twierdzą, rzeki wielkie nie wszędzie otoczone są górami.

Ponieważ przy licznych ujściach rzeki Congo żegluga jest niemożliwą, przeto uchwalono, aby kolej żelazna, mająca się wybudować od brzegu morskiego aż do punktu, gdzie żegluga rozpocząćby się mogła, podlegać będzie tym samym postanowieniom, jak koryta tejże rzeki i pobrzeża. Rząd włoski postawił w komisyi wniosek, aby misyonarze i wszelkie ekspedycye naukowe na pobrzeżu rzeki doznawały wszelkiej opieki państw, dowóz zaś wszelkich spirytuozów szkodliwych, aby był zgóry zakazanym; komisya przystała na to. Wszystkie uchwały komisyi zostały na zebraniu konferencyi przez mocarstwa przyjęte; postawiono również wnioski, aby wolność handlu rozszerzoną została nietylko na wschód rzeki Congo aż do morza Indyjskiego, lecz także na północ i południe; wnioski te jednak zostały później odrzucone. Na następnem posiedzeniu komisyi uchwalono wolność handlu na całem pobrzeżu Congo, a nadto granice pobrzeża jeszcze ściślej, jak poprzednio, oznaczono. Konferencya zgodziła się na te uchwały.

Następnie zajęła się komisya kwestyą wolnej żeglugi na rzekach Congo i Nigier. Anglia opierała się zrazu przy prawach, wrzekomo dawniej już nabytych względem rzeki Nigier, ale później ustąpiła. Konferencya potwierdziła zaś uchwały komisyi i uchwaliła, że wszystkie religie w krajach, o które tu chodzi, mają doznawać najzupełniejszej swobody. Wolność handlu została rozszerzona na drogi lądowe w bliskości rzek tam, gdzie żegluga na nich jest niemożliwą. Nad przestrzeganiem uchwał konferencyi ma później czuwać osobna komisya, do której każde państwo, na konferencyi przedstawione, ma wysyłać swego delegata. Sprawa dopuszczenia lub nie dopuszczenia spirytuozów, nie została ostatecznie załatwioną; konferencya wyraziła tylko życzenie, żeby uregulowano tę rzecz drogą ugody międzynarodowej. Uchwała ostateczna względem handlu niewolnikami i względem neutralizacyi całego terytoryum w razie wojny, została odroczoną.

W chwili, kiedy kończę sprawozdanie, są tedy załatwione dwa pierwsze punkta desyderatów konferencyi. Względem posiadania ziem, niemających dotąd zwierzchności stałej, nie został jeszcze przedstawionym żaden projekt; przynajmniej urzędowych wiadomości, któreby potwierdzały pogłoski po dziennikach krążące, nie otrzymaliśmy jeszcze. Tymczasem, jakby na wyścigi, usiłują rządy rozmaite zagarnąć, co się da w Afryce i na wyspach australskich,

a wszędzie napotykamy na ruch nadzwyczajny kolonialnej polityki ks. Bismarka. X.

Przywrócenie waluty w Austryi.

Przywrócenie waluty jest bezwątpienia rzeczą nader pożądaną dla wszystkich, zwłaszcza dla przemysłu i handlu, który obecnie nie może nigdy dojść do ścisłego zdania sobie sprawy z tego co ma i co winien, gdyż nie może naprzód obliczyć fluktuacyi kursu znaków zamiennych. Również niepewna jest wartość majątku publicznego i mienia każdego człowieka. Operacya przywrócenia waluty pociąga jednak za sobą bardzo znaczne koszta, które zapłacić musi ludność składająca podatki, a w pierwszym rzędzie ludność pracująca i produktująca, w przywróceniu waluty bezpośrednio najmniej interesowana i dziś już nad siły ciężarami publicznymi obarczona.

Przywrócenie waluty znaczy, że skarb państwa cofnie z obiegu i wymieni na brzęczącą monetę wszystkie papierki jedno, pięcio i piędziesięcio reńskowe *(Staatsnoten)*, tudzież tak zwane obligacye salinarne, w łącznej kwocie 412 milionów, zarazem zwróci bankowi austro-węgierskiemu dług 80 milionów, poczem tenże bank podejmie wypłaty w metalu, teraz faktycznie zawieszone.

Pod brzęczącą monetą i metalem rozumie się złoto i tylko złoto. Dawniej złoto mieściło się obok srebra i było dobrze. Skutkiem odkrycia obfitych kopalni srebra i udoskonalenia sposobów wytapiania, cena srebra spadła, a dawny stosunek srebra do złota został naruszony. Równowaga dawała się przywrócić, zwiększając ilość czystego metalu w monecie srebrnej, i byłoby znowu dobrze, ale przyszła szkoła manczesterska i postawiła zasadę, że jednostką monetarną winno być jedynie złoto, jako najmniej ulegające fluktuacyom ceny.

Szkoła manczesterska była i jest w służbie przemysłowych i finansowych potentatów tego świata. Anglia, dusząca się w własnym tłuszczu produkcyi fabrycznej i gotówki, potrzebowała odbytu dla jednej i drugiej. Wynaleziono więc teoryę wolnej konkurencyi i wolnej zamiany; wolna konkurencya obiecywała łatwość zgniecenia słabszych współzawodników, wolna wymiana zaś dać wyrobom angielskim przystęp do całego świata, za co Anglia ofiarowała w zamian wolny import artykułów, bez których obejść się nie może, surowego produktu,

zboża, wina. Przyjęcie jednostki złotej w systemie monetarnym, leży w interesie handlarzy złota i wielkich kapitalistów, którzy mając w ręku metal, są w stanie regulować cenę złota, a zatem wszystkiego, co ktokolwiek sprzedaje czy kupuje. Teorye manczesterskie jedna za drugą upadają, tylko teorya o złocie, jako jednostce monetarnej, czyni coraz większe postępy, opiera się skutecznie coraz mniej licznym przeciwnikom, stronnikom „bimetalizmu". Wszystko zdaje się zapowiadać, że ta teorya zapanuje w najbliższej przyszłości i utrzyma się, dopóki jej fakta nie obalą. Wielkiem jej zwycięztwem było przyjęcie jednostki złotej w Niemczech. Anglia i Francya, zachowując prawnie monetę srebrną, biją jej coraz mniej, a w obiegu zaledwie ją widać. Ameryka pozostała przy dawnym systemie, wybija srebro w mennicach masami, gromadzi się ono jednak w kasach, gdzie podobno cztery piąte części bezużytecznie spoczywają. Do Austryi srebrne guldeny wróciły i mają tę samą wartość, co pieniądz papierowy.

W takim składzie rzeczy, Austrya prawie nie ma wyboru, i szczególnie jako sąsiadka Niemiec, musiałaby, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przyjąć u siebie jednostkę złotą. Do tego zdążają wszystkiemi siłami potęgi finansowe, przewidując obfite dla siebie żniwo. Ilość złota, znajdująca się w obiegu, jest ściśle ograniczona, zaledwie wystarcza na bieżące potrzeby, chociaż Austrya i Rosya kontentują się papierową monetą i kursem przymusowym. Bardzo niedawno temu słyszeliśmy wprawdzie o niezmiernych zapasach złota w różnych bankach; raptem złoto zaczęło, jak zwykle w jesieni, odpływać do Ameryki i Egiptu i ten odpływ takie wkrótce przybrał rozmiary, że bank angielski ujrzał się w konieczności, dla obrony swej rezerwy, podniesienia stopy procentowej do 5%. To dowodzi, że zbytku złota niema. Gdy Austrya uda się do kredytu publicznego w celu zaciągnienia pożyczki w złocie, potrzebnej na wycofanie papierków, obligacyi i na spłacenie długu bankowego; gdy za ministrem skarbu zjawi się bank, również zmuszony szukać złota, którego obecnie bardzo mało, zaledwie trzecią część rezerwy metalicznej posiada, wtenczas cena złota zaraz w górę pójdzie. Następnie pewna ilość złota, obecnie kursującego w świecie, stale w Austryi pozostać musi i to wpłynie na stałe, długoletnie zdrożenie metalu, odbijające się we wszystkich stosunkach, najbardziej

w kredycie publicznym i prywatnym, tudzież w cenie produktów rolnych. Budżet zwyczajny ma być wkrótce do równowagi przyprowadzonym, ale kosztem zwiększenia ciężarów, już dziś siły ludności przechodzących. Budżet nadzwyczajny będzie jak dotąd pokrywany pożyczkami, a przy zaciąganiu takowych ażyo na złocie samo z siebie się znajdzie: czuwać będą nad tem Rotszyldowie. Gdy złoto zdrożeje, banki zepchną różnicę kursu na klasy potrzebujące kredytu, za tem przyjdzie powszechne podniesienie stopy procentowej.

Przy regulacyi waluty, stan ziemiański najwięcej ucierpieć może. Zaraz z początku wypadnie ustanowić stosunek monety do waluty papierowej, w której zaciągane są zobowiązania hypoteczne i osobiste. Kapitał ruchomy, bliższy wielkiego ołtarza, rządowi potrzebny, będzie ciągnął na swoją stronę i szalę przeważy. Czy rolnik stosunkowo po tej samej cenie za złoto co za papiery zboże sprzedawać będzie, jest więcej niż wątpliwem, z powodu prawdopodobnego podrożenia złota. Obecnie konkurencya zboża austryackiego i węgierskiego na targach zagranicznych, co dzień trudniejsza, znajduje niejakie ułatwienie w niskim kursie pieniędzy austryackich; po przywróceniu waluty ten benefis zniknie dla nas, lecz nadal pozostanie przy zbożu rosyjskiem i da temu ostatniemu jeszcze większą przewagę. W Austryi zaś, rolnik opłacać będzie w złocie podatki, procenta robotnika, własne potrzeby. Dla tej przyczyny, Węgrzy na wiedeńskie projekta wzruszają ramionami. O ich opór rozbić się może cała sprawa, z wielu innych powodów podobno bardzo jeszcze daleka od rozwiązania. *H. L.*

W sprawie jubileuszu św. Metodego.

Do głosów kilku gazet zagranicznych, które nieprzestają pisać jak dawniej o jubileuszu Welehradzkim, przyłączają się teraz organa centralistycznego i żydowskiego liberalizmu. *N. Fr. Presse* denuncyuje ten obchód jako polityczną agitacyę Słowian, wciąga w tę agitacyę Stolicę św., przypisuje jej, co nazywa „polityką słowiańską“ — a to z tego tytułu, że Ojciec św. na prośbę kard. Fürstenberga udzielił odpustu dla pątników do Welehradu.

Tymczasem wśród tej całej wrzawy na przekór potwarczym denuncyacyom, sprawa tej pielgrzymki postępuje naprzód — ja-

sno, prosto i wysoko ponad ziemskiemi szamotaniami, jak prawe dzieło boże.

Ruski komitet we Lwowie wydał znakomitą odezwę, w Nrze 24 *Syonu*, którą już *Czas* po polsku umieścił. Miło nam ją jednak dla czytelników naszych powtórzyć.

„Już w Nrze 20 podaliśmy wiadomość, że 6-go kwietnia nowego stylu 1885 roku przypada 1000-letnia rocznica śmierci Apostoła Słowiańskiego św. Metodego i że ludy słowiańskie, wiedzione uczuciem wdzięczności dla Apostoła swego, gorliwe czynią przygotowania, ażeby dzień ten z jak największą uroczystością i wspaniałością obchodzić.

„I rzeczywiście, jeżeli nawet pojedyńczy ludzie czczą radośnie pamięć swych przodków, dobrodziejów, przyjaciół, jeżeli radośnie obchodzą nawet pamięć szczęśliwszych chwil życia swego, to jakżeby mogły ludy słowiańskie nie przejąć się dziś radosnem uczuciem mając przed sobą w niedalekiej już przyszłości tak ważną 1000-letnią rocznicę śmierci swego Apostoła, któremu tak wiele zawdzięczają. „Wprawdzie jestto rocznica śmierci św. Metodego, mimo to jednak dzień ten radosnym jest dla nas, bo w dniu tym 1000 lat temu ten święty Apostoł Królestwa Bożego, stał się tam pełnym miłości obrońcą naszym i orędownikiem.

„Jeżeli kto, to my Rusini w dniu owym powinniśmy okazać swemu świętemu Apostołowi wyraz naszej wdzięczności i czci głębokiej; Jemu albowiem zawdzięczamy prócz wiary nasz św. obrządek, nasze księgi cerkiewne, staro-słowiańskie tłumaczenie Pisma świętego, które nam w Cerkwi głoszą, słowem, Jemu to zawdzięczamy to wszystko, co dla nas jest najdroższem.

„A skorośmy już dawniej w różnych okolicznościach tak św. Metodemu, jak i bratu jego św. Cyrylemu, okazywali naszą cześć i wdzięczność, to i teraz, kiedy cały świat słowiański sposobi się do godnego uczczenia rzeczonej rocznicy śmierci św. Metodego w Welehradzie, obojętnymi pozostać nie możemy; co więcej, my to w owej uroczystości w pierwszych szeregach uczestniczyć musimy — jako ci, którzy wśród burz i przeszkód wszelakich aż do obecnej chwili przechowali wiernie dziedzictwo św. Metodego.

„W skutek tego Najprz. gr. kat. Metropol. Ordynaryat Halicki, w porozumieniu z Najprz. gr. kat. Ordynaryatem Przemyskim, go-

rąco zajął się przygotowaniami do jak najuroczystszego obchodu wspomnianej uroczystości św. Metodego. Przeto urządzony został pod przewodnictwem Najprz. Biskupa Sylwestra komitet, który się ma zająć sprawą rzeczonego obchodu i rozważyć, jakim sposobem najlepiej i nam *Rusinom najodpowiedniej należy* ową uroczystość obchodzić.

„W skład rzeczonego komitetu weszli następujący ks.: Dr. J. Bartoszewski, Aleks. Baczyński, And. Bielecki, Adolf Wasilewski, J. Wieliczko, J. Huszalewicz, Dr. J. Delkiewicz, Baz. Ilnicki, Dr. J. Komarnicki, Dr. J. Mielnicki, Dr. M. Ogonowski, T. Pawlikow, Dr. J. Pełesz, Ant. Pietruszewicz, A. Polański, Al. Stefanowicz, Baz. Faciewicz, Jan Szwedzicki.

„Ze świeckich zaś Panowie: An. Wachnianin, Hawryszkiewicz, Hładyłowicz, Mich. Dymet, Zubrzycki, Łuczakowski, Dr. Alek. Ogonowski, Dr. Pawęcki, Podoliński, Romańczuk, Dr. Sawicki, Sawczyński Jakób, Dr. Celewicz, Dr. Szaraniewicz, Dr. Jamiński.

„Komitet już miał dwa posiedzenia: dnia 14 i 21 grudnia, na których wszyscy członkowie jednogłośnie zgodzili się na to, ażeby w mowie będącą uroczystość jak najświetniej obchodzić zarówno w kraju naszym, jak i w samym Welehradzie. A ponieważ 6 kwietnia t. r. *przypada nasz poniedziałek świąteczny Wielkanocy* i w taki sposób bylibyśmy powstrzymani od udziału w uroczystości Welehradzkiej, miło nam podzielić się wiadomością, że komitet Welehradzki prócz rzeczonego terminu obrał jeszcze trzy inne, mianowicie 5 lipca, 15 sierpnia i w niedzielę dnia 4 października 1885 r. We wszystkich tych terminach będzie się obchodzić rocznica śmierci św. Metodego z jednakową uroczystością. Najodpowiedniejszym będzie dla nas zapewne termin pierwszy t. j. początek lipca. Mamy przeto dosyć, chociaż nie zawiele czasu, ażeby się przygotować do godnego obchodu pamiątki św. Metodego.

„Komitet nasz jest najzupełniej świadom wysokości swego zadania, wychodzi bowiem z tego stanowiska, że tu nietylko idzie o to, ażeby w sam dzień uroczystości odprawić wspaniałe nabożeństwo w kraju naszym i odbyć pielgrzymkę do Welehradu na podobneż nabożeństwo, lecz chodzi tu zarazem o to, ażeby obchód ten pozostał głęboko wyryty w sercu i pamięci każdego Rusina, i pozostawił przy tem po sobie pamiątkę dla późniejszych pokoleń.

Zarówno jak mamy się wykazać w Welehradzie, jako jedyny ruski naród gr. kat. obrządku, jako spadkobiercy prac apostolstwa św. Metodego, zarówno jak mamy tam rozwinąć całą wspaniałość naszego pięknego obrządku w nabożeństwie cerkiewnem, tak zarówno mamy i ten obchód i zasługi św. Metodego dla nas położone, wzmocnić w pamięci przyszłych czasów, powinniśmy tym jego zasługom wznieść pomnik pewną pracą literacką, upiększoną odpowiednimi opisami uroczystości, historycznemi wiadomościami o życiu i pracach św. Metodego, a także i odpowiednim utworem poetycznym. A do tego wszystkiego potrzeba czasu i sił odpowiednich. W skutek tego na posiedzeniu komitetu 21 grudnia uchwalono wybrać osobny komitet, składający się z 15 członków, którzy mają się zająć rzeczonym obchodem wszechstronnie i ze względu na urządzenie uroczystości ze strony nabożeństwa i ze względu na jego stronę literacką i ze względu na pieniężne ułatwienie podróży do Welehradu. W skład tego osobnego komitetu weszli następujący PP.: Dr. J. Bartoszewski, A. Baczyński, Ad. Wasilewski, A. Wachnianin, J. Wieliczko, J. Guszalewicz, M. Dymet, Zubrzycki, Dr. E. Ogonowski, Dr. Pawencki, Dr. J. Pełesz, Podoliński, Jakób Sawczyński, Dr. J. Szaraniewicz, Dr. Celewicz.

„Komitet ten ma odbywać posiedzenia dla narad co do obchodu jak najuroczystszego rocznicy śmierci św. Metodego w kraju naszym, niemniej jednak ma się zająć przygotowaniem pod względem literackim i finansowym, ażebyśmy, gdyby nadeszło od Welehradzkiego komitetu urzędowe zaproszenie do uczestnictwa w tamtejszej uroczystości, mieli już choć najważniejsze rzeczy ukończone. Uchwały tego komitetu, przyjęte na pełnem zebraniu będą w naszem piśmie do ogólnej Wielebnego Duchowieństwa wiadomości podawane. Te uchwały będą wskazówką dla nas jako dla katolickiej narodowości ruskiej, która w tym obchodzie będzie miała najlepszą, a zarazem pożądaną sposobność wykazać, że jest katolicką, i że niezważając na żadne postronne agitacye nieproszonych pseudopatryotów, nic chce mieć nic wspólnego z tymi, którzy wyrzekając się swej religijnej łączności z innemi katolickiemi narodowościami, nierozważnymi swymi postępkami przyczyniają się do podniesienia obcego, nie zaś własnego narodu“.

Nadeszła też do nas odezwa centralnego komitetu Welehradzkiego, którą podajemy w polskim przekładzie.

Słowianie katolicy, czciciele śś. Cyrylla i Metodego!

Kiedy naród czci wielkich mężów, którzy czynami swymi jego ducha rozbudzili, nowe tory do szczęścia i wielkości mu wytknęli i na żeglugę po burzliwej dziejów fali bezpiecznym go zaopatrzyli sterem — wówczas naród ten cześć sobie samemu oddaje i wypełnia przez to powinność, której od niego nietylko wdzięczność, ale i prawo historyi wymaga. Obchodząc ważne zdarzenia z życia takich mężów, wznawiamy ich pamięć i składamy dowód, żeśmy świadomi wielkości i doniosłości ich czynów i stanowiska, jakie nam te czyny w dziejach ludzkości zakreśliły.

Nadchodzi pamiętny dla nas dzień 6 kwietnia 1885, w którym dopłynie 1000-ny rok od śmierci św. Metodego, Apostoła wiary chrześcijańskiej a założyciela oświaty między słowiańskimi ludy. Ziarno, rzucone przez niego i brata jego św. Cyryla, dobrze się przyjęło, a gdy mąż święty przed lat tysiącem składał znużoną skroń na wieczny spoczynek, widział bujny już porost obiecujący bogate żniwo. Przez lat tysiąc cieszyli się nasi przodkowie i my dziś się cieszymy i cieszyć się będą nasi potomkowie bogatym plonem z siejby Metodego; a plon ten będzie tem obfitszy, im wierniejszymi zostaniemy duchowi, w jakim święty nasz Patron kształcił przodków naszych, przygarniając ich do katolickiego Kościoła, a tem samem do źródła prawdziwej i żywotnej cywilizacyi. Duch ten wzywa nas do Welehradu, gdzie Apostoł nasz zamknął powieki; wzywa nas tam szczególnie w r. 1885, abyśmy tamże święcili pamięć największego dobroczyńcy słowiańskich plemion, abyśmy udowodnili, że lgniemy doń z taką samą miłością, jaką otaczali go przodkowie nasi. O nich opowiada życiopis św. Metodego, że w dzień jego pogrzebu zgromadziło się niezliczone mnóstwo ludu, a odprowadzając święte zwłoki, mężczyźni i niewiasty, bogaci i ubodzy, panowie i słudzy, wdowy i sieroty, cudzoziemcy i rodacy, zdrowi i chorzy, rzewnie płakali za najlepszym pasterzem i mistrzem swoim.

I my też zbierzmy się wszyscy, bośmy cząstką dziedzictwa Metodego — przybądźcie i Wy dzielni Polacy na pamiątkowy obchód r. 1885 w Welehradzie, abyśmy razem cześć oddali pamięci

świętego męża, abyśmy się pokrzepili duchem, którym Apostoł nasz wiódł przodków naszych w tory dziejowe, jako szermierzy wiary, nauki i cywilizacyi; abyśmy się poznali a poznawszy się, wzmocnili się wzajemną miłością i świadomością, że najdroższy dar przekazany nam przez śś. Apostołów naszych nie utracił przez całe tysiąc lat ze swej żywotności — że dar ten, z ducha pochodzący, ducha narodów słowiańskich na wieczne czasy podnosić, kształcić, posilać i uszczęśliwiać będzie; abyśmy powzięli silną nadzieję, że idea św. Cyryla i Metodego okaże dosyć siły pociągającej, aby w myśl gorących życzeń Ojca św. Leona XIII. przyspieszyć złączenie obu Kościołów Zachodu i Wschodu, a tem samem tak Kościołowi jak i ludom słowiańskim, najpożądańsze zjednać błogosławieństwo. Dano w Bernie r. Pańskiego 1884. — Następują podpisy JE. hr. Egberta Belerediego, i 54 innych członków.

Poznański komitet pielgrzymki zebrał się drugi raz 16 stycznia pod prezydencyą hr. Augusta Cieszkowskiego, zajął się naprzód kooptowaniem nowych członków 54, oprócz 16 obecnych. Następnie uchwalił podzielić się na dwie sekcye, jedną mającą się zająć obchodami tej uroczystości w kraju za pomocą nabożeństw wykładów religijno-historycznych o śś. Apostołach słowiańskich i t. p. Wreszcie dla prędkiego wprowadzenia w życie tego programu, naznaczono sesyę następującą na 22 stycznia.

W Krakowie komitet obchodowy odbył 2-gą sesyę 8 stycznia z żywą radością i wdzięcznością przyjął do wiadomości, że p. Matejko gotów jest wykonać szkic do chorągwi pamiątkowej, którą Polacy mają w świątyni welehradzkiej zawiesić. Zajął się także ułożeniem swej odezwy i dla ukończenia jej postanowił się zebrać ponownie 18 b. m., ale tego dnia niespodziewane przeszkodziły zebraniu okoliczności. W przyszłym miesiącu zdamy sprawę z tego zebrania i umieścimy odezwę.

Z Pelplina wreście donoszą nam, że zebrał się tam 16 stycznia komitet złożony z obywateli i proboszczów okolicznych, wybrał za przewodniczącego ks. Dr. Wolszlegiera, dyrektora w Zamarłym (Jakobsdorf); postanowił zawezwać jeszcze do współudziału odpowiednich ludzi, po jednym z każdego powiatu, wreszcie uchwalił zwołać w tym celu wiec do Chełmna.

Druk ukończony dnia 27 stycznia 1885.

STRONNICTWO „PATRYOTYCZNE“

na wielkim sejmie i po upadku konstytucyi.

(Ustęp z przygotowanego do druku dzieła: „Puławy“.)

Do Warszawy, którą opuścił po niefortunnym sejmie 1782, powraca książe jenerał ziem pod. w lat sześć z mandatem posła ziemi lubelskiej, aby zasiąść na sejmie, noszącem miano wielkiego. Zbyt to ważna epoka w dziejach narodu, abyśmy ze szczupłym zapasem zebranego materyału dotyczącego jednej postaci, występować mieli w szranki krytyki historycznej, gdzie nowe świeżo odkryły się poglądy i sądy na tę właśnie dziejową chwilę. Nie możemy atoli pominąć, że sława stronnictwa patryotycznem zwanego i jego wielka w narodzie przez kilka pokoleń popularność, nie uszła dziś ciężkich zarzutów, tem zaś dotkliwszych, że z poważnej, a przez głębokie zbadanie epoki najbardziej kompetentnej pochodzących strony. Zarzuty, obejmujące całe stronnictwo, spadają na księcia Czartoryskiego, może najdotkliwiej.

Nie chodzi tu o obronę osób i imion. W poprzednich rozdziałach, obok przypomnienia zasług, wytknęliśmy błędy polityczne, odkąd ks. jenerał dał się zepchnąć na tory opozycyjne.

W pomroce dziejów porozbiorowych, konstytucya 3 maja przyświecała jak zapalona przez odpływających żeglarzy latarnia morska, a w długiej żegludze zawdzięczamy temu światłu, że następne pokolenia nie utraciły poczucia: gdzie wybrzeże ojczyste i port, od któregośmy odbili. Był to jedyny punkt jasny, był ideał w tej dacie historycznej i jakby testament ginącej Polski dla pogrobowców. Testament taki przyjmować należy *cum beneficio inventarii*, ideał

nie wyklucza krytycznego rozbioru wielu usterek i popełnionych błędów, które szkoła historyków apologetycznych pomijała. Wszelako zmieniając metodę obserwacyi, baczyć trzeba kto się ostoi? jeśli Małachowski, Ignacy i Stanisław Potoccy i ich towarzysze nie wytrzymają tej próby; co nam pozostanie spadkiem szlachetniejszych narodu dążeń, jeśli jedyny fakt zgody narodu, jego wejścia w siebie, zwycięstwa i zadośćuczynienia za historyczne grzechy, jeśli ustawa 3 maja jej nie wytrzyma także?

Godzi się o to zapytać, aby teorya rozkładania winy na wszystkich nie doprowadziła wreszcie do tej rozpaczliwej konkluzyi, że jak w Sodomie nie było w upadającej Rzeczypospolitej dziesięciu sprawiedliwych. Mężów stanu, ludzi czynu nie dała nam Opatrzność w patryotycznem jak i w innych stronnictwach, ale cnoty publicznej, czystości pobudek, godności narodowej, szlachetnych dążeń i poczucia moralnego, co narodowi zdrowie przywrócić może, czego odeń się domaga sprawiedliwość dziejowa: tego nikt nie zdoła zaprzeczyć tym, którzy chcieli reformy wewnątrz a zrucenia gwarancyi Imperatorowej w zewnętrznej polityce. A nie chodzi tu tylko o miarę rozumu stanu; byli może przebieglejsi w szeregach Targowicy, a zręczniejsi w otoczeniu króla, ale nam chodzi o miarę etyczną ludzi, jeśli w tym strasznym dramacie upadku ze stanowiska duchowych prawd szukać będziemy rękojmi, że wszystko się nie zakończyło z faktem ostatniego rozbioru.

Tego probierza zasad moralnych, godności narodowej, a choćby tylko osobistej, tem mniej ducha poświęcenia nie wytrzyma postać Stanisława Augusta, gdy zważymy zwłaszcza w jaki sposób wstępował na tron i jak z niego zstępował.

Krytyka historyczna, która bierze za główne kryteryum skutek i powodzenie i dowodzi, że błędną była droga, bo nie doprowadziła do spodziewanego celu i bezpiecznej ostoi, w sądach swych *a posteriori* ma tę wadliwość, że nie może wykazać, dokąd bylibyśmy zaszli, gdybyśmy byli poszli inną drogą. Tym razem atoli i na to pytanie jest odpowiedź przez porównanie antecedencyi i kierunków następnych.

W obec bezsilności narodu do odporu własną mocą potęg, które naciskały na Rzeczpospolitą, dwie były tylko możliwe drogi

i dwie dyplomatyczne kombinacye: z Rosyą, albo przeciw Rosyi, za poparciem dwóch zachodnich sąsiadów.

Pierwszej drogi próbowali już przed trzydziestu laty starzy Czartoryscy a wiadomo, z jakim skutkiem; doradzają ją jeszcze Kossakowscy, stawiając dylemat: albo wojnę jutro z Rosyą, albo poddanie się Katarzynie; drogą tą pójdą następnie przeciwnicy konstytucyi — a więc wiemy, dokąd ta droga ich zawiodła i nie możemy twierdzić, aby był możliwy ratunek z tej strony.

Zostawała więc próba w przeciwnym kierunku. Zawierzono zbytecznie obietnicom Lucchesi'niego, kiedy dziś wiadomo, że książe Henryk Pruski był pierwszym autorem projektu rozbioru Polski, kiedy nie ulega dziś wątpliwości, że Herzberg zdradzał, że Fryderyk Wilhelm miał się wyprzeć poręczeń i insynuacyi swych ministrów i posłów, że to była intryga, ułożona w porozumieniu z Katarzyną.

Łatwy zarzut, zwłaszcza gdy się ma w ręku tajne dokumenta gabinetu berlińskiego, a nie zna się jeszcze tajnego archiwum petersburskiego. Patryotyzm narodu widział wówczas przedewszystkiem jednego tylko wroga, tego, który najbrutalniej ciężył nad Rzecząpospolitą, którego wojska nie wychodziły prawie z granic Polski od czasów Piotra W., którego reprezentanci jątrzyli i poniewierali ustawicznie godność narodową, wywozili senatorów na Sybir, a króla trzymali jakby w lennictwie. Nie taki był stosunek z Prusami i Austryą, choć oba mocarstwa wzięły już udział w pierwszym rozbiorze. Wszystkie objawy patryotyczne, wszystkie porywy narodu od konfederacyi barskiej aż do Kościuszki, przeciw tej brutalnej zwracały się potędze, instynktowo szukając poparcia bliższego, czy dalszego Zachodu.

A dziś, gdy sto lat doświadczeń i te świeżo odkryte archiwa dały nam dokładnie poznać błahość cudzych obietnic, a zwłaszcza podstęp polityki pruskiej, czy jesteśmy zupełnie bezpieczni i pewni, że w podobną matnię nie dalibyśmy się wciągnąć, gdyby nowy Lucchesini już nie Gdańska, jak wówczas się domagał za okup ratunku, ale choćby zrzeczenia się całej Wielkopolski?

O ile nieusprawiedliwionym nam się wydaje zarzut, że sejm wielki nie podzielał kunktatorskiej polityki Stanisława Augusta, że zbyt rączo przystąpił do zrzucenia gwarancyi Katarzyny i przyspieszył

przez to kampanią 1792 r., zarzut przewlekłości obrad, retorycznych popisów, bawienia się pozorami, zamiast energii w organicznem działaniu, strawienia zgoła czterech lat na projektach, aż nadto usprawiedliwiony.

Wszelako i tutaj zachodzą okoliczności łagodzące winę, gdy się zważy, że zadanie ustawodawców wielkiego sejmu było budowaniem gmachu z piasku. Łatwo przeprowadzać zmiany w organizacyi, choćby przedawnionej, ale mającej pewną spoistość — tu zanim przyszło do zmiany konstytucyi, trzeba było doraźnie przeprowadzić reformę psychologiczną stronnictw i większości społeczeństwa. Zadanie to rozpoczęto od wstrzymania prywaty a pobudzenia ducha ofiary. Czy godzi się lekceważyć postanowienia wielkiego sejmu na jednem z pierwszych posiedzeń: że obcych jurgieltów przyjmować pod infamią nie wolno? Dotąd nie było w tem nic nielegalnego, owszem, rzecz zwyczajem od wieków zakorzeniona a nietylko w Polsce; teraz przyłożono piętno zdrady i hańby na czoło tych, którzy chcieli wrzekomo ratować Rzeczpospolitą za pieniądze sąsiednich mocarstw. W miejsce prywaty, chciano obudzić ducha ofiarności — a czy godzi się szydzić z tego, iż zrazu na formacyę wojsk przyjmowano z okrzykami wdzięczności deklaracye obłudne, jak owe Radziwiłła Panie Kochanku. Chwytano i pozory, aby przykładem popularnych imion wywołać popęd ofiarności. I ta taktyka nie zawiedzie — ofiarność objawi się świetnie w lat kilka, podczas powstania kościuszkowskiego i później za legionów — hasło atoli poświęcenia wyszło od stronnictwa patryotycznego na wielkim sejmie.

A jeśli dążenia te szły zwolna i opornie, doprowadziły atoli do aktu, który zachowa na zawsze wyjątkowe w dziejach narodu znaczenie, który mimo swojej bezskuteczności na równi stoi pod względem dziejowej etyki, z tem, co mamy największego i najszczytniejszego w naszej przeszłości, z unią Polski i Litwy. Tak jest, jak unia stanowi jedyny przykład zespolenia dwóch narodów nie siłą podboju, tak konstytucya 3 maja jest faktem równie wyjątkowym wejścia w siebie, dobrowolnego zrzeczenia się przywilejów, poprawy i przemiany, bez zamachu z góry i bez rewolucyi z dołu. Było to najwyższe ze wszystkich zwycięstw, zwycięstwo narodu nad sobą samym. A nie idzie ta przemiana z zewnątrz, jak niektórzy przedstawiają, bo lubo między naszem stronnictwem patryotycznem

a żyrondystami francuskimi zachodzi wspólność szkoły i form retorycznych klasycznego stylu, analogia to tylko pozorna. Między tem, co stanowiło jądro konstytucyi 3 maja, a tem, co zwiastowały prawa człowieka 89 r., stanowcze zachodzą różnice.

Syn księcia jenerała, którego pierwsza młodość przypadła na owe czasy, w sędziwym wieku pisząc Żywot Niemcewicza daje świadectwo godne uwzględnienia:

„W ostatnich latach dały się słyszeć, pisze ks. Adam, i w kraju i w emigracyi niemałego znaczenia głosy, czyniące ważne zarzuty czteroletniemu sejmowi nie tak o brak dzielności w środkach, jak o fałszywość jego zasad i dążeń, a głównie, że był tylko owocem złowieszczej cudzoziemczyzny, popieranej od kilku lat przez zmiennych reformatorów, że był ostatecznem odstąpieniem od dawnych praw, obyczajów i podstaw bytu narodowego.

„Taki zarzut nie powinien zostać bez odpowiedzi. Pamiątka ta wiążąca nas przez wiele lat jeszcze w jedno wspólne i zgodnie myślące ciało, jest zaprawdę zbyt drogą i nieocenioną własnością dla narodu, aby lekko i nierozważnie godziło się przynieść jej uszczerbek. W badaniach historyi świadectwo naoczne, póki możebne, jest najsilniejszym dowodem prawdy. W chwili, gdy piszę te słowa, mało kto został przy życiu z tych, co byli widzami spraw wielkiego sejmu, bo ten epitet dany mu, utrzymał się między nami i nie będzie mu odebranym. Mnie Bóg dozwolił w późnym wieku oddać jego zasadom i dążeniom naoczne świadectwo, które rzetelnie i sumiennie wyrzeknę.

„Nie, zaiste naród polski i ci co wówczas celowali w jego naradach nie mieli zamiaru odstąpić od drogich pamiątek i prawych obyczajów przodków swych; owszem czuli hańbę, złe i niebezpieczne skutki bliskiej minionych lat przeszłości, czuli szkodę i popsucie przyniesione przez rozwolnione i zniewieściałe naśladownictwo cudzoziemczyzny, chcieli z całego serca wrócić, ile można do wzorów dawniejszej i świetnej przeszłości. Był to pęd powszechny dany narodowi przez siebie samego. Wszystko od wyższych klas zacząwszy tchnęło samą polskością. Równie ważne, jak potoczne codziennego życia sprawy, ustawy, urządzenia, obchody publiczne, jak zabawy, rozmowy towarzyskie, nareszcie powrót do narodowego stroju i da-

wnych zwyczajów, wszystko dowodziło wówczas samych polskich uczuć, okazywało silne odżywienie czysto polskiego ducha“ [1].

Powołaliśmy się na świadectwo wierne a najpoważniejsze, oparte na osobistych wspomnieniach i tradycyach domu, nie dla tego, aby zawierało wystarczającą odpowiedź na zarzuty politycznej natury, lecz, że daje nam poznać nastrój, pobudki i charakter tych ludzi i tej chwili.

Dwa lata tylko oddzielały ogłoszenie praw człowieka we Francyi, od ogłoszenia konstytucyi polskiej, a więc i wpływ tu musiał być bezpośrednim i analogia nieuniknioną, zwłaszcza, że na tle klasycyzmu i kultury francuskiej, kształcili się jej twórcy. Żyrondystów strącili Jakobini, a szalał już we Francyi prąd teroryzmu, gdy wniósł Matuszewicz do izby projekt konstytucyi. Stąd powstał i u nas postrach przed reformatorstwem, którego następstwem we Francyi było zwycięstwo Jakobinów. A jednak, gdybyśmy *pagina fracta* zestawili obok siebie te dwie konstytucye, i ustęp po ustępie przeprowadzili ścisłe porównanie, przekonalibyśmy się, że są tu same przeciwieństwa zasad, nie zaś naśladownictwo. Różnica ta zasadnicza dwóch współczesnych konstytucyj, zastanowiła przenikliwy umysł Burckego, który też w dziele swoim na to przeciwieństwo zasad dwóch konstytucyj pierwszy zwrócił uwagę.

Konstytucya 3 maja, wbrew wyobrażeniom idącym z Francyi, stanęła na gruncie monarchicznym, owszem zaprowadza dziedziczność tronu, rozszerza atrybucye korony, nadaje jednolitą organizacyę państwową i staje na przekór staremu szlacheckiemu i nowym demokratycznym republikanizmom; uznaje pierwiastek władzy z góry od Boga, a nie od wszechwładztwa ludowego z dołu. Wolności religijnej i tolerancyi wyznań nie posuwa, aż do zaprzeczenia jedności katolickiej narodu, owszem w kościele katolickim uznaje religię panującą. Gdzież tu mowa o prawach człowieka lub kontrakcie społecznym? Zasługą to właśnie ustawodawców czteroletniego sejmu, która oddziałała zbawiennie na cały proces wyobrażeń, jaki się odbywał w następnych pokoleniach, że kiedy duch wieku, cała literatura Encyklopedystów, jaką się u nas karmiono, stawiała doktrynę bezwzględnej równości, walkę na zabój z przywilejami i hierarchicznym ustrojem, nauczała, jak równość osiągnąć na dole przez ni-

[1] Żywot J. U. Niemcewicza, str. 87.

welacyę, konstytucya 3 maja usuwając zapory, wskazywała ideał stopniowego zrównania u góry, przez podnoszenie niższych do wyższych warstw, przez podział przywilejów szlachty z mieszczaństwem a opiekę nad dolą i ulgę w położeniu ludu wiejskiego.

Była to miara chrześcijańska idei równości. To wszystko, co w przemianach i reformach społecznych objawiło się u nas przez następne stulecie, co nam pozostaje na chwałę i piękne dziejowe świadectwo, owe głosy szlachty polskiej w Galicyi przed 1846 za zniesieniem pańszczyzny, a na Litwie i w Kongresówce przed 1863 r., wszystkie dążenia reformy z poszanowaniem tradycyi i na podstawie patryarchalizmu, z miłością i sprawiedliwością zwrócone do ludu — to wszystko odnieść należy jako do pierwszego źródła, do zasad konstytucyi 3 maja. Cały zaś ferment, do dziś dnia trwający, obcej demokracyi lub socyalizmu, płynie ze źródeł zasad francuskich 89 r. i jest odstępstwem od ducha 3 maja.

Po stu latach dopiero dochodzą myśliciele do rozeznania tego, co w owych prawach człowieka było chorobliwem i fałszywem Twórcy konstytucyi 3 maja, choć z tej samej wyszli szkoły i byli synami tego ducha wieku, poszli za innem natchnieniem, wcielili oni to w czyn, do czego przed dwóchset laty wzywał Modrzewski, a obok naprawy Rzeczypospolitej podjęli wyższe jeszcze dzieło skruchy i zadośćuczynienia za owe grzechy narodowe, które piętnował Skarga.

Nie była to reforma zaimprowizowana, ani też na wzorach francuskich skopiowana, ale głos sumienia narodowego, od dwóch wieków się odzywający a teraz w czyn zamieniony; to był spóźniony owoc z tego nasienia proroczych słów Skargi, nawoływań statystów, bo snuła się ta złota nić idei reformatorskiej, od pisarzy złotego wieku i nie przerwała się w XVII. stuleciu upadku; trąca o tę strunę Jan Stan. Jabłonowski, w piśmie „Skrupuł bez skrupułu", a w XVIII. stuleciu odzywa się ona w pismach Stanisława Konarskiego, Karwickiego, Staszyca, w pismach i mowach tych ludzi, co ją mieli wcielić w konstytucyę, a byli spadkobiercami najwyższych umysłów i najszlachetniejszych duchów z przeszłości; w nich też uznać musimy naszych duchowych antenatów. A trzeba było na to ludzi wyższej miary, aby skłonić sejm szlachecki do wydarcia owej źrenicy wolności szlacheckich *liberum veto*, do po-

działu przywilejów z innemi stanami, do ukrócenia swawoli; trzeba było wyparcia osobistych celów i uprzedzeń, aby stronnictwo, w znacznej części z możnowładców złożone, położyło kres samowoli możnowładztwa, a wzmocniło władzę królewską. Gdzieindziej reformy takie idą z góry, narzuca je żelazna ręka mocarzy, okupywane bywają zwykle uciskiem i kilkowiekowym despotyzmem, intrygą, często potokami krwi. Potoki te zamieniają się w morze krwi, gdy z dołu występuje Nemezis, gdy nie zamach stanu, ale rewolucya ma prostować to koryto, którem płynie życie narodu, rozsadzać przeszkody jego wolnego biegu.

Historyozofia, uznająca tylko skutek i siłę, z lekceważeniem może mówić o konstytucyi 3 maja, jako o jednym epizodzie konania; ale chcąc przykładać do dziejów Polski miarę rozwoju innych państw, musi chyba sięgać gdzieś do kallimachowych rad i planów lub skarżyć się, że zamiast Jagiellonów nie zjawił nam się Ludwik XI.; że później walki religijne przeszły bez krwi rozlewu, z czegoby wyszła wzmocniona potęga monarchiczna, że Polska nie stała się protestancką lub że nie mieliśmy Ludwika XIV. i Richeliego.

Biorąc atoli rzeczy tak jak były, a nie jakby być mogły, nie zapuszczając się w tajemnice przeznaczeń narodów, ani w to pytanie, dlaczego jedne narody zbrodnią dochodzą do potęgi, inne skutkiem błędów politycznych, choć karty ich historyi niepoplamione zbrodniami dochodzą do upadku, przyznać trzeba, że konstytucya 3 maja, jako reforma i naprawa, przyszła zapóźno. Kto wierzy w słowa pisma: *sanabiles fecit Deus nationes terrae,* ten uznać musi w tym przedzgonnym akcie świadectwo zdrowia moralnego i rękojmię, że ten naród skazany na pokutę rozdarcia i niewoli, ale niezasądzony na śmierć dziejową przez najwyższą sprawiedliwość.

Sejm czteroletni jest nadto ważnym momentem odrodzenia i rozszerzenia na dalsze koła społeczne patryotyzmu i ducha obywatelskiego; przekazał on nam nietylko dążenia i program reform, ale także spuściznę uczuć. Słusznie też patryotycznem zwano to stronnictwo, w którego składzie strona uczuciowa przeważała nad polityczną. Wiek XVIII. miał dwie strony: sceptyczną i sentymentalną, umiał on ze wszystkiego szydzić z Wolterem i rozrzewniać się z Russem. A nie zawsze było to tylko klasycznem deklamatorstwem, popisem retorycznym, formułą stylową ta zdolność entuzyazmu, to

dążenie do cnoty obywatelskiej i ducha poświęcenia, którą brzmiały mowy i pisma ludzi ówczesnych. Ów polski Arystydes Małachowski i jego towarzysze plutarchoskiemi opatrzeni porównaniami usprawiedliwiali życiem i czynami te klasyczne analogie. Uczuciowość w polityce, a zwłaszcza w takiem położeniu nie wystarcza. Szlachetność i czystość zamiarów nie chroni od zboczeń, owszem, z wezbrania uczuć często wypływają błędy. Dla mężów stanu zwodniczem i zgubnem bywa natchnienie czerpane z oklasków galeryi, z pochwał i owacyi dam w salonach. Owa atmosfera ogólnego zapału, sprowadzała wówczas, jak sprowadzała tylekroć później pewien miękki sentymentalizm polityczny i nieuzasadniony optymizm, okupywany ciężkiem rozczarowaniem, a który przechował się do dziś jako ujemna, nader szkodliwa spuścizna z epoki czteroletniego sejmu. Wieńczyć ludzi za zamiary a nie za czyny, radować się projektami jakby dokonaniem wielkiego dzieła, zadawalniać się szumnym frazesem, piękną owacyą, zewnętrznym objawem uczuć, oto wada owych czasów, która przeszła u nas w nałóg polityki demonstracyjnej. Obradom sejmu towarzyszyły od samego początku takie wybuchy radości i uniesienia, niemal tryumfalne obchody, gdy nader zwolna postępowała praca około naprawy Rzeczypospolitej. Na wielkim sejmie widzimy po raz pierwszy dwa nowe w Polsce czynniki: salon polityczny i arbitrów na galeryach. Dotąd tylko rzesze szlachty krzykliwe, rozstrzygały na sejmach i stanowiły opinię, teraz ze sfer wielkiego arystokratycznego świata i ze sfer niższych, miejskich, z salonu i z ulicy płyną dwa prądy uczuć. Czy zawsze dobrze oddziałują na postanowienia ustawodawców, to inne pytanie, a wiadomo, jak w historyi porozbiorowej nadużywano nieraz tych dwóch czynników, jak szkodliwie nieraz oddziaływał i salon i ulica na bieg spraw publicznych. Ale wówczas wywołanie tego ruchu było zdobyciem nowych warstw. Myśl przewodnia konstytucyi 3 maja, aby stopniowo rozszerzyć udział w sprawach publicznych na inne stany, stała się faktem, i oddziaływa coraz szerzej, coraz dalej. Znamy dziś aż nadto dobrze niebezpieczeństwa tej uczuciowej i demonstracyjnej drogi, ale przyznać trzeba, że gdyby nie ta atmosfera wytworzona na wielkim sejmie, niemożliwem byłoby powstanie r. 1794 z szerokim udziałem arystokracyi, szlachty, mieszczaństwa i ludu wiejskiego; że duch patryotyczny, ogarniający wszystkie warstwy, stąd bierze początek; a nadto przyznać należy,

że instynkt opinii budzącej się, był wówczas zdrowy, czy wtedy, gdy z uniesieniem powtarzał hasło: „skarb i wojsko“, lub gdy z równym zapałem podnosił okrzyk: „król z narodem — naród z królem“.

Nie było to zaiste anarchiczne hasło, ale przeciwnie zdrowy instynkt narodu, jak stłumić samowolę, aby byt ratować. I trudno się dziwić tej radości, która zapanowała w Warszawie, gdy konstytucya stała się faktem i powstawała jednozgodność między królem a sejmem. Była to radość sumienia publicznego, które się oczyściło z dziejowych grzechów; było to uniesienie po spełnieniu obowiązku i czynu cnoty narodowej. Zapomniano na chwilę o położeniu, które nie przestawało być groźnem, o niebezpieczeństwach, jakie z zewnątrz i z wewnątrz wnet miały wystąpić i roztrącić to dzieło.

Jeszcze jedna myśl o znaczeniu dziejowem konstytucyi 3 maja. Kiedy nam mówią: narody nie mając życia w wieczności, w tem życiu otrzymują w pełni nagrodę swych cnót lub karę swych występków, wtedy bolesnych doznajemy wątpliwości: jakto w tylu innych narodach szereg zbrodni, despotycznego ucisku i podbojów, tu historya wolna od ducha zaborczości, tu łagodne rządy, niema mordów, dworskich intryg, królobójstw — tam rezultatem potęga, tu upadek? Ale odpowiedź na ten problemat trudny do rozwikłania wypadnie inaczej, gdy zważymy jak odmienny zachodzi stosunek w dziejowej odpowiedzialności.

Gdzie narody trzymane na wodzy przez despotycznych mocarzy i ujęte w ścisłe karby silnie uorganizowanej władzy państwowej, tam odpowiedzialność dziejowa staje się niemal indywidualną, spada wyłącznie na królów i kierownicze czynniki przy sterze władzy. Polski nikt z góry nie trzyma, nikt nie kieruje; republikańska społeczność szlachecka podkopawszy władzę królów, przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność, którą też tak ciężko opłaca. W przedrozbiorowym ustroju skutkiem nadmiaru wolności, po rozbiorach skutkiem niewoli przebywać musimy ciągłą walkę wewnętrzną dodatnich żywiołów z żywiołami rozkładu. Grzechy nasze nie są zbrodnią jednostek, ale ciężą na całym narodzie, są zaniedbaniem warunków bytu, mają przedewszystkiem polityczny i społeczny charakter, niekarności w obec władzy, zawiści osób i stronnictw, ucisku ludu.

Ale jeśli straszną jest ta zbiorowa odpowiedzialność narodu,

ma ona chwile i strony jasne w naszej przeszłości, które dowodzą, że naród ratować się i zwyciężyć może, gdy chce, gdy są ludzie co czują w sobie sumienie narodu. Już nawa Rzeczypospolitej z przystani na pół feudalnej, na pół monarchicznej, pchniętą została na mielizny republikanizmu szlacheckiego, gdy Jan Zamojski łamiąc resztki średniowiecznego możnowładztwa, zapisał w konstytucyach nieszczęsne prawo głosowania *viritim*, a jednak upłynęło jeszcze lat kilkadziesiąt, zanim Siciński ośmielił się wydobyć miecz samobójczy *liberum veto*. Już wrzał duch anarchiczny, zaszczepiony walką reformacyi a jeszcze wyższy poziom umysłowy, polityczny i moralny, przedłuża chwile chwały i wielkości. Już walą się zewsząd wrogie najazdy, pierwsze powstają plany rozbioru, ale z potopu najezdców i wewnętrznego rozkładu dźwiga Rzeczpospolitę wiara i rycerskość i na dwa wieki przedłuża jej żywot zastęp bohaterskich postaci XVII. stulecia.

Gdy ten poziom się obniżył a mężów wyższego ducha i silniejszego brakło ramienia, upadek stał się nieuchronnym. W chwili przedzgonnej budzi się życie umysłowe, a choć płynie ze źródeł zatrutych, daje początek odrodzeniu cywilizacyjnemu. Występuje zastęp ludzi dobrej woli, czystych pobudek, poświęcenia, między którymi nie ma ani jednego z piętnem genialności, ale ta suma cnoty obywatelskiej, choć przeciwstawiona korupcyi rozszerzonej powszechnie, doprowadza do aktu, który choć nie uratuje od przepaści, rzuci na jej dno silną tamę i jakby kamień węgielny nowej budowli.

Genialny strategik pruski jł. Moltke w swej rozprawie z młodych lat o upadku Polski, nie odmawia zwyczajem pisarzy niemieckich Polakom zdolności do państwowego życia, ale czyni głęboką a nową uwagę, że przyczyną upadku był ten kardynalny błąd dawnej konstytucyi, polegający na tem, że nie dała się ona naprawiać. Prawa ludzkie wymagają stopniowych zmian i stosowania do potrzeb czasu a najidealniejsza konstytucya, której podstawą byłaby niezmienność, musiałaby po kilku wiekach prowadzić do zguby.

O to właśnie chodziło w reformie Czartoryskich, a następnie stronnictwu patryotycznemu na wielkim sejmie, aby wyrwać sam korzeń dawnej konstytucyi, jakiem było *liberum veto*, głosowanie *virilim*, elekcye na Woli i układy o *pacta conventa*.

Dokonano tego dzieła, a jak w obec wywróconej zasady władzy

monarchicznej, tak i w obec zwichniętej równowagi społecznej konstytucya 3 maja przekreśliła wszystkie grzechy i błędy przeszłości.

W tym fakcie jest dowód zdolności narodu do zwyciężenia siebie samego, dowód, że odpowiedzialność owa zbiorowa od naszej woli zawisła, czy ma prowadzic do zguby czy do ratunku.

Gdy po rozbiorach, pod obcemi rządami naród polski, znów do tej zbiorowej powołany odpowiedzialności, gdy sam nad sobą czuwać, sam się dorabiać i dźwigać zwolna z upadku zmuszony, fakt konstytucyi 3 maja pozostaje do dziś dnia przykładem i otuchą. Choć to była jedna tylko chwila, przekonywa nas, że zgoda najbardziej niekarnego narodu jest możliwą, że wszystko zawisło od poziomu moralnego i cnoty obywatelskiej społeczeństwa. Ta zdolność własnej poprawy to najcenniejszy talizman, jaki nam pozostał z prac wielkiego sejmu, jak programem dalszych reform wewnętrznych jest ta miara, którą wówczas naznaczono między ideą postępu a zachowaniem węzłów tradycyjnego ustroju. Dlatego pod hasłem 3 maja do dziś postępujemy, ilekroć przychodzi usunąć jakiś społeczny antagonizm, przywrócić równowagę, zdobywać nowe warstwy a wzmacniać łączność dziejową społeczeństwa, zwłaszcza zaś czuwać przed pokusami i niebezpieczeństwami, od których należycie się chronić niedość umiano na wielkim sejmie.

Książę jenerał samodzielnego stanowiska politycznego nie zajmował na wielkim sejmie, nie występował on tu przywódcą ze sztandarem osobistym albo rodzinnym, ani też z gotowym programem, jak na sejmie elekcyjnym książę kanclerz z księciem wojewodą ruskim. Niema też tu już mowy o partyi Czartoryskich, ale o stronnictwie patryotycznem i stronictwie reformy.

Wykwintną obdarzony wymową brał udział w obradach i zwykł zabierać głos w chwilach uroczystych, ale wymowa jego miała więcej świetności retorycznej i uczuciowego nastroju, niż politycznej cechy. W rozlicznych zasiadał deputacyach; należał do poufnych narad. Z biernością, jaką zwykł zachowywać w sprawach publicznych, idzie on z drugimi, staje społem z tymi, z którymi go łączy wspólny stopień kultury, zbliżone przekonania i zasady a nadewszystko wspólne uczucie patryotyczne.

Stanisław Małachowski, marszałek sejmu a brat kanclerza Jacka

Małachowskiego, nie wyższą zdolnością i szerszym umysłem lecz nieskazitelnością cnoty i niezłomnością patryotyzmu, wyjątkowy wywierał urok i stanowił pierwszą w stronnictwie powagę. Bezżenny, możny, cały oddany dla sprawy publicznej, stroniący od godności połączonych z materyalną korzyścią, niedość wielki pan, aby budzić zawiści i współzawodnictwa, karmazyn atoli rodem, majątkiem i osobistemi przymiotami zajmował stanowisko samodzielne, z którym wszystkie możnowładcze partye liczyć się musiały. Popularny w dobrem znaczeniu tego słowa, wielkiej w obejściu słodyczy, łatwo oburzał się na wszelką nieszlachetność i odznaczał się wielką prawdomównością. Przymioty te przedewszystkiem etyczne, które sprawiały, że imię Stanisława Małachowskiego było w owych czasach ogólnego zepsucia synonimem prawości, jego postać stawiana jako wzór najczystszej miłości ojczyzny. Takim przedstawiają go wszyscy współcześni świadkowie i późniejsze pamiętniki i życiorysy.

Stanisław Małachowski był stworzony nie na przywódcę, co obmyśla plany i prowadzi kampanią, ale na chorążego co niesie sztandar, bo daje największą rękojmię, że go nie porzuci i bronić go będzie do ostatka. Różnił się on zawsze w zapatrywaniach z swym bratem Jackiem kanclerzem w. k., który zrazu należał do *stronników Rosyi, porwany prądem opinii* cofnął się na chwilę, ofiarowaną sobie zwrócił pensyę, ale gdy przyszło do wojny z Rosyą w radzie korony zamiast utwierdzać króla, zachwiał jego postanowienia, a jak zobaczymy niżej wdał się w konszachty, z generalicyą targowicką w Brześciu. Stanisław do śmierci nie przebaczył bratu tej zmienności.

Wielce różne były postacie dwóch braci Potockich. Stanisław obok rozległego wykształcenia na modłę Encyklopedystów był płytkim i nad miarę próżnym; próżność ta ośmieszała go nawet w gronie najbliższych przyjaciół, czego mamy ślady w korespondencyi Niemcewicza z księciem jenerałem, gdzie pan Stanisław występuje pod nazwą mandaryna lub też najjaśniejszego potentata rozdzielającego na swym dworze godności między swych zauszników. Ignacy Potocki nie posiadał powagi Małachowskiego, ale miał wyższe zdolności i gorącą, szlachetną duszę, której nie zdołała wyziębić niewiara, jaką czerpał wraz z bratem z praktyk wolnomularskich. Dwie bratowe a rodzone siostry panie Stanisławowa i Ignacowa Potockie

praktyki te wolnomularskie podzielały i wprowadzały w modę i nie były bez wpływu na polityczne mężów zajęcia. Wilanów odnawiał się naówczas i był wspólną siedzibą dwóch stadeł. Pan Ignacy wymowny, rzutki, pełen szlachetnych porywów i zdolny do inicyatywy był właściwie duszą stronnictwa. Wcześnie owdowiał, majątek utracił w części własną winą, więcej skutkiem klęsk publicznych i swej ofiarności na cele patryotyczne.

Do posłów z młodszej generacyi, która wyszła ze szkół zreformowanych przez komisyę edukacyjną, należą Matuszewicz, Weisenhof, Kochanowski, Niemcewicz i Mostowski.

Matuszewicz ma stanowczość, która przyspiesza bieg rozwlekłych narad, ale pochopność niekiedy nieoględną; nie lubi się dać wyprzedzić, w czem też i miłość własną zdradza. Indywidualność Niemcewicza zbyt znana aby ją tu charakteryzować. Mostowski zapowiada wcześnie zdolności, jeśli nie męża stanu to przynajmniej wytrawnego polityka i przyszłego wzorowego administratora. Tadeusz Czacki bardzo jeszcze młody, autodydakta ale erudyt, lubiący dla siebie szukać specyalności, aby ją zgruntować, odrębne także zachowuje stanowisko, nie we wszystkiem podziela program reformy, dyskutuje i polemizuje o wiele jej punktów, zajmuje się kwestyami skarbowości i ekonomii politycznej, obmyśla sposoby reformowania żydów. Gdy stanowcza nadchodzi chwila, poddaje się większości stronnictwa przez ducha patryotycznej karności. Obok tych mężów co tworzą jądro stronnictwa reformy, są inni, którzy tylko częściowo jego dążności podzielają. Posłowie litewscy, jak Michał Zaleski, Bohusz, Butrymowicz, schodzą się ze stronnictwem warszawskiem w rzeczy nie w formie, patryotyzm ich więcej rodzimy mniej retoryczny. Kanclerz lit. Joachim Chreptowicz zasłużony na polu ekonomicznem i społecznem nie wytrzyma próby, gdy chwila Targowicy nadejdzie. Lewicę izby stanowi Hugo Kołłątaj ze swymi adherentami. Burzliwy, ambitny i bez podstawy moralnej rozpoczyna tyralierkę klubową w tak zwanej kuźni kołłątajowskiej, która już się tworzy na wielkim sejmie a przetrwa do powstania kościuszkowskiego. Pracowity i zdolny jest dla stronnictwa siłą, ale zarazem niebezpieczeństwem. Do ściślejszego też koła nie przypuszczony, na naradach z królem nie bywa, wszystkich ciągle podejrzywa sam podejrzywany o skrajność, odstręcza wielu od stronnictwa tą barwą

jakobińską, jaką przybrał już tem samem, że zrzucił suknię duchowną.

W pałacu Małachowskiego na krakowskiem przedmieściu i w pałacu błękitnym w salonach księstwa Czartoryskich było właściwe ognisko stronnictwa.

O ile salon księżny Czartoryskiej jak twierdzą i wpływ kobiecej egzaltacyi oddziałał na tok spraw publicznych, a zwłaszcza na to ślepe zaufanie radom p. Lucchesiniego, to nie zostało dotąd stanowczo dowiedzionem. Jesteśmy przeciwnie w możności postawienia dowodu *alibi*, co do tej roli, jaką księżnie Izabelli w pierwszym okresie sejmu przypisują. Wyjechawszy z Puław do Montbéliard i do Francyi w r. 1788, księżna powróciła do kraju na krótki pobyt, ale już w roku następnym spotykamy ją w Londynie z księciem Adamem, gdzie aż do końca 1790 r. przebywa; nie mogła więc równocześnie wpływać na postanowienia męża i jego politycznych przyjaciół, pośredniczyć w układach z posłem pruskim. Korespondencye księżny z owego czasu, z których w właściwem miejscu zrobimy użytek, wskazują, że zajęta wrażeniami podróży, jeśli zwraca tęskną myśl do kraju, to bardziej do swych ogrodów i zbiorów, niż do narad sejmowych. Powróciwszy do Warszawy w grudniu 1790 r., po dwuletniej blisko podróży, przepędziła w stolicy zaledwie cztery ostatnie miesiące obradującego sejmu. Mimo kilkoletnich rozterek, wynikłych skutkiem sprawy Dogrumowej, stosunek rodzinny między Stanisławem Augustem, a księciem jenerałem miał się na nowo zawiązać. Zanadto wiele mieli oni wspomnień wyniesionych z lat dziecinnych, spędzonych niegdyś pod okiem babki w Wołczynie, z wspólnego wychowania, zanadto jednakowych pojęć; obaj lubo odmienni charakterami posiadają tę samą zaletę, że obcą im jest zaciętość i przechowywanie uraz.

Stronnictwo reformy stawiając na czele swego programu wzmocnienie zasad monarchicznych w przyszłej konstytucyi, dążyło od początku do zjednania dla swych zamiarów króla.

Książe Czartoryski wziął na siebie zadanie utworzenia organu dla stronnictwa. Powstaje pod jego zwierzchnictwem *Gazeta narodowa i obca*, w której pisywali Tadeusz Mostowski, kasztelan Raciążski, Józef Weisenhoff i Julian Niemcewicz. *Gazeta*, wyrażając tendencye stronnictwa, pozwala sobie wycieczek przeciw ambasado-

rowi Imperatorowej i jego przyjaciołom, dla króla ma tylko wyrazy do przesady pochlebne. Niemcewicz rzucał pamflety na zwolenników i jurgeltników rosyjskich, lub smagał obrońców wrzekomo zagrożonych swobód szlacheckich, ale tak w tych pamfletach, jak w komedyi politycznej *Powrót posła* nie dotykał majestatu Stanisława Augusta. Ta wstrzemięźliwość niewstrzemięźliwego w ogóle pióra, była zasługą wpływu i kontroli księcia jenerała. Stronnictwo reformy nie zwątpiło, że króla do siebie przyciągnąć zdoła. Pierwsze kroki zbliżenia, są okryte wielką tajemnicą, mają niemal cechę schadzki spiskowej.

Znany nam już z salonu księżny marszałkowej w Paryżu Włoch Piatoli, niedawno twórca planów wymierzonych przeciw Stanisławowi Augustowi, sprowadzony do Polski przez Potockich i Czartoryskiego, umiał wcisnąć się do boku królewskiego, i jako pierwszy sekretarz zyskać jego zaufanie, tak, że król oczyszcza go przed Stolicą św. z zarzutów, o udział w heretyckich schadzkach i jakobińskich we Francyi knowaniach. Jak przed wiekami rycerskich condotierów, tak w owych czasach dyplomatycznych najemników dostarczały Włochy wszystkim dworom europejskim, od Lucchesiniego do Pozzo di Borgo. Piatoli nie był atoli obojętny dla spraw przybranej ojczyzny, umiał połączyć wdzięczność dla swych pierwszych protektorów, Czartoryskiego i Potockich z wiernością dla nowego swego pana, przejął się sprawą konstytucyi, i podawał się wybornie do roli pośrednika. Włoch i napół ksiądz miał z pochodzenia i charakteru zaletę dyskrecyi dyplomatyczno-konspiracyjnej. Mieszkał w zamku poniżej apartamentów królewskich. W jego mieszkaniu odbywały się pierwsze schadzki i rokowania z przywódzcami stronnictwa. Król przychodził do Piatolego potajemnie, a na korytarzach przyświecał mu jeden tylko dworzanin, głuchoniemy Wilczewski. Tam dwaj Potoccy, Weisenhoff i Mostowski przedkładali królowi główne myśli przygotowanej konstytucyi, a zwłaszcza zbroili go w odwagę do stanowczego kroku wyłamania się z pod gwarancyi imperatorowej.

Na tych zebraniach nastąpiło także pojednanie z Czartoryskim. Duch zamierzonej reformy odpowiadał postępowym wyobrażeniom Stanisława Augusta; czuł on lepiej, niż ktokolwiek wady dotychczasowego ustroju i potrzebę stanowczych zmian. Trudniejszem o wiele

było zadanie natchnąć go stanowczością w obec Katarzyny i jej posła, wyrwać go z otoczenia dam i dworzan przejednanych dla polityki rosyjskiej. Z tego też powodu konieczną była wielka ostrożność, aby przed czasem nie zdradzić porozumienia i w chwiejnym umyśle Stanisława Augusta nie wywołać reakcyi. „Nie możemy nic podjąć i z niczem jawnie wystąpić, pisze pan Ignacy do księcia jenerała, dopokąd króla nie będziemy pewni".

Trzeba było tu także oszczędzić i miłość własną monarchy, żeby reforma od niego niejako wychodziła, i z góry miała jego przyzwolenie. Lubo król elekcyjny był z natury rzeczy tylko dożywotnikiem, a bezżenny nie miał widoków dynastycznych, Stanisław August dał dowód zaparcia, gdy się zgodził, owszem popierał myśl przekazania tronu rodzinie saskiej i rozpoczęcia *stante pede* w tej sprawie w Dreznie układów.

Pozyskanie króla zdawało się być stanowczem zwycięstwem stronnictwa. Zabrzmiało też radosne hasło: „król z narodem, naród z królem", a wyszło właśnie od przywódzców stronnictwa, którzy osobistym nie kierowali się tu dla Stanisława Augusta afektem.

Nie nasze to zadanie w epizodzie, raczej biograficznym, niż historycznym przedstawiać po szczególe wolny postęp narad w sejmie, a nagłe i gwałtowne wezbranie uczuć w opinii stolicy i kraju. Istnieje zbyt wiele opisów tego zapału i tych uroczystości, aby je tu powtarzać było potrzeba.

Dzień 3 maja jak miał pozostać jednym z najpiękniejszych naszej historyi, tak miał także świetną stronę dekoracyjną, na efekt obliczoną. Gdy zyskano stanowczą adhezyę króla, Matuszewicz przyspieszył wniosek przygotowanej oddawna konstytucyi, aby zaskoczyć przeciwników, a królowi zamknąć odwrót. Nie był to zamach stanu, ale był to poryw doraźny. Stanisław August dał się porwać ogólnemu uniesieniu; w sali sejmowej do słów uroczystej przysięgi dodał *juravi et non poenitebit*, jak gdyby wszelką od siebie chciał odsunąć wątpliwość. Lud go witał jak zbawcę, gdy wracał po uroczystem *Te Deum* w katedrze św. Jana do zamku. A wieczorem na przedstawieniu Kazimierza Wielkiego, sztuki okolicznościowej pełnej aluzyj, król wychylił się z loży i donośnym powiedział głosem: s t a n ę i w y s t a w i ę s i ę! W tych słowach, jak w owych przy

składaniu przysięgi, było jakby zbrojenie się przeciw własnej chwiejności.

W dniach tych upojenia pałac błękitny przy saskim ogrodzie był ogniskiem przygotowujących się owacyj i najgorętszych objawów patryotycznego zapału. Księżna Izabella i jej dwie córki, z których starsza Marya od ośmiu lat poślubioną już była ks. Wirtemberskiemu. z całą egzaltacyą kobiecą przejmowały się wrażeniami tych chwil. Sypały się kwiaty i kokardy o barwach narodowych z loży księżny w sali sejmowej i z okien pałacu.

Cały nastrój późniejszy Puław tu bierze początek, jest on przedłużeniem tej atmosfery, jaka ogarnęła ogół w dniu 3 maja. Od tej chwili postać i charakter księżny, dotąd nieco kosmopolityczny, ulega stanowczej zmianie, w życiu oddanem wyłącznie zabawie następuje przełom i zwrot ku rzeczom ojczystym. Za matką idą córki rozkwitające wdziękami i talentami, ale po nad wszystkie ideały, stawiające ideał Polski. Odtąd Puławy, choć tak wysoce europejskie, choć obyczajem, naukami, dziełami sztuki, życiem literackiem i zagranicznymi stosunkami w ciągłej zostające styczności z Zachodem, nigdy nie ulegną kosmopolityzmowi. Ów świat literacki i arystokratyczny, który w Puławach następnie znajdował punkt zborny, to ten sam świat, który zapełniał loże i galerye wielkiego sejmu. Styl Puław, to styl ówczesnych mowców, niewolny od pewnej teatralności i afektacyj w wyrażaniu najszczerszych nawet uczuć. Puławy wzięły cały spadek wyobrażeń i dążeń czteroletniego sejmu i przechowają go wiernie przez pół wieku.

Przeciwne stronnictwo pozostanie w Warszawie, zacząwszy od tych dam, które odwodziły króla od podpisania konstytucyi i namawiały do podpisu aktu Targowicy, aż do poetów tamtego obozu. Po ogłoszeniu konstytucyi księciu jenerałowi powierzono misyę, aby uwiadomił elektora saskiego o postanowieniu sejmu za zgodą króla i zaprosił go do przyjęcia tronu po Stanisławie Poniatowskim, dla córki Maryi z prawem dziedziczności.

Misya zdawała się być łatwą i wdzięczną, bo tak nęcącą i zaszczytną dla domu saskiego. Ale ręka imperatorowej sięgała i do Drezna. Minister i faworyt elektora, uwieczniony bardziej w historyi ceramiki, niż w historyi politycznej Marcolini, wraz z orderem

św. Andrzeja i innymi podarkami, otrzymał z Petersburga instrukcyę, aby nie dopuścił do przyjęcia propozycyi polskiego sejmu.

Fryderyk August przyjął posła Rzeczypospolitej bardzo uroczyście, zapewniał o swej wdzięczności dla króla i stanów za zaszczyt i dowód zaufania, ale stawiał warunki i przedłużał układy. Żądał on zmian w konstytucyi, zapewnienia, że prawo dziedziczności nie przejdzie po kądzieli, że wychowanie następcy tronu należy do króla i wznawiał, jakby dawne elekcyjnych kandydatów targi o *pacta conventa*. Książe musiał się odwoływać do sejmu, nie mogąc wziąć na siebie całej odpowiedzialności, co do stawianych warunków. Wreszcie na usilne przedstawienia i nalegania, oświadczono mu otwarcie, że elektor pragnie wpierw, nim przyjmie propozycyę, zapewnić się o usposobieniu innych mocarstw. Książe wraz z towarzyszami swej misyi powraca do Warszawy, przywożąc urzędową notę kontrasygnowaną przez dwóch ministrów, ale dwuznaczną i wymijającą. Do tych pertraktacyj mamy przed sobą autografy korespondencyi dyplomatycznej z archiwum Czartoryskich dotąd nieznane: List Stanisława Augusta, polecający księcia jenerała do elektora, listy elektora i jego córki Maryi przeznaczonej do tronu polskiego, dziękujące księciu za jego starania, wreszcie odpowiedź wymijającą ministra saskiego, Goldschmidta.

W czasie pobytu w Dreznie książę jenerał spotyka tam młodego Henryka Dąbrowskiego, który w służbie saskiej odznaczał się niepospolitemi zdolnościami wojskowemi. Dąbrowski miał po matce liczne stosunki wśród arystokracyi saskiej i miał napół niemieckie wychowanie, a choć mu już z trudnością przychodziło mówić i pisać po polsku, uczucie polskie wyniesione z domu rodzicielskiego zachował gorące. Książe jenerał z młodym oficerem zawiązuje znajomość i namową swą skłania do opuszczenia służby saskiej i powrotu do ojczyzny.

Patryotyczny poryw opinii i energia stronnictwa reformy jakby się była zużyła w radosnych manifestacyach 3 maja i dni następnych. Rok minął, a zbrojenie się wojska nie uczyniło wielkich postępów; do skarbu skąpo wpływały oczekiwane ofiary, mimo odezw, wzywających do dobrowolnych składek. Zbliżała się właśnie rocznica tego dnia uroczystego równie świetnie obchodzona i za zgodą Papieża połączona

ze świętem patrona Polski św. Stanisława, gdy książe jenerał powracał ze swej misyi z Drezna.

Niebawem miały nadejść ciężkie dla narodu i króla próby. Związek targowicki już był podpisany, a Imperatorowa w manifeście, który odczytano w sejmie 18 maja 1792 r. zapowiadała ciężką swą zemstę. Z godnością wysłuchał sejm manifestu i ze stanowczością dał odpowiedź w odezwie do narodu wydanej w imieniu króla, a podpisanej przez dwóch marszałków: Stanisława Małachowskiego i Kazimierza Sapiehę.

Kampania 1792 nie minęła bez chwały dla narodu. Pod Dubienką i Zieleńcami pierwsze zerwali wawrzyny książe Józef i Kościuszko i pierwsza przyszła próba dla uczniów szkoły kadetów. Jeśli z tej próby mógł się słusznie szczycić książe Czartoryski jako komendant tej szkoły, wielka skądinąd miała nań spaść boleść.

Brał w kampanii udział młodziutki naówczas książe Adam i szczycił się do starości temi wspomnieniami z obozu tak, jak jedyną dekoracyą, którą zwykł nosić: krzyżem *virtuti militari*, zdobytym na polu boju pod Połonną. Szef szwadronu, który uformował w Puławach, przyłączony do armii, która miała operować na Litwie, z niecierpliwością i niepokojem patrzył na bezczynność jenerała dywizyi Zabiełły i dowódzcy korpusu swego szwagra.

Małżeństwo księżniczki Maryi, które zrazu pochlebiało dumie rodowej, miało przynieść gorzkie zawody i ciężkie ciosy; osobno przyjdzie nam naznaczyć okoliczności towarzyszące temu małżeństwu i naszkicować szlachetną postać ofiary tego związku. Tu tylko nadmienimy, że już ośm lat upłynęło odkąd Marya Czartoryska oddała rękę księciu Wirtemberskiemu, który był szwagrem arcyksięcia austryackiego oraz W. księcia Pawła, następcy tronu rosyjskiego. Nie było chwili spokoju w tem stadle. Książe Ludwik Wirtemberski przyjął indygenat polski i zaciągnął się do wojska Rzeczypospolitej. Przed wybuchem wojny 1792 oddano mu nieopatrznie naczelne dowództwo wojsk litewskich. Nieczynność jego była głównym powodem niepowodzenia kampanii. Zamknął on się w Wołczynie, dobrach swego teścia, umyślnie zaniedbując koncentrować oddane sobie wojska. Podniosły się wnet oskarżenia o zdradę, którą przejęta korespondencya z jener. Kreczetnikowem udowodniła a książe Wirtemberski z obozu wyjechał potajemnie wprost do Berlina.

Gdy w Warszawie odgrywa się ten smutny dramat rodzinny, książe jenerał wyprawia się do Wiednia, aby wpływem swym wyjednać zbrojną pomoc u rządu austryackiego. Równocześnie Ignacy Potocki wyjechał do Berlina. Wiadomo, jak cyniczną otrzymał odpowiedź od Fryderyka Wilhelma, który się wręcz wyparł tylokrotnych obietnic i poręczeń Herzberga i Lucchesiniego, wyrzucając nieroztropność wyłamania się z pod gwarancyi carowej, chociaż do tego kroku największą dawali podnietę właśnie dyplomaci dworu pruskiego. Dwór wiedeński nigdy nie wziął takiej odpowiedzialności na siebie w obec konstytucyi, jak dwór berliński. Du Caché zachowywał się aż nadto biernie. Książe Czartoryski znalazł teraz w Wiedniu dawne sympatye i słowa współczucia, ale na nich się tylko skończyło. Kanclerz Kaunitz już był zgrzybiały, a Austrya zewsząd zagrożona. Zaledwie bowiem wydobyła się z niefortunnej kampanii tureckiej, podjętej na spółkę z Rosyą wbrew naturalnym jej interesom na Wschodzie, a znów miała do walczenia z powstaniem we Flandryi, konwent zaś francuski groził wypowiedzeniem wojny. Daremnymi więc były wszelkie zachody, wpływy i przedstawienia: z tej strony nie było można spodziewać się pomocy.

Gdy wszystko zawiodło, a Polska pozostawioną została własnym siłom, raczej własnej niemocy i rozdwojeniu, nie zawiodła jeszcze dzielność oręża polskiego. Mimo zdrady ks. Wirtemberskiego, która dozwoliła armii Kreczetnikowa ciągnąć bez oporu przez Litwę ku Warszawie, wojsko ks. Józefa opierało się dzielnie dwakroć silniejszej armii Kochowskiego i koncentrowało się właśnie nad Bugiem, gdy do obozu przybył dnia 24 lipca adjutant królewski z listem do księcia Józefa i rozkazem do wojska zaniechania kroków wojennych, bo Stanisław August zawarł ugodę z Bułhakowem i przystąpił do generalnej konfederacyi targowickiej. (Dok. nast.).

Ludwik Dębicki.

FILOZOFIA ZAŁOŻYCIELI NOWOŻYTNEJ FIZYKI.

(La physique Moderne. Etudes historiques et philosophiques, par *Ernest Naville*, Corresp. de l'Institut.).

Nauki przyrodnicze postępują dziś olbrzymio, ale też gorączkowo. U drzwi pracowni uczonych, jak trafnie ktoś powiedział, kołacą wciąż przemysłowcy, domagając się coraz to nowych, coraz prędszych praktycznych zastosowań ich studyów. Z drugiej strony czyhają dokoła tychże pracowni teoretycy filozofii pozytywnej, chwytają w lot każde odkrycie, każdą konjekturę, każde słówko co z nich wychodzi, żeby je przystosować czemprędzej do swych urojonych gmachów i gwałtem się domagają od uczonych takich właśnie odkryć, coby do nich pasowały. Przytem rozgałęzienie umiejętności zmusiło poniekąd badaczy do tak ścisłego zamknięcia się w specyalnościach, że jedni ledwo wiedzą o drugich, jedni ze swego stanowiska przeczą, co drudzy za zdobyty pewnik uważają, a wspólne podstawy umiejętności przyrody, na których wszyscy budują, ich początek i rozwój historyczny, ich głębsze i filozoficzne znaczenie, które wszystkim tym pracom przyświecaćby powinno, wszystkim nieomal z oczu ginie. Pośród tego zamętu, rwącego wciąż naprzód, jak prąd górskiej rzeki, stanąć chwilę na wyższym punkcie, zwrócić oczy wstecz na przebytą drogę, objąć wzrokiem całość obecnej sytuacyi i zmierzyć, ile ludzkie oko potrafi, kierunek umiejętności na przyszłość — to zarówno trudne, jak potrzebne na dzisiaj zadanie.

Podjął to zadanie zasłużony już w umiejętności i filozofii pisarz Ernest Naville. Dzieło jego, p. t. „Studya historyczne i filozo-

ficzne o nowożytnej fizyce", jest skromną książeczką i ogranicza się wrzekomo na samej fizyce; ale, że fizyka jest niezaprzeczenie węgielnym kamieniem wszystkich innych nauk przyrodniczych, studya te rzucają światło na całą umiejętność przyrody, a powinszować musimy autorowi, że się z zadania wywiązał znakomicie. Jasność Francuzowi właściwa, głębokość i zwięzłość, którejby niemieccy uczeni pozazdrościć mogli, szerokość wiedzy angielska: jestto jeden z najlepszych utworów naszego czasu, a w swoim zakresie zapewnie nie ma równego. Z radością donieść możemy, że polski przekład tej książki już jest pod prasą; ale nim prasę opuści, obeznamy z nią nieco naszych czytelników.

Nie jest to właściwie książka popularna. Początek zwłaszcza ścisłością swoją może profana odstraszyć. Znający jednak elementarną fizykę, łatwo z niej skorzysta, a fachowy nawet badacz znajdzie w niej niejedno światło i syntezę wiadomości, jakiej się może nie spodziewał. Właściwie, jak tytuł zapowiada, jestto historyczno-filozoficzne badanie o fizyce nowożytnej, historyczne studyum jej źródeł i filozoficzna synteza jej wyników. Cała książka składa się z pięciu oddzielnych części.

Pierwsza, p. t. *Charakterystyczne cechy fizyki nowożytnej*, jest analityczną. Autor zapuszczając się z bystrą analizą w ogrom badań i wyników dzisiejszej fizyki, odróżnia doskonale rzeczy podrzędne, piętrzące się na drugich, od zasadniczych, na których wszystko, świadomie czy nie świadomie, się buduje, i z tych ostatnich wyprowadza właściwe „znamiona" *(les caractères)* tej umiejętności w obecnem jej stadyum. Omawia on najprzód „znamiona jej scientyficzne": mianowicie, że dzisiejsza fizyka zjawiskom przyznaje naturę mechaniczną, na ruchu polegającą — że jedność materyi przypuszcza — że opiera się na przemienianiu ruchów między ciałami i atomami — że w tych przemianach uznaje stateczność ilości siły — że zjawiska tłumaczy matematycznie. Ztąd wyprowadza autor charakterystyczną różnicę nowożytnej fizyki od starej i określa jej zadanie. Przy tej sposobności wytyka on wybornie, jak wiele kwestyj i poglądów należących do zadania fizyki, będących dopiero szematami do wypełnienia, dyletanci i wulgaryzatorowie nauki na korzyść materyalizmu biorą mylnie za zdobycze wiedzy, za rozdziały fizyki już napisane. Analizując dalej te 5 znamion, autor pokazuje, że wszystkie

mieszczą się w nowożytnem pojęciu bezwładności i z niego logicznie wynikają: to pojęcie zaś, będące podstawą całej fizyki nowożytnej, jej racyą bytu i początkiem jej rozwoju, wyklucza bezwarunkowo z materyi wszelki pierwiastek psychiczny, wszelką możność samoistnej dążności. To właśnie odcięcie materyi od całej sfery psychicznej i dowolnej, było, historycznie i logicznie, ukonstytuowaniem i pierwszym krokiem nowożytnej fizyki. Gdy więc dziś pewni uczeni, nie mogąc wytłumaczyć świadomości przez sam mechanizm, a nie chcąc uznać ducha, uciekają się do przypuszczenia w elementach materyi pewnej zarodkowej zdolności do świadomości i samorzutności, jest to zaprzeczenie samej podstawy wiedzy, na której chcą budować.

Po „znamionach scientyficznych“ fizyki, bada p. Naville jej „charakter logiczny“ i wykazuje, że ta nauka w swym dzisiejszym całokształcie jest jedną wielką hipotezą: hipotezą, której prawdopodobieństwo jest już ogromne i coraz więcej rośnie, w miarę, jak coraz nowe zjawiska mechanicznie wytłumacza; ale zawsze i na zawsze hipotezą, ponieważ same jej zasady, jak stateczność ilości siły i bezwładność, nie dają się ani *a priori* dowieść, ani doświadczalnie sprawdzić d o k ł a d n i e, lecz tylko w przybliżeniu ciągle rosnącem. „Uznanie tego logicznego charakteru fizyki nowożytnej, mówi słusznie p. Naville, uwalnia umysł od dwojakiego błędu: w sferze filozofii i w sferze fizyki samej“. Błąd filozoficzny zależy na przypisywaniu prawom, które na drodze doświadczenia z pewnem prawdopodobieństwem zdobywamy, jakiegoś charakteru absolutnego, metafizycznego: błąd ten występuje u wielu autorów w wyrazach jak: konieczność, wieczność, bezwzględna niemożliwość, którymi w zakresie przyrody niebacznie szafują i na podstawie praw empirycznych przecinają kwestye nadempiryczne. Błąd w umiejętności zależy na tem, że nie pomnąc na hipotezyczny charakter przyjętych teoryj, z ich punktu sądzi się o faktach i zaprzecza się łatwo tym, co z teoryami nie licują. Jak długo n. p. spadanie aerolitów za ludową baśń uchodziło, której żaden uczony zbadać nie raczył!

„W całokształcie nauki, mówi głęboko Naville, trzeba odróżnić trzy pierwiastki: prawa doświadczalne, teorye odnoszące się do istoty zjawisk, i w końcu zasady, które kierują myślą w stawianiu tych teoryj. Prawa doświadczalne są wyrazem bezpośrednim faktów;

mogą być wyłożone bez przymieszki teoretycznej. Tak prawa odbijania, łamania, rozpraszania się światła możemy sformułować, nie pisząc się na teoryę emisyi lub na system falowań; i w rzeczy samej prawa te utrzymały się tak w jednej jak w drugiej z tych doktryn. Prawa wyrażające po prostu fakta wydają sąd o teoryach, dowodzą ich, czynią je wątpliwemi, obalają je. Teorye ze swej strony wywołują poszukiwania, każą wymyślać nowe doświadczenia, odkrywać nowe fakta, budować nowe prawa; i łatwo jest wykazać historycznie, że znieść teorye, znaczyłoby wstrzymać pochód nauki. Teorye bywają wyszukiwane pod działaniem pewnych zasad przewodnich, których uczony może mieć świadomość lub nie, lecz które, tak w jednym jak drugim razie powodują jego pracami. Z tych najważniejszą jest zasada ładu, harmonii tj. jedności, która się zachowuje w rozmaitości zjawisk. Nauka postępuje tylko, wznosząc się do praw coraz więcej ogólnych, pochwytując między faktami związki coraz bardziej rozległe; tak było od początku".

W końcu, po naukowem i logicznem zcharakteryzowaniu nowożytnej fizyki, autor bada jej „charakter estetyczny" i o materyi na pozór jałowej, kilka pięknych i podniosłych kreśli stronnic. Dawniej przyroda, mówi on, owiana urokiem tajemnicy, zdawała się pełna barwy i ognia: wszystko w niej żyło, wszystko czuło w oczach wyobraźni. Dziś, im dalej postępuje umiejętność, im bardziej przybiera cechę matematyczną, tem dalej wypiera tę naiwną poezyę. Świat zdaje się topnieć w głuchych cyfrach. Ale to tylko pozór. Sfera wiedzy nie wypełni nigdy bezmiaru świata, a ponad nią wzniesie się zawsze duch ludzki poezyą, poezyą tem wyższą, im podstawa wiedzy będzie szerszą i głębszą. Owszem, same wielkie odkrycia dzisiejszej nauki odzywają się w wyższych duchach, jak Kopernik, Keppler, Leibnitz, nawet Humbold i Tyndal, w uczuciowej i poetycznej postaci estetycznego zachwytu.

W drugiej części swego dzieła, p. t. *Początki fizyki nowoczesnej*, p. Naville przedstawia z głęboką krytyką historyczny rozwój fizyki, począwszy od XVII. wieku, w którym odkrytemi zostały prawdziwe tej umiejętności podstawy. Nie próbuję streszczać tego i tak już treściwego rozbioru; w dwóch słowach tylko powiem, że w obec tego dziejowego sądu rozwiewa się wiele utartych dziś iluzyj: odkrycia, które nasz wiek za swoje uważa, przechodzą niezaprze-

czalnym sposobem na własność XVII. wieku; ojcowie nowożytnej nauki stają przed oczyma po kolei, każdy ze swemi zasługami i winami: Bakon bardzo maleje, Kartezyusz najwięcej rośnie; nie podobna jednak autora o stronniczość posądzić: na każdym kroku są dowody bez repliki. Jakoż i Kartezyuszowi wytyka on liczne i doniosłe błędy, zwłaszcza w metodzie; a obok niego uznaje zasługi współczesnych i następców. W XVIII. w., mianowicie od r. 1720, wbrew teoryi ciągłego postępu, widać jak na dłoni zaciemnienie teoryi fizyki, formalne cofnięcie się umiejętności. Powodem tego zaciemnienia są po części same błędy Kartezyusza, wplecione między gienialne jego odkrycia, po części przewaga partyi Newtonianów, którzy swoje najfałszywsze filozoficzne poglądy podszywali pod wielkie imię nieśmiertelnego mistrza. Ale z początkiem bieżącego stulecia, tj. od r. 1820, odkrycia Oersteda i Ampera o związku elektryki z magnetyzmem, wskrzeszenie teoryi falowań przez Fresnela, teorya mechaniczna ciepła Roberta Mayera wprowadziły ponownie fizykę na tory Kartezyusza i ku nowym popchnęły postępom.

Trzecia część, do której głównie w tej rozprawie zmierzam, ma tytuł: *Filozofia twórców fizyki nowoczesnej.* Tu już autor tak mi z pod serca wyjmuje wszystko co mówi, że (za jego upoważnieniem) pozwolę sobie obszerniej go przytaczać, niż się to w zwykłych sprawozdaniach czyni. Zreasumowawszy olbrzymi ruch nauki przyrody, od XVII. w. się wzmagający, tak pisze p. Naville:

„Dość rozpowszechnionem jest mniemanie, że filozofia nie miała żadnego udziału w tym ruchu naukowym: „Uczeni robią swoje od„krycia, stawiają swoje teorye i uprawiają wiedzę swą, bez filozo„fów", powiada *Klaudyusz Bernard.* A kilka stronnic przedtem: „By wynaleść prawdę, wystarcza, ażeby uczony stawił się w obec „przyrody i wnikał w nią zapomocą metody doświadczalnej i środ„ków badania coraz doskonalszych. Sądzę, że w tej mierze najlepszy „system filozoficzny polega na tem, by nie mieć żadnego" [1]. Z tą tezą metodyczną łączy się często tezę historyczną, twierdząc, że zerwanie z doktrynami filozoficznemi było warunkiem powstania prawdziwych teoryj doświadczalnych. Najklasyczniejszym tłumaczem

[1]) *Introduction à l'étude de la médecine expérimentale.* Część 3 rozdz. 4, §. 4.

tego zapatrywania jest *August Comte*, który uczy, że trzeba zupełnie zerwać z metafizyką, by zainaugurować wreszcie erę myśli pozytywną. Znamieniem tego ostatecznego peryodu ducha ludzkiego ma być, że wyrzekając się wszelkich principiów, przed lub ponad doświadczeniem stojących, ograniczy on się na prostem porządkowaniu faktów. Pewne zdanie, opierające się na poprzedniej idei, chce, by nauka o przyrodzie stała w sprzeczności z umiejętnościami duchowemi, tak, iż nie chodzi już jedynie o odłączenie się od filozofii, lecz o zaprzeczenie wszelkiej filozofii uznającej jakąś przyczynę i jakiś cel w świecie. Mówią, że pojęcie Boga wstrzymuje postęp ducha ludzkiego; żądają ateizmu w interesie nauki, jak niektórzy demagodzy spółcześni żądają zniweczenia pojęcia Boga w interesie odnowienia społeczeństwa.

„Zdania te są fałszywe teoretycznie i faktycznie. Wiedza nie może się rozwijać jak tylko pod wpływem zasad kierujących badaniem: to jest kwestya teoretyczna; wrócimy do niej przy końcu. Zacznijmy od kwestyi faktu. Twierdzenie, że nauka o przyrodzie powstała z zerwania z wszystkiemi zasadami *a priori*, jest błędem historycznym. Wiedza nowoczesna powstała pod wpływem pewnej doktryny ściśle określonej, której dwoma istotnemi twierdzeniami są: bytność duszy i bytność Stwórcy".

Autor nazywa to twierdzenie „paradoksem prawdziwym", podejmuje zaś jego udowodnienie i przeprowadza je w sposób nietylko świetny, ale przekonywujący. Najprzód zastrzega on się przeciwko utartemu pomięszaniu pojęć: potrzebnem było niezawodnie pewne oswobodzenie nauki od przesadnej powagi Arystotelesa, od maniery rozstrzygania kwestyj przyrodniczych z formułek *a priori* utworzonych; ale do tego oswobodzenia nawiązują błędny wniosek. „Nauka powstała z zerwania z metodą, która brała za punkt wyjścia już to teksty, już też pojęcia czysto rozumowe: takim jest prawdziwy stan rzeczy. Błąd zaś, który się z tem łączy, polega na mniemaniu, że nauka może się zrodzić z samej obserwacyi zjawisk. Obserwacya sama nie zdołałaby dostarczyć żadnego prawa ni teoryi żadnej, ponieważ prawa i teorye nie są to przedmioty podpadające pod zmysły. Trzeba się zwracać z pytaniami do księgi przyrody, bez wątpienia, a nie do tekstów starożytnych; lecz przyroda nie

jest księgą, w której prawa były wypisane, tak żeby dla wyczytania ich dosyć było oczy otworzyć. *Voltaire* słusznie powiedział:

Niema jest przyroda, próżno byś jej pytał [1]).

„To duch stawia pytania; to duch próbuje na nie odpowiadać, a odpowiedzi winien poddać kontroli doświadczenia. Lecz pole konjektur jest nieograniczone: cóż więc kieruje duchem w jego próbach? Pewne oznaczone zasady, względem doświadczenia aprioryczne lecz co do treści czysto formalne, nadające myśli pewien kierunek, ale nie dające żadnej podstawy dla wniosków, na którychby można system zbudować. Różnicę między składnikami systemu, które trzeba wykluczyć, a zasadami, które trzeba zachować, łatwo zrozumiemy, zastanawiając się nad dwoma następnymi przypadkami: wychodzić z pojęcia, że planety się obracają w formie doskonałej, i ztąd wnioskować, że ich drogi są koliste, jest wnioskowanie fałszywe, wynikające z błędnej metody; — wychodzić z pojęcia, że przyroda jest rządzona ogólnemi prawami, by stąd wnioskować, że trzeba zawsze starać się sprowadzić do reguły pozorne wyjątki, jest wnioskiem słusznym, który dostarcza prawideł do wybornej metody. Ten wniosek słuszny nie może posłużyć do żadnego twierdzenia szczegółowego; nadaje on tylko kierunek usiłowaniom myśli, które winny być podciągnięte pod kontrolę doświadczenia. Na wpływie takich właśnie zasad zależy prawidłowe oddziaływanie filozofii na naukę. Któreż to więc zasady kierowały poszukiwaniami twórców fizyki nowoczesnej“?

Na pierwszym miejscu stawia autor zasadę racyonalności świata, czyli zgodności przedmiotowego porządku zjawisk z prawami naszego rozumu; pokazuje jak ta fundamentalna prawda suponuje się zarówno w pierwszem „dla czego“ małego dziecka, jak i w różniczkowych obliczeniach astronoma, i nawiązuje do niej cztery inne zasady przewodnie, które się w niej poniekąd zawierają.

1. Zasadę przyczynowości, o której Helmholtz powiada nam, że „starał się określić wszystkie związki, mogące istnieć „między czynnościami przyrody, za pomocą zasady, że z niczego „nic wytworzyć nie można“ [2]). Wszyscy uczeni tak samo

---

[1]) *La nature est muette, on l'interroge en vain.* Poëme sur le désastre de Lisbonne.

[2]) *Mémoire sur la conservation de la force*, str. 25.

czynią, póki na serio rozprawiają. Przyjąć działanie nicości, czyli, co na jedno wychodzi, wplatać do wyjaśnienia zjawisk przypadek uważany za przyczynę twórczą, znaczy przeciąć główną arteryę myśli ludzkiej".

2. Zasadę stateczności, obejmującą gatunki jestestw i prawa ich działań, przestrzeń i czas: wszędzie i zawsze te same poprzedniki wywołują takie same następstwa. Jestto, co nazywamy determinizmem. „Wszelako, zastrzega autor, determinizm absolutny ustaje w obec badania przyczyn wolną wolą obdarzonych, ponieważ pojęcie przyczyny wolnej jest pojęciem poprzednika zawierającego możność rozmaitych wyników. Przyrodnik będzie się starał wytłumaczyć wzniesienie się gór nad powierzchnią ziemi przez prawa stałe przyrody; lecz nie przyjdzie mu na myśl tłumaczyć wzniesienie dzwonnicy jakiejś katedry, bez wzięcia w rachubę woli ludzkiej, której czynności i determinacye inne mają źródła, niż zjawiska przyrody. Zasada przyczynowości istnieje we wszystkich przypadkach; zmienia się tylko w swem zastosowaniu podług tego, czy stosuje się do jestestw pozbawionych wszelkiej inicyatywy, czy też do istot, mających w sobie samych jakąś moc początkowania, wskutek której, częściowo przynajmniej, są racyą bytu swych czynności".

3. Zasadę pojedynczości, przyjętą w szkołach średniowiecznych, wyraźnie zachowaną przez *Galileusza* i zapisaną przez *Newtona* w jego dziele: *Principes:* że w badaniu przyrody trzeba zawsze wychodzić z pojęcia, iż wielość skutków jest wynikiem małej liczby przyczyn, i że tę liczbę trzeba ile możności zmniejszać. W skutek tej to zasady, z wiedzą jej lub bezwiednie i pod pewnym względem instynktowo, przyjmujemy, że nauka robi postępy, ilekroć wznosi się do coraz wyższych uogólnień, tj. ilekroć zdoła zmniejszać liczbę klas i praw, któremi się posługuje w tłumaczeniu zjawisk.

4. Wreszcie zasadę harmonii. „Harmonia, mówi pięknie autor, czyli stosunek rzeczy między sobą w porządku hierarchicznym, jest objawem jedności zachowanej wśród wielości. Nic nie jest odosobnionem; wszystko oddziaływa na wszystko i wszystko podlega wpływowi wszystkiego. Rozmaite klasy jestestw i rozmaite prawa, jakie niemi rządzą, zostają w stałych stosunkach, które nie pozwalając na ich pomięszanie, nie dopuszczają także ich rozdzielenia. Od-

kryć stosunki, których nie dostrzegano, jest jednym z najistotniejszych objawów ducha naukowego. Zasada ta jest wyrażona w słówku, którego często używamy, nie zdając sobie sprawy z jego głębokiego znaczenia. Wyraz *universum* (wszechświat), przez który wyrażamy całość jestestw, oznacza etymologicznie, podług zdania najpoważniejszych filologów, to, co jest zwrócone ku jednemu. Pojmować wszystkie rzeczy jako zwrócone ku jedności, stawiającej je we wzajemnym do siebie stosunku, jestto najdoskonalszą ideą harmonii. *Karol Bonnet* określił ją następującymi wyrazami, na początku swego dzieła: *Contemplation de la nature*: „Patrzę na wszechświat „okiem filozofa: szukam stosunków, które tworzą z tego niezmier„nego łańcucha jednę wszechcałość".

„Oto są zasady, które kierowały poszukiwaniami twórców fizyki. Zasada celowości, która tak znaczną odgrywa rolę w biologii i w ogólnej teoryi świata, mało się pokazuje w fizyce specyalnej, a zjawia się w tej nauce tylko wtedy, gdy ta wznosi się na wyżyny filozofii właściwe.

„Do tych przewodnich zasad przyłączyło się w utworzeniu fizyki nowoczesnej ścisłe pojęcie bezwładności, określające istotę przedmiotu fizyce właściwego tj. materyi. Materya jest siłą, ponieważ zajmuje przestrzeń; lecz pierwiastki materyi nie mają żadnej zgoła samodzielności, żadnej władzy zmieniania własnego swego ruchu, żadnej władzy wywołania zjawisk psychicznych. Głos, ciepło, światło, barwy są stosunkami między rozmaitymi ruchami materyi a duszą zdolną czucia. Stąd rozróżnianie duszy i ciała, zjawisk duchowych i zjawisk materyalnych znajdujemy koniecznie, w warunkach, w jakich się znajduje wiedza nowoczesna, wygłoszone na czele wszystkich rozpraw o fizyce.

„Pojęcia, które tu kolejno wyłuszczono, nie były w równym stopniu przez każdego z wielkich uczonych uznane; niejeden z nich zapoznał tę lub ową z wymienionych zasad; lecz zasady te przewodniczyły powstaniu i rozwojowi naszej nauki w całości uważanej. Jakiż jest charakter tych myśli przewodnich?

„Idea bezwładności materyi była początkowo, jak to zobaczymy później, wnioskiem wyciągniętym z zasad filozoficznych, następnie stała się hipotezą w wysokim stopniu uzasadnioną. Co do czterech zasad przewodnich, te nie są ani bezpośredniemi danemi doświadcze-

nia, ani pewnikami rozumu. Doświadczenie stwierdziło te wielkie myśli, lecz to doświadczenie, które je stwierdziło, mogło tylko powstać z uprzedniego ich zastosowania: „Wielka ilość zjawisk, „mówi *Helmholtz*, szereguje się coraz lepiej pod ręką nauki; wąt„pliwości dotyczące istnienia niezmiennych praw zjawisk nikną z ka„żdym dniem więcej, odkrywają się prawa coraz większe i coraz „ogólniejsze“ [1]. *Humboldt* znów tak pisze: „Obraz Kosmosa, który „się pierwiastkowo objawił uczuciu jako mgliste przeczucie harmo„nii i ładu w wszechświecie, przedstawia się dzisiaj duchowi jako „owoc długich i poważnych badań“ [2]. Dwa te ustępy uzupełniają się, a połączone z sobą, dają nam prawdę całkowitą. Ład, harmonia wszechświata objawiły się badaczowi, ponieważ duch ludzki ich szukał, w skutek niewyraźnego wprawdzie, ale prawdziwego przeczucia. Bez tego przeczucia nie byłoby poszukiwań, bez poszukiwań nie byłoby odkryć. Ze względu na ogólny wynik nauki nic nie możemy powiedzieć, coby nie było w starożytności przewidziane przez *Pitagorasa*, a w nowych czasach doskonale uzasadnione przez *Kartezyusza i Leibniza*. Doświadczenie udowadnia tezy, których samo nie stawia...

„Jeżeli zasady przewodnie fizyki nie są prawdami doświadczalnemi, coby suponowało, że przyczyna była wynikiem skutku, to także nie są aksiomatami *a priori* oczywistymi, jak np. pewniki matematyczne. Jedynie zasada przyczynowości należy do rodzaju prawd bezpośrednio dla rozumu przystępnych. Tamte trzy zasady nie są same przez się widoczne; tego dowodem jest, że nie znajdują, tak jak zasada przyczynowości, powszechnego zastosowania. Zasada stateczności w tem tylko rozumieniu do istot wolnych zastosować się może, że wolność jest dla nich atrybutem istotnym i stałym; lecz, właśnie z powodu tej wolności, czyny ich nie podpadają prawu absolutnego determinizmu. Zasada pojedynczości kieruje bez wątpienia studyami biologicznemi; lecz wielka jeszcze kwestya, czy ta zasada nie wprowadza na manowce uczonych, którzy starają się dowieść jedności pochodzenia istot żyjących, a w szczególności jedności materyi organizowanej i ciał nieorganicznych. Zasada har-

[1] *Revue des cours scientifiques*, z 8 stycznia 1870.
[2] *Kosmos*, T. I., str. 2.

monii nie stosuje się do stanu obecnego ludzkości, w którym tyle istnieje nieładu i przewrotności — chyba o ile ma miejsce stosunek warunkowy, harmonia innego rzędu, między dobrem a szczęściem, złem i cierpieniem".

Czemże więc są te zasady przewodnie? skąd się biorą? „Duch ludzki nosi w sobie ich zarodek; kroczy on pod ich wpływem na spotkanie przyrody. Zasady te są pod pewnym względem organami wzroku intellektualnego, dostrojonymi z realnym porządkiem, jak oko jest dostrojone do fal światła. Sądzić, że światło stwarza oko, i sądzić, że doświadczenie stwarza zasady, które niem kierują, są dwa błędy sobie podobne, które polegają na fałszywem sprowadzaniu do jednego pierwiastku dwóch czynników stosunku. Raz wprowadzone w czyn, znajdują one mniej lub więcej uznanie refleksyi; refleksya zaś, która je uznaje, oświeconą albo zaciemnioną bywa przez wpływ pewnych doktryn".

Takiemi doktrynami zaciemniającemi lub rozświecającemi przewodnicze zasady umiejętności, są w pierwszym rzędzie pojęcia religijne.

Najprzód rzucając okiem na starożytność pokazuje autor, jak politeizm zabarwiony powabną lecz bałamutną poezyą nie pozwolił wyzyskać zdobytych postrzeżeń na założenie stałych podwalin wiedzy. Wszelkie zaś usiłowania starożytnych wyłamania się z politeizmu kończyły fatalnie w niemniej zgubnym dla nauki panteizmie lub dualizmie. Jeden naród izraelski cieszył się podówczas czystym monoteizmem; lecz u niego znów idea religijna tak pochłaniała myśl i uczucie, że nie zostawało podniety do badania. „W wiekach średnich, mówi dalej autor, ustalił się monoteizm w pojęciu powszechnem. Ten peryod historyi wykazuje, ze stanowiska rozwoju ducha ludzkiego, te dwa główne fakta: uprawę logiczną umysłu pod wodzą *Arystotelesa,* i ostateczne ustalenie pojęcia o jedności przyczyny wszechświata. Było to złączenie dwóch istotnych warunków wiedzy dotąd rozdzielonych: monoteizmu Hebrajczyków i dążenia rozumowego myślicieli greckich. Złączenie to było długiem i pracowitem dziełem pierwszych XV. wieków naszej ery; lecz wieki średnie używały błędnej metody, a brak wolności wstrzymywał polot myśli. Trzeba się było uwolnić od nieprawnych powag naukowych i od uroszczeń metody *a priori.* Po dokonaniu tego usamowolnienia, nauka nowocze-

sna wzbiła się szybko za pomocą rozumu, wzmocnionego przez logikę a kierowanego pojęciem o Boskiej jedności. Nie brakło więc, między pracami szkoły scholastycznej a odrodzeniem nauki przyrodniczej, całkowitej ciągłości, jak zwykle uczą. Kiedy się mówi o wiekach średnich, jako o czasie zupełnej nocy, któremu się przeciwstawia nagłe pojawienie się światła, to jest pomyłka. Ten zwrot teatralny wcale nie jest historycznym, i byłby już czas, abyśmy zrozumieli, że epoka, która budowała katedry, dokonała także dzieła naukowego, godnego szacunku. Przyrząd umysłowy zwolna się sposobił... *Du Bois-Reymond* mówił przed kilkoma laty do przyrodników niemieckich, zebranych w Kolonii: „Chociaż to brzmi jak paradoks, zawdzięcza nauka nowoczesna swój początek chrześciaństwu". A przeciwstawiwszy politeizmowi świata starożytnego czysty i zupełny teizm, który chrześcijaństwo światu dało, profesor berliński tak mówi dalej: „To pojęcie Boga, przechodząc przez wieki od generacyi do „generacyi, w końcu i na wiedzę oddziaływać poczęło, a przyzwy„czając ducha ludzkiego do pojęcia jedynej przyczyny wszechrzeczy, „obudziło w nim chęć poznania tej przyczyny" [1].

Po tym rzucie oka na przeszłość, przechodzi p. Naville do nauki nowożytnej. „Często słyszymy zdanie, mówi, że istnieje zasadnicze przeciwieństwo między wiedzą a ideami religijnemi. Zawsze mnie uderzał paradoksalny charakter tego twierdzenia, w obec niezaprzeczonego faktu, że wszyscy twórcy nauki nowoczesnej byli teistami w najściślejszem znaczeniu. Było więc dla mnie rzeczą jasną, że można być uczonym i wierzącym; chodziło tylko o to, by się dowiedzieć, czy te dwa przymioty, wierzącego i uczonego, stały tylko po prostu obok siebie u ludzi takich, jak *Kepler, Kartezyusz, Galileusz*, czy może były połączone przez związek logiczny. Badanie uważne tego przedmiotu doprowadziło mnie do przekonania, że, obok warunku badania faktów, wiedza powstała pod wpływem tych dwóch idei: niematerialności duszy i istnienia Boga. Idee te, wyjęte z całości dogmatu religijnego stanowią to, cobym nazwał „filozofią twórców". W jaki sposób te dwa pojęcia oddziaływały na rozwój nauki? Otóż w sposób następujący:

„Gdy się przyjmie jedność Boga, wszechświat jest natenczas

[1] *Revue scientifique* z 19 stycznia 1878 r. str. 676.

tworem jednej woli, wykonującej plan, pojęty przez jeden umysł: na tem właśnie zależy silna podstawa zasady harmonii. Zasada ta z pewnością nie była obcą *Pitagorasowi*, *Platonowi i Arystotelesowi*, lecz zupełny jej rozwój był wstrzymany w płodach mądrości starożytnej, już to przez politeizm religii ludowych, już to przez pozostałości dualizmu, z którego nawet *Arystoteles i Platon* zupełnie otrząsnąć się nie zdołali. Ścisłe zatwierdzenie jedności Stwórcy dawało silną podstawę pojęciu powszechnej harmonii, a rozumowi dawało powód do ufności we własną swą wartość. Taki jest fakt, który stwierdziłem przez własne moje studya, a którego potwierdzenie znaznalazłem w przytoczonych słowach *Du Bois-Reymond'a*.

„Jedność przyjęta w świecie chrześcijańskim nie jest jednością oderwaną panteizmu wschodniego i aleksandryjskiego; nie jest ona jednością bezwzględnego rozumu, bezwiedną w przyrodzie a samowiedną w ludzkości. Myśl nasza jest zdolna pojąć świat, do pewnej miary; lecz stoimy w obec dzieł p o t ę g i w o l n e j. By poznać dzieła tej potęgi, trzeba je badać. I w ten to sposób konieczność brania doświadczenia za podstawę naszych teoryi i szukania w niem prawowitej kontroli naszych systemów, znajduje punkt oparcia w pojęciu wolnej woli Stwórcy. Jestto — zdaje się — prostą daną zdrowego rozsądku; lecz historya nas uczy, z jaką trudnością ta dana zdrowego rozsądku otrzymała przynależne miejsce w naukowej metodzie. Dobroć, przymiot naczelny Istoty pierwszej i doskonałej, daje nam pewność że ona nie chce nas wprowadzać w błąd. Gdy więc w badaniach naszych słuchamy, nie naszych przesądów, idei dowolnie wymarzonych, urojeń naszej wyobraźni, lecz zasadniczych praw naszego umysłu, wówczas dosięgamy rzeczywiście prawdy. Wierzyć w rozum znaczy wierzyć w harmonię rzeczywistości i prawidłowego rozwoju myśli naszéj. Wiara ta przyrodzona, wstrząśniona przez skeptycyzm, wzmacnia się przez zastanawianie się nad dobrocią przyczyny wszechświata. Dla tego, który bierze rzeczy ściśle, wyrazy „wierzę w rozum“ i „wierzę w dobroć Stwórcy“ to samo znaczą.

„Zastanawianie się nad mądrością Bożą ugruntowało też zasadę niezmienności i zasadę pojedynczości. Mnożyć środki po nad potrzebę jest brakiem mądrości; zbytek w budowie przyrody byłby znakiem niedoskonałości. Wszelka zmiana przypuszczana w bezpośredniem

dziele Stwórcy oznaczałaby także brak doskonałości, ponieważ to, co jest dobrze zrobione, nie potrzebuje być zmienione. Jestto jedna z głównych podstaw badania przyrody, bo podstawa pojęcia ogólności i niezmienności praw. Zauważyć jednak trzeba, dla uniknięcia doniosłego pomięszania pojęć, że pojęcie niezmienności działalności Bożej znajduje prawidłowe zastosowanie tylko w tej dziedzinie, w której suponuje się, że nie zachodzą czyny wolnej woli. Przenieść zasadę tę, nie zmieniając sposobu jej zastosowania, z nauki o materyi do kwestyi dotyczącej zjawisk moralnych i religijnych, znaczy mieszać to, co z istoty rzeczy rozróżniać należy.

„Wiara w Boga Stworzyciela jest więc punktem środkowym, do którego przewodnie zasady myśli nawiązane zostały za pomocą logicznego węzła łatwego do rozpoznania. Nie jest to, powtarzam, twierdzenie teoretyczne, jest to wypowiedzenie faktu. „Filozofia twórców nauki“ stworzyła, kierując ich badaniami, fizykę nowoczesną. Nie wszyscy zarówno, jak powiedziałem, uznawali te zasady w całej ich czystości; lecz nie da się zaprzeczyć, że wszyscy czerpali w idei Stwórcy potwierdzenie i poparcie wrodzonych dążeń rozumu“.

Ponieważ teza ta wyraża fakt, dowodem jej może być tylko opowiadanie. Dostarcza tego dowodu autor, przeglądając kolejno dzieła mężów, których zgodna opinia historyków nazywa twórcami nauki nowoczesnej.

Kopernik.

„Alfonsa, króla kastylskiego, raziły wzrastające coraz trudności systemu astronomicznego *Ptolemeusza* i potrzeba ciągłego pomnażania kół, w których miały się obracać ciała niebieskie; mawiał on: „Gdyby mnie Bóg był powołał do rady, rzeczy szłyby lepszym po„rządkiem“. *Kopernik* doznał podobnego wrażenia, lecz inaczej wyraził swą myśl, w gruncie rzeczy identyczną z myślą króla. Powiedział sobie: „Mądrość Boga jest tak wielka, że nadzwyczajne zawikłania „naszego systemu astronomicznego wskazują jego fałszywość“. I pod wpływem tej myśli o najwyższej mądrości Boga, zaczął się rozczytywać w autorach starożytnych, w których znalazł zarodek swej hipotezy. W liście do papieża Pawła III, służącym za przedmowę do jego dzieła: *De revolutionibus orbium caelestium*, tak się tłumaczy: „Kiedym się zastanawiał przez długi czas nad niepewnością mate-

„matycznych tradycyi, odnoszących się do ruchu sfer niebieskich, „zacząłem się trapić tem, że filozofowie, którzy czasem tak dosko„nale badają najmniejsze rzeczy na świecie, nie zdołali postawić „pewniejszego wytłumaczenia ruchów machiny świata, stworzonej dla „nas przez najdoskonalszego i najdokładniejszego z mistrzów (*ab „optimo et regularissimo omnium opifice*). Dla tego postanowiłem „odczytać na nowo wszystkie księgi filozofów, które mogłem do„stać, by się dowiedzieć, czy który z nich nie wypowiedział myśli, „że ruchy sfer są inne, niż nas uczą profesorowie matematyki. Zna„lazłem najprzód u *Cycerona* zdanie *Nicetasa*, że to ziemia się obraca. „Dalej odkryłem w Plutarchu, że kilku innych to samo miało zda„nie... Przy tej sposobności zacząłem i ja zastanawiać się nad ru„chomością ziemi". — *Kopernik* był kapłanem pobożnym i miłosiernym i uczonym pierwszego rzędu. Widzimy z jego własnego oświadczenia, że idea mądrości Boga była przewodnią zasadą jego naukowej pracy. Ta sama uwaga stosuje się do większej części obrońców jego doktryny. Walka wzniecona przez teoryę ruchu ziemi była długa i ożywiona. Sądząc, że nauka ta odniosła zwycięstwo w skutek faktu, że lepiej objaśniała dane doświadczenia, niż system *Ptolemeusza*, mylilibyśmy się bardzo. *Tycho-Brahe*, znakomity badacz, pozostawił ziemię w środku świata. Wzgląd, który podtrzymał zwolenników *Kopernika* i zjednał im zwycięstwo, które badanie zjawisk miało potwierdzić, był to wzgląd na prostotę nowej teoryi, w jej przeciwieństwie do astronomii starożytnej. Łatwo się o tem przekonać, czytając dzieła tej epoki. Prostota podoba się sama przez się rozumowi; lecz u wszystkich twórców astronomii ten instynkt rozumu był wzmocniony przez wiarę w mądrość Stwórcy.

Kepler.

„*Kepler* tak pisze: „Przyjmuję za prawdę tylko to, co jest „prawdą fizyczną; taki sposób postępowania sprawia mi przyjemność „i jest moją sławą, która mnie przeżyje". Oto program nauki bardzo pozytywnej, w dobrem znaczeniu tego wyrazu; lecz co daje impuls myśli *Keplera* w poszukiwaniu tej prawdy fizycznej? Pobożność jego jest znaną; to samo pióro, które kreśliło uwielbienie prawdy fizycznej, tak pisze: „Szczęśliwi, którym było dane wznieść „się ku niebu. Uczą się oni nisko cenić to, co im się wydawało

„wzniosłem, wynosić po nad wszystko dzieła Boże i znajdować „w ich rozważaniu prawdziwy spoczynek i rzeczywistą radość.... „Dziękuję Ci, Panie, żeś mi dozwolił cieszyć się i unosić w rozpa„miętywaniu dzieł rąk Twoich... Wielkim jest nasz Pan! Niebiosa, „słońce, księżyc i planety, głoście Jego chwałę, jakikolwiek jest wasz „język, którym potraficie wyrażać wasze wrażenia! Głoście Jego „chwałę, harmonie niebieskie..... I ty, duszo moja, śpiewaj chwałę „Przedwiecznego przez całe trwanie mego istnienia". Taką jest wiara *Keplera;* stosunek zaś jego wiary do nauki tak się przedstawia: poznać prawdę znaczy u niego „odmyśleć myśli Stwórcy", i taką stawia zasadę: „ponieważ Bóg jest jednym duchem, więc znamieniem praw, które On nadał światu, musi być jedność i powszechność" [1]. Wielkiem byłoby jego zadziwienie, gdyby był usłyszał, że warunkiem prawdziwej nauki ma być zerwanie z wszelką myślą odnoszącą się do Bóstwa. Wiara jego w jedność i nieskończoną mądrość Stwórcy parła go do poszukiwania harmonii w świecie. Z drugiej strony uważał fakta jako pociągi ręki Bożej, tak, iż nie wahał się poświęcić najponętniejszych swych teoryi, skoro tylko doświadczenie ich nie stwierdzało. Historya jego prac podaje pod tym względem wysoce zajmujące szczegóły [2]. Pojęcie Boga jest więc równocześnie bodźcem polotu jego myśli i źródłem słusznej pokory. Okazuje się w nim takim sposobem, pod zupełnym wpływem monoteizmu, połączenie dwóch dążeń, któremi *Bakon* i *Kartezyusz* mieli się podzielić.

Bakon.

Jak życie prywatne Bakona było sprzecznością, tak też sprzecznością jest jego sława: był on bożyszczem najbezreligijniejszych uczonych XVIII. wieku, a tom cały z jego nabożnych myśli złożono. Znajome jest jego głębokie słowo: „Prawdą jest, że odro„bina filozofii naturalnej skłania ludzi ku ateizmowi; lecz głębsza filo„zofia wiedzie ich do religii. Istotnie duch ludzki, spostrzegając przy„czyny podrzędne w odosobnieniu, może niekiedy na nich się za„trzymać i nie iść dalej; lecz gdy się wzniesie do zastanawiania

[1] Do ustępu o Keplerze por.: Rougemont, *Histoire de l'Astronomie*, w szczególności str. 88 i 89.

[2] Zob. *Logique de l'hypothèse*, str. 36.

„się nad ścisłym związkiem, który je zbliża i łączy, musi koniecznie „uciec się do idei bożej Opatrzności“ [1]. Słowem o wierze religijnej *Bakona* nie można wątpić. Ale jakim był wpływ tej wiary na pracę uczonego?

„Wiedza jest w jego oczach, mówi p. Naville, bogatą skarbnicą, poświęconą złagodzeniu położenia ludzkiego i chwale Twórcy wszechrzeczy: „Trzy stopnie, po których się wiedza wznosi do „jedności, mają pewne podobieństwo do potrójnego pienia Serafinów: „*sanctus, sanctus, sanctus!* gdyż Bóg jest świętym w wielości swych „dzieł, świętym w porządku, jaki w nich zaprowadził, i świętym „w ich harmonii“ [2]. Ustęp ten pokazuje stan umysłu podobny do tego, jaki *Keplera* ciągle ożywiał. Lecz jakiż był wpływ wiary na główne *Bakona* dzieło, wygłoszenie przeciwko duchowi systemu, konieczności obserwacyi? Przytaczam przedmowę umieszczoną na czele jego Historyi naturalnej i doświadczalnej:

„Nie można dosyć ludziom zalecać i błagać ich w własnym „ich interesie, by umysł swój poddawali uważnemu badaniu rze„czy.... Masa systemów i sekt może powstać w ciągu wieków, a obfi„tość tego rodzaju płodów jest prawdziwie niewyczerpaną. Jedna „fantazya chwyta się tego, druga uśmiecha się owemu; dzień jasny „i pogodny nie wszedł jeszcze nad światem. Każdy, patrząc na „wszechświat z głębi swego mózgu, jakoby z głębi jaskini Platono„wej, buduje swój system... Powiedziałby kto, że pokutujemy za „błąd pierwszych naszych rodziców, a nie możemy otrząsnąć się „z pokusy popadnięcia weń sami. Tamci chcieli dorównać Bogu; „następcy ich sięgają dalej, gdyż my stwarzamy światy, dajemy „przyrodzie rozkazy, panujemy nad nią, chcemy, by wszystko było „według nędznego sposobu widzenia naszej zarozumiałości, a nie we„dług mądrości Boskiej, i według praw samej istoty rzeczy. Nie wiem, „co więcej gwałcimy, rzeczy czy ducha; lecz nie szukając wcale zna„ków, któreby nam mogły dać poznać idee Boga, wyciskamy od „razu pieczęć naszego obrazu na jego tworach i na jego dziełach... „Z pokorą, z uczuciem uszanowania i wyzuciem się z wszelkiej

[1] *Sermones fideles* XII. — Bakon streścił także swą myśl w tem zdaniu często przytaczanem: „Philosophia obiter libata a Deo abducit, pleniter hausta ad Deum reducit“.

[2] *De dignitate et augmentis scientiarum*, III, 4.

„z góry przesądzonéj myśli, winni ludzie zbliżać się do wielkiej „księgi stworzenia i karty jej obracać, długo się nad nią zastana- „wiać i rozmyślać nad nią religijnie".

„Znaczenie tych słów, dodaje p. Naville, jest jasne: ponieważ potęga Stwórcy jest władzą wolną, dla tego nie możemy znaleźć w naszym rozumie koniecznego porządku rzeczy; gdy w miejscu badania faktów stawiamy systemy przez nasz rozum zrodzone, zapoznajemy istotę dzieła Boskiego; badać znaczy czcić; chcieć zbudować świat fantazyjny, zamiast uznać istniejące dzieło potęgi nieskończonej, jest szaleństwem pychy; pokora w obec Boga jest kluczem wiedzy. Wszyscy wiedzą, że *Bakon* był wielkim apostołem praw obserwacyi i doświadczenia; mało ludzi wie, że to z rozmyślania o potędze Stwórcy, w przeciwstawieniu do wymagań ducha systematycznego, zaczerpnął on wielkie prawidło swej metody, wzmacniając natchnieniem swej wiary przyrodzony kierunek zdrowego rozsądku ludzkiego. Głównym jego błędem było mniemanie, że doświadczenie samo może nam odsłonić prawdę, i pomieszanie systemów *a priori* zbudowanych, od których się trzeba uwolnić, z zasadami przewodniemi, bez których myśl stałaby w miejscu. Przejdźmy teraz do głównego twórcy fizyki nowoczesnej, męża, który określił prawdziwy przedmiot nauki, zapoznany przez *Bakona*. Z jakiego źródła czerpał *Kartezyusz* swoje myśli?

Kartezyusz.

„*Kartezyusz* był umysłem przeważnie matematycznym; gdy jednakże powziął nieodwołalnie zamiar poświęcenia życia swego reformie nauki, zrobił to w myśli pobożnej, chcąc pójść za głosem wewnętrznym, który uważał za objawienie woli Bożej [1]. W trzeciem Rozmyślaniu, skreśliwszy dowód istnienia doskonałej Istoty, przerywa szereg swych dedukcyi, by nakreślić słowa następujące: „Lecz nim to dokładniej zbadam i przejdę do zastanawiania się nad „innemi prawdami, jakie stąd można wyciągnąć, zdaje mi się sto- „sowną, zatrzymać się chwilę w kontemplacyi tego Boga Najdosko- „nalszego, rozważyć dokładnie jego cudowne przymioty, zastanawiać „się, podziwiać i wielbić niezrównaną piękność tej niezmiernej Świa-

[1] *Baillet: La vie de M. Descartes.* T. I, str. 81. sqq., str. 120.

„tłości, o ile przynajmniej siły mego ducha, olśnionego jej bla-„skiem, na to pozwolą. Jak — podług nauki wiary — najwyższe „szczęście w drugiem życiu polega na kontemplacyi majestatu Bo-„skiego, tak samo doświadczamy obecnie, że podobna kontempla-„cya, chociaż nieskończenie mniej doskonała, pozwala nam cieszyć „się najwyższem zadowoleniem, do jakiego w tem życiu zdolni „jesteśmy".

Ale jak dalece ta wiara Kartezyusza wpłynęła na jego wiedzę? „Niema w całej sferze ducha ludzkiego, mówi p. Naville, ogniwa ściślejszego nad to, które łączy wielkie tego męża odkrycia z jego wiarą w Boga. Dowody na to są bardzo liczne; ograniczę się na kilku. *Kartezyusz* zatwierdził wyraźniej niż ktokolwiek inny, racyonalny charakter świata, tj. zgodę między prawami przyrody a prawami naszej myśli. Lecz na jakiej podstawie oparł on to przekonanie? Rozum ma wrodzone zaufanie do siebie samego, wierzyć w rozum, znaczy wierzyć w zgodność myśli z rzeczywistością; lecz to wrodzone zaufanie może być zachwiane: skeptycyzm jest historycznym objawem tego zachwiania. *Kartezyusz* przedstawił dowody skeptycyzmu w całej ich sile. Na jakiejże więc podstawie stawia on umysł, by go ustrzedz od napadów zwątpienia? Na podstawie wiary w prawdziwość Boską. „Zdaje mi się, że odkrywam drogę, „która nas od kontemplacyi Boga, w którym są zawarte wszystkie „skarby nauki i mądrości, zawiedzie do poznania innych rzeczy „wszechświata. Gdyż najprzód widzę, że niepodobną jest, by mnie „Bóg kiedykolwiek oszukał, bo w każdym podstępie i każdém oszu-„kaństwie znajdujemy pewien brak doskonałości; a chociaż się „zdaje, że możność oszukiwania jest znakiem przebiegłości lub po-„tęgi, to jednak chęć oszukiwania dowodzi słabości lub złośliwości, „a zatem tego nie można przypuścić u Boga. Dalej poznaję z wła-„snego doświadczenia, że jest we mnie pewna zdolność do sądu czyli „rozróżniania prawdy od fałszu, którą bez wątpienia otrzymałem od „Boga, tak jak wszystko inne, co jest we mnie, i co posiadam; „a ponieważ jest niemożliwą, by mnie Bóg chciał oszukać, więc jest „także pewną, iż dał mi tę zdolność taką, że nie mogę się mylić, „jeżeli jej należycie używam" [1]. Gdy umysł nasz powoduje się,

[1] *Rozmyślanie czwarte.*

nie uprzedzeniami, próżnemi urojeniami, kombinacyami pojęć, które zawsze mogą być fałszywe, lecz zasadniczemi prawdami rozumu naszego, wówczas znajdujemy się wobec dzieła Bożego; stąd pochodzi to wielkie prawidło Kartezyańskie, że jasne i wyraźne pojęcia nasze są prawdziwe. *Bakon* uzasadniał konieczną potrzebę obserwacyi, pojęciem Bożej wszechmocy, wobec której winniśmy się korzyć; *Kartezyusz* uzasadnia ufność w nasz rozum pojęciem dobroci Bożéj, której winniśmy zaufać. Co do tego punktu doktryny wyraża on się z jak największą jasnością. „To nawet co „wziąłem za prawidło, tj. że wszystko, co pojmujemy całkiem jasno „i wyraźnie, jest prawdziwem — jest pewnikiem, tylko dlatego, że „Bóg jest, że jest istotą doskonałą, i że wszystko, co jest w nas, po„chodzi od Niego..... Gdybyśmy nie wiedzieli, że wszystko, co jest „w nas rzeczywistego i prawdziwego, pochodzi od istoty doskonałej „i nieskończonej, chociażby pojęcia nasze były jak najjaśniejsze i jak „najwyraźniejsze, nie mielibyśmy żadnej pewności, że one tem sa„mem są prawdziwemi“ [1]. A na innem miejscu: „Pewność i prawda „wszelkiej wiedzy zależy jedynie od poznania Boga prawdziwego“ [2].

Wiara więc w Boga jest u Kartezyusza podporą rozumu, podwaliną całej teoryi wiedzy. Ale nie dosyć na tem, jest ona jeszcze gwiazdą przewodnią głównych jego odkryć w świecie fizycznym. Patrzmy, jak się te odkrycia w jego umyśle wykluwają. Skąd najprzód ta myśl, dziś zwyczajna, wówczas nowa i śmiała, że zjawiska materyalne, odłączone od wrażeń duszy, sprowadzają się do czystego mechanizmu? z dokładnego odróżnienia ciała materyalnego od duszy. „Nie wolno nam przypisywać ciału, przedmiotowi naszych wrażeń zmysłowych, żadnego z przymiotów duszy; jeżeli więc oderwiemy od naszego pojęcia ciała wszystkie własności, które wskazują stosunek między faktami materyalnymi a duchem — jakiemi są wrażenia ciepła, światła, barwy, głosu — nic nie pozostanie dla nas zrozumiałego w materyi prócz mechanizmu. A zatem, jeżeli wszechświat materyalny jest zrozumiały, wytłumaczenie zjawisk winno się znaleźć w tem, co możemy pojąć. Lecz cóż nas upewnia, że świat jest dla nas zrozumiały, czyli że wiedza jest możliwą? wiara w Boga, która uspra-

[1] *Discours de la méthode* Część 4.
[2] *Rozmyślanie piąte,* pod koniec.

wiedliwia i wzmacnia wrodzoną naszę ufność w rozum. Taki jest związek myśli *Kartezyusza*; i dla tego dzieło jego: *Principes de la philosophie*, którego celem jest fizyka, zaczyna się od Wstępu wyłącznie poświęconego ustaleniu różnicy między duszą a ciałem i istnienia Boga. Wstęp ten stoi w ścisłym związku z reformą nauki, której głównym czynnikiem był *Kartezyusz*; nasi dzisiejsi fizycy, skoro tylko się wznoszą do szerszych teoryi, suponują zawsze ten Wstęp, nie zdając sobie nawet z tego sprawy".

Wskazawszy podstawę fizyki w mechanice, Kartezyusz odkrył także, w temże świetle, prawa ruchu; mianowicie dwa główne: prawo bezwładności i prawo stałości ilości siły. „Prawo bezwładności, o ile twierdzi, że ciało nieżywotne nie przechodzi samo przez się ze stanu spoczynku w stan ruchu, zgadza się z tem, co widzimy, i nie potrzeba nawet pytać, skąd się wzięło; ale twierdzenie, że ciało raz w ruch wprowadzone nie przestałoby się w nieskończoność poruszać z tą samą szybkością, jest twierdzeniem nader śmiałem, bardzo przeciwnem bezpośrednim danym doświadczenia. Powstanie jego w myśli *Kartezyusza* było takie: Bóg jest pierwszą przyczyną ruchu i Bóg, na mocy swej doskonałości, działa w sposób, który się nie zmienia, tak iż przypuścić musimy, że powszechna siła poruszająca, która jest wyrazem Jego woli, zostaje niezmienną [1]. Na tej samej myśli opiera się twierdzenie, że każde ciało w ruchu dąży do poruszania się dalej w linii prostej. „Prawi„dło to, jak i poprzedzające, polega na tem, że Bóg jest niezmienny, „i że zachowuje ruch w materyi przez działanie bardzo proste: bo „nie zachowuje go takim, jakim mógł być jakiś czas przedtem, „lecz jakim jest właśnie w tej samej chwili, kiedy go zachowuje" [2]. „Stąd z wszystkich ruchów tylko ruch w linii prostej jest zupełnie „pojedyńczym, i takim, że cała jego istota daje się w jednej chwili „pojąć" [3]. *Kartezyusz* nie tai tego wcale, że te prawidła zdają się być przeciwne doświadczeniu zmysłowemu; czuje on się jednak zmuszonym do ich postawienia, „bo jakąż trwalszą i silniejszą podstawę „możnaby znaleźć dla ustalenia jakiej prawdy, jak samą stałość i nie-

[1] *Principes*. Część II. § 36.
[2] *ibid.* § 39.
[3] *Le monde*. Rozdz. VII.

„zmienność, która jest w Bogu?“ [1]. Widzimy tu zupełnie jasno związek łączący podstawy fizyki z pojęciami religijnemi; dla tego też *Kartezyusz* twierdzi, że „ateusze są zwyczajnie więcej zarozumiali, „niż uczeni i rozsądni“, i przypisuje chorobę umysłową, którą cierpią, temu, że „wielu z nich, chcąc sobie zdobyć rozgłos umysłów „wyższych, ćwiczą się jedynie w zarozumiałem zbijaniu prawd naj- „oczywistszych“ [2]. Nie podobna więc zaprzeczyć, że wielkie teorye *Kartezyusza*, w ich części prawdziwej i trwałej, były, w jego umyśle, wynikiem bezpośrednim jego wiary w Boga; chcieć je wyprowadzać z innego źródła byłoby usiłowaniem fałszywem, wobec wielkiej liczby i ścisłości ustępów, w których swój sposób zapatrywania się wyłożył. Zaznaczając ten fakt, zarzucano mu często wciągnięcie idei religijnej w budowę nauki, która powinna spoczywać jedynie na podstawie obserwacyi. Zapomniano, że obserwacye, które dały sakcyę podstawom fizyki nowoczesnej, przyszły tylko potwierdzić teorye, które nie mogły z samego powstać doświadczenia. Gdyby myśli *Kartezyusza*, *Kopernika* i *Newtona* były pozbawione tego pierwiastku religijnego, który ganią niektórzy z naszych spółczesnych, tkwilibyśmy jeszcze może co do astronomii w systemie *Ptolemeusza*, a co do fizyki w doktrynie Arystotelesa.

Galileusz.

„*Kartezyusz* był najpotężniejszym z przewódzców nauki nowoczesnej; lecz sama już rzutkość jego myśli i fałszywość metody wprowadziła go w wielkie błędy. *Galileusz* był roztropniejszy. Nakreślił on prawidła prawdziwej metody badania zjawisk przyrody, wykazując, że odkrywamy prawa za pomocą hipotez, które bezustannie winne stać pod kontrolą doświadczenia. Ale jakaż zasada winna kierować myślą w wyborze hipotez? *Galileusz* taką na to pytanie daje odpowiedź: „Prawa przyrody są najprotsze, jakie tylko być mogą.... „Wznieśmy więc myśl naszę do prawidła najdoskonalszego „i najprostszego, a stworzymy najprawdopodobniejszą z hipo- „tez“ [3]. Wzgląd na prostotę praw przyrody zniewala *Galileusza* do

[1] *ibid.*

[2] List na czele *Rozmyślań*.

[3] O Galileuszu i pracach jego zob. Józefa Bertrand: *Fondateurs de l'astronomie moderne.*

przyjęcia doktryny Kopernika, doktryny, która tak ważną miała odegrać rolę w jego losach. Jeden z mówiących w „Dialogu o systemach świata“ wypowiada myśl autora, zaznaczając, że „wielka „ilość i niejasność środków, za pomocą których osiągane bywają „rezultaty w systemie *Ptolemeusza*, doprowadziłaby koniecznie do „odrzucenia znacznej liczby aksiomatów, ogólnie w filozofii przyjętych: „np. że przyroda nie mnoży rzeczy bez konieczności, że posługuje „się środkami najłatwiejszymi i najprostszymi do osiągnięcia skut„ków, że nic nie robi na próżno, i t. p.“ — Uważa on tak proste i tak łatwe wyjaśnienia w systemie Kopernika za najcudowniejszą spekulacyę umysłu ludzkiego [1].

Cóż mamy rozumieć pod tą naturą rozumną, która się posługuje najprostszymi środkami do celów? „Setki ustępów Pisma Świę„tego, tak pisze w swej obronie do W. ks. Krystyny, pouczają „nas, jak chwała i wielkość Boga Wszechmocnego odsłaniają się „cudownie w całem stworzeniu i czytają się przedziwnie w otwartej księ„dze niebios? A niechaj nikt nie sądzi, że czytanie wielkich myśli, „skreślonych na tych stronnicach, kończy się na kontemplacyi wspa„niałości słońca i gwiazd, ich wschodu i zachodu; to dopiero gra„nica, poza którą nie może dotrzeć wzrok zwierząt i pospólstwa. Są „tam tajniki tak głębokie, myśli tak wzniosłe, że zachody i prace „setek największych gieniuszów nie zdołały dotąd ich dostatecznie „zbadać, pomimo poszukiwań czynionych przez lat tysiące. Trzeba, „by niewiedzący o tem się dowiedzieli. Jak to, co oczy spostrzegają „w zewnętrznym układzie ciała ludzkiego, jest bardzo małą rzeczą „w porównaniu z zadziwiającemi sztucznościami, które tam odkryć „potrafi zdolny anatom i filozof, gdy bada użytek tylu a tylu ścięgn, „muszkułów, nerwów i kości, gdy śledzi działalność serca i innych „głównych organów, gdy poszukuje siedliska władz życiowych, za„stanawia się nad cudowną budową organów zmysłów, i podziwia, „niestrudzony w podziwie i pytaniach, mieszkanie wyobraźni, pa„mięci, rozumu; tak samo i na niebie to, co podpada pod zmysł „wzroku, nie jest niczem w porównaniu do głębokich cudów, które „przez długie i staranne badania geniusz uczonych odkryć potrafi“ [2].

[1] *Galileusz* p. Dr. M. Parchappe, str. 383.
[2] Parchappe. str. 137.

Galileusz, śmiały nowator, zachowuje u podstawy swych prac myśl religijną, a z ustępu poprzedzającego poznajemy jego zdanie, że postępy astronomii są tego rodzaju, iż zwiększają uczucie uwielbienia ku Stwórcy światów. Jeżeli imię *Galileusza* przypomina jedno z pierwszych starć nauki z teologią, musi ono także przypomnieć znającym jego dzieła, wpływ wywarty na postępy astronomii przez wiarę w mądrość Stwórcy".

Newton.

Newton, mówi autor, czuł potrzebę dać świadectwo swej wierze, nietylko jako człowiek, w swem życiu prywatnem, lecz także jako uczony, w dziełach, które ustaliły jego sławę. Przy końcu swego dzieła: *Principes mathématiques de la philosophie naturelle*, w którem wyłożył prawdziwy system ruchów ciał niebieskich, wyraża się w ten sposób: „Mistrz nieba rządzi wszystkiem, nie jako dusza „świata, lecz jako władzca wszechświata. Z powodu tej władzy „Jego, nazywamy Go Bogiem Najwyższym. Rządzi On wszystkiem, „tem co jest, i tem co być może. Jest Bogiem jednym, i jest tym „samym Bogiem wszędzie i zawsze. Podziwiamy Go dla Jego do„skonałości, czcimy i wielbimy Go dla Jego władzy najwyższej. Bóg „bez tej władzy, bez opatrzności i bez celu w swych dziełach, byłby „tylko przeznaczeniem lub przyrodą. Atoli z ślepej konieczności me„tafizycznej, która jest zawsze i wszędzie ta sama, nie mogłaby „żadna zmiana powstać. Wszelka rozmaitość rzeczy stworzonych po„dług miejsc i czasów (stanowiąca porządek i życie wszechświata) „mogła być jedynie spowodowana przez myśl i wolę Istoty, coby „sama przez się i z konieczności istniała". Nauka więc *Newtona* utwierdziła jego wiarę; starał się dość zrozumiale to wypowiedzieć, ażeby nie wolno było nikomu o tem wątpić; lecz ta sama nauka, co utwierdziła jego wiarę, zrodziła się właśnie pod wpływem tejże wiary. Dokonał on wielkiego postępu, wyjaśniając jednem prawem trzy prawa astronomiczne przez *Keplera* odkryte. Było to krokiem ważnym na drodze jedności i pojedyńczości. A dla czegóż szukał on jedności i pojedyńczości? by zachować „prawidła, podług których trzeba postępować w nauce fizyki" [1]. *Newton* w rzeczy samej, idąc

[1] Prawidła te są wyłożone na początku księgi III. Zasad.

śladem *Galileusza* i jednocząc w szczęśliwą harmonię przeciwne sobie zapatrywania *Bakona i Kartezyusza* pod względem metody, żąda, by wszystkie nasze teorye podlegały kontroli doświadczenia; lecz wie także, że prawidła *a priori* powinne kierować wyborem hipotez potrzebujących kontroli. Pierwszem z tych prawideł jest zasada pojedyńczości. Skąd ją wyprowadza? Z dążenia wrodzonego rozumowi — bez wątpienia — lecz z dążenia podniecanego i wzmacnianego przez myśl o Bogu jedynym i wszechmądrym; sam nas o tem uczy. „Nie jestże to, mawiał on, dowodem, że się zbliżamy do Boga, „w miarę jak dochodzimy do praw coraz prostszych i ogólniej„szych?“ [1].

(Dok. nast.)

X. Maryan Morawski.

---

[2] *Izaak Newton,* przez J. L. M. str. 24. — Profesor New-York'ski Draper wydał w r. 1875 jednotomowe dzieło o starciach nauki z religią. Znajdujemy tam twierdzenia następujące: „Newton dowodzi, że system słoneczny jest rządzony przez konieczność matematyczną“. (str. 164) — „Teorya Newtona dowodzi, że słońce nietylko jest, lecz musi być punktem środkowym naszego systemu; że prawa Keplera nietylko są faktem, lecz wynikiem konieczności matematycznej, że jest niepodobieństwem, by były inne, niż są“ (str. 171). — Draper sądzi więc, że Newton dowodził rzeczy, które są wprost przeciwne temu, co Newton w jasnych twierdził wyrazach.

Nowo znaleziona
„NAUKA DWUNASTU APOSTOŁÓW".

(Dokończenie.)

Mała liczba świadectw historycznych, na mocy których możnaby dowieść autentyczności Nauki, a sprzeczne przytem zapatrywania uczonych, zmuszają nas do szczegółowego jej rozbioru, bo tylko wewnętrzne dowody, w braku zewnętrznych, mogą nam sąd własny wyrobić. Będziemy się jednak starali jak najzwięźlej i jak najkrócej rozbiór ten załatwić, bo tak obszerny komentarz, jaki np. dał Harnack[1], zanadtoby rozszerzył rozmiary tej pracy. Wzmiankowany ten już kilkakrotnie uczony, jest profesorem teologii w Giessen i zażywa powagi małego papieża pomiędzy protestantami, t. zw. liberalnego kierunku. Nie dziw, że z Nauki starał się wybić kapitał dla swoich przekonań i zapatrywań. Ale też niemałej wagi jest to, że Harnack czuje się spowodowany pierwszemi rozdziałami Nauki do wyznania, że w chrześciaństwie zawsze i to od najpierwszych czasów, istniały przykazania, że na ich spełnianiu i wykonywaniu zasadzano miłość Pana Boga. To wyznanie w ustach protestanta jest tem dziwniejsze, że ono stoi w sprzeczności z całą nauką Lutra o „wolności chrześciańskiego człowieka", tj. wolności od wszelkich przykazań i zbawieniu przez „samą wiarę", a więc podkopuje i z gruntu niweczy całą protestancką teoryę odkupienia i zbawienia. Ale tego wyznania trudno było uniknąć, skoro Nauka zasadza całą drogę żywota na miłości Boga i bliźniego (I, 2), a objawy miłości Boga zasadza na pozyty-

[1] Ad. Harnack, Texte u. Untersuchungen zur Gesch. der alttestam. Literat. I. 1—70. I. 1—100. II. 101—268.

wnych przykazaniach: miłości nieprzyjaciół, wyrzeczenia się świata i zaparcia się samego siebie. Przyznaje tedy Harnack, że starożytne chrześciaństwo, z którego Kościół katolicki się rozwinął, upatrywało wypełnianie miłości Boga w tych przykazaniach, a choć pierwotny zapał ostygł, to jednak trzeba wyznać, że katolicyzm nigdy zupełnie nie zapominał tych pierwotnych postulatów, i że protestantyzm, który sobie przywłaszcza nazwę „czysto ewangelicznej" nauki, jest przedzielony od pierwotnego chrześciaństwa bezdenną przepaścią, której nie zdoła zmniejszyć nawet odwoływanie się do listów św. Pawła[1]. Kto tak sądzi o zasadniczym dogmacie luterskiej nauki, tenby powinien konsekwentnie badać naukę o stosunku woli do łaski, i porównywać ją z nauką katolickiego Kościoła, ale na tem właśnie polega całe nieszczęście protestantyzmu, że nie godząc się na zasadnicze nauki Lutra, jeszcze swobodnie pod jego egidą nowe sobie teorye kreśli i tworzy.

Wracamy jednakże do przedmiotu. Harnack upatruje w Nauce doskonałą dyspozycyą. Wedle niego jest pierwsza część (rozdział I—VI). podzielona na dwa ustępy, z których jeden opisuje drogę życia w 4 rozdziałach, a drugi przedstawia drogę śmierci w 2 rozdziałach (V—VI) Pierwszy rozdział ma za przedmiot miłość Boga, podczas gdy trzy następne zawierają przepisy, tyczące się miłości bliźniego. Dlatego też drugi rozdział zaczyna się od słów: „drugie zasię przykazanie nauki". Rzeczywiście na pozór takby się zdawać mogło, ale przypatrzywszy się bliżej, łatwo można spostrzedz, że w tych trzech rozdziałach (II—IV) są pomieszane przepisy, odnoszące się do miłości Boga i bliźniego. Do pierwszej odnosi się np. przepis, który każe „innych miłować nad duszę własną" (II, 7); tak samo zakazy bałwochwalstwa, magii i t. d. (III, 4) nie odnoszą się do miłości bliźniego; również zachęty, żeby złe wypadki znosić cierpliwie przez wzgląd na Boga (III, 10), żeby głosicieli słowa bożego czcić, jak Pana (IV, 1), rada bezwzględnego wyrzeczenia się własności (IV, 8), nienawidzenia wszystkiego, co niemiłe Bogu (IV, 12), nie przystępowania ze złem sumieniem do modlitwy (IV, 14), odnoszą się także raczej do miłości Boga, niż bliźniego.

Doskonałą więc nazwać nie można dyspozycyi w Nauce, o toby

[1] Texte u. Untersuchungen I. Prolegomena p. 49.

jednak było mniejsza, gdyby nie to, że obok przepisów doskonałości trafia się tu i owdzie jawna niekonsekwencya. Tak np. w I. rozdziale (I, 5), każe Nauka dawać jałmużnę każdemu, a w następnym zaraz wierszu radzi, żeby potniała w ręku, póki nie poznasz, komu dajesz. Rozdział VI. wygląda na rekapitulacyę i powtórzenie zachęty do trzymania się Nauki, ale drugi wiersz osłabia wszelkie poprzednie przepisy doskonałości, bo uczy, że kto nie może wszystkiego jarzma nieść, ten niech robi, co może. I to musi także podpaść, że w rozdziale V., w którym jest opisana droga śmierci, powinienby logicznie ten sam porządek być przeprowadzony, jakiego się autor trzymał przy opisie drogi żywota, tj. że zbrodnie i grzechy powinnyby równolegle być przeciwstawione cnotom i doskonałościom, zalecanym w 4 poprzednich rozdziałach; ale i tego tu nie masz. Autor wymienia grzeszników prawie dosłownie tak, jak ich wymienia list Barnaby (c. 20, 2) i tak dalece spuszcza z oka swoją dyspozycyę, że drogę życia zakończył zachętą do troskliwości o wychowanie dzieci (10, 9) i upomnieniem względem sług (IV, 10—11), a w drodze śmierci nic nie mówi o przeciwnych temu grzechach.

Jeśli się natomiast zestawi wykład o dwóch drogach, zawarty w Nauce (r. I—V); z takimże samym wykładem, zawartym w pierwszych rozdziałach VII. księgi „Konstytucyj apostolskich", które od niedawna nazwano „zwierciadłem obyczajów" (Sittenspiegel), to łatwo dostrzedz można, że oba się nawzajem uzupełniają, tj. że autor Nauki dodawał i skracał miejscami, i że tak samo robił autor „Konstytucyi" z czego wynika ten wniosek, że obaj mieli przed sobą pierwotny jakiś starożytny tekst, z którego korzystali i który zmieniali wedle swojego zapatrywania. Odnośnie do Nauki wykazuje Krawutzcky w długim i szczegółowym wywodzie, że pierwsze te rozdziały należy podzielić na 5 ustępów [1], z których drugi

[1] Pierwszy ustęp (I, 2), zawiera oba przykazania miłości; drugi składa się z „idealnych" przykazań (I, 3—6); trzeci składa się z zakazów, opierających się na drugiej tablicy Mojżeszowej, a więc z negatywnych przepisów miłości bliźniego (II, 2—6), które następnie wznoszą się do pozytywnych przepisów najdoskonalszej miłości bliźniego (V, 7); czwarty ustęp zawiera sześć w („Konst. apost." siedm)| apostrofów, zaczynających się od słów: „dziecko moje". Te przepisy są także najpierw negatywne, a potem pozytywne i odnoszą

i piąty są interpolowane przez autora i dlatego nie masz ich też w „Konstytucyi apost." Domysł ten nabiera jeszcze większego prawdopodobieństwa stąd, że jakeśmy już mówili, w wykładzie drogi śmierci braknie uwzględnienia właśnie tych grzechów i zbrodni, któreby powinny być przeciwstawione odnośnym cnotom, zalecanym poprzednio w drodze życia (ustęp II. i V.), bo widocznie autor nie uzupełnił pierwotnego dokumentu w tem miejscu, zrobiwszy poprzednio interpolacyą. Dalszy jeszcze wniosek wyciąga Krawutzcky (l. c. str. 569) ten, że jeżeli Klemens Aleksandryjski przytacza zdanie, które zdaje się być wyjęte z Nauki (IV, 5), a nazywa je „Pismem", to bardzo łatwo być może, że miał przed sobą właśnie to stare, pierwotne pismo, którego nie znamy, a na którem dopiero autor Nauki pismo swoje osnuł.

Druga część Nauki (VII—XVI) zawiera przepisy liturgiczne i kościelno-społeczne, ale i tutaj dyspozycya nie jest przeprowadzona konsekwentnie. Bryennios zestawia rozdziały te w następujący sposób: a) rozdziały VII—X i XIV zawierają przepisy, odnoszące sie do służby Bożej; b) rozdziały XI—XIII i XV traktują o sługach bożych (apostołach, prorokach, biskupach i diakonach; c) r. XVI. zawiera przestrogi, odnoszące się do paruzyi. Ale choćbyśmy i w ten sposób poprzestawiali pojedyńcze rozdziały, jak to czyni Bryennios, to jednak pozostanie faktem, że autor wraca po dwakroć do jednego przedmiotu; chwilowo jednak tę kwestyę możemy pominąć, bo i tak do niej będziemy musieli wrócić.

Druga ta cześć Nauki zawiera wiele ciekawych szczegółów archeologicznych, a do takich zalicza się przepis postu przy chrzcie św. Same szczegóły dotyczące polewania wodą, w razie potrzeby ciepłą, nie są niczem nowem, bo wedle „Liber Pontificalis", wydał takie same przepisy Pap. Wiktor (około r. 192); wiadomo też, że chrześniak był zobowiązany do postu przed chrztem jeszcze w III. wieku,

---

się także do miłości bliźniego, ale opierają się też na przykazaniach pierwszej tablicy Mojżeszowej i przez to zawierają także przepisy miłości Boga (III, 4—6; III, 10; IV, 1); piąty ustęp zawiera szereg przepisów, odnoszących się do wychowania dzieci i obchodzenia się ze sługami (IV, 9—14), (cfr. Krawutzcky l. c. str. 556—559).

bo wyraźnie o tem świadczy Tertulian (de bapt. c. 20). Powiedziano tam: „ingressuros baptismum orationibus crebris, *jejuniis* et geniculationibus et pervigiliis orare oportet". Nic jednak nie wspomina Tertulian o poście chrzcącego i innych osób, i to daje powód Krawutzckiemu (l. c. 585) do przypuszczenia w tem miejscu ebionickiej tendencyi Nauki, chociaż, zdaniem naszem, chyba montanistyczną przypuszczaćby należało. Harnack natomiast uważa to miejsce za dowód, że chrzest przez polewanie uchodził zawsze za ważny. Ale tego dowodu nie było potrzeba, bo posiadamy już inne, pewniejsze, że w pierwszym wieku był chrzest przez polewanie używany [1], a więc: ważność jego nie mogła ulegać wątpliwości.

Sam przepis postu (VIII, 1) w środy i piątki jest o tyle ważny, że autor uzasadnia go potrzebą odróżnienia się od hipokrytów, przez których widocznie rozumie Żydów. Jest w tem ponowny dowód, że chrześcianie już w apostolskich czasach mieli przepis postu, jak to zresztą widać z Hermasa (Pastor, Similitudo V, 1). Minucyusz Felix i Tertulian już o tem mówią, jako starym zwyczaju, ale dopiero pierwszy Epifaniusz mówi o środzie i piątku, a za nim Klemens Aleks. i Origenes [2]. Przytem jednak należy zwrócić uwagę na to, że w środy i piątki poszczono na Wschodzie, natomiast na Zachodzie poszczono w piątki i soboty, i w tym dniu był post ściślejszy, czyli tak zwana *superpositio jejunii* [3]; z czegoby więc można ponownie wnioskować, że Nauka została napisana na Wschodzie. To jedno przytem nie ulega wątpliwości, że chrześciański podział tygodnia, tj. liczenie dni od niedzieli (κυριακή r. XIV, 1) już musiał być bardzo wcześnie rozpowszechniony.

Ciekawszy jeszcze jest przepis trzykrotnego na dzień odmawiania modlitwy pańskiej (VIII, 3), a zwłaszcza to, że Nauka nic nie mówi o czasie, w którym ma być ta modlitwa odmawiana. Wiadomo bowiem, że najstarszym zwyczajem w Kościele było odprawianie modlitw rano i wieczór, i to były t. zw. *legitimae orationes*. Nie mamy jednak wyraźnego przepisu odmawiania „ojczenaszu",

[1] Cfr. *Kraus*, Roma Sotteranea ed. II. p. 311.

[2] *Clem. Alex.* (Stromata VII, 12, 75), *Origenes*, (Homil. in Levit X.; contra Celsum VIII, 22), *Epiphan.* (Haeres. 75, 6).

[3] Cfr. *Binterim*, Denkwürdigkeiten V, 2, 124 sq., *Kraus*, Real.-Encykl. d. christl. Alterthümer. I, 481.

choć go się domyślać można, z tego co mówi Tertulian (de orat. c. 10), że należy odprawiać modlitwy: *praemissa legitima oratione quasi fundamento*. Dopiero konstytucya Ap. (VII, 24) ma ten przepis, dosłownie tak samo jak Nauka[1]. — Modlitwa pańska należała bowiem do t. zw. *disciplina arcani* i uczono jej katechumenów dopiero bezpośrednio przed chrztem, a pierwszy raz odmawiał ją po chrzcie, skoro wyszedł z wody[2]. W liturgii odmawiano „ojczenasz" przed Komunią św. i przy prośbie: „odpuść nam nasze winy", dawano sobie *osculum pacis*, który to zwyczaj najprawdopodobniej już w czasach apostolskich istniał, jak to wnosić można z listów PP. Grzegorza W. i Inocentego I.[3]. Uderzają więc w Nauce dwie rzeczy nowe, t. j. przepis odmawiania „ojczenasz" trzy razy na dzień, i co ważniejsza, opuszczenie tej modlitwy przed Komunią. Harnack (l. c. p. 27) przypuszcza, że autor poszedł tu za żydowskim zwyczajem odprawiania „*Szmone Esre*": rano, w południe i wieczór, i toby także przemawiało za montanistyczną tendencyą Nauki, bo przepisu trzykrotnego odprawiania modlitwy nie było w Kościele do III. wieku. Tertulian radzi wprawdzie to czynić, ale zarazem dodaje, że nie należy przytem zaniedbywać modlitwy porannej[4]. Nie bez znaczenia jest i to, że Nauka ma na końcu „ojczenaszu" dodatek: „bo twoja jest moc i chwała na wieki" (z opuszczeniem „i królestwo", które jest w Konstytucyi Ap.). Dodatek ten był bowiem nie używany w Kościele dlatego właśnie, że mógł uchodzić za ebionicki.

Jeszcze ciekawsze są modlitwy eucharystyczne w Nauce r. IX. i X. Porównawszy je z takiemi samemi modlitwami w Konstytucyi Ap. (VII, cap. 25—27), odrazu spostrzedz można, że są

---

[1] Const. ap. VII., 24. „Τρὶς τῆς ἡμέρας οὕτω προσεύχεσθε". W samym „ojczenasz" dodane jest tutaj „ἡ βασιλεία" i na końcu „ἀμήν", czego w Nauce nie masz, a nadto dodane są inne jeszcze nauki (cfr. Harnack l. c. 187—188.)

[2] Cfr. Tertullian. De baptismo c. 20. — Cyprian. De or. dom. c. 9. — Const. Ap. VII, c. 44; III, c. 18.

[3] Cfr. Greg. M. Ep. ad Joan, Syrac. IX, ep. 12. Innocent I., Ep. 25 ad Decent. c. 2. — *Probst*, Liturgie p. 356. *Kraus*, Real. Encyklop. I. 561 sq.

[4] Cfr. Tertull. De orat. c. 25 „observatio horarum quarundam, istarum dico, communium quae diei interspatia signant: tertia, sexta, nona, quas solemniores in scripturis invenire est... exceptis utique *legitimis orationibus*, quae sine ulla admonitione, *debentur ingressu lucis et noctis*".

poskracane i pozmieniane. Mniejsza o to, że dziękczynienie nad kielichem idzie przed chlebem, bo coś podobnego mamy także w Piśmie św. (Luc. 12, 14—18; I. Cor. 10, 16—21), ale ważniejsze jest to, że w tych modlitwach nie masz wzmianki o śmierci Chrystusa Pana i o dokonanem przezeń odkupieniu, co było i jest niezbędne w Kościele katolickim, bo inaczej charakter ofiary nie byłby wyrażony[1]. W Konstytucyi apost. znajdują się też dosłownie te same modlitwy, ale mają to właśnie, czego nie masz w Nauce; natomiast ten dziwny zwrot w Nauce (r. IX, 2): „dziękujemy ci... za świętą winną macicę Dawida syna twego, którąś nam objawił przez Jezusa syna twego"; jest w Konstyt. ap. wyrażony całkiem inaczej, bo zamiast macicy jest „życie" a Dawid jest całkiem opuszczony[2]. W całej też Nauce nie masz nigdzie wzmianki o tem, co przecież jest podstawą chrześciaństwa, że odkupienie już zostało dokonane, ani Bóstwo Chrystusa Pana nie jest nigdzie jasno wyrażone. Prawda, że nazywa Jezusa „synem" Boga (chociaż „παῖς" można też tłómaczyć przez „*Knecht*", jak Harnack), ale taki sam tytuł daje też Dawidowi (IX, 2, 3, X, 2, 3); nazywa wprawdzie Jezusa „Panem" (VIII, 2) a nawet wymienia go jako „Syna" w formule chrztu (VII, 1), i zowie go wyraźnie nawet „Synem Bożym" (XVI, 4), ale wiadomo, że Ebionici używali także formuły chrztu, święcili niedzielę i nazywali Jezusa „Synem Bożym" i „Chrystusem", ale tylko w tem znaczeniu, że jako człowiek wypełnił wolę Bożą[3]. — Dziękczynienie eucharystyczne kończy się okrzykiem: „Hosanna Bogu Dawida" (X, 6), i to wyrażenie zdaje się także być ebionickiem, bo w ciągu modlitwy bywa wspomniany Dawid i Jezus jako synowie (słudzy) Boga, więc ten okrzyk zdaje się od-

[1] Cfr. I. Cor. 11, 26, *Justyn Martyr.* Dialog. c. Tryphone c.41. c. 117; cfr. modlitwę drugą przed Komunią w kanonie Mszy św.

[2] Dosłownie brzmi to miejsce Const. ap. VII, 25. „Dziękujemy ci, ojcze nasz, za życie, któreś objawił nam przez Jezusa syna twego, przez którego też wszystko stworzył i wszystkiem rządzisz, którego też wysłał ku zbawieniu naszemu, aby się stał człowiekiem, którego także widział cierpiącego i umierającego, którego także wskrzesił, nauczywszy dobrze nauczać i uwielbiłeś z dobrych uczynków jego, aby przez to i nam głosił ciał zmartwychwstanie. Ty, Panie wszechmocny, Boże wieczny... (teraz następuje znowu dosłownie to, co w Nauce (IX, 4) „jak był tenże chleb rozsiany" i t. d.

[3] Cfr. *Hippolytus*, Philosophum. VII, 34. *Iraeneus*, adv. haer. I, 26, 2. *Hieronymus*, in Lucifer. c. 9. *Eusebius* l. c. III, 28.

nosić do Boga Ojca. Tyle jest przynajmniej pewna, że w całej literaturze starożytnej chrześciańskiej, nigdzie tem wyrażeniem nie oznaczono Boga Syna [1].

Ebionickiej tendencyi domyślać się też można z tego, że w 6 doksologiach, które w Nauce zachodzą (r. IX. i X.), nie masz ani razu formuły chrześciańskiej, lecz wszystkie ułożone są sposób żydowski, co też przyznaje Harnack (l. c. p. 26 ad VIII, 2); Krawutzcky zaś (l. c. 583) zwraca uwagę na inne jeszcze bardzo ciekawe miejsce, które wyraźnie świadczy, że autor omija starannie wszelką wzmiankę o dokonanem już zbawieniu. — W liście Barnaby (c. 19, 7) jest upomnienie panów, żeby się ze sługami łagodnie obchodzili, przez wzgląd na to, że Pan Jezus przyszedł, jako wspólny Bóg, aby powoływać (do zbawienia) nie wedle osoby, lecz wedle tego, jak Duch św. przysposobił. Ten zwrot znajduje się też dosłownie w Nauce, ale zmieniony tak, że o dokonanem przyjściu Jezusa nie masz mowy, tylko powiedziano (IV, 10) „nie przychodzi bowiem powoływać wedle osoby" [2].

Ta kwestya: jakiego ducha jest nasze pismo, ma dlatego wielkie znaczenie, że Nauka posłużyła protestantom za wodę na ich koło. Harnack (l. c. 94 sq.) dowodzi, że autor Nauki tylko tych uważa za czcigodnych, którzy słowo Boże opowiadają, a więc też tylko tym przyznaje charakter „sług ewangelii". Innemi słowy: cały charakter kapłański ma się zasadzać na samem tylko głoszeniu słowa Bożego, zaczem zupełnie jest uzasadniony artykuł wyznania augsburgskiego, który tylko *ministerium evangelii* uznaje, a wszelkie inne atrybucye urzędu duchownego znosi [3]. Powołanie do tego *mi-*

---

[1] *Harnack*, (l. c. 35—36) utrzymuje przeciwnie, że wyrażenie to właśnie dowodzi Bóstwa Chrystusa. Powołuje się przy tem na list Barnaby (c. 12, 10—11), który nazywa „błędem grzeszników" nazywanie Jezusa synem Dawida, a nie panem Dawida. Ale Barnaba nie mówi tu, że trzeba nazywać Bogiem Dawida i tak też nigdzie Pana Jezusa nie nazwano. Harnack nazywa to *kostbaren Ausdruck*, bo rzeczywiście to wyrażenie jest unikatem.

[2] *Barnanba* (ep. c. 19. 7): μήποτε οὐ μὴ φοβηθήσονται τὸν ἐπ' ἀμφοτέροις θεόν· ὅτι ἦλθην οὐ κατὰ πρόσωπον καλέσαι, ἀλλ' ἐφ' οὓς τὸ πνεῦμα ἡτοίμασεν. *Nauka* (r. IV, 10): „μήποτε οὐ μὴ φοβηθήσονται τὸν ἐπ' ἀμφοτέροις θεόν· οὐ γὰρ ἔρχεται κατὰ πρόσωπον καλέσαι, ἀλλ' ἐφ' οὓς τὸ πνεῦμα ἡτοίμασεν".

[3] Conf. August. art. V. „Ut fidem consequamur, institutum est ministerium docendi evangelii".

nisterium, tak wywodzi Harnack dalej, polegało w pierwotnem chrześciaństwie na osobnym darze, zwanym *charisma;* te charismata ustały wprawdzie z czasem, ale „protestanckie kościoły o tyle nieco wyższości mają nad katolickiemi (kościołami), że istotę urzędu duchownego zasadzają wyłącznie na głoszeniu ewangelii“ (l. c. 103).

Nie możemy tu oczywiście wdawać się w zbijanie tego wywodu i dowodzenia potrzeby o f i a r y, bez której żadna prawdziwa religia ostać się nie może, ale dość będzie zapytać: skąd się tedy wzięła hierarchia katolicka, którą już (na początku) II. wieku mają wszystkie kościoły katolickie: Azyi, Afryki i Europy? Na to pytanie znajduje Harnack odpowiedź także w N a u c e. Ona wskazuje właśnie na to, że kiedy wymarli właściwi (12) Apostołowie, wtedy inni, t a k z w a n i a p o s t o ł o w i e stali się niewygodni, „prorocy“ wymarli, za nimi, choć znacznie później, poszli „nauczyciele“; wtedy w miejsce osobnego daru *charisma* nastało, jako cień historycznego uprawnienia, „powierzenie“ *(Übertragung)* i na mocy tego zaczęto mieć biskupów za następców Apostołów. Jest to katolicki przesąd *(Voreigenommenheit)* ale już apologeci go podzielają. — To jednak przyznaje Harnack, że hierarchia katolicka, która stawia czoło wszelkim wiekowym burzom, jest prastara (*uralt.* l. c. p. 157).

Ten wywód nie jest nowy, bo Rothe, Hilgenfeld i Harnack całą już literaturę nim zapisali. Rzecz też to zbyt ważna dla protestantów. Tutaj poświęcił jej Harnack 63 strony (l. c. 94—157), a cały jego wywód opiera się na tem, że wprawdzie już w liście do Efezów, (którego jednakże nie pisał św. Paweł), jest mowa o biskupach, ale że nigdzie w „źródłach“ nie ma o tem wzmianki, aby apostołowie, prorocy, nauczyciele, biskupi, presbyterzy i diakoni mieli wykonywać jakiekolwiek inne funkcye administracyjne, krom nauczania; a więc protestantyzm ma racyę, utrzymując, że t y l k o n a u c z a n i e jest atrybucyą urzędu duchownego, bo wszystkie inne urządzenia nie wynikają z ducha apostolskiego chrześciaństwa.

Jest to twierdzenie bardziej uparte niż naukowe i nie potrzeba wielkiej znajomości „źródeł“, aby wiedzieć, że i Apostołowie i Biskupi rządzili kościołami, tj. że funkcye administracyjne rzeczywiście wykonywali. Dość wskazać na sobór jerozolimski, na którym uchwalili przepisy; na t. zw. spór Antyocheński, gdzie chodziło o zniesienie prawa Mojżeszowego; na wykluczenie kazirodzcy

z korynckiego kościoła przez Pawła św. i tegoż zwolnienie z pod klątwy. Że następcy Apostołów, tj. biskupi rządzili w Kościele, tak samo jak Apostołowie, na to są świadectwa w pismach Ojców apostolskich aż nadto wyraźne. Prawda, że protestanccy uczeni właśnie dlatego zaprzeczają im autentyczności, ale ten destruktywny rodzaj krytyki, już i między nimi wywołał niezgodę. Teraz więc chwyta się Harnack z radością Nauki, bo ona zdaje się dawać nową podstawę protestanckim pojęciom o hierarchii. Niestety ta podstawa jest w rzeczywistości bardzo krucha i chwiejna.

Jużeśmy wspomnieli, że rozdziały XI. XIII. i XV. uważa Krawutzcky za interpolowane przez autora Nauki, pomiędzy rozdziały innego, starszego dokumentu, i to z intencyą sekciarską. Najpierw podpaść musi, że Nauka dwunastu Apostołów mówi o Apostołach jakichś innych, późniejszych i obchodzi się z nimi po macoszemu: ogłasza ich za fałszywych, jeśli dłużej zabawią nad dzień lub dwa w potrzebie, a nie pozwala im nic dawać, krom chleba na drogę, i to tylko tylko tyle, żeby na jeden dzień starczyło (XI., 1, 4—6). Natomiast z prorokami obchodzi się całkiem inaczej. Podaje wprawdzie sposób poznawania fałszywych proroków (XI, 4—12), ale podpatrywanie i badanie ich uważa za najcięższy grzech (XI, 7); nawet ich postępowania nie pozwala sądzić, choćby prorok rzeczy światowych sobie pozwalał, byle tak nie uczył, jak robi [1]. Jeżeli prorok chce osiąść, należą do niego pierwociny (r. XIII.), ale jeśli gdzie nie ma proroka, tam każe dziesięciny dawać ubogim, a następnie dopiero (r. XV, 1) radzi: „wybierajcie sobie biskupow i diakonów, bo oni pełnią służbę proroków i nauczycieli". Związek myśli jest tu widocznie porozrywany, ale to jedno jest jasne, że autor bardzo stronę proroków bierze i całkiem inaczej o nich radzi, niż o Apostołach i Biskupach.

Zaraz na wstępie rozdziału XI. przestrzega Nauka przed każdym ktoby inaczej uczył, w następnym jednak wierszu dodaje:

[1] W Nauce XI, 11. brzmi to miejsce dosłownie: „ποιῶν εἰς μυστήριον κοσμικὸν ἐκκλησίας", to „μυστήριον κοσμικόν" znaczy małżeństwo, i dlatego Krawutzcky (l. c. 581) tłómaczy to wyrażenie: „choćby wszedł w (powtórne) związki małżeńskie". Harnack (l. c. 130, nota 46) rozumie to miejsce tak, że choćby był bezżenny, ale obcował w towarzystwie niewiast. Powołuje się przytem na (Pseudo-)Klemensa, De virginibus I, 10, „Imprudentes quidam homines *sub pietatis praetextu* cum virginibus habitant et periculo sese obiciunt, etc.

„ale jeśli ku rozszerzeniu sprawiedliwości i poznania pańskiego przyjmijcie go jak Pana", to znaczy; choćby inaczej uczył, ale jeśli nauka jego dąży do powiększenia sprawiedliwości, przyjmijcie go. Pominąwszy już tę okoliczność że w „Konstytucyi apost." w t. zw. „zwierciedle cnót" całego tego ustępu nie masz, więc jest wsadzony, musi to podpaść, że autor zaleca wędrownych proroków, którzy jakąś sprawiedliwość, przeciwną nauce zwykłej mogą głosić. Warto i na to zwrócić uwagę, czego nikt dotąd nie dostrzegł, że w „Konst. Ap. (VII, 29) nakazane jest dawanie pierwocin „τοῖς ἱερεῦσιν", tj. świętym czyli kapłanom, gdzie natomiast autor Nauki każe je dawać „τοῖς προφήταις" tj. prorokom. (XIII, 3). Tym jednym wyrazem różnią się oba te miejsca, które są zresztą dosłownie takie same. Jeszcze ciekawsze jest to, że „Konst. Ap." (VII. 9) każe czcić tego, który głosi słowo boże, „dla tego, że on ci jest współdawcą życia i on ci dał pieczęć Pana" (w Sakramencie chrztu św.), a więc ma widocznie na myśli zasiedziałych w gminie i znanych hierarchów, którzy już ochrzcili tych, co dziś są dorośli; tymczasem autor Nauki (IV, 1), wykreślił wyrazy, ujęte w cudzysłów, dla tego, że widocznie nie licowały z tem, że następnie chciał zalecić wędrownych proroków i dać im pierwszeństwo przed stale już ustanowionymi kapłanami; ale zresztą cały ustęp ma dosłownie zupełnie, jak jest w „Konstytucyi Ap." Ponieważ zaś w „Konst. Apost." ten sam tekst zachodzi dwa razy, a więc należy przypuścić, że nie autor „Konstytucyi", ale autor Nauki go zmienił.

W tem przypuszczeniu, że autor Nauki forytuje proroków kosztem ustalonej już hierarchii, znajduje też objaśnienie to, co dotąd było zupełnie niejasne w polemicznej literaturze II. wieku. Lucyan ze Samozaty wyśmiał w kilku rozdziałach swoich pism, chrześcian. W r. XI—XVI. opowiada o śmierci Peregryna („περὶ τῆς περεγρίνου τελευτῆς" — de morte Peregrini), w XXV—XXVIII. opowiada o Aleksandrze, czyli fałszywym proroku („Ἀλέξανδρος ἢ ψευδόμαντις"). Jeden i drugi, tj. Peregrinus Proteus i Alexandros, są prorokami chrześciańskimi, a w ich osobach wyśmiewa Lucyan całe chrześciaństwo. O pierwszym z nich opowiada, że zostawszy chrześcianinem, wnet się dorobił majątku: „I co myślicie? niedługi czas minął, a drudzy wyglądali przy nim jak dzieci, on zaś był

prorok, thiasiarcha, synagogeus, krótko mówiąc, wszystko we wszystkiem... i tamci mieli go za Boga". Potem dostał się Peregrinus do więzienia, gdzie jednak nie miał biedy, a wypuszczony na wolność, puścił się drugi raz na wędrówkę; „dostateczny pieniądz w podróży miał od chrześcian, którzy służyli mu za trabantów, tak że w obfitości żył i dostatku. Przez pewien czas żywił się w ten sposób, ale potem coś przeciwko nim skrewił, spostrzegli go, zdaje mi się, jedzącego coś u nich zakazanego, a ponieważ tedy już sobie nic z niego nie robili, więc popadł w nędzę". Jeśli się rozważy, że autor Nauki i Lucyan ze Wschodu pochodzą, że autor Nauki przyznał prorokom prawo thiasiarchów, tj. przewodniczenia w ucztach eucharystycznych, bo nazwał ich „arcykapłanami" i nakazał im dawać wszelkie pierwociny, to przypuścić można, że Lucyan znał takich „proroków", którzy wychodzili z Frygii i obchodzili chrześciańskie kościoły dla zysku. Dlatego może już wcześnie bardzo ułożono krótką naukę, w której zawarte były najniezbędniejsze przepisy obyczajowe i liturgiczne, mniej więcej to, co się znajduje w 4 pierwszych rozdziałach Nauki, nadto w rozdziałach VII—X. r. XV, 1—2 i r. XVI. To przypuszczenie potwierdza jeszcze wydana świeżo przez Oskara *Gebhardta* (bibliotekarza w Getyndze) *„Doctrina Apostolorum"* [1]. Jest to fragment łaciński, który się znajdował w pergaminowym rękopisie klasztornej biblioteki Meliceńskiej (Melk) wraz z kazaniami św. Bonifacego. Rękopis zaginął, ale fragment przedrukował Pez, dawniejszy tamtejszy bibliotekarz w swoim „Thesaurus anecdotorum novissimus" (T. IV. cz. 2). Bliższe porównanie tego fragmentu z Nauką, listem Barnaby i Konstytucyą apost. (VII. ks.) jest niezmiernie ciekawe. Pokazuje się to, co autor Nauki (I, 3—6 i II, 1) interpolował sam od siebie, bo tego ani we fragmencie ani w dwóch drugich dokumentach nie masz. Fragment zawiera nadto te same przepisy, które są w drugim rozdziale Nauki, ale kończy się na wierszu 6; tyle jednak widać na pierwszy rzut oka, że nie jest tłómaczeniem naszej Nauki, tylko jakiejś innej.

Oprócz tego fragmentu znajdują się jeszcze rozmaite ślady

[1] Texte u. Untersuchungen zur Gesch. der alttest. Literat. Lpzg. 1884. II. Hälfte, p. 275—286.

w literaturze starożytnej, które dla krytyki porównawczej wielkie otwierają pole. Tak np. w pismie „*de aleatoribus*", (c. 4) które przypisują św. Cyprianowi, powołuje się wyraźnie na „*Doctrinae apostolorum*", mówiąc o przepisach przeciwko tym, którzy wykraczają przeciw miłości bliźniego[1]. Nadto t. zw. drugi fragment Ireneusza, odkryty przez Pfaff'a, wyraźnie wspomina drugie nauki Apostołów[2], w których była mowa o ustanowieniu ofiary nowego zakonu, przepowiedzianej przez Malachiasza. Krawutzcky domyśla się więc, że autor Nauki może miał te „δεύτεραι τῶν ἀποστόλων διατάξεις" w ręku, ale, że je poprzekręcał i poopuszczał tak, że np. niejasno tylko wypowiada, że nowa ofiara już jest ustanowiona, (XIV. 3) a postać chleba pojmuje jako obraz rozproszonego, ale pod koniec czasów mającego się zgromadzić ludu żydowskiego (r. IX, 4; X, 5).

Na tem musimy poprzestać. Czytelnik mógł się dostatecznie przekonać, że nowoodkryta Nauka nie rychło jeszcze zejdzie z pola naukowych badań, i że ostatniego słowa jeszcze o niej nie powiedziano. Czy autorstwo Teodota Garbarza z Carogrodu, którego się domyśla Krawutzcky (l. c. 585) zdoła się utrzymać? Bardzo o tem wątpimy. Zrazu zwolennik Montanusa, potępiony z nim wspólnie na synodach w Hierapolis i Anchialus, porzucił jego sektę; zaparł się Chrystusa w czasie prześladowania (Waleryana) i tłómaczył się tem, że tylko człowieka się zaparł. Pojawił się następnie w Rzymie jako sofista i założył ebionicką szkołę Teodocyanów; tutaj też ponownie został potępiony przez Pap. Wiktora (189—199). Widocznie trudnił się autorstwem; bo Hipolitus (Philosoph. V, 4) mówi o nim, że ułożył naukę z żebraniny u Ebionitów; Euzebiusz (h. e. V, 28) zaś opowiada, że sekta jego najpierw poprzekręcała Pismo św.; następnie zaprzeczyła Bóstwa Chrystusowi Panu, i że pisma ich są liczne, bo starannie przez uczniów przepisywane, ale

[1] S. Cypriani Opp. ed. Hartel III, 96. „Et in *doctrinis apostolorum* dicitur: si quis frater delinquit in ecclesia et non paret legi, hic nec colligatur donec poenitentiam agat, et non recipiatur, ne inquinetur et impediatur oratio vestra". Co w Nauce powiedziano na dwóch miejscach r. XIV, 2 i r. XV, 3, to Pseudo-Cyprian razem w jedno zdanie złożył (cfr. Krawutzcky l. c. pag. 603).

[2] S. Irenaei Opp. ed. Ad. Stieren I, 854; Hilgenfeld, Nov. Test. extra can. IV. ed. 2. 1884 p. 78; Krawutzky l. c. p. 587.

nawzajem między sobą się różniące, tak że pisma Asklepiadotesa wcale niepodobne do pism Teodota. Szkoła Teodota istniała zresztą dłuższy czas w Rzymie; natomiast młodszy Teodot (wekslarz) i Asklepiadotes założyli kościelną gminę, i ustanowili sobie niejakiegoś Natalisa na biskupa z pensyą 150 denarów miesięcznej płacy. Jeśli tedy nie ulega wątpliwości, że Teodot Garbarz pisał książki, a Pismo św. przekręcał, to niemożliwem nie jest, że i starożytną „naukę apostołów" przerobił w duchu sekciarskim, wszelako nie w ebionickim, tylko w montaistycznym, jakeśmy to już (str. 405) wzmiankowali. Montaniści bowiem wprowadzali nowe posty, i tutaj jest przepisany post, którego w Kościele nie było (VII, 4). U montanistów byli biskupi tak samo na trzeciem miejscu stawiani, jak to widzimy w Nauce. „*Apud eos episcopus tertius est*, powiada św. Hieronim, *habent enim primos de Pepuza Phrygiae patriarchas, secundos quos appelant Cenones: atque ita in tertium, id est pene ultimum locum episcopi devolvuntur*". (*Hieron.* Epp. 54. ad Marcellum. *Epiphan.* haeres. 28. Natalis Alex. ed. Roncaglia. Bingii 1786. p. 21).

Na drugą jeszcze okoliczność należy zwrócić uwagę, która uszła uwagi uczonych niemieckich, a mianowicie, że autor naszej Nauki jest chiliastą. W r. XVI. (w. 7—8) mówi, że „nastąpi zmartwychwstanie umarłych, nie wszystkich, lecz jako powiedziano: przyjdzie Pan i wszyscy święci z nim". Coś podobnego głosił św. Papiasz, ale głosili także Cerynt i Gnostycy. Mianowicie wedle ostatnich miał Chrystus Pan dopiero zmartwychwstać razem ze sprawiedliwymi, miało później nastąpić tysiącletnie królestwo zmysłowych roskoszy, a dopiero potem zmartwychwstanie ogólne i sąd ostateczny. (cfr. *Euseb.* h. e. III, 28). Jeślibyśmy więc w ogóle za Krawutzcky'm przyjęli autorstwo Teodota, to chyba trzebaby przypuścić, że Naukę przerabiał, będąc zwolennikiem Montanusa i że dla tego proroków też bardzo forytował. Ale i Montanus sam pisał książki, jak świadczy Euzebiusz.

Pisałem w grudniu 1884.

X. Dr. Chotkowski.

MIKOŁAJ TRĄBA

PIERWSZY PRYMAS POLSKI.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem król Władysław wziąwszy od cesarza Zygmunta, w ciągłych kłopotach pieniężnych będącego, w zastaw ziemię spiską za 40,000 złp. groszy, które mu Krzyżacy wypłacić mieli i oddawszy ją w zarząd Pawłowi Gładyszowi, przybył po odbyciu rozmaitych po kraju podróży w oktawę Bożego Ciała roku 1413 do Poznania, gdzie dokonał aktu szczególniejszego upokorzenia się za krzywdę ciężką, wyrządzoną biskupowi Piotrowi Wyszowi, którego był zmusił do przeniesienia się na poznańskie biskupstwo z krakowskiego, aby na tem mógł osiąść ulubieniec królewski natarczywy Wojciech Jastrzębiec. Poznał prędki i nierozważny monarcha po niewczasie, że sędziwemu biskupowi Piotrowi bez najmniejszego z jego strony powodu zatruł resztę żywota, i dlatego przybywszy do Poznania, najprzód udał się do niego, a upadłszy przed nim na kolana, wyznał z skruchą swą winę i ze łzami prosił go o przebaczenie. Do tego porywczego kroku nie byłoby zapewne przyszło pierwej, gdyby arcybiskup Trąba był natenczas w pobliżu króla. Jemu też niezawodnie przypisać należy pokorne biskupa Piotra przeproszenie [1]. W końcu września tegoż roku arcybiskup Mikołaj udał się w towarzystwie kilku prałatów i licznego dworu na sławny zjazd czyli sejm walny do Horodła nad Bugiem zwołany na d. 2 paźd., w którym oprócz króla Władysława i w. księcia Witołda brali udział wszyscy

---

[1] Długosz l. c. lib. XI, 336.

biskupi, oraz panowie polscy, ruscy, litewscy i żmudzcy, zebrani w ogromnej liczbie i z niewidzianym dotąd przepychem. Zjazd ten miał na celu zjednoczenie i pobratanie się Polaków z Litwinami i Żmudzinami, do czego przedewszystkiem posłużyć miało przypuszczenie wielkiej liczby znakomitych Litwinów i Żmudzinów przez najcelniejsze rodziny polskie do swoich herbów, godeł oraz powszechnych przywilejów szlachectwa, których tamże dotąd nie mieli i nie znali, a prócz tego nadanie tej nowo utworzonej szlachcie tych samych praw i swobód, które szlachcie koronnej przysługiwały. Arcybiskup Mikołaj nie pozostał za innymi panami polskimi, przyjąwszy z spólherbowymi swymi bojara litewskiego Ościka (Hostico) do klejnotu swego rodzinnego. Wystawiony w Horodle dnia 2 października roku 1413 dokument tego połączenia się trzech narodów, bez którego niewątpliwie ani Litwa ani Żmudź wśród zamieszek i burz następnych nie byłyby wytrzymały przy Polsce, podpisali oprócz arcybiskupa Mikołaja, Jan Rzeszowski nominat arcybiskup lwowski, Wojciech Jastrzębiec biskup krakowski, Jan Kropidło kujawski, Piotr Wysz poznański, Jakób Kurdwanowski płocki, Maciej przemyślski, Mikołaj kijowski, Grzegórz włodzimierski, Zbigniew elekt kamieniecki, tudzież cały szereg wojewodów, kasztelanów i szlachty [1]. Panowie litewscy w osobnym dokumencie złożyli oświadczenie przyjęcia udzielonych im zaszczytów i przywilejów [2]. Król Władysław zaś i w. książe Witołd wystawili trzeci dokument uzupełniający dzieło unii, zatwierdzeniem udzielonego Litwinom i Żmudzinom szlachectwa, odnowieniem wszystkich dawniejszych warunków zjednoczenia Litwy z Koroną z przydaniem niektórych nowych, jako to: uznania wszelkich fundacyj kościelnych, praw własności dziedzicznej, wolności związków rodzinnych i dziedzicznego uposażania córek i wdów, tudzież przepisem wyboru w. księcia litewskiego jedynie za zezwoleniem króla i narodu polskiego, niemniej wyboru króla polskiego przez połączone stany litewskie i polskie, ustanowieniem wspólnych sejmów w Lublinie lub Parczowie, lub też gdziekolwiek indziej, ile razy się tego pokaże potrzeba, zaprowadzeniem tych samych sądów w Litwie i Koronie [3].

---

[1] Długosz, l. c. lib. XI., 336—342. Rzyszczewski i Muczk., l. c. I., 286—289.

[2] Działyński, Zbiór praw litewskich, str. 20.

[3] Długosz, l. c. lib. XI., 337. Volum. leg., t. I. 66 sqq.

Z Horodła zjechał arcybiskup Mikołaj na uroczystość Przeniesienia św. Wojciecha (20 października) do Gniezna, ażeby wziąść udział w odbywającej się tamże naówczas kapitule jeneralnej.

Obrady kapitulne zamknięto dn. 28 października r. 1413, poczem arcybiskup prawdopodobnie podążył na Litwę do boku króla Władysława, który z sejmu horodelskiego udał się do Wilna, gdzie pozostał aż do zimy, gotując się do drugiej chwalebnej podróży apostolskiej na Żmudź, która dotychczas pogrążona w ciemnościach pogaństwa, opierała się jeszcze przyjęciu chrześcijaństwa.

Do rychlejszego jak się spodziewano powrotu króla z apostolskiej wyprawy żmudzkiej, spowodowały go wypadki świeżo zaszłe w zakonie krzyżackim, który sprzysiągłszy się na swego w. mistrza, Henryka Plauen [1], na dniu 14 października roku 1413 złożył go z urzędu, wybrawszy w miejsce jego marszałka swego, Michała Küchmeistra z Sternberga [2]. Już za czasów Plauena wrzały pomiędzy nim a królem Władysławem bezustanne zatargi i niesnaski z powodu niedotrzymania warunków pokoju toruńskiego, starć nadgranicznych i rabunków, których się Krzyżacy na kupcach poznańskich dopuścili i zajść t. p. Nowy mistrz lękając się, ażeby te rozdrażnienia nie wywołały wojny i do podobnej klęski jak pod Grunwaldem nie doprowadziły zakonu, chciał na drodze pokojowej załatwić spory i odwrócić tym sposobem grożące niebezpieczeństwo. W tej myśli wyjednał u króla Władysława przyzwolenie na zjazd pełnomocników krzyżackich z polskimi po Wielkiejnocy roku 1414 we wsi Grabowej pod Kaliszem [3], na którym według podania Długosza był król [4] a z nim niewątpliwie arcybiskup, jak się z dalszego toku żywota jego pokazuje. Na tym zjeździe nie przyszło jednakże do żadnego porozumienia, ponieważ pełnomocnicy królewscy domagali się zwrotu Pomorza, ziemi chełmińskiej i michałowskiej, tudzież Drezdenka i Szutoka, wynagrodzenia za rozboje, dokonane na kupcach poznańskich, zwrotu kosztów ostatniej wojny, wynagrodzenia wszelkich szkód i t. d., a gdy się pełnomocnicy krzyżaccy na te ciężkie

---

[1] Voigt, *Geschichte Preussens*, t. VII. 214—218.
[2] Tamże, VII. 226. cfr. Długosz, l. c. lib. XI. 346, 347.
[3] Voigt, l. c. t. VII., 233.
[4] *Histor. Polon.*, lib. XI., 347, 348.

warunki zgodzić nie chcieli, powołali się tamci na sąd polubowny cesarza Zygmunta [1]. Wielki mistrz spodziewając się, że z królem samym prędzej trafi do końca, aniżeli z jego radzcami, domagał się osobistego z nim zjazdu, który się odbył, według Długosza, w kujawskiem miasteczku Słońsku [2], a według źródeł krzyżackich na wyspie wiślanej pod Raciążem; lecz i tu do żadnej nie przyszło ugody, a obustronne rozdrażnienia zapowiadały złowrogo rychły wybuch wojny [3]. To też tak król Władysław, jako i w. mistrz, nie zasypiali sprawy, skrzętne czyniąc przygotowania na przypadek krwawego starcia. Królowi towarzyszył z Kalisza do Kujaw arcybiskup Trąba. Wracając z zjazdu przybyli obaj do Gniezna, gdzie się właśnie odbywała kapituła jeneralna, w której obradach na dniu 20 maja uczestniczył monarcha polski [4] zapewne w tym zamiarze, ażeby arcybiskupa i kapitułę nakłonić do rozpisania kontrybucyi od duchowieństwa, na zanoszącą się nieuchronną wojnę, jak to z późniejszego dekretu kapitulnego wnosić należy, w którym obmyślano środki do zapłacenia królowi pierwszej raty zapomogi [5]. W tym czasie niezawodnie doszedł rąk arcybiskupa Mikołaja list papieża Jana XXIII., wydany dnia 3 marca roku 1414, wzywający go, ażeby się z swymi sufraganami i prałatami stawił na sobór powszechny, zwołany do Konstancyi na dzień 1 listopada tegoż roku [6]. Arcybiskup, niezawodnie w skutek tego wezwania, naradzał się z kapitułą swoją względem zwołania synodu prowincyonalnego, dla porozumienia się z biskupami co do uczestniczenia w rzeczonym soborze i oznaczenia stanowiska, jakieby na nim duchowieństwu polskiemu wobec schizmy, rozerwania i zamięszania w Kościele powszechnym zająć należało, a także względem złożenia królowi dobrowolnej kontrybucyi na nową nieuchronną wojnę krzyżacką, której się od duchowieństwa usilnie domagał. Synod ten, o którym dotąd w dziejach Kościoła

---

[1] Voigt, l. c. t. VII., 233, 234.

[2] *Histor. Polon.*, lib XI. 347, 348.

[3] Voigt, l. c. t. VII. 235.

[4] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 46 b: „Capitulum infra Octavas Ascensionis Domini *in presencia Regis* die Lunae XX. mensis Maii... etc".

[5] Tamże, I. 48.

[6] Acta decr. Capit. I., 52. Theiner, *Monumenta Poloniae et Lithuaniae*, t. II., 6.

i narodu naszego nic zgoła nie wiedziano, odbył się w rzeczy samej w Uniejowie, jak dowodzą dwa wiarogodne dokumenta, w archiwum kapituły gnieźnieńskiej przechowane, które lubo pobieżnie, lecz wyraźnie o tymże synodzie wspominają. Pierwszy z nich stanowi list króla Władysława z dnia 29 września r. 1414, pisany do kapituły rzeczonej względem zaopatrzenia arcybiskupa Mikołaja, wyjeżdżającego na sobór konstancyjski, w potrzebne fundusze, gdzie król wyraźnie powiada, iż tenże arcybiskup w skutek postanowienia odprawionego świeżo w Uniejowie synodu, na sobór powszechny udać się musi[1]; drugi zaś jest uwierzytelnienie kapituły z dnia 24 października tegoż roku, udzielone arcybiskupowi, jako reprezentantowi duchowieństwa polskiego, na sobór wyprawionemu postanowieniem umyślnie na ten cel zwołanego synodu prowincyonalnego[2].

Tak więc Polska chcąc nie chcąc nową podjęła przeciw zakonowi wyprawę, spowodowana do niej stronniczym i niesprawiedliwym wyrokiem polubownym cesarza Zygmunta, złotem krzyżackiem przekupionego, który posłom polskim w Budzie po Wielkiejnocy r. 1414 w tej treści został ogłoszony: że król Władysław powinien dochować warunków pokoju toruńskiego z zakonem zawartego, a za omieszkanie wypłaty stu tysięcy kóp groszy szerokich pragskich przyjąć czterdzieści kóp takichże groszy, na których wypłatę Krzyżacy dawno przez Zygmunta zostali skazani[3]. Więcej atoli, aniżeli ten wyrok, zmusiła króla Władysława do pochwycenia za oręż zuchwała Krzyżaków prowokacya, którzy nietylko w krajach granicznych koronnych rozmaitych dopuszczali się gwałtów, ale z licznem wojskiem najechali ziemię dobrzyńską i zaczęli ją pustoszyć łupieztwami i pożogami, a gdy spłoszeni wieścią o nadchodzących wojskach polskich, cofnąć się musieli, wysyłali ludzi najętych do podpalania miast i wsi polskich, których wiele w perzynę obróconych zostało. Nie pozostawało zatem królowi nic innego, jak spieszne zgromadzenie sił wojennych dla poskromienia zuchwałości krzyżackiej. W przeciągu dwóch miesięcy stanęły liczne zastępy

[1] Acta decr. Capit. Gnesn. I., 52.
[2] Tamże, I. 53, 54.
[3] Długosz, l. c. lib. XI., 352—356.

wojska koronnego pod bronią, nadciągnęły posiłki większej części książąt śląskich, stanęły gotowe do boju nad granicami krzyżackiemi hufce litewskie pod dowództwem w. książęcia Witołda wraz z kilku tysiącami Tatarów, tudzież zastępy wojenne książąt mazowieckich, czekające na połączenie się z królem Władysławem. Atoli wyprawa ta zrazu pomyślna, potem sparaliżowana długiem bezskutecznem oblężeniem Brodnicy, odejściem Witołda ze swymi posiłkami do Litwy i chorobami w wojsku polskiem, zakończyła się zawieszeniem broni, do czego nakłaniał króla legat papieski, przysłany na prośby krzyżackie od Jana XXIII.; ten na kolanach o to króla błagał i zapewniał, iż jeżeli sprawę krzyżacką podda pod wyrok naznaczonego właśnie do Konstancyi soboru powszechnego, tenże pomyślnie ją dla Polski rozsądzi [1]. Na dniu 7 października zawarły obydwie strony wojujące układ rozejmowy [2], poczem król Władysław po dziewięciotygodniowej daremnej a kosztownej wyprawie, powrócił z wojskiem i arcybiskupem do kraju, ażeby się zająć wyprawieniem odpowiedniego do Konstancyi poselstwa, któreby nietylko godnie tam reprezentowało Polskę i Litwę i gorliwie zajmowało się dobrem powszechnego Kościoła, ale stawało dzielnie w obronie spraw narodu przeciw niemieckiemu zakonowi.

Znane są powszechnie powody zwołania soboru konstancyjskiego, dlatego pokrótce tylko o nie potrącimy. Od roku 1378, w którym zamknął oczy prawowity papież Grzegórz XI., wrzały w Kościele katolickim niezgoda, schizma i zamięszanie, niepokojące umysły wiernych, obawiających się słusznie z dłuższego ich trwania opłakanych dla społeczeństwa katolickiego następstw. Obawa ta zamieniła się w trwogę, gdy naraz trzech Papieżów wystąpiło na widownię, w skutek czego między narodami katolickimi powstał rozdział groźny, a w całym świecie katolickim zastraszający nieład i nierząd. Jana XXIII., dawniejszego Baltazara de Cossa, kardynała św. Eustachiusza, obranego w roku 1410, uznawały Włochy i inne zaalpejskie prowincye, tudzież Polska, Litwa i większa część Niemiec; Benedykta XIII., dawniej zwanego Piotrem de Luna, Hi-

[1] Długosz, l. c. lib. XI., 356, 367. Voigt, l. c. t. VII., 253, 254.
[2] Raczyński, Kodeks dypl. Litwy, str. 189, 191. Voigt, l. c. t. VII., 254.

szpania i Portugalia, a Grzegorza XII., przedtem Angelo de Carario, Neapol i Sycylia. Ażeby tak niebezpiecznemu rozerwaniu zapobiedz, domagano się zewsząd zwołania powszechnego soboru. Świeżo obrany cesarz Zygmunt, najwięcej sobie zjednał zasługi pod względem doprowadzenia do skutku tegoż soboru. Nietylko bowiem wyprawił posłów do wszystkich monarchów chrześcijańskich, ale sam podejmował dalekie i przykre podróże do Francyi, Hiszpanii, Anglii i Włoch, ażeby obudzić interes dla tak ważnej sprawy, i nie spoczął wprzód, dopóki Jana XXIII. nie zniewolił do zwołania upragnionego soboru i nie odebrał od niego uroczystego zaręczenia, że sam osobiście udział w nim brać będzie. Ponieważ zaś tegoż Papieża tylko część państw katolickich Europy za takiego uznawała, przeto cesarz ze swej strony zawiadomił już w październiku roku 1413 wszystkie dwory katolickie, że na dniu 1 listopada roku następnego sobór powszechny w mieście niemieckiem Konstancyi zagajony zostanie, który trzy wielkiej wagi miał załatwić sprawy: uprzątnienie z Kościoła schizmy, wytępienie herezyi, mianowicie husyckiej i powszechną reformę Kościoła [1].

Wspomnieliśmy już wyżej, że Jan XXIII. bullą z d. 3 marca roku 1414 wezwał arcybiskupa Mikołaja Trąbę i wszystkich biskupów polskich do udziału we wspomnianym soborze, że w skutek tego arcybiskup zwołał prawdopodobnie w początku miesiąca czerwca tegoż roku synod prowincyalny do Uniejowa, na którym zgromadzonym biskupom, delegowanym kapituł i opatom o rzeczonej bulli udzielił wiadomości. Wszyscy ku niemałej chlubie swojej zgodzili się na to, ażeby kościół polski był reprezentowany na soborze konstancyjskim i jednomyślnie wybrali arcybiskupa Mikołaja jako delegata i pełnomocnika tegoż kościoła. Król Władysław zaś, którego, jako prawego katolika, sprawa Kościoła powszechnego żywo obchodziła, wybrał z swej strony tegoż arcybiskupa jako pełnomocnika swego i narodu polskiego, a gdy przy zawarciu dwuletniego z Krzyżakami rozejmu pod Brodnicą, za pośrednictwem wyżej wspomnianego legata apostolskiego, stanęło na tem, że sprawa polsko-krzyżacka przedłożoną zostanie do rozstrzygnięcia i ostatecznego załatwienia

[1] Hermanus von der Hardt, *Magnum oecumenicum Constantiense Concilium* (Francofurti et Lipsiae 1697—1700), 6 tomów fol.

ojcom soboru powszechnego, tem więcej się nim zainteresował. Pragnąc zaś, aby poselstwo polskie godnie monarchę swego, kościół i naród polski reprezentowało, przydał arcybiskupowi do boku trzech biskupów, z których biskup kujawski, Jan Kropidło, jako członek panującej na Śląsku rodziny, miał przedstawiać wielkość narodu, biskupi zaś, płocki Jakób Kurdwanowski i elekt poznański Andrzej Laskary Gosławicki, obaj mężowie uczeni, mądrzy i roztropni, razem z metropolitą swoim mieli przedstawiać inteligencyę i powagę polskiego episkopatu, dodał im tudzież król dwóch panów świeckich, głośnych z swej roztropności i dyplomatycznej biegłości: Janusza z Tuliszkowa, kasztelana kaliskiego i Zawiszę Czarnego z Garbowa [1]. Czyli wspomniani trzej biskupi także na synodzie prowincyalnym uniejowskim posłami wybrani byli, dociec nie można. Akademia krakowska delegowała z swej strony do Konstancyi uczonego rektora swego, Pawła Brudzewskiego, syna Włodzimierza, mistrza dekretów i kustosza katedralnego krakowskiego z kilku towarzyszami [2].

Arcybiskup Mikołaj gotów do wszelkiej usługi dla dobra Kościoła i kraju swego, przyjął ten wybór podwójny, lubo w niemałym znalazł się kłopocie, ponieważ mu zbywało na odpowiednich funduszach do podjęcia z licznym dworem tak dalekiej podróży i opędzenia ogromnych kosztów kilkuletniego utrzymania siebie i ludzi swoich w Konstancyi. Wprawdzie król Władysław opatrzył posłów swoich bogatymi darami w złocie, srebrze, kosztownych szubach i koniach, ale to wszystko nie wystarczało na opędzenie potrzeb tylu dygnitarzy i ich licznego otoczenia przy wielkiej drożyźnie, która w miejscu zwołanego soboru panowała. Pozaciągał zatem znaczne sumy u rozmaitych panów polskich, przyjaciół i prałatów, nie pomijając nawet plebanów i klasztorów, a że i to mu nie wystarczyło, przybył w powrocie z wyprawy krzyżackiej do Gniezna d. 19 paźd. r. 1414, w celu uzyskania od kapituły swojej metropolitalnej konsensu na zastaw pewnej części dóbr arcybiskupich, przywiózłszy z sobą list króla Władysława pisany z obozu pod Brodnicą, wstawiający się za nim usilnie do tejże kapituły, aby mu w tak ważnej i gwałtownej potrzebie pomocy swej nie odmawiała [3]. Jakoż kapituła

[1] Długosz l. c. lib. XI., 358. Hardt l. c. IV., 1556.
[2] Ms. bibliot. Ossolińskich Nr. 166 f. 36, 37. Hardt l. c. t. IV., 20.
[3] Acta decr. Capit. Gnesn. I. 52.

mając na względzie dobro Kościoła, nietylko pozwolenia żądanego arcybiskupowi udzieliła [1], ale zaręczyła za niego u rozmaitych osób, pomiędzy innemi u w. księcia Witołda, za pożyczone znaczne sumy pieniężne, w niemałe się z tego powodu wprawiwszy kłopoty [2]. W ogóle czteroletni prawie pobyt w Konstancyi, wystawność prowadzona rozrzutnie, podróże z cesarzem Zygmuntem po Francyi i Hiszpanii, wspaniały bankiet paryski dla całej akademii, wtrąciły arcybiskupa Mikołaja w ogromne długi, z których się do śmierci wypłacić nie zdołał, i w takiem umarł ubóstwie, że go kapituła metropolitalna na swój koszt pochować była zniewoloną, jak to niżej zobaczymy. Z słusznej obawy, ażeby w przypadku zawczesnej śmierci arcybiskupa, lub niemożności spłacenia zaciągniętych długów, wierzyciele, a pomiędzy nimi głównie starostowie i zawiadowcy zamków arcybiskupich, takowych sobie na czas nieograniczony nie przywłaszczyli lub nie spustoszyli, kapituła rzeczona, nauczona dawniejszemi gorzkiemi w tej mierze doświadczeniami, kazała sobie przez tychże starostów i zawiadowców wystawić prawomocne rewersa i obligacye [3].

Uzyskawszy od kapituły konsens wspomniany i ustanowiwszy na czas nieobecności swojej administratorem archidyecezyi Mikołaja Strzeszkona, kanonika i oficyała gnieźnieńskiego [4], arcybiskup Mikołaj, zaopatrzony w pismo uwierzytelniające kapituły [5], pożegnał się z nią czule i opuścił Gniezno w końcu października roku 1414, ażeby do dalekiej podróży swej potrzebne poczynić przygotowania. W połowie listopada wybrawszy się nareszcie w drogę, zjechał się w Bieczu z królem, zdążającym do Niepołomic, gdzie czas niejaki zabawiwszy i odebrawszy szczegółowe zlecenia względem działania swego na soborze w sprawach kościoła i królestwa polskiego, w dalszą do Konstancyi puścił się podróż. Za nim pospieszyli niebawem inni biskupi i panowie do poselstwa należący, pożegnawszy króla w Niepołomicach [6]. Połączywszy się w drodze posłowie, jadąc przez Miśnię i Saksonię, od margrabiów miśnieńskich nader uprzejmego doznali

[1] Tamże, I., 49b.
[2] Tamże I., 85.
[3] Tamże, I., 52.
[4] Tamże I. 49b.
[5] Tamże, l. 53, 54.
[6] Długosz, l. c. lib. XI., 359.

przyjęcia. Długosz myli się utrzymując, że posłowie już dnia 27 listopada stanęli w Konstancyi, a w dzień św. Barbary (4 grudnia) wprowadzeni zostali na zgromadzenie soborowe[1], ponieważ Van der Hardt przytaczając z spółczesnych rękopisów daty przybycia na sobór wszystkich znaczniejszych osób, kładzie przybycie do Konstancyi posłów polskich pod dniem 9 i 10 stycznia r. 1415, a nazajutrz głosić każe Andrzejowi Laskaremu, biskupowi-elektowi poznańskiemu, wstępną mowę powitalną w imieniu monarchy swego do papieża Jana XXIII. i cesarza Zygmunta[2], z których ostatni dopiero w sam dzień Bożego Narodzenia roku 1414 do Konstancyi przybył[3].

Już dnia 5 listopada roku 1414 zagaił Jan XXIII.[4] sobór konstancyjski, na który cały świat chrześcijański natężoną zwrócił uwagę. Na dniu 16 tegoż miesiąca odprawiła się pierwsza publiczna sesya pod przewodnictwem tegoż Papieża[5]. Wszelkie poselstwa ukonstytuowały się w cztery grupy według głównych narodów europejskich: niemieckiego, francuskiego, włoskiego i angielskiego, do których później przybyła osobna grupa hiszpańska. Ponieważ posłowie polscy stosunkowo do innych szczupłą tworzyli liczbę, przeto przyłączeni zostali do grupy reprezentantów narodu niemieckiego, w której przez cały przeciąg soboru najwybitniejszą odgrywali rolę, pracując gorliwie i roztropnie z wszystkimi dobrze myślącymi ojcami nad pomyślnem przeprowadzeniem potrójnego chwalebnego zadania, które sobie sobór naznaczył: zniweczenie schizmy, wytępienie herezyi i reformę Kościoła. Pomiędzy nimi odznaczał się nader chlubnie nasz arcybiskup Mikołaj, nietylko wzorową zapobiegliwością i starannością o dobro Kościoła powszechnego, ale głęboką nauką, wielką powagą, mądrą radą i zadziwiającą roztropnością, tak dalece, że sobie w dziejach tegoż Kościoła głośne zjednał imię, powszechnym w świecie katolickim otoczył się szacunkiem, a narodowi i kościołowi polskiemu prawdziwą stał się chlubą. Obok niego jaśniał nauką, wymową, gorliwością i pilnością nominat-biskup poznański; wszyscy zaś inni po-

[1] Tamże, lib. XI., 359.
[2] *Magnum oecumen. Constantiense Concilium*, t. IV., 19.
[3] Hardt. l. c. t. IV, 19.
[4] V. d. Hardt, l. c. t. IV., 12.
[5] Tamże IV. 15.

słowie oprócz Jana Kropidła, biskupa kujawskiego, który za własnemi tylko gonił sprawami i nie wytrwał na miejscu do końca, odznaczali się poświęceniem prawdziwem dla sprawy Kościoła i swego narodu, chwalebną łącznością w działaniu, wzorową przyzwoitością, zdrowem na rzeczy zapatrywaniem się, tudzież gotowością do wszelkich posług i ofiar. To też ojcowie soboru w liście z dnia 17 kwietnia roku 1415 pisanym do króla Władysława Jagiełły, w którym mu donosili o przebiegu obrad, ucieczce Jana XXIII. i zapobiegliwości cesarza, wynurzyli mu pochwałę i wdzięczność, że nietylko sam troskliwie o pokój w Kościele Chrystusowym się stara, ale, że dla pokonania nieszczęsnej schizmy i zaprowadzania ładu w świecie chrześcijańskim w posłach swoich tak dzielnych i znakomitych na sobór powszechny wyprawił szermierzy [1]. Przedewszystkiem zaś jednała arcybiskupowi gnieźnieńskiemu serca książąt, prałatów i panów w Konstancyi zgromadzonych jego ludzkość, uprzejmość, gościnność i prawość w całem postępowaniu. Nie dziw przeto, że zewsząd starano się o jego względy, radę, przyjaźń i zażyłość, a w sprawach największej wagi chętnie polegano na jego zdaniu. To też w tego rodzaju sprawach, reprezentacya narodu niemieckiego, do której polskie wcielono poselstwo, zwykle jego obierała swoim prokuratorem, około niego się głównie grupowała i nieograniczonem zaufaniem go zaszczycała, jak się to niżej pokaże.

Poselstwo polskie podwójne miało na soborze konstancyjskim do spełnienia zadanie: pozyskanie Kościołowi powszechnemu gorąco upragnionego pokoju i obronę interesów polskich przeciw niecnym intrygom i podstępom krzyżackim. Zobaczmy najprzód, jak się z pierwszego wywiązało zadania.

Zaraz na wstępie toczących się obrad, większa część zgromadzonych w Konstancyi biskupów, z wyjątkiem włoskich, trzymających się Jana XXIII. zgodziła się chętnie na zdanie kardynała Fillastre, że do usunięcia z Kościoła schizmy, nieodzownem było dobrowolne ustąpienie wszystkich trzech Papieżów [2]. To zdanie podzielali i popierali otwarcie posłowie polscy, jak mowy wypowiedziane w styczniu roku 1415 przez nominata-biskupa poznańskiego

[1] Tamże, IV., 131.

[2] Tamże, II., 188—195 t. IV., 26 sqq.

wygłoszone do cesarza Zygmunta i Jana XXIII. niezbicie dowodzą [1], skoro zachęcają ostatniego, którego naród polski za Papieża uznawał, do złożenia w pokorze serca godności swej celem skojarzenia pokoju [2]. Daremne przeto były usilne zabiegi tegoż Papieża przy pomocy licznych stronników swoich, ażeby się na podstawie decyzyi, czyli wyroku soboru pizańskiego, który Grzegorza XII. i Benedykta XIII. złożył z godności papieskiej, a Aleksandra V. głową Kościoła wybrał, jako tegoż bezpośredni następca na Stolicy apostolskiej utrzymać, ponieważ mu tę jedyną podstawę z pod nóg usunięto, zgodziwszy się na wywód kardynała Piotra d'Ailly, że sobór konstancyjski nie potrzebuje się wiązać postanowieniami pizańskiemi dlatego, że sobór powszechny w faktycznym względzie mylić się może [3]. Wszelkie zaś widoki na poparcie ze strony licznego zastępu sprzyjających mu biskupów włoskich, upadły zupełnie w skutek postanowienia soboru, że nietylko biskupom, opatom i prałatom, ale prokuratorom czyli pełnomocnikom książąt i kapituł, doktorom teologii i prawa kościelnego przysługiwać miało prawo głosowania w postanowieniach soboru, i że głosy oddawać miano nie według liczby osób udział w nim mających, lecz według reprezentacyj narodów: niemieckiego, francuskiego, angielskiego i włoskiego, a następnie, po usunięciu sprawy Benedykta XIII., i hiszpańskiego [4]. Tym sposobem mnóstwo biskupów włoskich, na których większość przy głosowaniu Jan XXIII. mógł liczyć, jednym tylko poprzeć go mogło głosem. W tak krytycznem będąc położeniu, tenże Papież czynił usilne zabiegi, aby sobie pozyskać posłów innych narodów, rozmaite czyniąc tak im samym, jako i ich mocodawcom fawory i łaski. Wiedząc dobrze, jak wielkiego znaczenia i wpływu doznawało w Konstancyi poselstwo polskie, chciał je ująć sobie przez to, że króla Władysława zaszczycił godnością wikaryusza apostolskiego w ziemiach litewskich Nowogrodu i Pskowa [5], oraz ustąpił mu połowę dochodów z wakujących beneficyów polskich [6], lecz daremnie,

[1] Tamże, t. II, 170—183.
[2] Tamże, t. II, 179.
[3] Tamże, t. II, 188—195.
[4] V. d. Hardt. l. c. II, 227 sqq.
[5] Gołębiowski, Panowanie Wł. Jagielly, t. I., 438, uw. 748.
[6] Tamże, I., 727.

albowiem Trąba z towarzyszami swymi stał niezachwianie przy powziętem postanowieniu, że pokój w Kościele zawisł od ustąpienia wszystkich trzech Papieżów i oboru nowego. Ustąpienie Jana XXIII. tem nieodzowniejszem się okazało, gdy na początku roku 1415 nadesłano soborowi z Włoch oskarżenie, chociaż niewątpliwie przesadzone, zarzucające mu w siedmdziesięciu punktach nader obciążające występki i niegodziwości [1]. Mimo to ojcowie soboru bardzo względnie z nim się obchodzili, żądając jedynie dobrowolnego ustąpienia z pola, do czego się zrazu okazywał skłonnym; lecz wkrótce zmieniwszy swe zdanie i oporem postanowiwszy utrzymać się na swem stanowisku, w nocy z 20 na 21 marca roku 1415, przebrany za woźnicę, umknął z Konstancyi przez bramę szwajcarską i schronił się do Szafuzy, skąd napisał do cesarza, usprawiedliwiając ucieczkę swoją głównie zamiarem rozwiązania przez nią soboru, przywłaszczającego sobie prawa i atrybucye, które mu nie przysługiwały, a równocześnie wezwał kardynałów i biskupów, ażeby opuściwszy niezwłocznie Konstancyę, około niego się zgromadzili. Jakoż ośmiu kardynałów i arcybiskup z Rheims, usłuchawszy jego rozkazu, dnia 24 marca wynieśli się cichaczem z Konstancyi [2], czem oburzeni do żywego tem silniej się pomiędzy sobą skojarzyli ojcowie tamże pozostali, ku przeprowadzeniu powziętego zamiaru. Ażeby zaś Janowi XXIII. i antypapom jego odciąć drogę do dalszego oporu i uniemożebnić działalność na polu kościelnem, a tem samem rychło położyć koniec rozdwojeniu w Kościele, zgromadzeni ojcowie posunęli się do postawienia zasady, że sobór powszechny wyżej stoi od Papieża, i że bez tegoż ważne czynić może postanowienia i uchwały. Ta nowa koniecznością wywołana zasada stanowić miała, według wywodów uczonego Gersona, silną podstawę reformy Kościoła [3]. Na czwartej sesyi jeneralnej dnia 30 marca przyjęto następujące zasady: 1. sobór konstancyjski, w Duchu św. prawomocnie zebrany, tworzący synod powszechny, cały Kościół wojujący reprezentujący, ma władzę swoją bezpośrednio od Chrystusa, której każdy, nawet sam Papież, podlegać powinien w rzeczach dotyczących wiary,

[1] V. d. Hardt, l. c. t. I., 177 sqq. t. II., 252 sqq. 313—316, t. IV. 59 sqq.

[2] Tamże, IV., 67.

[3] Tamże, t. VI., 78 sqq.

wytępienia herezyi i reformy Kościoła w głowie i członkach jego; 2. papieżowi nie wolno bez zezwolenia soboru odwołać z Konstancyi kuryi rzymskiej, mianowicie tych urzędników, których nieobecność musiałaby za sobą pociągnąć rozwiązanie soboru, dlatego znoszą się wszelkie kary, któreby Papież na nieposłusznych swemu w tej mierze wezwaniu naznaczył; 3. że wszelkie rozporządzenia i postanowienia Papieża na niekorzyść soboru żadnego nie miały mieć znaczenia; 4. że tak Papieżowi Janowi XXIII., jako i wszystkim na sobór zgromadzonym wszelka przysługiwała wolność i t. d.[1] Że się posłowie polscy na te zasady zgodzili i w obradach nad niemi czynny brali udział, ztąd wnosić należy, że kiedy nareszcie na piątej sesyi dnia 6 kwietnia roku 1415 uroczyście ogłoszonemi być miały, nominatowi-biskupowi poznańskiemu przypadł obowiązek publikowania ich i stawiania odnośnych pytań, na które wszyscy przytomni potakująco odpowiadali.

Tymczasem Jan XXIII. nie czując się w Szafuzie bezpiecznym, udał się stamtąd do Fryburga a następnie do Breisach, oddawszy się pod opiekę przychylnego sobie Fryderyka, książęcia austryackiego[2]. Mimo tak stanowczego postawienia zasady, że sobór powszechny wyżej stoi nad Papieża, nie przystąpiono do odpowiedniego tejże zasadzie działania, lecz wyprawiono do zbiega poselstwo, ażeby go do powrotu i dobrowolnego zrzeczenia się godności papieskiej nakłonić[3]. Dopiero gdy te środki okazały się daremnymi, wydano na siódmej sesyi publicznej dnia 2 maja tegoż roku przeciw upartemu zapozwy (cytacye), ażeby się stawił przed swymi sędziami[4]. Pomiędzy prokuratorami, których sobór naznaczył Janowi XXIII., był także nominat-biskup poznański[5]. Jego także wybrano na sesyi dziewiątej d. 13 maja komisarzem do przyjmowania zeznań świadków w śledztwie przeciw temuż Papieżowi[6], a równocześnie naznaczono biskupa płockiego sędzią w sprawach apelacyi do soboru na-

[1] Tamże, t. IV., 98.
[2] Tamże, IV., 105.
[3] Tamże, IV., 113.
[4] Tamże, IV., 117 sqq. 139. 163.
[5] Tamże IV., 117, 143.
[6] Tamże, IV, 171.

desłanych[1]. Ponieważ książę austryacki Fryderyk za opiekę okazywaną Janowi XXIII. ściągnął na siebie surowe dekreta cesarza Zygmunta i pod zagrożeniem banicyi zmuszonym był porzucić sprawę protegowanego przez siebie Papieża i wydać go w ręce cesarza, tenże kazał pojmanego sprowadzić do Rudolphszell i trzymać pod strażą w tym zamiarze, aby ztamtąd mógł stanąć w Konstancyi, przed złożonym na niego sądem. Gdy tego w terminie naznaczonym nie uczynił, przystąpiono do zaocznego przeciw niemu postępowania, i na dziesiątej sesyi publicznej dnia 14 maja roku 1415 po przekonaniu się przez komisarzów soboru, do których należał nasz arcybiskup Mikołaj[2], że winowajca nie stawił się na przeznaczonem mu miejscu, ogłoszono uroczyście wyrok odsądzający go od wszelkich praw i czynności Papieżom przysługujących[3]. Przy ogłoszeniu wyroku przez Jana, patryarchę antyocheńskiego[4], znów arcybiskup Trąba w imieniu reprezentacyi narodów niemieckiego i polskiego uroczyste wyrzekł *placet*[5]. Następnie komisya soboru, do której należał nominat-biskup poznański[6], rozbierała i sprawdzała owo z Włoch nadesłane oskarżenie Jana XXIII. w siedmdziesięciu punktach[7]. Świadkowie potwierdzili pod przysięgą 54 punktów oskarżenia jako prawdziwe, poczem tenże nominat-biskup na sesyi jeneralnej w kościele katedralnym dnia 25 maja w obecności cesarza Zygmunta wypadek śledztwa ogłosił[8]. Resztę punktów lubo udowodnionych przez wzgląd na godność Stolicy apostolskiej i z innych ważnych powodów opuszczono[9].

Sobór postanowił wyprawić do nieszczęśliwego Papieża poselstwo, ażeby go o zapadłych dotychczas wyrokach i wypadku śledztwa zawiadomić, a przytem wezwać go, iżby stanąwszy w Konstancyi bronił się osobiście i był obecnym przy ostatecznej publikacyi tychże wyroków. Andrzej Laskary spełnił ten przykry obowiązek

[1] Tamże, IV., 172.
[2] Tamże, IV., 181.
[3] Tamże, IV., 183.
[4] Tamże, IV., 183.
[5] Harduin, *Collectio Concilior.* t. VIII., 341.
[6] V. d. Hardt, l. c. IV., 193.
[7] Tamże, IV. 196—203.
[8] Tamże, IV., 230—235. 237—248.
[9] Tamże, IV., 248—253.

dnia 26 maja jako przywódzca poselstwa, przed którem Jan XXIII. nie oświadczył wprawdzie gotowości przybycia do Konstancyi, ale natomiast wypowiedział poddanie się zupełne rozporządzeniom soboru, łudząc się nadzieją, że tenże w skutek tego upokorzenia się łagodnie sobie z nim postąpi. Termin do ostatecznego orzeczenia degradacyi odroczono za staraniem tegoż nominata-biskupa i delegatów innych narodów aż do 29 maja r. 1415, o czem Jana XXIII. przez osobną deputacyę zawiadomiono wobec przywołanych do tego aktu świadków, pomiędzy którymi byli dwaj kanonicy poznańscy: Jan i Paweł, syn Marcina, zapewne delegaci kapituły poznańskiej lub towarzysze wspomnianego nominata i elekta swego [1]. Nareszcie na sesyi jeneralnej dwunastej dnia 29 maja tegoż roku wyrzeczono uroczyście złożenie Jana XXIII. z godności papieskiej i pod surowemi karami zakazano wszelkich z nim jako głową Kościoła, którą na zawsze być przestał, stosunków [2]. Że posłowie polscy na ten wyrok najzupełniej się zgodzili, najmniejszej nie ulega wątpliwości. Nazajutrz dnia 30 maja wyprawiono do Jana XXIII. delegacyę złożoną z 5 kardynałów, która mu wyrok depozycyi zakomunikowała. Tenże widząc, że dalszy opór na nicby mu się nie przydał, owszem naraziłby go na wszelką surowość prawa niemieckiego, gdyby przez sobór za uporczywego heretyka został ogłoszony, poddał się bezwarunkowo wyrokowi i złożył przysięgę, że przeciw niemu nigdy w niczem nie wykroczy [3]. Oddany następnie pod straż książęciu Ludwikowi bawarskiemu i palatynowi Renu, trzymany był w więzieniu według jednych w Heidelbergu, według drugich w Mannheim, zkąd w roku 1419 uszedłszy, przybył na dwór Papieża Marcina V. do Florencyi, który go nader uprzejmie przyjął, zwłaszcza, że przed nim jako prawowitym namiestnikiem Chrystusa zgiąwszy kolano, uznał ponownie wszystkie na soborze konstancyjskim przeciw sobie zapadłe postanowienia. Zamianowany przez Marcina V kardy-

[1] V. d. Hardt l. c. IV., 272., Harduin l. c. VIII., 367 sqq. Że także gnieźnieńska kapituła miała na soborze konstancyjskim swoich reprezentantów wnosić należy z następującego dekretu: „Die XXI. Octobris 1415. Item domini constituerunt dominum Mirosconem, Nicolaum Broniscii, Benedictum et Jasthkonem et Johannem de Brzosthkowo, Canonicos Gneznenses absentes *ad repraesentandas personas in Concilio* praesente N. Gosczynsky".

[2] V. d. Hardt l. c. IV., 281.

[3] Tamże, IV., 286.

nałem i biskupem tuskulańskim, oraz dziekanem św. kolegium, umarł w grudniu tegoż roku w Florencyi [1].

Łatwiejszą miał sprawę sobór konstancyjski z Grzegorzem XII., który nie czekając podobnego z sobą, jak z Janem XXIII. postępowania, na sesyi jeneralnej czternastej, dnia 4 lipca r. 1415 przez prokuratora swego, Karola de Malatesta z Rimini, uroczyście zrzekł się godności papieskiej [2]. Ojcowie soboru nietylko z radości nad tym szlachetnym postępkiem, ale także dla zachęcenia Benedykta XIII. do podobnego kroku, rozporządzili, ażeby Angelo Corario zatrzymał godność kardynała biskupa i pierwsze po Papieżu zajmował miejsce. Ten dowiedziawszy się, że sobór rezygnacyę jego przyjął, zdjął z siebie w obec biskupów i kapłanów, którzy mu pozostali wierni, ubiór swój papieski i w liście do soboru wystosowanym, wynurzył głęboką ku niemu cześć i bezwarunkowe posłuszeństwo. W dwa lata potem umarł w Ricenati, licząc około 80 lat wieku [3].

W dwa dni po dobrowolnej rezygnacyi Grzegorza XII., na sesyi jeneralnej piętnastej z porządku, dnia 6 lipca sobór konstancyjski ogłosił uroczyście Jana Husa za heretyka, skazał go na degradacyę i oddał w ręce władzy świeckiej, celem stosownego do praw świeckich ukarania. Przybył on do Konstancyi w skutek zapozwu już na dniu 3 listopada roku 1414 za listem bezpieczeństwa, czyli raczej zwyczajnym paszportem, uzyskanym od cesarza Zygmunta [4], gdzie natychmiast w zgromadzeniach prywatnych począł szerzyć przewrotne nauki Wiklefa i własne nader niebezpieczne błędy i zasady, za co do więzienia wtrącony został [5]. Przez siedm miesięcy najuczeńsi teologowie soboru odbywali z nim dysputy, przekonując go o niedorzecznościach i błędach jego. Już był publicznie uznał sprzeczności swoje z nauką Kościoła, zkąd w całej Konstancyi powszechna powstała radość, lecz wkrótce potem wyparł się tego co poprzednio oświadczył i uporczywie trwał przy swych błędach i przewrotnościach. I w tej sprawie wybitne zajmowali stanowisko po-

---

[1] Theodoricus de Niem. *Vita Joannis XXIII.* w Meiboma *Scriptores rer. German.*, t. I. Muratori, *Rerum Italicar. scriptores*, t. III., 2. f. 846 sqq.

[2] V. d. Hardt l. c. IV., 366—375.

[3] Muratori l. c. III., 2 f. 841. 1118 sqq.

[4] V. d. Hardt l. c. IV. 11.

[5] Tamże, t. IV. 21, 22, 27, 32.

słowie polscy. Na sesyi jeneralnej piątej 6 kwietnia r. 1415 Andrzej Laskary przedłożył propozycye względem nauki Wiklefa i Husa, domagając się potępienia ich nauki [1]. Po wyczerpnięciu wszelkich środków łagodności i roztropności, kiedy Hus w uporze swoim stawał się coraz zaciętszym, sobór widział się zniewolonym ogłosić go za heretyka i oddać go w ręce władzy świeckiej. Z polecenia soboru nominat-biskup poznański zapytał ostatecznie zaślepionego nowatora, ażali gotów wyrzec się wszelkich błędów swoich ustnie i w pismach głoszonych i wszelkimi sposobami starał się doprowadzić go do opamiętania, lecz napróżno [2]. Na sesyi przeto jeneralnej piętnastej, przed której zagajeniem arcybiskup Mikołaj Trąba celebrował pontyfikalnie mszę św., [3] który zaszczyt dość często przy podobnych okolicznościach go spotykał [4], nastąpiło potępienie wszelkich błędów heretyka, jego degradacya przez osobnych komisarzów i natychmiastowe potem wydanie go w ręce władzy świeckiej [5], która go na mocy artykułu 351 kodeksu szwabskiego na publiczne skazała spalenie i tę karę straszliwą wkrótce potem na nim wykonała [6]. W niespełna rok potem, dnia 30 maja roku 1416, ten sam los spotkał towarzysza jego i współpracownika na polu nowatorstwa, Hieronima z Pragi [7]. Że posłowie polscy zgodnie z innymi członkami soboru herezyę Husa i Hieronima, będącą objawem najstraszliwszego obłąkania i szaleństwa, jakie nam dzieje Kościoła w tej mierze podają, potępili, najmniejszej nie ulega wątpliwości; lecz ani ich, ani innych członków soboru, a tem mniej Kościoła nie dotyczy zarzut barbarzyństwa tak namiętnie i zaciekle przez innowierców na nich miotany, ponieważ sobór wypełnił tylko świętą powinność swoją, a władza świecka postąpiła sobie z winowajcą według surowości praw ówczesnych. Na pochwałę owszem zasłużyli sobie zgromadzeni ojcowie, gdyż według podania naocznego świadka Ulryka Reichenthala, kanonika konstancyjskiego, oraz kronikarza husyckiego Jana

---

[1] Tamże, IV., 99, 100.
[2] Tamże, t. IV., 432.
[3] Tamże, IV., 389.
[4] Tamże, IV., 114, 1311, etc.
[5] Tamże, IV., 435—437.
[6] Cochlaeus, *Historia Hussitarum* (Augsb. 1549).
[7] V. d. Hardt, l. c. t. IV. 770, 772. II., 454.

Stumpffa, proszono za zatwardziałymi i najniebezpieczniejszymi heretykami, aby im życie darowano, a karę spalenia na dożywotne więzienie zamieniono [1].

Najwięcej trudności w usunięciu schizmy i wykonaniu tym sposobem pierwszego głównego zadania soboru konstancyjskiego sprawiał Piotr de Luna, antypapa pod imieniem Benedykta XIII., przebywający w obronnym zamku Penniscola w pobliżu Walencyi. Ażeby go nakłonić do zrzeczenia się swej nieprawnej godności, cesarz Zygmunt sam podjął się dalekiej podróży do Aragonii, a sobór przydał mu jako delegatów swoich i pełnomocników jednego arcybiskupa (z Tours), trzech biskupów i dziesięciu teologów i prawników, jak dowodzi ogłoszenie odnośnego postanowienia i wielu innych na sesyi jeneralnej XVI. dnia 11 lipca roku 1415 przez nominata-biskupa poznańskiego, Andrzeja Laskarego. Cesarz Zygmunt wyjednał sobie u soboru, że z nim razem wyprawiono na tę trudną misyę także naszego arcybiskupa Mikołaja, z tej przyczyny jak utrzymuje Długosz, iż tenże na soborze dla okazałości swego dworu, koni, naczyń złotych i srebrnych, oraz nadzwyczajnej swej szczodrobliwości świetnie się odznaczał, nie mając pomiędzy wszystkimi w Konstancyi zgromadzonymi kardynałami i biskupami sobie równego, tudzież Janusza z Tuliszkowa, kasztelana kaliskiego i Zawiszę Czarnego z Garbowa, co się jednakże stało za wiedzą i zezwoleniem króla Władysława Jagiełły [2]. Dnia 21 lipca roku 1415 po odprawionem uroczystem nabożeństwie wyjechał cesarz z delegatami soboru, towarzyszami polskimi i licznym dworem z Konstancyi [3], a dnia 4 sierpnia stanął na ziemi francuskiej [4].

Arcybiskup Trąba nietylko z gorliwości o najrychlejsze uśmierzenie schizmy w Kościele Chrystusowym, ale także z interesu politycznego kraju swego podjął się w porozumieniu z monarchą swoim towarzyszenia cesarzowi Zygmuntowi w tej kosztownej i mozolnej podróży. Dłuższa bowiem i wyłączna styczność z cesarzem nastręczała mu wyborną sposobność porozumienia się z nim w rzeczach

---

[1] Wetzer und Welte, Kirchenlexikon (I. wyd.) t. V., 411.
[2] Długosz l. c. lib. XI., 375.
[3] V. d. Hardt l. c. t. IV., 468—482.
[4] Tamże, IV., 490.

kościelnych, a przedewszystkiem załatwienia kilku spraw politycznych, pomiędzy któremi pierwsze miejsce zajmowała wisząca nad Polską wojna z Krzyżakami [1]. Jakoż ta styczność arcybiskupa z cesarzem spowodowała przedłużenie zawieszenia broni pomiędzy królem Władysławem a zakonem niemieckim skojarzone na lat dwa za pośrednictwem Karola VI., króla francuskiego [2]. Z Aragonii bowiem udał się cesarz z towarzyszami swymi do Paryża w celu pogodzenia tegoż króla z Henrykiem V. królem angielskim, zaciętą od dawna prowadzących z sobą wojnę. Przy tej sposobności przyszło do skutku owo przedłużenie rozejmu z Krzyżakami, do którego zawarcia arcybiskup widocznie przez monarchę swego był upoważniony, a który tenże następnie przyjął i potwierdził [3]. (C. d. n.)

X. Korytkowski.

[1] Długosz l. c. lib. XI. 375.
[2] Tamże, lib. XI., 375.
[3] Tamże, lib. XI., 375, 376.

GORDON I MAHDI.

Ostatnia kartka z dziejów Sudanu.

„Nie jestem zastraszony położeniem mojem. I Aza wołał do „Stwórcy w te słowa: Wiekuisty Boże, nie trudno Ci okazać pomoc „Twą słabemu, niemniej jak potężnemu w siłę. Pomóż nam Panie, „polegamy na Tobie, bośmy zbrojni w Imię Twoje, wyszli przeciw „rzeszom tym. Tyś Bóg wszechmocny, a cóż znaczy siła ludzka „naprzeciw Ciebie". Tak pisze generał Gordon w poufnym liście do przyjaciela nad Tamizą, w chwili, kiedy przebrany za Araba, w otoczeniu garstki towarzyszów, przedziera się do Chartumu przez hordy Mahdiego. Te słowa — jakich zresztą pełne są jego korespondencye — uwydatniają główną cechę tej nadzwyczajnej postaci, której dzieje, czyny i charakter pewnieby za legendę z rycerskich wieków uchodziły, gdyby obecne pokolenie nie było ich świadkiem.

Chociaż chwila, kiedy wieść o śmierci bohatera dopiero nas doszła, nie jest może właściwą do pisania jego biografii, do wydania o nim historycznego sądu, jest ona przecież odpowiednią do naszkicowania pod świeżym wrażeniem tych silnych rysów, od jakich wiek nasz odwykł, na tle sudańskiej puszczy, w przeciwstawieniu do groźnej postaci nowego proroka Islamu, Mahdiego [1].

[1] Do tego szkicu posłużyły następujące źródła:

1) Chinese Gordon by Archibald Forbes. 2) The life of Chinnese Gordon by Ch. H. Allen. 3) The ever victoriovs army by Dr. Andress Wilson. 4) Lord Bipon's Indian administration by Lien. col. H. S. Jarret (Month January 1885). 5) Reflections in Palestine by Ch. G. Gordon. 6) Lettres de Gordon à sa soeur écrites du Soudan précedées d'une étude biogr. et hist. par Philippe Daryl. Paris, 1884. 7) Journal of the Geographical society. London, 1876 (luźne artykuły Ch. G. Gordona). 8) Gordon pacha notes de voyage par Joseph Reinac (Revue polit. littér. 1884). 9) Gordon par Arsède Barine (Rev. polit. littér.

I.

Poniżej Chartumu, zielone wody Nilu rozdzielają się na dwa ramiona, na prawo Nil Niebieski (Bahr-el-Azrek), na lewo Nil Biały (Bahr-el-Abiad), za którym i my podążymy szukając wysepki zwanej Abba, którą tu przed wieki muł z wylewów Nilowych utworzył i powoli powiększył. W tej krainie słońca, na tej egipskiej ziemi, trawa wyżej głowy się puściła, wyrosło palm kilka, tamaryksy okoliły wieńcem, różnobarwne śpiewaki zamieszkały to miejsce gniazdka do gałązek lepiąc, a za nimi koczownicze pokolenia jedne po drugich zaludniły wysepkę.

W tem ustroniu, w ziemiance własnemi rękami wygrzebanej, przesiadywał Mohamed-Ahmed, Mahdim zwany. Twarz jego, jakby w mahoniu wyrzeźbioną, okalał turban biały, takaż suknia spływała po jego postaci kościstej, a ręce zżółkłe i wychudzone przesuwały na grubym sznurku nawleczoną koronkę z dziewięćdziesięciu paciorek, oznaczających liczbę tyluż atrybutów allegorycznych bóstwa. W modlitwie zatopiony, przepędzał Madhi dnie i noce całe, na ustach miał zawsze imię Boga, którego doskonałość wielbił. Obojętny na sprawy ziemskie odpowiadał słowami ksiąg świętych, z których czerpał skarbnicę litości nad nędzą ludzką, za ludzkie winy modłami swemi Boga chciał przebłagać. Wonne kadzidła wzlatywały ku niebu, a tłumy wiernych ze wszech stron nadciągały dla oddania czci temu nowemu prorokowi, składając u stóp jego mnogie, czasami bardzo cenne ofiary. Wzbogacony darami wiernych dzieci Islamu, połączył się Mahdi przez małżeństwo z wpływową w Sudanie rodziną Baggara, w rękach której spoczywał cały prawie handel niewolnikami nad Białym Nilem. Oni to czując, o ile przemysł ten był zagrożony prześladowaniem Chedywów podniecanych przez Anglią, powzięli

---

1884). 10) Les intérêts Français dans le Soudan Egyptien, par le Vte de Caix de Saint-Aymour. 11) Les intérêts Français dans le Soudan Ethiopien par le Vte de Caix de Saint-Aymour. (Rev. polit. littér. 1884). 12) Nouvelle Geographie universelle par Elisée Reclus. Tom X. (Soudan Egyptien, Ethiopien, Nubie, Egypte). 13) Handel ludźmi w Afryce, przez Franciszka Czernego (Niwa 1878). 14) Egipt i Mahdi w Sudanie, przez Franciszka Czernego, 1884. 15) Hanzal „Zur Geschichte des Aufstandes im Egyptischen Sudan". „Oesterreichische Monatschrift für den Orient" 1881—1883.

myśl wyzyskania fanatyzmu muzułmańskiego dla Mahdiego, jako spadkobiercy władzy derwiszów Ghelani, którzy od Abd-el-Kader-el-Ghelani ze stolicą w Bagdadzie byli nieprzerwaną czcią otoczeni przez wszystkich wyznawców Koranu.

Urodzony na wyspie Naft w prowincyi Dongoli, z ojca cieśli, Mohamed-Ahmed wychowany w ubóstwie, wstąpił w Chartum do żebrzącego zakonu przy grobie szeika Haghali; stamtąd dopiero przeszedł do Berberu a nakoniec do Aradup, gdzie przywiązany do osoby słynnego fakira Nur-el-Daima, z rąk jego przyjął nominacyę duchowną, przez którą został zwierzchnikiem całego Nilowego kraju. W tym to czasie, to jest z końcem lipca 1881 r. , po odbytem na wyspie „Abba“ zgromadzeniu Derwiszów, ogłosił się Mohamed-Ahmed przepowiedzianym w księgach proroka M a h d i m; w odezwie do wiernych dzieci Islamu, objawiał posłannictwo polecone sobie od Boga, w którem wszyscy wierni znajdą lekarstwo w każdej nędzy życia, i powołani zostaną do równości i podziału bogactw z wybranymi losu, do jednych praw i jednej wiary; przepowiedział przytem zagładę wszystkim tym, którzyby byli głuchymi na głos jego. . .

Zfanatyzowany proklamacyą odżył wojowniczy duch i ogarnął Arabów z okolic Abby, powstanie rozwijało się na dobre, gdy wreszcie jeden z wpływowych duchownych w Dongoli, imieniem Mohamed-Saleh, wezwany poprzednio na Abbę odezwą Mahdiego, zakomunikował wiadomość o nim Raufowi baszy, gubernatorowi Chartumu. Zaniepokojony Rauf basza, wysłał oddział wojska dla poskromienia buntu. Lecz czy siły były niedostateczne, czy też w sferach rządowych nie domyślano się pożaru, który ogarnąć miał „bezgraniczny czarnych kraj“ [1], w akcyi wojsk egipskich zaszła zwłoka, która pozwoliła siłom Mahdiego wzmocnić się w górach Takala i Dżebel-Gedir. Dopiero gdy jeden oddział, a następnie w lipcu 1882 r. drugi, złożony z sześciu tysięcy Egipcyan, otoczony dzikiemi hordami Mahdiego, do nogi wycięty został, Egipt zaczął się trwożyć o państwo. Niebawem zwycięzka tłuszcza Mahdiego przystąpiła do oblężenia stolicy Kordofanu El-Obeid, a zwiększające ją ciągle tłumy ze zbuntowanej prowincyi Bahr-el-Gazal pociągnęły w stronę Chartumu. Rząd egipski, już zaprzątnięty rokoszem Arabiego, nie mógł

[1] Beled-es-Sudan.

zwrócić całych sił swoich do Sudanu, a wysyłany tam żołnierz przybywał zdemoralizowany, bo źle płatny i po większej części jako muzułmanin, sprzyjający zielonej chorągwi proroka, około której gromadą cisnęły się zastępy Mahdiego. Pomimo to jednak wódz egipski Abd-el-Kader po kilkakroć poraził sfanatyzowaną armię Mahdiego, dając dowody wielkich zdolności militarnych. Duch też lepszy owiał chwilowo egipskie wojska; powstańcze kupy w kilku potyczkach poniosły klęskę, a Madhi ze stratą 20 tysięcy ludzi z pod El-Obeid ustąpił, jak się zdawało ostatecznie pokonany, przegrana bowiem jego przypadała w styczniu 1883, kiedy poddał się Arabi, co pozwalało rządowi egipskiemu wszystkie swe siły zwrócić przeciw Madhiemu. Tem powodzeniem ośmielony rząd egipski, zbiera w Chartumie sąd duchowny; ten ogłasza Mahdiego fałszywym prorokiem, podając dowód zaczerpnięty z ksiąg Mahometa, które wyraźnie mówią, że Mahdi powininien się ukazać od wschodu słońca a nie od zachodu, jak przybywał Mohamed-Ahmed. Napróżno jednak rozrzucono ten werdykt pomiędzy ludność sudańską, nie znalazł on wiary i nie osłabił uroku Mahdiego, którego blask jeszcze podniesionym został zdobyciem El-Obeid, przez dobrowolne poddanie się załogi. Dla odebrania El-Obeid wyruszył Hicks basza; ale korpus jego, otoczony w Kosghil przez siły Madhiego, zginął do szczętu; przez długi czas nie wiedziano o szczegółach katastrofy, z której, jak zdawało się, nikt nie ocalał. Korespondenci i rysownicy pism illustrowanych angielskich i niemieckich śmierć tam znaleźli wraz z wojskiem; ocalał tylko, niemal cudownie pułkownik Coetlogen, i ten podał wiadomość o strasznej tam rzezi.

Wieść o nowem zwycięstwie Mahdiego lotem błyskawicy przebiegła stepy sudańskie, budząc do walki Arabów; ich wahające się dotąd plemiona wschodniego Sudanu powstały jako jeden mąż, a przepowiednie mahometańskie, znamionujące rok 1301 egiry, jako odrodzenie potęgi Islamu zaznaczyły się krwawo. Gabinet londyński znużony wyprawą egipską, obarczony okupacyą Delty, nie łatwo ocknął się z odrętwienia. Głosy opinii ścierały się w najskrajniejszych zdaniach; według jednych rozległe stepy Sudanu były tylko ciężarem dla Egiptu; dowodzono cyframi, że utrzymanie 45 tysięcy żołnierza w tych oddalonych krajach wynosi 15 do 16 milionów, kiedy dochody dosięgają zaledwie dwunastu. Deficyt więc był nie-

unikniony. Powtarzały to wszystkie urzędowe dzienniki, głosił to i gabinet w obu Izbach. „Zresztą cóżby mogło zniewolić Anglię do tych poświęceń dla Chedywa? mówiły te pisma, co ją może obchodzić strata, tylko Egipt dotykająca?

Inne zaś organa z *Pall Mall Gazette* na czele, ubolewały nad tem, że te żyzne stepy sudańskie i wybrzeża nilowe przepadną na wieki dla cywilizowanego świata, a przecież świat ten mógłby się żywić z tego spichrza. Bawełna mogłaby na targach europejskich zastąpić amerykańską, a przemysłowa Europa handlem zamiennym za lada fraszki i świecidełka zdobywałaby wszystkie te bogactwa. Teraz zaś świat stary zagrożony upadkiem handlu, a z nim cywilizacyi, skoro barbarzyństwu poda rękę, tyle tępionemu i prześladowanemu przez Anglię handlowi niewolników, a Madhi, rozporządzając większemi siłami, jak się nam zdaje, poprowadzi Islam w przewroty wcale nieprzewidziane. Skorzysta z tego Francya, ta zawistna nam siostra w cywilizacyi i rękę wyciągnie po zwierzchnictwo nad Egiptem. Będzie to tylko dawno tłumiony odwet za zawiedzione i niedoszłe nadzieje, gdyż Francya swemi rękami otwierając kanał suezki, chwałę tylko odniosła z geniuszu Leseps'a, a zyski i korzyści najniespodziewaniej oddała Anglii. Długo wahający się Gladstone postanowił uczynić krok naprzód, wybrał półśrodek; nie chciał prowadzić wojny o Sudan, spróbował jednak, czy się nieda utrzymać go przy Egipcie, to jest przy Anglii z pomocą jednego człowieka i worków ze złotem. Ogłoszono urzędownie iż „chodzi tylko o wycofanie wojsk, o załogi jedynastu warowni rozrzuconych po sudańskim kraju, do których zaliczamy: Gondokoro, Fashoda nad Białym Nilem, Senar nad Nilem Niebieskim, Chartum, Berber i Dongolę".

Załogi wynosiły podobno 25,000 ludzi, do nich należało dodać 15,000 chrześcian i 30 tysięcy Egipcyan, których los tak ściśle z panowaniem egipskiem był związany, że niepodobna było ich opuścić, nie ratując im przynajmniej życia.

Człowiekiem, który miał działać w Sudanie był Gordon, z którym chcąc zapoznać czytelnika, *będziemy się starali zebrać i powiązać* notatki biograficzne, odnoszące się do tej zajmującej postaci.

II.

Karol Jerzy Gordon urodził się w Woolwich 1833 r.; i w 15 roku życia wstąpił z woli swego ojca, generał-lejtnanta wojsk angielskich, do akademii wojskowej. Nauki szły mu dość opornie, a objawiający się już nieugięty charakter zniechęcał ku niemu nauczycieli tak, że ci najczarniejszą przepowiadali mu przyszłość. Mówiono mu, że na oficera uzdolnionym nie jest, a porywczość zagrodzi mu ostatecznie wszelką drogę życia. Przedstawienia te nie trafiały do przekonań młodzieńca, pełnego zapału i siły woli, natury szorstkiej i gwałtownej, ale podniosłej i do wszelkich poświęceń zdolnej, bez chciwości i bez próżności, charakteru wykutego ze spiżu, a uszlachetnionego jeszcze gorącą wiarą, która wciąż myśl jego wznosiła w górę, a czyny jego zawsze ku idealnym kierowała celom.

Rok 1854 zaprowadził wojska angielskie na krymskie wybrzeża, gdzie spotykamy młodziutkiego podporucznika Gordona pod murami Sewastopola. Z listów jego, z tej epoki dochowanych, przebijają się już myśli religijne, które później, wyłącznie prawie, zajmują wielkiego wojownika. Jako chrześcianin, przejęty utratą dusz wśród strasznych obrazów wojny, pisze: „Nieprzygotowani stają przed sądem Boga, i kto wie, ile tysięcy dusz pada ofiarą śmierci wiecznej". Dostawszy kontuzyę w głowę, przy oblężeniu Sewastopola, wymieniony w rozkazie dziennym, Gordon postąpił na porucznika z oznaką legii honorowej (1855).

Po krymskiej kampanii oddał się Gordon pracom inżynierskim, od których powołany został do Chin, gdzie od lat dwunastu trwał rokosz Taï-Ping'ów. Sławny Hung niepokoił wciąż państwo Niebieskie i zbliżał się już do Shang-hai. Wtedy to mieszkańcy, kupcy i bogatsi obywatele miasta umyślili dla obrony swojej zaciągnąć wojsko najemne; dwóch Amerykanów dostawało po kolei dowództwo w tej armii, pierwszy z nich stracił życie, a drugi imieniem Burgevine słuszną wzbudził nieufność chwiejnemi zasadami i pomysłami najdziwaczniejszemi; on to proponował Gordonowi, aby połączywszy siły, przewrócić państwo Niebieskie i samemu się cesarzem chińskim ogłosić. Widząc niechęć Gordona ku sobie, po-

czął intrygą przeciw niemu działać, pogorszając tem położenie już i tak nader krytyczne. Wojsko bowiem było w rozprzężeniu bezprzykładnem, oficerowie, z Europejczyków zrekrutowani, umierali jeden po drugim na *delirium tremens*, a żołnierze Chińczycy odmawiali posłuszeństwa, dyskutując rozkazy zwierzchników wedle uprzedzeń swoich. Brak dyscypliny do takiego stopnia był posunięty, że w odpowiedzi na jakiś rozkaz Gordona, żołnierze grozili wyrznięciem wszystkich oficerów. Przytomność Gordona ocaliła wszystkich. „U mnie zdrajca powinien zginąć", powiedział, a wywlokłszy jednego żołnierza z szeregu, „ognia" zawołał. Padł strzał na komendę, żołnierz legł trupem, zrozumiało wojsko, że ma nad sobą wodza.

Takiem to zrazu niesfornem wojskiem zwalczył Gordon powstanie, zdobywając dlań miano „niezwyciężonej armii" (Ever victorious army). Rząd chiński nie mógł poskromić Taï-Ping'ów przez lat tyle, a Gordon odwagą i wytrwałością swoją dokonał tego w szesnastu miesiącach. Działalność zaś tę swoją w Chinach przedsiębrał jedynie w celach humanitarnych, a dowodem to, że ofiarowane sobie przez cesarza chińskiego tysiące funtów szterlingów rozdał pomiędzy żołnierzy, zachowując sobie jako pamiątkę tylko, wielki medal złoty, z napisem głoszącym zasługi, ofiarowany mu w dowód wdzięczności przez cesarzowę chińską. Ale i ten liść wawrzynu niedługo zdobił ubogi skarbiec Gordona. Powróciwszy do Anglii, trafił właśnie na głód wielki w całym Lancashire, nie mając zaś pieniędzy pod ręką, najstaranniej wytarł nadpis z medalu i posłał go bezimiennie komitetowi, zajmującemu się nędzą umierających z głodu wyrobników.

Ten rys charakteru Gordona nie potrzebuje komentarzy, bo cóżbyśmy więcej potrafili powiedzieć o człowieku, który dla miłosierdzia poświęca najdroższą naturze ludzkiej p a m i ą t k ę swojej sławy. On zaś sam przed wyjazdem z Chin pisał do matki swojej: „Nie gniewaj się moja matko, ale nie wiele awans mnie obchodzi, lub co tam ludzie powiedzą. Opuszczam zaś Chiny, nie wzbogaciwszy się wcale, chyba drogą mi myślą, że moim słabym współudziałem sto tysięcy ludzi ocaliłem od śmierci, a dla mnie to dostateczna nadgroda". Cesarz chiński mianował go jednak mandarynem 2 klasy z najwyższą wojskową rangą Ti-Fu, a osobnym dekretem polecił wręczyć mu żółty czaprak, pawie pióro do czapki i cztery mundury mandaryńskie.

Sześć lat następnych 1865—1871 przepędził Gordon na rodzinnej ziemi, poświęcając je robotom około fortyfikacyi brzegów Tamizy. W r. 1871 wysłany został do Galaczu, jako członek „komisyi dunajskiej". W podróży tej przejeżdżając przez Konstantynopol, poznał Nubara baszę, który namawiał go do objęcia po Samuelu Bakerze naczelnego zarządu w Sudanie południowym. Urok Wschodu i nieprzewidzianych wypadków pociągał Gordona; zgodził się więc na życzenie Nubara baszy pod warunkiem, aby sam załatwił kwestyę uwolnienia go ze służby brytańskiej. Nubar basza przystał i w lutym 1874 wyprawił się Gordon do Sudanu, błądząc wzrokiem po bezgranicznych stepach, w duszy zaś przejęty apostolskiem posłannictwem od Boga mu naznaczonem, jak to sam wspomina w liście z podróży[1]: „Zajmować się będę krajem ogromnym ale jakież to dla mnie błogosławieństwo, wierząc, że Bóg sam wszędzie rządzi, i że to Jego dzieło, a nie moje. Jeżeli mu nie podołam, to Jego w tem wola; jeżeli zaś zabiegi moje uwieńczone będą, to Jemu chwała. Bóg łaską swoją pozwolił mi nad wielkości tego świata przenosić moje zjednoczenie z Nim. Ja się w proch obrócę, a Jemu tylko chwała. Upadając pod ciężarem posłannictwa mego, pragnę, aby czas przyszedł, kiedy Bóg obierze innego robaczka dla dokonania zamysłów mądrości Swojej".

Dziełem, do którego Bóg powoływał Gordona, było zniesienie handlu niewolnikami, miał on też do tego oficyalną missyę, jako generał-gubernator równikowy; lecz aby zrozumieć, jak nieprzezwyciężone czekały go trudności, trzeba sięgnąć pamięcią w przeszłość. Wypadki dziejowe znosiły ją cegiełka po cegiełce i stworzyły dzisiejszą postać świata. Nie mało się przyczyniły do rozszerzenia handlu niewolnikami pojęcia panujące w Europie, gdyż na wiele lat przed odkryciem nowego świata, na targi Sewilii i Lizbony, spędzano gromadnie nieszczęśliwe dzieci Afryki[2],

[1] Listy Gordona pisane z Sudanu do siostry, wydane zostały w Londynie; przetłómaczone na język francuski i uzupełnione przedmową przez Daryl'a, wyszły w Paryżu. Czytelnik znajdzie w nich wierny opis dalekich tych krajów i stosunków miejscowych. Dla zbytecznej drobiazgowości opowiadania giną szczegóły ważniejsze, piękne chrześcijańskie myśli i trafne spostrzeżenia, z któremi spotykamy się w tej książce.

[2] W czasach nie tak jeszcze odległych, handel niewolnikami nie był uważany jako przeciwny cywilizacyi. Wielki Napoleon, wówczas jeszcze, gdy

a obławy, urządzane przez b i a ł y c h, były tak okrutne, że w języku murzyńskim Europejczycy uchodzą za synonim antropofagów. Działo się to jeszcze na większą skalę po odkryciu Ameryki, kiedy nowo zawojowane wybrzeża potrzebowały koniecznie niewolnika, aby osiedlający się tam Hiszpan i Portugalczyk mógł wyzyskiwać plony nowo odkrytego świata. Tłumami więc wywożono Negrów do Nowego świata, gdzie dziś jeszcze żyją ich potomkowie. Na Wschodzie zaś posiadanie niewolników było zwyczajem uświęconem wiekami, a nadużycia właściwie dopuszczali się tylko handlarze, zakupując całe gromady niewolników, aby co prędzej pognać je do portu Suakim, skąd rozsyłano ich na Wschód cały. Negr dziś jeszcze tak jest przyzwyczajony do niewoli, że niejednokrotnie widziano udarowanego wolnością, dobrowolnie obierającego sobie pana. „Kwestya niewolników, czytamy w jednym liście Gordona, jest bardzo zawiłą i najeżoną trudnościami. Nie macie pojęcia, z jakiemi przeciwnościami walczyć muszę. Dla przykładu opowiem wam, że odbici niewolnicy w Gallabats, nie chcą korzystać z wolności, mówiąc, że lepiej teraz są karmieni jak dawniej a więc zadowoleni z nowych panów. Męczy mnie myśl, co poczną z czterma tysiącami niewolników, których weźniemy w Kaka [1]. Sam przecie wziąść ich nie mogę, musiałbym więc ich oddać żołnierzom lub kupcom; tak zostawieni staną się własnością pierwszego lepszego, bo niewolnik, to jak zbłąkana owieczka, należy do tego, kto go znajdzie".

Przypatrzywszy się bliżej krajowi i wniknąwszy w jego potrzeby, przyszedł Gordon do przekonania, że to, co ludzkość dla Sudanu nakazuje zrobić, nie może być czynem jednego dnia. Wzruszał go do łez widok tych tłumów, gnanych batem arabskiego przemysłowca, który słabszego, zawadzającego w podróży, nie wahał się strzałem na drodze położyć, robiąc ze szkieletu jego drogoskazy, jakiemi gęsto są usiane karawanowe trakty. Nędza straszna tego żyznego kraju niejednokrotnie budzi współczucie w sercu naszego

był generałem Bonaparte i wodzem francuskiej ekspedycyi egipskiej, chcąc zawiązać stosunki z sułtanem Darfuru, prosił go o przysłanie mu w zamian za rozmaite towary „dwa tysiące czarnych niewolników, wyżej lat szesnastu, zdrowych i silnych". (D'Escayrac de Lauture *Le désert et le Soudan*).

[1] Miasteczko czyli *hellet*, nad wyższym Nilem w kraju Szilluków, niegdyś pierwszorzędny targ niewolnikami.

Gordona. Rozdaje on dhurra [1] pomiędzy wynędzniałych wyrostków i dzieci, które wcale nieżywione, wyglądają jak poczwarki i wywołują w listach Gordona wyrazy czułej litości. „Co do mnie, pisze on, myślę tylko, czem bym im samym mógł ulżyć, a nie co Europa osądzi za najwłaściwsze; niewolnik bowiem cierpi, a nie Europa".

To lekceważenie opinii obudziło w Anglii głosy przeciw Gordonowi. Towarzystwo londyńskie Anti-slavery society krytykowało jego postępowanie, zarzucając niekonsekwentność; a nie zadając sobie pracy wniknięcia w trudne nieraz położenie, nie dozwalające wykonania pierwotnego planu, pomawiało go o chwiejność przekonań. Na to im Gordon z Dara pisze. „Dałbym wiele, aby tu mieć z sobą kogokolwiek z członków Anti-slavery society. Licha warowienka, załoga tchórzliwa, z której każdy człowiek drży od strachu; to moja pomoc; przeciw sobie zaś mam zastępy wielkie, do wojny nawykłe i w strzelaniu bardzo wprawne". I zaiste niezwykłej roztropności potrzebował wielkorządca sudański, aby nie oburzając ostatecznie przeciw sobie arabskiej ludności, ciągle i wszędzie tropić ów nieszczęsny handel, któremu nieustannie kładł tamy, prześladując handlarzy na każdym kroku. Nieraz widziano go wpadającego bez eskorty żadnej do arabskiego obozowiska, kryjącego w taborze prowadzonych do Suakim gromadą całą niewolników. Tłumy rozstępowały się przypatrując się znanej wszystkim postaci, a bardziej może jeszcze ulegając tej sile moralnej, którą uszanować musi nawet barbarzyniec.

Gordon też uwalnia Negrów i dyktuje swoje warunki, jakby stał na czele stutysięcznej armii, a całe tłumy czarnych Sziluków wyciągają do niego ręce jak do świętego. Zamiłowanie, z jakiem Gordon pracował na stepach sudańskich, zamącone zostało smutnym stanem wojska, którym dowodził. Nie zrażał go klimat, nie zrażali handlarze niewolników, ani mustyki [2] nawet, ale armia, której ofice-

[1] Dhurra, rodzaj prosa, które obficie rodzi się na równinach sudańskich i stanowi główne pożywienie Sziluków i innych czarnych plemion.

[2] Wzdłuż wybrzeży nilowych spotykają się całe roje małych brzęczących owadów, przypominających Europejczykowi włoskie mustyki i muszrony. Stanowią one prawdziwą plagę Egiptu i Sudanu, a najstraszniejsze pomiędzy niemi muchy, zwane tse-tse, znane są dokuczliwością swoją tuziemcom i wielbłądom, po których strugi krwi spływają od ich ukąszenia.

rowie i żołnierze nie byli lepsi od całej machiny urzędowej. „Chciałbym, mówił, aby wszyscy razem mogli mieć tylko jedną głowę, aby się ktokolwiek znalazł, ktoby im ją strącił". Pomimo to wielki ten wódz tak wyćwiczył to wojsko niesforne, że przy końcu trudno już było karawanom uchronić się od żołnierzy Gordona, którego argusowe oko wyśledzić zawsze umiało drogi, schronienia i koczowiska kupców ukrywających tę ludzką kontrabandę.

Z początkiem roku 1880 rząd Wielkiej Brytanii odwołał Gordona, w historyi zaś Sudanu zdawała się świtać przyszłość jaśniejsza dzięki pięcioletniej pracy jego; handel niewolników był rozbity, i jak zdawało się upadał na zawsze. Gordon wyjeżdżał jednak ze ściśnionem sercem, jakby przewidując, że dzieło to, przez krótki czas tylko duchem jeszcze jego owiane żyć będzie, a potem niedołężnemi rękami prowadzone, rozpryśnie się i zmarnieją prace tak drogie jego sercu. „Nie będę spokojny, pisał w owym czasie, dopóki coś zrobionem nie będzie dla utrwalenia moich trudów sudańskich". Chwiejna polityka Lorda Beaconsfielda, w której widział same błędy, napełniała go oburzeniem i zniechęceniem; ulegając temu uczuciu chciał usunąć się z areny politycznej. Nie długo jednak pozostawał wiernym temu postanowieniu. Już bowiem w maju 1881 roku popłynął do Indyi mianowany radcą tajnym i sekretarzem lorda Ripona, wicekróla Indyi, świeżo do wiary katolickiej nawróconego. Zaraz po przybyciu do Bombay pisze Gordon. „Nigdy nie spotkałem człowieka, z którymbym tyle sympatyzował w podjętej przez niego pracy. Bóg błogosławi Anglii i Indyom dając im lorda Ripon'a jako wicekróla. On dokona wszystkiego pomimo przeciwności, bo Bóg z nim, a cóż się ostać może przeciw woli Jego? Wierzę, że rządy lorda Ripon'a błogosławione będą, bo on panować będzie mocą Boga a nie ludzką". Po sześciu miesiącach jednak pobytu w Indych opuścił Gordon stanowisko swoje, na którem sfera działalności dla wielkiego wojownika była za ciasną. On żołnierz z krwi i kości, wódz biegły, przed którym tysiące drżały, miał obejmować drobiazgowy, podrzędny urząd. Przyjrzawszy się położeniu, uznał się nie zdolnym do tego, a wrodzona mu sumienność popchnęła go do wystąpienia otwarcie, nie troszcząc się o sądy ludzkie, które w kroku tak niespodziewanym i stanowczym upatrywały excentryczność, a dla wytłumaczenia jej najdzi-

wacznіejsze wynajdywała powody. Protestanckie dzienniki, wierne dziś jeszcze historycznym tradycyom Elżbiety, przypisywały opuszczenie stanowiska przez Gordona katolickiej nietolerancyi lorda Ripon'a, który wymagać miał od swojego sekretarza, aby się żegnał po katolicku, modlił, a nawet świece gasił po mszy porannej; już samo odpieranie podobnych niedorzeczności ubliżałoby takiemu mężowi, jak lord Ripon.

Z Indyi udał się Gordon do Chin, dokąd wzywał go dawny znajomy, a natenczas pierwszy minister Li-Hung-Chang, prosząc go o wdanie się pomiędzy Rosyę i Chiny, poróżnione w sprawie Khasgaru. Pamiętne dawnych zasług Chiny, przyjmowały Gordona z wielkiemi honorami, przyjmując też i rady co do polityki pokojowej, którą im zalecał. Z początkiem 1882 roku był już Gordon w Brukselli, zaprosił go tam król belgijski chcąc mu powierzyć wyprawę do Kongo. Wnet potem widzimy go na wyspie św. Maurycego, gdzie pracuje w służbie angielskiej w wydziale inżynieryi, a potem na Przylądku załatwia sprawę Busutoland. Po krótkiej bytności w Europie udał się Gordon do Palestyny z początkiem 1883 r., poświęcając swój czas badaniom topograficznym do projektowanego kanału w dolinie Jordanu, i poznawaniu miejsc świętych, które zwiedzał, pielgrzymując do grobu Zbawiciela i badając pamiątki starej Jerozolimy [1].

Pracom tym poświęcił Gordon dziesięć miesięcy i dopiero 7 stycznia 1884 r. stanął w Southampton na ojczystej ziemi właśnie w chwili, kiedy wszystkie umysły zajęte były kwestyą sudańską, postawioną na porządku dziennym przez gabinet londyński. Zapytywany, długo się wzbraniał wyjawić zdania w kwestyi, która dotykała go tak blisko, a w której tyle nadziei i sił młodzieńczych

[1] Podczas pobożnej tej wędrówki napisał Gordon książkę pod tytułem: *Reflections in Palestine.* Część pierwsza zawiera topograficzne opisanie miejsc świętych, druga zaś jest jakby filozoficzno-religijne *credo* autora, w którym nie brak myśli wzniosłych, ale tak w mistycyzm spowitych, że nie raz trudno je zrozumieć.

Przebiegając zaś historyę świata i rodzaju ludzkiego, widzi autor Rozmyślań w Palestynie na każdym kroku podobieństwa (analogy), zaczynając od początku światu, gdzie Bóg po oddzieleniu wód stworzył człowieka, który wyszedłszy z wody upadł, i w wodzie dopiero przez Chrzest święty na nowo odrodził się dla wiecznego życia i t. d.

zagrzebał. Przynaglony więc, zaczął mówić, a dzienniki zaraz umieściły skwapliwie każde jego słowo, nie przesądzając wrażenia, jakie wywrą na Anglię, dla której Gordon, owiany aureolą zwycięztw, był jakby drugim Mahdim ucywilizowanego świata. Posłuchajmyż tych słów, które tyle w losach tej wyprawy zaważyły.

„Wyrzec się Sudanu, mówił Gordon, byłoby szaleństwem, bo daleko więcej będzie kosztować utrzymanie się w Delcie, kiedy Mahdi będzie panem Sudanu, jak teraz zatrzymanie Sudanu. Gdyby już przyszło opuścić Darfur i Kordofan, to jeszcze całych sił należy przyłożyć, aby zatrzymać prowincye na wschód białego Nilu położone i na północ Senaru. Nie myślę, aby Mahdi groził terytoryum egipskiemu, ale wpływ silnego muzułmańskiego państwa pogranicznego będzie zgubnym dla ludów, któremi rządzimy. To niebezpieczeństwo nietylko dotknie Egiptu, gdyż zwycięstwa Mahdiego wzburzają już umysły w Arabii i Syryi. Mówicie o fortyfikacyi Ouadi-Halfa, co tyle znaczy, co przegroda dla zarażonej owczarni. Dla bezpieczeństwa Egiptu ewakuacya Sudanu nie ma żadnej racyi bytu... Lecz z innego znowu punktu przypatrzmy się położeniu, mówił dalej Gordon. Mamy sześć tysięcy ludzi w Chartumie, cóż więc z nimi zrobić? a załogi w Darfurze, w Bahr-el Ghazal i Gondokoro? Czemże zasłużyły one sobie na to, abyśmy je opuścić mieli? Chyba wiernością? Mówicie o cofnięciu się do Wadi-Halfa zapominając, że Wadi-Halfa od Chartumu oddalone o 350 mil a Gondokoro o 700, i że nie tak łatwo przeprowadzić przez pustynię sześć tysięcy żołnierza, nie mówiąc już o Europejczykach tam zamieszkałych z żonami i dziećmi.

„A skądże weźmiecie wielbłądów? Chybaby je Mahdi dostarczył; a to pewna, że w przeprawie tej biedny ten lud utraci wszystko, gdyby mu nawet życie zdołano uratować. Mojem zdaniem ewakuacya niemożebna. Musimy bronić Chartumu, lub zdać się na łaskę i niełaskę Mahdiego. Wątpię, aby siły powstańcze długo się trzymać mogły, rozsypią się same; jeżeli zaś w chwili paniki będzie zdecydowane opuszczenie Sudanu wschodniego, będzie to cios straszny dla Egiptu a kto wie czy tem samem nie będzie dla pokoju świata... Pytacie, co robić? Najprzód więc mówię, nie spieszyć się i nie działać nagle. Załogi mogą się trzymać do dalszych rozkazów. Żywności nie zabraknie im. Tymczasem za-

wistne pokolenia podkopią obóz Mahdiego. Nie podsuwajmy Nuborowi baszy polityki zwątpienia, niech naznaczy dla Sudanu generalnego gubernatora, obznajomionego z krajem, Bakera baszę na przykład. Niech mu odda pełną władzę i ze trzy miliony funtów szterlingów a on niech puści się biegiem wód Nilowych... a na dziś zrobione będzie wszystko. Pierwszą zaś czynnością powinno być wystosowanie odezwy objawiającej, że prawa Sudanu strzeżone będą, że żadnemu Turkowi, ani Czerkiesowi nie wolno będzie napełniać tam worów swoich kosztem tuziemców, a nadto że mowy być nie może o natychmiastowem uwolnieniu Negrów. Co w tym kierunku ma być zrobionem, musi postępować stopniowo. Trzebaby zaprowadzić trybunały pośrednie, inspektorów nad porządkiem publicznym, starać się o wykorzenienie nadużyć. Jestem najmocniej przekonany, że mniej kosztować będzie utrzymanie się w Sudanie, jak ewakucya. Potrzeba bowiem ze dwa miliony funt. szterl., aby załogi wyprowadzić z kraju, a może i więcej, jeżeli to się nie da od razu szczęśliwie uskutecznić. Sudan zaś dobrze rządzony może nie kosztować ani grosza; takie bogate prowincye powinny dwa razy tyle płacić. Jeżeli ten kraj zawsze ciężył Egiptowi i w końcu zerwał się do buntu, zawdzięczać to trzeba sposobowi, w jaki się z nim obchodzono. Mojem zdaniem Mahdi nie tyle jest wyrazem religijnego fanatyzmu, co rozpaczy. Ci biedni Sudańczycy, to najlepszy lud na świecie, a każdy ucywilizowany człowiek winien im współczucie. Co do mnie, żal mi ich serdecznie, myśląc, że pod nowe wpadną jarzmo, gdyż warci lepszego losu, a nie tak trudno im go zabezpieczyć. Możnaby spróbować układów z Mahdim, którym kieruje Zeber, dawny handlarz niewolników z El-Obeid. W każdym razie po co ogłaszać ewakuacyę, gdyby się nawet okazała nieuniknioną, gdyż w chwili w której się o niej dowiedzą, wszyscy się ku Mahdiemu zwrócą, i ona stanie się niemożebną".

We wszystkich sferach społeczeństwa angielskiego komentowano słowa Gordona, który natenczas był już w Belgii, skąd wezwanym został ministeryalną depeszą. Przebieg narady w ministeryum wojny, gdzie czekali na Gordona Lord Granville, minister spraw zagranicznych, Lord Hartington, minister wojny, Lord Northbrook, marynarki i Sir Ch. Dilke, prezydent *Local government Board*, pozostał tajemnicą, oficyalne zaś dzienniki uwiadomiły, że

generał Gordon, proszony przez członków gabinetu, zgodził się na wyjazd do Chartumu, dla zaprowadzenia tam rządu krajowego i niesienia pomocy załogom egipskim, a zgodził się jako jenerał wojsk królowej, której służyć poczytuje sobie za zaszczyt, czegoby się nigdy nie podjął dla rządu egipskiego lub Chedywa. Nadto, cośmy tu przytoczyli, ciekawość publiczna nic się dowiedzieć nie mogła, o przyszłej pacyfikacyi Sudanu; bliższym tylko przyjaciołom mówił Gordon, że jedzie „odciąć psu ogon“, rozumiejąc zapewne przez to zerwanie ostatnich więzów Egiptu z Sudanem. Z drogi już, z pokładu *Tanjore*, przesłał Gordon Granvill'owi następującą notę: „Ministrowie królowej, o ile zrozumiałem, przyszli do przekonania, że niemożebne im jest zapewnienie sprawiedliwych egipskich rządów dla Sudanu. Wiedzeni więc logiczną konsekwentnością, zdecydowali, aby wolność tym krajom przywróconą była, nie cierpiąc nadal, aby rząd egipski do tych spraw się mięszał. Ministrowie więc królowej posyłają mnie, abym ułożył się o ewakuacyę i ułatwił opuszczenie tego kraju urzędnikom i żołnierzom. Mojem zdaniem najsłuszniej oddać owe kraiki wszystkie małym sułtanom, co je niegdyś posiadali, nie zważając na Mahdiego, którego supremacyi zapewne nie zechcą się poddać, woląc swobodę. Ci *mali sułtani* i *Mahdi staną naprzeciw siebie*, i *ja* nie będę zmuszony oddawać Mahdiemu arsenały i prowizye, które wolę oddać sułtanom. Najtrudniejszą rzeczą do zdecydowania, komu oddać Kassalę, Chartum i Dongolę, bo te miasta wyrosły po zaborze Mehmed-Alego, — możeby co do tych miast odroczyć ostateczne postanowienie, dopóki ludność nie objawi swego zdania“.

III.

Od Assuanu rozpoczynają się Nilowe katarakty, owe starożytne bramy Egiptu, słusznie swoją nazwę noszące, gdyż po za niemi zaczyna się kraj zupełnie odrębny, do którego też i cywilizacyi dotrzeć trudniej. Przy Korosko druga katarakta, a od niej poczyna się karawanowa droga. Oko podróżnego błądzi po pustyni nubijskiej, piasczystej i wielkiej, na której jak zmarszczki na pogodnem czole zarysowują się nie wysokie ale dziwnych kształtów skaliste góry. Piętrzą się one po obu stronach drogi, która przed

wieki musiała być łożyskiem rzeki. Ręka ludzka napisy tu i jakby kształty jakieś wyryła na nich, a wieki niestrudzoną pracą swoją i temu zagładę przyniosły... Gdzieniegdzie cysterna w szczelinie, dalej znowu szczerba w szeregu tych głazów, a przez nią podróżny widzi oddalający się brzeg Nilu, który jak szmaragd zieleni się roślinnością czarodziejską. Po tej drodze spieszy podróżny, nieumęczony biegiem lekkiego dromadera, którym kieruje umiejętnie. Uwinięty w płaszcz arabski, ze wschodnią mową na ustach, zdaćby się mógł do tuziemca podobny, gdyby nie wzrok jego, w którym maluje się lwia odwaga i jakaś tęsknota za lepszym światem, z którym obcuje bezpośrednio. Podróżny pakunek jego zawiera geograficznych kart kilka i biblię, z której czerpie prawdę i szuka wskazówek przyszłości.

Niestrudzony podróżą przebywa pustynię bez tchu prawie, a zmieniający się krajobraz wita natłokiem wspomnień. Step rozściela się bezbrzeżny, kołyszą się na nim trawy jednogatunkowe wysokie, gęste, do zbóż naszych podobne, tam znowu palm, daktyli kilka, i dalej ku Nilowi szmaragdowy kobierzec, po którym pelikan sekretarz, i bocian *Clergyman* przechadzają się poważnie...

I znowu puszczając wodze wspomnieniom, widzi niby dzwonki, dachy lepianek Szilluków rozrzucone na stepie jak grzybów gromadka a z nich wyglądają wylękłe przed gwałtami handlarzy drżące postacie czarnych dzieci Sudanu.

Ale oto handlowe Berber, ruina po dzisiejszej wojnie, a potem Meroë przedstawia się oku podróżnika, a z nim kolumnady dawnej stolicy Etiopów piramidy i piramidki, które w tłoku piętrzą się jedna przed drugą, jakby mówić chciały o przeszłości, ale demotyczne etiopskie głoski, pisane niewprawną ręką, nigdy jej zapewne nie odsłonią. Dalej zaś rozdział dwóch Nilów trąbą słoniową zwany a powyżej starożytna chrześciańska Aloa, której ruiny wyniosłe, dziś jeszcze lud miejscowy *kemissa* czyli *kilissa* zowie, mianem odznaczającem chrześciańską świątynię we wszystkich narzeczach tureckich. Niedawno odkryto nieopodal krypty chrześcijańskie, należące do Aloy, która była w głębi nubijskiego kraju najdalej wysuniętym posterunkiem chrześciańskim. Obok tych ruin wznosi się nowe Chartum, urosłe już po zaborze Sudanu przez Mehmed-Alego. W klinie pomiędzy Nilami miejsce to obronne, w ostatnich czasach od po-

ludniowej strony obwarowane. Miasto zaś samo wśród palm i ogrodów nędznie z gliny uklecone, a po nad te lepianki, wznosi się gmachów kilka, jak pałac rządowy, arsenał, szpital, meczety i dom misyi katolickiej. Do tego Chartumu dojeżdżał nasz beduin, w którym łatwo poznajemy Gordona. Urzędowe depesze zawiadomiły o przybyciu jego od strony portu Suakimu, gdzie miał wylądować. Dlaczego projekt został zmieniony, pozostało tajemnicą; podziwienia zaś tylko godną jest odwaga Gordona, który prawie bez eskorty przebył w dni dziesięć stepy nubijskie i wjeżdżał do Chartumu 18 lutego 1884, wśród upojenia i zapału ludności. Tłumy cisnęły się, całując nogi jego, nazywając go ojcem, sułtanem i zbawcą Kordofanu.

Gordon zajechał wprost do pałacu rządowego, gdzie pozwolił przystąpić do siebie wszystkim, którzyby doń jakiekolwiek zanieść chcieli prośby lub skargi. Publicznie spalić kazał księgi, w których wypisane były długi ciążące na ludności. Po południu zebrano radę, z samych prawie Arabów złożoną, i wypuszczono więźniów, których moc była wielka, gdyż w skutek opieszałych rządów egipskich przepełnione były więźniami podziemia. Zbrodniarze i niewinnie pomówieni o zbrodnie, zapomnieni przez lata całe, napróżno oczekiwali wymiaru sprawiedliwości.

Przed przybyciem Gordona do Chartumu, ogłoszoną została odezwa jego do ludu, której treść, kiedy doszła do Londynu, oburzyła członków *Anti-slavery Society*, a wpływ tego towarzystwa zaważył silnie na opinii publicznej.

Patrząc zdaleka, ustępstwa w niej wygłoszone zdawały się błędami, które nie wahano się krytykować, całą odpowiedzialność zwalając na Gordona, chociaż on istotnie wolę tylko gabinetu wypełniał. Odezwa zaś brzmiała, jak następuje:

„Do mieszkańców. — Zostałem mianowany generał-gubernatorem Sudanu przez wysokiego Chedywa i przez potężną Brytanię. Sudan od tej chwili jest niepodległy, i sam swoje sprawy będzie załatwiać, bez żadnego współudziału rządu egipskiego. Ogłaszam więc Wam amnestyę i powracam Wam przywileje, któremi Was obdarzył Said-basza. Oznajmiam też Wam, że wysoki sułtan chciał tu przysłać swoich zwycięzkich żołnierzy, ale królowa dowiedziawszy się o Waszej niedoli i o mojem współczuciu dla Was, pomimo nie-

bezpieczeństw przysłała mnie, prosząc Boga ludzkości całej, aby mi dozwolił przeszkodzić wojnie pomiędzy Muzułmanami. Wasz spokój jest naszym jedynym celem; wiedząc zaś, jak przygnębieni jesteście firmanem, zabraniającym handlu niewolnikami, dziś objawiam, że każdy będzie mógł wziąć sobie sługę wedle upodobania i rządzić się wedle przekonań swoich. — Na co wydałem rozkazy. — Moja życzliwość z Wami. (Podpisano) *Gordon Basza*".

Dnia 26 lutego wystosował Gordon proklamacyę do powstańców, którą także tu zamieszczamy: „Od przybycia mojego wszystkie usiłowania moje rozwinąłem, aby powstrzymać rozlew krwi. Nie słuchacie głosu, zmuszony więc jestem zawezwać posiłków angielskich. One już są w drodze i niebawem przybędą. Wszyscy ci, którzy nie powrócą na drogę obowiązków, srogo karani będą. O wszystkiem wiem, co się dzieje, i Wam to objawiam".

Już dnia 29 lutego pułkownik Steward przywiózł wieści, że Mahdi nakazał zawieszenie kroków nieprzyjacielskich przeciw Gordonowi. Zdawało się więc, że wszystko jest na najlepszej drodze, i że ewakuacya będzie łatwą. Gordon jednak nie wierzył snać temu, skoro coraz to nowe plany akcyi wojennej przekładał gabinetowi londyńskiemu. Miał on zamiar sam jechać do Mahdiego, ale mu to Sir Evelyn Baring odradził; następnie zaś proponował zamianowanie jenerał-gubernatorem Sudanu, Zebera, dawnego handlarza niewolników, a od lat dziesięciu osadzonego w Kairze, pod nadzorem rządowym. „Gdybym odjechał, pisze Gordon, nie zostawiwszy gubernatora na moje miejsce w Chartumie, byłby to sygnał ostatecznej anarchii. Nie myślę, by mu dawano żołnierza, czy pieniędzy, gdyż moralne tylko poparcie wystarczy i to pod pewnymi warunkami. Zeber popularniejszy od Mahdiego w Sudanie, przekonany jestem, że wpływ jego, rokosz przytłumi".... Dnia 8 marca daje znowu Gordon wiadomość o sobie. „Pościągałem już do Chartumu kobiety i dzieci. Sennar jeszcze spokojny, w Kassali możnaby się jeszcze trzymać, cóż kiedy blokowani jesteśmy. Agenci Mahdiego czynni bardzo. Na Nilu niebieskim oddział powstańczy tysiąc ludzi mi trzyma, z któremi skomunikować się nie mogę, dopóki nie podniosą się wody. Jeżeli nie przyszlecie mi Zebera, nic nie zrobię".

Gabinet londyński sprzeciwiał się stanowczo tej nominacyi. „Gordon może zostać dłużej w Sudanie, nad czas pierwotnie zakre-

ślony", pisze Lord Hardington, a 13 marca lord Granville osobną notą to stwierdza. Tak więc Gordon urzędownie upoważniony został do odroczenia ewakuacyi wojsk, dla uskutecznienia której ciągle domaga się posiłków. Dnia 2 więc marca telegrafuje: „200 ludzi w Wadi-Halfa wystarczyłoby do stłumienia powstania, gdybym tylko mógł powiedzieć, że poparty jestem orężem angielskim". Dnia 9 zaś marca rozpaczliwe położenie nową dyktuje Gordonowi depeszę. „Jeżeli wymagają odemnie ewakuacyi Chartumu, a nie dają mi posiłków, wyszlę wojsko do Berberu, gdzie dalszych rozkazów czekać będzie, ja zaś prosić będę rząd królowej o dymisyę i cofnę się ze statkami, przez prowincye Bahr-el-Gharal, oddając się pod opiekę pawilonu belgijskiego".

Dnia 10 marca raz jeszcze prosi Gordon o posiłki „gdyż niebawem zamknięci będziemy", ale na to otrzymuje od lorda Granville'a odpowiedź: „Rząd królowej nie ma zgoła zamiaru wysyłania wojsk do Berberu". Sir Evelyn Baring w tym czasie donosi gabinetowi londyńskiemu: „Wątpię, czy potrafimy wyciągnąć z Chartumu jenerała Gordona i pułkownika Stewarda, wziąwszy szczególniej tę okoliczność na uwagę, że oni dobrowolnie załogi nie opuszczą".

Gordon tymczasem dniem i nocą fortyfikuje się w Chartumie, o położeniu zaś swojem pisze: „Prowizye dotąd starczą nam jeszcze, a później wielkie wody nowe nam przyniosą, ale działać nie możemy zgoła, bo cóż począć przeciw tak przeważającej liczbie". Jednocześnie proponuje Mahdiemu układy, przez dni dziesięć dyskutowano odpowiedź w radzie proroka a przywieziona Gordonowi zawierała radę przyjęcia muzułmanizmu a w upominku starą derwiszową suknię. „Na długie lata, pisze potem Gordon, może skazany jestem na przechadzanie się po Chartumie w sandałkach i derwiszowej sukni, bo to pewne, że nie opuszczę tych biednych ludzi, którym zabrałem zboża i pieniądze; coby było najczarniejszą podłością. Pomijając wasze dyplomatyczne poglądy, wierzę, że sumiennie podzielacie przekonania moje". Czy je podzielano, rzecz inna, dosyć, że do Kairu nadeszła depesza Lorda Granville'a: „Donieście Gordonowi natychmiast, niech nie rachuje na posiłki tureckie a tem mniej na angielskie: łączę dla niego wyrazy szacunku i wdzięczności, na które odwaga jego i bezinteresowność zasługuje". Od tej pory rzadkie już tylko i podejrzanej autentyczności mieliśmy wia-

domości o Gordonie. Z francuskich źródeł rozchodziły się sporadycznie wieści o jego śmierci; angielskie pisma im zaprzeczały, ale pewnych wiadomości udzielić nie mogły; w akcyi zaś dyplomatycznej gabinetu londyńskiego przezierała zimna polityka Brytanii, na której szali mało zdawała się ważyć utrata takiego męża jak Gordon. Nareszcie po długich zwłokach i targach, w listopadzie wypływają posiłki angielskie do Korti; zwycięzca z pod El-Kebir, sędziwy Wolselay obejmuje dowództwo wyprawy. Cała Anglia przyklaskuje tej stanowczej akcyi i z drżeniem wyczekuje wieści o losie Gordona. Na granicy Sudanu staje przed generałem goniec z kartką na pół cala: z jednej strony pieczęć Gordona, z drugiej słowa „All right. Gordon". Więc Gordon żyje! Chartum nie upadło! Wojsko Wolselaya posuwa się w głąb kraju wśród nieobliczonych trudów i niebezpieczeństw. W bitwie pod Gubat nad brzegami Nilu, kiedy garstka Anglików znajduje się w największem niebezpieczeństwie zagłady, zjawiają się kanonierki od Gordona wysłane i przechylają szalę zwycięstwa. Gordon wyratował tych, co na jego wyratowanie przychodzą. Już kominikacya z Chartum otwarta, zwycięstwo zapewnione. 1-go lutego „Internacyonalne Towarzystwo pokoju" żąda od Gladstona, żeby kazał Wolselayowi zawrzeć pokój, skoro już cel wyprawy osiągnięty. Ale tego dnia już Chartum nie było w mocy Gordona. 6-go lutego przyszedł raport urzędowy generała Wolselaya: „Nieprzyjaciel zajął Chartum 26 stycznia. O losach Gordona nie wiadomo". Przez chwilę jeszcze cieszono się nadzieją, że Gordon jest w niewoli. Ale 9 b. m. telegram biura Reutera donosi z Korti „Gordon zamordowany". Zdradą podobno jakiegoś Faragha baszy, bramy miasta otworzyły się nieprzyjacielowi; gdy ten tłumnie cisnął się do miasta, Gordon słysząc hałas, wypadł z warownego swego mieszkania, by zobaczyć co się dzieje — i w tej chwili przebity został sztyletem zdrajcy.

Gordon poległ; ale cel jego humanitarnego poświęcenia — bo tak pojmował swą missyę — wcześniej później zostanie osiągnięty. Krwi jeszcze niemało w Sudanie się przeleje, ale chrześcijańska cywilizacya już nad nim niezawodnie zapanuje.

M. S.

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

(Ciąg dalszy).

Monizm materyalistyczny — ogólne zbicie jego zasad o niestworzonej materyi, o ruchu, o przypadkowem powstaniu świata i jego celowości. — Uwagi o teoryach kołowania i rozwoju.

Po monizmie panteistycznym zastanowimy się nad równie niebezpiecznym i od większej części uczonych wyznawanym monizmem materyalistycznym. Materyalizm nie podnosi wprawdzie świata do godności Bóstwa, jak panteizm, ale prócz materyi nie przypuszcza nic na świecie, dla niego są tylko dwie osie, około których wszystko się obraca: siła i materya. Bożyszczu Hartmanna oddaje hołd tylko szczupła garstka oświeconych, darwinistowski materyalizm Haeckla wyznają całe masy nieokrzesanych ludzi. Materyalizm więc sięga dalej, od badaczów natury rozciąga się aż do ludzi z najniższej warstwy społeczeństwa.

Jakie stanowisko ten system zajmuje w obec kościoła, o tem poucza nas najcelniejszy jego przedstawiciel Ernest Haeckel. „W obec tej olbrzymiej walki kulturnej przeciw najniemoralniejszym i najszkodliwszym uroszczeniom kościoła, z którym nam wolno wystąpić do boju, nie możemy lepszego mieć sprzymierzeńca nad antropogonię (Darwinistowską przez Haeckla rozwiniętą). Prawo rozwoju istot jest armatą Kruppa, największe znaczenie mającą w walce

o wyświecenie prawdy. Całe szeregi dualistycznych[1] wywodów padają ugodzone kulami tej monistycznej artyleryi, by nie powstać więcej, i dumny kolos hierarchii rzymskiej, potężna twierdza nieomylnej dogmatyki, rozsypuje się przed nami w gruzy. Całe biblioteki mądrości kościelnej, przepełnione dziełami urojonej filozofii, rozwiewają się jak mara, gdy staniemy w obec nich z oświecającem słońcem prawa rozwoju“ [2].

Czy przytoczone tu słowa są wyrazem prawdy, albo czczymi frazesami maskującymi próżnię nauki, nad tem się nieco zastanowimy. Oceńmy najprzód ogólne zarysy systemu i dowody, na których opierają się.

Według systemu Haeckla nie ma nic na świecie, prócz materyi i ruchu. Jest to tylko mechaniczny ruch materyi, kiedy cokolwiek powstaje, albo ginie w przyrodzie. Wszelkie zjawiska w świecie nieorganicznym lub organicznym, aż do objawów wolnej woli w człowieku, dają się ostatecznie wytłumaczyć wyczerpująco przez ruch mechaniczny atomów. Więc świat jest jedynie mechanizmem; żadne prawo nim nie rządzi, niczyja myśl jemu przeznaczenia nie daje. Po nad tym mechanizmem i po za nim nic nie istnieje. Wprawdzie Haeckel nie chciałby zerwać zupełnie z nazwą duszy, i dla tego tak często mówi o jakiejś duszy atomowej i molekularnej, ale ta dusza odgrywa u niego rolę zbiornika sił, (aufgespeicherte Bewegungskraft). Myśl, wola, to tylko skutki sił, wprawiających w ruch materyę.

Nie mniej doraźnie rozwiązują oni kwestyę etyczną. Monistyczna moralność opiera się jedynie na socyalnych instynktach zwierzęcych, które znowu niczem innem nie są, jak ruchem materyi. Ten ruch z jednej strony występuje w roli assocyacyi i podziału mechanicznej pracy, z drugiej strony objawia się przez uczucie obowiązku. Takie są zasadnicze pojęcia tego systemu. Jakież na to mają dowody? Wszędzie wprawdzie opowiadają nam o jakichś rezultatach sumiennych badań, uzasadniających ich system, ale napróżno ich szukamy. Niema nigdzie takiego braku dowodów, jak w materyalistycznej

[1] Dualizm, słowo techniczne u nowszych filozofów, oznacza przypuszczenie podwójnego pierwiastku; po nad widomym światem niewidomego Boga, w materyalnem ciele niemateryalnej duszy.

[2] Haeckel. Anthropogonie.

nauce. Twierdzić bez podstawy, to jej treść; zamiast dowodów, pięknie brzmiące słowa, to wszystko.

Gdyby system ten rościł sobie jakiekolwiek prawa do gruntownej wiedzy, wtedy starałby się przedewszystkiem na dwa pytania nam odpowiedzieć: skąd materya, i skąd ruch się wziął. W ten tylko sposób możnaby się pozbyć groźnego widma Boga, jako Stwórcy i pierwszego motora. Przedstawiciele tego systemu wymijają powyższe pytania i rozwodzą się nad tem tylko, jak się świat przez ruch ustawiczny rozwija i kształci. Niektórzy tylko, mniej ostrożni filozofowie tego rodzaju występują z zdaniem, że świat ten był zawsze bez początku, a zatem, że w swym rozwoju nie potrzebuje się oglądać na żadną przyczynę sprawczą po za nim będącą. Gdzież jest na to dowód? Jeszcze żaden z uczonych go nie szukał. Unoszą się tylko nad postępem oświaty i to ich zasłania od wymagań udowodnienia tego, co twierdzą. Rozsądny jednak człowiek nie dbając o ich frazeologię, stawia jasne pytanie: skąd materya? skąd w niej ruch? Odpowiedź wprawdzie podają: jest to rzeczą doświadczenia, że drzewo, źwierzę, krótko mówiąc, rzecz każda przy swem tworzeniu się czerpie materyę już gotową, przy swym zaś rozkładzie oddaje ją napowrót czy to ziemi, czy powietrzu, lub innym tworom tak, że materya nigdy nie powstaje i nigdy nie ginie. Tak musiało być zawsze. Byłoby więc przeciw doświadczeniu twierdzić, że materya powstała z niczego i w nic się obraca. To samo da się zastosować i do ruchu. Doświadczenie uczy, że każdy ruch jest skutkiem poprzedzającego ruchu. Stąd wynika, że materya od wieków w ruchu być musi[1]. Z dziwnem rozumowaniem występuje tu materyalistyczna nauka.

Że teraz żadna cząsteczka materyi nie powstaje i żadna nie ginie, dlatego materya nie ma mieć zupełnie nigdy początku, nigdy nie mieć końca, ma być wieczna, ma być niestworzona! Takie wywody azali nie są zgubnym skutkiem zapomnienia zasad starej filozofii? Materya, gdyby była czemś niestworzonem, byłaby przez to samo czemś zupełnie doskonałem, tak, że bez ubytku, bez zmiany żadnej ze swoich sił i doskonałości, miałaby w sobie samej byt trwały, niezmienny, wieczny. Stara nauka tak o materyi trzyma nieporusze-

[1] Christian Winer: Grundzüge der Weltordnung.

nie, a nietylko głosi tę zasadę, ale także dowodzi jej niezbicie. Bo każdy widzi, że materya niestworzona miałaby we własnej istocie konieczny powód bytu. A nic nie może mieć we własnej istocie koniecznego bytu, co nie ma za swoją istotę szczerego bytu; bo tylko istota, co w sobie jest szczerym i zupełnym bytem, z wnętrznej konieczności istnieje. Więc niestworzona materya byłaby z istoty swojej bytem zupełnym, szczerym, nie mogącym istnieć albo nie istnieć, istniejącym koniecznie. Ale co z własnej istoty jest szczerym i zupełnym bytem, to nie jest tym albo owym bytem, to ogarnia wszystko, co należy do rzeczywistego bytu; więc ma wszelką doskonałość, wszelką piękność. Więc niestworzona materya byłaby z wnętrznej konieczności nieskończenie doskonała[1].

Dalej: co ma wszelką doskonałość z wnętrznej konieczności, to ma w sobie koniecznie pewny i niezmienny sposób bytu, ma z wnętrznej konieczności stałą postać i stałą siłę; bo bytu bez właściwej postaci i siły pojąć nie można. Co zaś z własnej konieczności ma niezbędnie stałą postać bytu, to w żaden sposób nie może podlegać choćby najmniejszej zmianie. Więc materya niestworzona, materya bez żadnej niedoskonałości, byłaby niezmienna. Że zaś materya daleka od bezwzględnej doskonałości, to aż nazbyt wywodzą tłumy pessymistów; że materya daleka od niezmiennego stanu, to dowodzą sami materyaliści, kiedy badają przyrodę w jej bezustannych przemianach. Więc materya jest stworzona.

Skądże znów pochodzi ruch ciał? Czy sama sobie materya ruch kiedyś nadała, czy była w nim zawsze? Bo od kogo innego nie mogłaby dostać ruchu, skoroby oprócz niej niczego innego nie było. Dawna i nowa fizyka dosyć wywodzą, że ciało w spoczynku nie może samo przez się przejść w ruch. Choćby materya odwiecznie była w ruchu, zawsze zostaje konieczne pytanie, skąd ten ruch? Odwiecznie byłaby jak dziś obojętna ze siebie na wszelkie stany ruchu, więc nigdy nie mogłaby sama obrać sobie jednego stanu raczej jak drugi; wiecznie potrzebywałaby po za sobą powodu, żeby znaleźć się raczej w tym, jak w innym stanie. Więc pomińmy nawet niedorzeczność materyi niestworzonej: zawsze musimy szukać po za tą materyą jakiejś istoty, coby jej oznaczony ruch nadała. Cóż na

[1] Obacz zeszyt styczniowy str. 80.

to odpowiedzieć? Wielu sławnych uczonych, jak Czolbe, Strauss, Reuschl, wpadli na myśl wiecznego kołowania. Jeden stan mechanicznym ruchem sprawia drugi, ten wywołuje nowy, i t. d.; w końcu rozwój dochodzi do swojego kresu, a ten stan końcowy zaczyna nowy szereg przemian postępowych; tak ma być bez końca. Takim ruchem mechanicznym rozwija się nasz świat, aż nastąpi rozkład ustroju, po którym żywioły z zamętu przejdą w nowe okresy rozwojów. Czyż to wieczne kołowanie usuwa trudności? Wielkie dzieci wynalazły tę zabawkę, ale ta nie służy wielkim uczonym za odpowiedź na pytanie.

Niech każdy okres rozwoju kończy się zmianą, która rozpoczyna nowy okres; niech tak dzieje się bez końca: po tysiącach okresów, po milionach wieków może ostatnia zmiana którego okresu będzie właśnie tą pierwszą, co rozpoczęła cały szereg okresów? Przepuścić to na chwilę, jest to samo, co mówić np., że pierwszy ojciec ludzkiego rodzaju pochodzi od ostatniego ze swoich potomków. Tę zagadkę chyba jej wynalazcy zrozumieją. W każdym razie pytamy się, skąd pochodzi ten ruch w nieskończonym łańcuchu, gdzie każde ogniwo wychodzi ze swojego stanu pod wpływem poprzedniego ogniwa?

W takiem wiecznem kole możemy wziąść którekolwiek ogniwo za ostatnie. Skąd ma to ogniwo ruch? — bezpośrednio od poprzedniego, pośrednio od pierwszego. Skąd pierwsze w ruchu? — przez ostatnie. Więc ostatnie i każde za niem muszą być ruszone przez pierwsze. Trzeba tedy czekać, żeby pierwsze ruszyło wszystkie przed sobą; inaczej wszystkie będą w spoczynku. Ale i pierwsze niema żadnej mocy nad sobą, niema ze siebie ruchu, oczekuje go od działania ostatniego. Kiedyż tu więc w ogóle ruch powstanie? nigdy na wieki. Ostatnie ogniwo może ruszyć się tylko przez pierwsze; ale pierwsze nie może jemu nadać ruchu, póki samo go nie otrzyma; więc ostatnie czeka, aż pierwsze będzie ruszone; pierwsze ma ruchu nabyć właśnie od ostatniego; więc ostatnie ruszy się, kiedy samo sobie ruch nada; więc nigdy ruchu nie nabędzie; tak samo przedostatnie i każde inne. Więc w takiem wiecznem kole musi panować wieczny spoczynek.

Niech przykład przedstawi widocznie wartość rozumowania Straussa. Nieskończony pociąg stoi na kolei żelaznej zbudowanej

w koło, tak, że ostatni wóz styka się z pierwszym, a niema żadnej lokomotywy. Jakim sposobem ten pociąg ruszy? Pierwszy wóz popchnie drugi, mówią ci wielcy myśliciele, drugi dalszy i tak do ostatniego. Ale co wprawi w ruch pierwszy wóz? Rozumie się, że ostatni; od tego dostanie ruch pierwszy: wynalazek ze wszech miar godny takich myślicieli. Kiedy ruszy się pierwszy wóz? Kiedy go popchnie poprzedni, kiedy ostatni ruszy się; — więc nim ostatni ruszy się, będą nieruchome pierwszy, drugi i dalsze aż do przedostatniego; cały pociąg na zaokrąglonym torze będzie napróżno wyczekiwał ruchu. Tak nie mogą wyjaśnić ruchu na świecie nasi wielcy badacze przyrody. Więc materya musi być stworzona, musi mieć stwórcę potężniejszego od siebie. Ruch musi mieć sprawcę, dzielniejszego od materyi. Więc sama materya i ruch nie wystarczają, żeby pojąć obecny świat.

Ale jest jeszcze większa niedorzeczność, którą pozwalają sobie utrzymywać w swym poglądzie na świat materyalistyczni moniści. Przebieżmy okiem całe stworzenie, w jego obecnym stanie. Nie zliczymy w niem elementów najróżnorodniejszych, co jednak łączą się między sobą jak kółka zegaru najprzemyślniej urządzonego. Działanie jednego wprawia w ruch drugie; co sprawi jedno, co jedno wytworzy z siebie, to służy drugiemu do bytu i działania; wszystko łączy się w jedną całość, a w tej całości nawet słaby nasz rozum spostrzega najmędrsze prawa, według których każda część rusza się, żyje i działa. Wiążą się w całość nietylko największe ciała niebieskie, ale nawet najmniejsze drobiny, co kupią się w jedno ziarnko piasku. Świat cały zbudowany najstosowniej; zachowane w niem wszelkie prawa; słabsze przeznaczone za narzędzia dla mocniejszych; wspólnie i zgodnie wszystko pracuje, żeby ubezpieczyć teraźniejszy stan świata: wszędzie, i w całości i w szczegółach najdrobniejszych, panuje zgoda i wykwita piękno. Podziwiać musimy, jak wszystko przemyślnie działa przy powstaniu krzyształu, przy rozwijaniu się rośliny, przy ustroju źwierząt, przy obrocie ciał niebieskich.

Jakże objaśniają to zjawisko uczniowie materyalistycznej szkoły? Cały wspaniały ten świat z tysiąckrotnymi objawami porządku i piękna, to wszystko zawdzięczać ma byt mechanicznemu ruchowi żywiołów, które w najzupełniejszym zamęcie, w niezliczonych, bezładnych i sprzecznych zbiegach wpadłyby przypadkiem w tak po-

rządny układ, jaki stanowi świat obecny. Niechby kto podziwiał wspaniały zegar i pytał się, czyjem jest dziełem, czy nie wziąłby za obłąkanego, kto mówiłby jemu, że to przypadkiem tak się ułożyły odłamki kruszcu w ruchu? Podobne zdanie o początku świata w ustach starożytnych mędrców wywołało śmiech powszechny. Dzisiaj ono daje się słyszeć ogólnie. Sama matematyka, na której materyaliści najwięcej polegają, przeciwko nim przemawia. Cóż mówi matematyka na pytanie, czy jest prawdopodobnem, żeby świat z drobin w ruchu powstał przypadkiem? Ile ma być tych drobin? — nieskończona ilość. A ile połączeń może powstać przypadkiem przez ruch tych drobin we wszystkich kierunkach? ile każda drobina może mieć położeń względem każdej innej przy ruchu po trzech osiach w przestrzeni? Do jakiej niezmiernej potęgi wznieść należy liczbę możliwych połączeń przy nieskończonej ilości drobin? Liczba tych połączeń jest nieskończona, matematycznie $= \infty$; a jakież wypada matematyczne prawdopodobieństwo, że zdarzy się przypadkiem dane połączenie drobin, jakiem jest świat obecny? Matematycznie $= 1/\infty$, względnie zero: więc matematyk widzi, jak absolutnie jest nieprawdopodobny przypadek powstania świata z ruchu drobin[1].

Ale z tej teoryi tych wielkich myślicieli, co ślepemu przypadkowi przypisują utworzenie świata, jeszcze jedna wynika niedorzeczność, która ich wiele za sobą wiedzie. Stawiają ślepy i bezmyślny przypadek za stwórcę niermiernie wielkiej całości, pełnej ładu i myśli aż w najdrobniejszych szczegółach. Coby mi powiedzieli, gdybym zdumionemu nad „Dziadami“ Mickiewicza tak miał wykładać sposób powstania tego dzieła: Wziął ktoś czcionki z kilku drukarni, wrzucił je do wielkiej urny i mięszał i kłócił je, jak mu się żywnie chciało; wiele czcionek wypadło wtenczas, resztę wyrzucił na stół i zobaczył, jak przypadkiem się ułożyły jedne czcionki z drugiemi, żeby utworzyć te piękne słowa i wiersze i myśli i wspaniałą całość. Uważaliby mię pewnie za dojrzałego do domu obłąkanych. I słusznie. Bo kiedy dzieło wykonane z ładem i myślą, to jego twórca musiał wykonywać je rozsądnie i z rozmysłem, bo każdy skutek wymaga odpowiedniej przyczyny. Jeżeli skutek urządzony z ładem i myślą, to musiał sprawca mieć w sobie ten ład i tę myśl, według nich ukła-

[1] Natur und Offenbarung t. 17. str. 313.

dać i urządzać poszczególne części. Tego wymaga zdrowy rozum. Jakżeż jest z całym światem? Pewnie nie trzeba do tego głębokiej mądrości, żeby postrzedz i uznać fakt celowości w całym świecie. Choć są tysiące rzeczy, w których nie zdołamy domyślić się przeznaczenia dla całości, to ta nieudolność nie uprawnia nas jeszcze do tego, żeby wątpić, czy i te istoty mają swoje przeznaczenie i dążą do niego. Nasz rozum właśnie za mały, żeby ogarnąć tysiączne węzły, co łączą części pojedyńcze w świecie. Widzimy, jak oko dziwnie zastosowane do patrzania, ucho do słuchania; to wywołuje w nas konieczne uznanie, że ich ustrój przeznaczony do widzenia i słyszenia, i dlatego właśnie do swojego przeznaczenia zastosowany. Tę stosowność ustrojów, żeby wykonać jakieś przeznaczenie, tę dążność i zdolność do tego znajdujemy tak w najmniejszej rzeczy jak w największej w każdym dziale przyrody. Każdy ustrój z różnemi członkami, ich przemyślną mechaniką i pewnemi a niezmiennemi wynikami swojej pracy, niezbicie dowodzi swojej celowości. Kto chciałby mówić, że tylko przypadkiem oko widzi, ucho słyszy, jabłoń rodzi jabłka nie śliwki?

A może chciałby kto mówić, że tylko dlatego używamy ucha do słyszenia, bo przypadkiem mamy ucho, a nie przeciwnie raczej, że mamy ucho, żeby słyszeć; że tylko dla tego chodzimy, bo przypadkiem mamy nogi, a nie dla tego mamy nogi, żeby módz chodzić. Wiele tomów trzebaby wypełnić, gdyby chcieć choć w ogólnych rysach przytoczyć zjawiska celowości w przyrodzie. W zwierzęcym świecie widocznie okazuje się ta celowość w wyżywieniu się zwierząt, w obronie, w rozmnożeniu i opiece potomstwa. Wszystkie członki są w każdym rodzaju źwierząt najstosowniej urządzone; nawet mieszkania albo gniazda źwierząt i ptaków doskonale służą do celu. Cała budowa roślin z korzeniami, łodygą, liśćmi i kwiatami równie mądrze urządzona dla pożytku roślin, dla zachowania obrony i rozmnożenia. Nawet martwa przyroda zdradza w tym samym stopniu swoje przeznaczenie, czy mierzymy i ważymy działanie drobin, czy rozważamy ruch ciał niebieskich. Ta celowość w urządzeniu przyrody jest także podstawą praw, wedle których w przyrodzie wszystko działa i pracuje, bo tylko to może mieć stały skutek swojego działania, co zachowuje pewne prawa. Nietylko prawowierni

badacze [1] starali się celowość wykazać, robili to samo także niedowiarcy [2], co przed niczem się tak nie wzdrygają, jak przed widokiem śladu bożego w świecie; tak uznaje to Darwin w jednem ze swoich ostatnich dzieł [3].

Więc jakiś cel w budowie świata jest faktem, którego nie można zaprzeczać. Otóż, jeżeli budowa świata służy do celu, wszystko z dziwną mądrością do niego zwraca się, przyroda każdej rzeczy z niezmienną dokładnością i stałością dąży do niego i osiąga go, to nie może być sprawcą tego celowego świata ślepy przypadek. Tego dowiódł już Arystoteles jońskim materyalistom, co z Empedoklesem i Demokrytem wykładali tę samą naukę, którą do dzisiaj powtarzają badacze ścisłych umiejętności, bez zmiany w najdrobniejszym szczególe. Platon w Phaedonie i Tymeuszu mówi to samo, także Cyceron w księgach *de natura deorum*. Doprawdy nie trzeba wiele rozumu do tego, żeby widzieć, że dzieło chwali sprawcę i mądrość, co wyjawia się w dziele, daje świadectwo o mądrości sprawcy; bo dzieło to myśl sprawcy, nie słowami, ale czynem wyrażona. Nie jestże ten świat dziełem, z nieskończoną ułożonem mądrością, co z różnorodnemi działami swoich części postępuje według pewnych prawideł? A nierozsądek przypadku miałby sprawić to dzieło pełne mądrości? Niepewne, luźne, bezładne spotkanie się drobin, byłoby w stanie wytworzyć całość pełną praw i myśli? Zaiste nie! Przyczyna musi więc odpowiadać skutkowi, doskonałość całego świata musi zawierać się w jego sprawcy jeszcze doskonalszym sposobem.

Jeszcze jedna myśl w materyalistycznym monizmie godna uwagi, bo służy za maskę, co mu powagę nadaje. Maska ta nazywa się r o z w o j e m. T e o r y a e w o l u c y i jest herbowną tarczą, która ma nadawać szlachectwo materyalizmowi. Dobrze! Ale cóż rozumieją ci panowie pod rozwojem? Stan świata ma być wciąż zmienny, jedna postać rzeczy przechodzi w drugą, ta jest po-

---

[1] Kleutgen. Philosophie der Vorzeit II. n. 751 i nast.; Pesch. Weltraetsel Sc. 1. S. Tomasz. Summa l. q. 65 a. 2.: Philosophia Conimbr. l. 2 ph. cap. 9. q. l. a. 1.

[2] G. N. Schneider. Der thierische Wille. Lepzig 1880. Burmeister. Geolog. Bilder. T. 1. E. v. Hartmann in Pfluegers Archiv f. Physiol. 2 T. IV. Wandt. Grundzuege der physiologischen Psychologie 1. 173.

[3] The pover of movement in plants. 1880. Lond.

czątkiem następnej, a cały ten przebieg wszech zmian wypływać ma z mechanicznego ruchu atomów. W skutek przypadku wyłączają się drobiny z jednego związku i wstępują w drugi; sprawiają to tylko zupełnie przypadkowe przyczyny. To pierwsza zasada teoryi rozwoju. Haeckel wyprowadza z takich przemian w drobinach przejście istot martwych w żyjące, przerodzenie się niższych ustrojów w wyższe, przerabianie się nakoniec najwyższych w istoty myślące. Nie tu miejsce wyliczać przebieg szczegółowy darwińsko-haeckelskiego rozwoju: oceńmy samą jego podstawę. Czy jest jaki rozwój w przyrodzie? Jest najpewniej, tak w całości przyrody, jak w jej najdrobniejszych szczegółach. Rozwija się nasienie w roślinę, gąsienica w motyla, jajo w ptaka, zarodek w zwierzęcy ustrój. Ale czy to tylko dzieje się przez mechanizm atomów, bez zamiaru, bez żadnego prawa? Pewnie znaczy tu niemało mechanika drobin, bez niej nawet nie byłoby rozwoju. Ale czy tylko ona sprawia te przeobrażenia? Żeby wydać „Dziady“, pewno trzeba siłą mechaniczną ruszyć czcionki, ułożyć je w słowa, podzielić we wiersze i stronice, powlec czernidłem i na papierze odbić; wiele tu mechanizmu trzeba. Ale czy ten mechanizm wystarczy, żeby bez myśli powstała książka? Istnieje rozwój, prawda! Ale nie w skutek samego mechanizmu, nie w skutek przypadku; ma swoje prawa, ma przyczyny głębsze od samego zawichrzenia drobin. Nasienie ma już w sobie zadatek całego ustroju, rozwija się przez assymilacyę cząstek martwych, temi nadgradza żywotne straty w swoim ustroju i udoskonala się; ale to odbywa się według stałych praw, które także w zarodku złożone. Nic przypadkiem tu nie działa, chyba wpływ podrzędnych przyczyn. Dlatego skutki rozwoju są koniecznie zawsze te same. Zarodek bobu zawsze rozwinie się w bób, nigdy nie będzie grochem, z jaja wróblego nie wykluje się nigdy słowik: więc nie rozwija się to przypadkiem, jak to, co przypadkiem raz uda się, a drugi, setny, stokroć tysięczny raz na niczem spełznie. Przypadkiem zdarzają się kalectwa w życiu, ale i tu ustrój zepsuty dąży do naprawy na wzór stały, a kalectwa wypadają w najprzeróżniejszych postaciach. Słowem, rozwój przyrody składa się z niezliczonych zjawisk, które ścielą drogę temu, co dopiero kiedyś później ma się okazać, a co daje im piętno jakiegoś przeznaczenia na przyszłość, bo w chwili rozwoju

muszą się ścierać z prądami, właśnie obecnym potrzebom odpowiedniemi.

Jak znajdujemy rozwój przyrody w jej najdrobniejszych szczegółach, tak się to zjawisko uwydatnia w wypadkach, cały świat ogarniających. Geologia daje wskazówki o rozwoju ziemi; astronomia okazuje ślady rozwoju światu. Wszędzie uderza nasze oko rozwój; ale nie ten przypadkowy, jakiego chce monizm materyalny: to rozwój pełen ładu i wdzięku, w którym pośród bezwiednych krążeń martwej materyi przeziera zawsze celowa myśl Stwórcy, który ustawił porządek odpowiedni do wykonania swojej myśli, i nadał drobinom siły zgodne z tym porządkiem, tak, że ruch odbywa się według stałych praw, podlega im, stosuje się do nich i zależy od nich, aż całość ułoży się i utwierdzi się także według tych samych praw, które nadają jej byt wykończony i niezmienny.

Cóż z tych uwag wynika? Czy prawda, że dawne pojęcia o Stwórcy upadają jak dom z kart siłą dowodów materyalnego monizmu? Czy jest jaka siła w tych dowodach? Rozbita skorupa powierzchownej gadaniny odkrywa tylko puste jądro wnętrznych sprzeczności. Przeciwnie, sam monizm wali się jak dom z kart, bo nie może utrzymać się na swojej podstawie[1]. Podstawy jego nietylko stoją na piasku, bez żadnych podwalin, ale są jeszcze najwidoczniejszemi niedorzecznościami, którym piękne i uczone słowa usiłują napróżno pozoru mądrości dodać. (C. d. n.)

X. *Antoni Langer.*

[1] Poszczególne zasady tego systemu, np. o człowieku, będą przytoczone i wyjaśnione przy odpowiednich pytaniach.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom IV., wydany nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, opracowany przez członków lwowskiej komisyi historycznej tejże Akademii. Lwów, 1884 w drukarni zakładu nar. im. Ossolińskich, 8 maj., str. X. i 992.

Kiedy w r. 1826 ukazał się w świecie uczonym pierwszy tom pomnikowego dzieła *Monumenta Germaniae historica*, dla uczonego wydawcy Dra Pertza otworzyły się skwapliwie w całych Niemczech nietylko archiwa i biblioteki publiczne, ale i najzamożniejsi właściciele prywatnych zbiorów biegli na wyścigi ofiarując wydawcy najcenniejsze pomniki piśmienne. A rządy? nie tysiące już, ale dziesiątki tysięcy talarów ofiarowały na dalsze prowadzenie rozpoczętej publikacyi, która iście pomnikową się stała, liczy dziś tomów 27 a cena ich przenosi tysiąc złr.!

Kiedy przed dwudziestu laty ś. p. August Bielowski na wzór Monumentów Pertza, ogłosił pierwszy tom *Monumenta poloniae historica*, to uczonemu wydawcy nie przyszły w pomoc ani prywatne instytucye ani rządy. Mimo to w dwudziestą rocznicę publikacyi I.-go tomu, okazuje się światu IV. tom pomników dziejowych Polski, nie przechodzących końca XV. wieku. Opracowanie, pojedyńczych pomników dziejowych rozebrali pomiędzy siebie zasłużeni na polu naukowem pracownicy: Balzer, Ćwikliński, Kałużniacki, Kętrzyński, Semkowicz.

Pierwsza część zawiera 15 różnych fragmentów, 13 z nich zebrał i opracował Dr. Kętrzyński, dwa zaś ostatnie wydał Dr. Balzer. Nie są to zabytki i pomniki pierwszorzędnej doniosłości, wszelako nie bez wartości dla historyi.

Na czele zamieszczona jest relacya *de persecutione Judaeorum vratislaviensium* an. 1453. — Już w trzecim tomie monumentów 785—789 opracował Dr. Semkowicz fragment wzięty z kodeksu z biblioteki księcia Chigi w Rzymie, w którym opisana jest sprawa żydów wrocławskich, co w dzikim fanatyzmie targnęli się na rzecz nam najświętszą, na Najświętszy Sakrament Ciała Pańskiego. W tym tomie, tej samej treści relacyą zamieszcza Dr. Kętrzyński odpisaną z rękopisu biblioteki Ossolińskich Nr. 824. Opowiadanie jest odmienne nieco: hostye najświętsze wykradzione są nie z kościoła wrocławskiego św. Michała, ale z kościoła wiejskiego pod Oleśnicą i t. d. W tej drugiej relacyi charakterystyczne to, że sprawozdawca przytacza w aktach całe zwroty rozmowy żydów między sobą i chrześcijańskich wspólników zbrodni. Jeżeli poprzednia relacya umieszczona w III. tomie Monumentów miała moc błędów stylistycznych przechowanych w oryginale, to relacya w tym umieszczona tomie, taką okropną napisana jest łaciną, że na żaden sposób pomnikiem historycznym piśmiennym zwać się nie może; i pytamy się naprawdę, dlaczego ją tu umieszczono?

Uzupełniając zapiski rocznikarskie, które w poprzednich tomach Monumentów starannie opracowane, zamieszczone były, wyszukał Dr. Kętrzyński mały rocznik trzebnicki, drukowany w r. 1511 przy długoszowym żywocie św. Stanisława — supplement do rocznika Traski, spisany własnoręcznie przez Długosza i roczniki Golubskie, pisane na początku XVI. wieku a dotyczące ziem pruskich. Z tych trzech najważniejszy jest rocznik Długosza, dla tego, że zawiera materyał przygotowawczy do wiekopomnych prac Długosza. Wydawca tych zapisek domyśla się, że Długosz czerpał takowe z dawnych kalendarzy kościelnych i z dokumentów, które albo sam miał pod ręką, albo wzmiankę o nich prawdziwą znajdował, albo przychodził do nich przez osobistą kombinacyę. Rocznik ten, gdyby był samodzielną pracą Długosza, a nie supplementem rocznika Traski, byłby powinien znaleść miejsce w zbiorze dzieł jego, których tom ostatni właśnie teraz wydrukowany został.

Zatem idą dwa ciekawe katalogi biskupów polskich, pierwszy dotyczy dyecezyi wrocławskiej, drugi chełmińskiej. Pierwszy za inicyatywą prawdopodobnie Długosza i dla jego użytku, ułożony został z dawniejszych zapisków przez jakiegoś duchownego, na miej-

scu w Włocławku; drugi zawierający szereg biskupów chełmińskich ułożony był tak samo podług dawnych zapisków w samym początku XV. wieku. Oba te ważne pomniki dotąd nieogłoszone drukiem wydał Dr. Kętrzyński: katalog biskupów włocławskich, według kodeksu petersburskiego nr. 1343, a chełmińskich według kodeksu z biblioteki książąt Czartoryskich w Krakowie nr. 1295.

Jest zwyczaj, że każdy klasztor prowadzi książkę tak zwaną *Liber mortuorum*, w którą wpisywano datę śmierci, nietylko osób zmarłych w klasztorach tejże samej reguły, ale także imiona zmarłych fundatorów, dobrodziejow, królów, książąt, biskupów, szlachty i to tym celem, aby przypominając każdego dnia, a z różnych lat zmarłych w Panu, w rocznicę śmierci modlono się za spokój ich duszy. Otóż Dr. Kętrzyński zebrawszy takich *Libri mortuorum* cztery odpisy: a mianowicie *Liber mortuorum* klasztoru pelplińskiego zakonu Cystersów, klasztoru gdańskiego Kartuzów, klasztoru oliwskiego Cystersów i klasztoru żukowskiego Panien Premonstrantek, opracował naukowo księgi rzeczone i pomieścił w tym tomie Monumentów od str. 56 do 142. Z pomników tych najważniejsza jest księga pelplińska pisana w roku 1402 przez nieznanego zakonnika, a kontynuowana następnie aż do drugiej połowy XVII. wieku. Właściwą tym książkom metodą spisany jest najprzód na rok cały kalendarz a potem pod dniem każdym zapisane są imiona zmarłych zakonników i dobroczyńców klasztoru od roku 1258 do 1402. Na początku tej księgi tenże sam pisarz zamieścił historyę założenia klasztoru pelplińskiego z r. 1258 i szereg opatów pelplińskich od Wernera począwszy († 1292 roku). W historyi założenia klasztoru peplińskiego, którą przedtem w *Scriptores rerum prussicarum* ogłosił był Teodor Hirsch podług rękopisu królewieckiego, jest wzmianka (str. 60), że do fundacyi klasztoru przyczynia się *Godeschalcus junior* i zapisuje *punt siliginis de bonis suis*, wydawca w notce robi taką wzmiankę: „Miara ta i niemieckim badaczom nie znana; czy to czasem nie jest pud?“ Jeśliby punt znaczyć miało pud, to nie byłaby to miara ale waga, która dziś znaczy funtów 40, ale wtedy mogła mieć całkiem inne znaczenie i byłby tylko ten szczegół z wieków średnich nie znany, że już wówczas zboże nietylko na miarę ale i na wagę odstawiano. Ostatnie dwa pomniki w tym dziale pierwszym, opracowane przez Dra Kętrzyńskiego, Ka-

talog wielkich mistrzów krzyżackich i relacya o wojnie grunwaldzkiej z 1410 r. aczkolwiek żadnych nowych nie podają szczegółów, ostatni zwłaszcza tę może przynieść korzyść, że idąc za śladem tego fragmentu, może w tej redakcyi odnajdzie się kiedyś i opis cały bitwy grunwaldzkiej dotąd przynajmniej nieznany.

Traktat polityczno-historyczny Henryka z Góry, napisany roku 1456 a dedykowany królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi, uważany za rzecz zaginioną, odszukany jednak w ostatnich czasach w kilku bibliotekach, w swem dziele Dziejopisarstwo Polskie wieków średnich nazwał p. Zeissberg pracą historyczną żadną, zlepkiem, plagiatem bezczelnym. Tak okropnie osądzony pomnik piśmienno-historyczny XV. wieku nie powinienby był nigdy znaleść miejsca między wyborowemi zabytkami zamieszczanemi w Monumentach historycznych Polskich. A jednak zajął on właściwe miejsce, a zasługa za to słusznie przynależy wydawcy p. Balzerowi. Nie zrażony opinią p. Zeissberga przestudyował gruntownie traktat Henryka z Góry, wydał takowy z całą ścisłością wymagań dzisiejszej nauki, i takim cennym objaśnił wstępem, że praca ta zapomniana, zpotwarzona, powołana została do życia i stanowi wyborny materyał do epoki dziejów nadzwyczaj ważnych. Dobrowolne, pokojowe poddanie się ziem pruskich berłu polskiemu w pamiętnym dniu 20 lutego 1454 roku to najpiękniejszy moment w dziejach, ale zaciemnia go wojna z nienawistnym zakonem krzyżackim dotkliwą dla Polski klęską pod Chojnicami. Sprawa była zanadto ważna aby się cofnąć można od niej. Zapłata zaległego żołdu wojsku zaciężnemu i wzmocnienie sił zbrojnych nowemi zaciągami, były to dwie kwestye palące, które jednakże rozbijały się o pustki w skarbie królewskim; król chcąc te pustki zapełnić, nałożył na duchowieństwo kontrybucye i podatki nowe na dobra duchowne. Kontrybucye złożono, skarb królewski został zasilony, wojna wzięła obrót pomyślniejszy, ale kiedy na zjeździe w Grudziądzu na potrzeby wojenne uchwalono połowę dochodów z beneficyów kościelnych, naruszając przywilej niezależności kościelnej, oburzenie granic nie miało i wywołało ze strony duchowieństwa groźną reakcyą. Stan taki rzeczy na autorze naszym wywarł wrażenie wielkie; na wskróś konserwatysta, zwolennik stronnictwa klerykalnego reprezentowanego w Akademii kra-

kowskiej przez najwybitniejsze siły intellektualne, z młodzieńczym zapałem kreśli traktat polityczny, w którym stawa w obronie niezależności Kościoła, a potępia służbę wojenną zaciężną, obcą, jako nieużyteczną i szkodliwą, wyrzuty czyniąc senatowi i szlachcie, że na kogo innego spychają obowiązek obrony ojczyzny. Taka jest treść traktatu, który napisał młody akademik Henryk z Góry, a nie Eryk jak go zowie p. Zeissberg. Traktat ten polityczny, z czterech kodeksów skollacyonowany wydał w monumentach p. Balzer, od str. 143—191 wybornymi zaopatrzywszy notami. Drugi piśmienny pomnik historyczny, który opracował i wydał w IV. tomie Monumentów, jest mowa, którą na sądzie polubownym z krzyżakami miał jeden z delegatów królewskich. Wydawca badając rzecz skrupulatnie wykazał, że mowa ta miana była na komisyi toruńskiej odbytej w lipcu r. 1464 i że autorem takowej jest delegat królewski Jan z Dąbrówki kanonik kollegiaty św. Floryana w Krakowie. Podziwiać tu należy pilność autora z jaką oddziela samoistne ustępy mowcy, od tych, które dosłownie wziął już to z mowy wypowiedzianej przez delegata polskiego przed Papieżem Kalixstem III. w 1457, już to z mowy mianej przed cesarzem Zygmuntem w Wrocławiu w procesie z krzyżakami w r. 1420.

Drugą część Monumentów składają same Żywoty Świętych.

Wydawnictwem Żywotów Świętych naszych zajął się głównie Dr. Kętrzyński i sam opracował 12 najcenniejszych tego rodzaju pomników. Niezależnie od szanownego wydawcy, który duszą był tej publikacyi i prowadził ją *con amore*, Dr. Semkowicz wydał dwa Żywoty, a p. Kałużnicki i Ćwikliński po jednym.

Na czele zamieszczona jest *Legenda de S. Adalberto episcopo* (str. 206 do 221). Jest to jeden z najdawniejszych zabytków historycznej literatury w Polsce sięgający najpóźniej XII. wieku, nieznany i niepublikowany dotąd a oparty głównie na żywocie napisanym przez Bruna, który liczy się dotąd między zaginione pomniki, odpisany jest z kodeksu kapituły katedralnej krakowskiej i to z dosyć dobrej redakcyi pisanej w XIII. wieku. Oryginał tej legendy według hipotezy Dra Kętrzyńskiego, mógł być pisany po wynalezieniu głowy św. Wojciecha w Gnieźnie r. 1127; hipoteza ta nie jest bezzasadna, a że z zdarzeniem tem łączy się inne jeszcze stwierdzone historycznie a mianowicie: pielgrzymka pobożna do grobu

św. Wojciecha w Gnieźnie Bolesława Krzywoustego, przeto stało się potrzebą bardzo naturalną obznajomić duchowieństwo w sposób popularny z życiem i męczeństwem św. męża, i takim to sposobem powstała ta legenda. Publikacya jej budzi w nas nadzieję, że jeszcze i żywot św. Wojciecha napisany przez Bruna, da się kiedyś odszukać w polskich rękopisach.

Miracula S. Adalberti (str. 221—238). Do krytycznego ustalenia tekstu cudów św. Wojciecha, które według uczonych wywodów wydawcy spisane były w XIII. wieku, miał Dr. Kętrzyński 10 kodeksów rękopiśmiennych, wszystkie między sobą porównał, opisał, odmianki z nich ponotował i opracowaniu samemu iście naukową nadał postać. Kto pierwotnie spisał te cuda w tej formie jak obecnie są wydane, tego szanowny wydawca nie doszedł, zaznaczył tylko iż pisane były po roku 1248, albowiem w tekscie cudów zamieszczony jest szczegół do tego roku odnoszący się a tyczący się zniesienia postu od *septuagesimy* aż do popielca, co jak wiadomo było uchwalone przez legata papieskiego Jakóba archidyakona z Leodium na synodzie wrocławskim. *Miracula S. Adalberti* były już poprzednio publikowane a mianowicie: w *Monumenta Germaniae historica* tom IV. przez Pertza, w *Scriptores rerum prussicarum* tom II. przez Toeppera i w *Fontes rerum bohemicarum*. Wszystkie te cztery wydania porównywając z sobą z dumą można powiedzieć, że wydanie Dra Kętrzyńskiego palmę trzyma pierwszeństwa najkrytyczniejszego opracowania.

Vita minor S. Stanislai Episcopi Cracoviensis 238—285. Do wydania tego żywota Dr. Kętrzyńskiemu posłużył kodeks kapituły krakowskiej, z którego przed dwoma laty wydałem był w podobiźnie w kilku egzemplarzach ten najdawniejszy pomnik piśmienny życia św. biskupa. W kollacyonowaniu tekstu wydawca posiłkował się jedenastu jeszcze innemi odpisami, które starannie wylicza w przedmowie. W tejże przedmowie przekonywające stawia dowody, że żywot ten pisany był około roku 1230, a więc z górą na 20 lat przed kanonizacyą. Autor onego dominikanin Wincenty pisząc takowy korzystał z kronik polskich Galla i Wincentego i z tradycyi ustnej na którą często powołuje się. Na podstawie tych tradycyj przedstawia nam w odmiennych kolorach rządy Mieszka II., Kazimierza I. i nadzwyczaj ciekawe i cenne uwagi, o pra-

wnych, społecznych i domowych stosunkach w narodzie naszym. Dziełko całe napisane pobożnie w stylu barwnym i zajmującym, dla późniejszych biografów św. Stanisława było głównym materyałem, z którego czerpano już nie tylko treść samą, ale całe ustępy przepisywano dosłownie. Tekst oryginalny pisany jest jednym ciągiem. Wydawca podzielił takowy na 35 rozdziałów, przez co oryentowanie się w tekście łatwiejsze uczynił. Naukowa strona wydawnictwa nic nie pozostawia do życzenia.

Miracula S. Stanislai (str. 285—318). Kiedy r. 1250 Papież Innocenty IV. od wyznaczonych do zbadania cudów św. Stanisława komisarzy duchownych odebrał był spisane w tej sprawie akta inkwizycyjne, dla gruntowniejszego raz jeszcze zbadania tychże, bullą z dnia 26 maja 1252 roku wysyła do Polski swego komisarza Jakóba z Velletri, polecając mu, aby poprzednie inkwizycye sprawdził dokładnie i nowy protokół cudów przesłał Stolicy Apostolskiej do rozpatrzenia. Stało się to, wysłannik Ojca św. stosownie do danej mu instrukcyi, na nowo przeprowadził inkwizycyą, ze świadków żyjących. Oryginał tej inkwizycyi powiózł do Rzymu, urzędową kopią zaś rozkazał sporządzić na miejscu, i takową zostawił w Archiwum Kapituły. Otóż ten największej wagi zabytek rękopiśmienny, a najdroższy klejnot w Archiwum Kapituły katedralnej krakowskiej pisany na zwojach pergaminowych, niestety bez pierwszego zwoju i bez końcowego, po raz pierwszy oddrukowany został w Monumentach z całą wiernością. Cudów tu spisanych jest 40, które zaprzysięgło 120 świadków. W liczbie tych cudów mieszczą się i takie, które nie weszły w poczet cudów uznanych przez kościół, nie dla tego zapewne, aby były mniej wiarogodnemi, lecz dla tego że przy ich redagowaniu w Assyżu, opierano się głównie na protokóle pierwszych komisarzy z r. 1250, a wyjątkowo tylko posiłkowano się protokółem Jakóba z Velletri; i druga może jeszcze ta była przyczyna, że znalazły tu pomieszczenie te tylko cuda, o których świadkowie żyjący zaprzysięgli, że doznali ich lub widzieli je. Stąd też w tym protokóle nie ma zapisanego cudu wskrzeszenia Piotrowiny, nie dla tego, żeby to był cud wątpliwy, lub iżby o nim nie wiedzieli komisarze papiescy, lecz dla tego, że nie było świadków żyjących, coby zaprzysięgli ten cud zdarzony za życia jeszcze św. Stanisława.

Tu na jeden wielkiej doniosłości szczegół zwrócić muszę baczną uwagę. Upowszechniło się w ostatnich czasach, między pisarzami niektórymi nowej szkoły, że cud wskrzeszenia Piotrowiny wymyślony jest przez Długosza, bo dopiero w żywocie przez niego napisanym św. Stanisława po raz pierwszy znalazł miejsce, i dla tego nie ma go zamieszczonego w śledczym protokóle komisarzy papieskich. Otóż mniejszy żywot św. Stanisława, o którym mówiliśmy wyżej, pisany około r. 1230 a więc w 150 lat po św. Stanisławie a na 250 lat przed żywotem Długoszowym stanowczo tę sprawę rozstrzyga, i odtąd nie wolno będzie Długosza mienić autotorem tego cudu, bo on na 250 lat najszczegółowiej i najautentyczniej przez dominikanina Wincentego opisany został.

Przy dzisiejszem otworzeniu skarbów Archiwum Watykańskiego, z łaskawości ojca św. Leona XIII. może się uda szczęśliwie, że oryginalny dokument Jakóba z Welletri da się odszukać w Rzymie, a wtedy brakujący początek i koniec zwoju odpisany z oryginału, znajdzie swoje miejsce w dalszych tomach Monumentów.

Vita major Sancti Stanislai Episcopi Cracoviensis. Mniemano dotąd powszechnie, że większy żywot św. Stanisława napisał ks. Wincenty z Kielc, a tekst tegoż żywota ogłosił po raz pierwszy przy kronice Galla wydanej w Warszawie 1824 Jerzy Samuel Bandke; otóż jedno i drugie w obec krytycznego studyum nie ostoi się. A najprzód p. Kętrzyński dowiódł, że żywot ten pisał Wincenty dominikanin, lecz inny Wincenty od tego, który pisał *vita minor* tegoż świętego; wykazał, że pisał na wezwanie biskupa Prandoty i ukończył swą pracę około r. 1260, że robotę całą zostawił w brulionie tylko, nie przepisaną na czysto i nie ogładzoną. Głównem źródłem dla autora były: *Vita minor fratris Vincentii, Miracula St. Stanislai* rzecz zaginiona niestety, kroniki polskie, katalog biskupów krakowskich i tradycye miejscowe. Sam tytuł tego żywota uczy nas, że jest obszerniejszy od żywota mniejszego, co do wewnętrznej jednakże strony literackiej, pod względem stylu i obrobienia wcale mu nie dorównywa. W tej formie i w tym tekście, jak obecnie został wydany przez Dr. Kętrzyńskiego nie był dotąd publikowany, ten bowiem tekst, co był ogłosił Bandke podług kodeksu Zamojskiego, wykazał p. Kętrzyński, że był późniejszym prze-

robieniem tylko i skróceniem *vita major*. W robocie tej nieznany kompilator, niektóre ustępy opuścił, inne skrócił, w niektórych zmienił skład i szyk wyrazów, resztę zaś prawie dosłownie wypisał z *Vita minor*. Zbadanie przez Dr. Kętrzyńskiego tej przeróbki *vita major* zachowanej w druku Bandkego, obala zdanie Dr. Wojciechowskiego, który sądził, że tekst rzeczony u Bandkego przedstawia pierwszą redakcyę, napisaną współcześnie z aktem kanonizacyi św. Stanisława w r. 1253. Do ustalenia tekstu użył Dr. Kętrzyński aż 14 rękopisów, z których wszelkie odmianki ściśle przytacza w notkach pod tekstem.

Tekst *vita major* poprzedzają pieśni i hymny na cześć św. Stanisława, odpisane przez p. Kętrzyńskiego z rękopisu znalezionego w Wiedniu, a pochodzącego z XV. wieku. Wdzięczni p. Kętrzyńskiemu za przedruk tych pieśni, na dwie rzeczy nie zgadzamy się z nim. Najprzód na wyrażenie się autora, że pieśni te były dotychczas nieznane. Otóż co do tego punktu oświadczamy, że pieśń pryncypalna hymn o św. Stanisławie *Gaude Mater Polonia*, dwa razy do roku i przez całą oktawę śpiewają lub odmawiają kapłani w całej Polsce a drukowany jest ten hymn we wszystkich brewiarzach i diurnałach naszych i to dosłownie, jak jest podany tekst u Dr. Kętrzyńskiego. Dalej 3 antyfony: *O Beate Stanislae, Martyr Dei Stanislaus, Vir inclite, Stanislae*, zamieszczone są także w brewiarzach naszych i to tak, jak poprzednio zamieszczone były *Officia propria Patronorum Poloniae* Sokołowskiego we wszystkich edycyach. Dalej wszystkie inne pieśni od str. 355—360 znachodziły się w najdawniejszych brewiarzach naszych, tak rękopiśmiennych jak i drukiem ogłaszanych a to jako antyfony i responsorya na wszystkich godzinach kanonicznych. A te ostatnie, dopiero od reformy brewiarzów po koncylium Trydenckiem usunięto, zastępując je ogólnemi antyfonami i responsoryami. Proza o św. Stanisławie *Jesu Christe Rex superne*, aż do reformy mszałów po koncylium Trydenckiem znajdowała się we wszystkich mszałach polskich tak rękopiśmiennych jak i drukowanych do odmawiania przed Ewangelią przy mszy o św. Stanisławie. Druga jeszcze taka proza, której snadź nie było w rękopisie wiedeńskim *Sancte Dei Pontifex, sis reorum opifex patriae praesidium* także się mieściła w mszałach. Dodaję jeszcze, że hymn *Gaude Mater Polonia* w dziele: *Hymnorum*

expositio drukował Michał Wrocławczyk w Krakowie u Hallera 1515 r. fol. 125 a prozę *Jesu Christe rex superne,* tenże wydawca w dziele *Prosarum dilucidatio* fol. 78. — W uzupełnieniu tych wiadomości wspominam, że wszystkie te pieśni o św. Stanisławie mieszczą się w trzech Antyfonarzach katedry krakowskiej z XV. wieku, w zgodnym dosłownie tekście i to wraz z nutami do śpiewu, a zatem pieśni te, jako tylekroć ogłoszone i dotąd ogłaszane drukiem, były i są znane. Druga rzecz, na którą także trudno mi zgodzić się z p. Kętrzyńskim, że przeczy tak wyraźnemu świadectwu Długosza, iż autorem tychże jest Wincenty z Kielc, a sam innego nie podaje autora. Długosz te pieśni znał, śpiewał, słuchał ich śpiewania przez kler katedralny, niektóre w każdą niedzielę jak to i dziś jest w praktyce w kościele katedralnym; stykając się więc z pieśniami temi tak często, mógłże nie wiedzieć o tem kto jest ich autorem? Dlaczegoż więc takiemu świadectwu i my wierzyć nie mamy? W końcu dla czego nie mamy wierzyć świadectwu Długosza, że autor Żywota św. Stanisława z Kielc pochodził? a był osobą różną od tego Wincentego, który się pisał z Kielc i przywiózł do Krakowa zwłoki bł. Iwona?

Miracula Venerabilis Patris Prandothae (429--500). Roku 1454, gdy w kaplicy śś. Apostołów Piotra i Pawła w Katedrze na Wawelu odkryto zwłoki bł. Prandoty z Białaczowa, biskupa krakowskiego, ówczesny biskup kardynał Zbigniew Oleśnicki w porozumieniu się z kapitułą katedralną, wydał polecenie notaryuszowi katedralnemu, X. Maciejowi z Milejowa, aby każdy zeznawany i doznany cud za przyczyną bł. Prandoty spisywał protokólarnie urzędowo. Rozkaz ten spełniał X. Notaryusz i przez lat 11, od r. 1454 do 1465, spisał cudów 56. Niestety, oryginał tych protokółów zaginął, została tylko szczęśliwie kopia tychże przez tegoż samego X. Macieja z Milejowa r. 1456 przepisana. Z tej kopii w r. 1845, X. Mateusz Gładyszewicz przy Żywocie bł. Prandoty ogłosił te cuda po polsku, obecnie w wydaniu Dr. Kętrzyńskiego mamy je w oryginale jak były spisywane w połowie XV. wieku. Rzucają one wiele światła na stosunki wewnętrzne i życie domowe ówczesnego społeczeństwa.

(Dok. nast.)

X. J. Polkowski.

Przegląd pism peryodycznych.

1. Revue des Questions Scientifiques.

Opanować ruch literacki i naukowy cywilizowanego świata, o tyle przynajmniej, żeby ważniejszych prądów, walk i zdobyczy współczesnych nie pominąć, jestto jednem z zadań każdego Przeglądu o szerszych ramach. Wiem, że od początku Redakcya „Przegl. powsz." czuła tę powinność, spełnić jednakże to zadanie byłoby dzisiaj, w obec niezmiernej ilości publikacyj w różnych dziedzinach, istnem niepodobieństwem, nawet w przybliżeniu, gdyby nie to, że istnieje dziś już po całym świecie wiele Przeglądów, miesięczników, dwutygodników, kwartalników i t. d., które dają nam niejako w skróceniu sumę dzisiejszej wiedzy ludzkiej w różnych zakresach, w głównej przynajmniej treści i w żywym jej rozwoju; każde więc z pism takich materyałem kolegów swoich po części dopełniać się może i powinno.

Przeglądy wszystkie razem wzięte, są to niby stacye meteorologiczne dla obserwacyi prądów atmosfery duchowej po różnych ziemiach rozrzucone; mają jednakże nad zwykłemi stacyami meteorologicznemi tę wyższość, że swoją atmosferę, nie tylko obserwują i stan jej zapisują, lecz także po części same ją tworzą, a przeto tem lepiej każdy spełnia swe zadanie, im więcej na inne się ogląda. Dobrą więc myśl powzięła Redakcya *Przeglądu powszechnego*, żeby utworzyć w nim rubrykę: *Przegląd pism peryodycznych*. Wprawdzie i tych jest już dziś tak wiele, iż niepodobna odrazu objąć nawet najważniejszych. Powoli jednakże, zbiorowemi siłami można dojść do tego, żeby w ciągu roku głównych przynajmniej nie pominąć. Jako słaby początek, pozwalam sobie przesłać szan. Redakcyi sprawozdanie ze znakomitego naukowością i kierunkiem przeglądu belgijskiego *Révue des Questions scientifiques, publiée par la société scientifique de Bruxelles.*

Mam przed sobą cały ostatni (ósmy) rocznik tego kwartalnika cztery grube zeszyty składające dwa tomy. Godło pisma: *Nulla unquam inter fidem et rationem vera dissensio esse potest (Conc. Vatic. Const. de Fide* c. IV.) określa nam odrazu jego zasadnicze

stanowisko. Nauki przyrodnicze główne w niem zajmują miejsce, jakoteż wiążące się z niemi kwestye filozoficzne i religijne. Każdy zeszyt mieści w sobie kilka oryginalnych artykułów naukowej treści lub większych sprawozdań z działalności wybitniejszych mężów nauki współczesnych lub świeżo zmarłych. Dopełniają zaś wszystko: korespondencya polemiczna, bogata bibliografia rezonowana ze wszech gałęzi nauk, jakoteż przegląd naukowych wydawnictw peryodycznych i notatki z posiedzeń różnych Akademij nauk.

W poprzednich rocznikach znajduje się wiele prac pierwszorzędnej wartości, które wyszły także jako osobne książki, w niniejszym spotykamy się zaraz w I-szym zeszycie ze stycznia (1884 r.) z artykułem ogólniejszej treści p. t.: *La Science, la Metaphysique, la Foi,* od którego najlepiej będzie zacząć nasze sprawozdanie, gdyż zapozna on nas odrazu z zapatrywaniami pisma na najważniejsze zagadnienia. Jestto właściwie wstęp do większego dzieła p. t.: *Programe d'une apologie scientifique de la foi chretienne,* które autor *Duilhé de Saint-Projet* profesor apologetyki w Tuluzie zamierza wydać niebawem, a którego I-szą próbkę zamieściła *Revue* jako illustracyę swych własnych przekonań o stanowisku nauki w obec metafizyki i wiary.

Wbrew dość rozpowszechnionemu dzisiaj przesądowi, jakoby nauka i umiejętność prawdziwa z natury swojej wykluczała w umysłach uczonych metafizykę, jakoteż wszelką pozytywną religię, a na odwrót metafizyka i wiara szkodziły naukowej ścisłości i żadną miarą z nią się godzić nie mogły, wykazuje autor w trzech osobnych rozdziałach pozytywne podstawy i kryterya prawdy wszystkich tych trzech wielkich działów i głównych źródeł wszelkiej wiedzy ludzkiej, dowodząc przytem, jak z natury rzeczy, nauki, metafizyka i wiara nie tylko że nie wykluczają się, lecz owszem dopełniają się wzajemnie w jeden całokształt ludzkiej mądrości, która póty zdrowa, póki cała nie zasklepia się wyłącznie w jednym z tych trzech zakresów gardząc innymi dwoma lub chcąc zająć ich miejsce.

1. Ścisłość i powaga pozytywnych nauk przyrodniczych polega na tem, że „nie wdając się w poszukiwania pierwszych przyczyn, początków i końców wszechrzeczy, mocą li tylko metodycznych badań i doświadczeń, stwierdzają fakta w ich wzajemnej zależności w obrębie natury“ (Berthelot) „usiłując określać i tłóma-

czyć te fakta przez najbliższe bezpośrednie ich przyczyny" (Claude Bernard) „nie wciągając nigdy w zakres tychże nauk doświadczalnych interwencyi przekonań o essencyi wszechrzeczy, o początku świata i jego przeznaczeniach", (Pasteur) gdyż te należą już do metafizyki lub są rzeczą Wiary. Nauki o przyrodzie ze swym przedmiotem ściśle ograniczonym i własną logiczną metodą badań, nie wykluczają jednakże hipotezy; owszem, nic ich tak dalece nie posuwa naprzód, jak genialne hipotezy: „cała nowoczesna fizyka ogólnie mówiąc, jest jedną wielką hipotezą na drodze ciągłego sprawdzania się", jak to nie bez słuszności wykazał *Naville* w dziełach swych *Logique de l'hypothèse* i *La Physique moderne* (str. 41) także P. de Smedt: *(Principes de la critique ch. XV., de la Conjecture).* Lecz aby hipoteza była rzeczywiście genialną i płodną, potrzeba, żeby wychodziła z faktów pozytywnych dążąc do racyonalnego wytłómaczenia zjawisk przez przypuszczalne najbliższe ich przyczyny, leżące zawsze w zakresie przedmiotu nauk przyrodniczych, t. j. w owym nieprzerwalnym łańcuchu wzajemnie się warunkujących czynników przyrody. Bo gdy hipoteza jaka zamiast wychodzić z pewnych danych faktów, piętrzy się na innych hipotezach a te znowu polegają na hipotetycznych przypuszczeniach, jak się to dziś często przytrafia, natenczas hipoteza właściwie przestaje już być naukową hipotezą, a staje się dowolnem osobistem mniemaniem uczonego, nauka zaś mieszcząca w sobie podobne hipotezy, przestaje być poważną nauką. Autor daje nam kilka drastycznych przykładów takich głośnych dzisiaj hipotez wciągających niebacznie w obrąb nauk doświadczalnych najwyższe zagadnienia świata i ludzkości, które z natury rzeczy nie są i nie mogą być ich przedmiotem. Stąd pochodzą wszystkie dzisiejsze śmiałe przypuszczenia, wnioski przedwczesne, systemy awanturnicze na polu nauk przyrodniczych, tak że na pamiętnym kongresie antropologicznym w Monachium (w r. 1882) nawet Virchow zwrócił się do kolegów swoich z tą przyjacielską radą: „żeby w tem, co piszą dla szerszej publiczności, zechcieli pierwej dwa razy się namyślać nad tem co mówią i to tylko w tekście zostawiali, co ma rzeczywiście naukową podstawę, a resztę swych hipotetycznych wywodów zamieszczali drobnym drukiem w notatkach na dole". Ale jakążby to zrobiło rewolucyę w nowożytnej typografii dzieł nauko-

wych! gdyby tej rady posłuchano, jakżeby wyglądały teksty Haekla a nawet Darwina, *in gurgite vasto* petitowych notatek!

Do tego, żeby w naukach pozytywnych utrzymać się w żelaznym łańcuchu ścisłej przyczynowości zjawisk, „w granicach dociekania tych tylko przyczyn, które zjawiska przyrody bezpośrednio wywołują“, jak tego żąda Claude Bernard, i żeby w wywodach swoich „unikać interwencyi dowolnych pojęć osobistych o treści wszechrzeczy i początku i końcu wszechświata“, przed czem ostrzega Pasteur, do tego trzeba jeszcze czegoś więcej. Żeby we fizykę, fizyologię i t. d. nie mięszać dowolnej metafizyki ani też osobistych zachcianek, trzeba samemu, oprócz swojej specyalności, umieć zdać sobie sprawę z tego, czem jest metafizyka, jak tego właśnie złożył dowód Claude Bernard, gdy powiedział: „nie jestem z tych co sądzą, że można obejść się bez metafizyki, myślę owszem, że trzeba dobrze studyować jej rolę w naszem pojmowaniu zjawisk świata, by nie stać się igraszką illuzyi“. Trzeba nadto umieć uszanować wiarę, jak tego znowu dał przykład Pasteur w swej akademickiej przemowie, gdy wyrzekł te piękne słowa: „Gdybyśmy byli pozbawieni tych pojęć, jakie daje nam wiara, nauki ścisłe straciłyby tę wielkość, jaką im daje tajemny ich związek z prawdami odwiecznemi; a pytam się, w imię jakiego to naukowego odkrycia można wydzierać duszy ludzkiej jej najwyższe przeświadczenia?“ Nic innego, tylko ten powszechny dziś brak podstaw metafizycznych w naukowem wykształceniu popycha tak często dzisiejszych specyalistów do mierzenia nieskończoności piędzią swojej specyalności. Każdy, niby drugi Fichte, stwarza cały świat mocą swego „Ja“, czyli swego widzimisię, nie znając pierwszych zasad metafizyki — nie mówiąc już o katechizmie. „Za mistrze się wydawają, uczniami nigdy nie bywszy“, powiedziałby o nich nasz humanista z XVI-go wieku. Można być zręcznym obserwatorem i experymentatorem we fizyce, astronomii, fizyologii i t. d., a przytem bardzo słabym myślicielem w szerszych teoretycznych kwestyach; publiczność zaś nie umiejąc tych sfer odróżnić, powagę fachowca rozciąga zwykle na wszelkie jego teorye; i stąd rodzi się dzisiejsze pojęć zamięszanie i rośnie ów z a b o b o n p o z y t y w i z m u, o którym tak wyborny rozdział zamieścił niedawno Mallock w swojej książce *Is life worth living?*

2. Jeśli nauki szczegółowe mają swoje własne metody badań i własne kryterya prawdy, oraz swoją pewność i powagę w zakresie swego przedmiotu, dopóki liczą się z metafizyką i wiarą o tyle, żeby w ich obrąb nie wkraczać — to również i metafizyka ma swoją niespożytą, pozytywną wartość i pewność i powagę, tudzież swoje prawa i obowiązki względem dwóch innych głównych źródeł ludzkiej wiedzy, jakiemi są wszystkie inne nauki i wiara. Ta „pierwsza filozofia“, jak ją nazwał Arystoteles, zwana także ontologią albo metafizyką ogólną, zajmuje się najwyższemi zasadami, przyczynami i prawami bytu, w stosunku do praw naszej wiedzy. Ona uczy ściśle myśleć i rozróżniać jak należy główne kategorye wszechrzeczy istniejących, ona doprowadza do samowiedzy praw naszego umysłu, w stosunku do tego, co rzeczywiście istnieje, ona więc uczy także rozumnie pytać naturę nie tylko o ostateczne lecz i o bezpośrednie przyczyny wszech zjawisk, będących, jak mówiliśmy, przedmiotem nauk szczegółowych. Bez niej, nawet ci co nią gardzą nie byliby w stanie i kroku naprzód w nauce postąpić, gdyż metafizyka to nic innego, jak rozumiejąca się myśl ludzka sama w sobie. Rozumiał to dobrze Claude Bernard, gdy mówił, że „metafizyka trzyma się samej essencyi naszego rozumu“ i że „nie możemy inaczej mówić, jak metafizycznie“. Mając swój własny zakres pewności, w swoich twierdzeniach i aksiomatach, metafizyka zawiera w sobie oraz podstawy pewności wszystkich innych nauk „i tak na szczęście ludzkości, mówi autor, jak długo będą na świecie ludzie uzdolnieni do myślenia, metafizyka nie przestanie wylewać strumieni swego światła, nawet i na tych, co najwięcej przeciwko niej występują i nią pogardzają“. Lecz chociaż metafizyka mniej potrzebuje innych nauk, niż one metafizyki, jak słusznie powiedział Barthélemy Saint-Hilaire, to jednakże winna ona, jeśli nie w pierwszych swych zasadach i aksiomatach, to w dalszych wnioskach swoich dotyczących rzeczywistości, liczyć się zawsze ze zdobyczami innych nauk i czerpać z nich swoje odświeżenie, sama w sobie się nie zasklepiając, ani też z wiarą współzawodnicząc; gdyż metafizyki to właśnie najważniejszem zadaniem, te trzy główne wzajemnie się dopełniające obszary naszej wiedzy: nauki, spekulacyi metafizycznej i wiary, należycie od siebie rozróżniać.

3. Ale jakiż jest pozytywny, ściśle naukowy moment naszej wiary objawionej? Nie mówiąc już o jej własnem, bezpośredniem,

wewnętrznem kryteryum jej prawdy, jakiem jest nieomylna powaga słowa Bożego, są prócz tego zewnętrzne pozytywne racye naukowe i metafizyczne, które zmysł do uznania tejże jej Boskiej powagi koniecznie skłaniają, jeśli tylko wola nasza, lub głęboko w nas zakorzenione uprzedzenia i namiętności nasze temu się nie sprzeciwiają. „Nie można zaprzeczyć, mówił Littré, (cyt. Renana), że w tym systemie (teologii chrześcijańskiej) racyonalizm jest na gruncie, rozum panuje tam przedewszystkiem, rozum dowodzi powagi objawienia, Boskiego pochodzenia Pisma i Kościoła. Jest to gmach, w którym głazy powiązane są żelaznemi klamrami, ... ale fundament jego niesłychanej słabości, ... gdyż tego nikt nigdy nie dowiedzie, że stał się kiedy cud, fakt nadprzyrodzony... tego bloka nikt nie ruszy“... ruszył go przecież sam Littré na łożu śmierci, mówi autor, a zresztą dodaje, chrześcijaństwo nie opiera się wcale na cudzie, jakoby na pierwszym swoim fundamencie, jest ono dla nas przedewszystkiem faktem historycznym, popartym niezbitemi świadectwami. Fakt objawienia, przez to samo, że jest faktem historycznym, nie może być dowiedzionym eksperymentem, metodą nauk przyrodniczych, równie jak egzystencya Cezara ani Napoleona, ale czyż przez to wątpi ktokolwiek, że był Cezar albo Napoleon? Jeśli dla kogo sam fakt objawienia nie ma pozytywnej, naukowo-historycznej, ścisłej i pewnej podstawy, tedy jej niema żaden fakt historyczny, i historya przestaje być nauką. Zresztą chrześcijaństwo w każdej epoce dziejów naszej ery, zatwierdziło się i zatwierdza ciągle w całej swej mocy, odpowiednią każdorazowej negacyi zwycięską apologią; nic tak bogatej nie wywołało na świecie i tak wspanialej literatury — w niej to właśnie jest naukowy aparat, niewyczerpany magazyn, w którym znaleść może każdy dla siebie, kto tylko zechce, racyonalne, pozytywne kryterya prawdy faktu objawienia, a dopomoże mu do tego także i metafizyczna, spekulatywna zdolność ludzkiego umysłu, który, gdy tylko ma pewne dane, z natury swojej, pewne i oczywiste wnioski wyprowadzać umie. Łatwo więc na tej podstawie wykazać w żywym przebiegu, w akcyi, tę piękną tezę fundamentów logicznych naszej wiary i ich powagę naukową, mówi autor, i to będzie zapewne przedmiotem jego dzieła. W tym wstępie z którego właśnie sprawę zdajemy, zatwierdza on tylko w krótkości rownorzędność powagi naukowej, pozytywności nauk, metafizyki i wiary, wskazuje

wzajemne ich względem siebie prawa i obowiązki, zwraca uwagę na podział ich pracy, a jak ostrzega nauki przyrodnicze przed wkraczaniem w granice religii i metafizyki, tak samo też zaznacza wyraźnie, ile szkodziłby ten religii, co by jej powagi nadużywał w rozstrzyganiu tych kwestyj o świecie i naturze, co do których tak mówi Pismo: *Deus tradidit mundum disputationibus hominum.* Dla tego też Kościół orzekł na ostatnim Soborze, że „dalekim jest od tego, aby uprawie sztuk i nauk ludzkich być przeciwnym, lecz owszem sprzyja jej i pomaga wielorakim sposobem, gdyż korzyści jej dla życia ludzkiego nie zapoznaje ani niemi gardzi . . . Nie broni też, aby każda z nauk w swoim zakresie kierowała się własnemi zasadami i własnej używała metody badania; jednakowoż uznając tę sprawiedliwą wolność, Kościół z urzędu swego czuwa nad tem, by nauki nie przesiąkały błędami przeciwnemi Boskiej doktrynie, ani też granic własnych nie przekraczały na to, by dziedzinę wiary zajmować, lub sprawiać w niej zamięszanie". *(Constitutio de Fide cath. cap. IV.)*

Jak szerokie są granice tej „sprawiedliwej wolności", jaką Kościół naukom ludzkim zostawia, nawet w rzeczach dotyczących egzystencyi samegoż Pisma św., pokaże nam następny artykuł *Revue* (z kwietnia) p. t.: *Encore les jours de la Création* p. de Foville, z którego także tu sprawę zdać chcemy. Artykuł „Jeszcze o dniach stworzenia", dotyczy kwestyi będącej dziś może więcej niż kiedykolwiek na porządku dziennym europejskiego ruchu naukowego, tj. kwestyi pogodzenia genezy świata spisanej przez Mojżesza na pierwszych kartach Biblii, z nowożytną kosmogonią i kosmologią i w ogóle z nowemi zdobyczami nauk. W ostatnich czasach pojawiło się bardzo wiele poważnych dzieł o tymże przedmiocie jak: *La cosmogonie biblique* par l'Abbé Vigouroux, *Naturvorschung u. Bibel* von Dr. Carl Güttler, *Bibel u. Wissenschaft* von Dr. Bernhard Schäfer, z których niniejsza *Revue* zdawała sprawę w swoim czasie, krytykując przytem także i prace współczesne Michaelis'a, Baltzer'a, Reusch'a, Hummelauer'a i geologa Dawson'a, dotyczące *Hexaemeronu.* W przeszłym roku (1884) poruszył tę samą sprawę profesor wied. uniw. Dr. Zchokke w swojej *Historia sacra Antiqui Testa-*

menti, jakoteż *Joseph Corluy* S. J. profesor w Louvain w dziele *Spicilegium Dogmatico-Biblicum, De Hexaemero, Gandavi* 1884, od paru zaś lat występuje z artykułami „o dniach i dziełach stworzenia“ w *Dublin Review* Msgr Clifford, biskup z Clifton, z niemi też rozprawia się p. de Foville w naszej *Revue*. Angielski biskup występuje stanowczo przeciw najbardziej rozpowszechnionej dzisiaj metodzie w exegezie Hexaemeronu biblijnego, która t. z. dnie stworzenia uważa za epoki, odpowiadające mniej więcej tym epokom w kosmogonii, do jakich dochodzi nowożytna umiejętność na podstawie badań geologicznych i astronomicznych. Uczony biskup uważa za niebezpieczne, ubliżające powadze Pisma św. wszelkie zestawianie go z nowemi zdobyczami nauki, chociażby robione w intencyi pogodzenia Biblii z wynikami ludzkich umiejętności, skłania się do t. z. teoryi idealistycznej w pojmowaniu pierwszych rozdziałów Biblii, do stanowiska św. Augustyna, który w exegezie swojej wychodził ze słów Eklezyasty: *qui vivit in aeternum creavit omnia simul* albo św. Tomasza z Akwinu, który opierając się li tylko na pierwszym wierszu: *In principio creavit Deus coelum et terram* i na powadze św. Augustyna do podobnego dochodzi rezultatu. Według tej teoryi, w twórczym akcie Bożym nie może być mowy o żadnych dniach ani epokach, chyba tylko w znaczeniu przenośnem, symbolicznem, gdyż metafizycznie wziąwszy, wieczność jest po za prawami doczesności; w pierwszych kartach Pisma św. chodzi tylko o objawienie prawdy religijnej, dogmatycznej, że Bóg świat stworzył; a nie o rozwinięcie naukowej teoryi kosmogonicznej; trzeba tu brać obrazowo i pojmować rzecz całą jako hymn pochwalny na cześć Stwórcy i dzieł Jego, w którym nie ma zawartych żadnych prawd umiejętności, ani historyi, ani chronologii, jeno sam dogmat stworzenia świata i człowieka i przykazanie święcenia 7-go dnia po 6-ciu dniach pracy, reszta zaś wszystko jest rzeczą poetycznej formy, są to alegorye, metafory i symbole, albo jak chcą niektórzy, jest to Mojżeszowa apokaliptyczna wizya przeszłości, otwierająca księgi Starego Testamentu, podobnie jak Apokalipsis św. Jana, wizya przyszłości, księgi Nowego Zakonu zamyka. Do zrozumienia takich rzeczy ludzkie nauki klucza dać nie mogą, wszelkie komentarze z dziedziny świeckich umiejętności tylko im ujmę przynoszą i na szwank narażają ich świętą powagę. Takie mniej więcej stano-

wisko zajął biskup z Clifton w swojej exegezie Hexaemeronu, ale nowa ta teorya, nazwana już przez exegetów hymnologiczną, nie powstrzyma silniejszego dziś prądu teoryi epok, która w pierwszych kartach Biblii widzi nietylko sam dogmat w wspaniałym wyrażony poemacie, lecz także usiłuje wykazać w nich jasno stronę historyczną i umiejętnie kosmologiczną, jaka objawia się w dziwnie bijącym w oczy paralelliźmie „dni stworzenia“ z teoretycznemi wynikami badań co do następstwa epok rozwoju fizycznego świata i życia na naszym globie. Między tą teoryą historyczno-epokową konkordystów Hexaemeronu z świecką umiejętnością, a poprzednią szkołą czyli teoryą idealistów pośredniczące i godzące stanowisko zajął O. Monsabré i dał mu najpiękniejszy wyraz w konferencyach swoich w kościele Notre-Dame w Paryżu, w r. 1875, gdy mówił: „Hexaemeron biblijny jest tak samo poematem jak historyą. Akcya dramatyczna, strofy, zwroty, rytm, przenośnie, niczego nie brakuje. Jakiż mógł być, jakiż musiał być cel tego poematu? Czy żeby wywołać ruch naukowy? oczywiście nie; lecz by pouczyć lud o prawdach fundamentalnych w porządku religijnym i moralnym, zobowiązać go do czci i wdzięczności, pokazując mu Jehowę Stwórcę, Rządcę i Zachowawcę wszechrzeczy, ochronić lud od bałwochwalstwa, przypominając mu, że wszelkie stworzenie ma racyę swego bytu w przyczynie wyższej od świata i przeznaczone jest na służenie człowiekowi, koronie stworzenia, a nie, żeby człowiek jemu służył. Aby to ludowi powiedzieć, trzeba na to, jak zauważył św. Tomasz, języka ludowego, wielkich obrazów, które przemawiają do wyobraźni, kreśląc w szerokich rysach to, co zmysłom dostępne. I taki też jest język genezy. Napróżno żądacie od niego ścisłości naukowej, on jej wam dać nie powinien; nie będzie on wam mówił o działaniach fizycznych, mechanicznych, albo chemicznych ani o królestwach, grupach, klasach, porządkach, rodzajach, gatunkach i rasach w ich rozgałęzieniu. Lecz to, co się wam wydać może niedokładnością języka, jest właśnie tem, co trzeba było powiedzieć, i mylilibyście się wyszukując na powierzchni tekstu sprzeczności, których z pewnością niemasz w jego głębokościach... A jeśli chodzi o stosunek Hexaemeronu biblijnego do ludzkich nauk, utrzymuję, że stanęła już zgoda między dwoma księgami bożemi, Biblią i Naturą. Umiejętność uczy nas, że wszystko w naturze musiało się zacząć od chaosu, po-

mieszania żywiołów bez światła i życia. Pismo św. mówi nam: ziemia była pusta i próżna i ciemności były nad głębokością... Nauka dowodzi nam, że światło jest działaniem eteru, czegoś różnego od tych ciał co zdają się świecić. Pismo św. mówi: I rzekł Bóg: Niech się stanie światłość i stała się światłość... zanim słońce i gwiazdy nastały..." i tak dalej prowadzi wymowny kaznodzieja przez wszystkie sześć dni stworzenia paralellę ostatecznych wyników nauki ludzkiej z Pismem św. A cóż powiada Kościół na te wszystkie, tak różne a nieraz sprzeczne ze sobą teorye w exegezie pierwszej karty bożej księgi? czy może oświadczył się za teoryą epok, albo szkołą hymnologistów, albo konkordystów? Kościół i w tem zostawia wolność uczonym exegetom, byle tylko ich teorye i hipotezy nie tknęły pierwszego artykułu wiary w składzie apostolskim: „Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi", i przykazania bożego: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił".

Najwięcej kart ostatniego rocznika zajmują monografie: o matematyku francuskim *Wiktorze Puiseux*, o pracach naukowych belgijskiego fizyka niedawno zmarłego *Józefa Plateau* i angielskiego badacza *Sir Williama Siemens'a*, którego przedwczesny zgon wydarł nauce, jakoteż znakomitego paleontologa, sędziwego *Joachima Borrande'a*, zmarłego w r. 1883. *Józef Plateau* rozpoczął swoją karyerę naukową jeszcze w r. 1833 od bardzo mozolnych i subtelnych badań i doświadczeń nad złudzeniami i widmami następowemi naszego wzroku, pod wrażeniem przedmiotów świecących, lub jaskrawo oświeconych, próbując ująć te zjawiska wchodzące zarówno w zakres fizyki jak i fizyologii a nawet psychologii w pewne ogólne prawa i zbadać ich przyczyny, zastanawiał się także nad zjawiskami optycznemi irradyacyi i chromatyzacyi, i utorował drogę późniejszym badaczom na tem polu, jak Fechner, Hiedner, Cramer, Burckhardt, Volkmann i Helmholz, chociaż rozchodził się z nimi w swoich teoryach. Plateau padł ofiarą swoich niebezpiecznych eksperymentów nad wrażeniami wzrokowemi, gdyż przez częste i długie wpatrywanie się w tarczę słoneczną, nabawił się choroby ócz, w skutek której później całkiem wzrok postradał. To też w monumentalnej pu-

blikacyi swojej O głównych zjawiskach widzenia, w przedmowie, z prostotą ostrzega fizyków i fizyologów, aby wstrzymywali się na przyszłość od podobnych bardzo niebezpiecznych doświadczeń, dodając, że obserwacye przezeń na tem polu dokonane, są tak rozliczne, iż nowych już nie potrzeba. Co najdziwniejsza, to że mimo utraty wzroku nie przerwał swoich prac naukowych, tylko na inne przerzucił się pole; „dzięki pomocy moich przyjaciół (później synów) mogę pomimo mego kalectwa, porządkować materyały, jakie nagromadziłem, a nawet przedsiębrać nowe badania“, pisze w przedmowie do następnego dzieła swego: O postaciach równowagi mas płynnych poza działaniem ciężkości, które mu nieśmiertelną zjednało sławę. Jeszcze Laplace postawił teoryę, że masy płynne zostawione same sobie, uwolnione od wszelkich zewnętrznych wpływów, z natury swojej muszą zwierać się w postać kuli. Plateau stwierdził tę teoryę doświadczeniem i uwidocznił ją w sposób bardzo prosty, wprowadzając dowolną ilość oliwy w szklankę mięszaniny wody z alkoholem, o równej z oliwą ciężkości; ciężkość oliwy przez to zupełnie jest zrównoważona i niejako zniesiona w stosunku do otaczającego ją płynu i własności jej molekularne mogą działać zupełnie swobodnie; i rzeczywiście oliwa w tym wypadku zawsze przybiera postać kuli, i wówczas przedstawia nam właśnie to, czego szukał Plateau: masę płynną izolowaną od wpływu siły ciężkości i swobodnie wypowiadającą li tylko swoje wnętrzne własności molekularne. Gdy zaś taką kulę oliwną w powyższych warunkach wprawić w ruch rotacyjny, natenczas spłaszcza się i tworzy obręcz podobny do obręczy płanety Saturna. Nic ciekawszego jak te doświadczenia powtarzające w szklance wody największe zjawiska kosmiczne i pozwalające nam tem samem wglądnąć bliżej w ich naturę. Plateau po tych pierwszych próbach z oliwą, całe życie poświęcił badaniom naturalnych praw molekalarnej, wnętrznej równowagi płynów izolowanych od wpływu ciężkości, robiąc doświadczenia z rozmaitemi płynami, badając także i bańki mydlane, etc., a pod koniec życia ogłosił wszystkie swoje odkrycia i swoje teorye w dwutomowem obszernem dziele: *Statique experimentale et théorique des liquides soumis aux seules forces moléculaires.* Pięćdziesiąt lat cichej pracy tego uczonego i skrzętnego badacza, dały temat dla *Revue* do obszernej monografii, ciągnącej się przez trzy

zeszyty ostatniego rocznika. Okoliczność ta, iż potrzebował pomocy przy swych poszukiwaniach, miała korzystne następstwo dla nauki, gdyż zostawił dobrą szkołę. Najznakomitszym jego uczniem jest Van der Mensbrugghe, obecny profesor w uniwersytecie gandejskim, także syn jego Feliks Plateau zajął już wybitne stanowisko w nauce. W ogóle badania nad własnościami molekularnemi i prawami równowagi mas płynnych poza działaniem ciężkości, zyskały po nim szersze koło pracowników. Także i ziomek nasz prof. Wróblewski oddawał się przez czas jakiś podobnym badaniom, i cenny o nich memoryał przesłał naszej akademii nauk, zanim powołany został na katedrę uniwersytetu krakowskiego. Józef Plateau zostawił nam przykład nietylko ścisłej metody w badaniach, lecz i niezmordowanej pracy i niczem niezakłóconej pogody umysłu, pośród największych przeciwności; był bowiem nietylko znakomitym fizykiem, lecz i prawdziwym chrześcijaninem. Znał więc granice swej nauki i nie mięszał w nią hazardownych teoryj metafizycznych. Lubił on powtarzać słowa Augusta de la Rive: „Nauka jest wielką rzeczą, jej rola zaszczytna, lecz jej dziedzina ograniczona; opanowuje ona materyę, nie tłómaczy ducha.... i wszystko, co odkrywa w badaniu zjawisk fizycznych, utwierdza nas tylko w tem przekonaniu, że między niemi a duchem jest przepaść".

Innego rodzaju potęgą był *Sir William Siemens*. Z talentem inwencyi łączył talent użytecznego zastosowania swych odkryć; to też gdy pytał naturę o jej tajemnice, chodziło mu nietylko o teoryę, lecz i o praktyczne ich zużytkowanie w swym zawodzie inżynierskim. To też ze wszystkiemi prawie najgłośniejszemi dziś wynalazkami na szeroką skalę, nazwisko jego jest związane. Zastosowanie gazów jako materyału opałowego, telegrafy podmorskie, akumulatory elektryczności, elektromotory, przemienność i przenośność różnych sił na daleką metę, oświetlenie elektryczne... do rozwiązywania tych wszystkich wielkich zadań naszego wieku umiał przyłożyć się dzielnie i skutecznie. Nawet ogrodownictwo winno mu ważne odkrycie; dał mu w pomoc nowe słońce, dowiódłszy mnogiemi doświadczeniami, że światło elektryczne tak samo pędzi wegetacyę, jak promienie słoneczne, można więc za pomocą lamp elektrycznych oświecających nocą grządki ogrodowe, lub oranżerye, przyspieszać rośnięcie i dojrzewanie jarzyn i owoców. Z elektryczności zaś próbował

zrobić produkt industryjny, kanalizując ją jak wodę, powietrze komprymowane lub gaz; przyczem zwrócił pierwszy uwagę na nieużyte dotąd przez ludzkość potęgi wodospadów, w rozprawie swej: *On the transmission and distribution of energy by the electric current*, we *Philosophical Magazine* (Tom VII. z r. 1879). Z bratem swoim Wernerem skonstruował kolej z lokomotywą elektryczną *great attraction*, do ostatnich wystaw elektrycznych w Berlinie, Bruxeli i Paryżu, lecz sam przyznawał, że ten nowy sposób lokomocyi nie może jeszcze wytrzymać konkurencyi z parą. W ogóle różnił się tem od najgłośniejszego dzisiaj wynalazcy Edisona, że nie obiecywał więcej, niż mógł dotrzymać, był prawdziwym Europejczykiem, nie było w nim nic amerykańskiej blagi. Anglia oddała mu najwyższy swój hołd, grób w Westminsterze. Był to jednak tylko przybrany jej syn, z pochodzenia Niemiec z pod Hanoweru, ur. w r. 1823, dopiero w r. 1850 naturalizowany w Anglii. Na dowód zaś, jak szczytnie pojmował powołanie uczonego i misyę nauki, *Revue* kończy wspomnienie o nim, własnemi jego słowami do kolegów w *l'Association britannique*, gdy zaczepiając o odpowiedni ustęp z poezyi Longfellow'a, przemówił do nich: „Bądźmy zawsze na nogach i pracujmy; niech serce nasze gotowe będzie do wszystkich przeznaczeń, prowadźmy do końca rozpoczęte dzieło, szukajmy rzeczy nowych, ale umiejmy czekać. Wszystkie nasze wiadomości zmierzają koniecznie do jednego wielkiego końca: do afirmacyi istnienia Stwórcy!“

O oświetleniu elektrycznem jest jeszcze osobny artykulik w bibliografii *Revue* (zeszyt z kwietnia) z okazyi sprawozdania z ogromnej *Encyklopedyi Chemii*, jaką wydaje obecnie p. *Fremy* w spółce z wieloma profesorami i uczniami szkoły politechnicznej w Paryżu, w 10-ciu tomach, dających sumę dzisiejszego stanu tej nauki. (T. I. obejmuje chemię fizyczną, T. II. i III. ogólną nieorg. (metale i metaloidy), T. IV. analizę chemiczną, T. V. zastosowania praktyczne chemii nieorg., T. VI., VII. i VIII. chemię org., T. IX. chemię biologiczną i fizyologiczną, wreszcie T. X. zastosowania chemii org.) W tomie V. jest osobny fascykuł o oświetleniu elektrycznem (p. Violle), z którego pokazuje się, że światło elektryczne może zastąpić korzystnie nawet pod względem ekonomicznym dawniejsze sposoby oświetlenia po wielkich placach, dworcach, w magazynach,

teatrach i t. d., w domowym jednakże użytku jest stanowczo droższem od gazu, lampy naftowej i świecy.

W tejże bibliografii (zeszyt z lipca) znajdujemy także ciekawą wiadomość o innej zbiorowej pracy naukowej innego rodzaju. Przy uniwersytecie katolickim w *Louvain* stanęło laboratoryum 28 metrów długie, w którym mieści się 75 mikroskopów, i w którem pracuje dziennie 150 uczniów pod przewodnictwem ks. kanonika *J. B. Cornoy,* profesora botaniki i biologii ogólnej. Czegoś podobnego nie ma dotąd przy żadnym uniwersytecie europejskim. Prof. ks. Cornoy, opatrzony tak zasobnym aparatem naukowym, rozpoczął wydawnictwo wielkiego dzieła poświęconego komórce organicznej, p. t.: *La biologie cellulaire, étude comparée de la cellule dans les deux règnes.* Wyszedł już pierwszy zeszyt tego dzieła mieszczący rozdziały: o technice mikroskopowej, ogólne pojęcie komórki, jądro komórki. Całe dzieło zajmie 700—800 str., będzie to pierwsza monografia tych rozmiarów — o komórce, a jak wskazuje początek dzieła, będzie to nieodzowny podręcznik dla wszystkich, co się zajmują histologią, anatomią mikroskopową organizmów roślinnych, zwierzęcych i ludzkich.

Pominąć muszę artykuły: o górskich lodach i śniegach, o zorzach wieczornych, o pierwszym południku geogr., o ponownem zagajeniu i o zaludnieniu ziemi, o zwierzętach domowych, jakoteż mnogie wiadomości w części bibliograficznej i sprawozdawczej tejże *Revue,* by nie przedłużać tego przeglądu rzeczami mniej powszechny wzbudzającymi interes. Należałoby się za to pomówić nieco o dwóch zajmujących artykułach psychologicznej treści *Les Hallucinations par le Dr. Cuylits* i *La dualité cerebrale par le Dr. X. Francotte.* O tych jednak przedmiotach będziemy mieli sposobność nieraz jeszcze mówić w sprawozdaniach z *Revue philosophique,* które na przyszły miesiąc zostawiam.

Dr. Ignacy Skrochowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

Historya przeniesienia św. domku Loretańskiego p. *J. Vuillaume*, tłum. z francuskiego. (Odbitka z Missyj katolickich z illustracyą, 35 cent.)

Fakt nadprzyrodzonego porządku historycznie udowodniony, cud dotykalny i namacalny, to rzecz przydatna, moralnie zdrowa, powiem nawet, ciekawa dla naszego sceptycznego czasu. Otóż taką rzecz podaje nam p. Vuillaume w swojem małem ale treściwem dziełku o św. domku Loretańskim, napisanem z powodu przeszłorocznych napaści liberałów włoskich na cześć Matki Boskiej Loretańskiej i drukowanem w odcinkach gazety *Moniteur de Rome*. Wiemy wszyscy, jak wieczna cześć i wiara ludów chrześciańskich otacza ten święty przybytek; ale nie wystawiałem sobie, żeby fakt jego cudownego przeniesienia mógł być tak ściśle i niezaprzeczalnie udowodniony. Otóż u p. Vuillaume dowody idą w zwartym szeregu bez próżnej gadaniny, bez niepotrzebnego słowa: najprzód historyczne dokumenta, potem materyalne zestawienia miejscowości, wymiarów, materyału do budowli użytego i t. d.; następnie opatrznościowe wypadki, które w dalszym ciągu wieków stwierdziły prawdziwość tego cudu; w końcu najwiarogodniejsze powagi nauką i świętością opromienione. Dla wierzących jest czem się ucieszyć, a dla niewierzących czem się pouczyć.

Powinszować musimy autorowi, i podziękować polskiemu wydawcy.

Ks. M. Morawski.

O czci najśw. Serca Jezusa, studyum historyczne, napisał *Wincenty Witkowski*. Kraków, 1884, in 8-o, str. 172.

W Kościele bożym nic się nie dzieje od przypadku lub widzimisię ludzkiego. Tam każdy sprzęt kościelny, nawet świeca lub kwiat na ołtarzu, każdy aparat, czyli część stroju kościelnego, zawiera myśl głęboką, ma swoje znaczenie symboliczne. Tembardziej publiczne nabożeństwa, zakony lub bractwa religijne, te wyrosły z potrzeb czasu i ludzi i mają swoją genezę i rozwój historyczny, swoje dzieje a są objawem i komentarzem zarazem religijno-obyczajowego życia narodów katolickich. Od lat prawie 200 istnieje w Kościele nabożeństwo ku czci Serca Jezusowego, od lat kilkudziesięciu zakonne kongregacye Sióstr i księży Serca Jezusowego. Zawiązały się także po świecie całym ku czci tegoż Serca bractwa rozliczne, powstało lat temu kilkanaście bractwo Apostolstwa modlitwy; wszystkie razem liczą kilka milionów członków i obejmują swą siecią świat cały, a nieprzyjaciołom Kościoła spodobało się nazwać je „czarnym internacyonałem“. Początek, rozwój i dzieje tej czci Najśw. Serca Jez.. tych nabożeństw i tych bractw i zakonów opracować i przedstawić krytycznie, to zadanie godne historyka i kapłana, tembardziej, że literatura nasza kościelna już w XVIII. wieku wyliczyć może kilkanaście dzieł, odnoszących się do czci Serca Jez. (Przytoczyłem je w „Żywocie Matki

Barat, założycielki zakonu Sióstr Serca Jezusow." str. 220, 445). I oto ks. Witkowski ofiaruje nam swoje studyum historyczne. Chwytamy skwapliwie, rozczytywujemy się pilnie i cóż? zamiast poważnego studyum spotykamy się z anarchicznem, bałamutnem, jakiemś luźnem i dowolnem przedstawieniem kilku rzekomo historycznych poglądów, przeplatanych przezwiskami, kilku niepoprawną francuszczyzną spisanemi frazesami, i polemiką z *Niwą* i *Przeglądem powszechnym*, a to wszystko zakończone ascetyczno-proroczym programem, zaczerpniętym z liturgii kość. na dzień Najśw. Serca Jez. i przyczepką o czci Najśw. Panny. W całej tej o 172 str. książeczce jest zaledwo 30 str. o Sercu Zbawiciela Pana, podczas gdy 142 stronic zapełnionych historyozofią osobistą i polemiką również osobistą autora. Czy się to godzi? Rzeczy tak wysoko świętej i zacnej, jak są badania nad powstaniem czci Serca Jez. czy godzi się używać do wylania swych żalów albo do sporów z tymi, którzy mieli nieszczęście mieć inne zdanie, jak autor, albo osądzili ostro, ale sprawiedliwie, inną jego książkę (Rok 1573)?

Kto jak ks. Witkowski zawzięcie potępia anarchię i nazywa ją „piekielnym patosem szatana" (str 110), ten powinien w swoich „studyach historycznych" dać wzór ładu i porządku w poglądach, w rozumowaniach i w wnioskach, dać przykład karności i poszanowania dla przyjętych w piśmiennictwie praw i zwyczajów a przedewszystkiem szacunku dla siebie, jako historyka-kapłana i dla czytelników. Tego wszystkiego tam niema. Niema w tem studyum ładu i porządku, stąd te same poglądy, te same sądy na reformacyą, Ludwików XIV. i XV., na punkta galikańskie i zepsucie duchowieństwa, i słuszne zresztą i sprawiedliwe wywody, że reformacya stała się źródłem filozofii XVIII w., że ta rozpsuła społeczeństwo, że jest bez miłości, powtarzają się na str. 22—35, dalej na str. 50, 70, 71, 73, 74, 86, 87, 88, 98, 136, 144—148. Epoki swoich badań naznacza sobie autor dowolnie i przekracza je też dowolnie. I tak na str. 19—35 spotykamy się z poglądem na wieki XIII.—XVII. Dla czego nie do XV. tylko albo do XVIII. także? Nie wiemy, bo o wieku XVII., z wyjątkiem ostracyzmu zresztą słusznego na punkta galikańskie, nic tam niema, za to jest tam coś a przynajmniej tyle, co o XVII. wieku, także o wieku XVIII. (str. 34, 35). Mówiąc o Polsce (str. 99 do 128), zamiast podać choć w treści listy Augusta III., króla Leszczyńskiego i ośmiu biskupów do Klemensa XIII. i ich zabiegi w celu rozkrzewienia czci Serca Jezusowego, stawia ks. W. swoje teorye polityczne i polemizuje z wrzekomymi przeciwnikami. Przyczem miesza wszystko, i ślub Jana Kazimierza w katedrze lwowskiej 1656 r. i znaczenie historyczne Częstochowy i konfederacyę Radomską i „Sejm czteroletni" Kalinki i kwestyę indywidualizmu i anarchii z punktu przykazań Bożych i sentencye „Niwy" i polemiczne wywody przeciw krytykowi *Przeglądu powszechnego* o pochodzeniu władzy (str. 114—126) i jakieś cudowne a złowrogie znaki na niebie (str. 127), i znów wraca do Radomskiej konfederacyi i sejmu 1780 r. „sejmu Baltazara", który „uroczyście wolą narodu kasuje ślub Jana Kazimierza" (str. 127). Wszystko to pomięszane, pogmatwane, zaprawione żółcią, świadczy aż nadto, że ten, który te karty pisał, nie ma ani ładu w głowie, ani spokoju w sercu. W każdym niemal rozdziale jakaś digresya, odstąpienie od rzeczy. I tak w rozd. 3-cim „o objawieniach bł. Małgorzaty", rozprawia szeroce o znaczeniu konfra-

ternij" (str. 43—46) i odpustach (str. 46—50). Czyż zamiast tych rozpraw na mało przydatnych nie należało podać choćby krótki pogląd na powstanie bractw i zakonnych kongregacyj, pod imieniem Najśł. Serca Jezus. powstałych? Wszak bractwa te liczą się na tysiące a ich członkowie na miliony; wszak księża Serca Jezusowego pod koniec przeszłego wieku odegrali wraz z „księżami wiary" niemałą rolę we Francyi i Włoszech; wszak zakon Sióstr Serca Jezusowego liczy blisko 5.000 osób; wszak istnieją dzisiaj, w Francyi zwłaszcza i krajach zamorskich, misyonarze-kapłani Serca Jezusowego; wszak to są ważne czynniki i motywa do studyów nad czcią Serca Jez. — ale o tem ani słowa w całej tej ramocie. I ten brak ładu i loiki, ten brak spokoju i równowagi, ta nerwowość i narowistość w zdaniach, sądach i rozumowaniach, to pierwsza główna charakterystyka pism ks. Witkowskiego; anarchię potępia, a w swych książkach sam jest anarchistą.

Nie ma też u niego karności i poddania się przyjętym w pisarstwie zwyczajom etycznym, ani należnego szacunku dla czytelnika i dla samego siebie. I tu ks. W. jest anarchistą; zdaje mu się, że mu wszystko wolno, że wolno wplatać w tekst polski nie już słowa ale całe ustępy i strony lichej francuskiej gadaniny (str. 95, 135, 137), albo popisywać się także nieświetną małoruszczyzną — a przedewszystkiem, że mu wolno łajać, wyzywać i wymyślać choćby i biskupów. Oto próbki: „francuscy biskupi z Bossuetem na czele dokonywują swoje bezmózgie o 4 punktach łotrowstwo (str. 31) .... duchowieństwo wydało sybarytów, satrapów świątyni (str. 71), szatan szlachcic (str. 101). Ogół (szlachty) składał się ze zgniłych energumenów anarchii (str. 104). Jak czworonóg jaki poprzestawał (August III.) na jadle i napoju" (str. 105). Konfederaci radomscy a więc między nimi biskup Sołtyk, Wacław Rzewuski i ich towarzysze, wysłani w głąb Rosyi za opór przeciw prawom na korzyść dyssydentów, nazwani są: „potwory bezczelne", okrywające się togą Brutusa... niecne brutusy... nędznicy zdemaskowani" (str. 109). Konfederacya radomska „to piekielny patos szatana" (str. 110). Powstanie Kościuszki „to łabędzia pieśń czarnego demona anarchii" (str. 128) i t. d. Pytamy, kto dał ks. Witkowskiemu prawo obrażać oczy i uszy ludzi uczciwych wyrażeniami gminnemi? Kto mu dał prawo wyzywać dygnitarzy Kościoła i lżyć ludzi swoim osobistym charakterem prawych, choć może politycznie szkodliwych? Taka metoda stylu niepraktykowana w poważnem piśmiennictwie. Zarzuca ks. Witkowski protestantyzmowi, brak miłości i to na kilku miejscach i słusznie, ale tak samo jak powstając na anarchią, sam jest anarchistą w myślach i sądach; tak pism jego drugą główną charakterystyką jest „brak miłości". Wieje z nich jakiś duch jadowity, niedobrze się robi formalnie czytając te wrzekome studya historyczne zaprawione żółcią nienawiści albo sarkazmu. I tak przytoczywszy rozdzierający serce ślub Ludwika XVI. w więzieniu w przededniu niemal śmierci, dodaje „mudryj Lach po szkodi, jak koni wkrały tohdy stajniu zaczynaje" (str. 91). Czy to licuje z powagą autorską a bardziej jeszcze z powagą i majestatem chwili tak tragicznej? Podobne śluby ale w innych warunkach, składał król nasz Jan Kazimierz w katedrze lwowskiej, ślubował przedewszystkiem znieść niewolę ludu. „Tu, dodaje nasz autor, rozległ się głos szatana, co był polskim szlachcicem „zje djabla że tego dokaże". (str. 101). Nie wiem, o ile ten

szczegół jest historycznie pewny, ale w ten sarkastyczny sposób przytoczony i kilkakrotnie a zawsze z przekąsem wyzyskany, razi, oburza czytelnika, który od autora-kapłana ma prawo domagać się wszystkiego, tylko nie szyderstwa.

A strona dogmatyczna książki czy wolna od błędów? I to nie. Pomijając wiele niejasnych i niedokładnych określeń i twierdzeń, autor stawia jako przedmiot czci Serca Jezusowego „wynagrodzenie za wyrządzone Chrystusowi obrazy i zniewagi nadewszystko w Najśw. Sakramencie Ołtarza utajonemu“ (str. 78.) Tymczasem bula papieża Piusa VI. *Auctorem fidei* powiada: że tym przedmiotem jest samo rzeczywiste ludzkie Serce, złączone z boską naturą Jezusa, *ut est Cor Jesu, Cor nempe personae Verbi, cui inseparabiliter unitum est, sine separatione aut praecisione a Divinitate adorabile.* Niepodobna aby ks. W. o tej definicyi papieskiej nie wiedział, dlaczegoż ją pominął? Jest w tem jak i w całej dogmatycznej części tego „studyum“ pewna niesłychana powierzchowność, eklektycyzm i lekceważenie czytelnika. Należało tu przecie rozróżnić *objectum materiale ab objecto formali*, inaczej czytelnik może być w błąd wprowadzony, i sądzić że tylko symboliczna cześć oddaje się Sercu Zbawiciela, a nie rzeczywista Boska, *latreutica*, zwłaszcza że w tym sensie jest dalszy wykład (str. 78—83). Należało choćby w streszczeniu podać wyczerpujący wykład ks. Nilles'a *De rationibus festorum Sacratissimi Cordis Jesu*, (tomy 2), a nie puszczać się na swoje osobiste bardzo powierzchowne i niewytrzymujące naukowej krytyki poglądy.

Oceniliśmy i to dosyć jeszcze łaskawie „studyum“ ks. Witkowskiego. Wynik oceny, że to nie studyum, tem mniej studyum historyczne. Zadaliśmy sobie tę niewdzięczną pracę głównie dla tego, aby zaprotestować przeciw tego rodzaju bałamutnemu i bezmiłosnemu traktowaniu rzeczy poważnej i świętej, które autorowi zaszczytu nie przynosi, a sprawie nauki i wiary jest arcy-szkodliwe.

S. Z.

Z dzieł historycznych.

Le Saint-Siége, la Pologne et Moscou 1582—1587 par le *P. Pierling S. J.* Paris 1885. (w 16-ce, str. 185. wyd. elzew. 2 fr. 50 cnt.)

W styczniowym zeszycie r. z. w kwartalniku *Revue de questions historiques* str. 167—215 ogłosił rosyjski Jezuita, ks. Pierling, na podstawie odszukanych przez siebie w archiwum watykańskiem dokumentów rozprawę p. t. Polska, Stolica św. i Moskwa. Posługując się nią i dopełniwszy ogłoszone w niej dokumenta źródłami polskiemi, umieściliśmy w czerwcowym i lipcowym zeszycie *Przeglądu powszechnego* rozprawę p. t. Wojenne plany Stefana Batorego, która zyskała uznanie nawet ze strony pism liberalnych, jak *Nowa Reforma.* I właśnie ta okoliczność uwalnia nas od obszerniejszej oceny powyższego dziełka. Jest ono bowiem tylko nowem wydaniem wyż wspomnianej rozprawy w *Revue historique,* uzupełnionem kilku nowemi, bardzo cennemi dokumentami z bibl. Watykanu z których dwa: pod l. VIII. (list Possewina do kard. di Como z d.

29 sierp. 1584) i XV. (instrukcya Batorego dana kardynałowi Batoremu do Rzymu), opowiadają bardzo szczegółowo plany królewskie względem wojny moskiewskiej. Podajem dotyczący ustęp z instrukcyi króla. Wykazawszy obszernie i wywodnie konieczność opanowania w jakikolwiekbądź sposób pierwej w. księstwa Moskwy, jeżeli się chce skutecznie wojować z Turcyą, i zapowiedziawszy gotowość swoją do wojny moskiewskiej, oświadczyć każe król Papieżowi, że zdaniem jego, wojny tej dokonać może w trzech latach, mając 24,000 jazdy i armię pieszą. „Gdyby Moskale (Mosci) nie ufając swym siłom i swemu księciu, a przestraszeni wojskiem (polskiem), z drugiej zaś strony zawezwani uprzejmie, dobrowolnie przeszli na stronę królewską, toby sprawa mniejszym zachodem załatwić się dała; żołnierzy bowiem konnych i pieszych zebrać można w Polsce za niebardzo wysoki żołd, gdyż wiele *oni* sobie ważą łaskę królewską. Zwykle kwartalny żołd jeźdźca nie wynosi więcej nad 15 złp., co nie czyni nawet 10 dukatów, pieszego 12 złp. t. j. 7 dukatów; coś się dopłaca porucznikom i namiestnikom pocztów chorągwi. Połowę całego nakładu na wojnę przyjmuje na siebie król, jeżeli reszty dostarczy Papież. Król JM. w imię Boże i pod opieką Papieża zabrałby się raczo do dzieła i dołożyłby starań, aby Papież nie pożałował kosztów i przedsięwzięcia tej wyprawy".

Jeżeli dziełko samo niezmiernie ciekawe, do dokumenta w dwudziestu dopiskach z oryginału dosłownie przytoczone a dotąd nieznane, są wielkiej doniosłości dla pracujących na polu historyi. Redakcya nasza pośredniczyć może w nabyciu tego dziełka. *S. Z.*

PILTYŃ I ARCHIWUM PILTYŃSKIE, przez *Gustawa Br. Manteufla.* Odbitka z Biblioteki Warszawskiej. Warszawa 1884, str. IV. 36.

W nowej tej monografii zapoznaje nas znowu Br. Manteuffel z jednym nieznanym dzisiaj, głośniejszym niegdyś zakątku dawnej naszej Rzeczypospolitej. Piltyń, obecnie nędzna mieścina w gubernii kurlandzkiej, był w wieku XIII. stolicą biskupią, a później, po sekularyzowaniu biskupa piltyńskiego za czasów reformacyi, przechodził z rąk do rąk, różnych i smutnych przytem doznając kolei. *W połowie XVII. wieku* dozwoliła Rzplta Polska na połączenie Piltynia z Kurlandyą; w XVIII. w. panowała w Piltyniu najokropniejsza anarchia a 1796 weszło to drobne państewko w skład cesarstwa rosyjskiego; Są to główne daty dziejów Piltynia, ktoby się im chciał bliżej przypatrzyć, ten znajdzie obfite i nader ciekawe materyały w archiwum piltyńskiem, umieszczonem obecnie w Mitawie, a uporządkowanem w r. 1875 przez uzdolnionego, lubo nie zawsze bezstronnego historyka dr. Teodora Schiemanna. Br. Manteuffel streszcza w swej pracy najważniejsze dokumenta, przechowane w tem archiwum; o wielu innych krótko wspomina, jakby chciał zachęcić innych pracowników do czerpania w tem bogatem źródle. Wybornie wykonana mapa ziemi piltyńskiej z roku 1747, ułatwia czytelnikowi zapoznanie się z tą, zaledwie z imienia znaną cząstką dawnej Rzpltej. *S. Z.*

Z dzieł literackich.

Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami. I. Antoniego Malczewskiego Marya. Wstępem, żywotem poety i objaśnieniami opatrzył *Piotr Parylak* c. k. profesor gimnazyalny w Stanisławowie i członek komisyi językowej Akad. Umiej. w Krakowie. Tekst przejrzany, krytycznie porównany i według potrzeby poprawiony. Lwów, 1884.

Wydanie niniejsze, podjęte na wzór wydań niemieckich arcydzieł piśmiennictwa, ma zaradzić potrzebie młodzieży, która czyta w szkołach najcelniejsze dzieła poetów, i szerszej Publiczności, która, chcąc się bliżej zapoznać z utworami mistrzów narodowych, nie ma ani czasu ani sposobności wnikać głębiej w pierwszorzędne płody literatury naszej. Tak przemawia wydawca w „słowie do czytelników". Myśl zaiste szczęśliwa. Słusznie też, „nie goniąc bynajmniej za rzeczami nadzwyczajnemi, chciano w tem wydaniu podać krótkie wiadomości najważniejsze, wyniki badań najnowszych, dotyczące wydawanych utworów, by tym sposobem ułatwić czytelnikom zrozumienie i głębsze wniknięcie w utwór rozbierany".

Próbą urzeczywistnienia tej myśli wydanie „Maryi". Początek każdy jest trudny, a trudniejszym czynią go niekiedy warunki, wśród jakich człowiek się znajduje: w Stanisławowie zapewnie nie tak łatwo pisać i wydawać, jak w Krakowie i Lwowie, gdzie się ma pod ręką biblioteki. Wobec tego może mniej dziwnem wydać się krytyce, że wydawca powołuje się na „Historyę literatury polskiej Mecherzyńskiego i Kuliczkowskiego", podręczniki szkolne, niewyczerpujące rzeczy. Dla nas ważniejszem jest pytanie, czy metoda, jakiej się trzymał prof. Parylak przy wydaniu Maryi, odpowiada celowi, jaki sobie obrał. Otóż postąpił on sobie w ten sposób. Po „Słowie do czytelników" mamy „Wstęp", a w nim I. „Historyczną podstawę utworu", II. „Treść poematu", III. „Zmiany w poemacie", IV. „Nieco o życiu i pismach poety", V. „Pomysł do utworu", VI. „Śród jakich warunków powstał poemat i jak został przyjęty? Tłómaczenia na obce języki", VII. „Rodzaj poezyi", VIII. „Budowa poematu". Po tym wstępie następuje sam utwór z objaśnieniami językowemi i egzegetycznemi, podzielony na pieśni i ustępy, a na czele każdego ustępu znajduje się treść jego. Mamy wreszcie „Charaktery osób", i rzecz „O języku w Maryi".

Na tę metodę niezupełnie się godzimy. Z całego wstępu pozostawilibyśmy na czele wydania tylko życiorys poety i historyczną podstawę utworu: pierwsze dla przyjętego zwyczaju, drugie dla zaostrzenia ciekawości, co też poeta z danego materyału potrafi stworzyć. W życiorysie mógł wydawca uwzględnić, wśród jakich warunków powstał poemat, jak był przyjęty i na które obce języki tłómaczony, a w „historycznej podstawie" mieści się „pomysł do utworu". Wszystko inne ze „Wstępu" powinno być umieszczone po tekście „na końcu książki", jak tego wymagają względy pedagogiczne. Nie wiem również, czy szczęśliwą jest myśl podawania treści na czele każdego ustępu: wolałbym to widzieć albo w adnotacyach „u dołu", jak to czynią wydawcy autorów klasycznych, albo zgoła na końcu książki, a sprzeciwiałbym się przerywaniu utworu jakiemikolwiek uwagami. Tyle co do formalnej strony wydania.

Co do samej rzeczy, nadmieniłbym, że zbyt niewolniczo poszedł wydawca za „Starościną Bełską“ w opowiadaniu historycznej podstawy poematu, że w objaśnieniach językowych czasem jest zbyt drobnostkowym. Na co się przyda objaśnienie, że poeta użył „gdzie pędzisz kozacze“, zamiast „dokąd“, że pąk znaczy pączek i t. p. Myli się szan. profesor, sądząc, że „parowy“ w wyrażeniu „krążąc parowy“ jest formą czwartego przypadku, „parowy“ bowiem powiedział tu poeta zamiast „parowami“ i myśl jest całkiem jasna. Drobnych takich usterek znalazłoby się może więcej. *S. M.*

Przęsło ze Zwierzyńca *Mikołaja Reja*, Poznań, nakładem biblioteki Kórnickiej, 1884 in 4-to str. CIV.

Ze śmiercią hr. Jana Działyńskiego zamarły na lat parę wspaniałe wydawnictwa biblioteki Kórnickiej i tęskno nam było do tych, prawdziwie mecenasowskich publikacyi rzeczy ojczystych. — Więc z radością niemałą spotykamy się obecnie z drugą częścią Zwierzyńca Reja, zatytułowaną jeszcze przez ś. p. hr. Tytusa Działyńskiego: Przęsło ze Zwierzyńca Reja. Pilno nam powiadomić lubowników ksiąg polskich o tej nowej publikacyi, którą zawdzięczamy hr. Władysławowi Zamoyskiemu, dzisiejszemu właścicielowi biblioteki Kórnickiej. Dzieło to heraldyczne, pisane wierszem, a zawierające charakterystykę stanów y domów niektórych zacnego narodu polskiego, okazale drukowane gotykiem w drukarni Dr. Łebińskiego w Poznaniu, przyozdobione 196 herbami polskiemi, podług wydania z roku 1574. Oprócz przemowy Dr. Zygmunta Celichowskiego, datowanej w Kórniku 14 listopada 1884, ma dodane jeszcze staranne drzeworyty dwóch wizerunków Reja, trzech wizerunków Zygmunta I., dwóch wizerunków Zygmunta Augusta, trzech wizerunków Bony i dwóch wielkich zygmuntowskich orłów. Publikacya ta w parze iść może z najpierwszemi tego rodzaju zagranicznemi wydaniami a ozdobą być każdej biblioteki i wykwintnego salonu. *I. P.*

Teorya Statystyki w zarysie. Część I. Zasady ogólne i część historyczna. Opracował *Witold Załęski*. Warszawa, star. i nakł. Red. Bibl. Umiejętności prawnych 1884. Druk S. Orgelbranda Synów, 8, str. 266.

Znany pracownik na polu tej umiejętności, b. docent statystyki porównawczej w Szkole Głównej warszawskiej, profesor Uniwersytetu warszawskiego i kierownik bióra statystycznego, ogłosił rezultaty wieloletniej pracy naukowej, wzbogaconej własną praktyką. Po raz to pierwszy spotykamy się z dziełem oryginalnem w języku polskim, traktującem naukę tak rozpowszechnioną ostatniemi czasy, jako podstawa wszelakich poszukiwań naukowych.

Część I., którą mamy przed sobą, zawiera ogólne zasady statystyki, jako metody i nauki, więc rozbiór i zachowanie *indykcyi i dedukcyi*, *teoryę* prawdopodobieństwa, dalej historyę nauki od jej zaczątku we Włoszech w XV. w. do ostatnich lat. Zastosowania jej do administracyi od najdawniejszych czasów w Chinach, Persyi, Grecyi i państwie Rzymskiem, oraz obecny stan statystyki administracyjnej w państwach europejskich i Stanach Zjednoczonych. Wreszcie streszczenie rezultatów kongresów statystycznych od 1853 (w Bruxeli) do 1874 (w Peszcie) i właściwą organizacyę komisyj i biór, oraz sposoby przedstawiania danych statystycznych w tablicach liczbowych lub graficznie.

Jasno i przystępnie traktowana ta tak żywotna choć sucha na pozór nauka w książce prof. Załęskiego, wzbogaca literaturę naszą nauk ścisłych, z niecierpliwością też oczekujemy dalszego ciągu tej pracy t. j. statystyki porównawczej głównych gałęzi działalności ludzkiej, będącej niejako bilansem jej z możliwie matematyczną dokładnością obrachowanym, a którą to część szanowny autor wkrótce na widok publiczny podać przyobiecuje. Żałujemy tylko, że sz. autor zapuścił się niepotrzebnie w „rezultaty poszukiwań nad wolnością woli ludzkiej“ za przewodnikami niekoniecznie szczęśliwie wybranymi, a z pominięciem „rezultatów“ do jakich przyszli Paweł Janet i najgłębsi tej kwestyi badacze. Powiedziawszy doskonale, że statystyka z całą regularnością swych wyników, niczego przeciwko wolności woli nie stanowi, mógł sz. autor na tem poprzestać, gdyż to jedynie do przedmiotu należało. Dalej się zapuszczać, by skończyć wątpliwością — było w takiej książce nie na miejscu. Zresztą zarzut ten tylko paru kartek tej cennej książki dotyczy. *A. B.*

PAULINA córka Ewy Felińskiej. Napisał brat jej *ks. Zygmunt Szczęsny Feliński*. Lwów 1885.

Na pograniczu złotych wołyńskich łanów i tęsknych borów Polesia, kędy się wije błękitna wstęga Styru — na grzędzie szlacheckiej zagrody, wyrósł cichy, domorosły fiołek. Zwabiony urokiem i wonią przechodzień spojrzał i szedł mimo w dalszą drogę, nie domyślając się skarbów zawartych w tej w tej wątłej roślince, ukrytej wśród traw i ostów. Dziś dopiero czcigodny autor Pauliny odsłania nam to ciche lecz piękne życie, które cnotami domowemi jaśniało, i zgasło aureolą cierpienia uwieńczone.

Córka Ewy Felińskiej, poświęceniem swojem oplotła życie matki jak wieńce bluszczu oplatają konary rozłożystego dębu, byt swój krasie jego poświęcając, ale w nim tylko szukając podpory. Opowieść też życia Pauliny tak ściśle związana z życiem jej matki wygnanki z Berezowa, że widzimy w niej dopełnienie przed laty ogłoszonych przez Ewę Felińską Pamiętników z życia i Wspomnień z pobytu w Berezowie, prac które szerokie koło publiczności zainteresowały przedmiotem tak bliskim każdemu szlachetnemu sercu. Rzewna prostota wspomnień z tej krainy lodów, równie jak wiele głębszych myśli, które płynęły z pod pióra tej prawdziwej niewiasty chrześcijańskiej spopularyzowały te dzieła, tak że dziś witamy Paulinę jako córkę dobrze nam znanej i czcią otoczonej autorki Wspomnień Ewy Felińskiej.

Przypatrzmy się teraz jak nam maluje ks. arcybiskup ten typ polskiej dziewicy.

Młodziutką, zaledwie wyszłą z dzieciństwa Paulinę, dotyka miłująca ją ręka Boża, oddając jej opiece pięcioro osieroconego rodzeństwa po ukochanej matce — wygnance, wkładając na kilkonastoletnią dziewczynę obowiązek czuwania, wychowania i zabezpieczenia bytu rodziny.

Od chwili tej widzimy Paulinę całkowicie tej myśli oddaną z zupełnem zaparciem się siebie, walczącą z przeciwnością i z popędem własnego serca które pociągało ją do połączenia się z matką na wygnaniu, poświęcając się jej wyłącznie. Młoda ta dusza łamiąc się w zapasach życiowych, wychodzi z nich jednak zawsze zwycięsko, skłaniając ucho ku głosowi ciężkich, ale wytkniętych jej przez Boga obowiązków. W lat kilka dopiero powolna woli matki, wstępuje w związki małżeńskie, i dziwny zbieg okoliczności

pozwala żonie wygnańca znaleść osłodę w tyle upragnionem spotkaniu się z matką, lecz i ta pociecha była krótkotrwałą, gdyż niebawem anioł śmierci zabiera mężowi i matce tę, którą władała wyłącznie miłość i ofiara, a w której najbardziej badawcze oko nic ziemskiego dopatrzeć nie mogło.

Wiązanka listów Pauliny do matki stanowi osnowę książki, do której ks. arcybiskup ze wspomnień dzieciństwa swego dodał opowieść o gniazdku rodzinnem i młodych latach siostry, która rodzeństwu matkę zastąpić umiała. Prostota, z którą autor przypuszcza czytelnika do oglądania tych bogów domowych, chwyta za serce i książce nadaje urok prawdy, z którym w literaturze dzisiejszej tak rzadko się spotykamy. Szczegóły powszednie nawet, tym duchem owiane, nabierają interesu, a ważniejsze i rzewne przejścia rodziny podziela czytelnik z bijącem sercem, korzystając z niejednego trafnego zdania o stosunkach moralnych i społecznych, które wymykają się mimowoli autorowi w toku opowiadania o wypadkach; są one małą ale rzewną cząstką, smutnych dziejów naszych. *M. S.*

Dzieła Platona, przekładał z greckiego *Antoni Bronikowski*. Tom trzeci. Poznań, 1884.

Prof. Dr. Antoni Bronikowski, zmarły przed niedawnym czasem, znany już światu literackiemu jako tłómacz klasyków greckich; już od r. 1857 pojawiały się zwolna tłómaczenia Xenofonta, Herodota, Homera, Tucydydesa, Plutarcha i Platona. Niezmordowany był to pracownik. Przygotować tłómaczeń na 200 przeszło arkuszy druku, tłómaczeń z autorów klasycznych, to praca olbrzymia. Język tych tłómaczeń wydaje się czasem chropowatym, czasem zbyt ociężałym; spotykały też ś. p. Bronikowskiego z tego powodu liczne zarzuty. Ale było to zasadą ś. p. Bronikowskiego, aby tłómaczyć jak można najbardziej dosłownie. Przez to doznaje się przy czytaniu jego tłómaczeń wrażenia, jakboby się czytało oryginał, ale na tem z drugiej strony musiał ucierpieć duch języka polskiego. Dotyczy to jednakże głównie tylko budowy zdań, bo zresztą język ś. p. Bronikowskiego jest czysty, a nieraz przypomina nawet pisarzy XVI. w. Zasadzie dosłownego tłómaczenia pozostał ś. p. Bron. wiernym do śmierci, jak tego dowodzi ostatni tom tłómaczeń Platona, który mamy przed sobą; cośmy więc w ogóle o jego tłómaczeniach powiedzieli, to dotyczy i tego tomu.

S. M.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Stolicy św.

Stosunki patryarchy konstantynopolitańskiego z delegatem Stolicy św. — Dokończenie wywłaszczenia Propagandy. — Jej protest — Groźba dalszych zamachów na majątek kościelny. — Audyencye u Ojca św. — Dziennikarstwo włoskie.

Jednym z wybitniejszych wypadków ostatnich czasów jest znajome już z gazet zawiązanie pewnych stosunków między Stolicą św. a nowym patryarchą Carogrodzkim Joachimem IV. Wiadomą jest rzeczą, że ten dostojnik kościoła greckiego jeszcze przed wyniesieniem swojem odwiedzał Rzym, studyował w bazyliańskim klasztorze pod Grotta Ferrata kwestyę Unii i prymatu, mówią nawet, że był na audyencyi u Ojca św. W każdym razie uchodził między swoimi za jednego z najprzychylniejszych dla Kościoła katolickiego. Niemałe więc sprawiło wrażenie wybranie takiego męża na najwyższego hierarchę kościoła wschodniego; a spotęgowała jeszcze to wrażenie wiadomość, że zawiązują się niebywałe dotąd stosunki dyplomatycznej grzeczności między nowym patryarchą a przedstawicielem Stolicy św. w Konstantynopolu Mgr'em Rotelli. Greckie i tureckie gazety oceniły ten fakt z wielką przychylnością i w różnych krajach, nawet niekatolickie pisma podniosły jego doniosłość. Tak np. liberalna *Nouvelle Revue de Paris* w obszernym artykule uwydatniając pożałowania godny rozdział dwóch kościołów i zgubne skutki jego dla cywilizacyi, przywięzuje niezmierną wagę do zamiany odwiedzin między ks. Rotellim i patryarchą greckim i dodaje te słowa: „Dzięki Leonowi XIII. układy określające pomiędzy dwoma kościołami

modus vivendi, któryby zastrzegał patryarchatowi niezależność religijną, z zadziwiającą szybkością przyszły do skutku". Lyońskie Misye katolickie podają zajmujące szczegóły tego zbliżenia, opisane przez korespondenta ich konstantynopolitańskiego. Inicyatywa Mgr'a Rotelli w nawiązaniu stosunku z patryarchą Fanaru nie pozostała bezskuteczną. Patryarcha Joachim IV. nie omieszkał posłać w dzień Trzech Króli wielkiego wikaryusza swego do rezydencyi Mgr'a Rotellego dla oddania mu należnej grzeczności. Nuncyusz był wówczas nieobecnym, lecz nazajutrz zaraz pospieszył z posłaniem do patryarchatu greckiego swojego wikaryusza generalnego Msgr'a C. Testa, wraz z sekretarzem swoim i bratem tegoż ks. Celli, dla podziękowania Joachimowi IV. za jego uprzejmość. Msgr Testa i dwaj jego towarzysze przyjęci zostali z oznakami wysokiego szacunku, a rozmowa toczyła się przyjacielsko i swobodnie. Tegoż samego dnia, jako w imieniny patryarchy Ormian katolickich Msgr'a Azariana, znajdował się u niego Msgr Rotelli, gdy nadszedł wikaryusz patryarchy greckiego wraz z referendarzem patryarchatu, dla złożenia życzeń od Joachima IV.; przy tej sposobności odbyła się nowa wymiana życzeń co do unii obu kościołów pomiędzy trzema tymi dygnitarzami, a całe zgromadzenie duchownych i świeckich dygnitarzy, zebranych w owym dniu u Msgr'a Azariana, uczuło się przyjętem radością w obec faktów, świadczących o możliwości wydarzenia tak szczęśliwego.

Wielki Logotet patryarchatu greckiego, jeden z pierwszych, którzy mieli myśl tego zbliżenia, odwiedził w dniu 7 stycznia Msgr'a Azariana i udzielił mu wiadomości, iż Joachim IV. umyślnie wybrał dzień Trzech Króli na odwiedziny u wysłańca Stolicy św., aby okazać publicznie, że przybliżenie się jego nie jest objawem grzeczności prywatnej, lecz pragnieniem porozumienia się braterskiego na polu kościelnem. Msgr Azarian z swojej strony, korzystając z dawnej przyjaźni z patryarchą, gdy jeszcze był arcybiskupem w Dercon, i z zażyłości z w. Logotetem Aristarchi Beyem, przygotowywał od dawna drogi tego zbliżenia; obecnie zachęcał bardzo tego ostatniego do wytrwania w obranym kierunku. Nastąpiła z tego powodu między tymi dwoma dygnitarzami wymiana myśli, mająca na celu usunięcie po kolei wszystkich przeszkód pojednania się. Ludzie, śledzący biegu tych wypadków na Zachodzie, mogą słuszną żywić otuchę, że nun-

cyusz papieski i patryarcha ormiański pochwycą każdą sposobność, aby prowadzić dalej dzieło zaczęte pod tak dobrą wróżbą.

W Rzymie tymczasem ucisk Kościoła od rządu włoskiego trwa i postępuje dalej. W chwili kiedy wojna chińska i anneksye różnych państw po różnych wybrzeżach Afryki narażają Misye na klęski i Propaganda coraz większych potrzebuje zasobów dla ratowania ich bytu, w tej chwili właśnie niecna grabierz majątku Propagandy wykonuje się do ostatka, i z tego powodu kardynał prefekt Propagandy wydał w święto Trzech Króli list okólny do wszystkich biskupów katolickich, którego tu pominąć nie możemy, choć już z gazet treść jego znajoma:

„Najprzewielebniejszy księże Biskupie! Wyrok sądu kasacyjnego rzymskiego, dekretujący konwersyę dóbr nieruchomych tej świętej Kongregacyi, został obecnie prawie całkowicie wykonany. A zatem środki, jakiemi rozporządzała ta instytucya świat ogarniająca, założona przez Papieży dla rozszerzania Ewangelii i cywilizacyi, będą jedynie zależały odtąd od dobrej woli rządu, który w r. 1870 środkami wszystkim wiadomemi zabrał w posiadanie Rzym, oświadczając: iż bierze na siebie w obec Europy i świata katolickiego odpowiedzialność utrzymania i ochrony Papiestwa, i obiecuje uroczyście, iż zachowa dla Głowy Kościoła na brzegach Tybru stolicę świetną i niezależną od wszelkiego świeckiego panowania. (List Wiktora Emanuela do Piusa IX. z 8 września 1870). Gdy w tej tak bolesnej okoliczności Wasza Przewielebność podniosłeś głos dla napiętnowania tego czynu i okazałeś jawnie swoje i wiernych swej pieczy powierzonych współczucie w obronie praw tej instytucyi tak zasłużonej; sądzę przeto, że Wasza Przewielebność przyjmiesz z boleścią do wiadomości, iż wspólne usiłowania całego Episkopatu, i najzacniejszych członków świata katolickiego a nawet niektórych obcowierców, nie zdołały zatrzymać działania władzy, pozwalającej sobie obecnie w obec całej Europy dopuszczać się bezkarnie wszelkich nadużyć, wymierzonych na Kościół katolicki i Jego Dostojną Głowę.

Chociaż po pierwszych zamachach skierowanych przeciw Propagandzie, w celu ujarzmienia tejże przez odjęcie jej wolnego zarządu i rozporządzenia swoimi dobrami, Propaganda nie omieszkała

zaprotestować uroczyście, jednakże gdy wydarcie tych dóbr jest obecnie prawie dokonane, uważam za moją powinność, jako prefekt jeneralny tej kongregacyi, wydać nową protestacyę przeciw czynowi, który podkopuje tak głęboko jej wolność, i jest tem samem tak dalece przeciwny niezależności jej urzędowania w utrzymywaniu i rozszerzaniu wiary chrześcijańskiej w całym świecie, a zwłaszcza w stronach, nieużywających jeszcze dobrodziejstw cywilizacyi. Zniewaga ta jest tem trudniejszą do zniesienia, im więcej naglącą przedstawia się potrzeba zaspokojenia licznych potrzeb misyj zagranicznych. Nie mówiąc już o bezustannych klęskach, na jakie są narażone niektóre wikaryaty apostolskie, szczególnie na głębokim Wschodzie, a których z boleścią serca nie możemy poratować wsparciem rychłem i odpowiedniem, zwiększa się boleść ta, gdy spoglądamy na szerokie pole kolonizacyi, otwierające się przed nami na niezmierzonych przestrzeniach afrykańskich i wysp Oceanii, gdzie dzisiaj niezliczone ludy powołane są do udziału w dobrodziejstwach cywilizacyi.

Niepodobna jest nie doznawać głębokiej boleści, widząc się pozbawionymi wolnego rozporządzania tą świętą ojcowizną, powierzoną Propagandzie, a nie innej władzy przez całą społeczność katolicką, w celu nauczania wiary i oświecania biednych dzikich ludów; zwłaszcza, gdy się spostrzega brak pracowników ewangelicznych, raz z powodu nieoględnego zniesienia zgromadzeń zakonnych, to znowu w skutek wywłaszczenia Propagandy z kilku kolegiów, jakie w Rzymie posiadała, celem kształcenia i przygotowywania misyonarzy apostolskich. Wywłaszczenie to obok przymusowej służby wojskowej seminarzystom nakazanej, sprowadziły misye włoskie do najnędzniejszego stanu i stawiają Propagandę w potrzebie posługiwania się misyonarzami innych narodowości.

Wśród tych trosk i goryczy, szarpiących każdem sercem katolickiem, jest jednak pociechą widok pobożnych stowarzyszeń w innych krajach, oraz prawdziwej gorliwości i poświęcenia niestrudzonego, z jakimi one się współubiegają między sobą, aby dopomódz wzniosłemu zadaniu nawrócenia ludów do prawdy Ewangelii. Pomiędzy nimi podziwu najgodniejszem jest niezaprzeczenie stowarzyszenie rozszerzania wiary; mimo smutnego stanu obecnego Francyi, rozwija ono usiłowania olbrzymie, zbierając jednocześnie szczodro-

bliwy datek bogaczy, jak i grosz ubogi ludu pracującego. Lecz gdy stowarzyszenie to cieszy się rozszerzeniem cudownem pociągu ku misyom, i widokiem ciągle nowych wznoszących się z łaski Propagandy kościołów, to z drugiej strony cierpi, nie mogąc dostarczyć środków do utrzymania ich i rozwinięcia.

Prokuratorye, założone przez Propagandę w rozmaitych stronach świata, zaczęły już otrzymywać dary i zapisy, niewystarczające jednak do pokrycia codziennych i nadzwyczajnych potrzeb; w skutek czego jest kongregacya niekiedy zmuszoną naruszać kapitały, którymi rozporządza wolno po za granicami Włoch.

Takie to powody zniewalają mnie udać się raz jeszcze do gorliwości Waszej, abyś Wasza Przewielebność raczył oznajmić ludowi chrześcijańskiemu, jak trudnem jest położenie tej instytucyi i wezwał tenże gorąco do udziału w składkach na pobożne cele rozszerzenia wiary, wyżej wspomnionego, na stowarzyszenie świętego Dziecięctwa, szkół wschodnich i innych stowarzyszeń w tym celu ustanowionych; abyś także wezwał bogatszych, iżby poświęcili wspaniałomyślnie część swego mienia dla najszlachetniejszej i najświętszej sprawy, to jest sprawy wiary i cywilizacyi.

W obec ruchu objawiającego się dzisiaj można powiedzieć bez pomyłki, że podniosłszy oczy, widzi się żniwa bielejące w nowych przestronnych krainach, a nie wystarcza ani robotników, ani środków do ich utrzymania. Jedna tylko pobożność wiernych i gorliwość o rozszerzenie cywilizacyi chrześcijańskiej, mogą przyjść w pomoc wzniosłemu zadaniu apostolstwa i przybliżyć jego tryumf na ziemi.

Z Propagandy, w uroczystość SS. Trzech Króli 1885 r.

C. kardynał Simeoni, prefekt".

Wszelako nie koniec na tem. *Moniteur de Rome* donosi nam, że i ta skąpa reszta, którą wrzekomo spłacają ten majątek Propagandy, zagrożona jest w najkrótszym czasie nieokreślonem obniżeniem. W izbach włoskich przyjdzie w tych dniach do dyskusyi nad interpelacyą w kwestyi agraryjnej. Deputowani z dzielnic rolniczych przygotowują się do walki parlamentarnej i chcą koniecznie zdobyć ulepszenia smutnych na teraz warunków, w jakich pozostaje rolnictwo. Najprzychylniejsze nawet rządowi dzienniki przyznają, że rząd jest zakłopotany tą agitacyą, i że z trudnością mu przyjdzie odmówić żądaniom gospodarzy wiejskich. Otóż dwa tylko są spo-

soby rozwiązania tej sprawy: albo przywrócenie cła protekcyjnego, lub też umniejszenie podatków wielce uciążliwych dla rolników. Środek protekcyonizmu niema obecnie miru we Włoszech; podnieść cła od zbóż zagranicznych, byłoby to tylko na chwilę złe zażegnać, i nie wpłynęłoby ani trochę na rozwinięcie produkcyi krajowej; zły stan rolnictwa włoskiego nie pochodzi jedynie od konkurencyi zagranicznej, zależy on od wielu przyczyn wewnętrznych, a głównie od przeciążenia podatkowego. Najprostszem więc, najnaturalniejszem lekarstwem mogłoby być tylko zniżenie podatków, i ku temu zmierzają usiłowania deputowanych, którzy wzięli w rękę obronę interesów rolnictwa. Chcąc nie chcąc, rząd zmuszony będzie wejść na tę drogę, a ponieważ tu jest w grze sprawa popularności, byćby mogło, że przystanie na zmniejszenie opodatkowania. I na tym punkcie dopiero zawęźla się sprawa. Finanse włoskie nie są jeszcze wcale przyprowadzone do równowagi, nie wytrzymają umniejszenia dochodów, bez okrojenia wydatków. Gdyby więc, co bardzo łatwo przewidzieć, podatki musiały być w niedługim przeciągu czasu zredukowane, skarb państwa byłby zniewolony starać się o oszczędność na innem miejscu; tego wynagrodzenia nie znalazłby na innem polu, jak tylko w konwersyi renty. Już kilka razy była o tem mowa w obec możliwości większych deficytów finansowych. Otóż renta włoska jest przeważnie w rękach kościelnych, gdyż jak wiadomo, majątki biskupstw, kapituł, katedr, seminaryów, a przedewszystkiem propagandy sprzedane i na tę rentę zamienione zostały.

Wzgląd ten dla rządu i dla parlamentu włoskiego nie będzie hamulcem, ale raczej bodźcem, gdyż państwo zrobiłoby dwa dobre interesa naraz, wychodząc z własnych kłopotów finansowych i obdzierając do reszty Kościół. Ukazuje się teraz jasno, ile słusznemi były protestacye Propagandy i Stolicy św., w czasie zagarnięcia na własność państwa dóbr kościelnych i w ostatnich czasach z okazyi konwersyi majątku Propagandy. Konwersya długu nie jest wprawdzie jeszcze uchwaloną, lecz jest bardzo prawdopodobną. Obecna polityka kolonialna wymaga nowych wydatków i prawdopodobnie nas do tej konieczności przybliża. Rząd nie wydaje się jeszcze z swoimi pod tym względem zamiarami, lecz mamy pewne wskazówki, że stanowczo o tem myśli. Dość zresztą na tem, aby cios ten mierzył przedewszystkiem w katolików, iżby znalazł popar-

cie w sferach oficyalnych. Serdecznie pragniemy być w błędzie co do tej sprawy, lecz niestety zanadto jasno widzimy, pisze *Moniteur de Rome*.

Pośród tych smutnych okoliczności Watykan nie przestaje jednak promienieć ciepłem i życiem. Po dawnemu tłumy synów Kościoła, przedstawicieli różnych stanów, instytucyi, narodów, przychodzą po kolei wyrazić namiestnikowi Chrystusowemu swą wierność i poświęcenie, i po dawnemu spływa na nich słowo prawdy, zachęty i pokrzepienia. Dnia 18 stycznia młodzi lewici całego świata katolickiego, wychowujący się w Rzymie, mieli solenną audyencyę u Ojca św. Audyencya ta odbyła się w sali książęcej. Wspaniały to był widok tysiąca dwiestu młodych ludzi, przeznaczonych na kapłanów, a pochodzących ze wszystkich stron katolickiego świata. Zebranie to w pałacu apostolskim, wspólność uczuć stanowiących jedną duszę i jedno serce, przedstawiały cudownie braterstwo ludów w jedności wiary. W kilka minut po dwunastej ukazał się Ojciec św. w sali książęcej, poprzedzony prałatami i urzędnikami swego dworu, w towarzystwie kilku biskupów i dwudziestu dwóch kardynałów. Gdy Papież wchodził, chór uczniów z seminaryum Piusa i z kolegium węgiersko-austryackiego zaintonował pieśń: *Tu es Petrus*, z muzyką Palestryny.

Gdy Ojciec św. usiadł na tronie, kardynał Wikaryusz Parocchi przedłożył album z adresem, podpisanym przez wszystkich uczni seminaryów i kolegiów, wyrażających uczucia wiary i niezłomnego przywiązania do Stolicy świętej; oraz drugą książkę, zawierającą utwory literackie seminarzystów, czytane na akademii św. Karola Boromeusza, w listopadzie ubiegłego roku, a wreszcie składkę zbiorową na Świętopietrze. Poczem powrócił na swoje miejsce kardynał Wikary i odczytał adres w imieniu zebrania. Wówczas Ojciec św. stojąc przed tronem, wypowiedział wspaniałą mowę łacińską, głosem pewnym i czystym wśród największego skupienia słuchających i udzielił im w końcu błogosławieństwa apostolskiego. Cała młodzież upadła na kolana i wykonany został wzniosły śpiew kościelny *Oremus pro pontifice nostro Leone*, a tymczasem przełożeni seminaryów i kolegiów przybliżali się do tronu papieskiego dla ucałowania nogi i ręki Ojca św.; w dalszym ciągu przypuszczone były do ucałowania nogi deputacye z wszystkich instytutów obecnych, podczas gdy

chór śpiewał *Hymn na cześć Leona XIII.*, umyślnie na tę uroczystość ułożony. W końcu gdy Ojciec św. się podniósł, aby raz jeszcze pobłogosławić zgromadzonych i wrócić do swoich apartamentów, wszyscy alumni zaintonowali: *Laudate Dominum omnes gentes*, jako wyraz uczuć wiary, wdzięczności i świętego zapału.

W ciągu stycznia przyjmował jeszcze Ojciec św. kilka deputacyj, między innemi stowarzyszenie młodzieży katolickiej włoskiej, która ofiarowała kosztowne kielichy dla ubogich kościołów, później deputacyę dziennika katolickiego wielkich zasług *Corriere di Torino*. Zawsze znajduje Leon XIII. najmiłościwsze słowa zachęty dla dobrze myślącego dziennikarstwa. Bo też rozpasanie prasy we Włoszech dochodzi do ostatecznych granic. *L'Epoca* dziennik illustrowany, wychodzący w Genui, umieszcza na stronnicy naczelnej parodye i karykatury tajemnic odkupienia i innych prawd wiary, i to w dniach, w których Kościół obchodzi te uroczystości. Stało się to obecnie na ostatnie święta Bożego Narodzenia. Arcybiskup genueński Msgr. Magnasco wydał okólnik przeciw tym wstrętnym publikacyom i zakazał pod przysługującem mu prawem klątwy, kupowania, czytania, trzymania w domu i rozszerzania dziennika *l'Epoca*.

Jako przeciwstawienie do zatruwającej umysły prasy, szerzy dobre pisma Stowarzyszenie św. Pawła, założone jeszcze w r. 1875. W przeciągu ostatnich lat dziesięciu rozdało Stowarzyszenie pół miliona książek pomiędzy więźniów, żołnierzy, chorych w szpitalach i dzieci. Szybki wzrost tego dzieła i jego wielka działalność ściągnęła oko sekciarzy; założono obecnie bractwo św. Pawła heretyckie, z tym samym celem rozszerzania książek.

A. D.

Z Prus Zachodnich.

Trudne warunki rolników. — Przyczyny upadku polskich majątków. — Skutki „landszafty“ pruskiej. — Sejmiki gospodarskie, kółka rolnicze i kasy pożyczkowe. — Stosunki handlowe i przemysłowe.

Kilkadziesiąt lat temu Prusy Zachodnie zaludnione były gęsto drobniejszą i majętną szlachtą polską, a dzisiaj obywateli polskich w tej prowincyi pol. policzyć możesz niemal na dziesięciu palcach,

i jeszcze ich z każdym rokiem ubywa. Jak się to stało? Kładziono to na karb próżności i życia nad stan obywateli, w ślad zatem pójść musiała ruina majątkowa. Tak mniemano i tak dowodzono. Przyczyny jednak tego niepocieszającego objawu tkwią głębiej.

Rolnictwo, handel i przemysł, te trzy główne podstawy dobrobytu, nie stoją u nas na równym stopniu rozkwitu, nasza prowincya, jak wszystkie ziemie dawnej Rzpltej, trudni się głównie rolnictwem. Niestety, prawie we wszystkich krajach Europy skarżą się dziś na upadek rolnictwa, jest to skutek silnej konkurencyi Ameryki i Australii, które surowymi płodami tanio wyprodukowanymi zarzucają targi europejskie. A że rolnictwo jest nawet w krajach przeważnie przemysłowych, jak Anglia i Francya, główną podstawą dobrobytu, więc też wszędzie przemyśliwają nad jego podniesieniem, Niemcy i Francya zrobiły początek zaprowadzając u siebie cła na zboże zagraniczne, ale cła niemieckie dotąd były tak niskie, że rolnictwu prawie nic nie pomogły, więc i nasza prowincya dobrodziejstwa ich jeszcze nie odczuła.

Na cła opiekuńcze różni różnie się zapatrują, absolutnie wziąwszy, znamienują one stan nienormalny, ale z dwojakich przyczyn mogą się stać *malum necessarium*. Jeżeli państwo jakie jest, albo przeważnie rolniczc, albo przeważnie przemysłowe, to cła opiekuńcze okażą się wtedy dopiero konieczne, skoro sąsiad jaki nałoży cło na jego wywóz, będzie tu więc potrzebny odwet. Zachodnie i południowe prowincye Niemiec są przeważnie przemysłowe, wschodnie i północne główne dochody czerpią z rolnictwa. Prusy Zachodnie należąc do prowincyj rolniczych, z Anglii kupowałyby najtaniej wyroby przemysłu fabrycznego, którego nie mają u siebie, raz, że przemysł angielski stoi wyżej i taniej produkuje od niemieckiego, a po drugie, że wyroby angielskie sprowadzają się małym kosztem morzem i wymieniają za nasze zboże. Od czasu jednakże, jak Niemcy nałożyli cła na obce wyroby, trzeba nam zaopatrywać się w droższe towary przemysłu niemieckiego, wyjdzie to bez wątpienia na korzyść tego przemysłu, ale ze szkodą naszego kapitału. Gdyby stan taki dłużej potrwał, prowincye wschodnie musiałyby zubożeć, rząd widzi to i dlatego rozciągnął jako rekompensatę cła opiekuńcze i na produkta rolnicze, jak zboże, mąkę, drzewo i t. d. Stało się to zupełnie słusznie, gdyż jeżeli rolnik za wszystkie wyroby przemysłu ma

drożej zapłacić, potrzeba żeby i to, co on ma na sprzedaż, postąpiło w cenie. Dopóki zaś import zboża z krajów, które je taniej mogą produkować, był nieoclonym, zaopatrywali się konsumenci w obce produkta, które taryfy dyferencyalne na kolejach czyniły znacznie tańsze od miejscowych.

Kiedy w parlamencie niemieckim rząd wniósł projekt ceł opiekuńczych, posłowie polscy byli podzielonego zdania, wszyscy widzieli, że one korzystnie oddziałają na prowincye polskie, ale z drugiej strony było jasnem, że cło zapłacą głównie obywatele polscy z Królestwa, a jednak twarda konieczność nakazywała tu głosować za cłem. Świeżo wyszedł z łona parlamentu wniosek znacznego podwyższenia tych ceł, posłowie nasi znów w tem samem znaleźli się położeniu, najprzód dla tego, że w skutek cła cena zboża w ogóle się podniesie, więc i obywatele poza kordonem drożej je sprzedadzą, a następnie, skoro jesteśmy skazani na droższe kupowanie produktów niemieckiej industryi, musimy drożej sprzedawać miastom fabrycznym nasze zboże, inaczej zupełna czeka nas ruina. Królewiacy zresztą nie znajdują się w tak niekorzystnem położeniu, jak my; produkcya zboża jest u nich w skutek tańszej ziemi, niższej opłaty robotnika i mniej wysokich podatków znacznie tańsza, niż u nas, następnie i niski kurs waluty rosyjskiej przy sprzedaży za granicę na korzyść im wychodzi. Ubytek, jaki mają rolnicy tamtejsi ze względu na wzbroniony przewóz bydła, powinni wynagrodzić chowem owiec na wełnę i koni, przedewszystkiem zaś starać się o rozwinięcie przemysłu fabrycznego, węgla mają dosyć w kraju, a odbyt na Wschód otwarty.

Rolnictwo nasze, jak wszędzie tak i u nas, jest skazane na nierówną walkę z kapitałem. Od niedawnej epoki grynderskiej skierował się kapitał na różnego rodzaju przedsiębiorstwa i znacznie podrożał, podczas gdy rolnik z ziemi tylko 3—4 procent wyprodukować może. Ponieważ kapitały się zwiększyły, kredyt stał się łatwy, kto przeto z rolników czuł zdolności po temu, chwytał za obcy kapitał i wkładał go w swój majątek, zaprowadzając melioracye na szeroką skalę. Ale melioracye, osobliwie za daleko posunięte przy obecnej taniości produktów rolnych, w najlepszych chyba latach opłacają procent od włożonego kapitału; przy nieurodzaju procent ten musiał dołożyć właściciel i nowy dług zaciągnąć. To zrujnowało

wielu ziemian, majątki zaczęły przechodzić z rąk do rąk, a każdy z rolników wie, jakie fatalne następstwa ma dla majątku zmiana właściciela. Dodajmy do tego, że ciężar podatkowy, podwójnie cięży na rolnikach, bo płacą oni nietylko jak wszystkie inne klasy ludności podatek klasowy i dochodowy, lecz jeszcze i podatek od ziemi.

Ponieważ zboże nie płaciło, rozpowszechniła się u nas od lat kilku hodowla buraków cukrowych, dla których zużytkowania, założono 16 cukrowni. Tymczasem i w innych prowincyach liczba cukrowni znacznie się powiększyła, przewyższyła więc produkcya cukru jego spożywanie i już od roku ceny tego produktu tak spadły, iż cukrownie w swej egzystencyi zachwiane, a plantacya buraków kosztów nie pokrywa. Zewsząd posypały się więc rady i projekta, jakby powstrzymać upadek przemysłu cukrowniczego, który miał ratować rolników, przytoczę z nich tylko jeden. Wyrachowano, iż Niemcy importują po największej części z prowincyj nadbałtyckich 400.000 centnarów lnu, radzą więc uprawiać u nas len obok buraków, przyczem będzie można kotły cukrowni, suszarnie i inne maszyny użyć po ukończeniu kampanii cukrowej na oczyszczenie lnu, a zarazem i robotnicy niepotrzebni na wiosnę przy cukrowniach, znajdą dobre zatrudnienie.

Oprócz tych niekorzystnych dla rolnictwa w ogóle warunków i wpływów, znajdują się rolnicy Prus Zachodnich, szlachta i lud w wyjątkowem położeniu. Rząd pruski bowiem od stu lat pracuje wytrwale nad tem, i nie robi z tego tajemnicy, aby posiadłość ziemską przenieść z rąk polskich w niemieckie. Nawet landszafta pruska (towarzystwo kredytu ziemskiego), którą utworzono na ratowanie obywateli, zrujnowała wiele majątków polskich. Ciekawe daty w tym względzie podał długoletni dyrektor tej landszafty, zmarły w przeszłym roku Nestor obywatelstwa naszego Teodor Donimirski z Buchwałdu na posiedzeniu ówczesnego sejmiku gospodarskiego w roku 1875 w Toruniu.

Przedstawiwszy, jak regulacya sprawy włościańskiej w roku 1811 wypadła na niekorzyść zniszczonych wojną francuską obywateli, tak mówił: „Panowie. Więcej niż sprawa włościańska przyczyniła się ta instytucya (landszafta) do upadku obywateli. Z czasów wojny znaczne były zaległości procentów, rząd musiał udzielić landszafcie moratoryum, bo nie była w stanie zapłacić kuponów. Wiadomo wam,

że część Prus Zachodnich, ziemia michałowska i chełmińska, należała do księstwa warszawskiego; żaden z obywateli tej części ani myślał o zapłaceniu procentów. W czasie pokoju zażądała landszafta tych zaległości, i to w tych dla gospodarzy nieszczęśliwych latach. Naturalnie, że nikt ich zapłacić nie mógł, i tylko ten, kto nie miał pożyczki landszaftowej, albo posiadał przypadkiem jakie zasoby, mógł się utrzymać, a zresztą wszystkie majątki bezwzględnie puszczano na subhastę. Na tak gwałtowną sprzedaż zabrakło kupców, dlatego sprowadzano Niemców, którzy za bezcen wielkie majątki nabywali. Od roku 1824 odebrano obywatelom zarząd landszafty i przez cały ten nieszczęśliwy czas nie udzielano żadnych pożyczek. Nie postępowano tak w innych prowincyach; przekonywują nas o tem liczby wydanych listów zastawnych w epoce od 1815—1835 r. Landszafta szląska miała wydanych listów zastawnych w roku 1815 za 30 milionów talarów, w roku 1835 za 40 milionów; — opuszczam tysiące i setki dla skrócenia; wydała pożyczek przeszło 10 milionów. — Landszafta Brandenburgii miała listów wydanych w roku 1815 za 4 miliony, w roku 1835 za 11 milionów, rozdała pożyczek 7 milionów. Landszafta Pomorza miała listów wydanych w roku 1815 za 7 milionów, w roku 1835 za 14 milionów, dała także pożyczek 7 milionów. Landszafta Prus Zachodnich, tutaj muszę tysiące i setki podać, miała listów wydanych w roku 1815, za 10,040.875 talarów, w roku 1835 za 10,216.883 talarów, wydała 176.000 tal. pożyczek. Tak więc przez te nieszczęśliwe 20 lat, landszafta tutejsza nie udzieliła tak jakby żadnych pożyczek; prywatnego kredytu nie było, zatem utrzymanie gospodarstw stało się rzeczą niemożliwą. Z tego przekonywamy się, panowie, że nie jedynie złe gospodarstwo, lecz więcej te stosunki były powodem upadku poprzedników naszych (Roczniki Sejmików gospodarskich str. 272 i n.).

Nie tu koniec złego. Jeżeli obywatel Niemiec ma kilku synów, oddaje majątek jednemu a innych stara się umieścić w armii, albo na intratnej posadzie w sądownictwie lub administracyi, otóż wszystkie wyższe posady w tych dykasteryach dla Polaków są zamknięte. Stronniczość rządu objawia się na każdym kroku, podczas gdy niemieckie towarzystwa rolnicze doznają rządowego poparcia, a ich wystawy znaczne premie; towarzystwa polskie nietylko nic nie dostają,

lecz stoją wbrew prawu pod ścisłym dozorem osobnego komisarza policyjnego.

Nie zapominać należy i o tem, że oprócz ciężarów obowiązkowych, mają obywatele polscy i inne dobrowolne; oni to dźwignęli i podtrzymują wszystkie instytucye narodowe, gdyż miejska inteligencya u nas bardzo nieliczna i niezamożna, i dzięki tej ofiarności, potrafili utrzymać łączność i zgodę z wiejskim ludem, tak iż jedno z nim tworzą społeczeństwo.

Żeby w tak trudnych okolicznościach utrzymać się przy glebie ojczystej, używali rolnicy wszelkich środków, pracując pojedynczo i wspólnemi siłami nad zgromadzeniem wiadomości fachowych i polepszeniem majątku. W styczniu 1867 r. zebrało się przeszło stu obywateli w Toruniu, aby się naradzić nad wszelkiemi kwestyami gospodarstwa społecznego. Postanowiono wówczas corocznie odbywać takie zebrania i z wyjątkiem roku 1871-go kiedy stan wojenny na to nie pozwalał, odbywały się aż dotąd bez przerwy owe Sejmiki gospodarskie. Leżą przedemną Roczniki tych Sejmików od roku 1867—79, z nich przekonać się można, że rolnicy nasi starali się gospodarstwa postawić na wyżynie postępu i korzystać z każdego nowego wynalazku. Szukali oni przyczyn upadku i nie szczędzili ostrych słów nagany, jeżeli w sobie samych je znaleźli, a jeżeli w stosunkach od nich niezależnych, kołatali tam, gdzie potrzeba, o naprawę złego. Z sejmików tych wyszła nie jedna dobra inicyatywa. Na nich uznano potrzebę coraz liczniejszego zakładania i prowadzenia Kółek Rolniczych, w których osobliwie mniejsi gospodarze znaleźliby naukę i praktyczne wskazówki, jak urządzić należy wedle potrzeb czasu swe gospodarstwa. Już w r. 1861 zawiązało się pierwsze towarzystwo rolnicze w powiecie brodnickim, a w roku 1875-ym wykazuje dokładna statystyka 49 takich towarzystw na Prusy Zachodnie, dziś będzie ich jeszcze więcej, chociaż nie wszystkie z braku ludzi zdolnych do prowadzenia są czynne.

Aby i kapitałem przyjść w pomoc rolnikom, założono dla większych obywateli w Toruniu bank komisowy: Donimirski, Łyskowski, Kalkstein i spółka, dla gospodarzy i rzemieślników Spółki pożyczkowe. Bank toruński ma na celu dawać rolnikom zaliczki na produkta gospodarcze, które później odbiera i wynajduje dla nich jak najkorzystniejszych kupców. Pomimo licznych

bankructw i krachów, bank utrzymał się przez czasy najtrudniejsze, świetnych interesów robić nie mógł, bo jak wszystkie tego rodzaju banki musiał przejąć na własność znaczną ilość zadłużonych majątków, które naraz spadły w cenie i naraziły go na znaczne straty. Dziś dni jego są policzone, bo podług statutów, za rok nastąpi jego rozwiązanie, a dotąd mało widoków, aby nowa zawiązała się firma.

Większy wpływ i szersze znaczenie miały Spółki pożyczkowe, których mamy w Prusach Zachodnich około 20, należą one wraz z Spółkami księstwa do związku Spółek zarobkowych, którego patronem jest ks. Aug. Szamarzewski. Największa z nich w Starymtargu na ziemi malborskiej prowadzona przez samych gospodarzy, obraca rocznym kapitałem 12 milionów marek. Spółki pożyczkowe, niejednego gospodarza uchroniły od lichwy żydowskiej i zgromadziły zyski z obrotu kapitału w polskie ręce rozdając nieraz dosyć wysoką dywidendę. Charakterystyczny przykład tej błogiej działalności mieliśmy właśnie w Starymtargu. Przed założeniem spółki pożyczkowej istniała tam osobna bóżnica żydowska a przy niej rabin, ale wkrótce po powstaniu spółki liczba żydów tak się zmniejszyła, iż zamknięto bóżnicę, przeniesiono rabina, a gminę rozwiązano! Czyż to nie cenna wskazówka dla braci Galicyan, jak załatwić się z kwestyą żydowską?

Ta czynność publiczna większych i mniejszych obywateli naszych wpłynęła korzystnie na wychowanie i prowadzenie się jednostek, to też nie zdarza się już u nas, żeby młody obywatel przejął majątek, nie ukończywszy poprzednio nauk rolniczych i nie nabrawszy po obcych gospodarstwach praktycznego doświadczenia. Nawet synowie obywatelscy przyjmują często we większych majątkach posady urzędników, nim zaczną pracować na ojcowiznie. Aby mniejszych gospodarzy pouczyć teoretycznie, założyli obywatele nasi w Toruniu *Gospodarza*, który przez długie lata był na całą Polskę jedynem pismem rolniczem dla klas średnich i osobliwie w Królestwie licznych miał czytelników.

Do polskich wad narodowych należy próżność i gonienie za zbytkiem i używaniem, wyrodziło to owe tak często wytykane nam życie nad stan, otóż i nad usunięciem tej wady pracowano u nas szczerze nawołując do oszczędności. Dziś prawie wszędzie zniknęły

z dworów naszych angielskie czwórki i lśniące liberye lokai, chociaż upamiętanie się nie zawsze przyszło jeszcze w porę.

Przechodząc do drugiej podstawy bogactwa krajowego, do handlu, mam przedewszystkiem na myśli handel wielki, nie ten ogólny, w którego znaczeniu każdy producent jest zarazem handlarzem. W tym wielkim handlu Polacy prawie żadnego nie biorą dotąd udziału, brak im do tego po części znajomości rzeczy, a przedewszystkiem kapitałów. Mniejsze składy posiadają Polacy w każdem miasteczku, ale te nie wchodzą w rachubę, wielkiego kupca Polaka nie masz w Gdańsku, Elblągu, ani w Toruniu (ostatnie miasto liczy jeszcze najwięcej polskich składów), trzech największych ogniskach handlowych prowincyi. Ogólny też handel Gdańska, jest dziś tylko cieniem dawniejszego ruchu handlowego. Surowe produkta polskie, osobliwie zboże skierowały się na inne drogi, a jeżeli przechodzą przez Gdańsk, to już tylko jako transyt, nie dając kupcom wielkich korzyści. Brak też kupcom gdańskim przedsiębiorczości, dali oni się wyprzedzić przez Królewiec, który chociaż mniej korzystnie położony, większy ma obrót handlowy. W Gdańsku mamy kilka firm polskich trudniących się handlem zbożowym.

Ważniejszym od handlu jest dla nas przemysł, osobliwie niższa jego gałęź, ręczne rzemiosło. Przyznają sami Niemcy, że polski rzemieślnik zręcznością przewyższa Niemca, ale ma on też i wady, które mu utrudniają konkurencyę. Najgłówniejszą z nich jest wynoszenie się nad stan i zaniedbanie się, skoro uzbierało się jaki kapitalik. Są prawda chwalebne wyjątki, ale to dopiero wyjątki, a powinny stać się regułą.

Rzemieślnicy w Niemczech ogólnie nie tylko lichy wyrabiają towar, ale nie mają też z zatrudnienia swego odpowiedniego utrzymania. Od czasu bowiem jak szkoła manszesterska owładnęła praprawodawstwem niemieckiem, wydając w tym duchu i dla rzemiosł prawo wolnej konkurencyi, stały się wyroby nie wiele tańsze, ale za to znacznie gorsze. Odtąd każdy, komu się nie chciało ciężko pracować w polu, rzucał się do rzemiosła i poduczywszy się go lada jako produkował nędzny towar, tańszemi cenami zjednywał sobie odbiorców, i zabijał tem dobrze wyuczonych rzemieślników, którzy nie chcąc partaczyć wyższe musieli brać ceny.

Zasada szkoły manszesterskiej jest dla naszych stosunków zgubną. Wymaga bowiem, aby każdy kupujący umiał na pierwszy rzut oka odróżnić trwały towar od lichego, i aby publiczność o moralnem usposobieniu naszych rzemieślników miała gwarancyę, że tylko dobry towar wystawią na sprzedaż i odpowiednią zapowiedzą cenę. Tych dwóch warunków u nas niema; powiększa się z dniem każdym nierzetelność rękodzielników, potęgowana brakiem religijności, do czego znów kulturkampf znacznie się przyczynił, i przewagą kapitału nad pracą rzemieślnika, co znów jest innym zgubnym skutkiem manszesterskiej szkoły.

Bogaci kapitaliści, prawie wyłącznie żydzi, otworzyli wielkie składy wszelkich wyrobów, biorąc od lichych rzemieślników za lichą zapłatę lichy towar. Dla nich bowiem wyrób jest tylko środkiem do odebrania z korzyścią swego kapitału: czy ten wyrób odpowie potrzebie, o to się nie troszczą. Mimo to reklama i kredyt, którego nie może udzielić niezamożny rzemieślnik, wciągnęły wielu odbiorców do składów żydowskich i zwolna podkopały egzystencyę samodzielnego rzemieślnika. Uwydatnia się tu zabójcza walka wielkiego kapitału z pracą. Praca jest nietylko fizyczną czynnością, ale ma i etyczne pierwiastki, ona kiełzna namiętność człowieka i uszlachetnia go. Dlatego też społeczeństwo tak powinno być ukształtowane, że jednostka mogąca i chcąca pracować, może uzyskać potrzebny kapitał. Dziś ten stosunek się zmienił, kapitał dominuje nad pracą i dyktuje jej ceny. Dziś nie wystarcza być dobrym rzemieślnikiem, bo najlepszy odbyt ma ten, który może zakupić najnowsze maszyny i prowadzić rzemiosło na sposób fabryczny a przy tem jest w stanie założyć wielki skład przy rynku lub głównej ulicy. Na jednym zawodzie przemysłowym w Niemczech, niech nam będzie wolno liczbami wykazać, jak industrya pracująca maszyną i wielkim kapitałem, jak moloch pożera drobniejszy przemysł. Statystyka cła od piwa wykazuje, że w Niemczech nawarzono w roku 1874 20 milionów hektolitrów piwa, zwolna wzrósł ten produkt do 23 milionów hekt. w roku 1883/4. Tymczasem właścicieli browarów było w roku 1874 13.030, a w roku 1883/4 już tylko 10.703, a więc mimo większości produkcyi ubyło przeszło 2.000 producentów. W Szląsku było w roku 1874 442 browarów płacących cło niżej 300 marek, w roku 1883/4 było takich browarów tylko 342, za to

liczba wielkich browarów, płacących przeszło 6.000 marek cła, zwiększyła się w tym czasie z 42 na 47.

Ażeby zapobiedz zupełnemu zubożeniu mniejszych rzemieślników, zaczęło prawodawstwo niemieckie ścieśniać wolną konkurencyę a cechom mają być przywrócone niektóre przywileje. Prawo to naprawi niejedno złe, ale niezdolne ono samo zaszczepić w rzemielnikach zamiłowania do rzetelnej a aktualnej pracy. Jedynie umoralnienie społeczeństwa i wyniesienie go do tej wyżyny, iż każdy rzemieślnik, nie tylko dla zysku, ale zarazem i z poczucia obowiązku, będzie się starał jak najrzetelniej odrabiać swój towar, wróci rzemiosłom ich dawną świetność i zaufanie. Polscy rzemieślnicy znajdują się jeszcze dla tego w niekorzystnem położeniu, że w pierwszym rzędzie liczyć mogą tylko na odbiór ze strony ziomków, a pomiędzy tymi znów nie wielu zamożnych, prosty zaś lud nie wszędzie jeszcze nabrał poczucia, że przedewszystkiem do swego przyjść po towar wypada. W kilku miastach, jak w Poznaniu, Chełmnie i Świeciu istnieją polskie Towarzystwa przemysłowe i obok nich Spółki pożyczkowe, tam też i przemysł polski wcale pokaźnie się przedstawia. W tych towarzystwach powinna się wyrobić dążność kształcenia jak najwięcej dobrej czeladzi rzemieślniczej; rzemieślnik polski znajdzie jeszcze pracę i zarobek, a wrogą konkurencyę pokona wydoskonaleniem się w swym zawodzie.

J. K.

Uniwersytet katolicki w Salzburgu.

Konserwatywna większość w sejmie arcyksięstwa salzburskiego odznacza się od lat kilku szeregiem prac gruntownych i doniosłych, dobro ludności mających na celu. Przy końcu posiedzeń ubiegłej jesieni, powziął sejm salzburski zamiar, który i poza granicami Austryi uczynił wrażenie, zyskał poklask i współudział. Wniosek stanął następujący:

1) Uniwersytet założony w 1620 r. przez arcybiskupa salzburskiego, potwierdzony przez cesarza i Papieża, a zniesiony dopiero w 1810 r., przywrócić jako wolną, katolicką szkołę wyż-

szą, a właściwie użyć wszelkich środków dla przyprowadzenia do skutku założenia na nowo uniwersytetu katolickiego w Salzburgu;

2) polecić wydziałowi krajowemu popieranie tego postanowienia wszelkiemi środkami prawnemi, a mianowicie porobienie potrzebnych kroków u c. k. rządu i zdanie sprawy z tych usiłowań na następnej sesyi sejmowej.

Wniosek ten podpisali wszyscy członkowie większości konserwatywno-katolickiej, na ich czele książe arcybiskup salzburski Dr. Eder i namiestnik hrabia Karol Choriński. Większość konserwatywna sejmu wyższej Austryi, mająca wówczas jeszcze na czele dzielnego biskupa Rüdigera, przyłączyła się do jednomyślących kolegów swoich salzburskich i przesłała im wyraz zachęty do tego szlachetnego przedsięwzięcia.

Inicyatorowie wniosku w sejmie salzburskim nie spodziewali się wprawdzie uznania ze strony liberałów, lecz nie sądzili także, aby na nich spadła taka burza zaczepek i podejrzeń za wyrażenie życzeń i przekonań swoich. Nietylko prasa żydowska w Austryi, lecz także protestanckie dziennikarstwo Niemiec i innych państw, wysilało się na skargi i inwektywy przeciw uchwale salzburskiej, a pewien północno-niemiecki dziennik pisał: „Zbyt łatwo poznać, iż tu nie idzie o demonstracyę lokalną w sejmie salzburskim, że to jest zamach większej doniosłości, ostra zaczepka całego stronnictwa, mająca na celu nietylko samą Austryę, lecz szerokie plany całego Jezuityzmu“ (Jezuici mają zawsze ten zaszczyt, że są wymieniani i zaczepiani w miejsce kościoła katolickiego), „że tu idzie o nowe przedsięwzięcie w zamiarze przytłumienia nauki i oświaty“. Zaczepki te nie odstraszyły katolickiej większości, zawiązała ona komitet centralny, w celu założenia uniwersytetu katolickiego w Salzburgu, z końcem grudnia, i już wtenczas ujrzano z radością, że składki na ten cel wpływały nietylko od osób bogatszych i do wyższych stanów należących, lecz że liczna klasa uboższa groszem swoim wdowim przyczynia się chętnie do upragnionego dzieła. W ten sposób powstał „katolicki związek uniwersytecki“, dążący w myśl statutów swoich do podwójnego celu: do przysporzenia środków dla założenia wolnego katolickiego uniwersytetu, i do popierania tej sprawy moralnie wszelką możliwą drogą. Związkowi przewodniczy wydział z dwudzie-

stu pięciu członków złożony, z którego tworzy się następnie wydział mniejszy, mający siedzibę swoją w Salzburgu i załatwiający sprawy bieżące. Administruje on także wpływające fundusze, z których, z czasem, ma powstać poważna suma, jakiej urzeczywistnienie przedsięwzięcia wymaga. Każdy członek, składający jednorazowy dar 1000 złr, będzie na pamiątkowej tablicy przyszłego uniwersytetu, jako fundator wypisany; kto da 500 złr., będzie wliczony między założycieli; do dobrodziejów należeć będą dający jednorazowo 100 złr.; a dający 1 złr. rocznie, należy do zwyczajnych członków związku. W państwie niemieckiem znalazł także związek licznych zwolenników; stamtąd to bowiem wyszła myśl założenia wszechnicy katolickiej, i jeszcze w r. 1852 obradujące w Monasterze (Münster w Westfalii) katolickie ogólne zgromadzenie wskazało Salzburg jako miejsce najodpowiedniejsze do tego. Odtąd zbierano w Niemczech składki na uniwersytet katolicki, tak, że obecnie istnieje suma 150.000 marek, która niewątpliwie w razie potrzeby dostanie się związkowi uniwersyteckiemu do rozporządzenia. Środki te są oczywiście w obec wielkiego przedsięwzięcia wcale niedostateczne; nie możnaby z nimi nawet rozpocząć dzieła. Gorliwi przywódzcy związku chcą jednak zacząć nie od założenia całkowitego uniwersytetu z wszystkiemi fakultetami, ale od zaprowadzenia wydziału filozoficzno-historycznego i połączenia go z istniejącym już wydziałem teologicznym. Ufają też, że uda się im wydobyć część sum fundacyjnych, które przy zniesieniu uniwersytetu przypadły funduszowi religijnemu.

Uniwersytet, który książe arcybiskup i prymas niemiecki Parys Lodron w 1620 r. założył, otrzymał był jednocześnie od niego bogate uposażenie, powiększone jeszcze przez jego następców i przez stowarzyszone opactwa benedyktyńskie. Ci ostatni zajmowali na wszechnicy poczesne miejsce, tak, że nazywano ją nawet „uniwersytetem benedyktyńskim“, lecz i świeccy studenci licznie nań uczęszczali, a mianowicie synowie szlachty niemieckiej. Papież Urban VIII. zatwierdził nową uczelnię a cesarz Ferdynand II. nadał jej dyplomem z 9 maja 1620 wszystkie prawa i przywileje, jakich uniwersytety we Francyi, Niemczech i Włoszech używały. Kiedy upadło świetne panowanie udzielnych biskupów, zaczęły się smutne czasy dla fundacyj naukowych przez nich założonych. Cesarz Franciszek

kazał przemienić fakultet medycyny na chirurgiczno-medyczny; gdy jednak w r. 1810 Bawarya objęła na czas krótki rządy w salcburskiem, zniósł rząd bawarski uniwersytet, przemieniając go na liceum, z pozostawieniem temuż prawa promocyj teologicznych i filozoficznych. Kraj i miasto Salzburg uczuły głęboko tę duchową i materyalną stratę i bezustanne płynęły podania od sejmu i innych stowarzyszeń do rządu, dopraszając się przywrócenia wszechnicy. Zdawała się ta im, tem łatwiejszą do przeprowadzenia, że zabudowania uniwersytetu są dobrze zachowane, że wydział teologiczny istnieje, biblioteka i olbrzymie zbiory są nietknięte a szpitale miejscowe podają dobrą sposobność lekarskiej praktyki dla uczniów wydziału medycznego. Majątek uniwersytetu wynosił przy jego zniesieniu 500 000 złr. mon. konw., które spadły przy konwersyi waluty do nominalnej wartości 319.982 złr. wal. austr. Wiadomo, jak stopniały wszystkie przez państwo administrowane fundusze zakładowe; majątek zakładowy uniwersytetu salzburskiego, mimo okrojenia, jakiego doznał, mniej jeszcze ucierpiał, jak np. fundusz naukowy, utworzony z dawnego majątku Jezuitów austryackich, którego czyste dochody w r. 1876 wynosiły jeszcze 394.667 złr., a r. 1882 zmniejszyły się do 18.365 złr. w. a.

W motywach prośby o przywrócenie uniwersytetu salzburskiego, spotykamy zawsze odwoływanie się do poczucia prostej sprawiedliwości, zwłaszcza, że kraj salzburski ucierpiał wiele materyalnie, przez wcielenie go do państwa austryackiego. Idąc za duchem czasu, sekularyzującym wszystko, oddzielił rząd austryacki dobra stołu arcybiskupiego od majątków księcia panującego, gdyż oboja ta godność i władza przez wieki w jednem spoczywała ręku; przy tym podziale majątek kościelny uszczuplił się tak bardzo, że salzburski fundusz religijny jest mniejszy, jak fundusz krajów najuboższych, któremi nigdy inna ręka jak świecka, nie rządziła. Wszelako argument ten nie skutkował; powstała tedy między członkami stronnictwa konserwatywnego myśl, aby na innej drodze, nietylko Salzburgowi uniwersytet odzyskać, lecz całemu chrześcijańskiemu ludowi i Kościołowi katolickiemu wielką wyświadczyć przysługę. Oto geneza uchwały salzburskiego sejmu, którą przytoczyliśmy wyżej.

Od dawna było już gorącem życzeniem gorliwszych i oświeceńszych katolików w Niemczech i Austryi, mieć szkołę główną,

w którejby nauka i wiedza nie występywała jako nieprzyjaciółka prawdy objawionej, a młodzież nie zostawała pozbawioną wiary i nie była pojoną trucizną materyalistycznych doktryn i luźności obyczajów. Wiadomo przecie, że wszystkie prawie uniwersytety Niemiec i Austryi zawdzięczają swój fundusz zakładowy katolikom a po większej części dostojnikom Kościoła, i założone były pod tym warunkiem, że nauki wykładane będą zawsze w duchu katolickiego Kościoła. Pomimo to jednak straciły uniwersytety ten swój cel pierwotny z oczu, w Niemczech głównie przez reformacyę, w Austryi zaś przez biurokratyczny system oświaty pod Maryą Teresą i Józefem II. Objawiona prawda przestała już być skałą niewzruszoną, o którąby się obijały wynurzające się co chwila i rozpryskujące hipotezy i systemy, produkta ludzkiego mędrkowania; lecz za to każdy nowy pomysł modnego mędrca, (a któż nie wie, że i w nauce wiary zaprowadzają się mody), ma prawo zająć miejsce, z którego zepchnięto gruntowną chrześcijańską naukę. Odtąd szły rzeczy coraz gorzej; a gdy dawniej wiara i niewiara wykładane były z równorzędną swobodą na uniwersytetach, obecnie bezwyznaniowość sama jedna popłaca, zaprawiona nierzadko fanatyzmem antireligijnym, tak dalece, że wybitne przekonania katolickie bywają przeszkodą najzdolniejszym mężom nauki do osiągniecia katedry uniwersyteckiej, a najpilniejszym uczniom do złożenia z dobrym postępem egzaminów. Każdy, kto zna niemieckie uniwersytety, mógł się o tej smutnej prawdzie naocznie przekonać [1].

Czy więc w takich warunkach dziwić się można, że między uczącą się młodzieżą panują złe obyczaje, brak uczucia prawdziwego honoru, brak szlachetnej energii? Z jakąż trwogą posyła matka, chrześcianka wierząca, syna swego do uniwersytetu, widząc, że musiałby być obdarzony rozumem nad wiek i siłą charakteru niepospolitą, ażeby wśród sofizmatów, jakiemi go zarzucą, wśród szyderstw, wywołanych jego chrześcijańskiem wychowaniem, nie zaparł się

[1] W obec naszych, Bogu dzięki mniej smutnych stosunków te i następujące uwagi wydadzą się może przesadzone; podajemy je jednak jak wyszły z pod pióra niemieckiego publicysty: bo to nam daje miarę, jak liberalizm antichrześcijański musi im w tamtych stronach dogryzać. Zresztą będąc zawsze niepewni jutra, z radością powitać musimy powstającą instytucyę, w której nauka otwarcie i bezpiecznie poda rękę wierze, z jaką taką niezależnością od zmiennych wpływów panujących stronnictw. *(Przypisek Red.)*

świętych zasad z domu wyniesionych? A jednak uczęszczanie na uniwersytet jest jedynym środkiem do osiągnięcia wykształcenia fachowego. Cóż więc zrobić? We Francyi i Belgii, gdzie wolnomularstwo jeszcze szersze ma pole do wywierania swej nienawiści przeciw Kościołowi, pozakładali katolicy wolne uniwersytety, w których umiejętność kwitnie a nauka chrześcijańska jest szanowana. Dlaczegóżby nie miało się stać to samo w Niemczech? Stać się może i stanie się; ale w Niemczech nie ma gotowych kapitałów pod ręką, potrzeba więc czasu i cierpliwej skrzętności, ażeby zebrać potrzebne fundusze. Myśl obrania Salzburga za siedlisko uniwersytetu katolickiego przyjęta była z wielką radością nietylko w Niemczech, ale i w Szwajcaryi niemieckiej. Kto zna to cudownie piękne miasto, wznoszące się na podwalinach starożytnego Juravum, będące od więcej tysiąca lat przybytkiem chrześcijańskiej cywilizacyi i pomników sztuki wszelkich epok, począwszy od rzymskiej; kto zna tę wspaniałą okolicę, łączącą wdzięki urodzajnych dolin z Alp majestatyczną grozą, ten przyzna, że nie łatwo znaleść w środkowej Europie miejsce, któreby przedstawiało dla uczącej się młodzieży więcej powabnych i wzniosłych wrażeń, jak Salzburg.

W przeprowadzeniu jednak tej myśli napotkano wielorakie trudności. Dlatego organ konserwatywny *Vaterland*, który zrazu przyklasnął nowemu przedsięwzięciu, umieścił w kilka tygodni później artykuł doradzający, aby zamiast fundowania nowego katolickiego uniwersytetu, zażądano zwrotu którego z istniejących uniwersytetów, za katolickie pieniądze i w duchu katolickim założonych, np. w Insbruku lub Gracu. Myśl ta nie jest nową; począwszy od r. 1849 zebrania katolików formułowały życzenie, aby jeden lub kilka z istniejących uniwersytetów, przez państwo katolikom odstąpione zostały.

Ministeryum u władzy będące, liczy konserwatywnych do swoich sprzymierzonych, i to do najlepszych. Mimo tego członkowie klubu prawicy nie mogli się ani na chwilę łudzić nadzieją, ażeby rząd, lub rada państwa uwzględniły to ich tak usprawiedliwione życzenie, zwrotu jednego z istniejących uniwersytetów dla katolików. Gdyby się ludowi katolickiemu udało uzyskać liczebnie odpowiednie zastępstwo w radzie państwa, gdyby katolicy stali się siłą polityczną, wtenczas mieliby za sobą nietylko słuszność, ale i prawo i otrzyma-

liby to, czego żądają. Wtenczas mogliby także postawić wymaganie, aby szkoły przygotowawcze do uniwersytetów, począwszy od szkoły ludowej, aż do gimnazyum, urządzone były w duchu zgodnym z zasadami Kościoła. Trzeba się tylko rozpatrzyć, w jakiem usposobieniu umysłowem znajduje się młodzież kończąca gimnazya, a przedstawi się łatwo gwałtowna potrzeba oddania nietylko uniwersytetów, lecz całego systemu szkolnictwa ludności katolickich pod opiekę Kościoła, pod którą przez tyle wieków wspaniale się rozwijały.

To jest cel i do niego dążyć należy. Plan deputowanych salzburskich zamierza urządzić stan rzeczy tymczasowy, a w obecnem położeniu może to się udać.

Fhr. v. Vogelsang.

Literatura litewska.

Wobec często ponawiających się w naszej prasie niedokładnych wiadomości o literaturze litewskiej, korzystnem będzie podać o niej krótkie, ale z pewnego pochodzące źródła sprawozdania. Zaczynamy od czasopism.

1. Czasopisma litewskie.

Czasopism litewskich obecnie wychodzących jest dziesięć:

1) *Lietuviszka Ceitunga* (Litewska gazeta) wychodzi w Kłajpedzie (Memel) od 1879 roku pod redakcyją p. Marcina Szerniusa[1]. Ma najwięcej czytelników; w duchu umiarkowanym, ale mdłym nieco.

2) *Tilżes Keleivis* (Tylżański wędrowiec), który nazywał się uprzednio *Naujasis Keleivis* (Nowy wędrowiec), jest następcą redagowanego przez ś. p. profesora uniwersytetu królewieckiego Kurszatis'a *Keleivis* (Wędrowiec). Redagowany jako *Naujasis Keleivis* przez p. Einara, a obecnie przez p. Raudonius'a. Tej samej wartości co i *Lietuviszka Ceitunga.*

3) *Konservativu Draugistes Laiszkas* (Pismo konserwatywnego stowarzyszenia). Pierwiej ono się nazywało *Tiesos prietelius* (Przy-

[1] Pan B. na str. 5 „Auszry" 1883 roku, twierdzi, że pismo to poczęło wychodzić w 1873 r.

jaciel prawdy). Wychodzi w Prekulu (niem. Prekuln) pod redakcyą p. Trauszis'a. Organ niemieckiej konserwatywnej partyi, przeciwny nauce i oświacie.

4) *Pakajaus Paslas* (Poseł pokoju), wydawanym jest przez p. Kukatis'a niedoszłego pastora. Wychodzi w Kłajpedzie i jest organem sekty *maldininków* albo *surinkininków* (modlących się lub zbierających się).

5) *Keleivis* (Wędrowiec. Zupełnie co innego *Keleivis* ś. p. Kurszatis'a, wspomniony wyżej). Wychodzi w Prekulu razem z *Konservatiwu D. L.* Redagowanym jest przez nauczyciela Ejnara, który redagował uprzednio *Naujasis Keleivis*. Wrzekomo staje w obronie interesów litewskich, ale nie dosyć śmiało i szczerze, podpada też za to krytyce gorliwszych obywateli, niewielu liczy prenumeratów i zmienia miejsce pobytu. Jakiś czaś wychodziło w Kłajpedzie, obecnie połączyło się w Prekulu z *Kon. Drau. Laiszkas.*

6) *Lietuviszkas Politiszkas Laikrasztis* (Litewskie polityczne czasopismo). Wychodzi w Królewcu, redagowanem jest przez p. Kibelkę. Jest to organ partyi liberalnej, silnie stojącej za litewską sprawą. Na początku 1884 roku pismo to wychodziło w Ragnecie, ale z powodu sprawy z burmistrzem tego miasta o przekład całych numerów tego pisma, dla wygodnego cenzurowania, chociaż litewski język jest tam powszechnie znanym, przestało na czas jakiś wychodzić. Od 1 kwietnia tegoż roku wychodzi w Królewcu.

7) *Auszra* (Świtanie). Pismo to miesięczne zeszytami poczęło wychodzić w Ragnecie w marcu 1883 r., w drukarni Albana i Kibelki z kolei pod redakcyą pp. Dr. Bassanowicza, Jerzego Mikszas'a, Jana Szlupas'a. Od Nr. 6 w tymże roku poczęło wychodzić w drukarni Mauderode'go w Tylży pod redakcyą p. Szlupas'a aż do Nr. 7. roku następnego. Dalsze numera redagował już p. Mikszas powtórnie. Ponieważ to pismo nie miało w początkach odpowiedzialnego redaktora, cenzura domagała się niemieckiego przekładu dla kontroli. Tak mozolna praca zmusiła redagujących do wyszukania człowieka, któryby chciał być za wszystko odpowiedzialnym. Ten obowiązek od Nr. 6, 1884 r. przyjął na siebie p. Marcin Jankus, obywatel ziemski mieszkający w Bitenach pomiędzy Tylżą a Rangnetą, redakcyę prowadzili wyżej wymienieni pp. Szlupas i Mikszas. Z powodu częstej zmiany redakcyi i innych nieprzyjaznych okoliczności,

pismo to wychodziło zrazu nieregularnie, wydało jednak dziesięć zeszytów. R. 1884 przeszedłszy kryzys, wychodzi stale, ożywione duchem dobrym i tendencyą zacną, a przeznaczone głównie dla inteligencyi litewskiej, z łona ludu przeważnie rekrutującej się i wzrastającej z dniem każdym [1].

8) *Niamuno Sargas* (Stróż Niemna) wychodzi w Ragnecie od 1 października 1884 r. pod redakcyą i w drukarni p. J. Syberta; staje wytrwale w obronie spraw krajowych i liczy blisko 5.000 prenumeratorów.

9) *Unija*, pismo wychodzące w Nowym Jorku w Ameryce w drugiej połowie 1884 r. pod redakcyą p. Jana Szlupas'a. Głównie ma na celu potrzeby kolonii litewskiej w Ameryce. Przedtem wychodziła tam *Gazeta Lietuviszka* (Gazeta litewska); ale po wyjściu 14-go numeru, upadła. P. Antoni Jurgelajtis w swojej korespondencyi z Ameryki 1883 r. z marca, użala się, że pomimo tego, iż kolonia litewska liczy 15—20.000, nie mają Litwini swojego pisma, że chcieli je wydawać, ale dla braku kapitału dali pokój temu. W następnym roku pisze, że p. Michał Twarauczkas otworzył w Nowym Jorku litewską drukarnię i drukuje litewskie książki, że wydawał nawet pismo litewskie (zapewne *Gazetę Lietuviszka*), które z powodu szczupłej liczby prenumeratorów przestało wychodzić (Auszra za rok 1883 i 1884).

10) *Pasiuntinistes Laiszkai* (Misyonarskie pisma), wychodzi raz na miesiąc w Królewcu. Ma na celu potrzeby misyi protestanckiej pomiędzy poganami. Jest to najstarsze litewskie czasopismo, bo wychodzi od r. 1832. Pan J. Bs. w Nr 1 „Auszry“ 1883 r. mylnie napisał, że *Lietuvninku prietelius* (Litwinów przyjaciel), który począł wychodzić 1848 r. jest pierwszem litewskiem czasopismem [2]. „Auszra“ 1884 roku, str. 86 wspomina *Nusidavimai apie evangelijos praplatinimo tarp żidu ir pagonu* (Wydarzenia o rozszeniu ewangelii pomiędzy żydami i poganami), miesięcznik redagowany przez p. Kelch w Królewcu od r. 1832, który wychodził nieregularnie. Czy nie będzie to toż samo, co i *Pasiuntnistes Laiszkai?*

[1] W Rydze znajduje się stowarzyszenie, niby to litewskie *Auszra*, którego nie trzeba mięszać z pomienionem pismem.

[2] W błąd popadł za D-rem Geitlerem, cytując jego artykuł w „Osveta“, 1874 r., nr. 7, str. 489 (patrz Auszrę 1884 r., str. 194).

W 1863 roku wychodziło w Szyłokarczmie pismo *Lietuvninku paslas* (Litwinów poseł. Patrz „Auszrę“ 1884 r., str. 86).

Auszra i *Pasiuntinistes Laiszkai* są miesięcznikami, inne podobno wszystkie tygodnikami. *Auszra* i *Unija* drukują się łacińskiemi głoskami, inne zaś gotyckiemi [1] na sposób litewski tak, jak i łacińskie po części przerobionemi. *Unija* jedna tylko wychodzi w Ameryce, inne na Litwie mniejszej (pruskiej), lub w Prusach (Królewiec). W Rosyi od r. 1864 dozwolonem jest tylko drukowanie w litewskim języku pieśni ludowych (śpiewów, oracyj weselnych, podań i t. d.) i to łacińskiemi czcionkami, w drukarniach uniwersyteckich, wszelkich zaś innych pism ludowych naukowych i literackich drukować w języku litewskim nie wolno. I to jest przyczyna, dlaczego żadne litewskie czasopismo nie istnieje na Litwie większej (rosyjskiej), pomimo to, że tu jest znaczna liczba czytających, którzy poprzestać muszą na zagranicznych litewskich pismach. Wyjątkowo tylko pozwolono drukować w litewskim języku utwory p. Wiłejszis'a w r. 1876 i 1877, „*Kalendorius*“ Iwińskiego na 1878 rok i kilka innych. Nie małe zasługi położył w peryodycznem piśmiennictwie litewskiem ś. p. Wawrzyniec Iwiński, który od r. 1846 aż do 1864 redagował i wydawał „*Kalendorius ukiszkasis*“ (Kalendarz wiejski) u Zawadzkiego w Wilnie, a na rok 1878 w Petersburgu u Suszczyńskiego, umieszczając w nim obok rozmaitych wiadomości także powieści, śpiewy, wiersze ulotne i poezye, jak księdza Baranowskiego *Anikszciu szilelis* (Borek w Oniksztach) [2], tłómaczone wyjątki z Witoloraudy p. Kraszewskiego przez ś. p. pannę Karolinę Proniewską [3], bibliografię i t. d. Kalendorius, można powiedzieć, że był w domu każdego litwina umiejącego czytać i przyniósł przez to Litwie niewypowiedziane korzyści.

Wspomnieć jeszcze wypada o trzech kalendarzach, wychodzących corocznie w Litwie mniejszej. *Niamuno Sargo Lietuviszkos Kalendros* pod redakcyą p. Mikszas'a i *Lietuviszkas Auszros Ka-*

[1] Robią i te pisma czasami wyjątki, drukując niektóre artykuły łacińskiemi głoskami, mianowicie te, które tyczą się Litwy większej (rosyjskiej).

[2] Poemat ten wyszedł w powtórnem wydaniu w Wejmarze 1882 r. pod tytułem: Ostlitauische Texte... von Anton Baranowski und Hugo Weber.

[3] Witoloraudа cała przełożoną została przed kilku laty na litewski język wierszem miarowym i drukowana w drukarni imienia Kraszewskiego w Poznaniu, 1881 r. Tłómaczenia dokonał p. J. A. W. Lietuwis.

lendorius, wychodzące przy *Niamuno Sargas* i *Auszras*, mają na celu rozbudzenie ducha litewskiego i oświaty; trzeci zaś redagowany przez p. Kelch *Lietuwiszkos Kalendros* odznacza się dążnością germanizacyjną. Pierwszy i trzeci z nich drukują się gotyckiemi czcionkami, a drugi łacińskiemi. Największa cyfra, w jakiej się kalendarze litewskie w ogólności rozchodzą, dosięga 5,000 egzemplarzy.

Ś. p. Wołonczewski, biskup żmudzki, miał zamiar wydawać pismo litewskie kwartalne albo miesięczne, ale szlachetny ten zamiar z niemałą szkodą dla Litwy nie przyszedł do skutku. Pisarze litewscy częstokroć nie wiedzieli o sobie i pisali toż samo kilku. Litwa mniejsza (pruska), z powodu innego wyznania i liter w druku [1], wpływać na Litwę większą nie mogła podtenczas.

Mieczysław Dowojna Sylwestrowicz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Do K. G. pod Gnieznem. Kiedy nam się zdarzy tak miłe otrzymywać listy, jak niniejszy W. M. z zagadnieniami z dziedziny filozofii, teologii lub innych nauk, chętnie, ile nas stać będzie na ostatniej stronnicy *Przeglądu* odpowiemy. Może ta otwarta wymiana myśli i komu innemu się przyda.

Pytasz Pan, czy i w jakiem znaczeniu przyznać należy zwierzętom duszę? Jeżeli pod nazwą duszy rozumiemy pierwiastek życia, nie wchodząc w to, czy on jest rzeczą od ciała odrębną, czy też samym organizmem, mózgiem, lub jakąkolwiek materyi funkcyą, wówczas oczywiście powiedzieć trzeba, że zwierzęta mają duszę, skoro widocznie żyją, czują, poznają, pamiętają... Jeżeli zaś duszę bierzemy w ściślejszem znaczeniu: jako pierwiastek życia od ciała odrębny, a więc niematerialny — to takiego uczeni materyaliści ani w człowieku nie uznają; katoliccy zaś myśliciele, od św. Tomasza aż do dziś dnia, uznają pospolicie taką duszę nietylko w człowieku ale i w zwierzęciu. I w istocie analiza zjawisk czucia i świadomości, jaką i zwierzęta objawiają, przekonać może każdy nieuprzedzony umysł o bytności w nich niezłożonego i niematerialnego pierwiastku (Ob. „Filozofia i jej zadanie“, str. 189). Zachodzi jednak zawsze istotna i nieprzebyta różnica między ludzką a zwierzęcą duszą: gdyż ta ostatnia, mając tylko czynności zmysłowe z organizmem wspólne, po zniszczeniu organizmu traci racyę bytu i ginie; ludzka zaś dusza oprócz funkcyj zmysłowych, zwierzęcym równych, ma władze i akty umysłowe, czysto duchowe, jak myślenie oderwane i wolna wola, które ją wynoszą ponad sferę materyalną i uzdolniają do życia, nawet po rozkładzie ciała (Filoz... str.

[1] W piśmie jedni i drudzy używają liter łacińskich.

194 i nast.). Zatem choć i zwierzęca dusza jest czemś niemateryalnem, tylko ludzka jest właściwie duchem i ona tylko jest nieśmiertelną.

Tak się rzecz przedstawia z punktu filozoficznego; z teologicznego zaś stanowiska tylko istnienie duszy ludzkiej do wiary należy. Ustępy zaś Pisma św. o duszy zwierzęcej, które W. M. przytaczasz, mogą się rozumieć w pierwszem z pomienionych znaczeń duszy, czyli nic więcej nie oznaczać, jak tylko życie.

Do E. S. Umieścimy niezawodnie rozbiór artykułu Hartmanna *Der Rückgang des Deutschthums* i już zaczęliśmy o nim pisać; ale ponieważ Hartmann wydał świeżo nowy list dopełniający to, co w artykule powiedział, musimy to odłożyć na przyszły miesiąc.

Od W. X. Zuzaka, otrzymaliśmy uwagi i dokumenta odnośne do oceny jego broszury „Nauka religii w szkołach“ umieszczonej w ostatnim Nr. *Przeglądu* str. 265. Prosiliśmy więc sz. Recenzenta żeby te uwagi uwzględnił i otrzymujemy od niego uzupełnienie, które z braku miejsca na przyszły miesiąc odłożyć musimy.

Od Redakcyi niemieckiego Reichsanzeigera otrzymaliśmy pod d. 9 lutego następującą uprzejmą odpowiedź:

„Przysyłamy w załączeniu Sz. Redakcyi „Przeglądu Powszechnego“ egzemplarz *Reichs-* i *Staats-Anzeigera* z dnia dzisiejszego, w którym zawiera się sprostowanie cytaty z Nr. listop. „Przeglądu Powszechnego“, przytoczonej w *Reichsanzeigerze* z 12 stycznia.

Redakcya rządowego Anzeigera Cesarstwa Niemieckiego i Królestwa Pruskiego.

Sprostowanie brzmi: „W num. 9-ym *Reichsanzeigera* z 1885 roku przytoczony jest ustęp z miesięcznego pisma w polskim języku, wychodzącego w Krakowie p. t. *Przegląd Powszechny,* który brzmi w tłómaczeniu: Polen werde die ihm gebuehrende Stellung *einig* einnehmen. W właściwym przekładzie powinnoby brzmieć: Polen werde die ihm gebuehrende Stellung *wuerdig* einnehmen“.

Druk ukończony dnia 25 lutego 1885.

W drugą rocznicę śmierci

JÓZEFA SZUJSKIEGO.

Ludzie wyżsi, znakomici, mają to do siebie, a zwłaszcza po śmierci, że jak byli sztandarem, tak stają się hasłem stronnictw, pod którem czasem różnorodne zaczynają walczyć, jak o Patrokla zwłoki Grecy i Trojanie morderczą rozpoczęli bitwę.

Śmierć Józefa Szujskiego wywołała całą literaturę, a da Bóg nie na tem koniec. Choć nie miałem z nim tyle poufałych, co inni, szczęśliwsi, stosunków, wiadomo jak ścisły duchowy łączył mnie z nim związek; uważałem go za człowieka najbardziej potrzebnego i może nie byłbym żałował dni własnych, aby jego przedłużyć. Znakomita praca Smolki będzie kiedyś tłem dla tego, co napisze jego życie. Uważana przez niektórych za przesadną w ocenieniu, mnie zgoła nie razi. Jedno albo drugie hiperboliczne w pośpiechu wyrażenie, nie zmniejsza ani zasługi, ani wartości pisarza; raczej może miano mu za złe, że śmiało podniósł i uznał duchowy, wyższy, nawet dogmatyczny Szujskiego kierunek, stawiając jako najważniejszą, choć nie najdłuższą pracę, odczyty, które on sam za główną swą zasługę uważał.

Ale nie o to mi idzie. Wpływu, jaki znakomita ta postać wywarła, zaprzeczyć nie myślę; zobaczymy dalej, że ją rozumiem i oceniam, nie powinny jednak żal, przyjaźń, ani nawet krytyka, chcąc być bezstronną i trzeźwą, zaślepiać się do tyla, aby być niesprawiedliwą dla ludzi i czasu. Wielkie wypadki i ważne zmiany społeczne skłonni jesteśmy przypisywać jednej przyczynie, albo jednemu czło-

wiekowi. Tak nie jest: przyczyny są zawsze złożonej natury; ludzie dziedziczą prace poprzedników. Ani Wielopolski jak chce Lisicki, ani Szujski, jak chcą Koźmian i Bobrzyński, nie był ojcem konserwatyzmu i polityki obecnej w Polsce; nie on wpadł na myśl jaja Kolumba; obaj ci pisarze młodzi, nie pamiętają jak oddawna wyrabiały się w społeczeństwie naszem dwa sprzeczne prądy, które zaznaczyły swoje kierunki w czynach i w dogmatycznem stawianiu zasad, a jeżeli ostatnie i obecne pokolenie sformułowało je w praktyce, to dla prostej przyczyny, że stosunki wywołały i mogły tylko wywołać takie przekonania i wskazać takie drogi.

Ani w r. 1848, ani za Bachowskich rządów, działanie wspólne, organiczne — albo, jak chcą organizujące z rządem — niebyło podobne. Ale tak w r. 1848, jak za ministeryum Bacha, zdrowe polityczne zasady były głoszone i bronione przez ludzi, którzy podówczas nie mogąc działać, gotowali grunt pod przyszłość.

Zasady te zdobyte na drodze spekulacyjnej dokładnem zbadaniem natury człowieka i ludzkości, potwierdzone przez historyczne studya, przechodząc przez to podwójne kryteryum, dały tym ludziom zupełną pewność co do ich prawdy i dlatego, jak skoro natura rzeczy wywołała w Austryi w r. 1859 pokrewne objawy, odrazu adresem 1860 r. z nimi się połączyli, a wypadki lat strasznych do r. 1864 ani na chwilę nie zmieniły ich poglądu i kierunku. Tak, kiedy za ministeryum Belcredego na tle październikowego dyplomu na nowe a właściwe popchnięto Austryę tory, sejm r. 1866 zrozumiał zadanie, a posłowie jak Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Paszkowski, Henryk Wodzicki, Helcel i t. p. w izbie, pisarze, jak Mann, Rzewuski, Dębicki, w dziennikarstwie i politycznych broszurach, wyrabiali tę politykę, którą kraj idąc od lat 16, zdobył samorząd w granicach politycznej możebności, wpływ u monarchy i w monarchii, a co więcej daleko, poczucie w sobie, a przekonanie u obcych, że stał się ważnym czynnikiem i posiada te instynkta i potęgi, na których zawsze mu zbywało, a które robią z niego materyał do politycznego wpływu i politycznego bytu.

Grono to ludzi tworzyło długo tak zwaną partyę krakowską, która przeważne w sejmie zajmowała stanowisko. O Stańczykach nie było słychać, bez nich powstało urządzenie gmin i rad powia-

towych, ustawy szkolne, a nawet Zarys. Stańczyki podówczas w chwalebnym zwrocie wyrabiali siebie i swoje zasady.

Geneza Stańczyków. Bobrzyński w zajmującym swoim odczycie, nadto szeroko rozciągnął Stańczykowe plemie; albo nie pamięta jak powstało, albo pełen dworności, chce im przydać splendoru i powagi. Bobrzyński, a bardziej Stanisław Koźmian, tak o Stańczykach mówią, jakby od nich dopiero rozpoczął się zwrot opinii krajowej, jakby oni założyli fundamenta zdrowej polityki i wyrobili stronnictwo konserwatywne, politykę t. z. polsko-austryacką. Tak nie jest.

Prąd, który miotał w r. 1863 był tak gwałtowny, że zagarnął wiele żywiołów, które były mu obce, a dla których nawet był wstrętnym. Ulegali mu starzy, wytrawni ludzie z przeszłością i stanowiskiem; ani się dziwię, ani zbyt surowo potępiam, że ludzie młodzi, zdolni, pełni szlachetnego zapału i ducha poświęcenia, bez żadnego politycznego doświadczenia, a nie bez przymieszki tego poczucia, które rade wielkich spraw się dotykać, rzucili się we wir wypadków, których całą oceniali grozę, z tą nadzieją, która już tylu zgubiła ludzi i tyle spraw zniszczyła, że niemi pokierować, a przynajmniej zmniejszyć zgubność złego potrafią. Oczywiście stało się inaczej; jak zwykle, dodali tylko rzutowi otuchy i powagi, wzmocnili jego potęgę a usprawiedliwili cele, niezyskawszy żadnej w kierownictwie władzy. Ustawicznie powtarzający się to błąd ludzi zacnych a słabych, którzy własne oszukują sumienie mniemaniem, że biorąc w złej albo nierozsądnej sprawie udział, potrafią zgubność jej uczynić mniej szkodliwą. Zapominać jednak nie trzeba, że jedni życiem błąd swój opłacili, drudzy z odwagą stawali, aby sprawa krwią szlachetną zbroczona, niebyła także obryzgana błotem.

Ludzie ci nieliczni, ale pełni miłości ojczyzny i poświęcenia, jak mieli odwagę cierpieć chwilowe wygnanie, nawet ciężkie więzienie, tak mieli większą daleko zasługę, — a natchnęła ją podniosłość celu i miłość — uznania i błędu i konieczności nawrotu. Proces nie był łatwy, nie mógł być prędkim, odbywał się u jednych na drodze spekulacyi, u drugich na drodze doświadczenia, u Szujskiego na drodze historycznych studyów.

Równocześnie jak to napomknąłem, za ministeryum Belcredego

zebrał się sejm r. 1866, i na tym to sejmie powstało pośród walk najważniejszych stronnictwo konserwatywne, czy krakowskie. Czy tych żywiołów nieposiadała wschodnia Galicya? posiadała je, bo monopolium politycznej prawdy do nikogo wyłącznie nie należy, ale w skutek właściwości miejscowych, nawyknień w stosunkach ze rządem, albo zbyt spornych, albo zbyt uległych, w skutek także osobistego wpływu ówczesnego namiestnika, tak w konserwatyzmie jak i w partyi ruchu był inny charakter; w każdym razie pierwszy, nie sformułował we Lwowie swoich zasad. Ten sejm założył fundamenta ustroju politycznego i duchowego rozwoju naszego koronnego kraju. Późniejsi Stańczycy nie wzięli w nim przeważnego udziału; ani Przegląd polski, choć od roku wychodził, ani Teka Stańczyka nie była jeszcze wskazała nowego kierunku; Szujski nie mógł przeboleć rozchwiania swoich ideałów, straszna w tej silnej głowie i potężnem sercu panowała burza, objawiająca się polemicznymi artykułami pełnymi ognia i niepokoju, a których kierunek streszcza się w liście, który chowam. Pisał do mnie w słowach:

„Puszczasz pan „kilka słów", ja puszczę odpowiedź. Aby je„dnak jak najmniej uronić z pierwotnej myśli, na którąśmy się oba „zgodzili, poprzestanę na odporze kilku zarzutów, a zajmę się głó„wnie wskazaniem drogi porozumienia. W ten sposób będę chciał „upożytecznić naszą polemikę. Jesteś, szanowny pan, katolikiem i ja „nim jestem, jesteś przywiązany do kraju i ja pochlebiam sobie, „że go kocham, jak nic na ziemi. Jesteś starszym, o wiele starszym „odemnie, tu może największa między nami różnica. W okropnych „stosunkach naszych, starość przychodzi prędko, a objawia się nie „osłabieniem siły rozumu, ale osłabieniem siły wiary. Traci się „wiarę w społeczeństwo, w magiczny wpływ kochającego serca, „w potęgę jawnego postępowania, w skuteczność wielkiej i szczerej „polityki, w pożyteczność owej Chrystusowej popularności, która „idzie między tłum i zyskuje wyznawców. U nas cała wyższa war„stwa społeczna choruje na tę starość, spuściznę z przeszłości, „i przyjmuje na siebie coraz bardziej rolę hrabiego Henryka w Nie„boskiej Komedyi. Nikt tego nie czuł lepiej jak melancholiczny „wieszcz jej, Krasiński".

Osobiście podówczas nie znałem Szujskiego, widziałem z osnowy

listu, że zbliża się do uznania prawdy, którą otwierały przed nim historya i wypadki. Takie charaktery nic nie robią na wpół; Szujski z zastępem swoich przyjaciół, którzy już byli otrzeźwieli, postawiwszy teoretyczny kierunek w swoich Kilku prawdach, rozumiał, że nie dość dogmatycznie nauczać, ale że należało wprzódy rozbić nagromadzony ogrom fałszu, tem niebezpieczniejszy, że ukrywał się pod płaszczem zasługi, a nadęty był próżnością. Jako broń obrał formę satyry tak piekącej, że jak słusznie uważa Bobrzyński, wgryzła się aż do szpiku kości, a ból szaloną obudził niechęć. Nie wiem czy od czasu sławnej satyry „Ménipée" podczas Ligi powstałej, tego rodzaju publicystyka tyle podniosłe wrzawy. Listy Juniusa głównie mierzyły w ministra i jego popleczników. Teka Stańczyka uderzyła w całe stronnictwo, które do niedawna politycznie całym trzęsło krajem, a uderzyła z bezwzględnością pogardy, a gorliwością nowonawróconych. Kiedy zacny Bieliński nadmiar kwasu, który ożywiał Tekę surowo osądził, Szujski odparł zarzut, a po dwunastu latach, nie ostygnąwszy z zapału, usprawiedliwiał treść i formę koniecznością zrobienia wrażenia, potrzebą pokazania tym, co terroryzowali opinią, że są ludzie, co się ich nie boją, wreszcie prawdą pod formę nie tak polemiczną jak aforystyczną postawionych zasad. Cała wspaniałość duszy Szujskiego przegląda w tej odpowiedzi, która dowodzi, z jaką dobrą wiarą, z jaką miłością publicznej sprawy pochwycił on i jego przyjaciele za ten a nie inny oręż.

A jednak mojem zdaniem w Tece Stańczyka odzywa się struna, która razi, struna ironii. Niebyła chwila po temu. Cel może był dobry; u mnie cel nigdy nieusprawiedliwia środków. Może bez tej ironii byłaby Teka mniej czytaną, ale byłaby miała wpływ zbawienniejszy. To przyznawszy winienem uznać, że ludzi i ich działania nie należy brać ryczałtowo, i nie da ich się jak podług recepty ukształtować; a nadto, że tylko charaktery i działanie bezwzględny zostawiają w wypadkach ślad po sobie.

To do jego osoby, której ze Stańczykami solidaryzować nie należy. Był Stańczykiem, ale był i czemś więcej, nie ograniczył się na działaniu negatywnem, ale kiedy jego przyjaciele, wskazawszy i wychłostawszy błędy przeszłości, umieli pokazać, czego się strzedz wypadało, a praktyczne na razie (opportunizm) wskazywali drogi, za

co należy im i wdzięczność i chwała, on odniósł się do najwyższych zasad, w ich świetle sądził, uczył, kierował. Tego może nie dostrzegli jego stronnicy i wielbiciele, nawet ci co pośmiertnie uznali jego zasługi, ale dostrzegli doskonale przeciwnicy, i dlatego wydano mu głośną albo cichą walkę, która dopiero z dniem śmierci ustała.

Śledząc pilnie ten wolny postęp ku politycznej i duchowej prawdzie, któren skończył się zupełnem jej uznaniem, *(justitia et pax osculatae sunt)*, pytałem nieraz sam siebie, na jakiej drodze odbywał się ten ciekawy a tak zbawienny proces? O ile było mi wiadomo, studyów nad prawem publicznem i historyą tej nauki nie odbywał, spekulacyjnie nie badał; otóż dobra wiara, z jaką prawdy szukał i nauka historyi, obok bystrego i zdrowego rozumu, były mu przewodnią. W rzeczy samej historya jest największą i najpewniejszą polityki mistrzynią, jeżeli badana wedle zdrowej metody, która krytycznie zestawia fakta, a nie szuka błędnej, *a priori*, powziętej teoryi. Jeżeli tak zdobyte prawdy polityczne zgodzą się ze spekulacyą opartą na znajomości natury człowieka i ludzkości, to już żadnej po zaaplikowaniu podwójnego tego kryteryum nie ma wątpliwości. Drugiego Szujski podobno nie próbował, dopełnili tego za niego inni; dość że w miarę jak żył, jak się uczył, jak działał, pojmował i przedstawiał coraz jaśniej organizm społeczeństwa, ustrój i podstawę jego w duchowym objawione porządku. Jak społeczeństwo niebyło dla niego utworem wolnej człowieka woli, ale koniecznością jego natury, tak prawo nie było wyrobem rozumu, ale objawioną prawdą zastosowaną do stosunków ludzkości. Tylko bardzo wprawne oko dopatrzy związku jaki panuje pomiędzy tem zapatrywaniem a całym kierunkiem Szujskiego w pismach, w kursach uniwersyteckich, w sejmie; w Akademii każdoroczne sprawozdanie dawało mu świadectwo, ostateczne zaś słowo wymówił w odczytach o Odrodzeniu.

Stańczycy w życiu publicznem. Zaprawdę nie w samej tylko Tece zaznaczyli swoją czynność. Z poświęceniem czasu, pracy i kosztu wydawany Przegląd Polski, dawał świadectwo niepospolitej gorliwości i wytrwania, umiał praktycznie wskazywać polityczne działania, przypominać błędy przeszłości, a ostrzegać przed obecnymi; czynił to nieraz z potęgą pióra i poglądem, które, choć był

czytany w nielicznem kole, zapewniły mu wpływ i wdzięczność. Mówił to, co mówili może z mniejszym talentem przed nim inni, a co odpowiadało przekonaniom stronnictwa już licznego. Że te prawdy przyjęte i uznane zostały, nie idzie zatem aby Stańczycy wyrobili je i wlali dopiero w przekonania; i niesłusznie Bobrzyński uważa liczne w Galicyi, Królestwie i Poznańskiem stronnictwo zachowawcze, za rozrodzone Stańczyka plemię.

Żaden człowiek zasad zdrowych, organicznych, wyrzekać się Stańczyków nie miał powodu; cieszył się ich działaniem, talentem, odwagą, popierał ich, ale niekoniecznie wchodził do tego ciasnego obozu. Że to nie byli ludzie pospolici, działanie niepospolite najlepszym dowodem; że od lat tylu o nich mowa, z nimi walka, i że dziś jeszcze powstają Koła polityczne ze sztandarem: Hejże na Soplicę! — pochodzi to z błędu, który specyficznych Stańczyków mięsza nie bezwiednie z krakowskiem i całem organicznem i duchowem stronnictwem; znana taktyka.

Stańczycy odznaczeni w publicystyce, sporadycznie zasiadali i działali w sejmie jako krakowianie; dopiero kiedy marszałkiem został hr. Ludwik Wodzicki, zajęli tam osobne stanowisko. Zwarte, wybitne, niewiem jak to nazwać, może najlepiej bractwo, odrazu, chcąc kierować, rozsadziło stronnictwo krakowskie; niepomogło temu zawiązanie klubu Reformy, zaczęło wolno słabnąć i wpływ tracić, bo zbyt silnie i kanciasto skrystalizowane jądro, nie dopuszczało kohezyi składowych części. Krakowianie, albo raczej żywioł, który reprezentowali, słabnął, przestał przewodzić, aż się rozpadł przy kwestyi gminnej. Oto skutek wewnętrznej Stańczyków polityki. Teraz o zewnętrznej.

Zewnętrznej polityki naszej nie należy rozumieć jak u innych narodów; ma ona znaczyć nie sprawy jedynie koronnego kraju, czy skarbowości, czy administracyi, czy edukacyi dotyczące, ale stosunek nasz do innych części Polski, do rządów, które tam panują, do środków utrzymania odrębnych cech narodowych. Zatracenia tej odrębności, wyrzeczenia się przyszłości i nadziei, żaden uczciwy a nawet rozumny nie dopuścił się człowiek. Byt narodów, które wedle słów Pisma św. są uleczalne *(sanabiles)* składa się z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości *(uniternitas)*. Żadnemu pokole-

niu wyrzekać go się nie wolno, bo wnuki albo synowie zadaliby kłam takiej frymarce. Ale pokolenia winne rozumnie i sumiennie bez przesądzania przyszłości, na podstawie prawd duchowych, wzmacniać organizm, obierać te drogi, które chwila wskazuje, a obierać nie te tylko, które chwila obecna wskazywać się zdaje, ale które polityka stale obmyślona w związku z naturą i przeszłością społeczeństwa nakazała. Chwiejność tutaj byłaby w najwyższym stopniu zgubną. Znam ja dobrze tę polityczną mądrość, która niby wiązać się nie chce z żadnym organizmem państwowym, rachując, któren większe nam przedstawia korzyści. Takie licytowanie swej wartości, niegodne szlachetnego narodu, z pewnością stałych nie zapewni przyjaciół; zaprzedanie takie więcej dającemu równie podłe jak zgubne. Czy o tem pomyśleli ludzie zacni? a znam takich, którzy niebacznie powtarzają: „kto wie, czy Rosya nie zapewniła by nam więcej swobód, więcej korzyści materyalnych, czy pokrewieństwo szczepowe nie jest podstawą łączności"; czy pomyśleli, że każdy, o takie podejrzany uczucia, traci prawo do wiary i do tej miłości, której dotąd wszystko zawdzięcza nasz kraj koronny? Wolno tak myśleć niektórym bankierom, przemysłowcom i pozytywistom warszawskim, niewolno ludziom, którzy poważnie trudnią się sprawą publiczną, a zwłaszcza kiedy kraj uroczyście powiedział: „przy Tobie N. Panie stoimy, i stać chcemy", powiedział wprzódy, zanim Stańczycy weszli w rachunek politycznego życia w Galicyi; ich zasługą, że tę myśl śmiało, wyraźnie, ujęli i sformułowali.

W tej właśnie chwili kiedy piszę, sala ratusza lwowskiego brzmi zapowiedzią niesumiennych obietnic; warto zatem tę politykę wyjaśnić. W niepewnej dla każdego rozsądnego człowieka przyszłości dwie tylko są rzeczy pewne: raz, że naród dobrowolnie nigdy nie wyrzecze się swojego bytu; drugi raz, że w niepewności, jakie warunki i kształty bytu tego być mogą, o tyle więcej otrzymamy, o ile więcej pierwiastku moralnego i organicznego w sobie wyrobić potrafimy. Nie pomogą tu zgoła najgłośniejsze okrzyki, że Polska nie zginęła; nie pomogą najbardziej stanowcze affirmacye niespożytych albo traktatami poręczonych naszych praw; pomoże jedynie wyrobiona, wewnętrzna, żywotna siła, będąca skutkiem uznania i praktykowania warunków życia społecznego, a temi są obok je-

zyka i narodowości, które dzięki Bogu i dobremu monarsze są bezpieczne, uszanowanie władzy i prawa, pod których opieką układają się powaśnione niegdyś żywioły społeczne do równowngi, tak, że przychodzą do wspólnej jako naród świadomości. Proces ten pod rządem rosyjskim odbywać się nie może, bo potrzebuje koniecznie normalnych warunków, na których tam zupełnie zbywa; dlatego też widzimy tam objawy chorobliwe, które same, gdyby ich społeczeństwo nie wyrzuciło, zdolne zatruć jego zdrowie. Widzimy rozpoczętą assymilacyjną czynność, propagowaną przez pismo z talentem redagowane, które w dobrej wierze rozumie, że wywieszenie wspólnego nam dziś wszystkim demokratycznego sztandaru wystarcza, aby sprowadzić opinią na grunt konstytucyjny, do którego w Rosyi danych niema, a chociażby były, to właśnie na tym gruncie rozpoczęłby się najniebezpieczniejszy dla niej rozkład i absorbcya konieczna w obec ogromu państwa rosyjskiego i obudzonych w jego ludności aspiracyj. Błąd ten, który w Warszawie i w zabranych krajach wielu znajduje zwolenników, pochodzi z zapoznania w ogólno humanitarnym poglądzie, iż narody żyją i żyć tylko mogą pierwiastkiem duchowym, na którym się rozwinęły; że są pomiędzy szczepami zasadnicze różnice, których skutkiem jeden szczep może pochłonąć drugi, zlać się dobrowolnie nigdy nie potrafią; że odgrywają tutaj główną rolę pierwiastek religijny wykształcający duchowość i moralność, i pierwiastek cywilizacyjno-historyczny, który wykształca pojęcia prawa politycznego i cywilnego. Te to przyczyny robią niepodobną na jakimkolwiek bądź gruncie fuzyą rosyjskiego z polskiem plemieniem.

Nie twierdzę, jak często chcą nasze uprzedzenia, aby nasze stosunki państwowo-społeczne i moralne były wyższe od rosyjskich, które każdy znający rzecz oceniać musi: ale są z gruntu inne. Wyrosły z pierwiastku bizantyjskiego, wschodnio-azyatyckiego, wyrosły ze strasznych walk, z których Rosya wyszła politycznie zwycięsko, ale z utratą indywidualizmu będącego cechą Zachodu, z niewykształconą ideą własności, ze zlaniem w jedno kościelnej i państwowej władzy, słowem z utratą wszystkiego, co uważamy słusznie jako główny nasz kapitał narodowy.

Rozumiał to Szujski, kiedy niemal ostatnie słowa jego były:

trzymajcie się Zachodu; ten związek ze Zachodem ułatwi sojusz z państwem i domem, który choć należał do rozbioru Polski, sam jeden go żałował, a sam jeden mógł nam dać już w skutek ustroju państwowego te warunki bytu, które Aleksander I. chciał dać Królestwu, a pokazało się że nie mógł. Nierozsądny tylko, i obcy polityce człowiek mógłby chcieć przepowiadać dzisiaj, — kiedy nietylko trony się chwieją, ale ziemia trzęsie, — w jakiej kombinacyi, wśród jakich warunków i sojuszów, Polska istniećby mogła, czy jako członek federacyi, czy jako *secundo genitura*; dzisiaj o to idzie, by się do tego gotować.

Kraj koronny przez organ sejmu wyrzekł przy kim stoi i stać chce, a zasługą Stańczyków, głównie jednego z nich, że teoryę tę sformułowali, a bezwzględnem i śmiałem głoszeniem wprowadzili w praktykę. Szujski poszedł dalej, albo raczej głębiej. Umysł silny, przenikliwy i konsekwentny, dążąc do wzmocnienia sił narodowych, nie mógł pozostać na zewnętrznych, politycznych formach, na samej roztropności w korzystaniu ze szczęśliwych stosunków, i tutaj, podług mnie, główne jego zasługi.

Dziś, kiedy rozum i nauka mniemają, że potrafią nietylko same rozwiązać wielką bytu ludzkiego zagadkę, ale dać jej balast i kierunek, on, nie mniejszy rozumem i nauką od kogo bądź, zrozumiał, że początek ludzkości, prawo którem się rządzi, cel do którego zmierza, są nadprzyrodzone, a stąd popłynął cały jego pogląd na dzieje, na wychowanie, na potrzeby każdego, a głównie polskiego, społeczeństwa.

Studya historyczne są dziś, że tak powiem, na porządku dziennym: pierwszorzędne talenta poświęcają im czas i zdolności, a niewątpliwie rozjaśniły, przy umiejętnem badaniu źródeł, wiele poszczególnych zjawisk. Stosownie do osobistego usposobienia, bardziej jeszcze do prądów panujących w opinii, posługują, jeżeli się podnoszą do historyozoficznego zapatrywania, teoryi albo celom autora. Tak mieliśmy historyków upatrujących przyczynę upadku w odstąpieniu od gminowładztwa, jak mamy zwolenników potężnej państwowej siły. W jednych i drugich panuje, choć nie przyznany, rodzaj fatalizmu, bo nie odnoszą się do wyższego moralnego porządku. W te błędy i ostateczności Szujski nie popadł, jak nie

popadnie nigdy ten, co w świetle prawdy Boskiej rozbiera wypadki ludzkie. I to dało mu ten sąd wytrawny, który od lat kilkunastu podziwialiśmy w każdem jego piśmie, w każdem odezwaniu, a który tak gorszy wielu. W skutek panujących uprzedzeń, zmniejszało się jego wzięcie, causiperdy prawne, polityczne i moralne śmiały głos przeciw niemu podnosić, i, jak często w Polsce bywało, trzeba było śmierci, aby całą jego wartość ocenić.

To jest właściwe Szujskiego znaczenie; a Smolki to zasługa, że na nie wskazał. Opatrzność zawsze w każdej chwili niebezpiecznej przysyła ludzi, którzy prawdę głosząc, nie pozwalają, że tak rzekę, aby przy obniżeniu poziomu moralnego, społeczeństwo zasnęło w błędzie. Takim opatrznym człowiekiem był niewątpliwie Szujski i miał też wszystko co potrzeba do spełnienia swojej misyi: powierzchowność uroczą, fantazyę pełną życia i natchnienia, miłość ojczyzny ognistą, różnorodne a prawie nigdy nie schodzące się w jednym człowieku zdolności, łatwość w pracy niezwykłą, a zapał do niej, niestety, niepohamowany. Tak wyposażony człowiek, pełen dobrej wiary a próżen egoizmu, jak tylko trafił na drogę prawdy, kroczył nią, póki nie doszedł do źródła, to jest do uznania objawionej nauki Chrystusa i powagi Kościoła, który ją głosi. Odtąd, przy każdej sposobności, uznanej przez siebie prawdzie oddawał świadectwo, tem bardziej, że widział w niej, i słusznie, zbawienie ojczyzny.

Gdyby fanatyzm negacyi umiejętnie kierowany od dawna przez spisek mógł przejrzeć, to widok społeczeństwa Francyi a usiłowań w Niemczech i Rosyi skłoniłby go do odwrotu. To nie nastąpi; poddany despotycznej z urokiem tajemnicy władzy, jak żyd wieczny tułacz zatrzymać się nie może, musi iść naprzód, łudząc się, że w miejsce chrześcijańskiej zaprowadzi humanitarną religię. Widok przewrotów bez skutku od lat stu które wywołał, mógłby opamiętać, widok herezyj, które w tym nowym kościele powstają, zastraszyć. Ale nie. Duch negacyi to kłamca od początku, od początku kusi i oszukuje, to podniecając pychę życia, to rozniecając namiętności mienia i krewkości, to szukając w nauce środka zmateryalizowania ludu, który wyjątkowo uchował zdrowie rozsądku i prostotę wiary, wtenczas właśnie, kiedy ona jedna zasłania go od zguby tradycyi i narodowości.

To wszystko Szujski wiedział, ale nie dość mu na tem było; wypowiedział to najświetniej, najdobitniej, najśmielej w swoich prelekcyach o odrodzeniu. Te prelekcye, na których zwolna zaczęło ubywać słuchaczy, są jego najpiękniejszym czynem, długo będą wpływ wywierać; czy są najważniejszym jego dziełem, wnet zobaczymy. O odrodzeniu, o humanizmie, o wpływie klasyków na moralność ludzkości mówi dziś wielu: czy bardzo wielu zdaje sobie sprawę, nie wiem. Jeżeli dobrze pamiętam, to pierwszym, który zwrócił uwagę z naukowego stanowiska na wpływ humanizmu, na reformacyą, był Fryderyk Schlegel, w sławnych swoich *Vorlesungen über die Neuere Geschichte* (Wiedeń 1809). Wielki znawca i wieków średnich i szesnastego stulecia, poczynając od filozofów arabskich w Hiszpanii, wskazuje, jak zbierał się przypływ fali, jak w pośród poznania druku, prochu, Ameryki, systemu niebieskiego, umysły rozbudzone, były przygotowane do jakiegoś ruchu, któremu gotowały grunt bogactwo i swoboda miast włoskich i niemieckich, jak często bywa, idąc w parę ze zepsuciem obyczajów. Nauka filozofii wyrodziła się; to co było środkiem, stało się celem; dyalektyka scholastyczna, potrzebna jako sposób ćwiczenia rozumu, posunięta w XV. wieku do śmieszności, w XVI. w. stała się przedmiotem zaczepek i żartów humanistów, którzy poprzestając na negacyi, nie przynosili żadnej filozofii, ale trzeźwość sądu i elegancyą formy. Filozofia scholastyczna z dawnych czasów była połączona z teologią, a tak ciosy wymierzone na skostniałą naukę, padały czasem bezwiednie na wiarę. Scholastycy, jak w takich razach bywa, bronili się, co łatwo, dogmatami, a tak łatwo wchodziły w grę żywioły, stanowiące składowe części ekonomii chrześcijańskiego świata.

Dobrze przed wzięciem Carogrodu i przypływem greckich ksiąg i uczonych odzywały się symptomata niewiary we Włoszech, strumienie gnostycyzmu i neoplatonizmu, które płynęły pod ziemią, buchały czasem na powierzchnią, i niesłusznie byłoby robić stąd zarzut wyłącznie humanistom. Społeczeństwo włoskie było zepsute, zwierzchnicy Kościoła, w skutek przeważnego politycznego stanowiska jakie zajmowali, nadto światowi: co dziwnego, że woń poezyi i cywilizacyi starożytnej, która w całym stawała uroku, odurzyła głowy, a bujnej krewkości ciała puszczała wodze? Równocześnie,

a w części za ich wpływem, sztuka wskutek ożywionego handlu, życia publicznego włoskich rzeczypospolitych i narodowego geniuszu, nietylko dochodziła najwyższego a dotąd nieprześcigniętego ideału, ale stała się żywiołem składowym narodowego i społecznego życia. Powodzenie budzi pychę, a jak dziś odkryte siły natury, które człowiek ujarzmia i użyć do swych posług potrafi, nadymają go aż do mniemania, że bez karności moralnej ludzkości obejść się potrafi, tak podówczas uroczy zmysłowy materyalizm owładnął społeczeństwo i sprawił, że człowiek pojedyńczy zażądał swobody myśli i sądu, aby się uwolnić od karności Kościoła i sumienia. *Post hoc ergo propter hoc.* Że reformacya nastąpiła po odrodzeniu, że humaniści niemieccy jak Reuchlin, Hutten, Erazm v. Rotterdam, wpłynęli na jego rozwój, stąd wniosek, że humanizm był główną i jedyną przyczyną reformacyi. Tak nie jest. Przyczyny wielkich historycznych wypadków, jak nieraz powiedziałem, są zawsze złożonej natury. Szujski wiedział to lepiej jak ktokolwiek, i dlatego z ironią w ostatniej nocie do prelekcyi piątej pyta, czy to jemu, który połowę życia z klasykami przepędził można robić ten zarzut, że ich lekko waży. Szujski był istotnie na wskróś humanistą i filologiem w obszernym tego wyrazu znaczeniu. Już Ast w zanadto może mało dziś znanem dziele *Philologie,* wypowiedział dokładnie co jest filologia. To nie jest tylko języków łacińskiego i greckiego posiadanie; i zapewne nie trudno pisać piękniej po łacinie jak Szujski; filologia to jest wejście za pośrednictwem języka i literatury do wnętrza starożytnego świata. I dlatego to stoimy o studya klasyczne we własnych językach, że świat starożytny zamknął swój cyklus. Jak anatom badać może człowieka tylko na obumarłym trupie, tak badając ludzkość, można ją tylko poznać i kształcić na starożytnym świecie, który ostatni swój wyraz wyrzekł. Stąd nauk klasycznych nazwa. Kształcą człowieka, a więc *humaniora studia:* i zaprawdę nie wiem, aby kto na obszarze ziem polskich był prawdziwszym jak Szujski humanistą. Kiedy Smolka w uniesieniu podziwu i żalu wyrzekł, że Szujski był Newtonem, to wielu posądzało go o przesadę. Szujski astronomem nie był i nie mógł ponderacyi ciał niebieskich odkryć; ale Szujski przy zdumiewającej znajomości czasów i źródeł, umiał rozróżnić nietylko wpływ każdego żywiołu, ale

w tych samych nieraz ludziach, dualizm objawiający się w epokach przełomu, oddziałanie tych prądów to na duchowe usposobienie, to na ustrój polityczny narodu, a do tego potrzeba genialnego poglądu. I kiedy cieszyć nam się i szczycić należy, że posiadamy równych co do nauki, dowcipnego zestawienia faktów, wyprowadzenia stąd zajmujących teoryi, to Szujski jeden tylko podniósł się aż do zrozumienia rządów Opatrzności w świecie i dlatego widzi w dalekiej już przeszłości początki złego, które z czasem miało działać na rozkład a i bezwładność naszego społeczeństwa. Czy reformacya dzieląc Niemcy na dwa obozy, stawiając zasadę: *cujus regio ejus religio*, obniżając poziom wychowania i nauk tak, że jak uważa Halam, (zaprawdę nie ultramontanin), protestanci oddawali dzieci do szkół jezuickich, była, jak chce Smolka, przyczyną rozwoju nauk, swobody, cywilizacyi; ani myślę rozbierać, boć to próżna byłaby praca; tem bardziej, że ci, co nie chcieli słuchać Szujskiego, czytać tego nie będą. Jedno tylko zastrzegam, że Szujski, jego szkoła, są na drodze postępu. Bankructwo rewolucyjnych zasad, choć ani zadeklarowane, ani przez sąd ogłoszone, dla umysłów przenikliwszych jasne. Ich rzeczą wskazywać te dawne, a dziś nowe drogi, i to rzetelny obecny postęp.

Uśmiech szyderczy, albo politowania na niejednej twarzy, ani nas zdziwi ani zastraszy, jak nie zastraszył Szujskiego, kiedy jawnie wyznawał że: jest chrześcijaninem w karbach nauki Kościoła. Prelekcye o odrodzeniu zostaną pomnikiem i dowodem, na jakiej wysokości stało społeczeństwo, które taki kwiat wydać mogło.

Ale niewątpliwie najznakomitszem dziełem jakie Szujski zostawił, są jego Dwanaście Ksiąg Historyi Polskiej. Dziwne, jakby umówione milczenie o tej pracy; Godlewski znany redaktor „Niwy“ prosił mnie, bym zrobił jej rozbiór. Rzecz nie łatwa, bo bardzo treściwa, a przytem niepodobna było nie zestawić jej z dziejami Bobrzyńskiego. Gdzie mnie spotykać się z Bobrzyńskim? Jednak do roboty się wziąłem, ale praca podrobiona zaginęła gdzieś wśród moich papierów najnieporządniej utrzymywanych. Drugi raz do roboty się nie wezmę.

Szujski pisząc książkę, chciał pisać i rozumiał, że pisze książkę

elementarną. W tem błąd, bo ona przypuszcza już nie elementarną, ale dokładną znajomość faktów polskiej historyi i wykształcenie mogące korzystać z głębokiego sądu i szerokich poglądów. Pomijając również w końcu ani zbyt ważne ani zbyt wielkie różnice co do początkowych dziejów naszych pomiędzy Szujskim a Bobrzyńskim, zasadniczy spór powstaje co do czasów, w których wykształca się już organizm państwowy. Spór ten ważny, jest dosyć subtelnej natury, i dlatego nie łatwo ani wskazać na różnice ani zbadać ich przyczyny.

I jeden i drugi upatruje początki rozkładu w braku sprężystości władzy, w onej nieuszanowaniu, w lekceważeniu prawa i owej luźności we wszystkich hierarchicznych stosunkach, które polskie znamionują społeczeństwo. Zdawałoby się zatem że jednozgodni; ale właśnie tutaj zaczyna się różnica. Bobrzyński zgodnie z prądem obecnie panującym, widzi zbawienie w idei państwowej, która w owych czasach koncentrować się musi w panującej dynastyi; imponuje mu wola i siła, obojętna czy oparta na prawnej podstawie. Stąd podniesie niedołężnego króla, dlatego tylko, że bezwzględny, jakby sama bezwzględność była już zasługą; obniży najświetniejszą epokę naszej historyi, upatrując w niej zarody upadku, jakby nie wiedział, że właśnie kwiat w rozkwicie zapowiada barwy i woni utratę; godziłby się i na rządy Iwana Groźnego w Polsce, byle jej wraził ducha karności i posłuszeństwa. Jakkolwiek nie zaprzecza nigdzie idei duchowej, ciągle ją ignoruje, jak gdyby potęgi moralne nie były najważniejszym czynnikiem w życiu narodów. I zaraz przykład: Iwan Groźny z całem swem okrucieństwem, z całym cynizmem, nie był tyle szkodliwym dla rosyjskiego społeczeństwa, jakby był dla naszego, bo reprezentował tam nietylko polityczny ale i duchowy pierwiastek. Głowa Kościoła, narzędzie boskich na ziemi rządów, podnosił do wysokości rządów Opatrzności wybryki namiętności i fantazyi. Społeczeństwo zachodnie katolickie nigdyby tego nie zniosło i dlatego wybór jego na tron polski był prostą niemożebnością, poselstwo Haraburdy było fakcyjnym wybrykiem, a Iwan czuł to tak dobrze, że tylko stał o Litwę, polskiej nie pragnął korony.

Inaczej Szujski. Zarówno luźność potępia, a bezkarności niemal głównie upadek narodu przypisuje, ale zbadał duchowe potęgi, które są tak ważnymi w rozwoju i bycie ludzkości czynnikami. Z podwójnej

człowieka i ludzkości natury wychodząc, uznaje metafizyczne, a jeżeli kto woli filozoficzne warunki bytu i rozwijania się społeczeństwa, trzeźwo patrzy na praktyczne zastosowanie w historycznem i politycznem życiu. Nie ma, i nie może tu być żadnego fatalizmu, przyczyny rodzą koniecznie skutki, wola jednostek i społeczeństwa wolna, wybór między złem a dobrem swobodny, warunki i następności jednego i drugiego wskazane. Gdyby tu było miejsce do zbadania tych najwyższych zadań, toby się pokazało, że wszystkie następstwa w praktycznej polityki sferze, są skutkiem spekulacyjnych pojęć. Jeżeli człowiek jest wytworem pracy natury przez miliony lat, jeżeli jest postulatem rozumu, który niewiadomo jak się wyrobił z materyi i to nawet bez udziału tego ducha o którym Wirgiliusz mówi: *Mens agitat molem et magno se corpore miscet*, jeżeli społeczeństwo powstało przez układ, to konieczność, idea państwa, zupełne podporządkowanie nawet bytu jest usprawiedliwione. Wówczas można bez względnej woli człowieka przyznawać prawo szukania drogi zbawienia państwa na jakiejkolwiek drodze. Ale jeżeli człowiek, a więc i ludzkość wyszła z ręki Stwórcy wszechwiednego, wszechdobrego, jeżeli człowiek jest koniecznie z natury swojej nie z wyboru społecznym, jeżeli społecznym być nie może bez prawa, a więc to prawo musiało mu być objawione, jeżeli wolna wola temu poddaje się prawu; logicznie rozwijają się następności tych dwóch zapatrywań w tak odmienny, nawet antagonistyczny, sposób, że dzieli je przepaść, której nic zapełnić nie może, a która koniecznie musi wywołać walkę. Nie wiem jak dalece Bobrzyński filozofią się zajmował, że ma umysł filozoficzny to pewna, dlatego zgodzi się pewno ze mną, że pierwszy sposób zapatrywania się na stosunki społeczne, wypływa, choć może bezwiednie, z panteizmu, drugie ma źródło w monoteizmie, tam tłumaczy wszystko atomizm, tutaj ożywiony duchem organizm.

Tak to w logicznym porządku różnice polityczne, spory społeczne, odnoszą się do najwyższych duchowych zagadek i tam szukać trzeba i źródła strasznego antagonizmu, które wywołują, i środków do ich rozwiązania.

Większa część ludzi, którzy wrzekomo walczą, to w imię postępu, to pod sztandarem zachowawczym, ani się domyśla, w jakim

punkcie rozchodzą się ich drogi, bo umysły konsekwentne są rzadkie, i mało ich pojmuje, że ostatecznym wyrazem w filozofii, a naturalnie i w polityce, jest albo panteizm, albo monoteizm. Pierwszy, który rozpanoszył się na Wschodzie, trzyma tam ludzkość w marzącem uśpieniu, a w Europie przybiera to kształt absolutnego państwa, to konsekwentniej dąży do ostatnich socyalizmu krańców. Drugi uznaje Boga osobistego i człowieka pojedynczo wolną obdarzonego wolą, który zaopatrzony od chwili stworzenia objawionem moralnem prawem miłości z natury towarzyski, bo samotnie żyć nie może, wytwarza najrozmaitsze, a zawsze organiczno-hierarchiczne stosunki społeczne, według czasu i miejsca; żyje w patryarchacie, rozwija się w teokracyi, z dopełnieniem objawienia przychodzi do *zupełnego* i w *najrozmaitszych* formach bytu, wykształca cywilizacyę chrześcijańską, w kościele katolickim znajduje ciągłą miarę prawdy i hamulec moralny dla tej wolności, która jak robi najwyższą godność człowieka, tak jest jego największem niebezpieczeństwem. Nie jest tu miejsce rozbierać, ale można wskazać jeszcze genezę politycznych konstytucyj, które nie mogą wytwarzać się na modłę jakiejś pojętej *a priori* teoryi, ale naturalnie kształcą się, niemal rodzą z kombinacyi tych sił i potrzeb żywotnych, które objawiają się w społeczeństwie. Przybierają najrozmaitsze formy, równie uprawnione, byle powstawały w granicach i pod powagą prawa moralnego. Że nie obchodzi się tu bez gry namiętności, bez nadużycia siły, rzecz prosta, bo przyrodzona wolność człowieka tego powodem, ale też, w miarę jak społeczeństwo jakie szanuje bardziej prawo miłości, żywioły te układają się do równowagi, przychodzi do większej potęgi na zewnątrz, a dowolności wewnątrz, i to robi zasługę narodów; za to dłużej albo króciej żyją.

Jakie z tego zapatrywania wypływają następności co do początku i pojęcia władzy i prawa, pomijam, ale trudno mi pominąć ciekawego objawu, który z tą sprawą ma styczność. Kiedy w skutek podnoszonej a groźnej we Francyi kwestyi robotniczej, Le Play miał sobie polecone zbadanie stosunków ludowych w Europie i Ameryce, znakomity ten człowiek, ani polityk, ani prawnik, a najmniej katolik, uderzony atomizmem, w który panujące od lat stu teorya i praktyka pogrążyły społeczeństwa, głównie zachodniej Eu-

ropy, i nieporadnością, w którą wtrąciły pojedyńczego człowieka, dojrzał, że brak hierarchicznego organizmu wywołał rozkład obecny, którego tam tylko nie dostrzegł, gdzie utrzymały się jeszcze ślady dawniejszych stosunków i dawniejszej tradycyi. Człowiek szukający z dobrą wiarą, a obserwator doskonały, wniósł stąd, że obecne prawodawstwo cywilne, które dziedzictwa dzieli, władzę rodzicielską, a więc i rodzinę, osłabia, — i administracyjne, które znosząc korporacyjne ustroje, wywołało bezmierną konkurencyę, są powodem obecnego indywidualizmu, a bezbronności pojedynka. Idąc w górę, szukał praw tej organizacyi, której szczątki tylko znachodził, i znalazł je w przykazaniach boskich. Ciekawy ten nad wszystko proces, doprowadził go do uznania praw moralnych i społecznych, wedle których danych z góry, rozwija się i wykształca ludzkość do najwyższej doskonałości. I kiedy z góry myśliciele jak de Maistre Bonald, Haller, Stahl, Gerlach, Burke, wskazali jak z duchowego porządku wykształcają się stosunki naturalne ludzkości, on z braku tych stosunków, podniósł się do potrzeby uznania prawd objawionych.

Dlatego mimochodem zatrzymałem się tak długo nad tym przedmiotem, bo dowodzi, jak różnemi drogami umysł ludzki może przyjść do prawdy, jeżeli obok dobrej wiary, zaopatrzony jest odpowiednią siłą. A to jest tak dalece prawdą, że nierobi tu wyjątku nawet Renan, którego umysł z natury przenikliwy, widzi wybornie cały fałsz poglądów i teoryi dzisiejszej polityki i spustoszenia, które zrządziły, dochodzi do wniosków, które loika wskazuje, i tu dopiero cofa się konwulsyjnie, kiedy stanął przed podwojami Kościoła, któremu wojnę nie jego rozum wypowiedział, ale jego serce.

Do tych prawd doszedł Szujski na drodze historyi, co dla niego było tem łatwiejsze, że gruntu wiary nigdy nie był opuścił. Ten duch wiary promienieje z całej jego książki, oświeca mniej jasne objawy, a jednak ani na chwilę nie zaślepia w trzeźwości poglądów i sądu, kiedy np. potępia w chwili upadku i zachwianej moralności formę wrzekomo ascetycznej i namiętnej pobożności; kiedy potępia u uczciwych ludzi brak odwagi cywilnej i domatorstwo, które z pozorem roztropności jest egoizmem i małodusznością. Z całej książki wypływa ta wielka nauka, której właśnie od historyi żądamy: że pod wpływem prawa moralnego siły społeczne mogą dojść

do takiej równowagi, iż zapewnią ludzkości dwa główne warunki bytu: wolność i porządek, iż te siły do równowagi w Polsce nie przyszły, bo zaabsorbował dla siebie wszystko element szlachecki, który dlatego został ukarany; że jeżeli w Polsce była wolność bez porządku, to w społeczeństwie rosyjskiem, w którem carat zaabsorbował inne żywioły, był posłuch bez wolności, a we Francyi pod rządem głosowania powszechnego, panuje despotyzm grubych i niskich instynktów; że najrozumniejszy nawet, biurokratyczny ustrój jak w Prusiech, wychodząc z idei t. z. prawnego państwa musi logicznie brać pojedynka w opiekę, to jest wodzić go na pasku, a za to zapewniać mu potrzeby materyalne, monopolizując środki przewozowe, regulując stosunki służbowe, to jest robiąc wszystko z góry, czego pragnie socyalizm z dołu. Dla ludzi rozumujących z matematyczną ścisłością, a wolą absolutną, ma to wielki urok, a oparte na teoryi nabiera naukowej powagi, ale nie można stawiać jako ideał tego, co historycznie usprawiedliwić się nie da, a logicznie prowadzi do anarchii albo despotyzmu. Zwrot w obec nauki po książkach i katedrach jest tu bardzo trudny, tylko wypadki, tylko bolesne doświadczenie doprowadzi niektóre społeczeństwa do tego wspaniałego ustroju, jakim od lat dwóchset cieszy się Anglia; jakim zaledwo tyle cieszył się Rzym. Że takie epoki równowagi sił społecznych w narodach są rzadkie, dobrze mi wiadomo; do tego potrzeba obok charakteru narodowego, zbiegu wielu szczęśliwych okoliczności, ale kiedy się mówi dla nauki, trzeba stawiać najwyższy ideał, którego urzeczywistnienie widzimy jednak w społeczeństwie angielskiem.

Wiele z tych następności Szujski nie wypowiedział, wszystkich zaród w jego książce. Dlatego uważam ją nietylko jako najznakomitsze jego dzieło, ale jako pomnikowe w literaturze naszej. Dodać potrzeba, że pisana lepszym jak wszystkie inne stylem. Szujski, utarte to zdanie, stylistą nie był, a w dziejach bez ujmy jasności, chcąc być zwięzłym, potrafi w kilka wierszy zmieścić zasób myśli, który wystarczy na długą rozwagę i naukę. Jeżeli najwonniejszym i najbarwniejszym kwiatem umysłu Szujskiego są odczyty o odrodzeniu, to najzdrowszy owoc i najbardziej pożywny, dał nam w dwunastu księgach.

Będzie to osobnym przywilejem, a może błogosławieństwem naszego narodu, naszej szkoły głównej, naszego miasta, że w czasie kiedy nauka, albo prawdom wiary zaprzecza, albo je ignoruje, uczony, którego możemy postawić obok każdego nietylko w kraju, ale i zagranicą, wieszcz natchniony, człowiek publiczny, znaczny na każdem polu i w każdym przedmiocie, kierownik prac historycznych akademii, miłośnik gorący, śmiały a bezinteresowny ojczyzny, był wiernym synem Kościoła, głośno przyznawał się do posłuszeństwa jego nauce i wskazał, że od chwili kiedy słabła jego powaga w ojczyźnie, ta zaczęła chylić się do upadku. Zasługi tej może nie oceniają współcześni, niektórzy wybaczają wyższemu człowiekowi tę słabość, ale przyjdzie czas, kiedy po wielu cierpieniach, może strasznych kataklizmach, ludzkość podnosząc o ratunek oczy do Krzyża, błogosławić będzie pamięci tego, który doń drogę wskazywał.

Paweł Popiel.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Trzechsetletni jubileusz Kongregacyi Sodalisów Maryi, przez *X. Stanisława Załęskiego T. J.* . . 42

W drugą rocznicę śmierci Józefa Szujskiego, przez *JE. P. Popiela* . . . . . (Dodatek) I

Katolicka szkoła socyalna we Francyi i stowarzyszenie „kółek rzemieślniczych“, przez *J. Gnatowskiego* 220

Gordon i Mahdi. Ostatnia kartka z dziejów Sudanu, przez *M. S.* 405

Artykuły naukowe i literackie.

Siła i prawo, przez *X. Maryana Morawskiego T. J.* 1

Księżna Amelia Galicynowa, przez *M.* 20

Odnowiciel zakonu Dominikanów we Francyi, przez *hr. Henryka Wodzickiego* 58

Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów przez *X. Antoniego Langera T. J.* 72, 425

Mikołaj Trąba, pierwszy prymas polski, przez *ks. Korytkowskiego* 185, 385

Książęce gniazdo. Monografia historyczna, przez *T. J. Steckiego* 202

Nowo znaleziona „nauka dwunastu apostołów“, przez *ks. Dr. Chotkowskiego* 232, 371

Stronnictwo patryotyczne na wielkim sejmie i po upadku konstytucyi, przez *hr. Ludwika Dębickiego.* 325
Filozofia założycieli nowożytnej fizyki, przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 346

Przegląd piśmiennictwa.

Jana Kochanowskiego pieśń o Sobótce, oceniona przez *prof. Dra Rymarkiewicza,* przez *Dr. Antoniego Kalinę,* z dodatkiem *S. Matusiaka* 94, 250
Wspaniałe wydanie wizerunków Papieży, przez kanonika Pallard, p. *M. S.* 104
Jan Ostroróg, studyum z literatury politycznej, napisał M. Bobrzyński, p. *H. Lisickiego* 260
Monumenta Poloniae historica, t. IV., przez *ks. I. Polkowskiego* 436

Przegląd pism peryodycznych:

Revue des questions scientifiques, przez *Dra Ignacego Skrochowskiego* 446

Bibliografia. Z dzieł religijnych 107, 265, 460
Z dzieł historycznych 109, 268, 463
Z dzieł literackich 112, 274, 465
Z dzieł filozoficznych. 114, 280

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Styczeń.

Słowianie na Węgrzech. Narodowości słowiańskie. — Horwaci: stronnictwa horwackie, ich dążności, biskup Strossmayer w Zagrzebiu, usposobienie prasy wiedeńskiej i węgierskiej względem Horwatów, założenie kolegium horwackiego w Rzymie. — Serbi: w Horwacyi, w Węgrzech. — Rusini. — Słowacy: obudzenie i wzrost życia narodowego między Słowakami, prasa i wydawnictwa słowackie. — Streszczenie . 116
Z Prus Zachodnich: Zmiana polityki Koła polskiego w Berlinie. — Obywatelstwo i stosunki ekonomiczne w kraju. — Wpływ duchowieństwa. — Religijno-moralny stan ludu 127

Stronnica.

Z Berlina. Zapowiedź zmiany polityki w dziennikach. — Gra ks. Bismarka i grupowanie się stronnictw. — Agitacye przedwyborcze. — Wybory. — Stosunki kościelno-polityczne . . 135
Z Paryża. Czy istnieje przesilenie fabryczne we Francyi? przez *N. Danina* 145
Z archeologii krajowej. Przegląd archeologiczny. Organ c. k. Konserwatoryi pomników i Towarzystwa archeologicznego (1882—1884), p. *A. H. Kirkora* 154
Z wystawy sztuk pięknych: Bolesław Chrobry Matejki. — Obrazy scen ludowych, p. *X. Eust. Skrochowskiego* 168
Wynik konkursu na uczczenie 300-letniego jubileuszu św. Karola Boromeusza 173

Luty.

Reichsanzeiger niemiecki o „Przeglądzie powszechnym“, przez ks. *M. Morawskiego T. J.* 281
Z Anglii: Spór o reformę wyborczą. — Reprezentacya duchowna w Izbie. — Kasata kościoła państwowego. — Stosunek ludności do pojedyńczych wyznań. — Rozkład anglikanizmu. — Obojętność klas wyższych. — Poleganie na sobie samym. — Pseudemonium, przez *E. N.* 285
Z Berlina: Mowa tronowa. — Wybory nie po myśli rządu. — Rozstrój w parlamencie. — Ustawa banicyjna. — Stosunki kościelne. — Reformy socyalne. — Wniosek Haertlinga. — Sprawa Kongo 303
Przywrócenie waluty w Austryi, przez *H. L.* 317
W sprawie jubileuszu św. Metodego: Głosy gazet. — Odezwa komitetu Ruskiego ze Lwowa. — Odezwa komit. Welehr. — Z Pelplina. Z Poznania. — Z Krakowa. 319

Marzec.

Sprawy Stolicy św. Stosunki patryarchy konstantynopolitańskiego z delegatem Stolicy św. — Dokończenie wywłaszczenia Propagandy. — Jej protest. — Groźba dalszych zamachów na majątek kościelny. — Audyencye u Ojca św. — Dziennikarstwo włoskie — przez *A. D.* 469
Z Prus Zachodnich. Trudne warunki rolników. — Przyczyny upadku polskich majątków — Skutki „landszafty pruskiej“. — Sejmiki gospodarskie, kółka rolnicze i kasy pożyczkowe. — Stosunki handlowe i przemysłowe, przez *J. K.* 475
Uniwersytet katolicki w Salzburgu, przez *br. v. Vogelsang* 485
Literatura litewska, przez *Mieczysława Dowojnę Sylwestrowicza* 491
Odpowiedzi Redakcyi 495